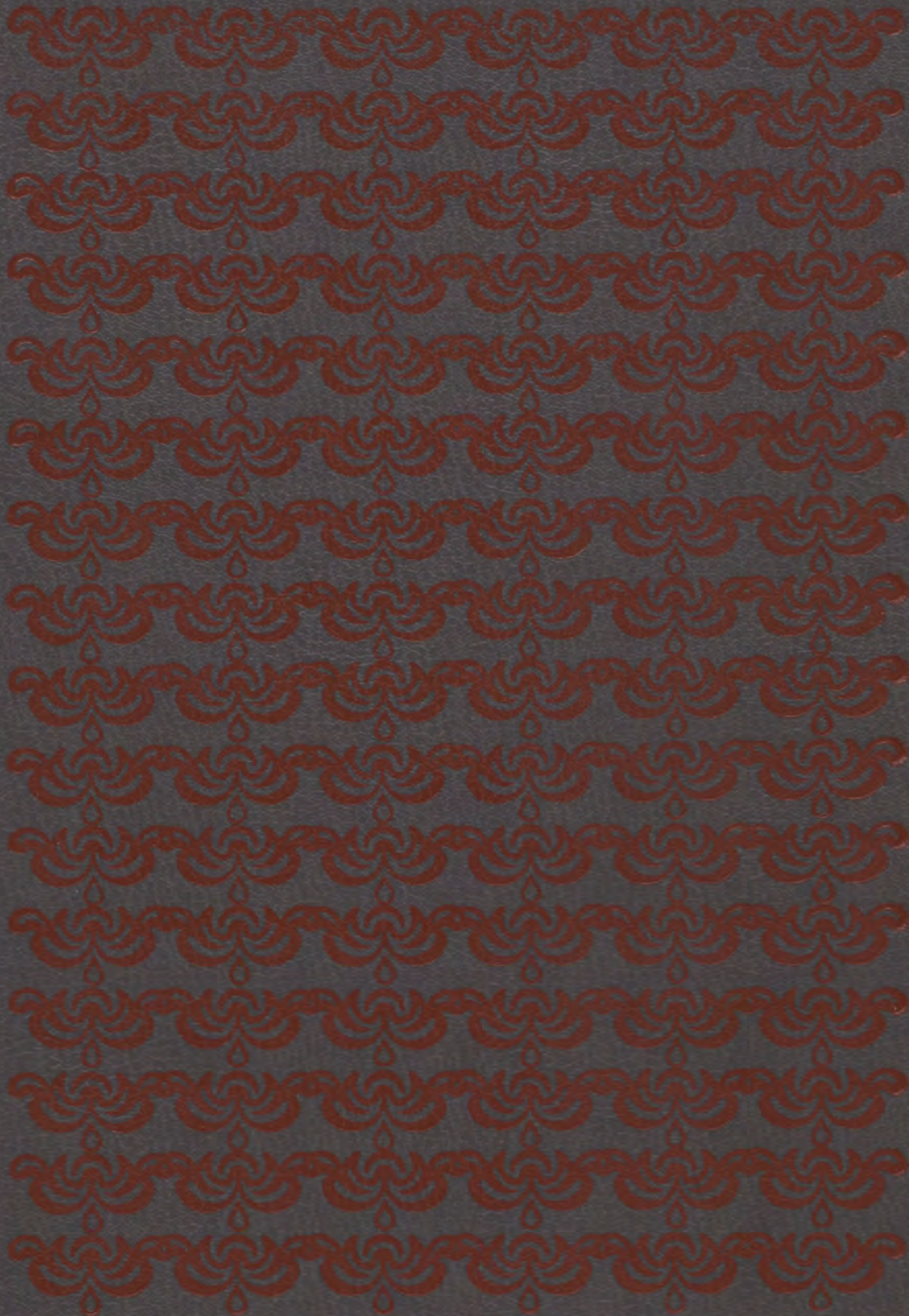
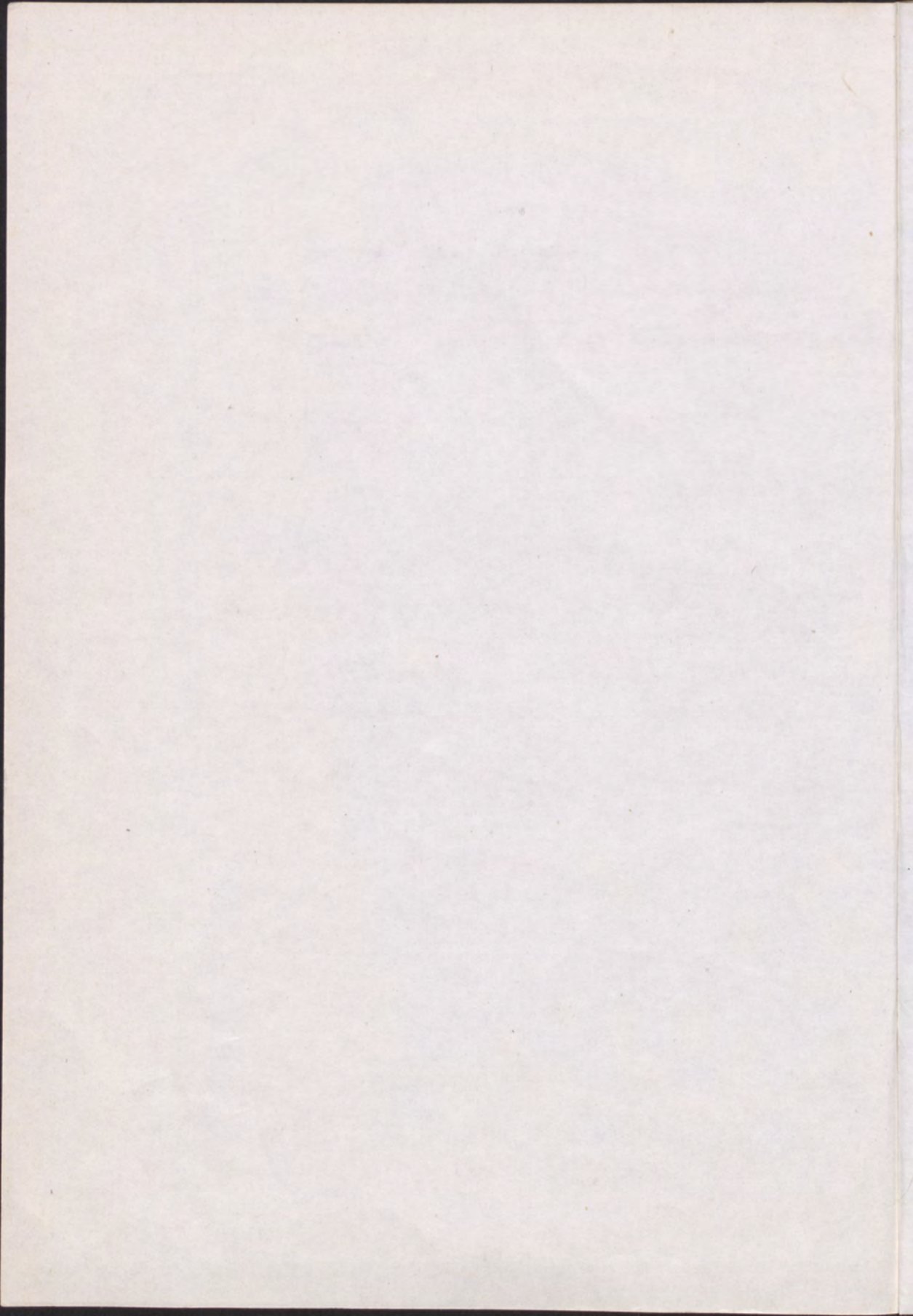




ARTUR
MUTNIKIEWICZ
ŻEROMSKI



Pw



16482

ARTUR HUTNIKIEWICZ

ARTYSTA I PISARZ



ŻEROMSKI

ŻEROMSKI

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE WARSZAWA 1987

ŻEROMSKI

16487

ARTUR HUTNIKIEWICZ

MARIA LUSZCZYŃSKA



SŁOWO WSTĘPNE

Redaktor techniczny
ANNA GRZEGOROWSKA

ZEROMSKI

Książka, która jest próbą syntetycznego opisu życia i twórczości Zeromskiego. Synteza monograficzna w najnowszym stylu. Jest dość często jako gatunek pisarstwa raczej utrudniony. Współczesna nauka o literaturze rozwija się pod znakiem teorii, metodologii, tworzenia konstrukcji systemowych i pedantycznej analizy, sięgającej niekiedy ostatecznych granic akrybii. Ma to jej zapewnić status wiarygodnej naukowości. Staje się widoniem dziedziną coraz szczególnie zamkniętą, mówiącą hermetycznym językiem wtajemniczonych. Stosuje swoisty redukcjonizm poznawczy, zostawia poza zasięgiem obserwacji coraz bardziej rozległe obszary zjawisk jako wymykające się regułom naukowego poznawania i ogranicza się do faktów pewnych, dających się opisać w kategoriach wymiernych i sprawdzalnych. Współczesny badacz i historyk literatury staje więc coraz częściej wobec konieczności wyboru: czy w uporczywej pogoni za jednoznacznością ustaleń redukcjonować coraz bardziej rygorystycznie całą procedurę badawczą do czystej opisowości w tych rzecz jasna warstwach przedmiotu, które w kategoriach wymiernego opisu ująć się dadzą, czy też odwrotnie, koncentrować się na wartościach niewymiernych, wymykających się wszelkim, dającym się pomysłom, regułom i schematom analizy naukowej, ale ważnych, istotnych, choćby z pełną świadomością, że jego sądy będą zawsze miały charakter intuicyjnych i hipotetycznych przybliżeń. Czy ograniczać pole badań do coraz węższych aspektów sztuki pisarskiej, ściśle warsztatowo-profesjonalnych, czy też wazyć się na całościowy ogląd zjawiska.

Książka niniejsza opowiada się za ewentualnością drugą. Stąd jej metoda i świadoma repartycja zawartości treściowej: życie i osobowość pisarza, światy jego idei i przesvědceń, jego wyobrażenia pisarska, determinująca jego formę i styl. Książka nie chce być sumną wiedzy o Zeromskim. Tak pomyślana synteza byłaby bezcelnym i dla czytelników nieprzystawalnym. W każdym piarstwie, a więc i w naukowym, obowiąz

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE WARSZAWA 1987

13/11/87

Obwolutę, okładkę, wyklejki
i stronę tytułową projektowała
MARIA ŁUSZCZYŃSKA

Redaktor
DANUTA TRZPIL

Redaktor techniczny
ANNA GRZEGOROWSKA

Korekta
BOŻENA OSADA, EWA ROSIK



3056

© Copyright
by Państwowe Wydawnictwo Naukowe
Warszawa 1987

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE WARSZAWA 1987

ISBN 83-01-07442-6

K. 318/87

SŁOWO WSTĘPNE

Książka, którą się tu przedstawia czytelnikowi, jest próbą syntetycznego opisu zjawiska literackiego o nazwisku „Żeromski”. Synteza monograficzna w najnowszej historiografii literackiej traktowana jest dość często jako gatunek pisarstwa raczej niemodny. Współczesna nauka o literaturze rozwija się pod znakiem teorii, metodologii, tworzenia konstrukcji systemowych i pedantycznej analizy, sięgającej niekiedy ostatecznych granic akrybii. Ma to jej zapewnić status wiarygodnej naukowości. Staje się widomie dziedziną coraz szczelniej zamkniętą, mówiącą hermetycznym językiem wtajemniczonych. Stosuje swoisty redukcjonizm poznawczy, zostawia poza zasięgiem obserwacji coraz bardziej rozległe obszary zjawisk jako wymykające się regułom naukowego poznawania i ogranicza się do faktów pewnych, dających się opisać w kategoriach wymiernych i sprawdzalnych. Współczesny badacz i historyk literatury staje więc coraz częściej wobec konieczności wyboru: czy w uporczywej pogoni za jednoznacznością ustaleń redukować coraz bardziej rygorystycznie całą procedurę badawczą do czystej opisowości w tych rzecz jasna warstwach przedmiotu, które w kategoriach wymiernego opisu ująć się dadzą, czy też odwrotnie, koncentrować się na wartościach niewymiernych, wymykających się wszelkim, dającym się pomyśleć, regułom i schematom analizy naukowej, ale ważnych, istotnych, choćby z pełną świadomością, że jego sądy będą zawsze miały charakter intuicyjnych i hipotetycznych przybliżeń. Czy ograniczać pole badań do coraz węższych aspektów sztuki pisarskiej, ściśle warsztatowo-profesjonalnych, czy też ważyć się na całościowy ogląd zjawiska.

Książka niniejsza opowiada się za ewentualnością drugą. Stąd jej metoda i świadoma repartycja zawartości treściowej: życie i osobowość pisarza, światy jego idei i przeświadczeń, jego wyobrażenia pisarska, determinująca jego formę i styl. Książka nie chce być summą wiedzy o Żeromskim. Tak pomyślana synteza byłaby produktem niestrawnym i dla czytelników nieprzyswajalnym. W każdym pisarstwie, a więc i w naukowym, obowiązuje prawo i konieczność selekcji. O zasięgu i charakterze selekcji zadecydował tu oczywiście autorski stosunek do przedmiotu i punkt widzenia.

Studium to pragnie sprostać wymaganiom naukowości, ale jest jednocześnie książką w swoistym tego słowa pojęciu i rozumieniu osobistą, jest produktem wieloletniego obcowania z dziełem pisarza; toteż świadomie pomija ona inne punkty widzenia i propozycje interpretacyjne, z którymi autor po prostu nie zgadza się i nie widzi powodów, dla których miałby się wdawać w spór i dyskusje. Chce dać własne widzenie Żeromskiego, odpowiadające w jego najgłębszym przeświadczeniu rzeczywistym wymiarom i zawartości dzieła.

Aż nazbyt często stawał się Żeromski przedmiotem interpretacyjnych nadużyć, i to nie tylko ze strony najróżniejszych użytkowników jego utworów, ale i badaczy literatury, toteż zasadniczą ambicją książki jest pokazanie Żeromskiego, jakim był rzeczywiście. Stąd wyeksponowanie biografii pisarza, jego ludzkiej i pisarskiej osobowości jako najistotniejszych w przeświadczeniu autora przesłanek jego postawy wobec świata, rzutującej na dzieło, oraz wielkich tematów jego literatury, dla których przede wszystkim podejmował z tak uporczywą i konsekwentną wytrwałością trud swojego pisarstwa. Stąd też wywodząca się z tych zamierzeń stylistyka wykładu, wychodząca z założenia, że język studium literackiego powinien być w granicach uprawnień i możliwości historyka literatury swoistym ekwiwalentem narzucającego się czytelnikowi i badaczowi wewnętrznego nastroju analizowanej twórczości. Stąd wreszcie tak często oddaje się tu głos pisarzowi jako najpewniejszej gwarancji lojalnego stanowiska wobec światów jego idei.

Część I ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

Rozdział I

DOM, DZIECIŃSTWO, LATA NAUKI

W dniu pierwszym „listopada tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku o godzinie pierwszej po południu” stawił się na plebanii strawczyńskiej w Górach Świętokrzyskich „Wincenty Żeromski, dzierzawca [...] lat czterdzieści sześć mający, i w przytomności Walentego Sawczyka, lat czterdzieści dwa, i Jana Zajęckiego lat sześćdziesiąt pięć mających rolników ze Strawczyna, okazał [...] dziecię płci męskiej oświadczając, iż takowe urodziło się [...] o godzinie piątej rano [...] z jego małżonki, Józefy z Katerlów, lat dwadzieścia dziewięć mającej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym [...] przez Księdza Michała Tomaszewskiego odbytym nadano imię Stefan”¹. Jako rodziców chrzestnych wpisano krewnych i powinowatych ze strony matki, Ignacego Schmidta, dzierzawcę z Górna, oraz Teklę Nekanda-Trepkową, żonę „Wielmożnego” Adolfa Trepki z wsi Tarnowa Góra.

Dokument ten, tak brzemienny w następstwa dla literatury polskiej, podpisali jedynie pleban i ojciec; dwaj świadkowie, chłopi strawczyńscy, przytomni ceremonii, pisać niestety nie umieli. W tym urzędowym akcie znalazły się przecież pewne nieścisłości. Mylnie został podany wiek Józefy Żeromskiej, starszej w istocie o trzy prawie lata. Ale nieścisłą była przede wszystkim data rzeczywistych urodzin ochrzczonego. Trudno byłoby w istocie zrozumieć ów nie usprawiedliwiony niczym pośpiech, z jakim dokonano tu obrzędu w parę ledwie godzin po rzekomym przyjściu dziecka na świat. Datę należałoby w rzeczywistości przesunąć wstecz o dwa tygodnie, na dzień 14 października. Zastanawiającą mistyfikację metrykalną podyktowała po prostu dalekowzroczna przezorność. W drugiej połowie października odbywał się co roku w „przywiślańskim kraju” pobór do wojska. Przesunięcie daty urodzin na 1 listopada odsuwało zatem automatycznie w dalekiej oczywistości przyszłości ciężki i nieprzyjemny obowiązek służby w armii zaborczej o cały rok. Dziesiątki lat niewoli

¹ Stefan Żeromski, *Kalendarz życia i twórczości*. Oprac. S. Kasztelowicz i S. Eile, Kraków 1961, s. 16.

nauczyły Polaków umiejętności przezornego przewidywania i okłamywania despotów.

Ród Żeromskich, wywodzący się ponoć ze wsi Żyromino w Pułtuskim, notowany był w księgach heraldycznych już w XIV wieku (1361)². Pieczętując się różnymi herbami: Gryf, Nowina, Pobóg i Jelita, rozrósł się następnie szeroko, w licznych swych odgałęzieniach sięgając na Podlasie, na Litwę, Kielecczynę i Śląsk. Tak właśnie jeden z bezpośrednich antenatów pisarza, Jan Jelitczyk Żeromski z przydomkiem Sariusz (1745 - 1817), przeniósł się w Kieleckie w ostatnim ćwierćwieczu w. XVIII objął tam obowiązki administratora dóbr starosty bolesławsko-kąkolewskiego. W tych niespokojnych czasach ostatnich dni Rzeczypospolitej szlacheckiej i pierwszych zrywów wolnościowych niemal w każdym pokoleniu wikłali się Żeromscy w wielkie wydarzenia dziejowe, uczestnicząc w insurekcjach, w powstaniach, w bojach legionowych epopei napoleońskiej. Budowała się w owych przedsięwzięciach i rycerskich przewagach piękna tradycja i legenda rodowa, ale i topniały zarazem szczątkowe relikty dawnej świetności materialnej, pogrzebane ostatecznie w tragedii powstania listopadowego. Pochodził zatem przyszły pisarz z owej drobnej i średniej warstwy szlacheckiej, co ostatekiem jeszcze siłą próbowała trzymać się ziemi, ale deklasowała się zarazem nieodwołalnie i w wyniku gwałtownych perturbacji polityczno-społecznych coraz częściej odpływała do miast i miasteczek, zasilając szeregi półinteligentnego proletariatu.

Wincenty Żeromski, ojciec późniejszego pisarza, urodzony dnia 29 marca 1819 r. w dobrach Lasochów koło historycznego Małogoszcza, był przedostatnim z pięciorga dzieci Klary z Kłodnickich i Józefata Żeromskiego. Otrzymał dość staranne jak na obyczaje ówczesne wykształcenie, uczył się najpierw w szkole wojewódzkiej kieleckiej, potem w Liceum św. Anny w Krakowie, dopełnił zaś ową edukację ogólną praktycznym przysposobieniem w jakiejś szkole rolniczej. Powróciwszy z owych młodzieńczych wojaży edukacyjnych i nie mogąc już liczyć na żadną pomoc rodzinną, która ułatwiłaby mu start ku samodzielności życiowej, za przykładem tysięcy takich jak on musiał się na własną rękę dorabiać mozolnie na nie zawsze intratnych gospodarstwach dzierżawnych, zmieniając ustawicznie miejsca pobytu w poszukiwaniu dogodniejszych warunków życia. Zajęczkowo, Drzymalków, Strawczyn, Wola Kopcowa, Krajno i Ciekoty były owymi kolejnymi przystankami w tej wędrówce za chlebem. Po rodzicach, których degradacja społeczna i majątkowa była następstwem nie tylko perturbacji politycznych, ale i gestów wielkopańskich, odziedziczył, jak się zdaje, pewną skłonność do lekkomyślnego życia nad stan, która w połączeniu z dobrocią, naiwnie bezradną i bezbron-

² Zob. S. Piolun-Noyszewski, *Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość*, Warszawa—Kraków 1928; *Stefan Żeromski. Kalendarz...*; J. Kądziała, *Młodość Stefana Żeromskiego*, Warszawa 1976.

ną wobec cudzych egoizmów, podważała raz po raz jaką taką stabilność egzystencji. „Dobroć — tak scharakteryzuje go po latach syn — dobroć, która przyprawiła go o stratę majątku, dobroć zbytnia względem dzieci, względem służących, względem sąsiadów, względem wszystkich [...] niezaradność [...] rozrzutność [...] długi [...] wieczni Żydzi i wieczne procenty”³. W młodości był Wincenty Żeromski wesołym, towarzyskim, lubiącym się bawić *bon-vivant*, uroczym i czarującym szalawilą. Z czasem wszystko się w tym jego beztróskim usposobieniu odmieniło. Jedyna zachowana podobizna fotograficzna Wincentego Żeromskiego przedstawia mężczyznę w sile wieku, o starannie przygładzonych, ciemnych i gęstych jeszcze włosach, z pięknym polskim wąsem, ubranego w jasny garnitur, o twarzy przecież jakby zmęczonej, o przygasłym spojrzeniu spod opadających, obrzmiałych powiek. „Coraz to mizerniejszy [...] — zapisze syn w swoim dzienniczku. — Już ani śladu tego prześlicznego mężczyzny, za którym szalały kobiety. Ta twarz, tak podobna do wszystkich portretów Jana Sobieskiego, dziś pożółkła [...] i zwiędła”⁴.

Wincenty Żeromski długo i skutecznie się bronił przed utratą wolności. Dobiegał już czterdziestki, kiedy zdecydował się wreszcie wstąpić w związek małżeński z piętnaście lat młodszą od siebie panną Franciszką Józefą Katerlanką. W przeciwieństwie do Żeromskich, którzy już dawno utracili swoją świetność szlachecką, Katerlowie należeli w tych stronach do towarzyskiej śmietanki, półarystokracji, w powiecie jędrzejowskim posiadali majątek Tyniec. Ród swój wiedli podobno aż z dalekiej Italii i coś z owego dziedzictwa domniemanej krwi południowej przekazała, jak się zdaje, pani Żeromska synowi. „Ja i pan — mamy twarze włoskie, a nawet powiem panu w sekrecie, nie włoskie, ale cygańskie”⁵ — zakomunikuje Żeromskiemu to spostrzeżenie panna Eleonora, jedna z owych uroczych, młodych istot, których tyle spotykał w latach swojej guwernerskiej włóczęgi.

Józefa Katerlanka urodziła się w Boczkowicach dnia 29 stycznia 1833 r. jako trzecie dziecko Józefa Katerli herbu Róża-Poraj i Agnieszki z Jackowskich. Nie zachowała się żadna podobizna matki pisarza, tylko we wspomnieniach i przekazach rodzinnych powracała niekiedy pamięć o niej jako wiotkiej, smukłej, ciemnowłosej dziewczynie. Ślub dwudziestopięcioletniej już panny z Wincentym Żeromskim zawarty został w Węgleszynie dnia 21 lipca 1858 r. o godzinie 12 w południe i pobłogosławiony przez plebana węgleszewskiego księdza Żółcińskiego. Józefa Żeromska urodziła swemu mężowi pięcioro dzieci, cztery córki, z których dwie zmarły w wieku dziecięcym i niemowlęcym, oraz jedynego syna Stefana. Po matce

³ W liście do Oktawii Żeromskiej z dnia 16 marca 1892, [w:] J. Kądziela, op. cit., s. 21.

⁴ S. Żeromski, *Dzienniki*, t. I, Warszawa 1953, s. 93.

⁵ S. Żeromski, *Dzienniki*, t. II, Warszawa 1954, s. 357.

wziął Żeromski w spuściznie nie tylko zaród gruźlicy, nie tylko ową przymieszkę krwi obcej, ale i wiele, jak się zdaje, istotnych znamion charakteru, temperamentu, wewnętrznego nastroju. Z matką wiązać go będą najpiękniejsze i najtrwalej zapisane w pamięci przeżycia i wzruszenia chłopięce. Idealne, wysublimowane i upoetyczone wspomnienie tej kobiety będzie towarzyszyć Żeromskiemu przez całe życie niby wątle, zamglone i czarujące widmo. Z jej osobą zwiążą się przede wszystkim tak istotne dla przyszłego pisarza wspomnienia pierwszych oczarowań poezją. „Pierwsze tchnienie subtelnej poezji poznałem w dzieciństwie z urywków przepisanych ręką matki — był to *Czatterton*, dramat Alfreda de Vigny, tłumaczony przez poetę Apolla Korzeniowskiego”⁶. Jedną z pierwszych czytanych książek był *Pan Tadeusz*. „Pamiętam z miłością to wydanie paryskie, ilustrowane, na którym uczyłem się czytać u nóg matki”⁷.

Pani Żeromska była właściwie od młodości ciężko i nieuleczalnie chora na płuca i tylko górski klimat stron świętokrzyskich pozwolił jej odsunąć nieuniknione o pewien czas. Kiedy umarła w 46 ledwie roku życia, chłopiec odczuł to odejście szczególnie boleśnie i dotkliwie. Jest w *Syzyfowych pracach* taki fragment, w którym opowiada Żeromski, jak to pan Borowicz po śmierci i po pogrzebie żony zabrał Marcinka do Gawronek.

Dom był w nieładzie. Największy pokój, gdzie jeszcze tak niedawno stała trumna, cuchnął zgnilizną i kopciem świec. Pan Borowicz pociągnął Marcinka do sąsiedniego, który był sypialnią nieboszczki. Panował tam jeszcze większy nieład. Łóżko było nie przykryte, prześcieradło i kołdra leżały na ziemi, w drewnianej kraszuarce więcej było plwocin niż piasku. Pan Borowicz usiadł pod oknem i zdawało się słuchał, jak haczyki okna monotonna stukają w ramę, jak wiatr dzwoni po szybach... Marcinek wpatrzył się w opustoszałe łóżko i wtedy poczuł, że mu matka umarła.

Był to koniec wakacji. Zaraz potem życie szkolne całkowicie go pochłonęło. [Ale] czasami, w chwilach nieszczęść i katastrof, budziło się w nim owo zdumienie, jakiego doznał w pustym pokoju matczynym — i wtedy czuł w sercu wielką i nieopisaną sierocą boleść.⁸

Autobiograficzny charakter tego fragmentu jest niewątpliwy. Zastanawiająca jest siła tego swoistego kompleksu skrzywdzenia, jakiego będzie Żeromski doświadczać aż po kres swego życia. Jako młody guwerner, trudniący się polerowaniem szlacheckich głów po sandomiersko-kieleckich, podlaskich i mazowieckich dworach, obserwując z ubocza życie rodzinne owej półarystokracji ziemiańskiej, będzie ustawicznie doświadczać szczególnego wzruszenia na widok oglądanych przypadkowo obrazów rodzicielskiej miłości. „Codziennie patrzeć muszę — zanotuje potem w dzienniku, w tym jedynym swym przyjacielu i powierniku w samotności — na miłość matek, na miłość dzieci — chcę choć we śnie lub ha-

⁶ S. Żeromski, *Elegie i inne pisma literackie i społeczne*. Przygotował do druku W. Borowy, Warszawa—Kraków 1928, s. 395.

⁷ S. Żeromski, *Dzienniki*, t. III, Warszawa 1956, s. 306.

⁸ S. Żeromski, *Syzyfowe prace*, Warszawa 1947, s. 97-98.

lucynacji uczuć dłoń matki mojej na czole — i nigdy. A więc to złuda. — Czemuż istnieje ta wiekuista tęsknota i wiekuiste błaganie: zjeżdż do mnie?”⁹.

W twórczości dojrzałego już pisarza motyw osieroconego dzieciństwa będzie jednym z najczęściej powracających. Nie tylko Marcinek Borowicz przeżyje boleśnie i dotkliwie utratę matki. Także Joasia z *Ludzi bezdomnych* szukać będzie w rodzinnych Głogach wdeptanych w ziemię ementarną, zapomnianych i nie istniejących już mogił swoich rodziców i przeżyje niepojętą chwilę połączenia się z duchem i cieniem matki. W *Dziejach grzechu* zamieści Żeromski króciutką, wzruszającą jakby balladę o bezbrzeżnej potędze matczynego uczucia, a w *Przedwiośniu* Czarus Baryka pojmie całą mądrość, siłę miłości i poświęceń swej matki oraz własne względem niej nieposłuszeństwa, przewinienia, chamskie opory, gdy jej już nie stanie.

Żeromski urodził się w Strawczynie, dzieciństwo spędził w świętokrzyskich Ciekotach, początki edukacji pobierał w szkółce wiejskiej w Psarach, lata gimnazjalne wypadło przeżyć mu w Kielcach, pierwsze kondycje guwernerskie zamknęły mu się również w okręgu tamtych, rodzinnych, świętokrzyskich stron. Uroczą Dolina Wilkowska, w której leżą Ciekoty, była jedną z najpiękniejszych dolin całego pasma górskiego. Wąska, o płaskim dnie i stromych brzegach, ciągnęła się wzdłuż głównego łańcucha gór, z których spływały liczne strumienie i potoki łącząc się w niewielką rzekę Lubrzanekę. Nad doliną wznosiło się kilka okazańszych wyniosłości, Radostowa i Kamień, „góry domowe” Żeromskiego, a u jej wylotu potężny masyw Łysicy, z rodzinnych Ciekot w całej swej okazałości widoczny. Przez ćwierć wieku prawie, zanim burze życia uniosły go w inne i obce strony, nie wychodził Żeromski poza ścisły obręb tamtejszego regionu. Wszystkie dni wolne od nauki spędzało się tam właśnie, na wędrownkach po górach, po dolinach i lasach i wśród pól świętokrzyskiego podgórze, nachylających się łagodnie ku żyznej, pszenicznej, sandomierskiej nizinie.

W tamtych czasach, przed stu z górą laty, Góry Świętokrzyskie stanowiły doskonale zachowane i jedyne w swoim rodzaju, bo nieomal nie-
tknięte cywilizacją uroczysko natury. Chłopiec przyłgnał do tej dzikiej przyrody całą siłą swej odrębnej, zamkniętej w sobie od dzieciństwa osobowości. „Dziwne dziecko — napisze sam o sobie po latach — [...] błakające się samopas po lasach, siadujące na pół dnia nad jakimiś wodospadami”¹⁰. Samotność, tak zdawałoby się nie do zniesienia i przeciwna samej naturze i nastrojom młodości, która jest towarzyska i ludziom rada, była na przekór przyrodzeniu czymś w istocie pożądanym, bliskim

⁹ *Dzienniki II*, s. 371.

¹⁰ W liście do Oktawii Żeromskiej z 30 kwietnia 1892, [:] J. Kądziela, op. cit., s. 16.

i swoim. „Lubiłem zawsze i zawsze samotność. Sam się sobie dziwię nieraz, jak mogłem tak wystarczyć sobie, jak mogłem obyć się zupełnie bez towarzystwa nie tylko rówieśników, ale nawet w ogóle ludzi”¹¹. Ich nieobecność wypełniała i zastępowała przyroda, dzika, nieoswojona, puszcząńska, długie i samotne włości po wertepach, rozpadlinach, wąwozach i pustkowiach puszczy jodłowej. Siadywało się nad strumieniami górskimi i słuchało godzinami, jak wartki, srebrzysty nurt wyrwa się z kamiennego łożyska, rozbija o głązy i ucieka w dolinę, i jak wierzchołkami stuletnich jodeł przepływa poszum wiatru. Ale chłonna, wrażliwa, młodzieńcza pamięć przyswajała nie tylko fizyczną urodziwość ziemi i nieba, obejmowała i ogarniała żarliwym, gorącym przywiązaniem całą przeszłość i historię tych stron, wszystko, co podają z wieku na wiek wspomnienia ludzkie i przekazy dziejowe, i wszystko, co dojrzeć można było w zasięgu oka, gdy się spoglądało ku dalekim, nadnidziańskim równinom z najwyższych wyniosłości rodzinnego pogórza. Żyły tu jeszcze w utajeniu stare, domowe bóstwa tego kraju, baśnie i podania, gusła i zabobony, wróżby i zaklęcia czarodziejskie, a legenda dziejowa i materialne relikty usiłowań i trudów ludzkich przywoływały z odmętu zapomnianego czasu nazwy i imiona królów i władców, książąt i potężnych biskupów, co wznosili tu grody i zakładali miasta, dźwigali zamki i podniebne kolegiaty, nieśli w te pustkowia nowe prawa i wierzenia lub po wiekopomnych swych pracach szukali w tych ustroniach wytchnienia i odpoczynku.

Żeromski należał do tego gatunku twórców, dla których konstytucjonalnym warunkiem literackiej efektywności i powodzenia bywa organiczne niejako, najgłębsze i absolutne przyswojenie i przeżycie przedmiotu. Sprawą, problemem, tematem i tworzywem, treścią i zawartością utworu stać się mogło to tylko, co zapisało się na trwałe w przeżyciu, w nerwach, w zmysłach, w tajnych, ustrojowych wzruszeniach. I choć Żeromski będzie później odkrywać i utrzymywać na kartach swoich utworów piękno również innych regionów i dzielnic kraju, i świata, to przecież do tej pierwszej i najbliższej swojej ojczyzny będzie powracać najczęściej, będzie opisywać jej urodę w nieskończoność, namiętnymi i ekstatycznymi słowami miłości. Tu więc przeżywać będzie powieściowe swoje dramaty i uniesienia większość bohaterów i bohaterek jego utworów: Borowicz i „Biruta”, Raduski i pani Marta z *Promienia*, Rafał Olbromski tu będzie polować z wujem Nardzewskim i tędy od gór ku Wiśle rwać będzie kulię przez sandomierską nizinę; tutaj, nad „wierną rzeką” Łośną, przeżyją swój miłosny dramat panna Salomea Brynicka i księżę Józef Odrowąż, Tatiana i Rozłucki z *Urody życia* wyznaczą sobie pierwsze spotkanie w kieleckim parku i na przekór prawdopodobieństwu artystycznemu Cezary Baryka, urodzony pod Uralem, a wychowany nad Kaspijskim Morzem, który nie znał innego krajobrazu jak groźne, dzikie piękno kau-

¹¹ Ibid.

kaskich gór, egzotycznej przyrody i południowego klimatu, będzie się czuł zupełnie nieoczekiwanie w nizinnym, nadnidziańskim smugu polskiej, pańsko-chłopskiej Nawłoci jakby w najbardziej własnym, swojskim środowisku. „Wszystko było [...] jak za dni minionego dzieciństwa [...] Każdy pagórek albo wąwozik, który mijano, był od razu, od spojrzenia jakiegoś swój, bliski, nieodłączny”¹².

Dzieciństwo i młodość Żeromskiego przypadły na jedną z najbardziej ponurych epok naszej historii porozbiorowej¹³. Jesień roku 1864 była porą agonii dogasającego, przegranego powstania. Region kielecki w epopei powstańczej lat 1863 i 1864 odegrał rolę szczególną. Tu walka rozgorzała najwcześniej i najdłużej przetrwała, i tu był plac wyjątkowo krwawych i zażartych bojów. Złożyło się na taki właśnie układ i przebieg zdarzeń kilka obiektywnych powodów. A więc przede wszystkim ta właśnie połać Kongresówki miała najdogodniejsze położenie strategiczne. Opierała się z trzech stron o prowincje polskie w zaborach austriackim i pruskim, a zatem z trzech stron granice jej wydawały się zabezpieczone przed kontrolą rosyjską. Co prawda, rząd berliński okazał od początku skwapliwą solidarność z caratem, nie mniej upłynęło przecież trochę cennego czasu, zanim zdecydował się wprowadzić w przygranicznych regionach stan obłężenia. Od strony galicyjskiej strzegły kordonu garnizony węgierskie, Polakom raczej przychylnie. Były zatem zabezpieczone niejaki możliwości kontaktów z zagranicą, dopływ ludzi i broni. Południowo-zachodnie rubieże Królestwa należały również do okręgów kraju najsilniej zurbanizowanych i uprzemysłowionych. Najwięcej było tu miast i miasteczek, a ludność miejska, rzemieślnicza i wyrobnicza, żyjąca od lat w atmosferze niechęci i wewnętrznego oporu wobec władzy zaborczej, solidaryzowała się od dawna z podziemnymi kołami polskiej irredenty i z chwilą wybuchu walki zbrojnej poważnie zasilila jej szeregi¹⁴. Zwłaszcza powiaty i osiedla górnicze i fabryczne dały wielu doskonałych żołnierzy.

Okolice, z których pochodził Żeromski, stanowiły wyjątkowo dogodny teatr wojny partyzanckiej. Świętokrzyski masyw górski był z przyrodzenia niejako naturalną fortecą. Teren silnie pofałdowany, pocięty głębokimi jarami, dolinami potoków i strumieni, porośnięty gęstym lasem, przechodzącym miejscami w głuche, puszczańskie ostępy, był doskonałym schronieniem dla oddziałów powstańczych. Tutaj przeto najdłużej toczyła się owa wojna ruchoma, której przewodzili głośni i sławni dowódcy powstania: Langiewicz, Czachowski, Chmieliński, Hauke-Bosak i inni. Działania bojowe toczyły się w bezpośrednim sąsiedztwie Ciekot i Strawczyzna i je-

¹² S. Żeromski, *Przedwiośnie*, Warszawa 1946, s. 149.

¹³ Zob. S. Piółun-Noyszewski, op. cit.; A. Hutnikiewicz, *Stefan Żeromski*, Wyd. 7, Warszawa 1973; tenże, *Wstęp do Wyboru opowiadań S. Żeromskiego*. Wrocław 1971, Bibl. Narod. S. I, Nr 203.

¹⁴ Zob. S. Kieniewicz, *Rozwój polskiej świadomości narodowej w XIX w.*, [w:] *Historyk a świadomość narodowa*, Warszawa 1982, s. 66.

szcze w latach dzieciństwa i chłopięctwa przyszłego pisarza wszędzie można było napotkać widome ślady i pamiątki niedawnych zdarzeń. Stały jeszcze przy drogach stare gospody i austerie połupane od kul i szerniały od dymu, a dorastający młodzieniec zwiedzał górskie pustkowia tymi samymi tajemnymi, sobie tylko wiadomymi drożynami leśnymi, którymi jeszcze tak niedawno przemykali się ostatni bojownicy powstania, ostrze- liwując się nagonce zwycięskiego najeźdźcy. Pamięć owych wydarzeń przedła się we wspomnieniach ludzkich, żyła w klechdzie domowej, w opowiadaniach rodziców i powinowatych. Zasnuła życie ciężkim, tłó- czącym smutkiem.

Rodzina Żeromskich była bezpośrednio zamieszana w te wydarzenia. Wincenty Żeromski wspomagał dość aktywnie przygotowania powstań- cze, dom jego użyczał potajemnie schronienia gościom z lasu, a on sam opłacił te „niewłaściwe” w oczach władz sympatie kilkutygodniowym więzieniem. W sąsiadującej z Ciekotami Rudzie Zajązkowskiej, gdzie mieszkała rodzona siostra Wincentego Żeromskiego Józefata Janowa Sa- ska, rozegrała się jedna z owych przejmujących tragedii, z których skła- dała się nasza narodowa historia doby porozbiorowej. Trzech młodych Saskich zaciągnęło się do powstańczych szeregów. Najmłodszy z braci, szesnastoletni Gustaw, rozsiekanym został szablami przez podjazd nieprzy- jacielski w czasie potyczki pod Seceminem. Jest w *Wiernej rzece* taki epi- zod, w którym opisuje Żeromski, jak to po powrocie do dworu w Niezdo- łach właścicielki tego folwarku pani Rudeckiej, obydwie z Salomeą, za- brały się do wiosennych porządków. Wynoszono do ogrodu glucho zawar- te kufry, wywlekano ich zawartość, rozwieszano na słońcu.

Pracowały żwawo — opowiada narrator — i było im wesoło od tej czynności. Ale oto pani Rudecka weszła do mieszkania i długo nie nadchodziła. Wtem młoda panna usłyszała z głębi domu spazmatyczny krzyk. Pobieгла. Szukała wpadając z po- koju do pokoju. W kącie jadalni — dużej izby przy kuchni zastała panią Rudecką siedzącą na ziemi, za szafą. Nieszczęśliwa matka znalazła w szufladzie ubranko dzie- cięce Gucia — syna rozsiekanego w powstaniu. Schwyciwszy dawną kurteczkę ze złó- cistymi guzikami między zawarte w krzyż ramiona przycisnęła ją do piersi i siedząc w kucki na ziemi kołysała się tam i nazad, ślepa, głucha, nieprzytomna z boleści.¹⁵

Z ust tejże ciotki Józefaty usłyszał młody Żeromski tragiczną historię nieszczęśliwej miłości Anieli Lubowieckiej i Jana Połubińskiego, który ciężko ranny pod Małogoszczem, podobnie jak powieściowy książę z *Wier- nej rzeki* dowłókl się ostatkiem sił do dworu w Rudzie i tu znalazł ratu- nek i troskliwą opiekę. Takich i tym podobnych historii krążyło wiele w okolicy. Nie było dworu szlacheckiego, którego by choć w pośredni spo- sób nie dotknęły następstwa tragicznej klęski. Tak zatem rósł i dojrzewał Żeromski w cieniu prawdy i legendy powstania, w napięciu owej dzisiaj już nie łatwej do zrozumienia egzaltacji narodowej, która mężczyzn za-

¹⁵ S. Żeromski, *Wierna rzeka*, Warszawa 1948, s. 125.

mykała w milczącej, zaciętej nienawiści, kobietom nakazywała przywdziawać czarne suknie na znak wiecznej żaloby i budowała mur nieprzebytej obcości i absolutnej izolacji między społeczeństwem autochtonicznym a przedstawicielami władzy obcoplemiennej. Osnute aurą nieugiętego bohaterstwa dzieje niedawnego powstania staną się już w niedalekiej przyszłości niewyczerpanym źródłem twórczej inspiracji, dostarczając pomysłów i motywów wielu najświetniejszym dziełom pisarza.

Po klęsce powstania styczniowego nastąpiły dla Królestwa Polskiego najcięższe lata. Zniesione zostały wszelkie formy lokalnego samorządu i autonomii, nawet nazwę zmieniono, zastępując w potocznym, administracyjnym słownictwie nomenklaturę oficjalną określeniem „kraj przywiślański”. Polacy jako naród mieli przestać istnieć. Cały kraj oddany został na łup samowoli i absolutnego bezprawia administracji zaborczej, nie skrepowanej żadnymi ograniczeniami w swym bezwzględny, brutalnym samowładztwie. Szczególnie ponurym wspomnieniem zapisały się rządy generał-gubernatora Józefa Hurki i osławionego kuratora warszawskiego okręgu naukowego Aleksandra Apuchtina jako wyjątkowo konsekwentnych i systematycznych tępiciele polskiego życia narodowego.

Okres popowstaniowy to zarazem epoka ostatecznej likwidacji zagadnienia polskiego jako przedmiotu gry dyplomatycznej. Klęska Francji w wojnie z Prusami i narodziny zwycięskiej Rzeszy bismarckowskiej, niepowodzenia Austrii w rywalizacji z Niemcami i osłabienie jej pozycji w koncercie mocarstw, na koniec sojusz liberalnej Francji z autokratyczną Rosją; wszystko to na przestrzeni lat kilkunastu wyeliminowało definitywnie tzw. kwestię polską z porządku polityki europejskiej, redukując ją do sprawy wewnętrznej państw rozbiorowych. Fakt ten w połączeniu z nastrojami prostracji i przygnębienia, jakie ogarnęły społeczeństwo polskie po przegranej powstania, stworzył wyjątkowo przychylny klimat dla ostatecznego sformułowania i upowszechnienia w szerokich kręgach społeczności narodowej zasad i programu politycznej ugody z władzą zaborczą. Głównym eksponentem i organizatorem tej orientacji był wychodzący poza granicami Królestwa, ale bardzo poczytny i wpływowy na ziemiach etnicznie polskich petersburski „Kraj”. Zręcznie redagowany przez Erazma Piltza, przy aktywnym udziale takich luminarzy konserwatyzmu polskiego jak Włodzimierz Spasowicz czy syn margrabiego Zygmunt Wielopolski, stał się rychło wykładnikiem opinii politycznej wszystkich trzech zaborów, nadając stronnictwom ugodowym wprawdzie nieformalną, ale faktyczną, rzeczywistą organizację międzyzaborową.

Program stronnictw ugody sprowadzał się do lojalnej współpracy żywiołów polskich z władzą zaborczą w ramach obcej państwowości. Wychodząc z założenia absolutnej iluzoryczności jakichkolwiek nadziei niepodległościowych na dziś i jutro, obóz ugody w istniejącym układzie sił politycznych nie dostrzegał żadnej innej realnej dla Polaków alternatywy poza polityką rezygnacji i skromnego, legalnego działania organicz-

nego na rzecz społecznego i gospodarczego rozwoju Polski. Mimo reakcyjnych i szowinistycznych rządów w Królestwie „Kraj” konsekwentnie nawoływał do bezwarunkowego przyjęcia państwowości rosyjskiej, do lojalności bez zastrzeżeń, przestrzegał, by na lepsze czasy nie czekać, warunków żadnych nie stawiać. Potępiał burzącą się na uniwersytetach młodzież, okładał bezwzględnie anatemą całą działalność emigracji, wszystkie ruchy wolnościowe i rewolucyjne w dawnej i niedawnej przeszłości. Nie była to już zatem ugoda, lecz raczej abdykacja zupełna, „obraz społeczeństwa doprowadzonego do atonii politycznej, lękającego się cienia myśli samodzielnej”¹⁶.

Ta polityka oportunistyczna w połączeniu z ostrym kursem rządowym zdawała się potwierdzać przekonanie biurokracji i administracji rosyjskiej, „że bicz jest najlepszym wychowawcą Polaków”¹⁷.

Dwunastoletnie rządy [...] gen. Hurki — pisał w r. 1897 naczelnik głównej kancelarii żandarmskiej, osławiony Margrafski, pionier „nowej polityki” wabienia cukrem i potrząsania batem — dowiodły prawidłowości tej opinii. Pod koniec tego okresu inteligencja polska najwidoczniej zmieniła swój stosunek do Rosji. Wszelkie rozporządzenia władzy rosyjskiej były wykonywane bezopozycyjnie, bez wykrętów i sami Polacy — przynajmniej tak mówili — dążyli do ujawnienia swego do tronu przywiązania [...] Zdawało się, że bliska im jest chwila, gdy wielu przejdzie otwarcie do obozu rosyjskiego.¹⁸

Nastroje podobne szerzyły się również w innych zaborach. Księżę Ferdynand Radziwiłł, jeden z przywódców obozu konserwatywnego w Poznaniu, podkreślając prawo narodu do samodzielnego rozwoju interpretował je przecież zgodnie z duchem wiernego i lojalnego bez zastrzeżeń legitymizmu: „Każdy Polak powinien lojalnie spełniać swoje obowiązki względem państwa, do którego politycznie należy”¹⁹ i tylko na tym gruncie możliwa jest praca narodowa. A Wojciech Dzieduszycki z obozu konserwy galicyjskiej, deklarując niezłomne i niezachwiane przywiązanie do państwa i tronu, odżegnywał się zarazem gwałtownie od samej nawet możliwości pomówienia jego politycznych przyjaciół o jakąś myśl śmielszą, niezależną: „Polityka nasza w tym państwie jest odpowiedzią na wszystkie oszczerstwa przeciw nam miotane, jakobyśmy byli narodem hołdującym jedynie polityce nierozumnej, polityce fantastycznych knowań i wywracania wszystkiego na świecie”²⁰.

Zatraciło się zatem w tym okresie wyraźnie poczucie państwowego ideału Polski. Idea niepodległości znalazła się w stanie całkowitej atrofii, stała się niejako mitem. Nic więc dziwnego, że i osiemnastoletni Żeromski

¹⁶ W. Feldman, *Dzieje polskiej myśli politycznej 1864 - 1914*. Wyd. 2, Warszawa 1933, s. 167.

¹⁷ *Ibid.*, s. 169.

¹⁸ *Ibid.*

¹⁹ *Ibid.*, s. 177.

²⁰ *Ibid.*, s. 194.

zapisze w którymś miejscu swego intymnego dziennika zdumiewająco „trzeźwe” i „rozsądne” refleksje:

Zadne głupie [...] myśli o powstaniach [...] Jeżeli zaś teraz rzucać się będziem z motyką na słońce, zwiążą nas, zabiją trzy sępy w cesarskich koronach i do trupiarni umarłych wrzucą narodów [...] Milczeć, czekać i uczyć się [...] Gdy przyjdzie pora — rzucić się w ten wir, z którego ma wyjść przyszłość szczęśliwa, ale teraz nawet do wallenrodyzmu, do lizania nóg Moskalom posunąć się musim, karku ugiąć musim.²¹

A w parę dni później, po „zasadniczej” rozmowie z umiłowanym mistrzem i nauczycielem, ujmie wnioski owej rozmowy w szereg nakazów i dyrektyw postępowania tyleż prostych, co niepokojąco ostrożnych i przeźrażliwie wyważonych: „Milczeć, czekać, pracować, nie mieszać się do świata, iść swoją drogą, przyklaskiwać postępowi, trzymać się gruntu realnego! Pamiętać, że dwa a dwa — to cztery, że łokieć większy od cala”²².

Młody Żeromski wyzwoli się na szczęście dość szybko z niebezpiecznych pułapek i zasadzek tego konformistycznego oportunisty i to, co w swej młodzieńczej naiwności skłonny był uważać za wyraz politycznej mądrości i dojrzałości, odsłoni mu się niebawem jako dość licha sofisterya. Niemniej owe skrajne poglądy i gwałtowne wahania błąkających się myśli uświadamiają wymownie cały tragizm i dramatyczność sytuacji ideowej, w jakiej przyszło dojrzewać nieszczęsnemu pokoleniu pogrobowców powstania.

Czasy popowstaniowe z jeszcze jednego powodu stały się w historii porozbiorowej epoką wyjątkowo doniosłą i przełomową. Jednym z pierwszych aktów prawnych powstańczego Rządu Narodowego był dekret o uwłaszczeniu chłopów. Manifest uwłaszczeniowy nie doczekał się co prawda nigdy pełnej realizacji ze zrozumiałych względów, skoro władza powstańcza rozciągała się tylko nad częścią terytorium Królestwa i skoro okazał się on ostatecznie wydarzeniem przejściowym. Niemniej następstwa polityczne i moralne tego aktu były olbrzymie. Był przede wszystkim wyrazem zrozumienia ważności kwestii włościańskiej, której rozwiązanie zapewniało walce wyzwoleniczej narodu oparcie w najliczniejszej warstwie społecznej. Był decyzją, której już niepodobna było cofnąć i której nie mógł zignorować nawet rząd zaborczy; toteż już w r. 1864 ogłoszono cztery ukazy uwłaszczeniowe dla prowincji polskich, normujące stosunki między własnością chłopską a szlachecką tego obszaru na zupełnie odmiennych niż dotychczas podstawach. Realizując tym sposobem jakby program ideowy powstania administracja carska kierowała się oczywiście własnym rachunkiem i strategią polityczną. Ukazy uwłaszczeniowe miały przede wszystkim dzielić i rozbić solidarność narodową Polaków; z jednej strony zjednywać chłopstwo dla idei państwowości ro-

²¹ Dzienniki I, s. 148 - 150.

²² Ibid., s. 158.

syjskiej, z drugiej podciąć polityczne i ekonomiczne podstawy egzystencji ziemiaństwa polskiego jako warstwy będącej stałym siedliskiem „buntów” i niebezpiecznych dla caratu aspiracji narodowych.

Dla tysięcy rodzin szlacheckich ukazy uwłaszczeniowe stały się początkiem katastrofy społecznej i majątkowej. Skończyła się gospodarka pańszczyźniana oparta na niefrasobliwej eksploatacji chłopskiej siły roboczej. Darmową ongiś robocizną trzeba było teraz gotowym groszem lub w naturze opłacać. Przewrót gospodarki na zupełnie odmienny system produkcji wymagało nie byle jakich uzdolnień przystosowawczych, które ziemiaństwo polskie na skutek wiekowego bezwładu i biernego przywiązania do archaicznie tradycyjnych form gospodarzenia ujawniało w zakresie raczej znikomym. Przyszły więc nieuchronnie czasy wielkich bankructw i powolnego odpływu „wysadzonych z siodła” eks-właścicieli i posesjonatów do miast i miasteczek, do szeregów półinteligentkiego proletariatu. Utrzymali się przy własnej ziemi tylko najsilniejsi ekonomicznie, a na skutek rozproszenia się i katastrofy owej warstwy pośredniej wyostrzyły się jeszcze wyraźniej dysproporcje między poziomem życia pańskiego dworu a uwłaszczoną i wolną formalnie wsią. Ukazy uwłaszczeniowe tylko bowiem w bardzo nieznacznym stopniu polepszyły sytuację i stan posiadania warstwy włościańskiej. Zwłaszcza w okolicach, z których wywodził się Żeromski, wszystko pozostało niemal jak dawniej. Ziemia była tu nieurodzajna i kamienista, klimat chłodny i surowy, więc i zasiewy co delikatniejszych zbóż często marniały. Własność chłopska przedstawiała się ponuro, jej rozdrobnienie w tej szczególnie ubogiej połaci kraju osiągało stopień najwyższy. Na karłowatych gospodarstwach, na ziemi jałowej i nieużytecznej chłop ledwo mógł się utrzymać, na przednówku widmo głodu pojawiało się jak dawniej, zależność od łaski dworu wydawała się nawet większa niż kiedykolwiek.

Przyszły pisarz mógł obserwować owe nabrzmiałe boleśnie zawężlenia antynomii społecznych w bezpośrednim środowisku rodzinnym i w niedalekiej już przyszłości w czasie wieloletnich guwernerskich wędrówek. Gospodarka ubogiego w istocie i skromnego dzierżawcy potykała się ciągle o rosnące z każdym rokiem trudności. Gdy wyniki nie odpowiadały podstawowym i elementarnym potrzebom, szukało się wyjścia z sytuacji w zmianie miejsca, w lepszych warunkach dzierżawnego kontraktu. Ale wszędzie wymagania były jednakie. Oczywiście w latach swego dzieciństwa chłopiec owych trudności życia w domu i poza domem jeszcze nie odczuwał i nie rozumiał, jeszcze ochraniały go przed nimi niewiedza i nieświadomość dziecka, miłość rodziców i rodzeństwa, służby i domowników. Ale już na przedprożu lat młodości, zwłaszcza po przedwczesnym odejściu matki, w miarę jak Wincenty Żeromski coraz poważniej zapadał na zdrowiu i coraz słabszą ręką dzierżył ster spraw gospodarskich, w dom Żeromskich wkładać się powoli zaczęły troska i bieda. Dzierżawione przez Żeromskich Ciekoty należały do majoratu



generała Aleksandra Dobrowolskiego, którego plenipotentem był kolega jego z czasów służby wojskowej Wojciech Ostrowski. Bywając często w Ciekotach po odbiór rat dzierżawnych od Wincentego Żeromskiego syn Wojciecha, Adam Ostrowski, wspominał owe dobrze sobie znane Ciekoty jako „najgorszy folwark w majoracie: z całego dwustomorgowego obszaru obsiewano” zaledwie „coś trzydzieści morgów, reszta ziemi były to mokre pastwiska, gdzie chłopci pasali swoje bydło płacąc Żeromskiemu od każdej sztuki”²³. Same dworskie zabudowania „były stare, nędzne, krzywe, zaniedbane”, w obszernej kuchni rezydowały pospół w bezpośrednim sąsiedztwie ludzi cielecia, kaczki i gęsi. „Powietrze było tam okropne”²⁴. W Ciekotach prawdziwie piękna, godna podziwu i zachwyty była tylko przyroda. Ale pośród tej wspaniałej natury, która tak zachwycała wyobraźnię chłopca, egzystowała jednocześnie i przypominała z każdym rokiem coraz natrętniej o swym istnieniu rzeczywistość inna, będąca wobec tych cudownych widoków ponurym i wstrząsającym dysonansem: stary dom, chylący się przemożnie ku nieuniknionej zagładzie, nędzne chałupy i lepianki chłopskie, straszna ciemnota, cherlactwo i degeneracja ich mieszkańców, smutne i nieufne spojrzenie wiecznie głodnych dzieci. Było to zaledwie mgliste i niejasne przecucie prawdy. Niemniej już wtedy, u progu lat młodzieńczych dokonało się to wstrząsające odkrycie dwoistości życia. W jasnym i niezmaconym obrazie świata pojawiły się pierwsze, niepokojące cienie. Z tych chłopięcych i młodzieńczych doświadczeń weźmie podniętą zasadniczą orientację, podstawowy kierunek, skłonność, tendencja przyszłych dzieł Żeromskiego — ich rzetelny, prawdomówny, wstrząsający realizm.

Dnia 9 sierpnia 1874 r. wpłynęło do kancelarii gimnazjum kieleckiego następujące podanie:

Wielmożny Pan Dyrektor Kieleckiego Męskiego Gimnazjum.

Mieszkanka wsi Ciekoty, powiatu kieleckiego, Józefa Żeromska.

Chcąc dać możliwość uczenia się mojemu synowi, Stefanowi Żeromskiemu, w powierzoną Pańskiej pieczy zakładzie naukowym, mam honor najskromniej prosić Pana o polecenie przeegzaminowania go, oddania oględzinom lekarskim i przyjęcia do tej klasy, do której według swych zdolności i wieku jest odpowiedni [...]”²⁵

We wrześniu tegoż roku został Żeromski przyjęty do klasy wstępnej. Stan faktyczny szkolnictwa elementarnego i średniego w byłym Królestwie zdeterminowany był przez podejmowane kolejno w okresie powojennym decyzje i zarządzenia władz, zmierzające do nadania całemu systemowi wychowawczemu funkcji sprawnego instrumentu „odpolszczenia” i naginania umysłów w stronę form myślenia „wielkoruskiego”. Historyk oświaty i szkolnictwa tamtych lat Antoni Karbowski w pracy wy-

²³ Zob. J. Kądziela, op. cit., s. 16.

²⁴ Ibid., s. 15.

²⁵ Stefan Żeromski. *Kalendarz...*, s. 19.

danej w r. 1907 pt. *Rusyfikacja i bojkot szkół w Królestwie Polskim*²⁶ wskazywał dla porównania na fakt nader znamieny, że o ile w Norwegii w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia jedna szkoła przypadała na 250 mieszkańców kraju, to w tym samym czasie w Królestwie Polskim jedna szkoła przypadała na 3200 mieszkańców wsi i na aż 4000 mieszkańców miast. W takich warunkach w zastraszający sposób szerzył się analfabetyzm, a Królestwo Polskie, obok Syberii, dostarczało najniższego w całym carskim imperium procentu poborowych umiejących czytać i pisać²⁷.

Szkolnictwo średnie, na modłę rosyjską przekształcone, stało się karykaturą szkoły jako podstawowy instrument antypolskiej polityki eksterminacyjnej rządu. Zgodnie z wnioskiem specjalnego Komitetu dla spraw Królestwa z r. 1869 i w myśl jednolitej ustawy szkolnej z r. 1872 w kieleckim gimnazjum Żeromskiego językiem wykładowym był już wyłącznie język rosyjski. W murach szkolnych nie wolno było się odezwać głośno po polsku. Naukę języka ojczystego, jedyne ustępstwo władz wobec uprawnionych aspiracji ujarzmionego narodu, zepchnięto zdecydowanie na ostatni plan, zgodnie z poufnymi dyrektywami kuratora Apuchtina, zalecającymi przesuwanie tego przedmiotu na godziny dla młodzieży najmniej dogodnie i zachęcające niejako, aby lekcje te jak najczęściej opuszczać. Nauka ograniczała się do tłumaczenia tekstów polskich na rosyjski, a literaturę i gramatykę polską objaśniano również wyłącznie w obowiązującym języku urzędowym. Posługiwano się podręcznikami Gruszeckiego oraz wypisami Dubrowskiego i Wierzbowskiego, wypreparowanymi starannie z wszelkich tekstów i treści — z punktu widzenia interesów zwierzchności i ogólnego celu wychowawczego — podejrzanych i niebezpiecznych. W r. 1879 za zachętą władz wyższych rada pedagogiczna gimnazjum kieleckiego powzięła postanowienie zaostrzenia kontroli nad zachowaniem się młodzieży w godzinach pozalekcyjnych, a w roku następnym dołożenia szczególnych starań dla uzyskania jak najlepszych wyników w nauczaniu języka i literatury rosyjskiej. Oznaczało to w praktyce ożywienie się gwałtowne nadzoru nad stancjami i nad życiem pozaszkolnym młodzieży ze strony tzw. pomocników klasowych i wychowawców, rozciągnięcie sieci szpiegostwa i nieomal policyjnej inwigilacji, a w zakresie nauki dodatkowe lekcje niedzielne po nabożeństwie szkolnym i pod osobistym nadzorem inspektora gimnazjalnego. Apuchtin chwalił się publicznie, iż szkoła rosyjska w Królestwie doprowadzi rychło do tego, że matki Polki nad kołyską swych dzieci nucić będą pieśni rosyjskie²⁸.

Olbrzymią rolę w tym systematycznym „obrusienju” odgrywało nauczanie historii. Obowiązywały w nim jako jedyne usankcjonowane i dopu-

²⁶ „Muzeum” 1907, s. 435.

²⁷ Zob. W. Słodkowski, „Szyfrowe prace” Stefana Żeromskiego. Studium monograficzne, Wrocław 1966, s. 76.

²⁸ Ibid., s. 55.

szczalne źródło „wiedzy” i „prawdy” osławione podręczniki Dymitra Iłowajskiego, szowinistycznie napastliwe wobec wszystkich nierosyjskich narodowości państwa i służalczo skwapliwe w upowszechnianiu urzędowej wykładni dziejów imperium wielkorosyjskiego. Społeczeństwo przyzwyczajało się niepostrzeżenie do istniejącej sytuacji, nie zdając sobie sprawy z groźnych następstw tej uległości. Zygmunt Wasilewski, ówczesnie uczeń i wychowanek tejże samej szkoły kieleckiej, pisał po latach w związku z nastawieniem i powszechnymi nastrojami olbrzymich odłamów społeczeństwa polskiego: „urodziliśmy się już w obroży, rosyjskość nauki i Rosjan traktowało się jak rzecz naturalną”²⁹.

Polityka oświatowa Rosji w Królestwie Polskim nie ograniczała się przecież do bezwzględnej, administracyjnie forsowanej rusyfikacji, w szkole i poprzez szkołę wytworzyła ona z czasem swoisty obezwładniający mechanizm otępienia umysłowego³⁰. Zadaniem do wykonania było nie tylko „odpolszczenie”, ale i utrzymywanie umysłów w stanie bezwładu, paraliżowanie w załączku jakichkolwiek odruchów myśli samodzielnej. Tryb nauczania oparty był wyłącznie na metodzie pamięciowej. Na poziomie elementarnym sprowadzało to naukę do mechanicznej repetycji słów i form gramatycznych obcego języka, bez głębszego rozumienia sensu i istoty owych mądrości i treści tym sposobem przekazywanych. Nie kończące się dukanie słówek wywoływało nieuchronnie stan umysłowego znużenia i otępienia, przekreślało samą możliwość i gotowość psychiczną ucznia do bliższego zajęcia się serio czymkolwiek. Na poziomie gimnazjalnym kurs na „ogłupienie Polaków” wyrażał się w programowych przerostach materiału faktograficznego, przyswajanego „na siłę”, oraz na daleko idącym sformalizowaniu zdobytych tym sposobem umiejętności. Gimnazjum kieleckie było szkołą klasyczną, z nauką greki i łaciny jako przedmiotów podstawowych. Ten typ wykształcenia, dość powszechny w Europie ówczesnej i nie pozbawiony istotnych wychowawczych walorów ze względu na swe treści humanistyczne, w praktyce szkolnictwa rosyjskiego uległ jednakowoż deformującemu skostnieniu i skrzywieniu na skutek zdecydowanej preferencji w samym procesie nauczania czysto lingwistycznych umiejętności ucznia, przy jednocześnie zupełnej redukcji ideowych i artystycznych treści przedmiotu. Schematyzm i werbalizm panowały zresztą totalnie nad całym systemem wychowania szkolnego, nadając tej dydaktycznej procedurze charakter czynności obiektywnie jałowej, martwej i nudnej. Młodzież ratowała się przed ostatecznym zgłupieniem samodzielną, zakazaną lekturą, ale zwierzchność szkolna trzymała się konsekwentnie obranej drogi. Miała jej zapewnić efekt finalny edukacji: maksymalne

²⁹ Z. Wasilewski, *Życie umysłowe przed maturą*, „Pamiętnik Koła Kielczan” 1928, s. 46.

³⁰ Zob. A. Hutnikiewicz, *Wstęp do Szyzyfowych prac S. Żeromskiego*, Wrocław 1973, Bibl. Narod. S. I, Nr 216.

przytępienie zdolności do samodzielnego, krytycznego myślenia, odcięcie myśli wychowanków od świata rzeczywistych stosunków i zależności.

Kielce, w których jesienią r. 1874 pojawił się młodociany Żeromski, choć stolica guberni, były jednakże zaniedbaną, nędzną, prowincjonalną miejsciną, chaotycznie zabudowaną przeraźliwymi ruderami wśród błotnistych uliczek i odkrytych rynsztoków. Były przecież siedzibą urzędu gubernialnego, funkcjonował tu teatr, czynne były szkoły — katolickie seminarium duchowne, ośmioklasowe męskie gimnazjum filologiczne i sześcioklasowa prywatna szkoła średnia Hermana Hillera z internatem, aż dwie pensje dla dziewcząt, działały dwie księgarnie, wychodziła nawet „Gazeta Kielecka”, choć tylko dwa razy w tygodniu. W r. 1885 ukończono odcinek drogi żelaznej prywatnej wówczas kolei iwangrodzko-dąbrowskiej, dzięki czemu Kielce uzyskały połączenie z Dęblinem, a pośrednio z Warszawą. Dla przybysza z samego najgłębszego odludzia pośród Gór Świętokrzyskich dwunastotysięczna aglomeracja miejska mogła się wydawać oszałamiającą, wielkoświatową metropolią. Chłopiec zamieszkał zrazu u swej ciotki Matyldy Saskiej. Początkowe miesiące były trudne. Cichy, nieśmiały, młodociany adept gimnazjalny czuł się nieswojo w nowym środowisku, wśród młodzieńczo rozhukanych i wesołych koleżków odczuwał silniej swą samotność i obcość. Wrastanie w nieznaną krąg rzeczy i ludzi odbywało się powoli i nie bez oporów, przyjaźnie zawiązywało się ostrożnie i nieśmiało. Przy każdej szczęśliwej sposobności uciekało się do domu, do rodziców i sióstr, w niezapomniane, wiejskie, rodzinne pejzaże świętokrzyskie. Bardzo niedostateczne przygotowanie naukowe, wyniesione z wiejskiej szkółki w Psarach, odbiło się rychło na wynikach w pracy uczniowskiej, były najwyraźniej niezadowolające. Przyszły pisarz rozpoczynał więc swoją gimnazjalną edukację od deprymujących powtórek klasy pierwszej i drugiej.

Szkoła kielecka nie różniła się niczym szczególnym od innych zakładów tego typu. Miała świetne tradycje, w starych murach z r.1727 uczyli się ongiś Piotr Ściegienny i Bolesław Prus, uzyskali tu maturę Roman Pleniewicz, Adolf Dygasiński, Florian Łagowski, Mściśław Godlewski i Teodor Wierzbowski³¹. Ale po upadku powstania niewiele z tej tradycji zostało. Wśród nauczycieli kieleckich przeważali Polacy, ale rządy w szkole należały do Rosjan. Zajmując wszystkie kluczowe stanowiska administracyjne powołani byli niejako już z samego urzędu oraz z racji wyjątkowej pozycji w tym obcym kraju do strzeżenia „praworządności” i czuwania nad kierunkiem wychowawczym zakładu. Był to materiał ludzki raczej dość późny; carat wyrzucał na te skrajne obrzeża swego imperium najlichszą zbieraninę dziwaków, oryginałów, niedouczeńców, od których wymagano jedynie zajadłej skwapliwości w realizowaniu wielkiej misji dziejowej zbawiania całego świata wedle modły rosyjskiej.

³¹ Zob. J. Kądziała, op. cit., s. 28.

Dyrektorem gimnazjum kieleckiego był podówczas niejaki Siewierian Januaryjewicz Woronkow, nauczyciel języków starożytnych, osobistość o manierach prostackich, gburowatych, nieokrzesany, brutalny impertynent, ze szczególną satysfakcją besztający wobec uczniów profesorów Polaków. Mimo skwapliwej gorliwości administratorem był kiepskim. Karność i rygor w kieleckiej społeczności gimnazjalnej za rządów Woronkowa były bardziej pozorem niż realną i sprawdzalną rzeczywistością.

Figurą karykaturalną, jakby z panoptikum prowincjonalnych dziwaków i oryginałów wywiedzioną, był profesor języka i literatury rosyjskiej Mikołaj Sperański. Był synem „ojca duchownego” samej carowej, wyniósł z czasów młodości solidne, staranne wykształcenie, górował niewątpliwie swoim poziomem umysłowym nad przeraźliwą przeciętnością pozostałych pedagogów kieleckich, ujawniał się nawet nieraz w jego wykładach jakiś wyższy polot, lecz osiągane rezultaty były raczej mizerne, bo to, co mogło być ciekawe i pobudzające, gubiło się i nie docierało do świadomości wychowanków, stłumione i przesłonięte przez dziwną otoczkę niepowagi, w jakiej egzystował Sperański w gimnazjalnej społeczności. Roztargniony i zaniedbany, na pół przytomny oryginał, wiecznie ku uciesze gawiedzi uczniowskiej gmerający w uchu kawałkiem patyka wywleczonego z miotły, zupełnie nie potrafił panować nad zbiorowiskiem młodzieży, nie rozpoznawał uczniów, nie pamiętał nazwisk. Lekcje Sperańskiego były nieustającą widownią najdzikszych wybryków i brewerii.

Język i literaturę rosyjską wykładał również w klasach, których uczniem był Żeromski, niejaki Faustyn Kostecki, noszący od imienia i od nazwiska urobione i nadane mu przez młodzież przezwisko „Foka”. Eks-unita, „nawrócony” na prawosławie, libertyn, kpiarz, pijaczyna i karciarz, rozpoczął swoją karierę w „przywiślańskim kraju” od urzędowania w niesławnej pamięci komitecie do spraw włościańskich, swoistym instrumencie represji w stosunku do niedawnych uczestników „buntu polskiego”. Skierowany następnie do pracy „pedagogicznej” ujawnił się rychło jako gorliwy orędownik rozpląnięcia się Polski w „morzu słowiańskim”. Przyszły pisarz, a ówczesny uczeń, zapamiętał na zawsze jedno zwłaszcza z jego wystąpień na uroczystym obchodzie ku czci świętych Cyryla i Metodego, pełne pretensji i wyrzutów pod adresem „niepoprawnych”, co mimo tylu wezwań wciąż z uporem nie okazywali ochoty do skupienia się wokół wielkiej, świętej i niepodzielnej Rusi. Jak na ironię działo się to w sali portretowej zamku kieleckiego, w byłej rezydencji biskupów krakowskich. Wobec portretu Sołtyka, jednej z pierwszych ofiar carskiej samowoli i gwałtu, na rozkaz ambasadora rosyjskiego brutalnie porwanego i wywiezionego w głąb Rosji, śpiewano hymn na cześć kata i oprawcy Polaków:

„Boże, Cesarza chroń” — Siemiradzki ścisnął pięści — zanotuje Żeromski na gorąco, pod palącym jeszcze wstydem w swoim dzienniczku reakcje swych nauczycieli Polaków i kolegów, uczestników i świadków haniebnego obchodu — Bem patrzył

szklanym wzrokiem, Rybarski czerwienił się, prefekt był uroczysty, dumny, kamienny, gromadka nasza słuchała ze spuszczoneymi głowami, a stare portrety potęg polskich milczały.⁸²

Gorliwą pochopnością do znieważania uczuć narodowych swych podopiecznych wyróżniał się też spośród pedagogów kieleckich Aleksander Geisler, nauczyciel dziejów Rosji i historii powszechnej. W istocie nieuk, niezbyt mocny nawet w wykładanym przez siebie przedmiocie, odpytujący uczniów z nosem utkwionym w podręczniku, w rusyfikacyjnej skwapliwości starał się uzupełniać swe wykłady o stosunkach polsko-rosyjskich w XVIII w., i tak już sfalszowane do gruntu, tendencyjnie dobieranymi komentarzami, odczytywanymi z jakichś rzekomo obiektywnych, a w istocie spreparowanych w duchu wymagań polityki doraźnej „źródeł historycznych”. Żeromski, od młodości zapalony do „rzeczy polskich”, należał do niewielkiej gromadki uczniów, którzy jako lepiej od innych zorientowani zwłaszcza w historii swego kraju często oponowali gorąco przeciw kłamstwom i fałszerstwom nauczycieli-rusyfikatorów, szkalujących imię i przeszłość Polski. Tak więc już z lat szkolnych wywodziło się to szczególnie uczulenie przyszłego pisarza na najszerszej pojętą problematykę wolności i niepodległości jednostek i narodów. „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu”, karmiony w dzieciństwie i w młodości wspomnieniami niedawnej walki powstańczej, w ciągu wielu lat systematycznie znieważany w swej godności narodowej przez urzędowych rusyfikatorów, pedagogów kieleckich, uczestnik tajnych kółek uczniowskich, krzewiących wśród dojrzałszej młodzieży ideę walki wyzwolenczej, z idei tej uczyni od początku motyw pierwszy i naczelny przyszłej twórczości.

Wśród nauczycieli Polaków, którzy dwukrotnie przewyższali liczebnie Rosjan, nie było na ogół jakichś jednostek wybitniejszych. Jest wysoce znamienne, że ich ówczesny wychowanek, notujący w swym dzienniku tyle błahych wydarzeń z życia szkolnego, o nauczycielach i wychowawcach swoich nieomal milczy. Nie zapisali się widocznie w świadomości i pamięci młodzieńczej jakimś trwałszym, wyróżniającym się rysem umysłu czy postawy moralnej. Znalazła się wszelako garsteczka, która się przecieżyła ponad ową przeciętność i szarzyznę wzniosła. Nazwiska ich wymienił Żeromski w relacji z obchodów ku czci świętych Cyryla i Metodego. Tomasz Siemiradzki był najmłodszym profesorem gimnazjum, niewiele starszym od swych uczniów. Nauczyciel historii i języków klasycznych, od młodości zaangażowany głęboko w działalność patriotyczną, rolę swą i funkcję w szkole rozumiał jako pobudzanie młodych serc i umysłów w kierunku pracy nad ugruntowaniem polskości w sobie poprzez samokształcenie, studia nad historią i piśmiennictwem narodowym. Młodzieńczy wiek ułatwiał mu nawiązywanie bezpośrednich kontaktów ze starszymi uczniami, zdobywał bez trudności ich przyjaźń i zaufanie. Po wielu dziesiątkach lat, jako

⁸² *Dzienniki I*, s. 268.

zasłużony pedagog i organizator życia kulturalnego Polonii amerykańskiej w Chicago i Detroit, wspominał swego dawnego ucznia kieleckiego jako „młodzieńca z piętnem geniuszu na czole”, chociaż nie mógł wówczas przypuszczać, że aż „tyle w nim tkwiło”³³.

Drugą, niewątpliwie najwybitniejszą wśród kieleckich nauczycieli Żeromskiego, osobistością był profesor języka i literatury polskiej Antoni Gustaw Bem. Wychowanek warszawskiej Szkoły Głównej, kolega z lat akademickich Piotra Chmielowskiego i Aleksandra Świętochowskiego, sam badacz i krytyk literacki, próbował łączyć obowiązki pedagoga prowincjonalnej szkoły z ożywioną działalnością pisarską. Swoje rozprawy i rozbiory krytyczne publikował w naczelnym czasopiśmie epoki: w „Przeglądzie Tygodniowym”, w „Niwie”, w „Nowinach”. Jako człowiek był osobowością pełną sprzeczności i wewnętrznych powikłań. Fascynujący nauczyciel i porywający recytator poezji romantycznej był zarazem trzeźwym racjonalistą, pragmatykiem konkretnego działania w duchu organicznej „pracy u podstaw”. Gorący patriota i Polak i jednocześnie przeciwnik mesjanicznych iluzji, niewczesnych dążeń, zrywów powstańczych, konspiracji. Uczuciowiec, „nerwowiec” i szydlerczy libertyn, gubernialny ateusz, postępowiec, wolnomyśliciel — człowiek w istocie nieszczęśliwy w życiu domowym, rodzinnym, osobistym, strawiony przez prowincję, zatracający z wolna w tej codziennej mizerii życia dawne farysowe porwy i topiący coraz częściej w kieliszku smutek tej rozpaczliwej egzystencji bez nadziei i bez przyszłości. Z tym wszystkim wybijał się przecież jaskrawo wiedzą, kulturą i odwagą ponad otaczającą go przeciętność. Wdzięczny uczeń nazwie go po latach swoim nigdy nie zapomnianym dobroczyńcą duchowym, a ktoś inny z jego dawnych wychowanków napisze, że jeśli pokolenie kształcające się w gimnazjum kieleckim w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia zna swój ojczysty język wcale nie gorzej od tego szczęśliwszego, co już mogło korzystać z dobrodziejstw szkoły wolnej od brutalnych opresji, zawdzięcza to wyłącznie Bemowi. Na utalentowanym literacko uczniu poznał się szybko, wzajemnym stosunkom nadał z czasem odcień zaufanej, obustronnej przyjaźni, stając się patronem i powiernikiem pierwszych zamysłów twórczych Żeromskiego.

Indywidualnością nieprzeciętną, wyróżniającą się wśród otoczenia, był też zapewne długoletni prefekt kieleckiego gimnazjum ks. Teodor Czerwiński. Surowy, twardy, nieugięty, gdy szło o religijną gorliwość wychowanków, wśród których poddmuchy ateizmu czyniły dość pokaźne wyłomy, zjednywał przecież młodzież cywilną odwagą przeciwstawiania się zaborczym władzom, gdy rozporządzenia ich uważał za sprzeczne z jego własnym widzeniem rzeczy, śmiałością swoich kazań, pełnych patriotycznych aluzji, wyłącznym mówieniem w murach szkoły językiem polskim. W poglądach społecznych i moralnych ultramontanin i konserwatysta, w wyższych kla-

³³ J. Kądziela, op. cit., s. 35.

sach gimnazjalnych oddziałał na Żeromskiego przede wszystkim jako przeciwnik, prowokujący swą postawą niespokojną, poszukującą namiętnie myśl młodzieńczą. Świadomość ideowa przyszłego pisarza kształtować się będzie na przestrzeni lat kilku w ustawicznym dialogu z zachowawczymi poglądami księdza kanonika.

Początkowe lata nauki były trudne i nie zachęcające. Dwukrotne niepowodzenia, kończące się powtórką roku, nuda szkolnych lekcji, na których nic się nie działo, co by mogło pobudzić wyobraźnię dziecięcą, tragedia w domu, powolne umieranie pani Żeromskiej i jej śmierć w czasie wakacji roku 1879, to porażające swym niepojętym okrucieństwem sieroctwo, które wytwarzało wokół chłopca pustkę, jakiej nic wypełnić nie mogło, wszystko to rozpięło nad tym najwcześniejszym okresem edukacji jakby całun smutku i nieustającej tęsknoty. Dopiero zetknięcie się z Bemem w klasie trzeciej rozświetliło nieoczekiwanie ciemny horyzont. W klasie piątej przyszła lektura „nieśmiertelnych mistrzów”, Mickiewicza i Słowackiego, bo ani profesor, ani jego uczniowie nie zamierzali się stosować ulegle do zaleceń zwierzchności. Nauczyciel, który wprowadzał w owe światy marzenia, romantycznych buntów, najwyższego napięcia patriotycznych uniesień, stał się niekwestionowaną wyrocznią, autorytetem, ideałem, adresatem egzaltowanej adoracji młodzieńca. Odtąd liczyły się już tylko godziny wzgardzonego oficjalnie przedmiotu. Ujawniły się nieoczekiwanie w samym Żeromskim uzdolnienia deklamatorskie. Wścibscy koledzy dobrali się rychło do pierwszych literackich pisanin nieśmiałego odludka i obwieścili z hałasem narodziny największego w Kielcach poety. Tak z wolna zacieśniało się wzajemne współzycie.

Ówczesna rzeczywistość gimnazjalna nie знаła jeszcze owej tak szeroko w latach późniejszych rozplenionej formy organizowania się w koła, kółka i zespoły dla konspiracyjnej, patriotycznej roboty. Powstawały jednakże samorzutnie, bez planu, poza ramami jakichkolwiek statutów grupy uczniowskie na zasadach przyjaźni i zainteresowań pospólnych. Po całodzienniej gonitwie, po nauce i po „korepach” schodzono się w bardziej ustronnych stancjach studenckich dla lektury czasopism, dla gromadnego czytania zakazanych utworów, dla młodzieńczych, namiętnych, światoburezych dyskusji.

Z chłopiących, szkolnych przyjaźni dwie zwłaszcza zapisały się trwalej we wspomnieniach i odegrały pewną rolę w biografii wewnętrznej Żeromskiego. Jan Strożecki kolegował z przyszłym pisarzem od pierwszej klasy. Nazwiska ich obu, wydrapane własnoręcznie w r. 1882 w czasie którejś z wędrówek po Górach Świętokrzyskich na murze przydrożnej kapliczki u podnóża Łysicy, miały związać ich na zawsze. W latach szkolnych należeli do grupy najbardziej aktywnej umysłowo młodzieży gimnazjalnej, spotykając się często na gorących dysputach polityczno-społecznych. W wieku dojrzałym drogi ich się rozeszły. Strożeckiego po ukończeniu studiów na wydziale prawa w Warszawie pochłonęła zupełnie konspiracja

i walka. Członek władz kierowniczych Polskiej Partii Socjalistycznej, więzień cytadeli warszawskiej i zesłaniec z Kołymska w Syberii wschodniej, ścigany ustawicznie przez carskich szpiclów i żandarmów, wiódł życie wygnańca i wiecznego emigranta. Żeromski poświęcił mu wzruszające wspomnienie w swym ostatnim utworze — *Puszczy jodłowej*: „Jan Strożecki [...] w najśrodszy Sybir na wytrwaną z moskiewskim caratem chodził bez trwogi, a potem, po latach walki, we Francji, godnie, jak przystało na towarzysza naszej ławy w kieleckiej szkole, zginął ratując tonącego człowieka”³⁴.

Drugim, jeszcze bliższym, nieodłącznym przyjacielem młodości był Jan Waclaw Machajski. Przybysz z progimnazjum w Pińczowie, przeniósłszy się do klas wyższych w szkole kieleckiej rychło stał się jednym z czołowych prominentów uczniowskiej „arystokracji” gimnazjalnej. Przystojny, postawny, o długich, „artystycznych” włosach, wywołujących nieprzytomne ataki furii u dyrektora Woronkowa, wieczny prymus i kandydat do złotego medalu, gotował się już od szkolnej ławy do zawodu aktora. Obaj z Żeromskim spędzali długie nocne godziny na lekturze ukochanych poetów i na światoburczych dyskusjach, obaj wymykali się niekiedy ze stacji późną nocą na przedmieście zwane Pocięską, na odludną szosę warszawską, gdzie Jan Waclaw wyciągając ręce w stronę księżyca deklamował „z niemałym krzykiem” monolog Nika z *Marii Stuart* Słowackiego, najbardziej imponującą wówczas rolę w jego repertuarze teatralnym. Przyszłość przekreśliła te młodzieńcze marzenia wyznaczając mu zadania na o wiele rozleglejszej arenie życia. Uwiodła go i określiła na zawsze idea wolności i sprawiedliwości społecznej. Całe niemal życie spędził „w izbach więziennych lub w takich samych jak więzienne — izbach nędzarzskich”³⁵.

Na dalekim syberyjskim zesłaniu, z samotnych, długich zamyśleń wyniósł sobie swoisty system czy teorię o wyraźnych znamionach i akcentach anarcho-syndykalistycznych i antyinteligentkich, uznając rewolucję społeczną za wyłączną sprawę proletariatu. Zdołał skupić wokół siebie takich jak on sam zbuntowanych i zbłąkanych rozbitków i szerzyć pośród nich ów mistyczny „machaizm”, ową plebejską utopię „zmowy robotniczej”. W wiele lat później, w liście otwartym *W sprawie Machajskiego* weźmie Żeromski w obronę tego przyjaciela najbliższego z czasów młodości, zagrożonego przymusowym wygnaniem z granic monarchii austriackiej.

Jakakolwiek może być ocena jego teorii społecznych — pisał w owym liście Żeromski — niewątpliwą jest rzeczą, że on sam jest człowiekiem wysokiej wartości, mickiewiczowskim „człowiekiem cierpiącym, człowiekiem walczącym, człowiekiem wolnym

³⁴ S. Żeromski, *Puszcza jodłowa*, [w:] „*Sen o szpadzie*”, „*Pomyłki*” i inne opowiadania, *Pisma*, t. 4, cz. 4, Warszawa 1956, s. 269.

³⁵ S. Żeromski, *W sprawie Machajskiego*, [w:] *Wspomnienia*, *Pisma*, t. 26, Warszawa 1951, s. 19.

w duchu" [...] Przez całe życie był anachoretą, wygnańcem, ulegał ciągłemu prześladowaniu, schodził coraz niżej do ludu, aż do ostatniej granicy. Jego teorie nie uleczą zapewne niedoli ziemskiej i nie nakarmią tłumów, jak tego pragną, ale to pewna, że ich twórca czysty jest w swej myśli, w swej wierze i w swym życiu.³⁶

Edukacja gimnazjalna Żeromskiego była swoiście gruntowna. Wstąpił był do tej swojej kieleckiej szkoły w r. 1874, opuścił ją w r. 1886. Jak na ośmioletnie gimnazjum trwały więc te studia trochę za długo. Prymusem i medalistą przyszły pisarz istotnie nie był. Zachowane w archiwum gimnazjum kieleckiego ostatnie jego świadectwo z klasy ósmej „technie dostateczną szarżyzną”³⁷. Żeromski celował oczywiście w języku polskim, który się jednakże nie liczył. Przykładał wiele starań do literatury rosyjskiej, co było zupełnie zrozumiałe wobec jego literackich ambicji. Inne przedmioty niemal z reguły traktował jak nieuniknioną konieczność, uprzykrzona matematyka była zmorą jego młodości, zatrzała mu niejedne wakacje, wychylając się „jak hydra straszliwa [...] spoza wszystkich zabaw”³⁸. Ona to głównie, jak się zdaje, sprawiła, że przyszło mu powtarzać klasę pierwszą, drugą i szóstą. W klasie ósmej znalazł się nieoczekiwanie w sytuacji wyjątkowo dla siebie niepomysłnej.

W przeddzień niemal matury ukazał się słynny okólnik Apuchtina, który na podstawie analizy egzaminów maturalnych w okręgu naukowym warszawskim stwierdzał niski ich jakoby poziom i domagał się wyciągnięcia z tego faktu właściwych wniosków. Gimnazjum kieleckie wymienione było w owym sławetnym okólniku kilkakrotnie jako zbyt obniżające poziom wymagań. Bezpośrednią konsekwencją rozporządzenia była niewidziana od lat „rzeź” abiturientów. Z trzydziestu sześciu zdających tylko dziewięciu sprostało zaostrożnym wymogom. Szanse Żeromskiego były znikome, jego przygotowanie naukowe wątpliwe. Pod koniec roku szkolnego przyplątała się w dodatku fatalna słabość i przyszły pisarz postanowił w tej sytuacji zadowolić się świadectwem ukończenia ośmiu klas gimnazjalnych i nie poddawać się już w jakimś dodatkowym terminie ryzykownej próbie.

Nauki gimnazjalne kończyły się zatem dla Żeromskiego oczywistym niepowodzeniem, skoro zamykały mu na zawsze dostęp do studiów. Niemniej z owych lat kieleckiej edukacji wyniósł na tyle mocne i solidne podstawy wiedzy ogólnej, że mógł w latach późniejszych o własnych siłach, w drodze wytrwałego samokształcenia zdobyć rozległą intelektualną kulturę i rozwinąć z powodzeniem przyrodzone skłonności i uzdolnienia. To samokształcenie rozpoczęło się zresztą już na ławie szkolnej poprzez intensywne lektury. Młodociany aspirant literatury był zachłannym, nienasyconym czytelnikiem. Czytał wszystko, co mu wpadło pod rękę.

W małej, odciętej od szerszego świata mieścinie, gdzie życie kulturalne sprowadzało się do amatorskich wieczorków w domach prywatnych lub do

³⁶ Ibid., s. 20.

³⁷ J. Nowak-Dłużewski, *Matura Stefana Żeromskiego*, „Pamiętnik Kielecki” 1947.

³⁸ *Dzienniki I*, s. 48.

okazyjnych występów przyjezdnej trupy teatralnej, gdzie nie istniała żadna biblioteka publiczna, trudno było o świadomą, przemyślaną selekcję książek. Sąsiadowały zatem na liście lektur młodocianego czytelnika obok utworów literackich, polskich i obcych, studia i rozprawy krytyczne, monografie historyczne, książki z dziedziny filozofii, estetyki i nauk społecznych, dziejów kultury i przyrodoznawstwa, publicystyki i pamiętnikarstwa, wreszcie o tematach jak na ucznia gimnazjalnego zgoła przedziwnych, aczkolwiek świadczące niewątpliwie o niezwyklej zachłanności poznawczej. Obok rozprawy Bema o Towiańskim czytało się zatem *Listy protestanta o katolicyzmie* lorda Fitz-Williamsa, obok *Życiorysu Kościuszki* Falkensteina i *Dziejów Polski* Lelewela *Historię umysłowego rozwoju Europy* Drapera, *Główne prądy literatury europejskiej XIX stulecia* Brandesa i *Podróż po Włoszech* Taine'a, *Szkice filozoficzne* Spenzera i *Historię cywilizacji w Anglii* Buckle'a, *Historię powszechną* Cezara Cantu i... *Małżeństwo pod względem fizjologii i higieny z dołączeniem uwag dietetycznych nad wychowaniem niemowląt* niejakiego pana Augusta Debay.

Lektury tak różnorodne tematycznie niosły z sobą dla młodzieńczej, wrażliwej, impulsywnie reagującej umysłowości tysiące podnieć, rozszerzały niezwykle widnokreśli widzenia, dawały pierwsze, zasadnicze inspiracje myślowe. I tak niepostrzeżenie, niejako poza nurtem zatrudnień szkolnych zakładały się nie tylko podstawy samoistnie zdobywanej wiedzy o życiu, ale zarazem fundamenty światopoglądu, pierwsze orientacje i rozeznanie ideowe, które ulegną oczywiście w wieku życiowej i twórczej dojrzałości niejednej poprawce i rewizji, ale nie zmieniają się na ogół w swej najgłębszej istocie. Młodociany czytelnik najgorętsze słowa zachwytu zachowywał zdecydowanie dla pisarzy i książek, których imię kojarzyło mu się w jego wewnętrznym wycuciu z pojęciami wolności, demokracji, społecznego postępu. Mickiewicz, Słowacki, sędziwy Jeź, stary żołnierz wolności, Prus jako autor *Placówki*, Konopnicka, która jak nikt przed nią wypłakała wszystką niedolę ludu wiejskiego, Wiktor Hugo, nieprzejednany pogromca absolutyzmu i przemocy, wielki Turgieniew, ten najgłębszy znawca chłopca rosyjskiego, ścigany gniewem politycznej i społecznej reakcji za swe wstrząsające obrazy wiejskie z ponurej doby mikołajewskiej. Imię Hugo stawało się zawołaniem i dewizą życiową Żeromskiego: „Idę z czerwoną czapką na głowie coraz dalej! Gdy spotkam się ze zdaniem arystokratycznym — wpadam we wściekłość i szyderstwem Węgierskiego płacę procenta!”³⁹ Zachwycał go życiorys Jeża, zdolny „zapalić najbardziej zleniwiałą duszę”, bo tak bez reszty podporządkowany jednemu słowu: obowiązek. Wyobraźnię chłopca pociągały wyolbrzymione fantazją, gigantyczne postaci wielkich buntowników, przywódców ludu, pieczętujących swoje porywy wolnościowe śmiercią męczeńską: Coli di Rienzo, Jana Husa, Girolama Savonaroli. Wszystkie pomysły pisarskie, z których zwie-

³⁹ Ibid., s. 265.

rzeź się ówczesnie Żeromski przed samym sobą w swym intymnym dzienniku, obracały się z uporem wokół wciąż tych samych nieodmiennie problemów: wolności narodowej, wolności społecznej, wolności indywidualnej człowieka, jego prawa do niezależności wewnętrznej, do wolności w duchu.

Był jeszcze jeden istotny współczynnik tej dokonującej się na przestrzeni lat szkolnych ewolucji młodzieńca ku własnej, samodzielnie wypracowanej postawie wobec świata. Z domu rodzicielskiego wyniósł Żeromski wychowanie ponad wszelką wątpliwość religijne. W pierwszych latach pobytu w szkole był — jak dowodzą jego własne zapiski — chłopcem i młodzieńcem żarliwie pobożnym. Ów „sen na łonie Boga”, w którym Marcinek Borowicz znajduje ukojenie po stracie matki, nie był tylko pięknym, stylistycznym frazesem, był to stan znany zapewne Żeromskiemu z najgłębiej osobiście przeżytych doświadczeń własnych. Ta chłopięca wiara nie była żadnym wyrozumowanym systemem prawd i dogmatów, lecz raczej nieskończonym obszarem najtajniejszych drgnień i marzeń serca. Łączyła się najściślej z nigdy nie wygasłym uczuciem dla niezapomnianej, a przedwcześnie straconej matki, kojarzyła ze wspomnieniem lat wczesnego dzieciństwa, jedynej epoki w życiu, która w zmienionej sytuacji osamotnionego w swoim sieroctwie chłopca wydawała się bezpowrotnie zagubioną krainą szczęścia. Tak więc pod okiem matki spełniane pierwsze praktyki religijne dziecka stały się trwale zapisanym, nieodłącznym składnikiem krajobrazu dzieciństwa, istotnym elementem wspomnienia, do którego myśl ze szczególnym wzruszeniem ustawicznie miała powracać. Dołączyły się do tego pewne konstytucjonalne, wrodzone dyspozycje osobowości.

Wrażliwy i uczuciowy, od najwcześniejszych lat zdawał się Żeromski przeżywać cały otaczający go świat i swoje własne w nim istnienie jako najgłębiej przejmującą rzeczywistość nieustających oczarowań. Blask i majestatyczność rytuału religijnego budziły dreszcz nie dającego się określić wzruszenia, potęgą starej pieśni kościelnej, śpiewanej przez lud w leśnym kościółku św. Katarzyny, otwierała tamy jakichś głębokich, przejmujących uczuć. Wszystkie troski dziecięce niesło się do stóp ołtarza, skąd spływały na ufającą bezgranicznie duszę źródła pocieszenia. W żarliwych prośbach i modlitwach rozpały się jakieś ognie mistyczne. Tak trwał przez lata błogi, bezpieczny „sen na łonie Boga”.

Pierwsze symptomy przełomu ujawniły się na przedprożu wyższych klas gimnazjalnych, gdy chłopiec przechodził normalny kryzys wieku dojrzewania. Przesłanki załamania się młodzieńczej wiary były różne i liczne. A więc ogólna atmosfera epoki. Po straszliwej depresji lat powstaniowych, po ostatecznym zmięczeniu idei romantycznych nad całą świadomością epoki rozpostarła swą absolutną dominację filozofia pozytywizmu. Jako pogląd na świat odwoływała się do trzeźwego gruntu faktów realnych, do rozumu, nauki, doświadczenia, natury, wszelką spekulację metafizyczną mając za naiwną pomyłkę. Gwałtowny rozwój nauk przyrodni-

50.

czych sprzyjał wybitnie zeświecczeniu myślenia, ukazując jedność wszechświata i tłumacząc go bez potrzeby uciekania się do czynników nadprzyrodzonych. Głośne książki laickich biblistów i religioznawców interpretowały święte pisma w kategoriach antropologii kulturalnej jako odwieczne mity i wytwory myśli i wyobraźni, wędrujące poprzez nieskończone obszary cywilizacji. Życiorysy Jezusa, autorstwa Straussa i Renana, pełne zachwyków i podziwu dla świetlanej postaci Nauczyciela z Nazaretu, ale odzierające go zarazem podstępnie z nimbu boskości, rozkruszały skutecznie fundamenty wiary, podważały zaufanie w słuszność „prawd objawionych”. Ta wielka, spiętrzona fala laicyzmu i materializmu, idąca przez całą Europę, jakimś dalekim, bocznym nurtem zawadziła również o Kielce. Wśród młodzieży kieleckiej wolnomyślne nastroje były wcale nierzadkie, podsyczał je zapewne dyskretnie i popierał autorytetem osobistym profesor Bem, typowy „postępowiec” i libertyn tamtej epoki. To powolne oddalanie się od niezachwianej do niedawna ufności w wierze odbywało się stopniowo, powoli, z oporami, w zaniepokojeniu wewnętrznym i jakby w nie dającym się odeprzeć smutku, że traci się nieodwołalnie coś niezwykle cennego. „Czemuż utraciłem tę gorącą, młodzieńczą wiarę w Boga i życie? — zanotuje w swoim dzienniku. — Czemu nie mogę się jak dawniej modlić [...] Nie umiem — zapomniałem”⁴⁰. Szaleńcze wahań przeważały ostatecznie ideowe utarczki z księdzem Czerwińskim. Pogłębiający się z każdym rokiem radykalizm społeczny młodego ucznia musiał go bardzo szybko postawić w zasadniczej opozycji wobec zachowawczych poglądów gimnazjalnego katechety, występującego nie tylko w roli wykładowcy i przewodnika duchowego, ale i poniekąd obrońcy *ancien regime*. Głęboko go dotykały potępiające oceny, jakich nie szczędził ksiądz kanonik ideom i postaciom, które młodociany Żeromski czcił i wielbił niemal jak świętość. „Lekcje religii — zanotuje w swoim dzienniku — wprowadzają mię we wściekłość. Kanonik rysuje zaburzenia we Włoszech z czasów Garibaldiego. Świętą postać Mazziniego obrzucił błotem. Nie! nie zejdziem się już nigdy z czarnymi aniołami. Nienawidzę księży! Ranią mię najboleśniej”⁴¹.

Świat dziecięcych i chłopięcych wzruszeń odchodził coraz dalej w bezpowrotną przeszłość. Pustkę, jaką pozostawiał po sobie, zaczęły wypełniać niewyraźne jeszcze, mgliste zarysy jakiejś przyszłej i jedynej „religii”, którą miała stanowić miłość ziemi ojczystej i utrudzonego na niej, cierpiącego, skrzywdzonego człowieka. W latach warszawskich ideę tę sformułuje Żeromski już wyraźnie i jednoznacznie: „mój wszechświat — to moja ziemia, a mój Bóg — to ojczyzna z tym wszystkim, co się w tym wyrazie zamyka”⁴².

Swoje powołanie pisarskie uświadomił sobie Żeromski bardzo wcześnie, już u progu nieomal edukacji gimnazjalnej. Gotując się do wstąpienia na

⁴⁰ Ibid., s. 234.

⁴¹ Ibid., s. 246.

⁴² Ibid., s. 266.

tę jedyną drogę, którą sobie wymarzył i w której widział swoje nieodwracalne przeznaczenie, kielecki aspirant literatury trzymał się wytrwale raz powziętej decyzji. Wyobrazenie o istocie twórczości miał dość mgliste i romantycznie naiwne. Przedstawiał ją sobie jako poryw natchnienia, który wysoko wznosi twórcę ponad zwykłych ludzi. Z czasem stanie się dlań jasne, że pisanie to trudna i mordercza praca, że żywość i lotność wyobraźni, gwałtowność uczuć wystarczyć tu najoczywiściej nie mogą, że konieczne jest jak najbogatsze doświadczenie, znajomość życia i że samą umiejętność pisania należy ustawicznie rozwijać, kształcić i ulepszać.

Zaczął więc gromadzić ową „wiedzę o życiu” w kręgu doznań i doświadczeń sobie dostępnych i utrzymywał je na razie na stronicach dziennika. Usiłował doskonalić swój styl pisarski na wybranych wzorach. Sympatie literackie kierował przede wszystkim w stronę takich pisarzy, jak Kraszewski, Sienkiewicz, Prus, Tołstoj, Dostojewski, Turgieniew, a więc w stronę wielkich realistów tamtej epoki, w których widział doskonale spełnienie poszukiwanej i cenionej przez siebie ponad wszystko wiarygodności życiowej. Jeśli nie był jeszcze wówczas całkiem świadomy praw i zasad owej werystycznej metody, to intuicyjnie wyczuwał, że realizm to sztuka, która siłą swą i wielkością zawdzięcza prawdzie doświadczenia, dociekliwej analizie psychologii człowieka. Pociągały go szerokość i rozległość spojrzenia, współmierne z instynktownym odczuciem naturalnych stosunków rozłożenie światła i cienia, przenikliwy krytycyzm, nie będący jednak nigdy negacją życia.

W tym przygotowawczym okresie twórczości zetknął się też młodociany kandydat do zawodu pisarza z teorią literacką, która żywo zajęła jego uwagę i miała istotnie zaważyć na jego początkach autorskich. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, w dobrze zorientowanej na ogół w europejskich nowaliach prasie warszawskiej głośno się mówiło o naturalizmie francuskim. Przekładom prozy Flauberta, Zola, Maupassanta towarzyszyła gorąca i namiętna dyskusja o naturalizmie i realizmie, w której obok hałaśliwych i poszukujących sensacji piór dziennikarskich wzięli też udział najwybitniejsi luminarze krytyki i literatury ówczesnej: Sienkiewicz, Sygietyński, Przewoński, Witkiewicz, Limanowski, Kotarbiński, Waliszewski, Lange. Gorliwy czytelnik pism warszawskich nie mógł nie zainteresować się ową aurą skandalu, jaka unosiła się wokół tej najnowszej mody literackiej.

Nie bardzo się początkowo orientował w istocie rzeczy; semantyka nazwy „naturalizm” była dziwnie chwiejna i migotliwa, nie dająca się uchwycić w jakąś ostrą, precyzyjną formułę. Raz był to synonim „brudów życia” i „zmysłowości lubieżnej”, to znów realistycznej prawdy życia, nie skażonej najłżejszym idealistycznym nalotem, kiedy indziej kamiennego obiektywizmu, przeciw któremu najsilniej buntowała się natura namiętna, impulsywna, pojmująca sztukę jako formę spowiedzi, bezpośredniego wyrażania tego bezmiaru wzruszeń, „co w nas się mieści i [...] co boli głę-

boko”⁴³. Z tym wszystkim niepodobna było się oprzeć ogólnemu nastrojowi tego kierunku, jego odwadze, bezwzględności, owym przygnębiającym szaryznom kolorytu, które w świetle osobistych doświadczeń, coraz trudniejszych, w miarę jak dom rodzinny chylił się widomie ku ostatecznej ruinie, wydawały się jedyną barwą, w jakiej objawia się życie w jego nieskłamany weryzmie.

Młodziutki uczeń zaczął pisać dość wcześnie i nad podziw dużo. W notatce zapisanej w dzienniku pod r. 1882 dał pełne zestawienie owych pierwszych płodów chłopięcej muzy. Było w tym skrupulatnym inwentarzu literackim pozycji aż trzydzieści siedem — wiersze liryczne, poematy epickie również w rymy ujęte, powieści prozą, dramaty na scenę pięcioaktowe i przekłady z literatur słowiańskich — czeskiej, ukraińskiej, rosyjskiej. Z tych juveniliów dwom tylko udało się dostąpić łaski ukazania się w druku — *Piosnce rolnika*, opublikowanej w „Przyjacielu Dzieci” z r. 1882, oraz *Pragnieniu* z Lermontowa, ogłoszonemu tegoż roku w „Tygodniku Mód i Powieści”; reszta zaprzepaściła się doszczętnie, bez uszczerbku zapewne dla stanu posiadania polskiej literatury narodowej. Potwierdzają to podejrzenie porady i opinie osób, którym młody Żeromski pierwociny swego talentu do oceny przedkładał. Byli to przede wszystkim redaktorzy pism i pisemek dla młodzieży i dzieci, był to pierwszy zaufany powiernik, patron i opiekun, profesor Bem. Dostrzegając niewątpliwe znamiona literackich uzdolnień wszyscy przecież jednogłośnie radzili hamować rozpęd pióra, powściągać twórczą niecierpliwość, uczyć się przede wszystkim, raczej przysposabiać starannie do zawodu pisarza.

Jestem stary i doświadczony człowiek — pisał z delikatną perswazją Jan Kanty Gregorowicz, redaktor „Tygodnika Mód i Powieści” i „Przyjaciela Dzieci” — Kocham naszą młodzież i rad bym jej, jak to mówią, nieba przychylić; cieszę się i raduję, gdy widzę prawdziwe gdzie objawiające się zdolności, ale i drżę z obawy, aby na marność nie wyszły. Aby się to nie stało, dziś ucz się, kochany panie Stefanie, o ile czas pozwoli, czytaj, obznajmij się z naszą literaturą poetyczną i naukową, ale z pisaniem wstrzymaj się jeszcze.⁴⁴

Profesor Bem analizując ów przekład z Lermontowa dawał aluzyjnie do zrozumienia, że poezja nie wydaje się być najwłaściwszą dziedziną samorealizacji twórczej uzdolnionego skądinąd wychowanka. „Słowacki i Mickiewicz już byli — parafrazował słowa Kraszewskiego z *Powieści bez tytułu* — trzeba więc albo im dorównać”, albo „nawet przewyższyć [...], bo poeta powinien i musi być koniecznym pierwszym, bo drugim być mu nie wolno i drugim być — nie warto”⁴⁵.

Iść za tymi radami, nie pisać — wydawało się jednakże żądaniem nie do przyjęcia, skoro w tym pośpiesznym, gorączkowym zapełnianiu papieru znajdowało się jedyną radość, jakieś niezwykle upojenie. Powstawały więc

⁴³ Ibid. II, s. 14 - 15.

⁴⁴ Ibid. I, s. 381.

⁴⁵ Ibid., s. 64.

nadal mimo głosów perswazji nowe utwory — nieznanym dramacie *Popieliszczce*, „fantazja poetycka” *Z cieniów katakumb*, *Szkic bez tytułu*, tryptyk dramatyczny o di Rienzim, Husie i Savonaroli, powiastka *Z natury* i nowa powieść, „ogromna i podzielona na dwie części”, wieńcząc wszystko, co dotychczas napisał. Wiele z tych rzeczy odczytywał cierpliwie poczciwy Bem. Mimo zdarzających się jeszcze błędów gramatycznych i stylistycznych, mimo przesadnej afektacji i dramatycznych wykrzykników, stawiał ostateczną ocenę zachęcającą: „Styl dobry, liryki wiele, kierunek taki sam, jaki ja podzielał [tzn. demokratyczny i republikański] [...] znać, że będziesz pisał”⁴⁶.

Ta bardzo jeszcze dziecienna, choć wykazująca przebliski autentycznych uzdolnień pasja pisarska zaczęła najwyraźniej ostygąć w wyższych klasach gimnazjum. Wytrwały kandydat do zawodu pisarza w miarę dojrzewania coraz jaśniej pojmował, że literatura jest zadaniem odpowiedzialnym, wymaga długich, żmudnych i rzetelnych studiów. Więcej teraz czytał niż pisał. Obserwował i starał się gromadzić materiał. Literacko wypowiadał się przede wszystkim w dzienniku, który coraz widoczniej zaczął zmieniać swój dotychczasowy charakter, przeobrażając się z naiwnych i w wyrażeniu często nieporadnych notatek ucznia w coraz bardziej literacko dojrzały, interesujący pamiętnik młodej, pięknej i namiętnej duszy.

Dojrzewanie Żeromskiego-pisarza odbywało się jednakże nie tylko wśród umysłowych przygód, dyskusji i sporów ideowych z samym sobą i z otaczającym go światem, w literackich spotkaniach i w wytrwale upartym próbowaniu sił własnych, ale także wśród najbardziej intymnych klęsk i komplikacji życiowych. W dniu 15 sierpnia 1879 r. zmarła pani Józefa Żeromska. Śmierć jej stała się jak gdyby początkiem wewnętrznego rozkładu tej małej społeczności rodzinnej, której ona była duszą, ogniskiem i ożywiającą siłą. Pozbawiony towarzyszkę pan Wincenty Żeromski coraz słabiej panował nad biegiem rzeczy. Dom bez matki przestał być właściwie domem. Pozostała w nim najstarsza z dzieci Aleksandra, najmłodszą dziewczynkę przyszło oddać pod opiekę dalszej rodziny, chłopiec wiodł żywot na kieleckim bruku zdany coraz częściej na własne wyłączenie siły.

Tymczasem w r. 1881 Wincenty Żeromski zdecydował się ponownie wstąpić w związek małżeński z Antoniną Zeitheimówną, osobą już niemłodą, czterdziestoletnią, nauczycielką z zawodu, kulturalną, inteligentną, okazującą od początku, jak tego dowiódł później jej stosunek do pasierba, jak najlepszą wolę wobec dorosłych i dorastających dzieci swego męża. Te nadzieje na odbudowanie choćby częściowej zachwianej społeczności rodzinnej domu Żeromskich okazały się niestety złudne. Wejście w dom osoby obcej stało się zarzewiem konfliktów z najstarszą córką pana Wincentego. Gdy współżycie wzajemne obu kobiet pod jednym dachem stało

⁴⁶ Ibid., s. 48.

się w jej subiektywnym odczuciu niemożliwością, dziewczyna opuściła potajemnie rodzinny dom, ukrywając się pod przybranym nazwiskiem z dala od Kielc i Ciekot. Wszystkie próby zażegnania i załagodzenia tych bolesnych nieporozumień kończyły się niepowodzeniem. Kolejne powroty prowadziły do ponownych ucieczek. Wreszcie aby odciąć się na zawsze od znenawidzonej macochy, dziewczyna zdobyła się na krok prawdziwie desperacki wychodząc za mąż za podoficera żandarmerii rosyjskiej Michała Karpowa i wyjeżdżając z nim po jakimś czasie w głąb Rosji⁴⁷. Przy ówczesnym nastawieniu społeczeństwa polskiego wobec władzy zaborczej decyzja Aleksandry Żeromskiej była równoznaczną z własnowolną śmiercią cywilną. W parę lat później śladami starszej poszła też najmłodsza z rodzeństwa, Bolesława. Żeromski nie utrzymywał i nie szukał z siostrami aż do końca życia żadnych kontaktów, nie mówił o nich, nie wspominał, jakby nie istniały zupełnie.

Wszystkie te perypetie podkopywały poważnie i tak już nieświetne zdrowie Wincentego Żeromskiego. Katastrofa przyszła nagle 22 września 1883 r. Śmierć ojca zamykała bezpowrotnie całą epokę życia. Przyszłość była groźnie niepewna. Po powrocie z pogrzebu znalazł się Żeromski w Kielcach zupełnie sam i bez środków do życia. Związki między rodzeństwem stały się iluzoryczne i ostatecznie zerwane, obu ciotek, z których domu i życzliwej opieki w pierwszych latach swych gimnazjalnych studiów korzystał, w Kielcach już nie było. Jedna umarła, druga przeniosła się na wieś do syna. Wincenty Żeromski nie zdołał zabezpieczyć swym dzieciom najskromniejszej choćby przyszłości. Gospodarstwo ciekockie poszło w rychłą ruinę. Pani Antonina Żeromska nie miała żadnych możliwości sprostania twardym warunkom dzierżawczego kontraktu. Masa spadkowa pokryła zaledwie liczne wierzytelności państwowe i prywatne. Ciekoty były stracone bezpowrotnie.

Pośród totalnej klęski jedynym środkiem ratunku i podstawą istnienia stały się dla bezdomnego młodzieńca korepetycje. Mieszkając na uczniowskich stancjach pełnił funkcje opiekuna najmłodszych; w czasie wakacji przyjmował obowiązki nauczyciela domowego po szlacheckich dworach. Zapewniało to chwilowo minimum środków egzystencji, ale i wiązało się z niejedną przykrością. Korepetytorski chleb nie był słodki i nie przychodził łatwo. Naginać do nauki głowy często tępe, leniwe, krnąbrne i rozwichrzone wydawało się niekiedy męką nie do zniesienia. Gorczyca napełniała sama jakże wówczas dwuznaczna pozycja społeczna i towarzyska guwernera, osoby dziwnie nieokreślonej, ni to gościa, ni sługi. I na koniec ten ustawiczny lęk, co będzie jutro, za miesiąc, za pół roku, ta zależność od chimerycznej łaski przygodnego chlebobdawcy, który się jeszcze targuje. „Ach! żyć ze swego grosza — jakież to szczęście”⁴⁸ — zapisze

⁴⁷ Ibid., s. 131.

⁴⁸ Zob. J. Kądziela, op. cit., s. 42.

w którymś miejscu dziennika, w jednej z tych chwil straszliwego upokolenia, w których ciężar życia odczuwało się szczególnie dotkliwie.

Okres kielecki miał istotne znaczenie również dla sentymentalnej edukacji młodzieńca. Tu bowiem, w Kielcach, przebudziło się i rozwinęło jego życie uczuciowe, dostarczając tak nieodzownie koniecznych dla przyszłego pisarza zasobów materiału najbardziej autentycznego, bo wyniesionego z sytuacji i głęboko przeżytej, i niewątpliwie wyjątkowej. Owe doświadczenia intymne miały zrazu charakter dla młodzieńców w tym wieku powszechnie typowy. Były zatem jakieś młode kuzynki, pensjonarki, panny z kieleckich i okolicznych, szlacheckich domów, a czasem nawet jakaś nieznamiona, którą adorował z daleka nieśmiały student, powierzając tajemnice swych uczuć kartom dziennika. Zmieniające się przedmioty fascynacji młodzieńczej stawały się niekiedy powodem pisania wierszy, wtórnych, naiwnych, nieporadnych, bezwiednie śmiesznych, choć w założeniu miały być wyrazem afektów namiętnych i tragicznych. Więcej w tym było wyobrażenia i upajania się słowami niż prawdziwej miłości. Zmienność uczuć była niepokojąca i naiwnie urocza.

Przemijające zadurzenia, nie bez udziału głównego bohatera owych afer sentymentalnych, uwieczniającego swoje perypetie sercowe w pilnie i skrupulatnie prowadzonym *journal intime*, staną się materiałem legend rodzinnych, komponowanych pośmiertnie przez późniejszych biografów pisarza na wzór romantycznego archetypu nieszczęśliwej miłości skromnego, nieśmiałego młodzieńca do niedostępnej, nieosiągalnej ukochanej. Tą umiłowaną bez nadziei spełnienia adresatką wierszowanych przesłań miłosnych stała się kuzynka i rówieśnica Żeromskiego, wnuczka jego ciotki Ludwika z Żeromskich Wiktorynowej Saskiej, Ludwika Dunin-Borkowska. Romantyczny dramat uczuciowy poety był w istocie sztubackim flirtem, w którym egzaltacja młodzieńcza adoratora spotykała się z ochładzającą jego śmieszne zapęły trzeźwą rozważą i perswazją dojrzałej już do zamążpójścia dziewczyny, dla której nie będący jeszcze niczym piątoklasista nie mógł stanowić żadnej serio pojętej partii.

Ludwika Borkowska w r. 1883 poślubiła inżyniera dróg żelaznych Karola Zlasnowskiego, a jej niedawny wielbiciel znalazł sobie nowy obiekt zachwyceń o długich blond włosach i wielkich „chabrowych”, „turkusowych” oczach. Tym nowym ideałem, uwielbianym z daleka, okazała się Helena Skierska, córka wicegubernatora kieleckiego Henryka Skierskiego. Nigdy nie zamienili z sobą słowa, cały „romans” wypowiedział się i wyczerpał w spojrzeniach, w nieśmiałym uwielbieniu z daleka, w ekstazy wyznaniach, zwierzanych w tajemnicy kartom dziennika. Rzecz nabrała w subiektywnym odczuciu adoratora znamion cichej niemal tragedii osobisto-narodowej, gdy się stało wiadome, że ojciec anielskiego dziewczęcia był przez całe życie lojalnym bez zastrzeżeń urzędnikiem administracji rosyjskiej, zamieszany nawet w śledztwo przeciw Ściegienemu. Historia rodziny Skierskich posłużyła po latach za materiał do

kreacji dziejów nieszczęsnej „Biruty”, panny Anny Stogowskiej z młodzieńczej powieści Żeromskiego.

Z tego szablonu sentymentów chłopięcych wyłamał się drastycznie stosunek, w jaki uwikłał się Żeromski na finiszu swoich studiów gimnazjalnych. Miał w tym momencie lat dwadzieścia jeden, był w tej fazie rozwoju i sytuacji psychicznej, kiedy to wszystkie potęgi uczuć, jeszcze nie wyzwolone, czekają na chwilę i okoliczności sposobne. Obiekt nowego miłosnego olśnienia, Helena z Zeitheimów Radziszewska, była młodszą siostrą Antoniny Żeromskiej. Jej mąż Leon był zawiadowcą stacji, naczelnikiem, jak się w tamtych czasach mówiło. Żeromski bywał niejednokrotnie w domu państwa naczelnikostwa, pani Helena dość często przyjeżdżała do Kielc w odwiedziny do siostry. Pocziwa i anielsko wyrozumiała pani Antonina była, jak się zdaje, jedyną powiernicą uczuć obojga, osłaniając przed światem ten niebezpieczny romans pasierba z rodzoną, zamężną siostrą. Helena Radziszewska miała dwoje małych dzieci i była od swojego „siostrzeńca” starsza o lat dziesięć, dobiegała trzydziestki, a może ją przekroczyła, i jeśli wierzyć świadectwu dzienników, była niezwykle piękna, znajdowała się w tej fazie i momencie życia, gdy uroda kobiety osiąga całkowitą pełnię rozkwitu.

W kwietniu r. 1885 uczeń kieleckiego gimnazjum spędzał ferie świąteczne u państwa Radziszewskich w Mińsku Mazowieckim. Po powrocie do Kielc rozpoczynając po miesięcznej przerwie wątek dziennika położył na tytułowej jego karcie znamiennej dedykację: „Helenie na pamiątkę dnia 11 kwietnia 85 roku”⁴⁹. I dalej, wśród kilkunastu epigrafów, jakie poprzedzają właściwą notację pamiętnikarską, znalazło się wymowne motto z Ochorowicza, umieszczone nie bez pewnej ironii: „Nic tak nie uszlachetnia młodzieńca, jak przyjaźń i zaufanie starszej, ale młodej (i koniecznie przystojnej) kobiety”⁵⁰. Taki był początek romansu, który miał zaważyć istotnie na życiu i twórczości pisarza i któremu literatura polska zawdzięcza najznakomitszą chyba powieść o niebach i piekłach namiętności, jaką napisano kiedykolwiek w polskim języku. Powieść tę stanowią karty dziennika poświęcone Helenie.

Sytuacja była istotnie prawdziwie stendhalowska. Życie prześcignęło tu imaginację romansopisarzy pisząc swoją własną, autentyczną, oryginalną wersję dziejów polskiego Juliana Sorela i pani de Renal. On — zapóźniony w naukach licealista, borykający się z chorobą, z nędzą i z niepewnością jutra. Jego sytuacja życiowa była istotnie rozpaczliwa. Nie miał przecież żadnych widoków ani żadnych perspektyw. Był zupełnie sam, nie miał ani jednej bliskiej istoty, przed którą mógłby się odsonić, wypowiedzieć, ujawnić całego siebie, jakim jest rzeczywiście. Był zamknięty w sobie i aż chorobliwie nieśmiały. Ubóstwo, ustawiczna niepew-

⁴⁹ *Dzienniki* I, s. 236.

⁵⁰ *Ibid.*, s. 251.

ność położenia, kardynalne mankamenty ubioru nie sprzyjały wyrabianiu towarzyskiej swobody. Ale jego ambicje i marzenia przerastały wszelkie pojęcia i wyobrażenia kieleckiej socjety, krewnych, powinowatych, przyjaciół i gimnazjalnych koleżków. „Gdzieś, w nieskończonej przestrzeni przyszłości istnieje punkt, ku któremu zwracają się moje oczy. Punktem tym jest sława [...] Ludzie kiedyś czytać będą moje nazwisko”⁵¹. Tai-ly się w nim namiętności i ognie, których sam jeszcze nie znał ani przeczuwał.

A ona? Polsko-kielecka Emma Bovary. Zrobiła wedle pojęć swej sfery znakomitą karierę wychodząc za człowieka na kierowniczym stanowisku i państwowej posiadzie. Czy była w tym związku rzeczywiście szczęśliwa? Jej życie uczuciowe osiągało zapewne ową letnią zaledwie temperaturę powszednich emocji małżeńskich, które łatwo przechodzą w nudę monotonna powtórzeń. I oto nagle objawiło się w jej życiu coś zupełnie innego, odmiennego. Instynktem doświadczonej kobiety wyczuła wszystkie niepokoje tego młodzieńca i zgodziła się być powiernikiem jego najskrytszych zwierzeń. Przynosił jej do czytania swoje dzienniki. Jej wykształcenie literackie było zapewne znikome, ale wyczuła i zrozumiała szybko tą swoją niekształconą inteligencją, że to, co czytała, przerastało o całe niebo skalę objęcia umysłowego wszystkich mężczyzn, jakich w swoim życiu spotkała. Wiedziała, że mu się podoba, mówił jej słowa, jakich nigdy dotychczas nie słyszała. Ofiarowała mu swą przyjaźń, ale jakże trudno jest utrzymać w granicach siostrzanego uczucia stosunek młodzieńca i kobiety, którzy nazbyt wiele odnajdują w sobie uroków. Nieodparta dialektyka jego sofistycznej argumentacji rozkruszała skutecznie jej moralne opory, biegła do swego spowiednika, przyrzekała zachowanie wierności obowiązkom żony i matki i wracała w objęcia swego młodzieńczego kochanka, pokonana ponownie jego słowami i miłością.

Dla młodzieńca, który wedle praw świata był jeszcze niczym, Helena Radziszewska była gatunkiem kobiety prawie nieosiągalnym. Prowincjonalny wykwint i kielecka elegancja tej mieszczanki, to wszystko, co stanowi swoistą i niepokojącą formę życia i istnienia kobiety, oszołomiło go i odurzyło. Fascynujący urok i literacka doskonałość tego romansu, jaki spisywał Żeromski „na gorąco”, z biegiem zdarzeń w swoim dzienniku, polega na jego niczym nie zafalszowanej autentyczności. Zawodowi romansopisarze ubierają historie tego rodzaju w girlandy zmysłów, w upiększające przyprawy, w to wszystko, co stworzyły stulecia literatury jako roman-sową konwencję. Dzieje miłości ku Helenie Radziszewskiej, uwiecznione w ich diarycznym zapisie, są czymś absolutnie wyjątkowym i na swój sposób doskonałym dzięki nagiej, zuchwałej i drapieżnej prawdzie przekazu. Sceneria tego namiętnego uczucia jest przeraźliwie prozaiczna — Mińsk Mazowiecki, Biała Podlaska, senne, zaciągnięte nudą stacyjki na

⁵¹ Ibid., s. 253.

bocznych, peryferyjnych liniach. Gdy nieliczne pociągi, jedyne zwiastuny innego świata, odchodziły stamtąd po chwilowym postoju, opadał na te głuche pustkowieca całun rozpaczliwej, beznadziejnej apatii. Wieczorami wszystko dokoła tonąc się zdawało w ciemnościach, pelgający płomień lampy naftowej zaledwie rozświetlał nikłym poblaskiem zaciągnięte firanki okien, za którymi dopełniało się to skryte, namiętne i szalone uczucie tej dojrzałej kobiety i młodziutkiego chłopca. Ale były to zaledwie krótkie, przelotne chwile szczęścia. Poza nimi istniała jeszcze trudna, dławiąca rzeczywistość kłamstwa.

Młodociany kochanek, w którym poczucie moralne było od młodości niezwykle czujne, uświadomił sobie szybko całą dwuznaczność położenia. Mus ustawicznego udawania, maskowania się przed światem i przed tym drugim mężczyzną, który był mężem ukochanej kobiety i którego oszukiwało się w jego własnym domu grając z premedytacją niegodną rolę „przykładnego siostrzeńca”, świadomość tej nagiej i jednoznacznej sytuacji przywodziła niekiedy Żeromskiego niemal na krawędź zupełnego oblędu i rozpacz. Nie miał siły zerwać tego stosunku, który sam nazywał w chwilach bezlitosnej szczerości „wstrętnym i nikczemnym uczuciem”, i czuł jednocześnie, że wszystkie jego młodociane marzenia i porwy spopieliły się doszczętnie w tej „niedobrej miłości” i że już nigdy nie będzie umiał pokochać „tą dziecinną, czystą, kryniczną miłością dwudziestu lat”.

W dziejach człowieka i artysty kilkuletni romans z Heleną Radziszewską był niewątpliwie faktem olbrzymiej doniosłości, nie dającym się ostatecznie wymierzyć w swych następstwach, głębokich i wielostronnych. Że się wśród dramatycznych powikłań tej namiętności poszerzyło i pogłębiło niepomiernie jego doświadczenie wewnętrzne, że przyśpieszyło jednocześnie dojrzewanie artysty — to oczywiste. Ale jak każda burza, oczyszczając i wyzwalając napięcia sił utajonych, namiętność ta niosła z sobą zarazem posiew spustoszenia.

Rozdział II

WIELKIE NADZIEJE I STRACONE ŻŁUDZENIA

Latem roku 1886 absolwent kieleckiego gimnazjum pojawił się po raz pierwszy na warszawskim bruku z zamiarem zapisania się w poczet słuchaczy Szkoły Weterynaryjnej. Wybór uczelni i kierunku studiów był swoistego rodzaju paliatywem, rozwiązaniem zastępczym, dyktowanym przez okoliczności zewnętrzne, przymusowe, ale i poniekąd przez własne, pielęgnowane od dłuższego czasu zamysły, projekty, aspiracje. Żeromski myślał już od dawna o medycynie. Lekarz-społecznik stanowił jeden z wzorców osobowych pozytywizmu, któremu żarliwy czytelnik „Prawdy” i Świętochowskiego podświadomie ulegał. Ale studium medycyny traktowane też było od początku jako swoista odskocznia do kariery pisarskiej. Fizjologia i anatomia mogły się niezwykle przydać, skoro zamierzało się być analitykiem i anatomem charakterów. Co prawda wręcz tragiczna sytuacja materialna adepta zdawała się *a priori* wykluczać nawet samą myśl o możliwości podjęcia i kontynuowania nauki, ale młodociany Żeromski usiłował zaufać niewiadomej przyszłości i chwycił się każdego, choćby i najwątleszego cienia nadziei. Jakoś właśnie w tym czasie rozeszły się po Kielcach pogłoski o zamierzonym otwarciu nowego uniwersytetu w syberyjskim Tomsku. Kandydatom zgłaszającym się do tej nowej uczelni miały być przyznane wyższe niż gdzie indziej stypendia i zwrot kosztów podróży¹. Tymczasem owe zachęcające rewelacje okazały się istotnie tylko pogłoską, a niepowodzenie maturalne zamknęło Żeromskiemu definitywnie dostęp do studiów. Wyjściem z tej kłopotliwej sytuacji miała więc stać się owa Warszawska Szkoła Weterynaryjna jako jedyna uczelnia stopnia półwyższego, która nie wymagała od zgłaszających się do niej kandydatów maturalnego patentu. W specyficznych warunkach zaboru rosyjskiego nie oznaczało to automatycznie nieuniknionego obniżenia poziomu wiedzy i nauki, gdyż łądowały w tej uczelni często jednostki bardzo zdolne, wybitne, umysłowo otwarte i rozbudzone, które jednakowoż na skutek „nieprawomyślnego myślenia” i zachowania

¹ Zob. J. Kądziała, *Młodość Stefana Żeromskiego*, Warszawa 1976, s. 135.

były relegowane ze szkół średnich jeszcze przed uzyskaniem matury. Pośród warszawskich kolegów Żeromskiego znalazło się również kilku byłych kielczan: Wacław Bienkiewicz, Feliks Dewitz, Edward Rychłowski, Otton (Otoś) Pławicki, Lucjan Pietrzykowski. Z nimi spotykał się najczęściej i na wykładach, i w organizacyjnym życiu młodzieży.

Profesura uczelni składała się z Rosjan i Polaków. Nie był to zapewne garnitur intelektów rangi i jakości najwyższej, niemniej w poszczególnych wypadkach styl i poziom wykładów mógł i rzeczywiście oddziaływał pobudzająco na literackiego aspiranta, spragnionego konkretnej wiedzy o wewnętrznych mechanizmach i tajemnicach istoty ludzkiej. Zwłaszcza kurs anatomii, prowadzony przez inspektora uczelni Aleksandra Izmajłowa, magistra nauk weterynaryjnych Petersburskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej, wykładowcy o pewnym dorobku drukowanym i autentycznych ambicjach naukowych, zajął szczególnie Żeromskiego budząc w nim niekiedy prawie entuzjazm: wczoraj —

śluchaliśmy prelekcji... o mózgu — zapisywał z przejęciem w swoim dzienniku. — Moje dawne marzenia ziściły się. Widziałem i krajałem mózg. Myślałem, że wścieknę się z radości, kiedy odnalazłem nerw wzroku, kiedy wpatrywałem się w tę cudowną budowę *arboris vitae*, kiedy dopatrywałem pierwszej, drugiej, trzeciej aż do dziesiątej pary nerwów [...] O fizjologio — nieśmiertelna a oczekiwana. Nad samym mózgiem można życie zatracić. To arcydzieło [...] niepojęte [...] ogromne.²

W tym zachwycie kryje się zagadka owych znamion szczególnych wyobraźni i stylu, w których wyrazi się w przyszłości tak charakterystyczne dla pisarza anatomiczne i fizjologiczne widzenie rzeczy. Otworzyło się jakieś ogromne pole podniet i marzeń. Ale nie tylko to jedno. Warszawa oczarowała Żeromskiego i zdobyła jego serce od pierwszych dni. Jakby życie naśladując literaturę zaczęło pisać na tej polskiej prowincji warszawską wersję złudzeń i nadziei balzakowskiego Lucjana de Rubempré, ubogiego młodzieńca z głową gorącą od płomiennych marzeń i wierzącego w swoją gwiazdę. „Miła i dobra” Warszawa — tak ją będzie odtąd nazywać w swoich zapiskach i wspomnieniach.

Rano nauka, chciwie chwyтана chemia, anatomia — wieczorem teatr, przyjaźń, braterstwo [...] cudne kobiety z ich jednodniową i najlepszą pono, jak śpiewała dziś Wisnowska, miłością, marzenia szerokie i nieskończone, wolność i wiara, i życie to lazarońsko-pańskie, i noce pędzone na rozkosznych snach, na marzeniach twórczych, i to mnóstwo ludzi, i nowość codzienna, i nieczułość na gorzkie jutro, na smutne wczoraj!³

Spośród darów, jakie ofiarowywała stolica przybyszowi z prowincji, najcenniejszy był teatr. W zniewolonym, podbitym kraju był ostatnią redutą żywego słowa polskiego, które wygnane z wszystkich stref i obszarów rzeczywistości codziennej przemawiało jeszcze ze sceny, mimo

² *Dzienniki II*, s. 194.

³ *Ibid.*, s. 90.

czujnej kontroli cenzorskiego urzędu niedosiężne dla niego w swoim ezo-powym języku aluzji, bezbłędnie i jednoznacznie odbieranym przez wy-edukowaną w tym zakresie, w lot chwytającą ukryte i domyślne sensy polską widownię. Urzędowe teatry warszawskie, Wielki i Rozmaitości, oparte na handlowych, komercyjnych zasadach, działające w dość ogra-niczonym środowisku stałych bywalców, zmuszone do zaspokajania bar-dzo różnych upodobań i oczekiwań oraz częstej zmiany repertuaru, re-prezentowały poziom nierówny i zróżnicowany. Obok błahych fars i blue-tek, obok przeciętnego materiału teatralnego, produkowanego przez ro-dzimych i zagranicznych dostawców stawy scenicznej: Sarneckich, Lu-bowskich, Zalewskich, Dumasów, Sardou i Ohnetów, zdarzali się przeto również i Schiller, Fredro, Słowacki. O starannej, pieczołowitej reżyserii i scenografii, o wielomiesięcznych próbach analitycznych mowy w tam-tych czasach nie było, pośpiech goniących siebie premier pozwalał co naj-wyżej na rozdzielenie ról aktorskich i ustawienie sytuacji scenicznych. Cały ciężar przedstawienia spoczywał na rzemiośle teatralnym wielkich solistów, oni przyciągali publiczność, stanowili fundament wspaniałości i rozgłosu sceny warszawskiej. Przeżywała właśnie wówczas swoją wielką epokę gwiazd i gwiazdorów: Alojzego Żółkowskiego, jednego z najwięk-szych fenomenów komedii w teatrze polskim, Wincentego Rapackiego, mistrza transformacji aktorskiej, w rolach charakterystycznych wznoszą-cego się na szczyty wirtuozerii, Bolesława Leszczyńskiego, niezrównane-go w kreacjach bohaterów tragicznych, Jana Tatarkiewicza, uwodziciel-skiego amanta, równie znakomitego w sytuacjach lirycznych, jak kome-diiowych. Obok nich kobiety: posągowa Helena Marcello-Palińska, ude-rzająca piękna Aleksandra Lüde-Żmurkowa i dwie pierwsze naiwne: Maria Wisnowska i Jadwiga Czaki-Mirecka, dzielące studentów z para-dyżu na dwa zwalczające się namiętnie obozy zaprzysięgłych stronników i wielbicieli, „czakistów” i „wisnowszczyków”.

Magia teatru wciągnęła Żeromskiego w swój krąg zaczarowany nad-wereżając dość istotnie chwiejny i niepewny budżet studencki. „Roztea-trzyłem się — zapisywał potem w dzienniku prawie przerażony owym teatralnym szaleństwem, które zresztą ogarnęło również i najbliższych mu ówczesnie przyjaciół, grożąc im niechybną finansową ruiną. — Sopli-ca otrzymawszy z domu jakieś czterdzieści rubli, zwariowawszy zarazem na punkcie [...] *Zbójców*, kupił biletu do krzesła. Niespodziewanie z pa-radyżu spadliśmy aż na dół”⁴. Wracało się po tych seansach teatralnych „z płonąca głową”: „odbierasz co tchu palto i wleciesz się marząc do do-mu”⁵. Na gorąco, pod pulsującym jeszcze w nerwach wrażeniem spisywa-ło się następnie w dzienniku jakieś niby-recenzje, impresje raczej, pełne zachwyków i bezwzględnych, zjadliwych złośliwości. „Żółkowski [...]

⁴ Ibid., s. 157.

⁵ Ibid., s. 11.

umarłego by rozśmieszył [...] Teatr się trzęsie, drży, paradyz gwizdże i wyje z radości, łoże chichocą”⁶. W Rapackim „wszystko artystycznie, skończenie dobre”, zrobi zawsze ze swej roli, co zrobić trzeba, „od niego [...] tylko bił ten promień tragedii Schillera, ta dziwna, upajająca woń poezji”⁷. Znakomita Marcello. „Grę jej pożerasz [...] burzysz się wszystkimi nerwami [...] ciska w grę całą siebie [...] stwarza namiętność i wre [...] kipi, wreszcie wybucha, a gdy ona wybuchnie — to przejmuję cię dreszcz, cierpisz i płaczesz [...] płacze teatr”⁸. Wisnowskiej w *Przechodniu* François Coppéego nawet „nie-romantyk musi [...] słuchać z zachwytem [...] jej naiwność dziwy z ludźmi zdolna wyrabiać”, a „zawsze drogich tajemnic pełna poezja Coppée’go” tak zdumiewająco przystaje do jej „dzikich ustek i oczu lazaronu [...] Kołyszysz się tą muzyką, tą piosenką i nie zważasz na piersi panny Noiret, robiące spazmatycznie jak miechy kowalskie szmer nieznośny”⁹. Zachwyt nie wykluczał krytycznego dystansu wobec śmieszności, kabotyństwa, teatralnej przesady, ale kochało się przecież ten przedziwny świat złudy, wyciskający łzy, poruszający w głębi duszy jakieś struny tajemne, uszlachetniający na mgnienie choćby jednej, krótkiej, przelotnej chwili.

Warszawa poszerzyła też i pogłębiła edukację sentymentalną prowincjonalnego kochanka pani naczelnikowej. Spotkania z ukochaną bywały obecnie coraz rzadsze, miłość „wieczna” i „na zawsze” w ciągu wydłużających się miesięcy rozłąki zdawała się jak gdyby odpywać, przygasać i zamierać. W otwierającą się pustkę uczuciową wdzierала się ulica warszawska ze swoją mocną, niepokojącą obietnicą tajnych, nieznanych i nieosiągalnych rozkoszy. Wieczorem szło się na Krakowskie Przedmieście, gdzie tyle par zakochanych, tyle ładnych twarzy kobiecych.

Nieraz spotykasz — zapisze po powrocie w dzienniku — dwoje młodziutkich ludzi; lekko i zgrabnie, przytuleni do siebie, idą pod rękę — migną przed oczyma jak gwiazdka ziemskiego szczęścia [...] W nasuniętym na oczy kapeluszu, z papierosem w zębach kłapię za nimi czas jakiś kaloszami. Ale co im do mnie? — idą do siebie.

Z zazdrosnych marzeń wyrывa cię jakieś boa, owijające szyję i twarz o szklanych oczach: kurtyzana z krainy Guciów Potockich. Inny świat.¹⁰

Ten „inny świat” oszałamiał i niepokoił intensywnym napięciem i frenezją życia, wyrafinowaną i podniecającą urodą kobiet, odmykał w młodzińcu jakieś skrytki marzeń, pragnień, pożądań, uwalniał utajone żywioły uczuć, z których wybuchnie i rozwieliżni się w nadchodzącym czasie wielka, śmiała, namiętna erotyka *Popiołów* i *Dziejów grzechu*.

⁶ Ibid., s. 90.

⁷ Ibid., s. 11, 157.

⁸ Ibid., s. 11 - 12.

⁹ Ibid., s. 13.

¹⁰ Ibid., s. 53.

Jest nieprzeparty, niepowstrzymany pociąg w piękności kobiecej — zanotuje pod wrażeniem przelotnego spotkania z panią hrabiną Ożarówską, u której zatrudniony był w roli nauczyciela domowego koleżka kielecki Otoś Pławicki. — Narzucają ci się te oczy ogromne [...] aksamitne, te rzęsy długie, te włosy jak węgiel czarne. Chciałbyś oprzeć się na rękach i wpatrzeć w tę twarz, wessać w te usta, rozpalic te posągowe, marmurowe policzki, rozmiękczyć chłodne palce i z dumnej pani zrobić niewolnicę...

A wracasz do domu zgięty, skulony [...] Siadasz i myślisz. Czy o hrabinie Ożarowskiej i długich jej rzęsach?¹¹

Od marzeń zbyt zuchwałych schodziło się do prozy dnia powszedniego. Tą prozą był świat szwaczek warszawskich, „pracownic igły”, jak je z ironiczną powagą będzie nazywać. Świat, a raczej światek, przypominający nastroje i obyczaje cyganerii Murgera, studenckich poddaszy, artystycznych pracowni, sentymentalnych rozmarzeń, niepomnej na biedę wesołości i beztroskiej pustoty, flirtów, miłostek, niewinnej wbrew pozorom zabawy w miłość, świat jedynie i najłatwiej dostępny w niepewnej egzystencji ubogiego studenta. Z nim żył się najsilniej i poznał go aż do rdzenia jego istoty; nakreślił nawet w dzienniku coś jak gdyby traktacik socjo-psychologiczny o typowej szwaczce warszawskiej, oparty na rzetelnej znajomości istot tego rodzaju. „Cóż to jest właściwie” owa Helenka? („Bóg mię karze Helenami”) — zapisze autoironicznie w swoim dzienniku: „Typowa mieszcza warszawska. Gdyby [...] zjawiała się w towarzystwie na prowincji, zapędziłaby w kozi róg najszlachetniej spłodzone i edukowane dziewice [...] wie o wszystkim z rozmowy [...] ma swój *savoir-vivre* jak panna z towarzystwa, ma swe miary, którymi mierzy wesołość, grzeczność, rozsądek, uprzejmość, nawet miłość «faceta» [...] jest na swój sposób kokietką. Kokieteria jej na prowincji nazywałaby się wyuzdaniem”, ale gdy się doskrobać do jej rzeczywistego charakteru „znajduje się [...] dosyć skromne, proste, uczciwe, religijne, głupiuteńkie [...] szczerze, czasami aż serdeczne dziewczątko”¹². Flirt z istotą tego rodzaju nie jest żadną rozpustą, to nawet nie miłostka, to bawienie się w miłość, sprawa jej niewinnej próżności. „Mieć faceta” — to „jej sława, sława jej wdzięków [...] Nie lubi trywialności, nie znosi nieeleganckiego języka, nigdy by się nie zadała z żadnym «rękodzielnikiem», co ma ręce «jak wysmarowane dziegiem poduszki». Jej ambicja to student, który umie się kłaniać, „szepać ładnie [...] jest delikatny, zgrabny, uprzejmy, dobry”¹³. Ten świat „nie jest ani półświatkiem, ani prostytutką, ani światem naiwnych. To świat uczciwych «szwaczek»”¹⁴.

Ale Warszawa odkrywała niekiedy również inne regiony, ileż ciekawsze. Zaproszony przez kolegów, jako sławny już w studenckim środowisku deklamator poezji, na panieńskie zebranie, „kółko panien”, wzorowa-

¹¹ Ibid., s. 127.

¹² Ibid., s. 478.

¹³ Ibid., s. 479.

¹⁴ Ibid.

ne na podobnych męskich kółkach samokształcenia, zdumiony był i zachwycony tym innym, wyższym i nieprzeczuwanym gatunkiem kobiet: „pensjonarki z klas wyższych, nauczycielki prywatne, studentki konserwatorium muzycznego [...] Patriotki szalone, postępowe [...] rozumne [...] piękne, zacne [...] swobodne, z dobrym i czystym uśmiechem na twarzy”¹⁵. Jedną z takich spotykał uporczywie na ulicy warszawskiej. „Wyszedłem z domu po dziewiątej — wiedziałem, że ją spotkam. Nie marzę o jej mądrym uśmiechu, o mądrej głębi jej oczu, bo ciągle go widzę. Gdybym ją pokochał, byłbym tysiąc razy silniejszy”¹⁶. Zobaczył ją raz jeszcze w kościele Świętego Krzyża na uroczystościach żałobnych ku czci Kraszewskiego. Ujrzał ją, gdy stał przejęty do głębi „płaczem grobowym” muzyki Chopina. „Oczy jej były otwarte i kryształki jakieś świeciły w kątach tych [...] czarnych oczu. Skąd się tam wzięła [...] aby serca nasze targało jedno uczucie [...] Jest Polką, jest czystą, serdeczną, polską dziewczyną”¹⁷. Jej dziewczęcy wdzięk unieśmiertelni później w literackiej postaci panny Stanisławy Bozowskiej, pięknej i nieszczęśliwej „Siłaczki”.

Pierwsze miesiące na warszawskim bruku zdawały się zapowiadać przyszłość najbliższą oczywiście nie łatwą, ale względnie znośną. Znalazły się bez większych trudności jakieś przygodne i dorywcze zarobki, korepetycje i przepisywania, jakieś zasiłki stypendialne, dzielone po bratersku, solidarnie z kolegą. W godzinach wolnych od gonitwy za chlebem, więcej niż studium anatomii nęciło coraz częściej życie ideowe studenterii warszawskiej. Mimo samotniczych skłonności wciągnęło z czasem przynajmniej w swój wartyk, burzliwy nurt.

Ówczesne nielegalne kółka młodzieży, organizowane z reguły na zasadzie regionalnej wspólnoty pochodzenia, skupiające członków wywodzących się z tej samej miejscowości lub szkoły (koło staro- i nowokielczan, koło płocczan czy kresowiaków), nie miały jeszcze charakteru w pełni politycznego¹⁸. Statut owej luźnej organizacji przewidywał jedynie pracę nad pogłębieniem wykształcenia, pomoc wzajemną w czasie studiów, wreszcie dość nieokreśloną działalność pozastudencką, społeczną i patriotyczną. Był to zatem program jak gdyby „organicznikowski” i na wskroś pozytywistyczny, utrzymany w granicach przezornie „rozsądnych” i nieledwie legalnych, którego najbardziej radykalnym żądaniem była oświata ludu.

Bieg zdarzeń zaczął jednak już w początkach pobytu Żeromskiego w Warszawie rozsadzać z wolna ramy ideologii tak wstrzemięźliwej

¹⁵ Ibid., s. 185 - 186.

¹⁶ Ibid., s. 95.

¹⁷ Ibid., s. 187.

¹⁸ Zob. *Księga pamiątkowa Kielczan 1856 - 1904*, Warszawa 1925; J. Offenberga, *Stan umysłów wśród młodzieży akademickiej Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1885 - 1890*, Warszawa 1929; J. Pazdura, *Patriotyczne organizacje młodzieży szkolnej w Kielcach po r. 1863*, „Radostowa” 1939, nr 4.

i ostrożnej. Szybkemu upolitycznieniu kół młodzieżowych sprzyjało powstanie dwu organizacji, które w tych właśnie latach rozpoczęły swoją działalność. W r. 1886 garść emigrantów i studiującej za granicą młodzieży założyła w Szwajcarii tajne stowarzyszenie pod nazwą Liga Polska¹⁹. W pierwszym paragrafie statutu określono jako cel zasadniczy tego związku skupienie wszystkich sił narodowych dla odzyskania niepodległości państwowej w granicach przedrozbiorowych, na zasadzie federacyjnej. W dalszych punktach programu odwoływano się do wielu wskazań sformułowanych już w manifestie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z pewnymi zmianami i modyfikacjami podyktowanymi koniecznością uwzględnienia coraz bardziej dynamicznej w ruchach społecznych Europy ideologii ludowej i socjalistycznej. Liga przechwytywała bardziej atrakcyjne ich hasła, temperując zarazem nazbyt radykalne ich brzmienie. Nieuchronna przebudowa społeczna miała prowadzić do sprawiedliwszego niż dotychczas rozłożenia ciężarów i przywilejów między różne warstwy i grupy, ale bez naruszania istniejących podstaw ustroju. Był to więc program typowo solidarystyczny, odrzucający stanowczo jakąkolwiek rewolucję i walkę klas, preferujący wyraźnie prymat chłopstwa i kultury ludowej jako sił i wartości dla odrodzenia się narodowego niezbędnych i podstawowych.

Wykładnikiem interesów i haseł Ligi w kołach młodzieżowych był założony w rok po jej powstaniu Związek Młodzieży Polskiej, znany pod kryptonimicznym symbolem Zet. Doskonale zakonspirowany opanowywał z wolna i niepostrzeżenie środowiska studenckie i uczniowskie, nie ujawniając wyraźnie ani celów, ani własnej organizacyjnej struktury, zostawiał wiele swobody, zachęcał do gorących dyskusji kierując je przecież konsekwentnie, choć dyskretnie, w pożądaną łożysko. Żeromski włączył się dość szybko w ów nurt poszukiwań ideowych głównie jako prelegent, autor referatów o poezji Mickiewicza, Asnyka i Konopnickiej, eksponując jej wymowę społeczną i narodową.

Wśród tych różnorodnych inspiracji i podnieć niełatwo przecież było zorientować się od razu oszołomionemu po trosze i zagubionemu w stolicy przybyszowi z prowincji. Postawa młodego Żeromskiego ujawniała więc istotnie znamiennej chwiejność i niepewność rozeznania się w poglądach cudzych i własnych. Nie mógł pozostać obojętny i głuchy wobec narodowych i społecznych poglądów Zetu i patronującej mu Ligi, bo niepodległość, patriotyzm, akcja zbierania składek na skarb narodowy za podniętą rzuconą przez uwielbianego i czcigodnego Jeża, praca wśród ludu i dla ludu — to były przecież idee nieomal własne, wypieszczone w młodzieńczej duszy jeszcze w latach kieleckich. Ale niepokoiły go niekiedy coraz silniej wybijające się w wystąpieniach zetowiczów akcenty

¹⁹ Zob. W. Pobóg-Malinowski, *Narodowa Demokracja 1887 - 1918. Fakty i dokumenty*, Warszawa 1933; R. Wapiński, *Narodowa Demokracja 1893 - 1939*, Wrocław 1980.

nacjonalistyczne, wynoszące siłę nad prawo. Patriotyzm wiązał mu się nierozdzielnie z miłością do człowieka i z jego pełnym wyzwoleniem społecznym. Nie przystawał na walkę klas, bo nie chciał rozproszenia i rozbitcia sił narodowych, ale i hasła zgody wszystkich warstw i stanów, zalecane przez Ligę, w świetle choćby własnych doświadczeń wyglądały mu nieraz na urągawisko. Raził minimalny program reform społecznych, ograniczony do filantropijnych poczynań oświatowych wśród ludu, gdy on marzył o pełnym, całkowitym zrównaniu w prawach chłopu polskiego.

Na krystalizowanie się poglądów ideowych przyszłego pisarza istotny wpływ wywarło również założone w tym czasie czasopismo „Głos”²⁰. Był to nieoficjalny organ Ligi Polskiej, jak i ona w tej początkowej fazie swego istnienia nie dość ideowo wyraźny i jednoznaczny, choć redagowany z pasją, z talentem i z wybitnym wyczuciem narodowych i społecznych nastrojów. Interesował się żywo sytuacją wsi polskiej, atakował ziemiaństwo, w chłopstwie chciał widzieć przyszłość i nadzieję narodu. Mając duchowieństwo za ostoję konserwatyzmu społecznego „Głos” zajmował w wielu swoich reformistycznych roztrząsaniach stanowisko świadomie antyklerykalne. Sporo uwagi poświęcano na łamach pisma kwestii robotniczej, rozpatrywano zagadnienia warunków pracy w przemyśle, zdrowia i higieny w fabrykach i proletariackich osiedlach, sprawy zabezpieczeń na starość i na wypadek choroby. Współpracowali z „Głosem” ludzie różnych poglądów polityczno-społecznych: przyszli przywódcy nacjonalizmu polskiego, jak Jan Ludwik Popławski i Zygmunt Wasilewski, ale także przedstawiciele politycznej lewicy: Ludwik Krzywicki, Wacław Nałkowski, Andrzej Niemojewski. Tolerancja redakcji, dopuszczającej do głosu najrozmaitsze orientacje, nadawała pismu charakter otwartej, liberalnej „wolnej trybuny”. Z czasem stan ten się zmienił. Walka orientacji w łonie redakcji pisma zakończyła się zwycięstwem politycznej prawicy, która coraz wyraźniej sterowała w stronę formującego się z wolna obozu nacjonalistycznego, zgodnie zresztą z ewolucją ideową swojej patronki Ligi, mającej się przemianować niebawem z Polskiej na Narodową.

W momencie gdy Żeromski zetknął się po raz pierwszy z ideologią „Głosu”, tendencje owe nie zdołały jeszcze wyjść poza stadium przygotowawcze. Niemniej przyszły pisarz wyczuł już wówczas w wywodach i wypowiedziach pisma tony obce i niemiłe jego wyobrażeniom i odczuciom. Niekiedy ta opozycja wynikała z pewnej dezorientacji i naiwności czytelnika, zagubionego po trosze pośród zawile zagmatwanych podtekstów myśli. Tak właśnie zwodziły niekiedy Żeromskiego radykalne frazesy ideologów pisma, którzy przyswoiwszy sobie stylistyczne zwroty narodników rosyjskich przesłaniali nimi treści zgoła odmienne. Ale nieświa-

²⁰ Zob. J. Hulewicz, *Zeromski a ideologia polityczno-społeczna „Głosu”*, „Ruch Literacki” 1930; J. Żurawicka, *Czy Żeromski był „głosowiczem”?*, „Pamiętnik Literacki” 1965, z. 1.

domy czytelnik, niechętny wszystkiemu, co nosiło piętno zapożyczeń ze wschodu, zwiedziony brzmieniem ostro rewolucyjnych sformułowań, protestując wewnętrznie pomawiał „głosowiczów” o „socjalizm rosyjski”, choć ideologia pisma o sto mil była odległa od socjalizmu jakiegokolwiek barwy. Niemniej zasadnicze ukierunkowanie się „Głosu” wydawało się bliskie, zyskiwało uznanie poszukującego swej drogi aspiranta literatury i w niedalekiej już przyszłości znaleźć miało wyraz w pierwszych jego utworach. Taką myślą akceptowaną bez zastrzeżeń była idea przez Popławskiego propagowana szczególnie szeroko: „nie przez naród dla ludu, lecz przez lud dla narodu”. Tę samą siłę przyciągania ujawniały projekty przebudowy ustroju ekonomicznego na drodze kooperacji drobnych wytwórców i mocniejszego wiązania się inteligencji ze światem pracy.

Ale nie tylko owe generalne tendencje ideologii „Głosu” działały na świadomość początkującego pisarza; animowały go niekiedy koncepcje i propozycje wyrażane przygodnie, okazyjnie. Kiedy w najbliższych latach pismo otworzy swe kolumny debiutantowi i ułatwi mu start ku piarskiej karierze, Żeromski zbliży się na czas pewien do środowiska „Głosu”, stanie się niemal jednym z „głosowiczów”. Jego ideologia będzie jeszcze w tych początkach bardzo mgławicowa w szczegółach i niepewna w zaleceniach praktycznych, ale całkowicie świadoma i zdecydowana w punktach zasadniczych. Zawsze, na pierwszym miejscu — ojczyzna, Polska, niepodległość; w wolnej Polsce — lud wieśniaczy, wydzwignięty z dna ucisku i niedoli społecznej.

Główną podstawą egzystencji w warszawskich początkach Żeromskiego było stanowisko korepetytora w domu zamożnego rejenta Michała Józefowicza, przy ul. Długiej 42. Warunki kondycji były właściwie znakomite: osobny pokój, doskonałe wyżywienie, usługi lokaja, wcale znośne wynagrodzenie pieniężne. Dom był snobistyczny, na poziomie wysokim, z pretensjami, konserwatywny, w poglądach chlebobawców drażniący, w opiniach ostrożny i lojalny — polor światowy i pieniądze były tu jedyną, ostateczną miarą wartości. Najsurowszymi słowami potępienia utrwał guwerner obraz tej plutokratycznej „arystokracji” w swoim dzienniku. Jedynym wyjątkiem, wyłączonym spod tej totalnej anatemy, był ów uczeń, mały Staś Józefowicz. Chłopiec był żywy, z rozbudzoną imaginacją, chętny do słuchania i do czytania, lgnący do swojego nauczyciela, który wbrew ogólnemu nastawieniu edukacji domowej usiłował zasiewać w chłopięcą duszę wychowanka pewne myśli i wyobrażenia z innego świata, opowiadając mu np. życiorysy Kościuszki i Napoleona.

Chłopiec chłonał te wieści z roziskrzonymi oczyma i rozповідаł domownikom, nie budząc oczywiście dla tego rodzaju orientacyjnej entuzjazmu rodziców. Zauważono zarazem z niepokojem, że pan wychowawca nazbyt często pokaszluje i pochrząkuje, miewa febry i uporczywe bóle głowy. Zatrwożono się tym podejrzanym stanem jego zdrowia; mógł mieć bardzo niekorzystne następstwa dla młodziutkiego elewa.

Skorzystano z okazji. W czasie ferii świątecznych, wiosną r. 1887, które spędzał Żeromski w swoich stronach rodzinnych, otrzymał list z Warszawy wypowiadający kondycję. „Wszelkie zmiany sytuacji kosztują mię zazwyczaj dużo, a ta szczególnie — pisał w swoim dzienniku. — Byłem na wsi, rozleniwiony wygodą” — i nagle ta zaskakująca wiadomość. „Przemęczyłem się w ciągu kilku nocy rozmyślając tą robaczywą kaskadą myśli, którym można by dać ogólny tytuł: niepewność”²¹.

O zarobki w Warszawie było niezwykle trudno. Przygodne lekcje rwały się co chwila. Rozpoczęło się powolne zstępowanie na dno. Przyszły dnie, w których jedynym pożywieniem były chleb i herbata. „Więcej już niż tydzień nie jadłem obiadu — gdybyż obiadu: nie miałem nic w ustach prócz herbaty i chleba”²². Ale i chleb stawał się niekiedy nieosiągalny. „Zeszedłem do najniższego prawie pokładu życia — zapisywał w dzienniku. — Nie mam grosza przy duszy i żadnego widoku na przyszłość [...] Nieraz, gdy jestem zupełnie głodny i kompletnie bezsilny [...], nieumyty, z brudnymi rękami i w wytartym tużurku i wchodzę na nieskończoną wysokość naszych schodów, a drzwi zastają od mieszkania zamknięte [...] czułbym wielką wdzięczność ku temu, kto by mię z wysokości tych schodów zepchnął”²³.

Przygodną pomoc i ratunek znajdował niekiedy wśród znajomych i krewnych. Kilkakrotne pobyty u Radziszewskich w Białej, w Górnie u wujostwa Schmidtów, u kuzyna Józefata Saskiego w Kurozwękach, dawały mu zaledwie kilka dni przelotnego wytchnienia. Ale za każdym powrotem do Warszawy zaczynały się od nowa te same troski. W tych warunkach kontynuowanie nauki stawało się najoczywściej niepodobieństwem. Trzeba było się pożegnać z Warszawą i ze studiami i szukać środków do życia w szerokim świecie. Jedynym wyjściem był powrót do pedagogicznych zatrudnień nauczyciela domowego po szlacheckich dworach. Marszruta owej guwernerskiej włóczęgi wiodła szerokim zakolem od stron rodzinnych, sandomiersko-kieleckich, poprzez piaski północnego Mazowsza aż na Podlasie i w Lubelskie. Szulmierz w Ciechanowskim, Oleśnica w Stopnickiem, Łysów podlaski i Nałęczów — oto główne etapy i chwilowe postoje w kilkuletniej wędrówce nauczyciela.

Wyjeżdżał z Warszawy na te przymusowe kondycje pod naciskiem potwornej sytuacji, w stanie psychicznym i fizycznym najfatalniejszym. Porzucając stolicę pozbawiał się dobrowolnie wszystkich jej uroków: teatrów, wystaw, intelektu, nawet wdzięku jej ulic. Cóż go mogło czekać poza nią? — Prowincjonalna nuda wiejskich hreczkosiejów, beznadziejne rozmowy i jeszcze bardziej beznadziejne, syzyfowe wysiłki nad umysłowym rozbudzeniem uspiionych i otepiałych mózgów swych ziemiańskich elewów.

²¹ *Dzienniki II*, s. 202.

²² *Ibid.*, s. 214.

²³ *Ibid.*, s. 213.

Szesnastoletnia panna Łucja posiadała język angielski, francuski i niemiecki, nie umiając wcale pisać po polsku. Gdy usiłowała mówić w swym języku ojczystym, każde zdanie tłumaczyła w myśli z francuskiego lub niemieckiego, nie potrafiła opowiedzieć najprostszego wypadku, gdyż brakło jej po prostu wyrazów, a odnalezione z trudem słowa plątały się zupełnie fatalnie. Pan Jan, brat owego dziewczęcia, skończył podobno cztery klasy realnego gimnazjum, „ale tak nic — zapisywał Żeromski — nie umie, że włosy stają na głowie. [...] Jak go męczą piekielnie moje wykłady — opisać trudno”²⁴.

Stan zdrowotny przygodnego nauczyciela był nieomal katastrofalny. Wielomiesięczne wyniszczenie głodowe zaktywizowało utajone i odziedziczone po matce dyspozycje gruźlicze. Bóle w boku, ataki fabry, nieznośnego, męczącego, suchego kaszlu stanowiły stan prawie chroniczny, zamieniając wszystkie noce i dni w zmorę nieustającą. Przypadkowy uraz w lewą dłoń w czasie ćwiczeń sprężyną gimnastyczną wytworzył ropiejące ognisko, którego nie można było zlikwidować mimo kilkakrotnych zabiegów operacyjnych u miejscowego eskulapa. W czerwcu r. 1889, zaopatrzony w list rekomendacyjny od swych chwilowych chlebodawców i za nielegalnym paszportem wyjechał Żeromski do Krakowa, aby poddać się bardziej fachowej operacji u tamtejszych uniwersyteckich chirurgów. Była to jego pierwsza zagraniczna wyprawa, a jej celem był Kraków — centrum polszczyzny i żywy pomnik minionej chwały i wielkości. Zdumiewała go atmosfera tej dzielnicy, z wszystkich zaborów cieszącej się największą względnie wolnością. Błądził jak odurzony po tym dziwnym świecie, jakże odmiennym od tego, w którym się urodził i z którego przybywał. Wawel, rynek, kościół Mariacki, sukienice, groby królewskie i pomniki starożytnej świetności budziły w nim uczucie nieznaney dumy. „Czasami jak idiota — pisał potem w dzienniku — stawałem na widok białych orłów i pogoni ratusza i przyglądałem im się długo. To wy tak wyglądacie, to wy takie?”²⁵ Młody, inteligentny i myślący Polak w 24 roku życia jakby po raz pierwszy rozpoznawał herb swojego narodu.

Operacja krakowska nie przyniosła niestety spodziewanych wyników, trwająca nadal *periostitis* skazywała go na nie kończące się, wielotygodniowe męczarnie, odwiedziny lekarskie, bolesne opatrunki. Wszystko to wprawiało go w ustawiczne, niezmiennie w nim pulsujące rozdrażnienie, napięcie nerwów, w chorobliwą ekscytację zmysłową. Jak gdyby na zasadzie przedziwnego paradoksu psychologicznego: im silniej czuł swoją nędzę fizyczną, im więcej cierpiał, miał uczucie, że to koniec i już kres ostateczny, z tym zuchwalszą frenezją korzystał z przypadkowych okazji, jakie podsuwało mu toczące się obok niego, obce i obojętne życie. Tych kilkanaście miesięcy guwernerskiej włóczęgi to znów bardzo istotny epizod w szkole

²⁴ Ibid. III, s. 224 - 225.

²⁵ Ibid., s. 375.

jego doświadczeń erotycznych, z tych niezwykłych okoliczności czerpać będzie w przyszłości swoje tajne impulsy i swoją barwę osobliwą bulwersująca czytelników, śmiała i prowokująca erotyka literacka pisarza. Stany, jakie przeżywał, były niesłychanie skomplikowane i wewnętrznie sprzeczne. Nurtująca go choroba wytwarzała w nim uczucie nieustającej samotności; w nieszczęściu człowiek jest straszliwie samotny. Nie odstępowała go myśl, że musi umrzeć i że dzień ten jest blisko.

W tym stanie całkowitego opuszczenia każdy gest serdeczniejszy wywoływał chwilową złudę, że interesuje się nim choćby jedna na tym świecie istota. Owa szesnastoletnia uczennica, Łucja czy Lucy (jak ją nazywał) Zaborowska, ona jedna „ma dobre serce” — zapisywał w dzienniku, swoim jedynym przyjacielem — ona jedna z troską w niebieskich oczach pytała go co rano o stan zdrowia. Uczucie, jakie zaczęło się rozwijać między tą oleśnicką młodziutką „Heloizą” i jej poddającym się najczarniejszym przewidywaniom „Abelardem”, naznaczone było rzecz jasna od początku piętnem chwilowego porywu, skazanego na nieuchronne zapomnienie. Nie miał złudzeń, że jeśli były w tym dziecku jakieś dobre odruchy, zdławione szybko zostaną przez fatalne wychowanie i przykład sfery, w jakiej się ta dziewczyna urodziła i w jakiej pozostanie na zawsze. Pod naporem myśli tego rodzaju pojawiał się w nim drwiący cynizm, w którym więcej było rozpacz niżli rzeczywistego przekonania. Czyż nie zbalamuci jej prędzej czy później pierwszy lepszy? Czemuż on miałby się cofnąć, skoro został przez nią wybrany? „Nigdy mężczyzna nie znieprawia kobiety [...] Samo to przychodzi. Uczucia i pragnienia płyną jak woda”²⁶. Można je co prawda powstrzymać, ale w imię czego? Tak „trudno jest niezmiernie wyrzec się rozkoszy dzisiejszej, smutków z niej [...] płynących, chwil przygnębienia dlatego tylko, że świadomi jesteśmy zmiany, jaka nieuniknienie nastąpić musi”²⁷.

Miłość wydawała się złudą, marą wypieszczoną przez fatalną siłę, której zmuszeni jesteśmy mimowolnie podlegać. Udęczenia miłości należało więc leczyć radykalnym sposobem i metodą Heinego niszczyć jedną miłość miłością drugą i trzecią, i następną. Rozpętał się jakby *furor eroticus* „poza dobrem i złem”, który znajdzie swe najdrastyczniejsze spełnienie w jednoczesnym prawie romansie z dwiema siostrami, z jego nową chlebodawczynią z Łysowa podlaskiego panią Anielą Rzążewską i z jej młodszą siostrą z sąsiedniego Patkowa panią Natalią. Cały ten tercet miłosny notowany był na gorąco w dzienniku z pasją i przenikliwością analityczną, do jakich nie wzniesie się diarysta właściwie nigdy nawet w najświetniejszych swych przyszłych romansach literackich. Miażdżąca na pozór logika rozumowania, z jaką usiłował usprawiedliwić przed sobą zdumiewającą zmienność i bezwzględność tych kłamliwych „miłości”, nie liczących się

²⁶ Ibid., s. 390.

²⁷ Ibid., s. 395.

nie tylko z przyjętymi powszechnie konwencjami obyczajowymi, lecz co gorsze z odczuciami swych łatwo zdobywanych i jeszcze łatwiej porzucających i zapominanych jednodniowych prawie kochanek, nie może przesłonić jakiegś skazy moralnej, twardego i nielitościwego cynizmu i psychicznego szantażu, którymi wymuszało się zaspokojenie chwilowych kapryśków pożądania, tym silniejszych, im więcej piętrzyło się na drodze przeszkód. Nie miał złudzeń co do natury swoich uczuć. W przystępie absolutnej szczerości zapisywał w swoim codziennym raptularzu:

jakże puste jest serce moje, jak już stoczone przez robaki, jak nie można wierzyć jego porywom [...] Chodzimy nieraz dwakroć dziennie na spacer w grabową ulicę, aby tam okłamywać się na zimno, znużonymi ustami przysięgać miłość do grobu [...] Tylko człowiek moralnie chory może popełniać tego rodzaju kazirodztwa duchowe: zbałamucić dla samej przyjemności bałamucenia, zrujnować kobietę, sprowadzić do stóp swoich [...] a nie być w możności ofiarować jej jednego ciepłego pocałunku [...] Strach pomyśleć, że nie zostawię po sobie dobrego wspomnienia w sercu żadnej kobiety, które... kochałem.²⁸

Bilans owych guwernerskich doświadczeń nie był jednak tak wyłącznie fatalny, był też niesłychanie pouczający. Codzienne obcowanie z mnóstwem osób nieznanymi, o najrozmaitszych wyglądach, fizjonomiach, charakterach, temperamentach, formach zachowań, umysłowych poziomach i o różnej uczuciowej kulturze, stawało się wielką szkołą życia i podniecia twórczości. Utwierdziły się już wówczas pod presją zdarzeń i zebranych w toku owej włączęgi obserwacji pewne rysy znamienne postawy i widzenia rzeczywistości, które już wkrótce, w formie tematycznych motywów, miały wejść do najbliższych, dojrzałych już pisarsko utworów.

Pierwszą zdobyczą owych tygodni i miesięcy było bliższe poznanie polskiej „gentry” ziemiańskiej (jak ją ironicznie określał) tamtego czasu. Jako nauczyciel i osoba mimo wszystko wywodząca się z tej samej „pańskiej” i szlacheckiej sfery Żeromski korzystał z wszelkich uprawnień i przywilejów stanowiska — miał do swej dyspozycji osobny pokój, służbę, konie, jadał przy wspólnym stole z „jaśnie-państwem”, brał oczywiście udział we wszystkich zabawach i rozrywkach domu, był „jednym z nich”. Mógł więc obserwować to środowisko nie z zewnątrz, z dystansu, okazjonalnie, lecz o każdej godzinie w jego codziennych reakcjach i powszednich nawykach, nie maskowanych żadnymi pozorami towarzyskich konwencji. Wynik obserwacji w jego subiektywnym odczuciu był właściwie przerażający. Pod cieniutką warstewką powierzchownej ogłady i pretensjonalnych snobizmów dostrzegał drażniącą płytkość, ciasnotę umysłu, przyziemność zachceń i pragnień, zakłamanie moralne, bezwzględny i nielitościwy egoizm, serwilistyczny legitymizm wobec obcej władzy w tym kraju i obrażający jego własne uczucia patriotyczny kosmopolityzm. Obserwował kobiety piękne i rozpustne, które zbyt łatwo stawały się zdobyczą przy-

²⁸ Ibid., s. 424 - 425, 430 - 431.

stojnego nauczyciela, budząc w nim szybko niesmak i pogardę. Patrząc już wtedy na to środowisko oczyma artysty widział je uwiecznione w jakimś szerokim powieściowym obrazie, rysowane ostrymi, jaskrawymi barwami, z zacieklą pasją. Przynurzał sobie: „nie braknie mi fantazji, ni odwagi, nie braknie piekielnej ironii, z jaką opiszę ich całych od stóp do głów”²⁹. Powieści takiej nie napisze, ale owa namiętność oskarżenia zabarwi niejedną kartę przyszłych utworów rumieńcem gniewu.

Guwernerskie lata przyniosły jeszcze drugą, bezcenną zdobycz. Ów ludzający pozorami wyższej kultury salon dworski, w którym prowadziło się rzadko mądre, częściej beznadziejnie głupie rozmowy, był swoistą, drobną enklawą, zatopioną w morzu chłopskiej ciemnoty. Po raz pierwszy uświadomiła mu się z tak uderzającą oczywistością i otworzyła przed nim nieprzebyta i niezgłębiona przepaść między nie przystającymi do siebie dwoma obszarami rzeczywistości. Wystarczyło wyjechać poza bramę pańskiej rezydencji, by się znaleźć natychmiast w świecie przerażająco odmiennym, bytującym w otchłani jakiejś potwornej nędzy i cywilizacyjnego prymitywu. Czasem nie było nawet potrzeba wychylać się poza obręb salonu; siedziąco w wytwornym gronie domowników i gości, prowadziło „intelektualne” rozmowy o literaturze i sztuce, gdy nagle w tę leniwą sytość jakby roślinnej wegetacji wdzierało się „tamtą”. Ktoś „stamtąd” w niecierpliwej potrzebie ośmielał się przerywać poobiednią sjęstę i dopraszać się łaski. Przez uchylone drzwi dolatywały do salonu uniżone słowa pokornej prośby, czasem szloch i płacz, i krzyk „jaśnie pana”, który beszał, groził, ostrzegał.

Niekiedy ciekawski młody człowiek towarzyszył rządcy majątku w objeździe posiadłości i oglądzie robót. Przypatrywał się pilnie chłopom szlamującym staw, kopiącym przez dzień cały w cuchnącym błocie, schylającym się w pokornym uniżeniu przed pańską wielmożnością, i notował po powrocie w swoim dzienniku: „Chłop zdejmuję czapkę przed surdutowcem czując w nim szlachcica [...] zdejmuję czapkę, bo «pan» jedzie. Dwa-dzieścia lat temu już śpiewano: «Precz z tytułami — księżę i pan!» — znaczy to tyle, co republika... Daleko tobie do republiki, kraju mój! Trzeba by wieków, by nauczyć wszystkie dzieci tej ziemi, że są równymi mi, że nie ma pierworodnych i pasierbów”³⁰.

Na Podlasiu odsoniło się nieoczekiwane jeszcze inne, nowe, olśniewające pojęcie rzeczy. Ten chłop, bity i poniewierany, wydany na pastwę popów i żandarmów, opuszczony przez wszystkich, dawał dowody patriotyzmu i wierności najwyższej miary. Na tle ogólnego znikczemnienia i lęku ten nieświadomy siebie heroizm prostego ludu był tak niezwykłym i porywającym zjawiskiem, że nie sposób było oprzeć się i nie poddać jego sile i pięknu. W jego blasku pogłębiały się i wyostrzały gwałtownie wszystkie

²⁹ Ibid., s. 128.

³⁰ Ibid. I, s. 306.

przeciwieństwa, dzielące Żeromskiego od świata pojęć i poglądów środowiska i klasy, do których wciąż się zaliczał z racji pochodzenia i pozycji społecznej. Cóż go z nimi łączyło poza krojem surduta? Czyż nie był tylko ubogim gubernierem, proletariuszem, dziś przypuszczonym łaskawie do pańskiego stołu i wygod życia, jutro zepchniętym w nędzę i bezdomność? Czyż wszystko to, w co wierzył, co ukochał i uważał za świętość, nie znalazło schronienia wśród tych prostych ludzi i tylko tutaj? Dołączała się stara, zadawniona nieprzyjaźń między utytułowaną magnacką górą a społeczeństwem drobnoszlacheckim i równie wiekowe przeświadczenie, że ta właśnie arystokratyczna wielmożność odpowiedzialna jest za upadek i rozbiór Polski. Przyszłością i jedyną nadzieją wydawał się być tylko lud, wyzwolony z jarzma głodu i niedoli społecznej, oświecony, podniesiony do poziomu obywatelstwa. Lud ten „poznać, zgłębić jego duszę” i „taki, jaki jest [...] na kartki przenieść [...] Jego odrysować — to dzieło życia”³¹.

Rzeczywistość jednak nigdy nie jest tak prosta, jak się to na pozór mogło wydawać. Rozdwojony między tak różne i nie przystające do siebie światy Żeromski przeżywał szczególnego rodzaju rozdarcie moralne i ambivalencję uczuć. Ten dwór ziemiańsko-szlachecki, fundujący swój dostatek, sytość, wygodę na katorżnej pracy chłopskiej biedoty, ci ludzie, których płytkość, głupota, moralna nicość i wulgarny snobizm doprowadzały niekiedy ubożego inteligenta do najwyższej irytacji i szewskiej pasji — był to przecież mimo wszystkich potępień jakiś rytuał usankcjonowanych tradycją zachowań, styl i tryb bytowania, który wydawał się niekiedy niemal ideałem życia doskonałego. Ta swoista patriarchalność obyczajów i ładu, poczucie swobody i niezależności wewnętrznej, jakie daje dostatek i pewność jutra, gładkość form i materialny komfort, nieskrępowana gra instynktów i sił biologicznych, których nadmiar nie znajdując upustu w walce o byt wyładowuje się w zmysłowych przyjemnościach życia wiejskiego, w sąsiedzkich odwiedzinach, w „kawaleryjskich” rozjazdach po rozległych obszarach pańskiego dominium, w wyrafinowanych rozkoszach stołu i flirtu — wszystko to miało niezwalczony i nie dający się odeprzeć powab. I to już na zawsze Żeromskiemu zostanie — to wewnętrzne rozdwojenie między świadomym potępieniem a instynktownym podziwem, między poczuciem obowiązku a uwodzicielsko kuszącą urodą życia.

Tym zatrudnieniom gubernerskim i perypetiom osobistym towarzyszyła nieprzerwanie intensywna twórczość. Nauczyciel domowy nie rezygnował na moment ze swojego celu ostatecznego, którym miało być piarstwo, literatura, a w odległej, nieuniknionej perspektywie sława, rozgłos, nazwisko. Wierzył w swą gwiazdę, w swój ostateczny mimo wszystko triumf. Rodziły się więc nieustannie pod piórem wytrwałego aspiranta literatury ciągle nowe powieści, opowiadania, szkice, obrazki, nowele, dra-

³¹ Ibid. II, s. 54.

maty, artykuły, korespondencje. Zapisywał ich tytuły w swym raptularzu, zdawał sprawę przed samym sobą z postępów w pracy. W powieści *Roman-tyk realizmu* rysował portret „dzisiejszego Hamleta”, jakby siebie samego, rozdartego wewnątrz między porywami ducha a nieuniknionym przymusem pragmatycznej trzeźwości. Pod wrażeniem prozy naturalistów kreślił werystyczny obrazek *Z teki obiektywisty* o drastycznym temacie spotkania brata z siostrą w domu publicznym oraz „studium patologiczne” *U drzwi obłędu*, swoistą analizę przypadku miłości histerycznej, chorobliwej, maniackiej. Wciągało go to coraz głębiej, przeżywał autorską satysfakcję zwycięskiego opanowywania tematów trudnych, niezwykłych, ale propozycje druku owych utworów w „Prawdzie”, w „Przeglądzie Tygodniowym”, w „Tygodniku Mód i Powieści” spotykały się niezmiennie z odmową: „Nie rozumiem”; „Czemu młodzi, zabierający się do pióra, lubują się bezpożytecznie w brudach?”³².

Nie przejmował się tymi opiniami redaktorów warszawskich; bez względu na przeszkody i na negatywne oceny twórczość stawała się przymusem nie do odparcia, jedyną możliwością i formą opanowywania kłębiących się w wyobraźni pomysłów, obrazów życia i ludzi. Pojawiały się więc nowe projekty, zarysy dzieł coraz bardziej ambitnych, utworów powieściowych o szerokim, panoramicznym przekroju społecznym i obyczajowym: *Sity, My, Męty, Zwiastun* i o osobliwym tytule z mechaniki zapożyczonym $M \cdot g \cdot s = 1/2 Mv^2$. Pomysły te nie wychodziły na ogół poza stadium projektów, pierwszych rzutów, początkowych rozdziałów, zaczynał je i porzucał uświadamiając sobie w pewnym momencie, że mu brak nagle potrzebnej wiedzy, doświadczenia, znajomości przedmiotu. „Niepodobna być nowelistą nie znając życia — skarżył się przed samym sobą. — Żywość szkicu wytwarza — życie, dowcip wytwarza — życie, obrazowanie wytwarza — życie”³³. Gdy, jak dla niego, cały świat obserwacji zamykał się w ciasnym kręgu sublokatorskiego pokoju, audytorium szkolnego, taniej kuchni, kilku wciąż tych samych, na wskroś aż do znudzenia znanych koleżków, pozostawało ciągnąć ową materię tematyczną opowiadania z czystej wyobraźni, z czego powstawała „sztuczna prawdziwość”, nie mająca „z prawdą żadnej styczności”³⁴. Czuł, że w tym zamknięciu wszystkie jego ambicje skazane są na los nieuchronnego niespełnienia. Marzył o wyrwaniu się z tego błędnego koła na szerszą przestrzeń i w tym intuicyjnym przeświadczeniu, że tylko dostęp do życia może go uczynić pisarzem, witał nawet ową guwernerską, niepewną egzystencję jako jednak nadzieję, jako otwarcie nowych dla siebie możliwości.

Wśród tych kłopotów literackich powstawało przecież dzieło, z którego wagi i znaczenia nawet on sam nie zdawał sobie wówczas sprawy. Były

³² Ibid., s. 81, 128.

³³ Ibid., s. 424.

³⁴ Ibid.

nim *Dzienniki*, systematycznie prowadzone na przestrzeni lat z górą osmiu. Rozpoczął je 19 maja 1882 r., notatkę ostatnią zapisał pod datą 11 października 1890 r. Wierne najdrobniejszym szczegółom życia stawały się z wolna nieocenionym dokumentem jego zewnętrznej i wewnętrznej biografii, dojrzewania człowieka i artysty, jego przeobrażeń duchowych, rozterek i poszukiwań ideowych. Zmieniały się w miarę przyrastania nowych zeszytów w intymną spowiedź o coraz wyraźniejszych walorach *par excellence* literackich. Początkowo naiwne i stylistycznie niewprawne notatki ucznia z biegiem lat nabierały charakteru namiętnego pamiętnika osobowości coraz bardziej w swym rysunku ciekawej, pełnej wewnętrznych dysonansów, światła i mroku, frenezji życia i obezwładniających smutków, myślącej, poważnej i jednocześnie nieodpowiedzialnie lekkomyślnej, uczuciowej, wrażliwej i pogańsko zmysłowej. To nie był już prosty, bezpośredni zapis myśli, zdarzeń, czynności ucznia szkoły kieleckiej; diarysta przeobrażał się we własną autokreację, w bohatera quasi-powieści o nim samym. Język, styl nabierał siły, coraz większej precyzji i pewności w nazywaniu i określaniu zjawisk świata, poszczególne fragmenty zamieniały się w skończone i zamknięte literackie całości stając się załącznikiem przyszłych, zaakceptowanych już do druku, utworów lub wchodząc w ich struktury jako części składowe ogólniejszego pomysłu.

W tym czasie udało mu się wreszcie zadebiutować, ujrzeć w druku swoje literackie prymicje. Były to korespondencje: *Echa krakowskie*, ogłoszone anonimowo w numerze 56 z 17 lipca 1889 r. „Gazety Kieleckiej” oraz pod pseudonimem Iksmoreż, będącym anagramem nazwiska, *Spod Stopnicy* w 35 numerze „Głosu” z 31 sierpnia tegoż roku. Krytyczne, zjadliwe i bezwzględne w negatywnej ocenie stosunków społecznych w stańczykowskiej Galicji, ale również w oleśnicko-stopnickich swoich stronach rodzinnych, wywołały gwałtowne poruszenie pośród optymatów miejscowych. Za tą skromną zapowiedzią poszły pierwsze utwory literackie: dwa niewielkie obrazki, opublikowane już pod nazwiskiem autora w „Tygodniku Powszechnym” (numery 2 i 5) przez Wiktora Gomulickiego: *Ach! gdybym kiedy dożył tej pociechy...* oraz *Elegia*, tudzież w „Głosie” (w numerze 49 z 7 grudnia tegoż roku) pierwsze z trzech opowiadań, zatytułowanych wspólnie *Z dziennika*, pt. *Psie prawo* i w roku następnym w krakowskiej „Nowej Reformie” (w numerach 160 - 162 z lipca 1890 r.) *Niedobitek. Wspomnienie*. Z wolna, niepostrzeżenie i nieśmiało wkraczał do literatury polskiej nowy, nieznany pisarz. Ale jakież były te początki mizerne i skromne wobec tych dumnych marzeń duszy, z jakimi przybywał ongiś do nadwiślańskiej stolicy kielecki licealista. Do sławy, do rozgłosu było jeszcze bardzo daleko.

Rozdział III

NAŁĘCZÓW — RAPERSWIL

Późną wiosną r. 1890 wygasaly obowiązki guwernerskie Żeromskiego w Łysowie. Dziesięcioletni Adaś Rzązewski od nowego roku szkolnego miał już uczęszczać, być może za poradą dotychczasowego swojego preceptora, do gimnazjum w Kielcach. Kończyły się bezpowrotnie dni łysowskie, które mimo nękających go chorób i romansowych powikłań pozostawiały przecież w pamięci odjeżdżającego dobre na ogół wspomnienie. Po raz pierwszy chyba w swoim wiecznie zagrożonym i tułaczym istnieniu czuł się tu otoczony rzeczywistością, czułą i przyjazną opieką. Uczucie do Natalii wydawało się czymś więcej niż przelotnym romansem. Pani Aniela Rzązevska, tak boleśnie zdradzona i zawiedziona, okazała się mimo nieuniknionych scen zazdrości wspaniałomyślnie wielkoduszna, dbała intensywnie o zdrowie swego niewiernego, przelotnego kochanka. Będąc kobietą światową, o rozległych koneksjach towarzyskich, wchodziła w rolę muzy, opiekunki i protektorki literackiego debiutanta, starając się poprzez swe artystyczno-intelektualne znajomości utarować mu drogę do pism wychodzących w Galicji, gdzie nie musiałby się liczyć z wymogami warszawskiego urzędu cenzorskiego. Szlachta i inteligencja podlaska okazała się ciekawsza od mazowiecko-kieleckiej, mniej snobistyczna, bezpretensjonalna, bardziej naturalna, otwarta, znalazł w tym środowisku wielu autentycznych i oddanych przyjaciół. Teraz otwierała się przed nim znów przyszłość nieznaną. Ze stanu niepewności wybawił go kolega szkolny Jan Strożecki, rekomendując go jako nauczyciela w domu inżyniera Michała Górskiego w Nałęczowie. Na nowym stanowisku stawił się 10 września 1890 r. Nie mógł wiedzieć i nie przeczuwał nawet, że otwierała się w tej chwili jakaś znacząca karta w jego przeznaczeniu życiowym.

Ale kim był właściwie w tym momencie swej biografii? Gdyby zastosować doń nomenklaturę i aparaturę pojęciową psychologii współczesnej, należałoby określić tego młodzieńca jako osobowość o właściwościach charakteru i temperamentu trudnych i wewnętrznie zawitych. Introwertyk, samotnik, szczególnie w sobie zamknięty, chorobliwą nieśmiałość i brak towarzyskiej swobody w otoczeniu ludzi obcych i nieznanych osłaniający

milczeniem i powagą w lęku i obawie, by go nie urażono i nie dotknięto przypadkiem w jego przekonaniach, uczuciach, w uznawanym przez niego i aprobowanym systemacie wartości. Uczuciowy aż do nadwrażliwości, tragiczny i patetyczny, osobowość z gatunku tych, z których wywodzą się wielcy tragicy, pesymiści i patetyczni retorycy, a jednocześnie namiętny, frenetyczny, odurzający się zmysłowością świata aż do ekstatycznego zapamiętania. Z najgłębszego instynktu i popędu bezkompromisowy moralista i fanatyczny rygorysta, ale zarazem wewnętrznie zdeintegrowany i moralnie rozdarty. Cały był utkany i urobiony ze sprzeczności, wątpliwości, niepokojów, wyrzutów; nekany świadomością winy i grzechu, odpowiedzialności i kary, był absolutnym zaprzeczeniem znamion charakteru uchodzących za wykładnik męskości: siły i woli, był jak ustawicznie drgająca, superczuła antena, przejmująca najdelikatniejsze i najsubtelniejsze wibracje życia.

Wewnętrzny niepokój wydawał się być stanem ducha najbardziej twórczym, zacychem i podniecią niezmordowanego szukania, nieustającej autoanalizy, wiecznego sprawdzania własnych postaw i podążania za jakimś idealnym obrazem samego siebie, który się widziało ustawicznie przed sobą, choć wydawał się tak niesłychanie daleki i na zawsze nieosiągalny. Miał w tym momencie lat dwadzieścia sześć. Jego nazwisko nie było jeszcze znane szerszemu światu, ale ten małowówny, nietowarzystki młody człowiek z posępną chmurą na czole był w istocie skończonym i dojrzałym pisarzem. Nie wydał jeszcze co prawda ani jednej książki, ale doświadczenie i wiedza, które zdołał zgromadzić, starczą mu na całe życie i całą twórczość. Miał kiedyś dom, rodziców, jasne i szczęśliwe dzieciństwo i wszystko to na zawsze utracił. Poznał wszystką gorycz upokorzeń, jakie są udziałem ubóstwa. Przeszedł najpotworniejszą szkołę głodu i bezdomności i utwierdził się w przekonaniu, że niesprawiedliwość zdaje się być normą i prawem życia i że uprzywilejowanie tysięcy wspiera się na krzywdzie milionów. Przemyślał do gruntu położenie swego narodu i doszedł po tyśiąckroć do przeświadczenia, że nie ma większej, bardziej żalostnej i upokarzającej niedoli, jak niewola. Poznał namiętność do kobiety w tym najbardziej niebezpiecznym rodzaju, z którego wychodzi się okaleczającym na całe życie. Trudno o lepsze, doskonalsze wyposażenie dla pisarza, który chciał być obiektywnym, nieubłaganym sędzią swego czasu.

Uzdrowisko Nałęczów, szczywy wapienno-żelaziste, zbawienne przy leczeniu chorób krążenia, czynne już w początkach wieku XIX, następnie podupadłe i wskrzeszone ponownie w latach siedemdziesiątych dzięki energii trzech lekarzy, hydropatów i balneologów, doktorów Wacława Lasockiego, Fortunata Nowickiego oraz Konrada Chmielewskiego, w momencie pojawienia się nowego nauczyciela w domu państwa Górskich osiągnęło już poziom kurortu prawie europejskiego. Rozłożony w pejzażu wyjątkowej urody, zanurzonym w bujnej zieleni, w przestrzeni pełnej lek-

kich wzniesień i uroczych zagłębień, zachowując urzekający czar wiejskiego zacisza nie miał przecież Nałęczów nic z niedawnej, prowincjonalnej nudy poprzednich postojów Żeromskiego. Modne letnisko w długim sezonie kuracyjnym było miejscem spotkań warszawskiego świata znakomitości. Przebywał tu rokrocznie Bolesław Prus, odwiedzali nałęczowskie kąpiele Siemiradzki, Paderewski, Sienkiewicz.

Nowy mieszkaniec Nałęczowa już w pierwszym dniu uświadomił sobie wszystkie uroki tego miejsca, choć jego stan fizyczny i psychiczny nie bardzo sprzyjał kontemplacji piękności świata. Z Kielc wyjechał w gorączce, przeziębiony i z nerwami roztrzęsionymi „jak rozluźnione struny starej gitary”. „[...] śliczny jest Nałęczów — pisał do Anieli Rzązewskiej w parę dni po zainstalowaniu się na nowym miejscu — ale dla zdrowych. Tacy chorzy jak ja na wszystko patrzą zdziczałymi oczami”¹. Ile w tym było rzeczywistej niemocy ciała, ile autosugestii, hipochondrii, choroby nerwów — trudno powiedzieć. Doktor Kazimierz Chełchowski, lekarz warszawskiego szpitala Dzieciątka Jezus, w letnim sezonie ordynator nałęczowski, uspokajał go nie znajdując w płucach zrozpaczonego pacjenta żadnych zmian gruźliczych, zalecał tylko racjonalny tryb życia. Zmaltretowany nieszczęśliwie przyjmował te uspokojenia z niedowierzaniem: „Powiada doktor, rękę kładąc na portcygarnicy, że suchot nie mam. Bardzo pięknie — cóż ja mam w takim razie i czemu jestem biedną, bezsilną istotą, którą rozbija, druzgocze, męczy, wyniszcza choroba wieczna”².

W tym fatalnym stanie rozstrojenia duszy i ciała obejmował Żeromski obowiązki nauczycielskie w domu swego nowego chlebobdawcy, inżyniera Górskiego. Michał Górski, inżynier komunikacji, dorobiwszy się poważnego majątku na budowie dróg żelaznych w cesarstwie, ulokował poważne sumy w spółce nałęczowskiej, był akcjonariuszem Zakładu Leczniczego, właścicielem folwarków i kilku domów. Żeromski został preceptorem i gubernierem jego trzech małoletnich córek w wieku lat siedmiu do dwunastu. Nauczycielem był zapewne raczej nieświeżym, aczkolwiek sumiennym i starannym. Udręczony chorobą, pogrążony myślami w swoich projektach literackich, odrabiał swą pedagogiczną powinność jako mus i konieczność. Poważny, surowy, nazbyt często pochłonięty czymś innym, nie bardzo sobie umiał poczynać z rozbrykanymi dziewczynkami, które bały go się trochę, ale i zawojowały dość łatwo wodząc go niekiedy dość skutecznie za nos.

Wśród prozaicznych zatrudnień codzienności i wśród cierpień ciała i duszy jedyną radością i pocieszycielką była natura, jedynym ocaleniem i ratunkiem sztuka. Ziemia nałęczowska była istotnie cudowna. Zwiedzał ją w codziennych wędrówkach, oglądał jej niewysłowioną, jedyną piękność z okien swego pokoju.

¹ J. Kądziela, *Młodość Stefana Żeromskiego*, Warszawa 1976, s. 363.

² *Dzienników tom odnaleziony*, Warszawa 1973, s. 206.

Gdy zmęczone gorączką, dreszczami, paroksyzmami kaszlu oczy podnoszę, widzę wprost z mojego stolika taki krajobraz, który wydaje się być sennym widziadłem. Oto góra, wzgórze, pokryte lasem, w który wsuwa się drożynka, przeświecająca jeszcze w lesie przez konary i grube pnie [...] Ta górka jest najpiękniejszą w Nałęczowie [...] takiego [...] splatania się wąwozów, lasu świerkowego, wierzb i łąk w poemat niemal — nie ma nigdzie.³

Stoję czasami przytulony do szyby, patrząc na ową daleką, wzgórzystą przestrzeń i dźwięczą we mnie pomysły prac, rozwijają się czasami z jednego obrazu całe utwory... Jedyne chwile godne pamięci. Czuje się w sobie duszę i serce i widzi świat nowy, własny, przez nikogo nie dojrzany...⁴

O, sztuko, ty wynosisz zmęczoną duszę ludzką w krainę zapomnienia niedoli, ty jesteś żywicą mojego serca, która się wytacza w promieniach słońca...⁵

Przypominały mu się dawne lektury Leopardiego i Schopenhauera. Mroczny ich pesymizm, ból egzystencji, życie pojmowane jako cierpienie i sztuka jako jedyna wyzwolicielka, pocieszycielka nieszczęśliwych i smutnych aż do końca — wydawały się ostatnim słowem mądrości.⁶

W ten smutek beznadziejnego bytowania weszła któregoś dnia osoba, za sprawą której wszystko prawie miało się do gruntu odmienić w sytuacji niepoprawnego pesymisty. Pani Oktawia z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczowa była urzędniczką w zarządzie nałęczowskiego uzdrowiska, którego dyrektorem był jej ojczym doktor Konrad Chmielewski. Urodziła się w r. 1862 jako córka Ignacego Radziwiłłowicza, znanego i wziętego lekarza petersburskiego, oraz Oktawii z Medunieckich. Po upadku powstania styczniowego pani Radziwiłłowiczowa silnie angażowała się w pomoc skazańcom i zesłańcom polskim w Syberii, a po śmierci męża z trojgiem dzieci, z córką, również Oktawią, i z dwoma synami, Rafałem i Stanisławem, przeniosła się do Wilna, gdzie w r. 1867 wyszła powtórnie za mąż za zwolnionego przed terminem z zesłania doktora Konrada Chmielewskiego, z którym z kolei miała również dwu synów, Zygmunta i Konrada.

Państwo Chmielewscy zamieszkali w Warszawie, a dom ich stał się niebawem, głównie za sprawą pani, osoby światowej i niepospolitej urody, jednym z żywszych ośrodków towarzyskiego i umysłowego życia stolicy. Bywali tu Sienkiewicz, Dygasiński, Prus, Karłowicz, Witkiewicz, znając nieomal od dzieciństwa jedynaczkę państwa Chmielewskich jako małą dziewczynkę, potem dorastającą pensjonarkę. Oktawia Radziwiłłowiczówna ukończywszy pensję Joanny Krzywobłockiej pracowała jako dama klasowa w szkole przy Brackiej u Henryki Czarnockiej, dokąd właśnie zaprowadziła kiedyś Prusa, gdy przygotowywał *Emancypantki* i gdzie

³ Ibid., s. 205.

⁴ Ibid., s. 210.

⁵ Ibid., s. 211.

⁶ Zob. J. Kądziała, op. cit., s. 372 - 373.

znalazł doskonały materiał dla powieściowego obrazu pensji pani Latter. W miesiącach letnich cała rodzina wyjeżdżała do Nałęczowa i tam właśnie dwudziestoczteroletnia Oktawia poznała o dwadzieścia osiem lat od siebie starszego Henryka Rodkiewicza, ekssybiraka, wdowca, aktualnie administratora nałęczowskiego uzdrowiska. Dlaczego wyszła za niego mimo tak istotnej różnicy wieku, czy w impulsywnym porywie egzaltacji patriotycznej, tak znamiennej dla Polek tamtego czasu, „aby go uszczęśliwić”, tego „bohatera narodowego”, jak sugerowała po latach, czy z wrodzonych jej skłonności i potrzeb opiekuńczych — trudno dociekać. Małżeństwo trwało krótko i gdy Żeromski ją poznał, była młodą wdową z dwuletnią córką Henryką.

Pierwsze spotkania owych dwojga nie miały w sobie ani cienia romantycznych olśnień, były sporadyczne i rzadkie. Żeromski nie był z natury osobistością towarzyską, raczej w swym stosunku do obcych i mało znanych nieufny, ostrożny i zamknięty. Wciągał się w nowe środowisko wolno i z oporami. Pani Oktawia poznała się jednakże dość szybko na zalecanych i możliwościach samotnika, zorientowała bez trudu w jego pogmatwanym stanie psychicznym i moralnym. Otworzyła się nagle przed nią nowa dziedzina aktywności dla jej instynktów i potrzeb opiekuńczych. Otoczyła go niepostrzeżenie dyskretną i nie narzucającą się zbyt jawnie koleżeńską i siostrzaną pomocą. Po raz pierwszy w życiu poczuł wokół siebie nieznaną ciepło czyjejs bezinteresownej dobroci, ktoś myślał o nim, dbał, pamiętał, troszczył się o jego potrzeby. Nie było w tym ich stosunku najmniejszej domieszki erotyzmu, Żeromski spoglądał na Oktawię jak na wesołego, uroczego koleżkę, bliskiego, drogiego przyjaciela, jedyną, godną zaufania istotę, której można było powierzać swe najskrytsze kłopoty z samym sobą, jak na najczulszą, najlepszą opiekunkę. Pani Oktawia robiła zresztą wszystko, aby utrzymać tę znajomość w granicach koleżeńskiej sympatii, zalecała małżeństwo i osiadły tryb życia jako generalne remedium na dolegliwości zdrowotne, ale odwracała uwagę od swej osoby, usiłując wyswatać stroniącego od ludzi samotnika z przyjaciółką z Lublina. Efekt tych starań był tymczasem odwrotny od zamierzonego: główny obiekt zabiegów coraz silniej lgnął do swojej „złotej” opiekunki odkrywając w niej powoli kobietę i mnóstwo rzeczy, jakich w niej nigdy dotychczas nie dostrzegał. Jeszcze wciąż było to uczucie idealne, wysublimowane, widział w niej przede wszystkim „duszę pokrewną, piękną i dobrą, dobrą nad wyraz”, ale pisał jednocześnie w swoim dzienniku: „Nie chciałbym zakochać się w pani Oktawii na śmierć, bo byłoby to zaiste na śmierć”⁷.

Oktawia Rodkiewiczowa miała w tym momencie lat dwadzieścia osiem, była szczupłą, smukłą, kruczowłosa, o drobnej, dziewczęcej twarzy, delikatnych rysach. Mogła się zapewne podobać, a jej pozorowana obojęt-

⁷ Dzienniki III, s. 504.

ność, odwracanie uwagi młodzieńca od swej własnej osoby w stronę innych kobiet, to nieświadome siebie „nie”, jakby wykluczające ją jako ewentualny obiekt zaciekawień erotycznych, działały właśnie na partnera podniecająco. Tylko ta kobieta — zwierzał się przed samym sobą w dzienniku — „pozyska moje nerwy na własność, która mię napoi gorczyą i która mię zmusi, abym dla niej samej coś wycierpiał, która mię będzie odpychać ze świadomym czy bezwiednym uporem. Pierwszy ból jest i pierwszym uczuciem miłości. Mnie pociąga pomimo mej woli wszelkie nie. Gdy weźmie na paluszek delikatne włókienka moich nerwów i będzie je skubać i wyciągać — wtedy dopiero drga we mnie dreszcz tajemniczej rozkoszy [...]”⁸.

Pani Oktawia naciągała bezwiednie, jak się zdaje, owe nadczułe nerwy swego podopiecznego, powodując zasadniczą przemianę w ich wzajemnych stosunkach. Ogarniało go uczucie, jakiego nigdy przedtem nie doświadczał; pasja i namiętność miłosna połączona z zachwytem, uwielbieniem, czcią, szacunkiem i najgłębszą wdzięcznością. Porównywał je z tą swoją nie tak dawną edukacją sentymentalną i porównania te wypadały dla tej przeszłości druzgocąco: „O, lalki, mumie, małpy, samice, jakim przysięgałem niegdyś miłość — pisał z pasją po jakimś długim wieczorze spędzonym u Oktawii — jakże wami pogardzam! Ileście zabrały ze mnie prostoty, wiary, złudzeń i uczuć — i jakeście plugawie mię wykształciły. Za jedną szlachetną rozmowę z panią Oktawią oddałbym miesiące rozkoszy z wami, wszystkie te triumfy roznamiętnionego barana, całe ryzy waszych listów i wszystkie wasze dusze mieszczańskie”⁹. Czuł, że gdyby mu dnia któregoś zabrakło tego najlepszego i jedyne go przyjaciela, byłoby mu strasznie źle, smutno, beznadziejnie. Pod koniec października r. 1891 Stefan Żeromski zaręczył się z Oktawią Rodkiewiczową.

Nałęczów sprzyjał twórczości. Poczucie bezpieczeństwa, bliska obecność osób przyjaznych i życzliwych, zaradna zapobiegliwość Oktawii, która wyzyskując swoje koneksje towarzyskie w warszawskim światku dziennikarskim i zażyła znajomość ze swoim odwiecznym wielbicielem, panem Aleksandrem Głowackim, przyjęła jakby obowiązki i rolę protektorki nad pisaninami nieśmiałego odludka; wszystko to zaowocowało niebawem utworami, które wejść miały niemal z miejsca w poczet najświetniejszych arcydzieł nowelistyki polskiej: *Ananke*, *Siłaczka*, *Zapomnieniem*, z cyklu „Odruchy”: *Po Sedanie*, *Złym przeczuciem*, *Pokusą*, *Cokolwiek się zdarzy*, *niech uderza we mnie*. Wszystkie je drukując w „Głosie” Żeromski stawał się jednym z pierwszych, naczelnych i najwyżej cenionych autorów pisma. Jego prymicje literackie zaczynały zwracać uwagę. *Siłaczka* wywołała rozległe poruszenie wśród czytelników i potopy listów z prowincji. „Obrzydłówek stał się w sferze młodej, rozjeżdżającej się z uni-

⁸ Ibid., s. 507.

⁹ Ibid., s. 503.

wersytetu inteligencji synonimem zapadłej, prowincjonalnej dziury, a dr Obarecki przewiskiemi przeciętnego «pioniera cywilizacji», wyruszającego z ideami i zamiarami na posadę do Obrzydłówka»¹⁰. On sam, Stefan Żeromski, był poniekąd takim nauczycielem-idealistą na prowincjonalnym partykularzu.

Pod jesień pustoszejący Nałęczów ogarniała bezmierna nuda. Obowiązki guwernerskie u Górskich wygasły powoli z ulgą stron obu. Żeromski nie okazał się nauczycielem, jakiego poszukiwano, guwernerka na dłuższą metę nie stwarzała żadnych perspektyw. Wtedy właśnie pojawiła się myśl o wyjeździe za granicę i osiedleniu się być może w Galicji, o studiach w Krakowie czy też zamieszkaniu w jakiejś głuszy górskiej w roli nauczyciela ludowego, co zaspokajałoby jego społecznikowskie aspiracje, a jednocześnie w idealnych warunkach klimatycznych leczyłoby udręczone niedomaganiem organizm. Podtrzymywała go w tych zamiarach zawsze kierująca się rozsądkiem pani Oktawia. Zaopatrzony przez Prusa w listy polecające do krakowskich znajomych, w pierwszych dniach stycznia r. 1892 wyjechał Żeromski przez Warszawę i Kielce do Krakowa.

Już w początkach podróży doznał uczucia przerażenia i bezsensu całej imprezy. Jechał w jakieś nieznanne oddalając się od jedynej osoby i jedyne miejsce na ziemi, w którym czuł się szczęśliwy. „Po co i dokąd jędę? [...] — pisał do Oktawii z chwilowego postoju — słabą i chwiejną jestem istotą: istnieję tylko przez Ciebie”¹¹. W Krakowie zabawił trzy dni za ledwie, złożył przewidziane wizyty bez jakichś konkretnych rezultatów, pooglądał obrazy w galeriach sztuki i przez Wiedeń, który go zachwycił, puścił się w dalszą drogę do Zurychu. Zurych był jednym z głównych siedlisk polskiej emigracji studenckiej i politycznej, przebywało tu wielu królewaków i znajomych z czasów warszawskich. Przybywszy powitano serdecznie jako pisarza z kręgu „Głosu”. Najwięcej sobie obiecywał po spotkaniu z Machajskim, ale to odnalezienie się wzajemne dawnych przyjaciół po półtorarocznej rozłące przyniosło im jedynie rozczarowanie. Machajski zabrnął już bez możliwości odwrotu w swe lewackie anarchizmy i nihilizmy, drwił z niedawnych idei, zarzucał Żeromskiemu filistrię, wstecznicstwo, konserwatyzm. Odbyli razem wycieczkę do Raperswilu, ale nie potrafili już odnaleźć wspólnych myśli i wspólnego języka. Sugerowane przez Oktawię studia ekonomiczne nie pociągały Żeromskiego, nie miał na nie ani pieniędzy, ani ochoty. „W uniwersytetach człowiek uczy się akurat tego, co albo już wie, albo bardzo łatwo bez uniwersytetów wiedzieć może”¹².

Po dziesięciu dniach przebywania w Szwajcarii wyruszył w drogę powrotną, tym razem przez Monachium i Pragę. Zwiedził monachijskie pi-

¹⁰ A. Potocki, *Kartki z współczesnego dziennika*, „Tydzień” 1895, nr 28.

¹¹ Zob. J. Kądziała, op. cit., s. 407.

¹² Ibid., s. 414.

nakoteki, Praga zaskoczyła go swą architektoniczną urodą i swym niemieckim charakterem. W Krakowie stanął ponownie w dniu 3 lutego. Tym razem pobyt w Galicji przeciągnąć się miał na pół roku bez mała. Był okresem sondowania możliwości osiedlenia się i warunków życia w klimacie większej niewątpliwie swobody politycznej w tym autonomicznym kraju monarchii austro-węgierskiej. Plany jednakże były niezdecydowane i chwiejne. Perspektywa studiów prawniczych, do których namawiali go Oktawia i Prus, nie nęciła go szczególnie, myślał raczej o posadzie nauczyciela, ale rzecz rozbiła się o przeszkodę prawie niemożliwą do pokonania, o konieczność zmiany obywatelstwa. Udało mu się nawiązać kontakty z redakcjami pism galicyjskich, które umożliwiały druk utworów w „kraju przywiślańskim” niecenzuralnych; zysk był jednak niewielki, bo teka autorska była raczej pusta. Tylko w „Nowej Reformie” pojawiły się dwa króciutkie „szkice etnograficzne”: *Do swego Boga i Poganin*. Pisał większe opowiadanie *Oko za oko*, wysnute z osobistych doświadczeń i niedawnych awantur oleśnicko-łysowskich. Czytał Szekspira, aby „zginąć w nim zupełnie, jak się ginie w górach [...] zapomnieć o codziennej filistrii i tam się błąkać, żyć życiem szczytów [...] i tego słodkiego powietrza, jakim utwory swe otacza ten [...] straszliwy, nadziemski geniusz”¹³. Na Tołstojowskiej *Wojnie i pokoju* uczył się psychologii i „mądrości darcia własnych utworów”¹⁴.

Jednocześnie zwiedzał i poznawał Galicję. Z początkiem kwietnia wybrał się do Lwowa. Miasto olśniło go i napoiło dumą. Miał jeszcze w pamięci Monachium, Pragę i Wiedeń i odkrywał ze zdumieniem europejskość tego miasta, której nie miała Warszawa, a nawet Kraków. „Kolosalne ulice”, „wspaniałe gmachy”, imponujący rozmach w porównaniu z dziwnie ciasnym i małomiasteczkowym Krakowem, nie mogącym „wyleżeć ze swego rynku”, gdy „Lwów z niego wykypiał falą olbrzymią, rzucającą się naokół jak wspaniała piana”¹⁵. Uchwycił bardzo szybko i trafnie szczególnie odmienną typy charakterologicznego i temperamentu mieszkańców miasta, owej mieszanki antropologicznej, będącej wytworem krzyżowania się różnych kultur, obyczajowości, ras i narodów. Zwiedzał muzea Ossolińskich i Dzieduszyckich, zaprzyjaźnił się od pierwszej wizyty z redaktorem „Kuriera Lwowskiego” Bolesławem Wyslouchem, który stał się niebawem głównym przedstawicielem interesów pisarskich Żeromskiego na obszarach wschodniej Galicji, systematycznie drukując w kierowanych przez siebie wydawnictwach wszystkie jego utwory, ukazujące się pierwotnie w warszawskim „Głosie”.

Z końcem kwietnia wybrał się w góry. Miał list polecający do stale mieszkającego w Zakopanem Stanisława Witkiewicza. Mimo wszystkich

¹³ Ibid., s. 458.

¹⁴ Ibid.

¹⁵ Ibid., s. 433.

dziwactw i towarzyskiej surowości, które tak mu utrudniały nawiązywanie bezpośrednich kontaktów z ludźmi obcymi i niedostatecznie znanymi, poczuł w sobie już od pierwszej wizyty w zakopiańskiej siedzibie Witkiewicza jakąś tajemniczą więź porozumienia i zaufania wobec tego artysty o wybitnej, ustalonej pozycji, a przede wszystkim niezwykłego człowieka o urzekającej osobowości. Odkrywał w nim istotę podobną, czującą i myślącą jak on sam i o przedziwnie identycznych nieomal, zawiłych i trudnych skrętach biografii: „to człowiek z tego samego świata, co ja, z tego samego odmetu niecierpliwości — pisał do Oktawii — Wziął mię za serce jedną rzeczą: patrzeniem na nędzę, jak na nędzę patrzeć umieją nieszczęśliwi, rozbici przez nią, ale nie pokonani”¹⁶. Sam próbując amatorsko malować przyglądał się pracy Witkiewicza, którego impresjonizm i naturalizm nie bardzo jednak trafiały mu do przekonania; „po co się maluje [...] obrazy”, w których odtworzenie natury, przedmiotów, wyglądom rzeczy staje się wszystkim? „Jeżeli udoskonaloną zostanie fotografia, odtwarzająca barwy [...] co będą wtedy malować tacy właśnie fotografowie bezwzględnej przyrody?”¹⁷

Poprzez dom Witkiewiczów wszedł rychło w środowisko zakopiańskie poznając najbardziej reprezentatywne i charakterystyczne jego osobistości: starego bazarza góralskiego Sabałę, księdza Stolarczyka, zbieracza gwar tatrzańskich Bronisława Dembowskiego. Za poradą znanego mu jeszcze z lat warszawskich doktora Matlakowskiego: „pluj pan na doktorów, na ich lekarstwa” i przepisy, „chodzić, chodzić, chodzić — po górach”¹⁸, odbywał łatwiejsze, mniej wyczerpujące wyprawy w Tatry i spacerował do uroczych dolin tatrzańskich. Ale nad wszystkimi tymi, istotnie nadzwyczajnymi wrażeniami, coraz przemożniej brała górę potężniejsza tęsknota. Myślał z coraz większą niecierpliwością o postanowionym już małżeństwie z Oktawią, które znalazło aprobatę czterech jej braci. Kandydat był co prawda wciąż tylko niewiadomą i niepewną nadzieją literatury, ale od niego jedynie zależało — wedle żartobliwej uwagi jednego z braci narzeczonej, doktora Rafała Radziwiłłowicza — jak wysoko od „zera w hierarchii społecznej się podniesie”¹⁹. Tęsknił za Nałęczowem, który w momentach tak często go nawiedzającej prostracji ducha wydawał mu się najbardziej upragnionym i najczarowniejszym miejscem na ziemi, powstałym „ze smutnych łez i pięknych marzeń Chrystusa”²⁰.

Przybysz zza kordonu nie czuł się najlepiej w Galicji. Irytował go szczególnie lojalny, austriacki „patriotyzm”, dławiła atmosfera zaduchu, jaką wytwarzała rządząca krajem wysoko utytułowana kasta arystokra-

¹⁶ S. Piółun-Noyszewski, *Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość*, Warszawa—Kraków 1928, s. 259 - 260.

¹⁷ *Ibid.*, s. 256.

¹⁸ J. Kądziela, *op. cit.*, s. 445.

¹⁹ *Stefan Żeromski, Kalendarz...*, s. 104.

²⁰ S. Piółun-Noyszewski, *op. cit.*, s. 193.

tyczno-ziemiańska; do pasji doprowadzała kontuszowa maskarada na tle powszechnej nędzy i ciemnoty ogółu. Był w tych swoich bezwzględnych i potępiających ocenach trochę niesprawiedliwy. Odmienne warunki polityczno-społeczne wytworzyły w Galicji niewątpliwie inną niż w zaborze rosyjskim formację i gatunek przeciętnego Polaka, obywatela tamtych ziem. Bardziej liberalne rządy wiedeńskie, rozległa autonomia, otwierająca pole najróżniejszym inicjatywom o charakterze narodowym, stępiała wydatnie opozycję, niewolę odczuwało się tu słabiej niż na innych obszarach dawnej Polski, lojalność wobec władzy zaborczej wydawała się tu ceną w ostatecznym rachunku opłacalną. To mogło być drażniące dla przybysza „z ziemi mogił i krzyżów”, gdzie ognie buntu tliły nawet pod popiołami. Ale zapominał zarazem, że ta czapkująca wobec Wiednia Galicja była przecież polskim Piemontem, nie tylko wielką nekropolią, ale i żywym, twórczym obszarem aktywności narodu na wszystkich polach jego duchowego istnienia. Tak czy owak, gdy w dniu 18 czerwca wczesnym ranem wyjeżdżał z owej Galicji i przekroczywszy granicę poprzez Kielce i Dęblin dotarł po południu do Nałęczowa, poczuł się nareszcie wśród swoich, bezpieczny i szczęśliwy.

Nałęczowskie lato r. 1892 mimo radości powrotu zasnuło było przecież niepewnością jutra. Próby osiedlenia się i urzędzenia w Galicji zawiodły, dalsze uprawianie belferki po prywatnych domach stawało się zajęciem wyjaławiającym i zabójczym pod każdym względem dla zdrowia i dla przyszłości, bo nie otwierało żadnych widoków na stabilizację życiową. Wtedy pojawiła się myśl wyjazdu do Szwajcarii, do Raperswilu, gdyby się udało zacząć na jakiejkolwiek posiadce w tamtejszym polskim muzeum i bibliotece. Bibliotekarzem raperswilem był wówczas już od kilku miesięcy znany Żeromskiemu z lat dawnych, urodzony w świętokrzyskim Siekiernie koło Bodzentyna, ongiś uczeń kieleckiego gimnazjum — Zygmunt Wasilewski. Bezpośrednim opiekunem i przełożonym biblioteki z ramienia Rady Muzealnej był mieszkający stale w Sztokholmie, znany powszechnie w Europie i ceniony wysoko antykwariusz Henryk Bukowski, kolega uniwersytecki ojczyma pani Oktawii doktora Konrada Chmielewskiego oraz zadomowionego od lat w nałęczowskim towarzystwie znanego etnografa i językoznawcy Jana Karłowicza. Energiczne, zjednoczone działanie tych to właśnie trzech osób doprowadziło ostatecznie do zaangażowania Żeromskiego z dniem 1 października na stanowisku pomocnika bibliotekarza w Muzeum Polskim w Raperswilu.

Zmiana sytuacji życiowej stworzyła pewne podstawy do powzięcia ostatecznej decyzji małżeńskiej, mimo że matka narzeczonej nie była do końca przekonana o słuszności tego wyboru; zaakceptowali go jednakże ojczym i bracia. Ślub Stefana Żeromskiego z Oktawią z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczową odbył się 3 września 1892 r. w starym, modrzewiowym kościółku w Policznej koło Czarnolasu, gdzie proboszczem był kolega i przyjaciel pisarza z lat gimnazjalnych ksiądz Antoni Grudziński.

On to właśnie związał stulą ręce nowożeńców w obecności świadków: Aleksandra Głowackiego i profesora Floriana Łagowskiego. Pan młody nie prezentował się najlepiej, ślaniał się na nogach, trzeba go było w czasie obrządku podtrzymywać.

Z końcem września państwo Żeromscy z córką pani Oktawii Henią Rodkiewiczówną poprzez Kielce, gdzie załatwili formalności paszportowe i złożyli kurtuazyjne wizyty krewnym pisarza, wyjechali do Raperswilu. Zamieszkali początkowo w skromnych i niezbyt wygodnych dwu pokojach, wynajętych u niejakiej madame Schwartz przy Bahnhofstrasse. Stan Żeromskiego był niedobry. Uspokajające diagnozy eskulapów nałęczowskich rozmięły się wyraźnie z mniej optymistycznym werdyktem lekarzy szwajcarskich, profesora Eichhorsta i doktora Gwaltera, stwierdzających daleko posunięte zmiany gruźlicze i wyczerpanie ogólne organizmu. Zalecenia lekarskie zmierzały do zahamowania procesów chorobowych przez intensywne odżywianie i uregulowany porządek życia, wykluczenie wszelkich używek, palenia i alkoholu. Pani Oktawia roztoczyła nad mężem prawdziwie macierzyńską opiekę, stała się jego pielęgniarką i siostrą miłosierdzia, przejęła na siebie cały ciężar organizowania codziennej egzystencji domowej, zastępowała chorego nawet w bibliotece, gdy przychodziły dni gorszego samopoczucia. Otoczony czułą i pełną poświęcenia opieką, poddany żelaznej dyscyplinie, w zbawiennym dla zagrożonego śmiertelnie zdrowia klimacie górskim Żeromski zaczął z wolna wracać do sił.

Twórcą i fundatorem założonego w r. 1869 Muzeum Narodowego Polskiego w Raperswilu był hrabia Władysław Broel-Plater, działacz i polityk emigracyjny²¹. Fundację swą pojmował jako czynny ośrodek akcji przeciwzaborczej, skarbnicę zabytków historycznych, dokumentów i materiałów archiwalnych do dziejów walki wyzwoleniczej narodu, instytucję naukową wspierającą badania nad historią Polski ostatniego stulecia. Muzeum ulokowano w wydzierżawionym przez Platera od gminy raperswilskiej na lat 99, starym, chylącym się ku ruinie zamczysku nad Jeziorem Zurychskim, własności ongiś Habsburgów, który Plater odrestaurował i w którym rozmieścił swe pamiątki, archiwalia i bibliotekę. Gospodarka fundatora była istic magnacka, rozrzutna, arbitralna, gros wydatków pochłaniała reprezentacja i spektakularne akcje propagandowe, z groźną szkodą dla zbiorów, które pozbawione należytej i fachowej opieki rosły w bezładne i coraz bardziej niedostępne zwalisko makulatury.

W momencie śmierci fundatora w r. 1889 obciążona kolosalnymi długami instytucja znajdowała się w stanie organizacyjnym bliskim katastrofy. Pojawiły się więc głosy proponujące likwidację Muzeum i przeniesienie jego zbiorów do kraju. Uratowała ostatecznie dzieło Platera emigracja po-

²¹ Zob. J. Kądziera, op. cit., s. 500 i n., oraz: tenże, *Żeromski w Raperswilu*, „Twórczość” 1959, nr 8.

styczniowa. Stworzono Radę Muzealną, na której czele jako prezes i dyrektor muzeum stanął zamieszkały w Paryżu Józef Gałęzowski, uczestnik ostatniego powstania, współpracownik Traugutta, naczelny dyrektor założonego przez Branickich *Crédit Foncier*. Pierwszym wiceprezesem i bezpośrednim opiekunem zbiorów muzealnych i bibliotecznych był wspomniany już kolekcjoner i antykwariusz sztokholmski Henryk Bukowski, który po upadku powstania i po ucieczce z kraju, osiedliwszy się w Szwecji, doszedł z czasem do stanowiska jednego z najwybitniejszych znawców i ekspertów międzynarodowych w dziedzinie sztuki. Drugim wiceprezesem był mieszkający stale we Lwowie doktor Karol Lewakowski, również jak poprzedni uczestnik powstania, jeden z założycieli Stronnictwa Ludowego w Galicji i poseł do parlamentu wiedeńskiego. Bezpośrednim strażnikiem zbiorów muzealnych na miejscu był tytułujący się kustoszem Włodzimierz Rużycki de Rosenwerth, emigrant popowstaniowy, dziwak, oryginał, mizantrop, zatrudniony przez czas pewien w firmie handlującej dziełami sztuki i z tej racji uważający się za znawcę, w pewnym sensie, w oczach swych dalekich zwierzchników, niezastąpiony jako człowiek w okresie dezorganizacji po śmierci Platera, będący wszystkim — woźnym, stróżem, urzędnikiem, kustoszem.

Wasilewski i pomocnik jego Żeromski zatrudnieni zostali dla uporządkowania w bezładzie pozostających zbiorów bibliotecznych i muzealnych. Praca wśród książek wciągnęła Żeromskiego od pierwszych dni. Książki i lektura to był przecież jego świat, zawsze najbliższy i zawsze w swojej przyjaźni niezawodny. Pracował nad katalogami, załatwiał korespondencję, ekspediował wydawnictwa Muzeum, porządkował i opracowywał zbiory sztychów, rysunków i akwarel, wiele czasu zajęło mu urządzenie specjalnego pokoju pamiątek po Mickiewiczu i pokoju „Przyjaciół Polski” z portretami Garibaldiego, Kossutha, La Fayette’a, Hercena, Montalemberta, życzliwych Polsce Włochów, Czechów, Szwedów i Szwajcarów. Kompletował, niezwykle starannie opisując z autopsji każdą pozycję, katalog druków, autografów i portretów Mickiewiczowskich, prowadząc jednocześnie w związku z tą sprawą rozległą korespondencję z badaczami i znawcami twórczości poety, z Pilatem, Nehringiem, Kallenbachem i z Władysławem Mickiewiczem, pilnie też pracował nad katalogiem starodruków od XV do XVII wieku.

Te czynności zawodowe bibliotekarza miały się okazać niebawem niezwykle ważne dla jego własnych pomysłów i planów literackich. Biblioteka raperswilska gromadziła z natury rzeczy rękopisy i druki, mające dostęp na teren kraju zamknięty. Cały kolosalny trud pracy myślowej pokoleń emigracyjnych, które na obcej ziemi marząc o wolnej Polsce kreśliły zarysy jej przyszłego kształtu i ładu, znajdował w tym właśnie raperswilskim zaciszu przytułek i opiekę. Tysiące książek, broszur i ulotnych druków przechodziły przez ręce młodego bibliotekarza i żarliwego czytelnika. Pisma Mickiewicza, ideowe manifesty Towarzystwa Demokra-

tycznego Polskiego, śmiałe marzenia emigracyjnych rewolucjonistów i radykałów — wciągały go coraz głębiej w urokliwy krąg swoich idei. Wypracowane w innych zgoła warunkach wydawały się przecież wciąż nie przedawnione, żywe i porywające. Odnajdywał w nich myśli niemal własne, od lat młodzieńczych zawsze w nim obecne, stanowiące jak gdyby rdzeń i podstawę jego wiary. Idea wszechwładztwa ludu jako warstwy społecznej, z której wyjdzie odrodzenie narodu, pojęcie rewolucji jako aktu nie mającego nic wspólnego z fizycznym gwałtem i przemocą, lecz w swej najgłębszej istocie natury duchowej i moralnej, nakaz wyrzeczenia się przez szlachtę mienia i ziemi na rzecz chłopu, który ziemię tę uprawia i swoim znojem użyźnia, uznanie pracy za podstawę ustroju i jedyne kryterium oceny moralnej i obywatelskiej wartości człowieka, nawet ów wybitnie moralistyczny charakter emigracyjnych utopii, to przesuwanie punktu ciężkości z walki politycznej w sferę sumienia — wszystkie te pomysły, projekty i wyobrażenia przyszłości posłużyły Żeromskiemu do uformowania sobie z czasem swoistego, indywidualnego widzenia rzeczy, które nada jego utworom literackim szczególną barwę, ton, temperaturę i orientację ideową.

Raperswilskie lata obfitowały też w pożytki innej jeszcze natury. Szwajcaria stanowiła od dawna bezpieczny azyl dla wszelkiego rodzaju emigrantów i osób politycznie „skompromitowanych”, które na skutek swojej patriotycznej lub rewolucyjnej roboty uchodzić musiały z kraju przed odwetem zaborcy. W niedalekiej Genewie przebywał stale stary Jeż-Miłkowski, częsty bywalec w murach raperswilskich. Kilkoma nawrotami mieszkał tu z rodziną senior socjalizmu polskiego Bolesław Limanowski, tutaj szukał ratunku chory, wyczerpany nerwowo, leczący się u słynnego Augusta Forela, tak bliski później duchowo Żeromskiemu teoretyk „rewolucji moralnej” i kooperatyźmu Edward Abramowski. W różnych okresach przebywali w Zurychu najgłośniejsi prominenci ówczesnej prawicy politycznej i socjalistycznej lewicy: Roman Dmowski, Zygmunt Bałlicki, Stanisław Wojciechowski, bracia Józef i Bronisław Piłsudscy, Stanisław Grabski, Ignacy Daszyński, Róża Luxemburg i Julian Marchlewski. W Zurychu aż kipiało od studiującej młodzieży, odbywały się tu zjazdy, narady, rocznicowe obchody. Wystarczyło wyrwać się na godzinę z pobliskiego Raperswilu i zejść do słynnej knajpy Franziskaner-Keller czy „Kropfa”, aby znaleźć się w centrum politycznych sporów. Krystalizowały się tam orientacje, dojrzewały programy, gruntowały odmienne, ciekawe stanowiska, Żeromski bywał tam często. Nie wiązał się organizacyjnie z żadną partią czy koterią, ale niejedna myśl i niejedyn pogląd przeniknęły do jego przyszłych utworów z owych kontrowersji ideologicznych, których był z reguły niemyj jedynie świadkiem i słuchaczem.

W wolnych od zajęć chwilach zwiedzano kraj Helwetów, najpierw okolice najbliższe, Zurych i sąsiednie miasteczka, potem dalsze, Lucernę, pływano po jeziorach szwajcarskich. Latem 1893 r. wybrali się Żeromscy

w Alpy, pieszo pokonując przełęcz Furka Pass w stronę Jeziora Grimsel-
skiego, we wrześniu 1894 dwa tygodnie spędzili w Dreźnie, a wiosną roku
następnego odbyli podróż do Włoch, zwiedzili Bellinzone, Como, Lugano,
zatrzymali się dłużej w Mediolanie, w drodze powrotnej zawadzili o Jeziora
Czterech Kantonów. Dwutygodniowe ferie zielonoświąteczne na przełomie
maja i czerwca 1896 r. poświęcili na wypad do Paryża. To poznawanie
i oglądanie świata, tak odmiennego od widoków ojczystych, miało kolosalne
znaczenie w edukacji literackiej pisarza. Znalazło też odbicie w powstają-
cych wówczas utworach, zwłaszcza w większym opowiadaniu *O żołnierzu
tułaczku*. Raperswil okazał się nadspodziewanie pobudzający dorzucając do
pokaźnego już ilościowo dorobku nowelistycznego kilka nowych i znaczą-
cych tytułów: *Doktora Piotra*, *Mogilę*, *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*,
W sidłach niedoli, drukowane natychmiast w „Głosie”, w „Przeglądzie Po-
znańskim”, w lwowskim „Słowie Polskim”.

Plon dotychczasowych osiągnięć był na tyle pokaźny, że mógł już wy-
pełnić dwa przynajmniej tomiki średniej, przeciętnej objętości. Pisarz
nawiązał pertraktacje z wydawcami warszawskimi i krakowskimi, miał już
do pewnego stopnia wyrobione nazwisko i pozycję, ryzyko imprezy wyda-
wało się ograniczone, toteż rozmowy korespondencyjne zakończyły się po-
myślnie i w rezultacie tych zabiegów ukazały się niemal jednocześnie
w tym samym r. 1895 dwie pierwsze książki Żeromskiego: w Warszawie
Opowiadania pod własnym nazwiskiem autora i *Rozdzióbią nas kruki,
wrony...* pod pseudonimem Maurycego Zycha w Krakowie. Plon finansowy
był znikomy, 75 rubli za tom pierwszy, 70 guldenów za tom drugi, ale
sukces autorski olbrzymi. Pisarz szerszemu ogółowi raczej dotąd nie znany,
prezentujący swe utwory na szpaltach wydawnictw periodycznych, ska-
zanych z natury rzeczy na efemeryczne, krótkotrwałe istnienie, wkroczył
oto jawnie do literatury i umacniał w niej swą pozycję na stałe.

Debiut książkowy Żeromskiego powitany został z uwagą i na ogół z uzna-
niem. Z miejsca i trafnie dostrzeżono indywidualność talentu, swoistą cha-
rakterystyczność na tle ogólnego obrazu prozy współczesnej: zmysłowość
wyobraźni, rozkochanej w naturze i czującej ją wszystkimi napiętymi ner-
wami, brutalny naturalizm i subiektywną nastrojowość w opisywaniu
momentalnych stanów psychicznych, niesłychaną wrażliwość na cierpienie
i na wszelki ból świata, uczucie patriotyczne o sile i napięciu, jakich już
od dziesiątków lat niepodobna było w Polsce spotkać, a to wszystko po-
łączone z humorem i z ironią jakąś bolesną, poza którą tał się przemożny
smutek. Ów smutek i ton beznadziei, zdający się przenikać większość utwo-
rów debiutanta, najwięcej bodaj wzbudził zastrzeżeń, zwłaszcza w krytyce
konserwatywnej, niechętnie przyjmującej najnowsze objawienia dekadenc-
ckiego pesymizmu, z którymi skojarzono, nie całkiem trafnie, nowe nazwi-
sko literackie. Przypisywano to modzie, której młody, wybitny talent nie
potrafił się jakoby oprzeć, wyrażano nadzieję, że się z tych cudzych masek,
naśladownictwa czy manieri rychło wyzwoli.

Reakcja czytelników była zaskakująco żywiołowa i spontaniczna, redakcje pism zasypane zostały setkami listów, w których zwierzano się z odczuć i wrażeń czytelniczych, zadawano pytania, wszczynano dyskusje z autorem. „Autor młody — pisał w recenzji *Opowiadań* krytyk «Głosu» Potocki — którego pierwsze niemal utwory wywołują tak głębokie zainteresowanie [...] musi mieć jakiś żywotniejszy związek z ludźmi swojego czasu, bardziej niż inni musi być współczesny”²². Prus pisał w liście do Oktawii z 14 kwietnia 1896 r.: „Piszę ten list, mając pełne uszy frazesów: «Czytałeś pan Żeromskiego? Czytałeś Zycha?» [...] Śpieszę przeto donieść pani Oktawii, że Jej nadzieje, które wypowiedała mi ongi w Łazienkowskim parku — spełniły się: p. Stefan jest sławny, sławny na całą Warszawę i gdyby tu był, nie obeszłoby się bez obiadów z Żeromskim”²³.

Tymczasem stosunki w Raperswilu układały się niedobrze i coraz gorzej. „Emigracja — jak to wyjaśniał po latach Wasilewski — miała swoje obozy i politykę”²⁴. Już od pierwszych dni pobytu Żeromskiego i Wasilewskiego w Szwajcarii trwał i z upływem czasu narastał głuchy spór między nimi a „kustozem” Rużyckim, totumfackim prezesa Gałęzowskiego. Jak większość emigrantów do przybyszów z kraju miał stosunek nieufny, nie dowierzał patriotyzmowi pokolenia wychowanego i wykształconego w zaborczej szkole, obu młodych bibliotekarzy ledwie tolerował. Nie posiadając wykształcenia nadawał się bardziej na dozorcę niż na kustosza, nie bardzo też zdawał sobie sprawę z naukowej i artystycznej wartości zbiorów, nie rozumiał zupełnie sensu prac bibliotekarskich i opisowo-inwentaryzacyjnych, dla których właśnie sprowadzono obu tych młodych. Do reliktyw przeszłości, zgromadzonych w Muzeum, miał stosunek dewocjonalny i za najpilniejszą konieczność uważał pomnażanie ich wszelakimi sposobami poza jakimkolwiek rozsądkiem. „Pomnażał” więc je z pasją maniaka, produkując „starożytnie” pamiątki własnym sprytem i przemyśleniem. Spór się zaostrzał, skargi Żeromskiego na zaśmiecanie zbiorów fabrykatami Rużyckiego, kierowane do Sztokholmu, okazywały się daremne, stary dziwak i popierająca go paryska „klika”, jak się Żeromski bez ogródek o poplecznikach Rużyckiego wyrażał, wydawali się najzupełniej nie do pokonania.

Już od pierwszych tygodni r. 1896 Żeromscy zaczęli przemyśliwać o powrocie do kraju. Pani Oktawia wyjechała z córeczką wcześniej, aby objąć posadę kasjerki w zarządzie uzdrowiska nałęczowskiego w miesiącach letnich. Pisarz przeżywał swe osamotnienie z właściwą sobie skłonnością do dramatyzowania sytuacji. Ogarnął go ogromny smutek i zwątpienie we wszystko, niewiara w miłość i oddanie nawet osób najbliższych. Było tak, jak w owym liście pisanym z Raperswilu do żony, przebywającej w Na-

²² A. Potocki, S. Żeromski, „Opowiadania”, „Głos” 1895, nr 1.

²³ Zob. S. Eile, *Legenda Żeromskiego*, Kraków 1965, s. 15.

²⁴ Z. Wasilewski, *Żeromski w roli prokuratora*, „Pamiętnik Koła Kielczan” 1929, s. 73 i n.

łączowie: „Leją ciągle deszcze, wyją wichry od tygodni. Zdaje mi się, że jak niegdyś jestem jak liść, że mię przez nikogo nie odczuwane cierpienia niosą jak ten wicher, i że nie ma dla mnie ani jednego miejsca na ziemi”²⁵.

Czarę goryczy przeważyła nowa awantura z Rużyckim. Któregoś dnia przybywszy z rana do Muzeum zobaczył, „że z okna strychu [...] z wysokości trzeciego piętra zamczyska raperswilskiego spada masa strzępiastych druków i potarganą warstwą pokrywa błoto dziedzińca”. To „dwaj robotnicy szwajcarscy”, sprowadzeni przez Rużyckiego, „wyrzucali łopatami na świat” bezcenne papiery filarety, bibliotekarza i kolekcjonera emigracyjnego Leonarda Chodźki, „do muzeum przywiezione [...] ażeby jako źródło nieocenione służyć mogły do badań”²⁶. Tego było za wiele. „Nie mogąc na to parzyć i znieść tego widoku — przypominał po latach Żeromski targające nim ówczesnie uczucia — zapakowałem klucze od szaf i skrzyń, które były pod moim zarządem, w pudełko i odesłałem je p. Henrykowi Bukowskiemu²⁷. Do prezesa Gałęzowskiego napisał list z kategorycznym protestem i zrywający ostatecznie związki służbowe z Raperswilem: „Nie mogąc dłużej patrzeć na niemoralne stosunki panujące w Muzeum, nie będąc w stanie solidaryzować się z istniejącym tam bezładem, stanowisko bibliotekarza opuszczam, klucze od zbiorów, które sam uporządkowałem, odsyłam kierownikowi wewnętrznego urządzenia p. H. Bukowskiemu”²⁸.

Wyjechał w połowie sierpnia, na granicy austriacko-rosyjskiej czekał na niego brat Oktawii, Rafał Radziwiłłowicz.

²⁵ Zob. J. Kądziela, op. cit., s. 560.

²⁶ S. Żeromski, *O przyszłość Raperswilu*, Kraków 1911, s. 44 - 45.

²⁷ Ibid.

²⁸ Zob. Stefan Żeromski. *Kalendarz...*, s. 136.

Rozdział IV

WIELKOŚĆ, SŁAWA...

Plany urzędzenia się w kraju były mgliste i nieokreślone. Liczyć na dochody z pisarstwa było sprawą przedwczesną; Żeromski był wciąż jeszcze początkującym literatem, opłacanym według widzimisię wydawców. Guwernerka, bibliotekarstwo, jakaś działalność organizacyjno-społeczna w duchu pozytywistycznych idei „pracy u podstaw” rysowały się przed nim jako jedyne na razie możliwości, z których jedną należałoby wybrać. Po kilkutygodniowym pobycie najpierw w Tworkach, gdzie dyrektorem tamtejszego Zakładu Psychiatrycznego był brat Oktawii, Rafał Radziwiłłowicz, później w Naęczowie pojawiła się myśl, aby podjąć jakąś próbę ustabilizowania życiowego, a zarazem otwarcia możliwości szerszego społecznego działania w rodzinnych Kielcach. Rozruszać martwe, zastale wody prowincjonalnej vegetacji, zainicjować jakąś z rozmachem zakrojoną działalność oświatową i kulturalną, założyć dziennik postępowy, skupić wokół niego gromadę ludzi dobrej woli, którzy piórem i czynem chcieliby realizować ideę. Z projektami tego rodzaju jesienią r. 1896 wyjeżdżał Stefan Żeromski z żoną w rodzinne strony. Wyprawa zakończyła się generalną kląpą. Pertraktacje z redaktorem „Gazety Kieleckiej” Sienickim w sprawie zreformowania tego dziennika spełzyły na niczym. Funduszków własnych na sfinansowanie wydawnictwa, od miejscowych potentatów niezależnego, Żeromski nie miał. Kielce czuły się wyraźnie dobrze w skorupie swojej prowincjonalnej izolacji i gnuśnego bezruchu. Nie było tu nic do roboty dla niepożądanych reformatorów.

W dniu 1 marca 1897 r. wystosował przeto Żeromski list-podanie do Maurycego Zamoyskiego, zwierzchnika i właściciela biblioteki ordynacji Zamoyskich w Warszawie:

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Raczy JWPan przebaczyć mi śmiałość, z jaką považam się trudzić Go następującą prośbą:

W ciągu lat czterech, od r. 1892 do 96 pełniłem obowiązki bibliotekarza w księgozbiórze Muzeum Polskiego w Raperswilu w Szwajcarii. Po powrocie do kraju, pragnąc znaleźć utrzymanie dla siebie, żony i dziecka, a zarazem pracować dalej

w tym samym zawodzie, ośmielał się najprzejmiej prosić JWPana Hrabiego o wyznaczenie mi miejsca pomocnika przy p. Dyrektorzem Księgozbioru JWPana do prowadzenia katalogów według przyjętych zasad i pod kierunkiem p. T. Korzona.

Nie waham się zapewnić JWPana, że wszelkie obowiązki i prace z posadą tą związane wypełniałbym z całą gorliwością i prawdziwym zamiłowaniem [...] ¹

Prośba została załatwiona przychylnie i już jesienią tegoż roku objął Żeromski posadę pomocnika bibliotecznego w Bibliotece Zamoyskich. Ze stanowiskiem tym związane było prawo do mieszkania służbowego przy ulicy Żabiej w oficynach Pałacu Błękitnego, do którego przeprowadzili się Żeromscy na schyłku roku.

Dyrektorem biblioteki i bezpośrednim zwierzchnikiem Żeromskiego był Tadeusz Korzon. Stary, zasłużony historyk, którego poznał był pisarz już w czasie pobytu w Raperswilu, nie był w obcowaniu codziennym osobą szczególnie sympatyczną. Z usposobienia zgryźliwy, cierpki, kwaśny, ironiczny, odnosił się do Żeromskiego lekceważąco, nie zwracał się do niego inaczej jak per „panie poeta”, kpił wyraźnie z jego twórczości i jakby dla podkreślenia tego wzgardliwego stosunku do pisarskich aspiracji swojego cichego i milczącego podwładnego zlecał mu najuciąźliwsze i najbardziej dla jego zdrowia dolegliwe czynności porządkowe, segregowanie dubletów pism codziennych. Grzebanie się w tych stosach makulatury, wytwarzające chmury pyłów i kurzu, było dla płuc pisarza prawdziwie rujnujące.

W nowych, niekorzystnych warunkach warszawskich odbudowane z trudem w Szwajcarii zdrowie zaczęło się gwałtownie pogarszać. Pani Oktawia coraz częściej zmuszona była zastępować małżonka w jego powinnościach służbowych. W okresach szczególnego nasilania się klęsk chorobowych trzeba było szukać ratunku w Nałęczowie lub w Zakopanem. Kuracje te nie dawały z reguły spodziewanych wyników. Z Zakopanego płynęły do Warszawy listy pełne rozpaczy i ostatecznego zwątpienia. Wszystko wydawało się być w stanie rozstroju: ręce, nogi, nerki i głowa, nie mógł chodzić, nękały go ataki gorączki i bóle płuc, kaszel, influenza, malaria, ciężkie depresje i bezsenność. Pojawiały się krwotoki. Lekarze gubili się zupełnie w próbach diagnozy. Gruźlica wydawała się być zaleczona zupełnie, intensywne, wielokrotne badania nie ujawniały żadnych zmian i podejrzanych symptomów. Hipochondria, histeria, jakieś znerwicowanie totalne organizmu? Aż dziw, że w tych warunkach mogły się pojawiać nowe pomysły literackie i z uporem, wbrew owemu rozstrojowi duszy i ciała realizować.

Tymczasem sława pisarska zataczała krąg coraz szerszy. We wrześniu r. 1897 krakowska „Nowa Reforma” zakończyła druk w odcinkach pierwszej powieści Żeromskiego, a w wydaniu książkowym ukazały się *Syzyfowe prace* tegoż roku z datą wyprzedzającą 1898 jako debiut lwowskiego Towarzystwa Wydawniczego. W dziewięć miesięcy później Gebethner i Wolff

¹ Zob. *Stefan Żeromski. Kalendarz...*, s. 138.

mogli zaprezentować czytelnikom nową porcję *Utworów powieściowych* coraz głośniejszego i coraz pilniej poszukiwanego autora. Po czterech tomach dziwnej, nie spotykanej u nikogo, fascynującej prozy, rzuconych na księgarski rynek w ciągu krótkiego czasu dwóch lat zaledwie, krytyka mogła się już zdobyć na pierwsze, wstępne próby syntetycznej oceny. Potwierdzała wrażenie, wyniesione już z lektury tomu debiutanckiego, narzucającego się przemożnie odczucia beznadziejności:

Czytając utwory Żeromskiego — wyznawał Władysław Jabłonowski — zawsze odbieram wrażenie tego rodzaju, jakbym szedł w ponury, jesienny dzień, wywołujący w piersi stare zgrzyty i nieudane troski, za trumną osób drogiech, po których pozostaje w duszy wielka smuga żalu [...] Wieje z tych utworów dławiące powietrze grobu, beznadziejne obrazy konania i rozkładu życia, oblegające nas zewsząd; szeregi ludzi o myśli jednej, sercu czystym i duszy wrażliwej — tym bardziej więc bezbronnych wobec krzywdy losu i nędzy życia — ludzi zboliałych i dręczonych smutkiem własnego apostołstwa nie schodzą sprzed oczu. Wrażenie ogólne [...] bardzo gnębiące, szare... a jednak w te mroki wciska się niekiedy uporczywy, ostry promień światła — idei niezwalczonej, uczuć niepożytych — i przynajmniej trwogę z serca usuwa.²

Było coś obezwładniającego w tej prozie, nie można było od niej uciec, zapomnieć. Zwłaszcza uczucie patriotyczne przemawiało z niej wszystkimi najskrytszymi i najpotężniejszymi głosami; już dawno, bardzo dawno nikt tak w Polsce nie mówił o miłości ojczyzny.

Po przeczytaniu kilku ustępów — pisał Ostap Ortwin — czujemy, że odtąd nie jesteśmy już panami siebie i że od tych kart, z których wieje głucha, niema, a mściwa rozpacz, oczu nie oderwiemy [...] Tak, to Zych jedyny potrafił ze współcześnie po polsku piszących znaleźć odpowiedni, męski wyraz szczerego, patriotycznego bólu; z przedziwną przenikliwością odkrył drogę do tego, gdzieś w czeluściach duszy ukrytego nerwu, który długo nie ruszany zdawał się już utracać wrażliwość i zdolność reagowania na krzywdy ludzkie i niedolę ojczystą. To jest jego tytuł do sławy i to jego stanowisko pierwszorzędne we współczesnej literaturze, że tym osłabionym nerwem zatargał z taką mocą, z jaką wiatr ugina pod jesień odarte z liści [...] rokitnicy, i że uczuciom patriotycznym pokolenia [...] dał wyraz [...] odrębny i charakterystyczny. Tym tłumaczy się to uwielbienie, z jakim go młodzież jako reprezentanta swej sfery powitała.³

Wśród udręć i kłopotów z samym sobą słowa takie były wielką pociechą i tak nieodzownie potrzebnym wsparciem moralnym. Ale i samo życie rozjaśniało się niekiedy jakimś łaskawszym wydarzeniem, które leczyło nastroje nieustającego cierpienia i smutku duszy. W dniu 8 września 1899 r. urodził się syn Stefana i Oktawii Żeromskich — Adam. Było to ich drugie dziecko po zmarłym w wieku niemowlęcym Stefanku. Uszczęśliwiony ojciec, przebywający wówczas w Zakopanem, pisał do żony: „Taki jestem szczęśliwy, że mamy syna, że tego język ludzki wyrazić nie potrafi. Zupełnie wierzyć mi się nie chce, żeby mnie mogło spotkać tak wielkie, bezgraniczne szczęście. Ciągle w dzień i obudziwszy się w nocy myślę o nim,

² W. Jabłonowski, *Utwory powieściowe*, „Tygodnik Ilustrowany” 1898, nr 42.

³ O. Ortwin, *Maurycy Zych*, „Promień” 1899, nr 6.

o tym małym człowieczku, który jest tak daleko ode mnie [...]”⁴. Wszystko, co pisał i co zamierzał napisać, wiązał teraz z istnieniem tego dziecka, tego przyszłego młodzieńca, mężczyzny, swego syna. „Wszystko, co teraz myślę, jest tak jakby jakąś spowiedzią, którą on kiedyś będzie czytał”⁵.

Powieścią, nad którą aktualnie pracował, byli *Ludzie bezdomni*. Pierwszy ich pomysł pojawił się bodaj latem r. 1897, gdy w Dąbrowie Górniczej odwiedził siostrę cioteczną Marię z Saskich Albrechtową, zamężną za Andrzejem Albrechtem, inżynierem górniczym. Przyjrzał się wówczas po raz pierwszy w życiu temu egzotycznemu środowisku, poznał fabryki, kopalnie, Hutę Bankową. Pierwszy ten impuls, wyniesiony z zetknięcia się z najcięższą pracą, jakiej nie znał dotychczas, zaczął się rozrastać w historię o młodym marzycielu, który widząc dookoła ogrom zła i cierpienia chciałby wszystko od fundamentów przebudować i zmienić, wydzwignąć z poniżenia i nędzy tych najbardziej skrzywdzonych i bezdomnych. Dzieje bohatera powieści wchłonęły też wiele przeżyć, doświadczeń i obserwacji autora, wyniesionych z Raperswilu, Nałęczowa i Zakopanego, oraz wiele szczegółów z biografii osób, z jakimi stykał się w okresie swoich guwernerskich i bibliotekarskich zatrudnień⁶.

Powieść ukazała się w dwóch tomach późną jesienią r. 1899 z datą na r. 1900, stając się z miejsca wydarzeniem.

Dzisiejsze pokolenie — pisał w ćwierć wieku po ukazaniu się powieści jeden z wybitniejszych działaczy socjalizmu polskiego Stanisław Posner — nie rozumie [...] wrażenia, które uczyniła ta powieść. Nie była to tylko piękna, wspaniała książka. Była to Ewangelia [...] „Zwiastowanie Dobrej Nowiny”. [...] Każdy pepesowiec widział w tej książce obraz swojego życia i swojego Marzenia [...] wchłaniał ją, jak pielgrzym wodę źródlaną wchłania, znużony długą wędrówką [...]”⁷

W zaborze austriackim, gdzie lektura arcydzieł literatury narodowej była chlebem powszednim, tak nudnym i obojętnym jak codzienność, powieść Żeromskiego przywracała rumieńce życia ideom i porywom, w które nikt już nawet z młodych zdawał się nie wierzyć. „Pamiętam — wspominał po śmierci Żeromskiego wychowanek szkół galicyjskich Boy-Zeleński — ten dreszcz, który przebiegł młodych, gdy pojawili się *Ludzie bezdomni*. Ten wallenrodyzm, który «szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie», ten sam, który w dziele Mickiewicza, obkuwanym [...]

⁴ List do Oktawii z 10 września 1899. Zob. Stefan Żeromski. *Kalendarz...*, s. 156.

⁵ Ibid.

⁶ Spory bohatera powieści z zarządem uzdrowiska Cisy przypominają identyczne zatargi niektórych lekarzy nałęczowskich: Sacewicza i Nowickiego, zwolenników innowacji nie znajdujących uznania u zwierzchników, czy dra Janiszewskiego z drem Chramcem o poprawę warunków higienicznych Zakopanego, wreszcie kontrowersje samego autora powieści z kustoszem Rużyckim w Raperswilu.

⁷ S. Posner, *Stefan Żeromski*, Warszawa 1926, s. 21.

przez zapleśniałych belfrów, dawno stał się martwą literą, tu nagle powstał żywy, spęczniały krwią serdeczną”⁸.

Maria Dąbrowska przypominała w wiele lat po ukazaniu się powieści, jak dowiedziała się po raz pierwszy o tej książce od ciotecznego brata, który „rozpłomieniony” mówił „z egzaltacją o nowej gwiazdzie literatury polskiej”, i jak rzuciła się na tę powieść, i jak stała się ona dla niej wstrząsem duchowym. „Nie tylko potężne zagadnienie krzywdy społecznej, przenikające takim krzykiem świętego gniewu i rozpacz, takim szeptem żalości całą twórczość Żeromskiego, było tym, co zawładnęło moją młodocianą wyobraźnią [...] Lecz wyraz artystyczny [...] był tak odmienny. Po raz pierwszy moja wrażliwość artystyczna spotkała się z czymś, co tchnęło na nią odurzającym żarem, blaskiem i dźwiękiem — tak obcym spokojnemu nurtowi znanych mi dotąd pisarzy”⁹.

Powieść wywołała również głosy krytyczne. Stało się już niemal normą od pierwszych nowel wypominanie Żeromskiemu obezwładniających nastrojów pesymizmu. Dopatrywano się w tym zależności nadmiernej od chwilowych aktualności literackich, wysuwano zastrzeżenia wobec kompozycji i konstrukcji utworu, ale to wszystko wydawało się ostatecznie jakby nieważne w stosunku do bezspornych wartości, jakie powieść wносиła. Dzięki niej przede wszystkim stawał się Żeromski jakby wyrazicielem wątpliwości i rozpacz, tęsknot i pragnień pokolenia. „Po epoce romantyzmu — pisał Ludwik Bruner — jest to pierwszy i jedyne [...] szczery i silny głos uczucia. Jest w tym olbrzymia zasługa społeczna; pod tym względem Żeromskiemu należy się miejsce na równi z plejadą naszych wielkich poetów; on podniósł głos za całą epokę. W głosie tym czuć ogromny dreszcz bólu, ale nie rozpacz. Jednostki giną, ale idea żyje”¹⁰.

W pierwszych dniach marca r. 1902, w towarzystwie szwagra, doktora Rafała Radziwiłłowicza, wyruszył Żeromski w swoją pierwszą większą podróż do Włoch. Znajdował się jak zwykle w kondycji fizycznej i psychicznej najfatalniejszej; wyjazd miał więc charakter przede wszystkim zdrowotny, ale nie tylko. Od dłuższego już czasu pracował nad nową, wielką powieścią, której akcja miała się rozgrywać częściowo również w Italii. Żeromski był zmysłowcem, który potrafił opisywać to jedynie, co sam widział i przeżył. Pragnął poznać ten kraj, wchłonąć w siebie jego klimat, powietrze, jego egzotyczną urodę, pójść tropami swych bohaterów, przyrzuć się najbliżej, uważnie miejscom, w których oni niegdyś istnieli.

Ale już początek podróży był niepomyślny. Zaziębiwszy się w Wiedniu włókł Żeromski te swoje różnorakie dolegliwości aż do końca wyprawy —

⁸ T. Boy-Zeleński, *Stefan Żeromski nie żyje*, „Kurier Poranny” 1925, nr 322. Przedruk w: *Szkice literackie, Pisma*, t. 6, Warszawa 1956, s. 50.

⁹ M. Dąbrowska, *Wspomnienie o Żeromskim*, „Gazeta Ludowa” 1946, nr 2. Przedruk w: *Pisma rozproszone*, t. 2, Kraków 1964, s. 392 - 393.

¹⁰ J. Sten, *Dusze współczesne*, Lwów 1902.

dreszcze, bóle głowy i gardła, niedomagania żołądkowe, hipochondryczne lęki, żeby się jeszcze bardziej i na dobre nie rozchorować. I nie odstępujący go smutek, tęsknotę za domem, za Adasiem. Wszystko, co widział, oglądane było poprzez owe smutne nastroje duszy. Ale nawet one nie mogły mu przesłonić piękności tego kraju, nieba i morza.

Marszruta wyprawy zaprojektowana została prawdziwie interesująco. Najpierw zatrzymano się na dłużej w Nervi, skąd robiono wypadki do pobliskiej Genui, gdzie zwiedzili Campo Santo, kościoły, willę Pallavicini, „najcudniejsze zjawisko, jakie oczy widziały”¹¹. Było gorąco, upalnie; w godzinach południowych trzeba było szukać schronienia przed słońcem w chłodnych pokojach hotelowych, za szczelnie zapuszczonymi żaluzjami. Rankami i popołudniami przesiadywali nad morzem, Rafał kąpał się i łaził po górach, zażywał sportów, Żeromski patrzył godzinami na wodę i na dalekie, lśniące jak kryształ w wiecznych śniegach liguryjskie Alpy. Ale nawet takie wpatrywanie się bierne w roztocz morską podsuwało niekiedy literackie tematy. Widok kołyszącego się na redzie okrętu utrwalił się ostatecznie w wyobraźni jako pomysł „statku potępionego”.

Z początkiem kwietnia wyjechali na francuskie Lazurowe Wybrzeże i zamieszkali w Nicei, w Hotelu Suisse, w pokojach na czwartym piętrze, z widokiem na „całe morze ogromne jak niebo”¹². Włóczyli się po mieście i po wybrzeżu, robili wycieczki tramwajem elektrycznym do Beaulieu przez Villefranche, „cudowne miejsca”. Cały jeden dzień spędzili w Monte Carlo, przez osiem godzin obserwując ruletę. Po południu dnia 14 kwietnia odpłynęli na Korsykę; było zimno, lał deszcz. Ale Ajaccio zachwyliło ich. „Jakież to cudne miejsce! — pisał Żeromski do Oktawii. — Najpiękniejsze, jakie widziałem. Tak ciche, jak jaka wieś w Górach Świętokrzyskich”¹³. Ogromne wrażenie w domu Napoleona, małe „podwórko, a raczej balkon ceglany, leżący na wysokości piętra, a ze wszech stron otoczony brudnymi ścianami sąsiednich kamienic”. I refleksja nad zdumiewającą zagadkowością ludzkich losów. „Czy też przeczuwał ów człowiek, gdy tu był młodzieńcem, chwile swego tryumfu na polach Europy i kartach historii? Na pewno nie. Los go niósł naprzód, zdolności wspierały, oszalały tłum ludzki pchał coraz wyżej...”¹⁴. Przez Vizzavonę, Bastię, Livorno wrócili znów na ląd stały. Odtąd posuwali się szlakami, którymi przed stu z górą laty szły zwycięskie wojska rewolucyjnej Francji, a wśród nich Sułkowski i Polacy — Florencja, Mantua z cmentarzem Polaków na przedmieściu San Giorgio, Weronia, Desenzano, Padwa, Wenecja. Tysiące wrażeń, które łączyły się w jakiś sen dziwny i wprawiały w oszołomienie. Było to cudowne,

¹¹ S. Żeromski, *Zapiski z podróży*, [w:] *Wspomnienia*, s. 126.

¹² W liście do Oktawii z dnia 11 kwietnia 1902. Zob. *Stefan Żeromski. Kalendarz...*, s. 177.

¹³ W liście z dnia 14 kwietnia 1902. Zob. *Stefan Żeromski. Kalendarz...*, s. 178.

¹⁴ *Wspomnienia*, s. 136 - 137.

pobudzające i męczące zarazem. Z ulgą wracał do kraju w pierwszych dniach maja.

Powieścią, nad którą od dłuższego czasu pracował, były *Popioły*. Geneza utworu sięgała jeszcze czasów raperswilskich. Raperswil ze swoimi zbiorami był historią narodu zamkniętą w słowach spisywanych na wygnaniu, w męce, w marzeniach, dla świadectwa potomnych, w żarliwej wierze, że z tych dokumentów wiekowej walki o prawo do suwerennego istnienia wyniknie kiedyś niepodległa Polska. Żeromski, w którym zainteresowania historyczne żywe były już od lat chłopięcych, stał się namiętym czytelnikiem owych świadectw poczynań wolnościowych narodu. Ich lektura otworzyła przed nim nagle urzekające perspektywy dla twórczości własnej. Prawdopodobnie już wtedy pojawił się w jego wyobraźni pisarskiej mglisty jeszcze zapewne, ale imponujący swym rozmachem plan wielkiego cyklu powieści historycznych, przedstawiających kolejne ogniwa i rozdziały stuletniej walki narodu.

Uwerturą owych zamierzeń powieściowych była napisana w Szwajcarii opowieść *O żołnierzu tułaczku*, pierwsze literackie następstwo zetknięcia się pisarza z przyrodą alpejską jako jednym z teatrów epopei napoleońskiej i zanurzenia się po uszy w materiałach historycznych, do których miał dostęp podczas pracy w bibliotece raperswilskiej. „Powieść z końca XVIII i początku XIX w.”, jak ją ostatecznie określili w podtytule sam autor, powstawała w warunkach niezbyt przychylnych. Jego stan zdrowia i stan nerwów były fatalne. Pracował doraźnie, wrywkowo. Nawiedzały go okresy całkowitej niemocy; pisał do Oktawii, nieustającej adresatki jego wszystkich zwierzeń pełnych udręki, że głowę ma „zupełnie pustą i rozklekotaną”, że zaczął pisać, ale mu idzie „jak z kamienia”¹⁵. Powieść powstająca w takich okolicznościach w jego własnym odczuciu i ocenie miała wszelkie znamiona roboty doraźnej, wykonywanej w pośpiechu, nierówno i w widomym upadku sił. „Utwór mój — pisał w r. 1904 do Zenona Przesmyckiego (Miriamy) — musiałem skończyć pobieżnie, nie tak, jak chciałem. Końcowe ustępy pisałem po krwotoku, leżąc na wznak, bez możliwości ruchu. Toteż owe miejsca mają wartość plwociny suchotniczej”¹⁶.

Powieść ukazywać się zaczęła w odcinkach „Tygodnika Ilustrowanego” w czerwcu 1902 r. ciągnąc się aż do końca roku następnego. Wydanie książkowe, trzypomowe, pojawiło się na rynku księgarskim w początkach r. 1904 nakładem firmy Gebethnera i Wolffa.

Już kolejne odcinki powieści, drukowane w „Tygodniku”, wbrew krytycznym opiniom autora wywołały poruszenie i reakcje spontaniczne, żywiołowe, pełne zachwyty, ale i istotnych zastrzeżeń. „Przeczytałam *Popioły* Żeromskiego [...] — zwierzała się Orzeszkowa w liście Aurelemu Drogozewskiemu. — Przedziwna powieść, precudna, nadzwyczajna [...] Chwi-

¹⁵ W liście do Oktawii z dnia 22 marca 1902. Zob. Stefan Żeromski, *Kalendarz...*

¹⁶ Zob. Stefan Żeromski, *Kalendarz...*, s. 187.

lami słupieję ze zdumienia nad niesłychanym, wprost bajecznym bogactwem obrazów i języka [...] Wiadomą było rzeczą, że to talent wielki, ale tu przerósł samego siebie w dziesięć razy”¹⁷ Stanisław Brzozowski zaliczył powieść do najwybitniejszych utworów tego gatunku w piśmiennictwie europejskim ostatniego stulecia, Wilhelm Feldman uznał ją za kwintesencję „wszystkich cech wielkości talentu poety”¹⁸. Tadeusz Rittner podkreślał z zachwytem absolutną osobność, „samoswoję” tego zjawiska, bo wszystko w tej książce było naprawdę Żeromskiego: „Wszystko takie jeszcze gorące, bezpośrednio odczute [...] Ta jego powieść płynie od początku do końca całkiem inaczej jak wszystkie szanujące się literackie rzeki”¹⁹.

Ale powieść budziła też zastrzeżenia i nie przewidywane zapewne przez pisarza protesty. Historycy i krytycy, wychowani w klimacie nowej, apologetycznej i neoromantycznej szkoły dziejopisarskiej Askenazego zarzucili powieści anachronizmy charakterologiczne i historyczne. Jej bohaterowie to nazbyt często jakby projekcje duszy współczesnego człowieka, rzucone w przeszłość, a ogólny ton i nastrój dzieła nie oddaje zupełnie owych stanów nadziei i pełnego wiary oczekiwania, które były formą istnienia pokolenia doby napoleońskiej, jest to powieść o rozbitkach życiowych, ludziach dziwnych i smutnych, „gnanych gdzieś przez mętłą falę dziejową”²⁰, tu istotnie wszystko jest pokryte warstwą popiołów. Ale to jest właśnie Żeromski, ten sam, co autor okrutnego, bolesnego opowiadania *Rozdzióbią nas kruki, wrony...* „Wielki mistrz chorej duszy, poeta pokolenia pojmującego patriotyzm tylko jako melancholię, dał nam ludzi i epokę napoleońską widzianą przez pryzmat swych dotychczasowych kreacji. Inaczej być nie mogło”²¹. Wywoływała sprzeciwy jaskrawa brutalność scen batalistycznych, w których dostrzeżono wątpliwy i niebezpieczny moralnie zabieg artystyczny, sprzyjający objawom społecznego zdżiczenia²².

Najwięcej jednak zastrzeżeń obudziła forma powieści, zrywająca z tradycyjną ciągłością opowiadania i zastępująca ją sekwencją luźnych scen, obrazów, stanów i odruchów psychicznych. Kwintesencją owego krytycznego przyjęcia powieści była osobliwa, dwuznaczna recenzja Własta w *Miriamowej* „Chimerze”, w której najsurowsze nagany kryły w istocie najgłębszy podziw i pochylenie głowy przed wielkością zjawiska. *Popioły* zostały uznane za „kalekie dzieło niezwykłego geniuszu, którego talent cały jest źle nastawiony i chroma na swych przeciągniętych lub niedociągniętych strunach”, bo jest wyrazem „absolutnej niemocy naśladowczej”²³. Nauczenia się czegokolwiek od przeszłości, ponieważ rąbanie dróg własnych

¹⁷ E. Orzeszkowa, *Listy*, Warszawa—Grodno 1938, t. 2, cz. 2, s. 168 - 169.

¹⁸ W. Feldman, *Piśmiennictwo polskie 1880 - 1904*, Lwów 1905, t. 2, s. 221 i n.

¹⁹ „Czas” 1904, nr 135.

²⁰ W. Tokarz, *Epoka napoleońska w „Popiołach”*, „Przegląd Wszechpolski” 1904, nr 2.

²¹ Ibid.

²² J. Baudouin de Courtenay, *Krzewiciele zdżiczenia*, Kraków 1905.

jest dla niego łatwiejsze. „Dzieło sprawia wrażenie «majstersztyku» wyzwolein ostatecznych”, autor jest sam, odrzuciwszy „powszednie nałogi pisarstwa” stwarza jakby na nowo siebie samego, „stawia swemu kunsztowi najtrudniejsze problemy wizji i stylu”²³.

Była więc w tej recenzji przestroga i zachęta zarazem. Krąg Miriamowskiej „Chimery”, hołdujący hieratycznemu ideałowi sztuki czystej, nie skazanej dotknięciem codzienności, nie mógł oczywiście podzielać ani społecznikowskich ambicji Żeromskiego, ani też akceptować formalnego bezkształtu jego pisarstwa, ale w jego języku, w jego wrażliwości, w jego szczególnym odczuwaniu najdelikatniejszych odcieni urody świata dostrzegł talent wybitny, który należało pozyskać i w stronę właściwą pokierować. Żeromski znał już „Chimerę” i odczuwał wobec tego przedziwnego ewenementu, nie mającego wyprzedzeń w naszej kulturze literackiej, coś w rodzaju niemal kompleksu, a zarazem nieukrywanego podziwu i zazdrości. Na list otrzymany od Miriama latem r. 1902, zapraszający go do współpracy z tym pismem, odpowiedział z Nałęczowa z przesadnym entuzjazmem i lekceważącym bagatelizowaniem własnego pisarstwa, wyrażając „prawdziwy i szczery zachwyt [...] dla trzech tomów «Chimery»”, które mu się widzieć zdarzyło. „Ukazują one nie tylko kwiat wielkiej twórczości, którym od kilku dni zachwycamy się wszyscy, ale niestety dają (mnie osobiście) możliwość mierzenia tą ogromną miarą grubości własnego kołtuństwa”²⁴.

Żaden pisarz nie może się uwolnić od swego czasu. Żeromski wychowany w szkole klasyków realizmu nie mógł nieraz oprzeć się pokusom i inspiracjom nowej sztuki z przełomu wieków, owej literaturze programowo swobodnej, samoistnej, szukającej spełnienia w wyobraźni, w fikcji, w zmyśleniu i w wydobywaniu coraz wyższego, doskonalszego piękna z mowy codziennej. Pierwszym znakiem ulegania owemu modernistycznemu estetyzmowi literackiemu była proza poetycka *Aryman mści się*, opublikowana w r. 1901 w warszawskim piśmie „Ateneum”. Po tej pierwszej próbie miała pójść następna, „widziadło utworu”, z którym nosił się — jak powiadał Przesmycki — od lat już kilku z myślą o „Chimerze”, *Powieść o Walgierzu Udałym*, opublikowana istotnie w Miriamowskim wydawnictwie z końcem r. 1905. W obu utworach odzywały się echa spraw i problemów, które były autorowi bliskie już dawniej: w *Arymanie* odwieczne i nierozwiązalne zagadnienie konfliktu między ideałem doskonałości moralnej a pokusą tajemnego grzechu rozkoszy, upostaciowaną w kobiecie; w *Walgierzu* utwierdzanie się narodu w swej samowiedzy i potędze poprzez cierpienie. Cała ta problematyka ideowa świadomie uwikłana została w bogatą ornamentykę barokową, z której trzeba ją było wyplątywać

²³ Włast, „Popioły” przez Stefana Żeromskiego, „Chimera” IX, s. 323 - 329.

²⁴ Listy do Z. Przesmyckiego z dnia 13 sierpnia 1902. Zob. Stefan Żeromski. *Kalendarz...*, s. 183.

z mozołem. *Aryman* miał kształt legendy, snującej się pośród egzotycznej scenerii, pod tropikalnym niebem, w piaskach pustyni, w świecie anachoretów, w jakimś czasie nie oznaczonym. *Walgierz* był jak gdyby bohaterskim rapsodem, wywiedzionym z głębokich mroków średniowiecza. Była to proza poetycka w swoim rozrzutnym przepychu niewątpliwie oryginalna, w sposób wyrafinowany wysmakowana i zapewne całkowicie zadowolająca estetyczne wymagania redaktora „Chimery”. Spotkała się też z uznaniem niemal powszechnym. Dostrzeżono w niej odchodzenie Żeromskiego od zasad „ciasnego realizmu” ku sztuce otwartej na problemy uniwersalne, chwalono „niezwykłą potęgę i czułość stylu”²⁵. Prognozy i przewidywania były jednak przedwczesne; czysta sztuka mogła być marzeniem, tęsknotą wyobraźni w chwilach znużenia, ale nie była przecież zdolna nasycić czynnej od młodości żarliwej potrzeby angażowania się poprzez literaturę w sprawy życia polskiego.

Rodzina Radziwiłłowiczów uchodziła od dawna za sympatyków PPS, oddawała najróżniejsze usługi ruchowi rewolucyjnemu w Królestwie, nawet ośmioletnią posierbicę Żeromskiego, Henię Rodkiewiczównę, wciągano ku przerażeniu matki w tę robotę jako najmłodszą „dromaderkę”, używaną niekiedy do „poufnych misji” przenoszenia zakazanych i kompromitujących materiałów partyjnych. Poprzez Radziwiłłowiczów wszedł więc i Żeromski w ten krąg nielegalnej lewicy polskiej. Dom przy ulicy Żabiej stał się azylem i chwilową przystanią dla ściganych przez „ochranę” emisariuszy politycznych. Zatrzymywali się tam Józef Piłsudski i Stanisław Wojciechowski z transportami „bibuły”, wożonej na rozległe obszary zniewolonej Polski i Litwy, w historycznych walizkach, „brunetce” i „blondynce”, wypakowanych do ostatnich granic wytrzymałości. Żeromski był niemal stałym bywalcem zebrań radykalnej inteligencji warszawskiej, dyskutantem, prelegentem, aktywnym współpracownikiem najróżniejszych inicjatyw społecznych na rzecz więźniów politycznych czy też Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Angażował się silnie w sprawę pomnika Mickiewicza uważając, że uwłaczający narodowej godności przymus władz rosyjskich, zmierzających do nadania uroczystości odsłonięcia monumentu poety ram najściślej ograniczonych, powinien być przełamany masowym i spontanicznym udziałem proletariatu Warszawy.

Rozszerzyły się w tych latach wydatnie kontakty towarzyskie pisarza, z których niejeden miał się okazać znaczący dla jego twórczości literackiej. W kręgu owych przyjaźni znaleźli się ludzie pióra, nauki, społecznego i politycznego działania: Daniłowski, Sieroszewski, Niemojewski, Berent, aktywni przewodnicy pracy partyjnej: Zygmunt Heryng i Stanisław Posner, wielki człowiek masonerii polskiej Stanisław Stempowski, uczeni, teoretycy i reformatorzy socjalizmu: Ludwik Krzywicki i Edward Abramowski. Te „nieprawomyślne”, „niechwalebne” kontakty zwróciły rychło uwa-

²⁵ Zob. J. Sten, „Krytyka” 1906, z. 12.

gę tajnej carskiej policji. W listopadzie r. 1900 dokonano w mieszkaniu Żeromskich nieoczekiwanej, nocnej rewizji. Nie znaleziono nic podejrzanego, ale zarekwirowano czasowo różne notatki, a wśród nich nieukończone rękopisy *Popiołów*. Pisarz został zwolniony z chwilowego aresztu po podpisaniu deklaracji, że nie wyjedzie z Warszawy bez pozwolenia policji i zjawi się natychmiast na jej każde wezwanie. *Popioły* zostały odzyskane dzięki niezmordowanym wysiłkom, staraniom i nieomal bojom pani Oktawii z podpułkownikiem żandarmerii warszawskiej Płotto i z jego adiutantem Pietuchowem.

Tymczasem prace w bibliotece coraz silniej kulały, ponawiające się uporczywie kłopoty ze zdrowiem tworzyły w czynnościach bibliotecznych krępujące dla pisarza i dla jego poczucia obowiązku przestoje i absencje, których ofiarne zastępstwa pani Oktawii zrównoważyć oczywiście nie mogły. Sukces *Popiołów* spowodował zasadniczą przemianę w sytuacji materialnej pisarza, po raz pierwszy w swojej artystycznej karierze zdawał się osiągać owo minimum niezależności, które pozwalało żywić nadzieję na możliwość utrzymania rodziny z pracy wyłącznie literackiej.

Jesienią r. 1903 zdecydował się przeto podziękować za służbę w Bibliotece Zamoyskich i zamknąć definitywnie ten bibliotekarski rozdział w swej biografii. Na miejsce nowego osiedlenia wybrał Zakopane; znał je dobrze już z odwiedzin poprzednich, ale tym razem zanosilo się na pobyt dłuższy, należało dostosować tryb życia do potrzeb zdrowia, które wciąż wymagało troskliwego i czujnego starania. Klimat górski wpływał dobroczynnie na chore płuca, zacisze i spokój gór działały kojąco na przewrażliwione i rozstrojone nerwy. Odkryte przed stosunkowo niedawnym czasem przez fanatycznie w Tatrach rozmiłowanego doktora Tytusa Chałubińskiego, rozświetlone w poezji i w prozie, na przełomie dwu wieków urosło Zakopane nie tylko do rzędu jednego z pierwszych polskich uzdrowisk, ale i jak gdyby sezonowej i nieoficjalnej stolicy kraju. Osiedlali tu na stałe lub zatrzymywali się czasowo literaci, malarze, muzycy, znakomici aktorzy, niemal wszyscy, których nazwiska coś znaczyły w kulturze polskiej. Ktokolwiek był zmuszony uchodzić z rosyjskiego zaboru, „skompromitowany” politycznie, tu najczęściej znajdował pierwszą, bezpieczną przystań. Zakopane w sposób zupełnie wyjątkowy, jak nigdzie indziej, łączyło w sobie urok górskiej ustroni, piękno niezwykle krajobrazów i wszystkie ponęty środowiska, w którym coś się dzieje, w którym rodzą się i dojrzewają sprawy o dalekosiężnych być może konsekwencjach.

Relację o ówczesnym życiu zakopiańskim pisarza i o nim samym przekazał po latach jego młodociany w tym okresie towarzysz, początkujący historyk i uczestnik niepodległościowych poczynań, kierowanych zamysłem i wolą Piłsudskiego, Michał Sokolnicki. Miejscem, w którym schodziła się codziennie miejscowa i sezonowa zakopiańska elita kulturalna, była czytelnia Biblioteki Publicznej. Tam właśnie, na werandzie drewnianego, niskiego budynekczku, nieopodal Krupówek i szumiącej w pobliżu Białki

spotkał po raz pierwszy pisarza jego młody już niebawem przyjaciel. „Wysoki, lecz nieco przygarbiony, o chorowitym i przemęczonym wyglądzie, ciemnej brodzie, zwiększającej posępność oblicza, dużych, trochę zwichrzonych włosach, o ruchach — jak gdyby mieszaninie dumnego poczucia wyższości i drażliwej nieśmiałości zarazem”²⁶, zastanowił Sokolnickiego od pierwszej chwili szczególnie uduchowionym wyrazem twarzy i spojrzeniem jakby z góry odpychającym, a jednocześnie wiecznie czegoś oczekującym. Sokolnickiego znał Żeromski ze słyszenia i z lektury już dawniej, gdy w okresie powstawania *Popiołów* profesor Askenazy przysyłał mu fragmenty jego pisanej wówczas monografii generała Sokolnickiego, imiennika i zarazem pradziada monografisty.

Żeromski instynktownie garnał się do ludzi młodych, wiecznie udręczony w swoim życiu i w swej twórczości biedą polską, wszystkie swe troski, „mroczne zwątpienia” i młodzieńcze „porywy” skłonny był najchętniej powierzać młodym duszom, tak iż „za każdym razem, gdy pojawiał się na [...] widnokregu człowiek nowy, z ambicją artysty i z pragnieniem Polaka, Żeromski miał instynkt przywiązania się do niego jak do własnego syna, udzielenia mu swych zgryzot i tęsknot, obudzenia w nim swojej wiary, jak gdyby oddania w jego ręce wątłej, egzotycznej rośliny, ledwie dopiero co żywej, aby ją ten nowy człowiek umocnił, życiu przywrócił, uczynił odporną, dał jej siłę energii i wzrostu. Takimi byli na drodze Stefana Żeromskiego Jan Witkiewicz, Mieczysław Karłowicz, Karol Szymanowski”²⁷ i jednym z nich stał się też w owym czasie Sokolnicki.

Tryb życia, jaki pędził Żeromski w Zakopanem, „był spokojny” i o dość ograniczonym repertuarze urozmaiceń. „Spacery dozwolone mu były tylko w wygodnych ekwipażach”, w okresach letnich w parokonnym powozie, w zimie w dużych, obłożonych futrami saniach. Stało się zwyczajem pisarza zabieranie Sokolnickiego na owe „wędrowania po płaskich, podhalańskich szlakach, wśród kolumn smreków między widmami gór”. Żeromski wtajemniczał w czasie owych rozjazdów młodocianego słuchacza i towarzysza w swoją estetykę,

zaznajamiał z półcieniami kolorów, gdy gasło słońce, z ciszą lasu świerkowego, z tajemniczym budzeniem się podmuchów halnych między drzewami — i opowiadał wtedy historie i widowiska, zaczerpnięte z różnych stron Polski i rozmaitego jej istnienia. Najczęściej powracał we własne strony rodzinne, błądził myślą po ukochanych Górach Świętokrzyskich, opowiadał ze wstrząsającym uczuciem dochodzącą do szalów harmonię śpiewu w wiejskim kościele, zasłyszana przezeń dzieckiem. Opowiadania Żeromskiego miały swój szczególny charakter i wdzięk: zaczynał je nieśmiało, wstydliwie, na wpół niechętnie, jakby bojąc się zrazu wkładać w nie swą duszę. Ale potem przychodził jakiś jeden obraz z jego pamięci lub porywała go nagle jedna zasadnicza myśl lub też odżywała w nim tchnąca życiem obserwacja — i wtedy od razu się przeobrażał [...] Z mistrzowską pewnością doboru słowa, ze szcze-

²⁶ M. Sokolnicki, *Czternaście lat*, Warszawa 1936, s. 137.

²⁷ *Ibid.*, s. 139.

gólnym blaskiem radości i przejęcia w swym wzroku, z udzielającą się siłą imaginacji i zapału wywoływał niezapomniane obrazy [...] Cechowała je przejmująca prawda — czasem aż do najdrobniejszego, zapamiętanego szczegółu. Zdarzenia i sytuacje odcinały się z uderzającą plastyką, zaś opisywane osoby mówiły własną do śmieszności mową i przesuwaly się własnymi, uchwyconymi w locie ruchami. Sam opowiadający, wywoławszy swój obraz, zasuwał się jak gdyby w cień.²⁸

Gdy nieprzyjazna aura nie sprzyjała dalszym wędrówkom, gdy „lały się sute, zakopiańskie deszcze lub gdy zasypywał drogi i domy puszysty, czysty, tatrzański śnieg, ściągał” Żeromski swego młodocianego towarzysza do swojej skromnej zakopiańskiej kwatery. Witala ich

zaniepokojona zawsze, kogo też tym razem z naradzających się geniuszów los i mąż jej na głowę sprowadzi, złota, kochana pani Oktawia Żeromska. Zawsze nerwowa i zapobiegliwa, niespokojna w swej dobroci, żywiołowa w swych uczuciach, przejmująca w ukochaniu twórczości męża, pani Żeromska tworzyła wokół pisarza i poety atmosferę rodzinnego domu, pełną zagadkowych cierpień osobistych i publicznych, pełną zgrzyot smutnego życia, ale opromienioną tym światłem i tym ciepłem, jakie daje twórczość.²⁹

Życie zakopiańskie pisarza nie zamykało się przecież całkowicie w izolacji domowego odosobnienia. Zawsze w nim mimo samotnictwa czynny instynkt społeczny wciągnął go z wolna w działania i inicjatywy kulturalne miejscowego świata inteligencji. Wyzyskując swoje profesjonalne doświadczenia zajął się organizacją Biblioteki Publicznej, zabiegał po całym kraju o książki dla niej, przygotowywał jej statutowe założenia i troskał się o ich zatwierdzenie przez zwlekające urzędowe instancje austriackie. Uczestniczył aktywnie w organizowaniu Towarzystwa Wyższych Kursów Wakacyjnych, imprezy społecznej, mającej służyć popularyzacji wiedzy wśród najszerszych kręgów inteligencji. Był inspiratorem wieczorów poetyckich, cieszących się dużym uznaniem publiczności. „W przyćmionym blasku lamp naftowych — wspominał po latach Sokolnicki — czytano tam utwory nowe i przypominano dawne. Żeromski przewyciężając cechującą go wstydlivość odczytał tam raz coś z utworów własnych”³⁰, ale przeważnie przysłuchiwał się tylko produkcjom innych. „Snobizm zakopiański, polechtany słynnym nazwiskiem i fascynującą postacią autora *Popiołów*, zapelniał szczelnie małą salkę drewnianego domu. Pojawiał się tam tajemniczy Miciński, posępny Orkan, brał udział chudy i wiecznie mizerny Daniłowski, przynosił atmosferę swych niespokojnych i fantastycznych myśli geolog, literat i reformator teatralny Mieczysław Limanowski. Przychodzili malarze: Tymon Niesiołowski, Filipkiewicz, młody Stanisław Witkiewicz”³¹.

Niektóre zbliżenia osobiste w kręgu ludzi tak urzekających i niepokojących swym formatem duchowym miały kolosalne znaczenie w życiu we-

²⁸ Ibid., s. 139 - 140.

²⁹ Ibid., s. 141.

³⁰ Ibid., s. 137.

³¹ Ibid.

wnętrznym Żeromskiego i odcisnęły się wyraźnie w jego twórczości. Jednym z owych ludzi znaczących był przebywający ówczasnie w Zakopanem, ciągle zagrożony i szukający ratunku w klimacie gór, poznany już w Szwajcarii Edward Abramowski. Był jedną z owych osobistości niezwykłych, które pojawiają się raz na pokolenie, aby wyźłobić w jego życiu ślad głęboki i gorejący. Był postacią, której niepodobna było się oprzeć. Urodzony na Ukrainie, w starej, ziemiańskiej, na polu arystokratycznej rodzinie, należał do owego rodu „czerwonych książąt”, których tyle wydał wiek XIX. Już wówczas uchodził za jednego z głównych ideologów socjalizmu polskiego, któremu przysparzał zresztą również wiele kłopotów swoim ideowym nonkonformizmem. Wyszedł od Marksa, ale nie mieszcząc się w ortodoksyjnych szrankach tej ekonomicznej przede wszystkim doktryny, uzupełnił ją szeroko rozbudowanym systemem etyki indywidualnej, wychodząc z założenia i przeświadczenia, że jedyną gwarancją istotnego postępu może być wyłącznie moralna przebudowa człowieka. Drogę ku tej „rewolucji moralnej” widział przede wszystkim w ruchu spółdzielczym, w tworzeniu „komun duchowych”, które wyzwalając od despotyzmu państwa budować miały współzależność społeczną zbiorowości na zasadach kooperacji i powszechnego braterstwa ludzi wolnych. Żeromski i Abramowski spotykali się często na terenie czytelnicy i biblioteki zakopiańskiej, w „chacie” Witkiewiczów, na zebraniach radykalnej inteligencji. Wyszła właśnie wówczas nowa książka Abramowskiego *Socjalizm a państwo*, stając się przedmiotem zarliwych i namiętnych dyskusji. Składano uroczyste zobowiązania do szerzenia ideologii społeczno-moralnej Abramowskiego we wszystkich dziedzinach indywidualnej pracy i własnymi, prywatnymi środkami. Żeromski stał się wówczas na zawsze jednym z najwierniejszych wyznawców i wykonawców sprysiężenia.

Zimą roku 1904 na 1905 przecięły się też drogi pisarza z inną, niezwykłą i fascynującą osobowością, która w nadchodzących czasach zaważyć miała we właściwy sobie sposób na losach i na świadomości narodu. Już od kilku miesięcy gorzała na Dalekim Wschodzie wojna Rosji z Japonią. Przebieg działań wojennych był dla opinii świata i dla opinii polskiej zaskakujący. Odślonił zdumiewającą i nie przeczuwaną słabość imperium Romanowych, demoralizację sił zbrojnych, strupieszalność i rozkład samodzierżawia. Klęski na frontach i dezorganizacja życia w głębi państwa znajdowały coraz potężniejszy rezonans w rosnących z dnia na dzień nastrojach buntu. W pierwszych tygodniach r. 1905 wzrastający przybór fali rewolucyjnej zagarnął już nie tylko obszary Rosji, ale zaczął się wylewać na graniczne, polskie gubernie. Echa tych zdarzeń docierały również w zakopiańskie zacisze gór, a „ten daleki huk działa” zdawał się zwiastować jakąś wielką przemianę, dokonywały się jakieś historyczne zdarzenia, „a wraz z nimi problematy polskie nabierały ciała i krwi”³².

³² Ibid., s. 130.

W ostatnich dniach listopada r. 1904 przybył do Zakopanego Piłsudski. W rocznicę powstania wygłosił odczyt o polskich usiłowaniach wyzwolenieczych, nawiązał do zbrojnej manifestacji na Placu Grzybowskim w Warszawie sprzed kilku dni, w której dostrzegł pierwszy od lat wyraz honoru i godności narodu, przełamanie lęku przed obcą, wroga i zniewalającą siłą. Mówił to po powzięciu już decyzji, że czas najwyższy przejść od nieskoordynowanych demonstracji do systematycznej pracy organizowania regularnej siły wojskowej. Patronować tej akcji narodowej powinien był, jego zdaniem, komitet społeczny, złożony z ludzi wybitnych i znanych w kraju. Jednym z nich miał być Żeromski. „W małej izdebce, na piętrze willi «Jordanówka» — opisał Żeromski to zdarzenie po latach — Józef Piłsudski zażądał ode mnie, bym wraz z kilkoma osobami podpisał odezwę, wzywającą cały naród do składania ofiar pieniężnych na broń dla armii, której zawiązki będą tworzone [...]”³³. Jemu też powierzył misję zjednania dla tej idei Stanisława Wyspiańskiego.

Raz tylko w życiu — wspominał później Żeromski — zetknąłem się był poprzednio z podwawelskim poetą, gdy w przejeździe przez Kraków złożyłem mu wyrazy swego hołdu. Toteż gdym zmierzał ulicą Krowoderską do jego mieszkania, skąd poza próg nie wychodził wskutek ciężkiej choroby, gdym myślał, że mam wzywać do czynu tego człowieka tak słabego, obarczonego liczną rodziną, artystę, który chwyla umykające ostatnie dni życia, ażeby ucieleśnić ostatnie duszy widziadło, czułem niezmierny ciężar swego posłannictwa.³⁴

Wyspiański ofiarował był wówczas na rzecz skarbu narodowego litografowaną podobiznę obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej oraz tekst poetyckiej inkantacji *Hymn Veni Creator, Narodu Śpiew*. Odbicie owego wizerunku Matki Bożej i *Hymnu* w stu tysiącach egzemplarzy, po rozprawdzeniu nakładu po guldenie czy rublu miało dać w sumie sto tysięcy na rzecz walki zbrojnej.

Gdy wyszedłszy stamtąd — kończył Żeromski to wspomnienie — podążyłem na ulicę Szlak do mieszkania Józefa Piłsudskiego, gdy opowiedziałem, com słyszał, i zdałem dokładną sprawę z tego zetknięcia się z iskrą wielkiego słońca, usłyszałem mocny, iście żołnierski śmiech spiskowców. To oni, „frakcja rewolucyjna”, mieli w wielkich masach przemycać do Królestwa Matkę Boską Częstochowską.³⁵

³³ S. Żeromski, *Na broń*, [w:] *Elegie...*, s. 91 - 96.

³⁴ *Ibid.*

³⁵ *Ibid.*, s. 96.

Rozdział V

W WIRACH REWOLUCJI

Wybuch rewolucji powitał Żeromski z entuzjazmem. Należy wątpić, czy rozumiał ją tak samo jak jej polityczni inspiratorzy. Związki z socjalizmem, zadziergnięte w Szwajcarii, pogłębione w latach warszawskich, oparte były przede wszystkim na bezwzględnej aprobacie dla moralnych celów i dążeń ruchu oraz na szacunku dla osobistej bezinteresowności i czystości ideowej znanych pisarzowi jego przywódców i wyznawców.

W socjalizmie polskim owego czasu ścierały się dwie odmienne, przeciwstawne orientacje. Jedną reprezentowała Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy oraz zafascynowany ruchem rosyjskim tzw. odłamek „młodych”, czyli „lewica PPS”, zgodna z Socjalną Demokracją w orientacji na najściślejsze współdziałanie i organizacyjne zespolenie partii obu narodów jako podstawowej gwarancji powodzenia. Sprawy narodowościowe uważała za najzupełniej drugorzędne; proletariat nie ma ojczyzny, wiąże go ponad wszelkimi granicami państw i narodów jedna, cementująca go idea: społecznego i ekonomicznego wyzwolenia klasy uciemnionej.

Orientację całkowicie odmienną reprezentowała Polska Partia Socjalistyczna w swoim „prawicowym” odłamek tzw. „starych”, wiernych dawnemu hasłu niepodległości, zapisanemu w programie pierwszego zjazdu założycielskiego z r. 1892. Proletariackiemu internacjonalizmowi socjaldemokratów przeciwstawiała silne poczucie narodowe, klasowej rewolucyjności solidaryzm społeczny. Na czoło swego programu wysuwała hasło niepodległości. Wielkie poruszenie mas robotniczych miało być przede wszystkim irredentą narodową, nowym, kolejnym ogniwem w wiekowej walce o wolność. PPS separowała się świadomie od ruchu rewolucyjnego na terenach rdzennie rosyjskich, który w swoich dążeniach niezupełnie był, w jej przekonaniu, tożsamy z celami i aspiracjami proletariatu polskiego.

Ostentacyjnie manifestowany niepodległościowy i solidarystyczny charakter programu pepeesowskiego w specyficznych polskich warunkach okazał się szczególnie pociągający. Ucisk polityczny rządów zaborczych wy-

wolował naturalny odruch oporu. Klasowy wyłącznie punkt widzenia wydawał się zbyt ciasny i minimalistyczny w swoich rewindykacyjnych dążeniach. Tylko naród prawdziwie niepodległy i zjednoczony wewnętrznie wydawał się być zdolny rozwiązywać podstawowe problemy swego zbiorowego istnienia. Ta specyficzność sytuacji sprawiła, że pokaźna część społeczeństwa polskiego, zwłaszcza postępowej inteligencji twórczej, mimo całej sympatii dla społecznych celów i dążeń rewolucji pragnącej w niej widzieć nie tyle walkę klasową, ile ruch narodowy, znalazła się w zasięgu oddziaływania programu politycznego PPS.

Uległ mu również Żeromski, i to nie tylko dlatego, że jego kontakty z socjalizmem nawiązywały się jak zawsze dotąd za pośrednictwem ludzi tej właśnie orientacji ideowej. Działy od młodości w nim ugruntowane umysłowe i emocjonalne opory wobec wszelkich form klasowego, a więc dzielącego społeczeństwa myślenia. Aczkolwiek zdawał sobie sprawę z antagonizmów utwierdzonych nierównością społeczną, w specyficznych warunkach polskich jedność i solidarność wobec wrogów wydawały mu się pierwszym nakazem i powinnością narodową. Wyniesione z domu tradycje i wspomnienia powstańcze uwrażliwiły szczególnie na wszelkie ideowe sugestie, które zawierały wyraźną i jednoznaczną dyrektywę walki o wolność. W wielkim przebudzeniu się rewolucyjnym dostrzegł przeto Żeromski przede wszystkim nadzieję niepodległości, realizację niespełnionych testamentarycznych nakazów ostatniego powstania. Niepodległość — socjalizm stały się dla niego jedną i tożsamą w swej istocie wartością. „Ktokolwiek jesteś rodaku — pisał w owych dniach wielkiego poruszenia serc i umysłów — jeżeli nie gromadzisz majątku z pracy bliźniego, winienes być bratem żołnierza wolności, czyli socjalisty polskiego”¹.

Rozwój rewolucji w Królestwie obudził w nim, zawsze żywe i silne, choć nie zaspokojone dotychczas w pełni, aspiracje działacza, społecznika, nauczyciela. Rząd carski pod wrażeniem wydarzeń szedł na ustępstwa. Przeraził go gwałtowny przybór rewolucyjnego żywiołu, potężne strajki, paraliżujące działanie mechanizmów i struktur państwa. W październiku r. 1905 orędzie „najwyższej władzy” obwieszczało ludom cesarstwa „niewzruszone podstawy wolności obywatelskiej: rzeczywistą nietykalność osobistą, wolność sumienia, słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń”². Manifest był taktycznym wybiegiem i czysto formalną deklaracją, której rząd nie zamierzał nigdy w pełni dotrzymać, niemniej jednak otwierał, choćby chwilowo i przejściowo, pewne widoki na swobodę działań społecznych. W tych okolicznościach dalszy pobyt w Galicji stawał się dla Żeromskiego psychiczną i moralną niemożliwością. „Wytworzyły się nowe światy — pisał do Stanisława Witkiewicza, przebywającego wówczas w Lovranie —

¹ S. Żeromski, *Fragmenty brulionowe „Snu o szpadzie”*. [w:] „*Sen o szpadzie*”, „*Pomyłki*”..., s. 279.

² A. Hutnikiewicz, *Stefan Żeromski*, Warszawa 1960, s. 17 - 18.

wypłynęły nowe roty ludzi, ocknęły się olbrzymie i święte idee. We wszystkim czuć drganie nowego życia”³. W połowie kwietnia r. 1905 opuścił Żeromski Zakopane, aby się osiedlić raz jeszcze w bliskim sobie i drogim Nałęczowie.

Ponowną instalację w urzekającym nałęczowskim pejzażu zaczął od budowania pierwszego w swoim życiu własnego domu, owej legendarnej już „chaty Żeromskiego”, wzniesionej według projektu Jana Witkiewicza, późniejszego męża Henryki Rodkiewiczówny. Był to nie tyle dom mieszkalny, ile leżalnia i pracownia; jedna wysoka i szeroka izba o trzech ogromnych oknach, z sosnowego drzewa sklecona na tak zwanej Górze Armatniej, na mordze gruntu porośniętej mnóstwem drzew owocowych i dziko rosnących świerków, jodeł, cisów, sosen i grabów.

W Nałęczowie zastał sytuację zmienioną, społeczeństwo wytracone z apatii i bezruchu, pełne woli działania podsycanej nadzieją. Żeromski przełamując swoje samotnicze skłonności po raz pierwszy ujawnił niezwykłą i ofiarną aktywność społeczną. Zajął się przede wszystkim pracą oświatową: tajna szkoła powszechna i uniwersytet ludowy, wieczorowe kursy dokształcające dla uczniów miejscowej szkoły rzemieślniczej i teatru amatorski, w którym grano *Dziady* i fragmenty *Kordiana*, budowa ochronki dla nałęczowskich dzieci, sfinansowana głównie ofiarnością pisarza, organizowanie towarzystwa dla szerzenia oświaty pod nazwą „Światło”, rozjazdy z odczytami po lubelskiej prowincji i krzątanie się wokół muzeum przyrodniczo-etnograficznego w Puławach. Żeromski brał udział we wszystkich tych inicjatywach i poczynaniach jako animator, orędownik, płomienny i żarliwy agitator, honorowy przywódca i szeregowy wykonawca. Po raz pierwszy angażował się czynnie w akcje polityczne, uczestniczył w konferencjach i zebraniach partyjnych, kwestował z Daniłowskim i Sieroszewskim na rzecz Centralnego Komitetu Rewolucyjnego, przemawiał na wiecach i zebraniach publicznych. Czy należał formalnie do partii, czy też był tylko sympatykiem, tego niepodobna stwierdzić na pewno. Sokolnicki zaprzeczał organizacyjnemu powiązaniu, ale w sekretnych aktach żandarmerii rosyjskiej zapisano Oktawię i Stefana Żeromskich jako aktywnych członków PPS⁴.

Obok tych działań i czynności powstawały jednocześnie utwory, będące jakby pierwszą reakcją na przepływający potok wydarzeń: *Sen o szpadzie* (1905), *Nagi bruk* (1906) *Nokturn* (1907). To wszystko, co w rewolucji było wyrazem gwałtownego przebudzenia się i spotęgowania świadomości klasowej proletariatu, pozostało Żeromskiemu właściwie obce i dalekie, choć go ustawicznie niepokoiło, choć prowadził z tym nieustanny dialog. Manifestujący tłum robotniczy z *Nagiego bruku*, pokazany z typowo naturali-

³ Zob. Stefan Żeromski. *Kalendarz...*, s. 209.

⁴ S. Ptaszycki, *Opinie dawnych urzędów rosyjskich o Stefanie Żeromskim*, [w:] M. Biernacki, *Stefan Żeromski i jego ideologia*, Lublin 1926.

stycznym wyjaskrawieniem jego zwierzęcych i prymitywnych cech, zaufania — jako siła tworząca dzieje — budzić rzecz jasna nie mógł. Wyobrażenia artysty tworzyła sobie własny, wysublimowany i wyszlachetniony obraz wydarzeń, w którym na pierwszy plan wysuwało się „widziadło duszy”: otoczony czarem poezji, samotny nieznany żołnierz rewolucji, wychodzący w pojedynkę przeciw potężnemu mocarstwu „w najciemniejszą, jesienną noc”, gdy huczy wicher i pada deszcz, a zniewolony naród śpi „w swych sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach i norach podziemnych kamiennym snem niewolników”⁵. Był to więc ten sam, tak dobrze znany romantyczny idealizm, który już w poprzednich utworach Żeromskiego kazał borykać się z wszechmocną potęgą zła samotnym indywidualistom, podejmującym w imię szczytnego obowiązku, z własnego, wewnętrznego nakazu i bez niczyjej pomocy ciężar walki o odmianę oblicza ziemi. Przypominając tamte dni i tamte „nocne rodaków rozmowy”, przebywający ówczesnie w Nałęczowie Sokolnicki charakteryzował znamienne stan swoistego rozdwojenia wiecznie stroskanej i nieufnej świadomości pisarza, w którym odślaniały się raz po raz jakby dwa odmienne i zaprzeczające sobie oblicza:

[...] z jednej strony jego natura, zawsze czynna, szukająca społecznych rozwiązań, pragnąca ciąglej w życiu realizacji ideałów, pociągała go do potrzeb chwili, do konieczności zmiany [...] z drugiej zaś strony jego posępny, wewnętrzny świat podsuwał mu kędyś na zakręcie tragiczną myśl, że wszystko to jest na próżno, że wysiłki polskie zawsze idą na marne, że szlachetni i mądrzy pozostaną w narodzie po wsze wieki w mniejszości [...] ⁶

Ruch rewolucyjny w Królestwie osiągał fazę największego rozmachu, kiedy przyszło pisarzowi wyjechać na kilka miesięcy za granicę, do Włoch. Podróż podyktowana została zdrowotnymi potrzebami małego Adasia, któremu lekarze zalecili wzmocnienie w ciepłym i łagodnym klimacie. Wyjazd nastąpił jesienią r. 1906; po drodze zatrzymano się w Lozannie, gdzie Henryka Rodkiewiczówna przebywała na studiach; pisarz nie oparł się pokusie, aby raz jeszcze, może ostatni, zobaczyć stare zamczysko w Raperswilu, odnaleźć dawne, błakające się echa, młode marzenia, „naiwne złudy”. „Wielem tu wycierpiał — nauczył się i zdobył w samotności [...] Tyle trudów, uniesień, zapału — a teraz tylko wspomnienie...”⁷.

W styczniu r. 1907 ruszono dalej na południe. Mediolan, Florencja, Rzym, Neapol i wreszcie Capri, dłuższe miejsce postoju. Ogarniało go uczucie odprężenia po miesiącach pełnych napięcia.

Przecudne uliczki Capri, wążuchne tajemnicze przejścia [...] — zapisywał na gorąco swoje namiętne, gwałtowne zakochanie w tym pięknie świata. — Błądząc po

⁵ S. Żeromski, *Sen o szpadzie*, [w:] „*Sen o szpadzie*”. „*Pomyłki*”..., s. 8.

⁶ M. Sokolnicki, *Czternaście lat*, Warszawa 1936, s. 246.

⁷ S. Żeromski, *Podróż do Włoch (1906 - 1907)*, [w:] *Wspomnienia*, s. 146, 148.

nich z niewymowną rozkoszą, doznając wrażenia, że czytam jakąś zbójcejką, średnio-wieczną bajkę albo krwawą tragedię Szekspira [...] Przedziwne zaułki, nieopisane piwniczne podwórka [...] ciemne tunele, w które ze strachem oko się zapuszcza. Wtem przedział między murami — i boski w nim widok na Neapolitańską Zatokę, na Wezuwiusz i biejący w dali Neapol. Penisola Sorrentina wynurza się z mgły różowej, strzeliste skały kaprejskie buchają w górę, nad nimi zamczyska Barbarossy, Tyberiusza, jak zastygła żądza tyranów...⁸

A w dole morze, „najcudowniejsze morze świata”. Patrząc na nie układał poetycką pochwałę jego niewypowiedzianej piękności. „O, jakże jesteś cudne, morze! Twoje dno lazuruowe przy brzegu, przeczyste jak oczy mojego dziecka — twoje dalekie, obszerniejsze niż wzrok człowieka rozpostarcie, twój szum błogosławiony, gdy walisz piersiami w skały stare”⁹. Wiecznie pograżony w swoich tajnych zgryzotach czuł się może po raz pierwszy w życiu szczęśliwy.

Poszliśmy z Adasiem na małą wycieczkę za Faragliony. Cichy poranek. Ciepły wiatr fruwa. Na ławce daleko... Widać całą Zatokę Salerneńską i całe morze. Jeden błękit [...]

Uzucie szczęścia na widok mojego synka. Jest on jak wietrzyk ten, co wzdyma się, przelata i zacicha, jest jak muszka, bawiąca się radośnie na liściach żółto zakwitającej krzewiny.

Tak rzadkie w moim sercu uczucie szczęścia sprawia mi radość jeszcze z tego względu, że jest jak gość, któregom się już spodziewać zaprzestał.¹⁰

W tych miejscach pełnych piękna natury i piękna sztuki, ale i grozy, więjącej od pomników dawnej tyranii, zetknął się i zadomowił w filozofii Nietzschego. Nosił jego pisma w kieszeni. Ich lektura wydawała mu się jak gdyby naturalnym dopełnieniem tego świata gwałtownych i olśniewających kontrastów, który go obecnie otaczał. Odnajdywał w nich, choć w napięciu spotęgowanym, swoje własne namiętne umiłowanie życia, uwielbienie potęgi, wzgardę dla słabości. Tylko że tamten objawiciel *Wille zur Macht* uczynił z owego kultu siły rdzeń swej filozofii, w nim natomiast przeciwwagę stanowił jego zawsze czujny instykt moralny. Lektura Nietzschego była więc jak gdyby nieustającą rozmową i sporem z samym sobą, z wiecznie obecną pokusą, przed którą bronilo się sumienie.

Wczasy we Włoszech stały się okazją do zawarcia także innych interesujących przyjaźni towarzyskich i literackich. Na Capri mieszkał już od dłuższego czasu Maksym Gorki, przebywali okresowo poeta i dramatopisarz Andriejew, szwedzka publicystka i działaczka społeczna Ellen Key oraz subtelna i wytworna poetka Maryla Wolska. Gorki przypominał Żeromskiemu urzekającą postać Stanisława Witkiewicza, wydał mu się, jak tamten, człowiekiem szczególnego, duchowego uroku, „słowiańskim, wyższym”, acz zepsutym co nieco „przez banalną sławę”¹¹; Andriejew intere-

⁸ Ibid., s. 165 - 166.

⁹ Ibid., s. 160.

¹⁰ Ibid., s. 166.

¹¹ Ibid., s. 161.

sującym partnerem literackich dysput. Odnajdywali wiele wspólnych poglądów i podobieństw w rzeczach sztuki oraz we własnych dylematach ideowych i artystycznych, z jakimi borykają się twórcy. Robiono wycieczki na Punta Tragara i do willi Tyberiusza, wspinano się „po wąskich zaułkach i stromymi drogami do Anacapri”, wieczorami rozprawiano o sztuce, Andriejew czytał swe najnowsze utwory, Żeromski przeglądał z ciekawością nie znane mu dotąd wydawnictwa symbolistów rosyjskich. Czasem odrywano się od tych spraw profesjonalnych, aby cieszyć się pięknem życia, niezwykłą urodą tego kraju, włoskiego nieba i klimatu, czarem neapolitańskiej piosenki. Piękna pani Maria Gorki przesyłała wielkie bukiety kwiatów, które ledwie mieściły się w pokoju.

Czuł się szczęśliwy, a przecież — nie mógł zapomnieć. „Przebywam odległe światy — zapisywał w swym dzienniku podróży — kraje słońca, morza, suchego powietrza, oliw i róż, cyprysów i kamelij, drzew, których nie ma w moim płaskim świerkowym kraju [...] Nie tęsknię za nim, lecz mam go w sobie, jakbym miał w mózgu ziarenko szaleju”¹². Myślał o tych bezimiennych, nieznanach „oficerach, doboszach”, żołnierzach rewolucji polskiej z niskich chałup dalekiej północy, kryjących się „po norach Warszawy i poddaszach Łodzi”. Gazety włoskie donosiły o dramatycznych wydarzeniach dziejących się w dalekim kraju. Myślał o nich nocami. Czuł, że są w sercu ludzkim jakieś święte, bolesne prawdy, których nawet najwspanialsze piękności świata przesłonić i przygłuszyć nie mogą. „Patriotyzm nie jest kategorią umysłową ani systematem politycznym — notował po takiej nocy bezsennej — lecz namiętnością taką, jak miłość, nienawiść, zdolność do przebaczenia, żądza posiadania i żądza zemsty. Jest to uczucie ślepe, głuche, nieme od urodzenia. Ale jak dzieci ślepe i głuchonieme są stokroć bardziej od urodziwych kochane przez rodziców, tak samo to uczucie jest najbardziej głuchą, ciemną, wzrosłą w instynkt tajnymi korzeniami namiętnością człowieka”¹³.

Z początkiem kwietnia opuścił Żeromski czarodziejską wyspę i poprzez Rzym, Florencję, Wenecję ruszył w drogę powrotną. Do Nałęczowa dotarł w pierwszych dniach maja. Powrót poprzedzały wieści raczej niedobre. Wrzenie rewolucyjne jeszcze nie wygasło. Odbływały się nadal — jak sam o tym później napisze — „demonstracyjne pochody [...] zebrania, wiece ludowe pod otwartym niebem, spiskowe schadzki w parowach, coniedzielne odczyty w szopie «na Pałubach», wykłady w ledwie wykończonej szkole dla nauczycieli ludowych — strajk rolny, sądy ludowe, teatry, koncerty na przeróżne cele w nałęczowskim «pałacu»”¹⁴, ale pojawiać się zarazem zaczęły pierwsze zapowiedzi przegranej. Wypadki nie rozwijały się po-myślnie. Rząd carski, straciwszy głowę w początkowych miesiącach rewo-

¹² Ibid., s. 154.

¹³ Ibid., s. 187.

¹⁴ S. Żeromski, *O Adamie Żeromskim wspomnienie*, [:] *Wspomnienia*, s. 66.

lucji, po zawarciu pokoju z Japonią i zapobieżeniu katastrofie ekonomicznej dzięki pokaźnej pożyczce banków francuskich, zaczął z wolna odzyskiwać panowanie nad sytuacją, wycofywać się stopniowo z liberalnych ustępstw, tropić coraz zacieklej przywódców i uczestników niedawnych „buntów”. Nadciągała nieuchronnie fala reakcji i odwetu.

Revolucja przeraziła warstwy mieszczańskie, które w odruchu samoobrony rzuciły się w objęcia caratu jako jedynej gwarancji ich przewagi społecznej. Eksponentem tego najświeższej daty moskalofilstwa stała się Narodowa Demokracja, która z dnia na dzień niemal dokonała wolta politycznej o 180 stopni, zmieniając swe dotychczasowe antyrosyjskie nastawienie na sojusz ideowy z caratem, jako jedyną, „trzeźwą i oportunistyczną ostoję ładu społecznego” w atmosferze pogłębiającego się pod wpływem strasznego terroru administracji carskiej wewnętrznego chaosu i totalnej anarchii. Jednocześnie w obozie rewolucji mimo bohaterstwa jednostek zaczęły się ujawniać symptomy rozkładu i zwyrodnienia. W miarę jak rząd zaczął odzyskiwać kontrolę nad biegiem zdarzeń, wraz z utratą nadziei w szeregi obozu rewolucji zaczęły wkradać się zdrada, prowokacja, nihilizm, walka dotychczas ideowa poczęła się wyradzać w „pospolity bandytyzm”, szukający już nie żadnej szczytnej idei, ale zwyczajnej, osobistej korzyści. To wszystko było niejednokrotnie przedmiotem rozmów i dyskusji przyjaciół w nałęczowskiej siedzibie Żeromskiego. Wrodzony mu pesymizm znajdował w przebiegu zdarzeń trującą pożywkę i podniecie. Zaczęła się ujawniać istniejąca w nim już dawniej skłonność do upajania się nieszczęściem, rozmiłowywania w cierpieniu, a klęska rewolucji nadała owej dyspozycji psychicznej intensywność szczególną. „Spostrzegalem w tym czasie — wspominał po latach Sokolnicki — jak trudne i niebezpieczne są drogi jego tworzenia i przerażenie ogarniało mnie w chwilach, kiedy ten człowiek zaczął się [...] wmiłowywać w cierpienia i nieszczęścia, odczuwać jakąś prawie zmysłową radość z tego, że jest źle, że tyle jeszcze materiału pozostało dla cierpień, że tyle beznadziei czai się dookoła”¹⁵.

Na tle owych odczuć szczególnych pojawiły się pierwsze nieporozumienia między Żeromskim a czynnymi uczestnikami irredenty niepodległościowej. Żeromski był autorem kilku owych niewielkich utworów, *Snu o szpadzie*, *Nagiego bruku*, *Nokturnu*, które wyrosły z natchnienia i pod wrażeniem rewolucji. Jako literatura było to wzruszające i piękne, ale ludzi czołu Piłsudskiego, którym chodziło nie o wzniosłe, natchnione słowa i najczystsze choćby same idee i marzenia, lecz o efekty całkiem konkretne, w planie działań realnych, utwory tego rodzaju wręcz drażniły, irytowały. „Czyż o to chodzi — przytaczał Sokolnicki opinię jednego z najbliższych współpracowników Piłsudskiego, uczestnika akcji bojowych, Walerego Sławka — aby ponieść nową klęskę, po czym [...] poezja miałaby nas wiel-

¹⁵ M. Sokolnicki, op. cit., s. 247.

bić?... Nie byłoby stąd żadnej pociechy. Nam chodzi nie o cierpienie i nie o jego piękno. Nam chodzi o zwycięstwo”¹⁶.

Sytuacja osobista pisarza nie była również najlepsza. Jego aktywność społeczna i kontakty polityczne nie mogły ująć uwadze carskiej ochrony. Rozpoczęły się aresztowania nałęczowiaków, przymusowy pobór do wojska. Jeden z najbliższych młodych współpracowników Żeromskiego, Grześ Wójcik, „wódz młodzieży chłopskiej na daleką okolicę [...] porwany w nocy przez kozaków otrul się w puławskich koszarach”¹⁷. Uprowadzono w biały dzień, na oczach całego Nałęczowa, pannę Faustynę Morzycką, co była duszą wszystkich oświatowych poczynań i najgorliwszym pomocnikiem pisarza. Od uwieczonych i aresztowanych płynęły bez przerwy tajemnymi drogami alarmujące wezwania, aby natychmiast wyjeżdżać, „uciekać co tchu za granicę”. Nadeszły dni niespokojne, pełne napiętego oczekiwania i pogotowia. „Każdy tętent na drodze, każdy po nocy krzyk” dźwigał głowę z poduszek. Czas było jechać, choć wszystko dokoła wołało — zostań. „Żegnajcie piękne nałęczowskie pagórki i doliny, szumiące drzewa [...]”¹⁸.

Wyjazd do Warszawy nastąpił jesienią r. 1908; późną nocą 25 października, po powrocie z koncertu w Filharmonii na cele ochrony w Nałęczowie, pisarz został aresztowany. Umieszczony zrazu w cyrkule dzielnicowym, „wśród złodziei, pijaków, prostytutek i szpiclów”, odstawiony następnie do ratusza, gdzie spotkał całą niemal znaną sobie śmietankę warszawskiej inteligencji postępowej, po dwóch nocach i dniach został zwolniony z wyraźnym daniem mu do zrozumienia, że jest osobą źle widzianą i że najbardziej wskazany w istniejącym położeniu byłby jego czasowy wyjazd z Królestwa.

Upadek rewolucji przeżywał Żeromski jako najbardziej osobistą katastrofę i klęskę. Po okresie wielkich obietnic i zbyt śmiałych nadziei przyszło całkowite nieomal załamanie psychiczne. Klęska wydawała się zupełna i ostateczna. Bezbrzeżny smutek, zewsząd gęste, zatapiające wszystko swym bezmiarem morze ciemności. Kto był winien? Gwałtowne oskarżenie zwracało się przeciw wszystkim i bez żadnych rozróżnień. Spod ogólnego potępienia wyłączał jedynie „pokolenie przyszłą wiosnę niosące”. Jedyne i ostatnią nadzieją była młodość. Ona to — pisał w apostrofie na patetycznych stronach *Słowa o bandosie* — „promień słoneczny po nocy”, miała przewyciężyć w przyszłości bezwład duszy polskiej i wydać ze swych zastępów nowego człowieka, w jednej osobie Żółkiewskiego i Mickiewicza, „od którego czynów i słowa rozradują się popioły” i „zadrży lud jak długi i szeroki”¹⁹. Cały ten dramat niespełnionych nadziei i rozwianych iluzji, tak głęboko osobiście przeżyty, domagał się wyrażenia środkami sztuki.

¹⁶ Ibid., s. 344.

¹⁷ O Adamie Żeromskim wspomnienie, s. 67.

¹⁸ Ibid., s. 67 - 68.

¹⁹ S. Żeromski, *Słowo o bandosie*, [w:] *Pisma literackie i krytyczne*, Warszawa 1963, s. 21.

Uczynił to Żeromski w trzech utworach, powstających niemal współcześnie z biegiem zdarzeń — w powieści *Dzieje grzechu*, w *Dumie o hetmanie* i w dramacie *Róża*.

Początki *Dziejów grzechu* sięgały jeszcze r. 1904. Autor pracował nad powieścią długo, uzupełniał ją, korygował, dopisywał nowe stronicie nawet wówczas, gdy drukowała się już ona w odcinkach najpierw „Nowej Gazyety”, później „Nowej Reformy”. Pomysł mu się zmieniał i rozrastał pod piórem, powlekał przede wszystkim jakby barwą coraz ciemniejszą. Katastrofalny bieg wydarzeń wpływał na nastrój piszącego, a ten udzielał się z kolei samemu dziełu. Świat wydawał się potwornym *bestiarum*, w którym toczy się zjadła walka, a każda świętość, każde dobro jednostkowe skazane jest na nieuchronne zniszczenie. *Dzieje grzechu* ukazały się w wydaniu książkowym z początkiem r. 1908 w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa i w tym samym roku doczekały się wydania drugiego.

Powieść o samozniszczeniu i podeptaniu piękna w jego kształcie najbardziej wysublimowanym przez zło i okrucieństwo, istniejące w człowieku i w naturze, stała się wydarzeniem, wstrząsem, sensacją i skandalem. Przeważały głosy zdumienia i zaskoczenia; powieść wydała się pierwszym czytelnikom jakby wyrazem niepojętej dewiacji znakomitego talentu, zabrnieniem w bezdroża, które wiodą donikąd. Sędziwa Eliza Orzeszkowa w korespondencji z Reymontem podejrzewała wprost jakąś chorobę, erotomanie czy histerię, no i wpływ niewątpliwy ciemnej, dusznej, pławiącej się w mrokach dostojewszczyzny²⁰. Dla Reymonta było to dzieło niepojęte, niezrozumiałe, wyczuwał w nim rażący i przykry rozdźwięk między niekwestionowaną wielkością talentu a pustką i nicością myśli, jaka się w tej powieści odsłoniła²¹. Krytyka nawet najbardziej Żeromskiemu przychylna odczuła również w tym utworze jakby gwałtowne załamanie i odejście pisarza od poprzednich, wysublimowanych założeń jego twórczości. „Pogrom! — pisał Feldman. — Pogrom [...] na całej linii. Pogrom wiary w człowieka i wiary w twórczość historyczną. Pogrom wielkiej romantyki, wielkich marzeń i sił duchowych. Aryman mści się [...]”²². Powieść wydawała się rozmijać z instynktownym, tkwiącym w duszy każdej ludzkiej istoty zaufaniem do życia, do człowieka. „Nieprawdą jest [...] — protestował w swoim omówieniu powieści Antoni Potocki — wszechwładza grzechu, nieprawdą — taki los. Nieprawdą jest — w swym bólu czy rzeczywistości — i taka dusza jednostki i taka dusza zbiorowa”²³. Czyta się tę powieść „w uczuciu [...] wstrętu, odkłada się po przeczytaniu z uczuciem ulgi”²⁴.

²⁰ Zob. E. Orzeszkowa, *Listy*, t. I, Warszawa 1937, s. 347 i n.

²¹ *Ibid.*

²² W. F. [Feldman], *Stefana Żeromskiego „Dzieje grzechu”*, „Krytyka” 1908, t. 1, z. 2.

²³ A. Potocki, *Wielki inkwizytor*, „Tygodnik Ilustrowany” 1908, nr 10 - 11.

²⁴ J. Flach, „Przegląd Polski” 1908, t. 167, s. 548.

Jeszcze bardziej niż sama powieść przerażała niektórych sprawozdawców reakcja publiczności warszawskiej, która nie bacząc na ostrzegające i potępiające głosy „krytyki poważnej”, a może właśnie dlatego, pociągnięta sensacją atmosfery wokół zdarzenia, rozchwylała dwa nakłady w ciągu paru miesięcy.

Do jakiego stopnia — oburzał się Teodor Jeske-Choiński w *Listach z Warszawy*, drukowanych w „Gazecie Lwowskiej” — straciła Warszawa w ostatnich latach miarę piękna w oku i smak estetyczny i etyczny, wymownym tego dowodem poczytność *Dziejów grzechu* Stefana Żeromskiego — absurdu psychologicznego i logicznego. Żeromski skopał, spoliczkował, opluł kobietę polską, przewrócił dotychczasową logikę artystyczną [...], a tłum niewybredny zachwyca się jego dziwadłem logiczno-psychologicznym, a jego wielbiciele w krytyce nazywają jego Ewę Pobratyńską, kobietę upadłą, dzieciobójczynię, metresę, kochankę bandyty, morderczynię, zbrodniarkę, w końcu zwykłą ulicznicę — typem nowoczesnej kobiety polskiej.²⁵

Część krytyki starała się przecież znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla tego niewytłumaczalnego na pierwsze spojrzenie wydarzenia. Feldman dopatrywał się w powieści tajemnych powiązań z aktualną chwilą, widział w niej literacką transpozycję „wszystkich tych rozczarowań, jakie życie nam zgotowało”²⁶. Antoni Potocki szukał wyjaśnienia tajemnicy w najgłębszych pokładach mrocznej i zagadkowej psychiki pisarza. „Wielki inkwizytor duszy współczesnej” od początku miał skłonność do zapuszczania „sondy unicestwień” w jej „dno żałobne”. „Ścigał od dawna wszelką skazę na sumieniu powszechnym, wypalał płomienną różgą grzech niepamięci, grzech obojętności, grzech obłudy, grzech samochwalstwa, grzech bezczynności”. U podstaw tej inkwizytorskiej pasji kryć się zdaje tragiczna niewiara w ludzi²⁷.

Najobszerniejsze studium o *Dziejach grzechu* wyszło spod pióra Ignacego Matuszewskiego. Krańcowość sądów o powieści była dlań dowodem nieprzeciętności utworu. Zachwyt i gniew mogą wywoływać jedynie dzieła niepospolite. Podkreślał nowość i oryginalność tematu, śmiałość autora w postawieniu i rozwinięciu problematyki seksualnej, w literaturze polskiej prawdę mówiąc nieobecnej. Obraz człowieka jako istoty rozdartej między dobrem a złem był niezbywalnym prawem autora, każdy pogląd „jest tyle wart obiektywnie, co każdy inny”, decyduje skala talentu, siła artystycznej sugestii. Wbrew powierzchownemu wrażeniu powieść „jest afirmacją życia w jego wszechrodwojeniu”, w całym jego pełnym przeciwieństwach bogactwie²⁸. Stanisław Przybyszewski uznał *Dzieje grzechu* za „najgłębszą powieść, jaką Polska posiada”²⁹.

²⁵ T. Jeske-Choiński, *Listy z Warszawy*, „Gazeta Lwowska” 1908, nr 240.

²⁶ W. Feldman, op. cit.

²⁷ A. Potocki, op. cit.

²⁸ I. Matuszewski, *Żeromski i „Dzieje grzechu”*, „Sfinks” 1908, t. 1 i 2, s. 353 - 363, 205 - 237.

²⁹ S. Przybyszewski, *Listy*, t. 2, Warszawa 1937, s. 778.

Rozgłos powieści przekroczył rychło granice normalnego odbioru i wyraził się w publicznym inscenizowaniu fikcyjnych sądów nad bohaterką romansu, najpierw w petersburskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, niebawem w salach Filharmonii warszawskiej. Zaaranżowano, gromadząc żadną sensacji publiczność, masowe widowiska z pełnym zastosowaniem procedury postępowania sądowego. Oba „procesy” zakończyły się uniewinnieniem „oskarżonej”, wywołując gwałtowną reakcję publicystyki i prasy warszawskiej, zaniepokojonej społecznymi konsekwencjami owych „wyroków”, dających „niejako moralną sankcję bohaterce” powieści³⁰. W pomysł organizatorów zabawy dopatrzono się „niekulturalnego barbarzyństwa”³¹.

Bez żadnej ceremonii — pisał Zdzisław Dębicki — ściga się wizję twórczą artysty do poziomu umysłowego „pokątnego doradcy”, czyni się z dziełem sztuki eksperyment jarmarczny, obwiesza się to dzieło pstrym lachmanem hałaśliwej reklamy, wchodzi się brutalnie w butach obłoconych, wprost z ulicy, do najtajniejszych komór duszy wielkiego pisarza i pod pozorem popularyzowania wyrządza mu się największą krzywdę, bo trywializuje się jego utwór, obdziera się go całkowicie z cech artystycznych i podaje niewybrednej rzeszy jako zabawę, jako rozrywkę [...] ³²

W *Dziejach grzechu* nie było żadnych bezpośrednich aluzji i odniesień do rewolucji, był tylko nastrój rozpaczony po upadku nadziei. Żeromski odczuwał jednakowoż potrzebę wypowiedzenia się bardziej jednoznacznego w jakiejś formie literackiej na temat owej sprawy swoiście polskiej, ciągnącej się jak gdyby poprzez wieki całe dziejów narodu, a która niepokoiła go nieomal od początków jego twórczości, owego tragicznego sprzężenia w polskiej duszy zbiorowej sił sprzecznych, nie do pogodzenia: bohaterstwa jednostek aż do granic świętości i biernego, gnuśnego lenistwa tłumów, umiłowania idei aż do śmierci, ofiarowania się całkowitego aż do zatury i ślepej, obłądnej samowoli, samoniszczącego nierządu, zakamieniałej w egoizmie prywaty. Wśród owych „duchów światłości” pociągała jego wyobraźnię od dawna postać hetmana spod Cecory. Zapatrzony w tajemnicę dziejów swego narodu dostrzegał w postaci owego rycerza niezłomnego jakby ostateczne i najwyższe samospełnienie wszystkich najidealniejszych przymiotów duszy polskiej. Myśli o „Żółkiewskim, Cecorze i tym podobnych śpiewach historycznych”³³ zajmowały go już w okresie powstawania *Popiołów*, gromadził źródła historyczne, przerywał pracę, ale pomysł nie opuszczał go nigdy, wracał do niego, myślał o nim we Włoszech, na obrazy ojczyste nakładały się wrażenia italskie, potężne mury Colosseum, spizowa postać weneckiego kondotiera Colleonego. Utwór skryształizował się ostatecznie jako proza poetycka, rapsod w stylu *Wal-*

³⁰ Z *niepokojących objawów*, „Czas” 1909, nr 74.

³¹ Prawnik, *Parodia sądu nad Ewą Pobratyńską*, „Prawda” 1909, nr 20.

³² Z. D. [Dębicki], *Ewa Pobratyńska przed sądem*, „Tygodnik Ilustrowany” 1909, nr 20.

³³ W liście do Stanisława Posnera z dnia 2 marca 1904.

gierza, wysnuty z dziejów polskich XVII wieku i rzeźbiony jakby w pysznym, świetnym języku czasów baroku. *Duma o hetmanie* ukazała się latem r. 1908 w Warszawie nakładem Kasy Przewodności i Pomocy Warszawskich Pomocników Księgarskich. W tymże roku pojawiło się wydanie drugie.

Rapsod o Żółkiewskim przyjęto jako swoistą rehabilitację po *Dziejach grzechu*. Historyczny temat nie zmylił krytyków, którzy łatwo wyczuli tajemne powiązania z aktualnym tragizmem sytuacji. Samotne bohaterstwo niedawnych żołnierzy rewolucji, ginących na stokach cytadeli przy obojętności spóółstwa, było historyczną powtórką sprawy cecorskiej. Taki utwór mógł powstać tylko „w obliczu beznadziejności, w tragicznej godzinie zadumy”³⁴. Feldman dosłuchał się w nim „znajomego echa [...] chochoła”; Żeromski i Wyspiański, tak różni jako umysły twórcze, pochodzą w istocie z jednej i tej samej rodziny; wielki pisarz, „wykarmiony najkrwawszymi łzami” narodu, zmusza naród ów tyrańsko do rachunku sumienia³⁵. Kwestionowano zarazem maksymalizm wymagań, prowadzących do wyolbrzymienia wad społeczeństwa i do jakiejś historiozofii beznadziejnie pesymistycznej³⁶. Stanisława Brzozowskiego raził w tym nowym objawieniu „wielkiego poety” „pozadziejowy kult cierpienia”, sentymentalna wiara w „cuda psychiczne” jednostkowych poświęceń, gdy w istocie życie tworzy się tylko nieustanną pracą. „Świadoma, sięgająca po odpowiedzialność wola, ma zawsze przeciwko sobie całą «Chrystusową Polskę». Cierpienie jest łatwiejsze od pracy: nie wymaga ono tworzenia w sobie nowych wartości”³⁷.

Tymczasem z początkiem r. 1909 opuścił Żeromski ostatecznie Warszawę i zamieszkał na kilka miesięcy w Zakopanem. Stamtąd robił wy pady do Lovrany i do Krakowa, gdzie zbierał materiały do nowego dramatu o Sułkowskim. Wszedł do utworzonego właśnie Towarzystwa Pisarzy Polskich, po którym skłonny był spodziewać się pewnych konkretnych korzyści dla literatury i ludzi pióra. Wszystkie te prace usunęła jednak rychło w cień sprawa Brzozowskiego. Głośny i znakomity krytyk, autor licznych studiów o kulturze i literaturze współczesnej, twórca fascynującej kręgi młodej inteligencji postępowej „filozofii pracy”, uchodził za jednego z patronów i przywódców duchowych pokolenia. Tym silniej więc bulwersujące opinię było wrażenie owej „sprawy”, rzucającej ponury cień i na osobę pisarza, i na środowisko, w którym się dotychczas obracał. Wczesną wiosną r. 1909 uciekł z Polski na Zachód niejaki Bakaj, funkcjonariusz warszawskiej służby bezpieczeństwa, wywołując liczne materiały kompromitujące policję. Pośród owych dokumentów ochrony znalazła się też lista prowokatorów i agentów, używanych przez warszawską

³⁴ J. Lorentowicz, „Tygodnik Ilustrowany” 1908, nr 39 - 40.

³⁵ W. Feldman, „Krytyka” 1908, t. 2, s. 355 - 362.

³⁶ Zob. S. Eile, *Legenda Żeromskiego*, Kraków 1965, s. 76.

³⁷ *Ibid.*, s. 94 - 95.

żandarmerię rosyjską do inwigilowania różnych kręgów społeczeństwa polskiego. Na liście miało się znajdować nazwisko również Brzozowskiego. Wrażenie tej niesprawdzonej, aczkolwiek rozchodzącej się błyskawicznie, supozycji było rzecz jasna wstrząsające. „Przypuszczenie, że ten sam człowiek, który chciał duszę współczesną polską wychować i na wyższy wzniesić poziom, mógł być w tym samym czasie, obok wygłaszania szczytnych idei, korespondować z urzędem żandarmskim i dostarczać straszliwemu wrogowi Polski informacji o swoim społeczeństwie, było nie tylko przerażające; nie mogła się ludziom pomieścić w głowie sama możliwość takiego faktu”³⁸.

Rewelacje Bakaja, jako świadectwo jedyne, nie mogły być definitywnie rozstrzygające. Brzozowski był sympatykiem PPS. Sąd partyjny, jaki w jego sprawie zwołano, nigdy jej ostatecznie i bezapelacyjnie wyświetlić nie zdołał. Sam Brzozowski oskarżenie odrzucał jako kłamliwe i do żadnych kontaktów z rosyjską bezpieką nigdy się nie przyznał. Ale sprawa ta na długo zatrzała atmosferę życia polskiego. W kołach rewolucyjnych obudziła nastroje nieufności i podejrzliwości. W środowiskach zachowawczych wyzyskana została jako walny argument przeciw wszelkiej konspiracji, która z samej swojej natury miała być nieuchronnie narażona na niebezpieczeństwo infiltracji i prowokacji. Afera Brzozowskiego rozpałała namiętności do stanu wrzenia. Społeczeństwo podzieliło się na dwa obozy: tych, którzy nie dowierzali mimo braku ewidentnych dowodów całkowitej niewinności oskarżonego i zalecali ostrożność w imię czystości i bezpieczeństwa ruchu rewolucyjnego, oraz tych, którzy z miejsca uwierzyli bez zastrzeżeń w absolutną niewinność Brzozowskiego. Do tych drugich należał również Żeromski. Zaangażował się w tę sprawę z całą siłą swojej impulsywnej natury. Będąc sam twórcą wierzył i ufał instynktowi etycznemu pisarskiego zawodu. Z lektury pism emigracyjnych wyniósł idealistyczne, wysublimowane wyobrażenie o szczególnym posłannictwie literatury. „Wielki pisarz nie mógł być jednocześnie zdrajcą. — «Ja wierzę w jego niewinność»” — powtarzał wielokrotnie Sokolnickiemu³⁹. Zaczął dostrzegać w owej procedurze sądowej, w bezlitosnym, bezwzględym i aroganckim śledztwie groźne i nie do przyjęcia dla niego zagrożenie dla suwerenności jednostek, dla której ratowania gotów był poświęcić nawet sprawę ogólną. W kołach rewolucyjnych osądzono ową ewolucję poglądów i postawy pisarza jako typową chorobę intelektualizmu polskiego, zatrutego oparami dostojewszczyzny.

W tym to czasie ukończył Żeromski i opublikował w Krakowie nowy swój „dramat niesceniczny” *Różę*. Ze względów cenzuralnych, z uwagi na bezpośrednią aktualność tematu, dotyczącego rewolucji, utwór był sygnowany pseudonimem Józef Katerla. Dramat przyjęto w kołach niepod-

³⁸ M. Sokolnicki, op. cit., s. 345.

³⁹ Ibid., s. 346.

ległościowych z niesmakiem i ze zdumieniem. Okazało się bowiem, że autor wyzyskał w swym utworze wiele reminiscencji, opinii, poglądów, wątpliwości, jakie wyrażano w prywatnych rozmowach i dyskusjach przyjaciół w burzliwych dniach rewolucji i z jego autentycznego tworzywa, noszącego wszelkie znamiona doraźnych, impulsywnych, często nie przemyślanych dostatecznie i rzuconych, jak w zwyczajnej niezobowiązującej rozmowie, myśli i odczuć skonstruował swe teatralne widowisko, nadając owym odczuciom i opiniom znaczenie, jakiego w istocie nie miały i mieć nigdy nie mogły. Sam obraz rewolucji wypadł przygnębiająco, morze klęsk i poniżeń, gromady gadów i padalców, snujące się „w bliskości tych szubienic, na których samotnie umierali najlepsi”⁴⁰. W to ponure teatrum wplątał pisarz niedawne rewelacje o agentach ochrony i sprawie Brzozowskiego, nadając jej wymiar, jakiej w rzeczywistości nie miała. I to niezrozumiałe zakończenie uciekające się do cudu, jakby potwierdzające niewiarę w możliwość i skuteczność walki orężnej. Dla niedawnych uczestników akcji bojowych postawa tego rodzaju była nie do przyjęcia. Dla nich upadek rewolucji był jedynie przegraną bitwą, walka miała toczyć się dalej aż do zwycięstwa. Wolność miała być wywalczona nie za sprawą cudotwórczej maszyny, lecz ofiarą życia i krwi.

Sokolnicki odpowiedział na to ostatnie dzieło Żeromskiego bardzo krytyczną recenzją, drukowaną w „Przedświcie”⁴¹. Recenzja ta odepchnęła ostatecznie drażliwego na swym punkcie pisarza od jego niedawnych ideowych przyjaciół. Nie wierzył już w żadną rewolucję, w żadną siłę, w żadną walkę orężną. Wszystkie argumenty i dowodzenia „natrafiały na martwe płaszczyzny, postulaty działania odbijały się o upór zgryzoty i wątpienia. Od kultu siły — wspominał w swym pamiętniku Sokolnicki — jaki w nas powstawał, odwracał się z zacieklą zawiścią. Kiedyś, w takiej dłuższej i pełnej już obustronnych niedopowiedzeń rozmowie, na dalekim spacerze wśród smrekowych lasów podgórza, wypowiedział mi nagle swą niechęć do Piłsudskiego”⁴²; nie widział w nim już bohatera narodowego, lecz rzecznika siły fizycznej, pretendenta do władzy. W środowisku ludzi z Frakcji Rewolucyjnej była to oznaka słabości, choroba inteligenckiego przewrażliwienia; zanim „cieniem realności stała się Polska”, już zjawiały się dylematy moralne — czy „nie będzie zbyt silna, czy przypadkiem nie spróbuje [...] sądzić i karać, pilnować i wymagać, nakładać obowiązki i trzymać [...] w ryzach społecznego rygoru”. Był to smutny posiew niewoli, tragiczny wyraz tego zwichnięcia psychicznego, które było prostym następstwem ponad sto lat trwającego bezpieczeństwa istnienia Polski. To skrzywienie psychiki narodowej usiłowano prostować w obozie uczestników niedawnej walki; „nie można być wiecznie

⁴⁰ Ibid., s. 354.

⁴¹ W numerze październikowym 1909 pod pseud. Hubert Nowina.

⁴² M. Sokolnicki, op. cit., s. 348.

obrażanym, wiecznie poniżanym i bitym [...] W obliczu czynników obcych, panujących nad Polską bez żadnego oporu ni sprzeciwu, wobec niewoli i przystosowania do niewoli” należało „budzić i rozwijać [...] brutalność i brutalną wolę przemocy naszej własnej, polskiej [...] stworzyć siłę [...] opartą [...] na posłuchu [...] i mogącą coś w świecie obecnym znaczyć”⁴³.

Była to, rzecz jasna, najzupełniej inna szkoła myślenia; trudno było dwie tak diametralnie rozbieżne postawy z sobą pogodzić. Drogi Żeromskiego i jego dotychczasowych ideowych przyjaciół rozchodziły się i rozbiegały wyraźnie. Unikał ich, odsuwał się na dystans coraz większej obcości, traktował zimno, z daleka, pełen kompleksów, urażonej dumy, zdrażnień, krzywdzących, nieuzasadnionych podejrzeń. Dojrzewiała w nim myśl, aby wyrwać się z tego zakłętego koła nieporozumień w jakiś świat otwarty, szeroki. Miejscem docelowym tych marzeń była Francja, Paryż. Spodziewał się tam znaleźć nareszcie bardziej sprzyjające warunki dla pracy twórczej, z dala od potępięczych swarów zakopiańskiego zaścianka. Trudził się w dalszym ciągu nad *Sulkowskim*, marzyła mu się nowa powieść *Uroda życia*. Wyjazd poprzedziła kilkutygodniowa kuracja Oktawii i Adasia w Karlsbadzie. Do Paryża wyjechał ostatecznie w towarzystwie Wyrzykowskiego i Nalepińskiego w ostatnich dniach października 1909 roku.

⁴³ Ibid., s. 363.

* Ibid., s. 364.
* W numerze październikowym 1909 pod tytułem „Wspomnienia” s. 363.
* M. Sokolnicki, op. cit., s. 363.

Rozdział VI

„WIECZNE ZMARTWIENIE” I „URODA ŻYCIA”

W Paryżu zamieszkali Żeromscy przy ulicy Ernest Cresson pod numerem 22, koło stacji metra Denfert-Rochereau. „Mieszkanie mamy wyborne — donosił Żeromski Wacławowi Sieroszewskiemu wkrótce po zainstalowaniu się na nowym miejscu — na cichej uliczce, z elektrycznym oświetleniem, kaloryferem, windą, wanną, kuchnią gazową”¹. Cztery pokoiki, zagospodarowane niebawem przez zawsze zapobiegliwą panią Oktawię „z istic holenderską pieczołowitością”², dawały złudzenie nie znanego dotychczas pisarzowi komfortu. Adaś Żeromski, zapisany do Liceum Montaigne'a, szybko pokonywał trudności w opanowywaniu nauki podawanej w obcym języku. Dom prowadzono otwarty, co zważywszy samotnicze na ogół usposobienie Żeromskiego, było raczej czymś nowym. Ale jego pozycja społeczna i pisarska wysuwała go najoczywściej na miejsce pierwsze w życiu paryskiego środowiska polskiego. Chciał czy nie chciał, musiał być nieuchronnie, bardziej niż kiedyś, w samych początkach swej kariery, dostępny, obecny i „dyspozycyjny”. Otoczony był rojem wielbicielek i wielbicieli. W nowych warunkach, w innym najzupełniej klimacie odczuwanej w każdym miejscu wolności, tak jaskrawo kontrastującej z dławiącym zaduchem zniewolenia, od którego mu się uciec udało, odczuwał jakby nowy przyływ radości życia, sił witalnych i twórczych.

W okresach wolnych od pracy szkolnej Adasia, ojciec i syn podróżowali, zwiedzając i poznając coraz dokładniej piękną i „słodką Francję”. Wakacje spędzano na wybrzeżu bretońskim w Ploumanach lub bardziej na południu, w starym, celtyckim, uroczym Quiberon. Pełno tu było tajemniczych szczątków i ruin, przypominających świetną, pradawną przeszłość tego ładu, którego dzieje szły w głąb wieków, nie dających się już ani objąć wyobraźnią, ani odczytać rozumem. W pobliżu Ploumanach przebywał na wakacjach Sienkiewicz. Różniąc się z Żeromskim w poglądach i przekonaniach potępiał niektóre książki autora *Popiołów* i wcale

¹ List z 19 listopada 1909. Zob. Stefan Żeromski. *Kalendarz...*, s. 270.

² E. L. Migasiński, *Wspomnienia o St. Żeromskim*, Warszawa 1927, s. 21.

owych potępień nie ukrywał, ale przyznawał jednocześnie, że przy bliższym poznaniu Żeromski bardzo zyskuje, „cichy [...] nieśmiały melancholik”³, a już zupełnie zachwycony był dziesięcioletnim Adasiem. Pisał był właśnie swe *W pustyni i w puszczy*, którego bohater tak „zespalał się w umyśle pisarza z żywym chłopcem”, iż nazywał go często przez pomyłkę Stasiem⁴.

Z Ploumanach robiono wypadły jeszcze dalsze, na drugą stronę La Manche, do Southampton i do Londynu, wycieczki Tamizą do Richmond, do ogrodów i leśnych pustkowi Hampton Court i do królewskiego Windsoru. W tych wędrówkach po świecie uczyli się zarówno ojciec jak syn. Chłopiec pod wrażeniem tylu nowych widoków zdawał się dojrzewać nad wiek i przerastać jak gdyby skalą objęcia umysłowego, inteligencji i wrażliwości swoich chłopięcych rówieśników, pisarz uczył się przede wszystkim tego innego świata, tak odmiennego od bezdennie smutnej, szarej, ściskającej za serce biedy polskiej. W wielkich metropoliach Paryża i Londynu znajdował idealne warunki do studiowania skomplikowanej maszynierii życia, stworzonej przez współczesną cywilizację kapitalizmu — jego zdobywcy rozmach, błyszczącą świetność, olśniewające bogactwo, ale też i jego cienie, bezwzględna przemoc i drapieżność, kryjące się wstydliwie w tajnych zaułkach wielkich miast siedliska nędzy. Te kolosalne kontrasty pobudzały refleksję i niepokoiły sumienie. Studiował z ciekawością życie parlamentarne na Zachodzie, rzecz zupełnie nie znaną w jego kraju, bywał na posiedzeniach Izby Gmin w Londynie i francuskiego Zgromadzenia Narodowego, słuchał mów Asquitha i Lloyd George’a, Brianda i Jauresa. Nie stronił też od kontaktów towarzyskich z wcale licznym w Paryżu środowiskiem polskim. Przebywali tam czasowo Artur Górski, Reymontowie, Antoni Lange, Sieroszewski, Strug, Posner, istniały domy polskie od dawna zasiedziały, jak na Place de la Nation doktorostwa Zielińskich, w którym Żeromski z Adasiem najchętniej bywał. Jesienią r. 1910 z inicjatywy owej polskiej kolonii, a przy znacznym udziale Żeromskiego, założono Towarzystwo Artystów Polskich, klub towarzysko-dyskusyjny, w którym można było nagadać się do woli na wszelkie tematy polityczne, społeczne i literackie. Polska emigracja paryska składała się nie tylko z ludzi pióra i sztuki, ale także z różnorodnej biedy, szukającej pracy i chleba na obcym bruku. Nie znające języka, bezradne i zagubione w tym tak odmiennym świecie to straszliwe nieraz ubóstwo padało ofiarą różnych spryciarzy, spekulantów i nieuczciwych pośredników, przymierając z głodu i zimna, skazane na bezdomność i poniewierkę. Działało tam stworzone dla ratowania tej biedy polskiej Biuro Pośrednictwa Pracy prowadzone przez Hieronima Kona, zwanego „Hie-

³ Zob. J. Krzyżanowski, *Kalendarz życia i twórczości Henryka Sienkiewicza*, Warszawa 1954, s. 395 - 396.

⁴ O Adamie Żeromskim wspomnienie, s. 71 - 76.

ronimką”, bezinteresownego zapaleńca, „dręczonego bez litości przez szukających” zatrudnienia „i wiecznie niezadowolonych” uchodźców z kraju⁵. Żeromski bywał niekiedy w owym biurze, przysłuchiwał się tym od wieku już trwającym swarom i hałasom rodaków, wychodził stamtąd ze ściśniętym sercem, w rozpaczy i zniechęceniu. Wiekuistą na każdym kroku i nie do pokonania wydawała się niedola polska.

W tymże czasie wypłynęła nieoczekiwanie po latach i z miejsca silnie zaangażowała pisarza sprawa raperswilska. O fatalnej gospodarce zasobami Muzeum krążyły w sferach interesujących się zbiorami już od dawna alarmujące opinie. Jawną i publiczną dyskusję na temat oplakanych stosunków, panujących w raperswilskiej placówce, zainicjował pisarz i publicysta warszawski Stanisław Szpotański artykułem opublikowanym z początkiem r. 1911 w „Krytyce” krakowskiej. Żądał on zbadania podnoszonych zarzutów i zwracał się jednocześnie do byłych pracowników Muzeum, Żeromskiego i Kłyszewskiego, z prośbą o wypowiedź na temat, co wiedzą i co myślą o raperswilskiej aferze. Efektem owych sondaży była broszura opublikowana w Krakowie w marcu tegoż roku *Sprawa raperswilska*, w której znalazła się również napisana przez Żeromskiego krytyczna ocena działań aktualnie urzędującej Rady Muzealnej. Inicjatywa Szpotańskiego podzieliła z miejsca opinię na dwa obozy: popleczników dotychczasowego zarządu i jego zdecydowanych przeciwników. Sam Żeromski zaatakowany został ostro przez anonimowego publicystę „Gazety Warszawskiej” za rzekomą swoją stronniczość i mijanie się z prawdą w oskarżycielskiej zaciekłości⁶. „Gazeta Warszawska” — odpowiedział Żeromski na to dotkliwe pomówienie w listach otwartych do redakcji «Nowej Gazety» i «Kuriera Warszawskiego» — szkaluje moje imię literackie wytrwale, usilnie i z powodzeniem. Zgadzam się na to. Jest to jej prawo. Lecz niechże jej to wystarczy. Skoro jednak chce ona bezpodstawnie i wbrew prawdzie obniżyć wiarogodność mego świadectwa w sprawie publicznej, muszę to odeprzeć z całym naciskiem, jako niegodną napaść⁷.

W dniach od 8 do 11 sierpnia odbył się w Raperswilu tak zwany proces raperswilski, w czasie którego powołana przez Radę Muzealną komisja obywatelska, złożona z wybitnych przedstawicieli polskiej nauki, sztuki i literatury, miała rozważyć postawione zarzuty, ocenić obiektywnie istniejący stan rzeczy i sformułować dla zarządu Muzeum uzdrawiające zalecenia. Sąd zebrał się, ale w składzie niepełnym, nie przybyli augurowie najwybitniejsi: Sienkiewicz, Paderewski i Władysław Mickiewicz; z osobistości silniej eksponowanych zgłosili się jedynie dwaj profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, August Sokołowski i Stanisław Stroński,

⁵ S. Posner, *Stefan Żeromski*, Warszawa 1926, s. 31.

⁶ Zob. *Walka o Raperswil*, „Gazeta Warszawska” 1911, nr 99 i 101.

⁷ Zob. „Nowa Gazeta” 1911 z 23 kwietnia oraz „Kurier Warszawski” 1911, nr 110.

oraz prawnik, publicysta i prezydent Lwowa, założyciel Galerii Narodowej i Muzeum Sobieskiego w tym mieście, Tadeusz Rutkowski. Pośród „świadków” w procesie znalazł się również Żeromski. Komisja, w odczuciu i przekonaniu Żeromskiego najwyraźniej inspirowana przez raperswilską „mafię”, wydała orzeczenie enigmatyczne, nad zarzutami prześlizgujące się wvkrętnie, lecz stwierdzające jednocześnie w ostatecznej konkluzji konieczność powierzenia opieki nad zbiorami bibliotecznymi osobom bardziej niż dotychczas fachowym i kompetentnym. Końcowym efektem sprawy była napisana na gorąco jeszcze w tym samym roku obszerna broszura Żeromskiego *O przyszłość Raperswilu*. Aby uniknąć zarzutu, że kieruje się w tej sprawie stronniczą i nie obiektywną emocją, autor oddał w tym piśmie głos wyłącznie faktom. „Książeczka — pisał o niej recenzent «Krytyki», ukrywający się pod kryptonimem Ch. — odznacza się suchą rzeczowością [...] Ani jednego w niej apelu do uczucia, ani wzlotu fantazji. Jest tylko szereg dokumentów, faktów, faktów, faktów powiązanych z sobą żelazną logiką”⁸. Ale ten właśnie spokój i rzeczowość wywołały wrażenie. Zebrana w roku następnym Rada Muzealna zmuszona była powziąć decyzję radykalnych reform. Osławiony Rużycki otrzymał ostateczną dymisję. Założone z inicjatywy Żeromskiego Towarzystwo Przyjaciół Raperswilu miało pomagać zarządowi w utrzymaniu muzeum i biblioteki w stanie gwarantującym im właściwy rozwój.

Życie rodzinne Żeromskiego układało się w tych paryskich latach na pozór bez zakłóceń, normalnie. Pani Oktawia była nadal niezastąpioną panią domu, żoną, matką i opiekuńczym aniołem. Jeśli miała przed laty jakieś osobiste ambicje, pogrzebała je już dawno w codziennej, domowej krzątaniu. W ofiarnych zabiegach wokół ukochanego człowieka i jego dziecka zatraciły się bezpowrotnie z biegiem lat uroda, wdzięk i urok młodości. Helena Duninówna, pisarka, społeczniczka i autorka tomu wspomnień *Ci, których znałam*, mieszkająca z rodzicami jako młoda dziewczyna tuż w sąsiedztwie Żeromskich w oficynie pałacu ordynacji Zamoyskich w Warszawie, zapamiętała z tamtych lat panią Oktawię „dużą, tęgą [...] przepasaną fartuchem [...], bezpretensjonalną w swym stroju i uczesaniu, typową „gospodynię”, roześmianą, gadatliwą i głośną”⁹, zupełnie nie wyglądającą na żonę tak znakomitego pisarza. Dawna więc obustronna fascynacja miłosna owych dwojga należała już zapewne do niepowrotnej przeszłości. Pozostało głębokie przywiązanie, ogromna wdzięczność i świadomość wspólnoty, wzmocniona troską o dziecko, chorowite i wątłe. Również owe niespożyte jakoby siły fizyczne i psychiczne, które zdawała się ujawniać pani Oktawia w swoim intensywnym i tak bardzo zawsze aktywnym życiu, okazały się wcale nie tak, jak sądzono,

⁸ Ch., *Sprawa raperswilska*, „Krytyka” 1911, t. 31, s. 259-261.

⁹ H. Duninówna, *Żeromscy*, [w:] *Wspomnienia o Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1961, s. 51.

niewyczerpane. Silna nadwrażliwość i pobudliwość nerwowa, cechująca ją od lat młodości, przeszła z czasem w psychiczną nierównowagę, w stan chorobliwego podniecenia, chwilowych zamroczeń i halucynacji, w nie-naturalną wielomówność. Współżycie obojga w tych warunkach nie było łatwe. I w tym właśnie najtrudniejszym i krytycznym momencie pojawiła się w życiu Żeromskiego nowa kobieta.

Pannę Annę Zawadzką poznał Żeromski najzupełniej przypadkowo w kawiarni „Udziałowej” w Warszawie, na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich, pewnego jesiennego popołudnia r. 1908. Panna Hania miała lat osiemnaście, on czterdzieści cztery. Była córką Antoniego Zawadzkiego, rejenta z Siedlec, i pani Marii z Wrotnowskich. Nieżyjący już wówczas rejent Zawadzki był siostrzeńcem i wychowankiem poniekąd Antoniego Edwarda Odyńca, filarety i nieodstępного towarzysza europejskich podróży Mickiewicza po wyjeździe z Rosji. Matka była utalentowaną pianistką, skończyła konserwatorium warszawskie, pochodziła ze znanej rodziny palestranckiej, jeden z jej wujów, Maksymilian, był wziętym w Warszawie adwokatem i współzałożycielem Towarzystwa Sztuk Pięknych „Zachęta”. Te kontakty i powiązania ze światem artystycznym przeszły potem jakby drogą dziedzictwa na ostatnie pokolenie rodu Wrotnowskich i Zawadzkich.

Państwo Zawadzcy mieli trzy córki, Anielę, Natalię i najmłodszą Annę. Rozpiętość wieku między siostrami była duża, między Anną a najstarszą Anielą lat kilkanaście. Aniela Zawadzka, dziewczyna o niezwykłym temperamencie i cygańskiej urodzie, była przez pewien czas aktorką na scenie teatru krakowskiego, a potem wyszła za mąż za znanego krytyka sztuki, obracającego się w kręgach cyganerii młodopolskiej, Jana Kleczyńskiego. Aniela Kleczyńska знаła Żeromskiego już dawniej, toteż gdy go spotkała owego jesiennego popołudnia w „Udziałowej”, zaprosiła do swojego stolika i przedstawiła go młodziutkiej siostrze. Żeromski opisał później ową chwilę poznania w *Walce z szatanem*, której dwa pierwsze tomy są w wątku romansowym literacką transpozycją tego gwałtownego uczucia, które miało tak decydująco zaważyć na ostatnim etapie jego ludzkiej i literackiej biografii. „Była w krótkim pluszowym paltociku i czarnym kapeluszu filcowym z bujnym strusim piórem [...] Spod czerni pióra ukazywało się dolne krucze pasmo włosów, owal policzka i profil łagodny. Cóż było w tym profilu i w skojarzeniu barw otaczających jego jasny zarzys, że tak wstrząsające wywołał wrażenie w duszy widza? [...] Ona spojrziała na tego wysokiego draba z dołu i z boku. Przez chwilę mierzyła go nieprzejrzaną mocą swych czarnych oczu”¹⁰.

„Coś nieodwołalnego musiało być w tej wymianie spojrzeń” — komentowała ten fragment dobrze zorientowana na ogół w niektórych «pri-

¹⁰ S. Żeromski, *Nawracanie Judasza*, Warszawa—Kraków 1928, s. 219.

vatissimach» rodziny Żeromskich Hanna Mortkowicz-Olczakowa¹¹ — skoro młoda dziewczyna „zakochała się w tym nowo poznanym, ciemnowłosym, brodatym, starszym od siebie o dwadzieścia sześć lat mężczyźnie od pierwszej chwili”¹².

Anna Zawadzka miała uzdolnienia malarskie i właśnie na przełomie roku 1908 i 1909 wybierała się z matką i siostrą do Paryża dla dalszych studiów. Jeśli wierzyć świadectwu wspominkarzy zapowiadała się jako osobowość artystyczna oryginalna i mocna. Jej „czarno-białe kompozycje, robione kredką, trochę w stylu Beardsleya czy Félicien Ropsa, wyrażały intuicyjnie, ale świetnie, nastrój epoki”, a „połączenie [...] autorki — młodzieńczej, uroczo naiwnej [...] «siedemnastoletniej pensjonarki», jak o niej pisał w olbrzymim artykule pochwalnym Tadeusz Miciński w «Sfinksie» — z tymi rysunkami, które łączyły głęboki pesymizm, znajomość życia, intuicję metafizyki miłosnej, wycucie tragedii kobiety z wyrafinowaniem formy, perwersją anegdoty, było zaskakujące”¹³.

Wśród motywów osobisto-rodziny, skłaniających Żeromskiego do wyjazdu na Zachód, obecność tej fascynującej dziewczyny w stolicy Francji była zapewne przesłanką decyzji wcale nie ostatnią. Dzięki stosunkom starszej siostry młoda malarka weszła łatwo w środowisko artystyczne Paryża, a jej niewątpliwy talent w połączeniu z młodością i urodą zwróciły szybko uwagę. Tadeusz Miciński portretował ją w *Nietocie*, młody Picasso pragnął mieć ją modelem swoich obrazów. Rychło doczekała się głosów uznania w krytyce francuskiej. Ferdinand Rochés poświęcił jej obszerny artykuł z licznymi reprodukcjami jej malarstwa w paryskiej „Art Décoratif”:

Mademoiselle Zawadzka — pisał entuzjastycznie — posiada rozległą kulturę. Zanim poznała sztukę Toulouse-Lautreca, Ropsa z jego brutalnością czy Beardsleya, zagadkowego intelektualisty, sama w jakimś sensie nieświadomie dała wyraz wielu fantomom współczesności [...] Sztuka panny Zawadzkiej jest pełna prostoty, przede wszystkim w kompozycji i w doborze użytych środków. Wystarczy jej zwykły ołówek i byle jaka kartka białego papieru, aby wywołać najbardziej skomplikowane fantasmagorie. Jej rysunek jest dokładny, nieskazitelny, subtelny, zdumiewający przez efekty, jakie osiąga swoją prostotą, pozbawioną wszelkiego szkolarkstwa.¹⁴

¹¹ Hanna Mortkowicz-Olczakowa była córką wydawcy pism Żeromskiego Jakuba Mortkowicza, pisarz mieszkał przez pewien czas w trudnych początkach okresu powojennego w warszawskim domu Mortkowiczów, korzystał nieraz z usług młodej polonistki w różnych kwerendach bibliotecznych, a nawiązana wówczas znajomość z rodziną pisarza pozwoliła autorce wspomnień wejść w krąg niektórych spraw osobistych Żeromskiego.

¹² H. Mortkowicz-Olczakowa, *O Stefanie Żeromskim. Ze wspomnień i dokumentów*, Warszawa 1964, s. 221.

¹³ Ibid., s. 219.

¹⁴ Cyt. za H. Mortkowicz-Olczakową, op. cit., s. 220.

Lata paryskie to okres ostatecznej realizacji i spełnienia tego uczucia, które związało Żeromskiego z Anną Zawadzką od tamtego, pierwszego, warszawskiego spotkania. Było to uczucie trudne, gwałtowne, burzliwe i pełne obustronnej udręki. Młoda dziewczyna godząc się na tę miłość wybierała los przecież niełatwy. Jej wybraniec był człowiekiem niemłodym, właściwie chorym, mimo sławy pisarskiej o pozycji majątkowej bardzo niepewnej i ustawicznie zagrożonej. Był żonaty z inną kobietą, której wiele zawdzięczał, i miał z nią syna, w którym widział spadkobiercę swoich idei. Banalny z pozoru trójkąt małżeński przy silnym obustronnym wysublimowaniu odczuć moralnych przemieniał się w rzeczywisty dramat, w którym świadomość odpowiedzialności i nieujarzmiony żywioł miłosnego zauroczenia splątały się w węzeł sprzeczności nie do rozwiązania. Na uczucie to mroczny cień rzucał też charakter kochanka. Młodość, uroda, szalone powodzenie atrakcyjnej dziewczyny wzbudzały w nim niepokój, zazdrość, ponurość nieuzasadnionych w gruncie podejrzeń, czy istotnie, bez zdrady jest kochany. Różnica wieku i sytuacja osobista zdawały się stawiać go w pozycji nierównie gorszej wobec tej triumfującej i wiosennej młodości, a „cechą usposobienia panny Hani była przekora, kapryśny wdzięk, zjadliwy często dowcip, obnażający sedno sprawy i niszczący patetyczne sformułowania. Lubiła żartować, przekomarzała się z śmiertelnie zakochanym, a więc ponurym, wiecznie wzburzonym, podejrzliwym wielbicielem”¹⁵. Na karty powstających wówczas utworów wpłynęła jej postać, ślicznej, czarnowłosej dziewczyny, w ciągle nowych wcieleniach i pod różnymi imionami: Krystyny, Salomei, Tatiany, Xeni, lecz w istocie zawsze tej samej, identycznej z tą żywą, rzeczywistą, aż do najmniejszego szczegółu urody, kroju i barwy sukien, jakie wówczas nosiła. Podejrzliwy kochanek, stwarzając jej literackie projekcje, demonizował je zarazem, wyolbrzymiał owe udręczające go właściwości usposobienia ukochanej, „kładał w różane usteczka Krystyny i Xeni wypowiedzi przewrotne i mogące doprowadzić do rozpaczki Czarowica i Nienaskiego”¹⁶. W istocie, na przekór owym niesłusznym pomówieniom, panna Hania pokochała tego nie umiejącego cieszyć się życiem wielbiciela raz na zawsze, nieodwołalnie.

Lata paryskie były też okresem dalszego, zawsze nie ustającego w Żeromskim uczenia się świadomej swoich środków sztuki pisania. Bezpośredni kontakt z wielką prozą francuską, rozczytywanie się w Balzaku, Stendhalu i Flaubercie skłaniało do podpatrywania tajemnic ich literackiego warsztatu. Żeromski zawsze miał bezbłędną wiedzę wszystkich niedostatków swego pisarstwa. Krytyka wypominała mu niejednokrotnie przesadną egzaltację i uczuciowość, defekty konstrukcyjne i barokową

¹⁵ Ibid., s. 222.

¹⁶ Ibid.

emfazę stylistyczną. Teraz pod wpływem gruntownego poznawania literatury, mającej za sobą wielowiekową uprawę umiejętności literackiej i rygorystyczną szkołę dyscypliny pisarskiej, zaczęło się w Żeromskim jakby „ujarzmianie żywiołu”. Oczywiście dawny liryzm, patos, namiętność wypowiedzenia wyrugować się doszczętnie nie dały, ale w powstających aktualnie utworach zaznaczy się wyraźnie ściszenie tonu, przykrócenie języka, staranie o werystyczną powściągliwość i obiektywizację pisarskiego przekazu.

Doświadczenia paryskie nie od razu przecież ujawniły się w dziełach ówczesnie powstających. Pisarz wykańczał na razie pomysły powzięte i rozpoczęte jeszcze w kraju, mocował się z tragedią *Sułkowski*, wracał jakby do epoki *Popiołów*, wskrzeszając swoją starą ideę, której od początku bez zastrzeżeń zaufał, posłannictwa wybranych i ofiarnych, i wcielił ją raz jeszcze w charyzmatyczną postać genialnego żołnierza rewolucji. Zaczął ten swój dramat jeszcze w Krakowie, zbierał doń materiały w Bibliotece Czartoryskich, zmagął się z pomysłem, który określał jako „przedsięwzięcie europejskie” i sto razy trudniejsze niż *Żółkiewski*¹⁷. Wyjeżdżając na Zachód wiózł w bagażu podróżnym dwa jedynie akty tragedii, resztę pisał w Paryżu. Rzecz ukończona w pierwszych tygodniach r. 1910 ukazała się tegoż roku na wiosnę, nakładem Spółki Wydawniczej „Książka” w Krakowie

Dramat, jak wszystkie utwory Żeromskiego, spotkał się z przyjęciem mieszanym. Usiłowano zrozumieć i docenić prometejskie i mesjanistyczne intencje Żeromskiego. Feldman porównywał bohatera tragedii z postaciami Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego. „Piewca «drobnoustrojów» wzbiał się na wyżyny, skąd objął naród i człowieka w obrazie skondensowanym a przegłębokim, jak sięgnąć tylko zdoła perspektywa symboliczna. Objął niziny i ukazał wszystkie ich krzywdy, postawił na ich cokole człowieka-wojownika, uposażył go we wszystkie cechy, jakie najlepsi w narodzie wymarzyli o bohaterze polskim. I ten bohater przebóstwiał się w naszych oczach. Dokonywa się najwyższy, jedyny cud, w jaki człowiek dzisiejszy może wierzyć”¹⁸. Część krytyki odebrała też ten dramat jako wyraz przewyciężenia dawnych „wezbrań lirycznych”, owej „nieznośnej palpacji serca”, wiodącej donikąd, na manowce, i budowania w sobie woli niezłomnej, „która by szła jak «żywy pocisk, torując drogę wolności»”¹⁹. Koncepcja i realizacja artystyczna pomysłu nie wszystkim jednak przemówiły do przekonania. Józef Kotarbiński odmawiał dramatowi tragizmu, „natężenia woli jednostki niezwyklej”, zmagającej się z losem.

¹⁷ W listach do Oktawii z maja, czerwca i lipca 1909. Zob. *Stefan Żeromski, Kalendarz...*, s. 259, 264 - 265.

¹⁸ (x) [W. Feldman], *Wizerunek bohatera polskiego*, „Krytyka” 1910, t. 4, s. 24 - 35.

¹⁹ Zob. A. Potocki, *Tragedia Żeromskiego*, „Tygodnik Ilustrowany” 1910, nr 32; J. Waśń [K. Bleszyński], „*Sułkowski*” *Żeromskiego*, „Przedświt” 1910, nr 7 - 8.

Przypadkowy fatalizm rządzi tą tragedią, a nie potężne starcie równorzędnych wartości²⁰. Nadmierna idealizacja bohatera, granicząca nieomal, jak odczuwano wówczas, z naiwnością, podważała wartość utworu jako autorskiego przesłania, mającego orientować w konkretnych zadaniach na dzień dzisiejszy i jutrzejszy. Przenieść „anielstwo swego ducha [...] skroś całe życie”, jak tego pragnie Sułkowski, to „wysoka naiwność dla człowieka, który przysięga na ostrze swej szpady, że wyszarpie dla swego narodu wolność! Kto dziennonocnie wołał w Polsce o wolność, ten wołał ją za wszelką cenę albo nie pragnął jej wcale. Jakże inaczej — i czy było kiedy inaczej! Żeromski jest niewątpliwie człowiekiem mądrym, ale Sułkowski Żeromskiego mądrym nie jest, za achillesową piętę obrawszy sobie ten właśnie organ, w którym dojrzewają twórcze zbrodnie Cezarów”²¹.

Sam autor przywiązywał szczególną wagę do swojego utworu, myślał o podkładzie muzycznym dla niektórych fragmentów swej tragedii, zwłaszcza aktu pierwszego i ostatniego, zwracał się w tej sprawie do poznanego w Zakopanem Szymanowskiego, przesyłając mu egzemplarz dramatu. Muzyki tej kompozytor nigdy nie napisał; tłumaczył się przed Żeromskim, że są dzieła „tak po brzegi wypełnione swoistą muzyką słowa i myśli, iż wszelkie wysiłki kompozytora, by uzupełnić to, co w istocie swej żyje organicznym niemal, samowystarczalnym życiem, stają się beznadziejną syzyfową pracą”. Po cóż wieszać nic nie znaczące świecidła i brzękadła muzyczne „na czymś, co jest samo w sobie skończonym pięknem”²².

Dramat o Sułkowskim wyrósł niewątpliwie w kręgu *Popiołów*, pisana jednocześnie *Uroda życia* przypominała nieodparcie atmosferę pierwszej, młodzieńczej powieści Żeromskiego. Była historią odnajdywania zagubionej, znajdującej się już na krawędzi samounicestwienia, tożsamości narodowej. Źródłem ocalenia stawała się przeszłość odgrzebana z popiołów niepamięci. W ten wątek ideowy wpleciony został romans, owa „uroda życia”, ucieleśniona w kobiecie, nieśmiertelna pokusa, uwodząca wszystkich zmagających się z sobą o wierność dla swych ponadosobistych powołań bohaterów pisarza. Powieść już w swoim pomysle załączkowym, o którym donosił autor żonie w listach z Zakopanego w r. 1909, pisana była z myślą o Adamie Żeromskim jako przyszłe widzenie jego duszy, miała też być w swojej intencji ideowej i w swym nastroju jakby powrotem do siebie, do wewnętrznej samotności z okresu dawnych „najgorszych nędz”, gdy niejako na przekór wszystkim biedom i udrękom paliło się w nim tak silnie to, o czym wiedział, że jest w nim najczystsze, poza

²⁰ J. Kotarbiński, *Nowy dramat Stefana Żeromskiego*, „Świat” 1910, nr 30.

²¹ G. Glass, *Sny o Cezarach*, „Nowa Reforma” 1910, nr 390.

²² Zob. K. Szymanowski, *O muzykę do „Sułkowskiego”*, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 51.

jakimkolwiek złem świata. Marzył, aby nowa ta powieść, pisana „z całą furją młodości”, stała się dziełem jego życia²³.

Nowe dzieło Żeromskiego *Uroda życia* ukazało się w dwóch tomach w Krakowie w połowie r. 1912 i w tym jeszcze roku doczekało się wznowienia; w zaborze rosyjskim wyszło wydanie ocenzone. Młoda Maria Dąbrowska, która poznała tę literacką nowość w Dijon we Francji, zapamiętała niezwykle wrażenie, jakie książka wywarła i na niej samej, i na jej polskich i francuskich znajomych. „Jakże ta powieść rozplomieniła wszystkie nasze uczucia, jakim stała się wezwaniem i świadectwem wierności Polsce poprzez wszystko i mimo wszystko”²⁴. Ale krytyka profesjonalna była jak zwykle w swoich ocenach podzielona. Nową powieść odebrano jako ostatnie echo romantyzmu, a w dziejach wewnętrznych bohatera dopatrywano się analogii z metamorfozą Gustawa w Konrada z Mickiewiczowskich *Dziadów*²⁵. Wilhelm Feldman w kreacji Rozluckiego widział nową koncepcję bohatera polskiego, bardziej realną od poprzednich, bo opartą na granitowych fundamentach codziennej, konkretnej pracy²⁶. Te modyfikacje nie zmieniały przecież istoty rzeczy, tego ustawicznego powielania dawnych, własnych schematów; „nie znajdując [...] nic już oryginalnego do powiedzenia” — pisał Władysław Jabłonowski — Żeromski „wciąż się powtarza, gmatwa się w kombinacjach i pomysłach sztucznych, coraz mniej żywotnych, ujednostajnia i manieruje swobodną twórczość swoją. *Uroda życia* jest płodem tej właśnie skrępowanej, zmniejszonej twórczości”²⁷. Zastanawiała w tym utworze surowość i bezwzględność oceny stanu społeczeństwa polskiego, ów szczególny patriotyzm „sadyistyczny”, który „lubi się pastwić nad przedmiotem swojej miłości”²⁸. Żeromski od dawna pretendował do roli „psychologa chwili obecnej” i „mentora narodowego”, ale ten „mentor — drwił zjadliwie Teodor Jeske-Choiński — robi w swoich powieściach wrażenie lekarza, znęcającego się nad chorym. Pacjent z połamanymi żebrami i zakrwawionym sercem stęka, wije się z bólu, a lekarz zamiast go pocieszać, dotykać jego ran miękką ręką, rozrywa bandażę i zrzędzi: pokraka jesteś, niedołęgą, kaleką, nic z ciebie nie będzie, pisz testament! Miły eskulapl...”²⁹. Podnoszono konstrukcyjne wady powieści. „Żeromski jest świetnym nowelistą, tj. twórcą momentów — mniejszym powieściopisarzem, tj. konstruktorem i logikiem życia, puszczonego na dalszy a konsekwentny ciąg”³⁰.

²³ W listach do Oktawii z lipca i września 1909. Zob. Stefan Żeromski. *Kalendarz...*, s. 265, 267.

²⁴ M. Dąbrowska, *Wspomnienie o Żeromskim*, „Gazeta Ludowa” 1946, nr 2.

²⁵ Zob. K. Wroczyński, *Ostatni Prometeida*, „Prawda” 1912, nr 29.

²⁶ F. Kreczowski [W. Feldman], „*Uroda życia*”, „Krytyka” 1912, t. 36, s. 58-64.

²⁷ W. Jabłonowski, *W poszukiwaniu mocy*, „Gazeta Warszawska” 1912, nr 31-32.

²⁸ Quis [A. Grzymała-Siedlecki], „*Museion*” 1912, nr 8.

²⁹ T. Jeske-Choiński, *Mozaika literacka*, „Kronika Powszechna” 1912, nr 35.

³⁰ Quis, op. cit.

To spostrzeżenie Siedleckiego zdawał się potwierdzać ostatni utwór paryskiego okresu, opublikowana w przeddzień 50 rocznicy ostatniego powstania *Wierna rzeka* (1912). Jej zwięzłość strukturalna determinowała jak gdyby i gwarantowała bezbłędne zorganizowanie tematu w opowieść kompozycyjnie zwartą, spójną, we wszystkich swych wewnętrznych związkach i napięciach idealnie nieomal wyważoną. „Klechda” rodzinna, jak ją sam autor określił, wywiedziona z autentycznych wydarzeń, żyjących w opowieści domowej, tragiczna historia niespełnionej miłości Anieli Lubowieckiej i Jana Połubińskiego, opowiedziana kiedyś, przed laty młodemu Żeromskiemu przez ciotkę Józefatę z Rudy Zajączkowskiej nad Łośną, „wierną rzeką”, stała się melancholijnym, rocznicowym wspomnieniem, w którym losy osobiste jednostek spłotyły się z tragedią zdarzeń dziejowych w dramat rozbitych uczuć i straconych nadziei. Winietę tytułową, podobnie jak do *Urody życia*, zaprojektowała Anna Zawadzka. Pełny tekst opowiadania ukazał się w Krakowie, wersja warszawska z r. 1913 mimo przekupienia cenzora została bezlitośnie zmasakrowana.

Krytycy i czytelnicy byli na ogół zgodni w opinii, że najnowszy utwór Żeromskiego okazał się jedną z najlepiej skomponowanych książek polskich. I że w przymacie losu kilku biednych, zbłąkanych istot ludzkich, trwających z dala od widowni głównej zdarzeń dziejowych, załamują się przecież „wszystkie tragedie Polski walczącej, katowanej [...] przez swoich i przez obcych, zwyciężonej, a przecież niezłomnej”³¹. Dezorientowało tylko niektórych nazbyt silne wyeksponowanie romansu, „miłość rozsadziła szranki” opowiadania, rzecz tak wspaniale zaczęta „kolosalną [...] ponurą fugą”, skończyła się „na «romansie» przypadkowego księcia i przypadkowej dziewczeczki”³². Żeromski „cofnął się przed syntezą [...] i wyczarował romans”. Bo *Wierna rzeka* „jest romansem i niczym innym”, tyle że jest „najpiękniejszym w świecie romansem”³³. Brano jednocześnie w obronę autora, sprawa prywatna nie przytłacza w powieści sprawy zbiorowej, powstanie jest obecne we wszystkim, a dwór niezdolski to jakby spektrum swoiste, w którym koncentrują się i załamują dramaty wielu podobnych dworów polskich tamtej chwili tragicznej³⁴. „Epizodyczność powstania — pisała Maria Dąbrowska — jest tu krwawą i ponurą potęgą, splecioną z przygodami miłosnymi Odrowąża w tak nierozdzielny sposób, że zawahać by się można poważnie nad zdecydowaniem: co tu tłem, a co istotną treścią jest właściwie”³⁵.

³¹ F. Kreczowski [W. Feldman], *Stefana Żeromskiego „Wierna rzeka”*, „Krytyka” 1913, t. 38, s. 7-12.

³² Zob. J. Lorentowicz, *Klechda o księciu, panience i wiernej rzece*, „Nowa Gazeta” 1913, nr 1.

³³ J. Oksza [J. Kisielewska], „*Wierna rzeka*” — „*klechda*” Żeromskiego, „Tygodnik Polski” 1913, nr 20-21.

³⁴ Zob. W. Jabłonowski, „*Wierna rzeka*”, „Gazeta Warszawska” 1913, nr 79 dod.

³⁵ M. Dąbrowska, „*Wierna rzeka*”, „Prawda” 1913, nr 18.

Tymczasem wiosną i wczesnym latem r. 1912 kończył się dość nieoczekiwane paryski epizod Żeromskiego, dojrzewała decyzja nieuniknionego powrotu. Powodów decyzji można się jedynie domyślać. Adam Żeromski skończył był właśnie 7 klasę Liceum Montaigne'a; był wątpliwy, delikatny, drzemały w nim zapewne odziedziczone po ojcu zarody groźnej, niebezpiecznej choroby, kurował się na przedwiośniu w Chevreuse pod Paryżem, należało rozstrzygnąć jakoś losy dalszej edukacji podrastającego młodzieńca. Komplikowały się też najwyraźniej prywatne sprawy pisarza. Związek z Anną Zawadzką stawał się najoczywściej uczuciem zobowiązującym, trwałym, nie dającym się ukryć czy zataić, ale funkcjonowała zarazem dotychczasowa wspólnota małżeńska, pisarz mieszkał nadal z Oktawią i Adasiem. Wytworzyła się sytuacja coraz trudniejsza do zniesienia dla wszystkich stron, dramat rodzinny Żeromskiego stał się tajemnicą publiczną. Usunięcie się z oczu świata wydawało się być w tych warunkach wyjściem koniecznym.

Po krótkim pobycie w Nałęczowie i Zakopanem zapisano Adasia wczesną jesienią r. 1912 do gimnazjum w Krakowie. Te krakowskie studia trwały ledwie parę tygodni. Chłopiec wstąpił do drużyny skautowskiej, sforsował się na jednej z wycieczek, dostał zapalenia płucnej. Lekarze zalecili pobyt w klimacie zakopiańskim. W Zakopanem zamieszkali Żeromscy w domu braci Kornilowiczów na Bystrem, Adaś zaczął brać na razie lekcje prywatne. Gdy stan zdrowia chłopca na to pozwolił, zapisano go do jednego z dwu istniejących ówczesnie w Zakopanem gimnazjów, do szkoły profesora Pieniążka, mającej opinię „kterykalnej” i „reakcyjnej”, w przeciwieństwie do drugiej, „postępowej”, prowadzonej przez „socjalistyczne” małżeństwo Praussów³⁶. W gimnazjum profesora Pieniążka popierano usilnie skauting w duchu założyciela tej organizacji na gruncie polskim, Andrzeja Małkowskiego, sprzecznym wyraźnie z najlżejszym nawet cieniem jakiegokolwiek lewicowości. Pani Oktawia Żeromska była jednym z „najpracowitszych członków komitetu skautowego”, opiekującego się miejscową drużyną³⁷.

Wybór szkoły mógł niejednego z ówczesnych znajomych Żeromskiego, wielbicieli i przeciwników, zastanowić; uchodził na ogół za stronnika lewicy, radykała, libertyna nieomal, od czasu zwłaszcza głośnych *Dziejów grzechu*. Pewne inicjatywy prywatne, podejmowane właśnie wówczas przez przyjaciół pisarza, zorganizowania skromnego choćby jubileuszu autora, zbliżającego się do dwudziestej rocznicy swego pisarskiego debiutu, rozbiły się o zastrzeżenia „polityczno-moralne”. „Ważono Żeromskiego czułą wagą. Okazało się, że jest pisarzem za mało «narodowym» lub zgoła «nienarodowym»”. Uzyskanie auli Uniwersytetu Jagiellońskiego,

³⁶ Zob. M. Kozłowski, *Działalność Żeromskiego polityczno-społeczna w czasie wielkiej wojny*, „Gazeta Warszawska” 1931, nr 107.

³⁷ Ibid.

która miała być głównym teatrem wydarzenia, „okazało się niemożliwością”³⁸. Żeromski osiągnął już tę pozycję władcy umysłów, wyobraźni i sumień, która czyniła go autorytetem, ale i zarazem uwodzicielem niebezpiecznym; potępiała go nie tylko prawica, budził niepokój również demokratów i radykałów. Wydawał się niekiedy tym niebezpieczniejszy, że przemawiał jako stronnik postępu. Swoista, „niemęska” uczuciowość tego pisarza zdawała się działać wbrew intencjom jak obezwładniający narkotyk:

[...] mam głębokie przekonanie — pisał Ostap Ortwin w przypisku do *Pamiętnika Brzozowskiego* — że na ustrój duchowy radykalnej młodzieży naszej obojga płci charakter i ton twórczości Żeromskiego wywiera wpływ rozkładczy, działając nań jak toksyna, co przecież nie może przyczyniać się do pozytywnego wzrostu i skutecznego napięcia tzw. rewolucyjnych kół w Polsce, które pod względem wstecznej formacji umysłowej i zacofanych metod myślenia wloką się dziś prawie na tyłach wszystkich innych obozów, istne marudery cywilizacji europejskiej, niepoprawne upiory romantyzmu. Że Żeromskiego można by uważać za najgłębiej, najsilniej, najodważniej czującego spośród żyjących pisarzy współczesnych — przeczyć nie odważyłbym się, ale klasycznie typowy, w spazmach, szlochach i sercowych palpatacjach rozmiłowany feminizm tego czucia, historyczną erotykę jego rewolucjonizmu, tak daleką od męskiej gospodarki duchowej, a tak niebezpiecznie bliską efektywnym pozom melodramatycznego heroizmu, mam prawo uważać za składnik w budowie zwycięskiej, dojrzałej, hartownej kultury narodowej co najmniej — niepożądaną.³⁹

Z końcem kwietnia r. 1913 opuścił Żeromski Zakopane i przez Kraków, Wiedeń, Wenecję 24 tegoż miesiąca przybył do Florencji. W dniu 31 maja przyszła na świat w San Gervasio córka Stefana Żeromskiego i Anny Zawadzkiej — Monika. Pojawienie się tego dziecka zmieniło dramatycznie sytuację pisarza. Miał teraz dwie rodziny, spadł teraz na niego nowy ciężar równych wobec obu tych rodzin obowiązków. Rozwód jak na razie zdawał się nie wchodzić w rachubę. Więzią nie do rozerwania był Adaś, dla niego zachowany być musiał normalny, rodzinny dom. To było silniejsze i ważniejsze od wszelkich bolesnych i tragicznych nieporozumień między ojcem a matką. Ale była jednocześnie tamta druga, młoda kobieta, jej dwuznaczna prawnie i moralnie pozycja i ich wspólne dziecko. Miała równe prawo do jego miłości i opieki. Żeromski przyjął tę nieuniknioną konieczność. Wytworzył się na kilka lat niełatwy układ rozdwojenia, przyjęty przez wszystkie strony jako stan przymusowy i swoiście bez wyjścia. Pisarz dzielił swoją osobę między oba te domy, przebywając regularnie na przemian raz z Oktawią i synem, to znów z Anną i córką. W okresach rozłąki krążyły między dalekimi stronami nieustanne listy. Z Włoch niemal codziennie wędrowały do żony lub Adasia w Nałęczowie czy w Zakopanem drobiazgowo sprawozdania z wszystkich czynności, prac i projektów li-

³⁸ K. L. Krz. [K. Lilienfeld-Krzemski], *Stefan Żeromski: „Wiatr od morza”, „Droga”* 1922, nr 9.

³⁹ O. Ortwin, *Objaśnienia do Pamiętnika S. Brzozowskiego*, Lwów 1913, s. 175 - 176.

terackich, lektur, wrażeń i spotkań towarzyskich, a jednocześnie zatroskane pytania o zdrowie chłopca, o postępy w nauce. Lato r. 1913 spędzili ojciec i syn w Paris-Plage między Etaples i Berck sur Mer nad Atlantykiem. W zdrowiu chłopca zdawał się dojrzewać i dokonywać pomyślny zwrot, „rozmógł się i utył nadzwyczajnie”⁴⁰. Robiono automobilowe wycieczki wzdłuż francuskiego wybrzeża i na drugą stronę kanału, w drodze powrotnej zatrzymali się przez czas jakiś w Paryżu. Ale nadzieje na ostateczne przełamanie przez młodzieńczy organizm zdrowotnych udręk okazywały się zawodne. Przy najmniejszym, nieco bardziej forsownym wysiłku fizycznym stare biedy wracały, każdą przyjemność skauta z wyników i sprawności osiągniętych na obozach i ćwiczeniach harcerskich trzeba było regularnie i nieodwołalnie opłacać leżeniem w łóżku.

Lato r. 1914 spędzał Żeromski z Anną i Moniką w gęszy górskiej na południowym, węgiersko-słowackim zboczu Tatr. Owe Wyżne Hagi czy po węgiersku Felsöhagi były małą osadą z kilku ledwie domów złożoną, ukrytą wśród gór i wśród gęstych lasów. Idealne warunki odpoczynku, spokój do pracy. I tam właśnie zaskoczyła go wiadomość o wybuchu wojny światowej.

⁴⁰ S. Żeromski, *O Adamie Żeromskim wspomnienie*, s. 93.

Rozdział VII

INTER ARMA

W potwornym zamieszaniu pierwszych dni mobilizacji wydostanie się natychmiastowe z tatrzańskiego odludzia okazało się niepodobieństwem. Wszystkie środki cywilnego transportu zostały sparaliżowane, kolej przestała funkcjonować, konie zostały zarekwirowane przez wojsko. Dopiero po trzech z górą tygodniach udało się Żeromskiemu jakimś podwodami chłopskimi, okrężną drogą poprzez Myślenice dobić się wreszcie do Krakowa. Zastał tu sytuację pełną napiętego oczekiwania i nieukrywanej nadziei. Galicja już od lat porewolucyjnych była areną ożywionej działalności wojskowej Piłsudskiego. Liczył się z nieuniknionym w jego przekonaniu wybuchem wojny między mocarstwami rozbiorowymi i chciał poprzez czynny współdziałanie wydobyc ponownie na wielkie forum polityki europejskiej zapomnianą do gruntu i doszczętnie pogrzebaną od lat co najmniej czterdziestu sprawę polską. Przewidywał w swoich prognozach politycznych, że wszystkie mocarstwa rozbiorowe wyjdą z tej wojny co najmniej potężnie osłabione. Naród polski, jeśli pragnie wyzyskać tę koniunkturę polityczną, musi w rozstrzygającym momencie dysponować instrumentem siły realnej. Tym instrumentem miała być armia narodowa, jej załączkiem i kadrowym zaczątkiem owe organizowane przez niego drużyny i kompanie strzeleckie. Korzystając z dobrodziejstw galicyjskiej autonomii, z Galicji uczynił dla swych celów jakby poligon doświadczalny. Władze wiedeńskie, nie znając oczywiście finalnych zamierzeń Piłsudskiego, patrzyły na tę swoistą zabawę w „wojsko polskie” dość liberalnie, nie dostrzegały w krzątaniu przywódcy owych paramilitarnych organizacji jakiejś akcji nie mieszczącej się w konstytucyjnych ramach monarchii. Licząc się z możliwością wybuchu wojny widziały w owych polskich oddziałach pożyteczne dla siebie narzędzie dywersji wojskowej i politycznej w kraju nieprzyjacielskim. Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych Piłsudski pchnął te swoje kompanie na front już w pierwszych dniach. Gdy Żeromski dotarł wreszcie z owych Hag do Krakowa, jego rodzinne Kielce znajdowały się już w rękach polskich.

Do pierwszej legionowej brygady Piłsudskiego wstąpiło wielu znanych

już i znakomitych pisarzy: Sieroszewski, Żuławski, Daniłowski, Orkan, Strug, Kaden-Bandrowski; w Krakowie powstała swoista ekspozytura polityczna mająca reprezentować tworzące się legiony wobec władz wiedeńskich, pod nazwą Naczelnego Komitetu Narodowego (NKN); Anna Zawadzka zaczęła pracować w intendencji Legionów przy ulicy Gołębiej. Wiek i stan zdrowia pisarza wykluczały rzecz jasna czynny jego udział w służbie frontowej, niemniej ulegając jak gdyby powszechnym nastrojom uniesienia stawiał swoją osobę do dyspozycji Piłsudskiego. W dniu 25 października 1914 r. otrzymał kartę legitymacyjną Polskiego Legionu Zachodniego nr 7366 jako „urzędnik wojskowy w randze oficera Legionu XI rangi, przydzielony do Departamentu Wojskowego NKN”. Kartę podpisał ówczesny szef owego biura kapitan Władysław Sikorski. Skierowano go do Kielc i do Piotrkowa; jego talenty i umiejętności mogły być doskonale wykorzystane w akcjach werbunkowych i agitacyjnych, a w Piotrkowie organizowały się właśnie główne ośrodki propagandy I Brygady. Dwukrotnie podejmował Żeromski próby dotarcia do tych miejsc przeznaczenia i w obu wypadkach bezskutecznie; psuły się samochody, kolej odwoływała ruch pociągów. Zresztą po tym pierwszym uczuciowym odruchu zapal Żeromskiego zaczął z wolna jakby ostygnać. Raziły go stosunki panujące w austrofilsko zorientowanym środowisku polityków NKN-u, zniechęciła poważnie sprawa przysięgi. Jako formacja podległa wojskowemu dowództwu austriackiemu żołnierze pułków legionowych musieli złożyć regulaminową przysięgę cesarzowi Franciszkowi Józefowi I jako naczelnemu wodzowi wszystkich sił zbrojnych monarchii austro-węgierskiej. Dla Piłsudskiego legiony były armią polską, ale w tej pierwszej fazie wielkiej gry politycznej strategia celów ostatecznych wymagała przejściowo taktyki kompromisów. Sprawa przysięgi nie miała dlań żadnego znaczenia, była aktem wymuszenia, absolutnie w przyszłości nie wiążącym. Żeromski zrozumiał ją nazbyt dosłownie, literalnie.

Tymczasem wydarzenia wojenne nie rozwijały się dla Austrii pomyślnie. Kontrofensywa rosyjska zaczęła toczyć się na zachód niby walec miażdżący wszystko po drodze. Dnia 3 września wojska nieprzyjacielskie zajęły Lwów, stolicę Galicji, wypierając Austriaków za San. „W krwawych walkach nad Dunajcem wojska austriackie wydatnie wspierane przez legiony powstrzymywały dalszy marsz Rosjan w kierunku Krakowa, pośród ciężkich bojów w Karpatach zagradały drogę na Węgry”¹. Padły Piotrków i Kielce. Kraków, który był miastem przygranicznym, poczuł się zagrożony. W pierwszych dniach listopada władze austriackie zarządziły przymusową ewakuację miasta. Jako miejsce docelowe wyjazdu obrał Żeromski raz jeszcze Zakopane. Przedzierał się tam drogą okrężną, przez Śląsk i Wrocław. To, co widział i słyszał na terenach niemieckich, odczuł jako dodatkowy argument przeciw wiązaniu sprawy pol-

¹ J. Pajewski, *Odbudowa państwa polskiego 1914-1918*, Warszawa 1978, s. 82.

skiej z ekspansjonistyczną polityką państw centralnych. Oficerowie niemieccy odznaczali się niezwykłą szczerością i nie starali się ukrywać pan-germańskich pretensji do wszechwładztwa nad światem. Pani Anna z córką i matką zamieszkały w willi „Władysławówka” na Kasprusiach, Żeromski w „Oleńce” na Krupówkach.

Nie czuł się bezpieczny, był obywatelem rosyjskim. Miejscowe władze austriackie tropiły nadgorliwie „moskalofilów”, grożąc nieustannie zesłaniem do obozów internowania. Dano w końcu Żeromskiemu do zrozumienia, że pozostawią go w spokoju, jeśli wstąpi do miejscowej ekspozytury NKN-u, czyli do tak zwanego Narodowego Komitetu Zakopiańskiego. Komitet zakopiański składał się z różnorodnych żywiołów i uprawiał działalność, z której nie były zadowolone ani władze państwowe, ani zwolennicy Pierwszej Brygady. Dzięki temu Żeromski po naradzie ze swymi osobistymi i politycznymi przyjaciółmi zdecydował się wejść ostatecznie do owego NKZ-u i został w nim obdarzony godnością zastępcy sekretarza². Pracował tam głównie w sekcji gospodarczej i charytatywnej, zajmującej się niesieniem doraźnej pomocy materialnej ofiarom wojny. Organizowano warsztaty pracy, zapewniające chleb i elementarne środki do życia, inicjowano zbiórki pieniężne na rzecz głodujących mieszkańców Wilna i Warszawy. Wszelkie jednak próby wciągnięcia pisarza w jakieś bardziej znaczące i efektowne akcje propagandowe na rzecz sprawy czynu zbrojnego legionów kończyły się stanowczą odmową. Wydawał się coraz silniej ulegać wpływom endecji, która od początku działań wojennych opowiadała się po stronie państw koalicji.

W grudniu r. 1914 wstąpił wraz z Janem Kasprowiczem, od dawna już sympatykiem Narodowej Demokracji, do tajnej organizacji, orientującej się zdecydowanie na sojusz z mocarstwami Ententy i tylko w nim upatrującej widoki na najkorzystniejsze rozwiązanie sprawy polskiej po wojnie³. Współpracował aktywnie z Towarzystwem Szkoły Ludowej, pozostającej ówczesnie pod silnym wpływem „narodowców”. Budziło to tym większe zdziwienie, zwłaszcza w kołach legionowych i prawicy socjalistycznej, związanej z frakcją Piłsudskiego, że pisarz zawsze uchodził za sympatyka i poplecznika sprawy postępu społecznego i niepodległościowych aspiracji swego narodu, że od samych początków swojej działalności publicznej kontaktował się i przyjaźnił z ludźmi tej przede wszystkim orientacji ideowej. Można było zatem przypuszczać, że właśnie on przede wszystkim poprze sprawę legionów całą siłą swego talentu i swojego moralnego autorytetu. Cóż więc się stało, że wobec wydarzenia tej wagi, tak silnie pobudzającego nastroje patriotyczne i wolę aktywnego działania,

² M. Kozłowski, *Żeromski podsekretarzem w zakopiańskiej filii NKN-u*, „Kronika Polski i Świata” 1939, nr 1.

³ Zob. S. Żeromski, *Organizacja inteligencji zawodowej*, [w:] *Bicze z piasku*, Warszawa—Kraków 1929, s. 84.

zajął ku powszechnemu zaskoczeniu stanowisko powściągliwej, chłodnej rezerwy, zamknął się w swoim zakopiańskim odludziu, poświęcając się wyłącznie działalności pisarskiej, oświatowej i charytatywnej?

Rzecz nie przedstawia się jasno we wszystkich swych zagadkowych komponentach. Sam Żeromski wypowiadał się w tych sprawach skąpo, niechętnie i ogólnikowo, pozostawiając wiele w tym, co mówił, punktów niejasnych. Z tych powściągliwych wypowiedzi da się wywnioskować jedynie, że miał najwyraźniej awersję do polityków z NKN-u, odrzucał ich austrofilską orientację, nie wierzył, aby ze współpracy Polaków z Austrią i Niemcami mogło wyniknąć coś dobrego dla sprawy polskiej. W całym tym zamęcie sprzecznych i zwalczających się poglądów wydawał się być bez zastrzeżeń najzarliwszym, oddanym duszą i ciałem stronnikiem Francji. We wszystkich tych motywacjach było jednak tyle niedopowiedzeń, że nie mogły one rozproszyć nasuwających się zewsząd wątpliwości.

Można było oczywiście zrozumieć, iż mógł odruchowo nie znosić owej tylekroć Polakom z austriackiego zaboru wypominanej galicyjskiej „tromtadracji”. Tym ironicznym neologizmem określano pewną szczególną odmianę patriotyzmu, która rozwinęła się w niektórych kręgach społeczeństwa polskiego autonomicznej Galicji, a sprowadzała się do tego, że hałaśliwie i ostentacyjnie manifestowaną miłość do Polski jakoś idealnie godzono z równie żywo objawianą wiernością wobec cesarza i monarchii. Nie wszyscy Polacy galicyjscy hoładowali rzecz jasna temu osobliwemu gatunkowi miłowania ojczyzny, piętnował go w swych dziełach Wyspiański, sam przecież rodowity galicjanin i krakowianin, ale pełnił się on dość szeroko zwłaszcza w kręgach uzależnionej od rządu biurokracji, wśród galicyjskich „demokratów” i wśród warstwy włościańskiej, dla której postać cesarza, daleka i mityczna na poły, stawała się częstokroć jakby instancją odwoławczą w lokalnych sporach politycznych z galicyjskim ziemiaństwem. Ta dająca się zrozumieć awersja do pewnych negatywnych przejawów życia polskiego w państwie Habsburgów nie mogła przecież tłumaczyć dostatecznie konsekwentnie i uparcie niechętniej postawy pisarza. Wobec powagi rozgrywających się wydarzeń o historycznym wymiarze wszystkie owe urazy i emocjonalne uprzedzenia w sporach o orientację traciły nieodwołalnie sens i walor poważnych, istotnych argumentów.

Podobnie zagadkowo przedstawiała się sprawa z ową profrancuską jego postawą. Wielbił Francję, przyznawał się publicznie na schyłku wojny, że w pierwszych tygodniach ofensywy niemieckiej serce jego zamierało ze zgrozy, gdy komunikaty wojenne wymieniały codziennie Paryż, Reims, bohaterskie Verdun, niepokonane w oporze, pod niszczącą nawałą pocisków wroga. Życzył Francji zwycięstwa. Utwierdzał się w tej postawie jakby na przekór wszystkim głosom, jakie zaprzeczały dokoła jego pragnieniom i życzeniom. „Od samego początku tej wojny wszyscy i wszystko dokoła twierdziło, iż Paryż będzie wzięty — («to trudno») — Francja

zgnieciona, zdeptana butami pruskiego zwycięzcy, że naród francuski, jak twierdził samodzierzca opinii galicyjskiej pan Konstanty Srokowski, to «człowiek martwy»⁴. Na przekór tym opiniom chciał wierzyć od początku, „że Francja nie zostanie pobita”⁵.

Ale Żeromski wiedział, bo przecież nie mógł nie wiedzieć, że zwycięstwo koalicji w tej wojnie oznaczało nieuchronnie triumf carskiej Rosji, a triumf Rosji byłby jeszcze jedną przegraną sprawy polskiej. Mimo jego zachwytów dla kultury politycznej Zachodu Francja już dawno przestała być patronką i natchnieniem irredenty narodów europejskich, dobijających się wolności. Od chwili zdumiewającego sojuszu z reakcyjnym reżimem petersburskim sprawa polska została ostatecznie wykreślona z dyplomatycznego *dossier* polityki francuskiej i uznana na zawsze za wewnętrzne wyłączenie zagadnienie rosyjskie. Wszelkie napomknienia o Polsce przyjmowano w Paryżu jako obrazę Rosji, a więc krzywdę Francji. „*Vestigia terrent*. Zastraszone przykładem Napoleona III”, angażującego się w problemy polskie, „rządy Trzeciej Republiki i jej poselstwa nad Nową nie śmiały odezwać się słowem za Polską”⁶. Gdy w odpowiedzi na orędzie listopadowe państw centralnych z r. 1916 Rosja zareagowała gwałtownie stanowczym protestem potępiającym manifest dwóch cesarzy jako „akt nieważny i niebyły” oraz „pogwałcenie zasadniczych podstaw prawa międzynarodowego”, rząd francuski pośpieszył skwapliwie z natychmiastowym akcesem bez zastrzeżeń do owego protestu, zwracając się jednocześnie z analogiczną protestacją do państw neutralnych⁷. Mówiono w tym akcesie „z ironią, w cudzysłowie, niby o osobliwej fikcji, o rzekomych «obszarach polskich (*régions polonaises*)», na których jakoby ma powstać rzekome państwo polskie. O Królestwie Polskim, unikając za bobonnie tej nazwy, mówiono półgębkiem, pod wstydliwą przenośnią «terytorium okupacyjnego»”; w imię „«prawa, moralności, sprawiedliwości» powstawano uroczyste przeciw niecnemu «rozrządzaniu owym terytorium na rzecz czyjąkolwiek», tj. Polaków [...] dla zachowania pozorów okrywano się gładkimi komplementami o «szlachetnym narodzie polskim» i [...] frazesem o «autonomii... będącej odwiecznym ideałem tego narodu»”[!], dawano wreszcie wyraz niezłomnej „«solidarności» sprzymierzeńców zachodnich ze «szlachetnymi zamierzeniami... rządu rosyjskiego w sprawie polskiej»”⁸.

Jak zaś wyglądały owe „szlachetne zamierzenia rządu rosyjskiego” względem Polaków, dał temu jednoznaczny wyraz w sierpniu r. 1915 szef owego rządu Goremykin w swoim inauguracyjnym wystąpieniu na otwarciu Dumy powiadamiając zgromadzenie, że „J. C. Mość pozwolił Radzie

⁴ O Adamie Żeromskim wspomnienie, s. 104.

⁵ Ibid., s. 105.

⁶ Zob. S. Askenazy, *Polska a Europa*, [w:] *Uwagi*, Warszawa b.r., s. 41.

⁷ S. Askenazy, *Orędzie listopadowe*, [w:] *Uwagi*, jw., s. 104.

⁸ Ibid., s. 104 - 105.

ministrów” opracować projekt statutu „w przedmiocie udzielenia Polsce, po ukończeniu wojny, prawa wolnego urzędzenia swego życia narodowego na zasadach autonomii, pod władnym berłem monarchów rosyjskich i z zachowaniem jedynej państwowości”⁹. Jak zaś w praktyce miało wyglądać to „wolne urządzanie się” Polaków pod berłem carskim w nierozzerwalnej łączności z państwem, tego próbkę i przedsmak dały kilkumiesięczne rządy rosyjskie w okupowanej Galicji po zajęciu Lwowa i upadku Przemyśla. W kilkanaście dni po wkroczeniu armii rosyjskiej zlikwidowane zostały doszczętnie samorząd i autonomia, zniszczone wszystkie formy organizacyjne życia narodowego, i to nie tylko polskiego, ale i ukraińskiego, zamknięte szkoły, towarzystwa, instytucje kultury. Uznano Galicję za kraj rdzennie rosyjski i ziemię równie świętą jak ta, na której stoją Nowogród, Kijów i Moskwa¹⁰. Nowo utworzone gubernie lwowska i przemyska, których granice przesunięto aż po Dunajec i Sandomierz, miały być inkorporowane wprost w obręb cesarstwa, gubernie tarnowska i krakowska po ich przyszłym zajęciu do „kraju przywiślańskiego”. Wszystkie partie i orientacje polityczne rosyjskie, stronnictwa rządowe i prawicy, ortodoksyjni narodowcy i cały blok opozycyjny: narodowcy-secesjoniści, centrowcy, ziemcy, październikowcy, postępowcy i konstytucyjni demokraci zgodni byli zupełnie w arcyrosyjskim i „wewnętrznym” pojęciu i ujęciu zagadnienia polskiego¹¹. Nie zmieniło się nic ani na jotę aż do dnia katastrofy i po katastrofie, za urzędowania Rządu Tymczasowego: w Piotrogradzie i Moskwie — pisał w r. 1917 w „Monitorze Polskim” wychodzącym w Lozannie dobrze zorientowany w kuluarach polityki i dyplomacji ówczesnej Askenazy —

urzędują po staremu wyrzucone z Kongresówki władze rosyjskie. Urzęduje generał-gubernator warszawski ks. Engałyczew [...] Urzęduje ogromna jego kancelaria generał-gubernatorska, podwładni mu gubernatorowie „Kraju Przywiślańskiego”, policmajstrowie, żandarmeria, oczywiście też niezbędna „ochrana” warszawska [...] zarząd cytadeli warszawskiej, zarząd więzień warszawskich, gimnazja warszawskie i „przywiślańskie”, te więzienia dusz młodocianych polskich [...] To wszystko nie przestaje urzędować, zyskiwać awansów, pobierać pensji *in partibus infidelium* i czeka. Czeką powrotu. Na trzydzieści tysięcy uszłych z Królestwa Polskiego urzędników rosyjskich [...] nie masz ani jednego, który w głębi duszy nie żywiłby niezłomnego przekonania, że skoro tylko wojska rosyjskie odbiorą Królestwo Polskie, on wróci tam niechybnie i że wówczas tam znowuż „jak było, tak będzie”¹²

Czy Żeromski nie przewidywał możliwości takiego właśnie nieuniknionego obrotu zdarzeń w razie urzeczywistnienia się jego nadziei politycznych i jego prognoz rozwoju losów wojennych, czyżby z góry się go-

⁹ S. Askenazy, *Dialog*, [w:] *Uwagi*, jw., s. 50.

¹⁰ Zob. F. Przysiecki, *Rządy rosyjskie w Galicji wschodniej*, Piotrków 1915 i J. Krzesławski, *Wskreszenie Polski przez Rosję*, Piotrków 1915.

¹¹ S. Askenazy, *Międzynarodowość sprawy polskiej*, [w:] *Uwagi*, jw., s. 83.

¹² S. Askenazy, *Zmiany rosyjskie*, [w:] *Uwagi*, jw., s. 164 - 165.

dził na nową czy też raczej starą podległość Polski? Supozycja tego rodzaju byłaby zupełnym absurdem. Raczej należałoby przyjąć, że coś w tym stanowisku pisarza nie zostało jak gdyby domyślane do końca, że jakieś urazy i emocje wzięły górę nad trzeźwą i chłodną analizą wszystkich potencjalnych zagrożeń, jakie niosło z sobą toczące się w coraz szybszych obrotach rozpędzone koło historii.

Zastanawiająca jest również w ówczesnych poglądach Żeromskiego ta niezrozumiała identyfikacja jak gdyby linii politycznej aktywistów galicyjskich ze stanowiskiem Piłsudskiego. Orientacja NKN-u aż po sam schyłek wojny była istotnie austrofiłska. Spodziewano się do końca, że państwa centralne ostatecznie zwyciężą i że powiększoną o ziemie zaboru rosyjskiego Galicję przyłączy się do Austro-Węgier jako trzecią, równoprawnioną część składową trialistycznej monarchii konstytucyjnej bądź też utworzy się z tych ziem niezależne Królestwo Polskie pod berłem domu Habsburgów, związane wojskowo i politycznie z blokiem państw centralnych. Tymczasem polityka Piłsudskiego od pierwszych działań wojennych zmierzała w kierunku diametralnie przeciwnym — absolutnej, suwerennej niepodległości państwowej. Sojusz z Austrią i Niemcami traktował od początku instrumentalnie; umożliwiały mu organizację wojska polskiego. Ale tę narodową siłę zbrojną, w której widział przyszłe kadry wielkiej armii wolnego państwa, starał się maksymalnie uwolnić spod kurateli NKN-u i austriackiego dowództwa. Dochodziło do nieustających zatargów między nim i Pierwszą Brygadą a lojalistycznie zorientowanym wobec Wiednia Departamentem Wojskowym NKN-u. W miarę jak związki wojskowe Piłsudskiego rosły w siłę liczebną i w doświadczenie bojowe, Piłsudski coraz bardziej stanowczo zaczął się domagać utworzenia suwerennego rządu polskiego i poddania legionów pod jego bezpośrednie i wyłączne zwierzchnictwo.

Gdy pod wpływem niepowodzeń na frontach i przedłużającego się trwania wojny Niemcy i Austria zdecydowały się aktem listopadowym z r. 1916 powołać do istnienia pozornie niezależne Królestwo Polskie jako tymczasową namiastkę przyszłej niepodległej organizacji państwowej, Piłsudski zgodził się wstąpić do utworzonej tym aktem Rady Stanu, aby nadal domagać się w niej jak najszybszego przekształcenia owego satelitarnego państewka w twór autentycznie suwerenny, od okupantów austro-niemieckich niezależny. Gdy się to nie powiodło, zerwał radykalnie z dotychczasową orientacją, odmówił dalszej współpracy z Austrią i Niemcami, doprowadził do kryzysu i rozwiązania legionów, płacąc za tę pozorną klęskę całej swej linii politycznej wysoką cenę.

Czy Żeromski nie orientował się w tej grze Piłsudskiego, czyżby istotnie identyfikował jego działalność z austrofiłską polityką NKN-u? Jego kontakty z Piłsudskim były rzecz jasna sporadyczne, ale ludzie Pierwszej Brygady należeli do najbliższych jego znajomych i nieomal przyjaciół. Trudno zatem przypuścić, by nie poinformowali go dokładnie o właści-

wych intencjach przywódcy ruchu. Czyżby mu nie dowierzał? Dlaczego on, autor tylu utworów wielbiących czyny wojenne irredenty niepodległościowej czasu rozbiorów, ani razu właściwie nie wsparł swoim słowem pisarskim patriotycznej ofiary i wysiłku polskich żołnierzy Piłsudskiego, a jedyny epizod legionowy w powieści *Charitas* przedstawił jako poświęcenie daremne i znowę polityków, którzy dla swych wątpliwych i podejrzanych celów raz jeszcze posłużyli się młodzieńczą krwią.

Na pytania i zagadki tego rodzaju niepodobna udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Można snuć co najwyżej hipotetyczne przypuszczenia, poza jednoznaczną weryfikacją. Przyczyn tej niezrozumiałej postawy szukać by można w pewnych organicznych skłonnościach i dyspozycjach jego powikłanej psychicznie osobowości. Z najgłębszego wewnętrznego impulsu był pesymistą, nie dowierzał światu i ludziom, ciągle mu się zdawało, że wokół każdej sprawy, nawet największej i najczystszej, gromadzi się natychmiast zło i że zło to okazuje się najczęściej zwycięskie. Manichejska ciemność i dramatyczność jego własnej duszy zdawała się podszeptwać mu jedyną prawdę, że każdy czyn od początku jest skazany na klęskę, każda sprawa przegrana. Wrażliwy, kontaktujący się ze światem nie tyle racjonalną, ile emocjonalną stroną swej osobowości duchowej, wyczuwający każdym zmysłem najmniejsze zagrożenie swej autonomii wewnętrznej, stał nieustannie na straży swego *forum internum*. Czyniło go to sztywnym, zamkniętym, niedostępnym¹³. Człowieka o strukturze tego rodzaju łatwo było zrazić, zniechęcić; toteż tu właśnie, w tych powikłanych labiryntach jego duchowego istnienia należałoby szukać, jak się zdaje, wytłumaczenia jego zastanawiającej postawy wobec obozu niepodległościowego w latach pierwszej wojny światowej.

Nieporozumienia z tym obozem rozpoczęły się już po upadku rewolucji r. 1905. Już wówczas ogarnął Żeromskiego potężny przypływ zwątpienia i niewiary w ludzi i w pracę. Wszystko było nieprawe, złe, naznaczone piętnem podłości. Pozostał na placu jedynie nieznan, samotny, niezłomny żołnierz rewolucji, ale to było tylko marzenie, fikcją powieściową, istniejąca w czystej imaginacji, poza jakąkolwiek realnością rzeczywistości. W tym stanie niewiary i podejrzliwości dotrwał Żeromski aż do wojny. Na dawne urazy, na irracjonalne idiosynkrazje do osób i do działań zbiorowych, nałożyły się najświeższe emocje, wrażenia i doznania, przywiezione niedawno z Francji. To był kraj, w którym po nieustającej polskiej niedoli poczuł się naprawdę wolny. W którym jego jedyne dziecko uczyło się po raz pierwszy w wolnej, szczęśliwej szkole, poza jakimkolwiek przymusem, w prawdzie i w przyjaźni z jego francuskimi rówieśnikami. Był to wreszcie kraj, w którym powróciła do niego jakby druga młodość, w którym przeżył swoją nową, odurzającą i zapewne ostatnią

¹³ Zob. Z. Wasilewski, *Wspomnienie o Stefanie Żeromskim*, [w:] *Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1927, s. 169.

miłość. To był kraj szczęścia, do którego czuł ogromną wdzięczność i zobowiązanie wierności. W odczuciach artysty polityka staje się nazbyt często funkcją jego emocji i przywiązań.

I na jeszcze jeden czynnik, chociaż niepewny, lecz prawdopodobny, należałoby tu zwrócić uwagę — na związki pisarza z masonerią¹⁴. Masoneria polska w okresie porozbiorowym miała piękne tradycje patriotyczne. Żeromski interesował się tą sprawą pisząc swoje *Popioły*. Po kasacie polskich związków wolnomularskich w r. 1821 nastąpiła osiemdziesiąt prawie lat trwająca przerwa i dopiero w pierwszym dziesięcioleciu nowego wieku pojawiły się próby powiązania zerwanych ogniw z przeszłością. Wśród osobistości najżywiej wokół sprawy tej zabiegających znajdowali się ludzie z najbliższego kręgu rodzinnych i towarzyskich kontaktów pisarza: Rafał Radziwiłłowicz, Zygmunt Chmielewski, Edward Abramowski. Wielki Wschód francuski, patronujący tym usiłowaniom, orientował się w czasie trwania zmagania wojennych na zwycięstwo państw koalicji. Grupy inicjatorów, zmierzających do wskrzeszenia wolnomularstwa, spodziewały się wiele zyskać dla sprawy polskiej poprzez nawiązanie kontaktów z organizacją, mającą, jak twierdzono, istotny i doniosły wpływ na cele i kierunki rozwoju bieżącej polityki międzynarodowej. Mogło to więc determinować w jakimś stopniu stanowisko pisarza, aczkolwiek nie ma na to pewnych dowodów, czy Żeromski należał rzeczywiście do montowanego przez Radziwiłłowicza kółka polskiego, afiliowanego jak się zdaje do paryskiej loży Wielkiego Wschodu „Les Rénovateurs”.

W tych dramatycznych i trudnych latach realizowała się przecież jednocześnie twórczość literacka, nowa powieść, która rozrosnąć się z czasem miała w wielką trylogię o wymownym tytule *Walka z szatanem*. Przechodziła zmienne i burzliwe koleje losów. Pierwszy zarys dwu początkowych członów dzieła, *Nawracania Judasza* i *Zamieci*, napisanych w r. 1913 w czasie kilkakrotnych pobytów autora we Włoszech, był już gotów pod koniec tegoż roku i dwie te części stanowić miały skończoną i zamkniętą całość. Autor nie myślał jeszcze wówczas o tomie trzecim, a treść powieści w niejednym wątku i szczególnie odchyłała się od redakcji finalnej dzieła. *Nawracaniu Judasza* nadał pisarz kształt ostateczny w początkach r. 1914, *Zamieć* cyzelował i wielokrotnie poprawiał jeszcze w pierwszych miesiącach toczącej się już wojny.

Powieść, zanim ją wydrukowano w formie książkowej, ukazywała się najpierw, w latach 1914 - 1916, w nieregularnych odstępach czasu, z przerwami i bez doprowadzenia zaczętej publikacji do końca, w różnych dziennikach i czasopismach: w „Naprzodzie”, „Sfinksie”, w „Myśli Polskiej” i w „Nowej Reformie”. Autor się denerwował. Wojna odcięła go od głów-

¹⁴ Zob. L. Chajna, *Wolnomularstwo w II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1975, s. 102 i n., 106 i n., 390; W. Borowy, *O Żeromskim. Rozprawy i szkice*, Warszawa 1960, s. 263 i n.

nego wydawcy Mortkowicza w Warszawie, nie miał wpływu na druk i na jego kontrolę, a przeżywał dręczące wątpliwości, czy godzi się w tragicznej sytuacji wojennej przedstawiać ludziom awantury miłosne. Rad był w poczuciu obywatelskiej odpowiedzialności skreślać wszelakie jaskrawizny i wybujałości opowiadania. *Nawracanie Judasza* i *Zamieć* ukazały się ostatecznie latem i wczesną jesienią r. 1916 nakładem Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie, *Charitas*, część ostatnia trylogii, wiosną r. 1919. Powieść tak ogromna, równa rozmiarami *Popiołom*, wchłonęła wszystkie pasje, namiętności, przeżycia intymne, fascynacje intelektualne i obserwacje życia lat ostatnich. Stała się transpozycją literacką najnowszej, burzliwej miłości autora, wchłonęła wrażenia rozległego świata, który poznał był pisarz na Zachodzie i ocenę rzeczywistości lat i wydarzeń wojennych, oglądanych co nieco z wysokości galicyjsko-zakopiańskiego partykularza, usiłowała przetworzyć na materiał literatury pewne koncepcje ideowo-społeczne, które zajęły Żeromskiego w latach pobytu we Francji i we Włoszech, zwłaszcza teorie syndykalistyczne George'a Sorela. W warstwie fabularnej powieść odwoływała się do pomysłów wcześniejszych, z rutyną eksploatowanych. Raz jeszcze, jak tylekroć poprzednio, powracał samotny wyznawca idei i bohater, wychodząc mężnie na spotkanie złu świata, aby je pokonać.

Nowa, ogromna powieść Żeromskiego stała się, jak zawsze, sensacją dnia. Na stereotypowe pytanie przy spotkaniu: „Co słyhać?” — znakomity krytyk warszawski odpowiadał: „Cóż może być słyhać? Wszyscy szukamy Kseni po ulicach Paryża”¹⁵. Romans, jak zwykle, koncentrował przede wszystkim emocje i zainteresowanie czytelników. „Pamiętam łzy w oczach — wspominała Maria Kuncewiczowa — noże w sercu, upajającą satysfakcję, kiedy — jako młoda dziewczyna — czytałam romans Kseni. Nienawidziłam Ryszarda za tortury, które zadał tej sarniokiej, czarownej istocie, i jednocześnie byłam dumna do szalu, że aż tyle można chcieć od kobiety”¹⁶.

Obok wątku erotycznego dostrzeżono również wątek społeczny i jego związki z dawnymi kreacjami pisarza, ale jednocześnie jakby przewyciężenie dawnych poglądów, jakby nowy etap w rozwoju myśli ideowej. nierozwiązalny dylemat Judymowy zastąpiony tu został realizmem życiowym, dawne doktrynerstwo umiejętnym, celowym opanowywaniem „owego dziwnego chaosu zwanego «życiem» bez bezpłodnego wyzbywania się prawa do własnego i cudzego szczęścia na ziemi”¹⁷. Wyjątkowo wiele tematów i materiału do dyskusji dostarczała szczególnie trzecia,

¹⁵ M. Dąbrowska, *Wspomnienie o Żeromskim*, [w:] *Pisma rozproszone*, Kraków 1964, t. 2, s. 396.

¹⁶ M. Kuncewiczowa, *Z Żeromskim*, „Wiadomości Literackie” 1938, nr 50.

¹⁷ Zob. I. Matuszewski, *Nowa powieść Żeromskiego*, „Myśl Polska” 1916, t. 5, z. 7-8.

ostatnia część opowiadania. Kipiała od aktualności; autor włączył w nią żywą, pulsującą jeszcze od cierpienia i bólu miazgę zdarzeń niemal bieżących, czym zamącił jak gdyby „wielką linię dzieła” i „czystość tonu”, ale stworzył zarazem „oskarżenie potężne”, działające jak zbawienny „zabieg leczniczy”¹⁸. Dostrzeżono w powieści jakby znak i świadectwo jakiegoś głębokiego i zasadniczego przełomu, jakby otwarcie na przestrzenie wewnętrzne, dotychczas w twórczości pisarza nieobecne. W swej bezkompromisowej etyce był Żeromski zawsze niezmiernie surowy: „Nie ma przebaczenia dla krzywd” — przypominał Adam Grzymała-Siedlecki. I oto w tytule tej najnowszej powieści pojawiło się nieoczekiwane to przedziwne słowo: *Charitas* — *Miłosierdzie*. Pojawiło się jednocześnie ze zwróceniem się Żeromskiego — „po raz pierwszy bodaj — ku perspektywom metafizyki [...]”. Wyobraźnia jego

jeszcze objęta mrokiem i strachem, ale nad nimi panuje już przeczucie nowych światów — i wnioski etyczne już wyzwolone, już objęte słońcem. Ciało pożyje jeszcze w mroku leśnym, ale oko już widzi dalej. I dlatego właśnie *Charitas*, choć jest zbiorem epizodów wstrząsających, choć przewala się przez nie straszna wojna, z barbusowskim niemal naturalizmem ukazywana, choć [...] żyją w niej i działają ludzie gorsi od wojny, głodu, moru i ognia — wszelako dzieło nie kroczy do pesymistycznej konkluzji. Nad całością rozpięta jest arka przymierza, wielobarwność świetlista duszy uratowanej. Z odmetu zła i upadków człowiek wyniósł duszę swoją, jak ojciec szczęśliwy wynosi z pożaru dziecię ukochane, i oto pierwszy raz u Żeromskiego żywie wiara w możliwość takiego cudu. Obok dziejów grzechu w tej samej, przebogatej twórczości nakreślone zostały dzieje pokuty, tego zbawczego czynu duszy, który religia podniosła do zaszczytu sakramentu. Dlatego też nie waham się — kończył Grzymała swą recenzję — nazwać tę powieść powieścią religijną.¹⁹

Tymczasem zbliżała się powoli największa w życiu Żeromskiego tragedia²⁰. Adaś, który na skutek nie odstępujących go perypetii ze zdrowiem miał niejaki opóźnienia i zaległości w nauce, uczył się pilnie, nadrabiał materiał, starał się dopędzić kurs gimnazjalny i uzyskać promocję do ósmej klasy maturalnej. Lubił namiętnie sporty, wędrowki w góry, konne przejażdżki, narty i sanki, uczestniczył gorliwie we wszystkich ćwiczeniach I Zakopiańskiej Drużyny Skautowej im. Księcia Józefa Poniatowskiego, w której był dowódcą plutonu. Miał ambicję być pierwszym we wszystkich pracach, każdą rzecz i zadanie sprawnie i w terminie wykonać. Ale w owych dniach przedwiosennych ostatnich miesięcy wojny coraz częściej wracał z tych swoich szkolnych i harcerek prac z twarzą

¹⁸ Zob. W. F. [W. Feldman], *Ostatnie utwory Żeromskiego*, „Nowa Reforma” 1919, nr 303 - 304; Z. Dębicki, „*Charitas*”, „Dziennik Polski” 1919, nr 116 - 118.

¹⁹ A. Grzymała-Siedlecki, *Listy literackie: „Charitas” Żeromskiego i jej naczelné idee*, „Tygodnik Ilustrowany” 1919, nr 42 - 44.

²⁰ Opisał ją Żeromski później w najbardziej osobistej i bolesnej książce *O Adamie Żeromskim wspomnienie* (Warszawa 1919), wydanej w nakładzie 55 egzemplarzy jako rękopis przeznaczony dla osób, „które łaską miłości, przyjaźni i opieki dały” Zmarłego.

dziwnie zmęczoną. Bicie serca było wciąż przyśpieszone [...] męczył się, choć nie chciał przyznać się do tego i bagatelizował wszelkie obawy.²¹

Na początku lutego zachorował niby na influencę. Gorączka, wielkie poty po aspirynie, a gdy nadeszło niby polepszenie, jakaś wielka niemoc. Wychudnięcie raptowne, brak apetytu — i smutek.²²

Nie pomagało najforsowniejsze, co godzina, karmienie, werandowanie, zastrzykiwanie arszeniku [...] zażywanie strychniny, ekstrakty mięsne i wszelkie możliwe matczyne zabiegi.²³

Ciepłota wciąż za niska, a tętno wciąż nadmiernie szybkie. Coraz gorszy sen [...] znikanie w oczach mięśni ciała. Chude, bezwładne dłonie [...] na kołdrze. Straszliwa chmura w oczach.²⁴

Lekarz doradzał wyjazd z Zakopanego na niziny, mniemając, że będzie to może lepiej dla osłabionego serca. Adaś marzył o Nałęczowie.²⁵

Wyjazd nastąpił w połowie czerwca, podróż była straszliwa, z kilkoma przesiadkami, w niesamowitym tłoku czasu wojennego, wrzasku tłumów, w zaduchu. W domu, który kiedyś, przed laty, zbudował sobie pisarz dla pracy i wypoczynku, chłopiec z wolna dogasał. Wokół stało przepyszne, wonne, upalne lato; z okien „chaty” widać było cudowny nałęczowski krajobraz, w powietrzu unosił się nie tylko zapach tej pięknej ziemi, ale mocne, pewne przecucie wolności. „Obojętny, piękny świat. Rzewnie uciszoną przed snem wiecznym staje się przyroda. Zabija z łagodnym uśmiechem, wysysa ostatek siły z dobrocią, patrząc kędyś daleko przed siebie. Miażdżąca wszystko gruźlica, niepostrzeżone galopujące suchoty mieszczą się bardzo dobrze wśród zdrowych pól, tchnących aromatami lip ledwie rozkwitłych”²⁶. Śmierć Adama Żeromskiego nastąpiła w nocy z 29 na 30 lipca 1918 r. Zwłoki chłopca złożono tymczasowo w grobie rodzinnym Radziwiłłowiczów na wiejskim cmentarzu w Bochothnicy. W marcu r. 1922 przeniesiono je do mauzoleum, wybudowanego obok „chaty” według projektu ojca i przy inżynierskiej pomocy Jana Witkiewicza.

Z końcem lata wrócił Żeromski do Zakopanego, gdzie czekała go już nowa rodzina. Śmierć Adasia zamknęła jakby bezpowrotnie przeszłość, legła między nią a chwilą bieżącą jako nieprzebyta przegroda. Wojna dobiegała do końca. Wielojęzyczna monarchia austro-węgierska trzaskała we wszystkich szwach pod naporem aspiracji niepodległościowych wchodzących w jej skład narodowości. W obliczu totalnego rozkładu zaczęły tworzyć się samorzutnie na terenie Galicji lokalne, improwizowane instytucje polskiej władzy państwowej. Jurysdykcja tych efemerycznych organów administracji, niekiedy kilkudniowych zaledwie, nie przekraczała

²¹ O Adamie Żeromskim wspomnienie, s. 107.

²² Ibid., s. 108.

²³ Ibid., s. 109.

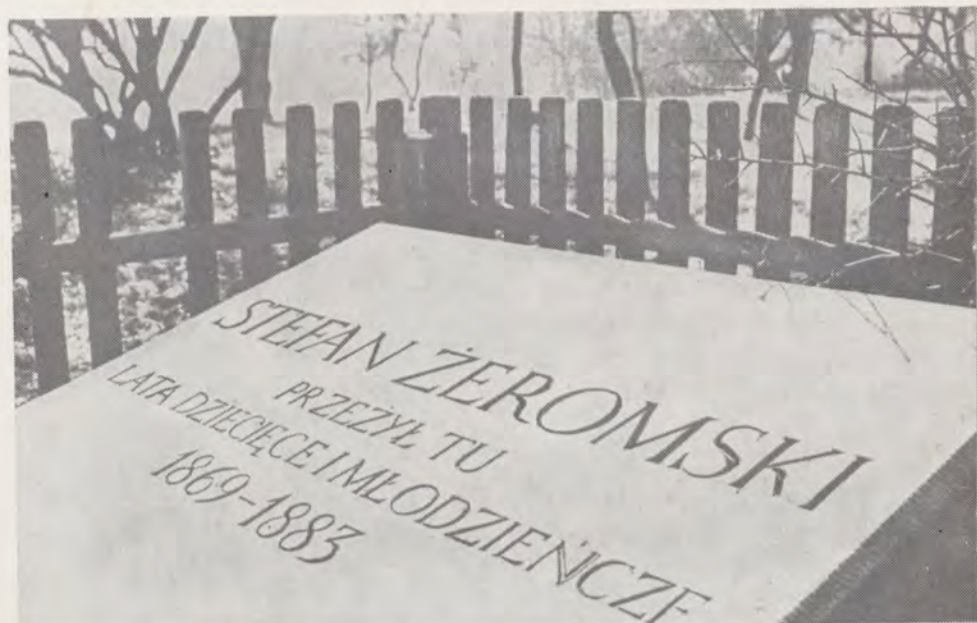
²⁴ Ibid., s. 111.

²⁵ Ibid., s. 110.

²⁶ Ibid., s. 114.



1. Miejsce w Ciekotach, gdzie stał dwór Żeromskich



2. Kamień pamiątkowy w Ciekotach

3. Wincenty Żeromski, ojciec pisarza



4. Strawczyn — miejsce urodzenia pisarza

5. Stefan Żeromski jako uczeń gimnazjum



6. Dolina Wilkowska w Górach Świętokrzyskich

Kilka wspomnień z lat
mojego dzieciństwa.

Urodziłem się dnia 14 października
1864 roku we wsi Strawczynie
z rodziców Wiktoryi i Józefa z Ka-
sarłów. Rodzica moi dzierżawili
wówczas wieś Strawczyn o kołchana-
-cie wprost od Kiele oddaleni. Wier-
szę dzierżawili rodzice do czasu powsta-
nia t.j. do roku 1863 - następnie do
roku 1865, gdyż od tego czasu oj-
ciec zaczął szukać innej dzierżawy
z powodu znacznych strat majątko-
wych, poniesionych w wspomnianych
wyżej latach. Po porozumieniu
w Strawczynie około roku rodzice
przenieśli się do wsi Wola-Kopcewa
także w blizkości Kiele potocznej.
Po przebyciu kilku lat trochę straci-
szy więcej jeszcze na nieintrybnym
tytuł majątku przenieśli się do wsi



9. Dom przy ul. Starowarszawskiej w Kielcach, w którym mieszkał Żeromski w latach szkolnych



10. Widok gimnazjum kieleckiego i gimnazjalnego kościoła od strony podwórza



11. Antoni Gustaw Bem, nauczyciel języka polskiego



12. Jan Strożecki, kolega
szkolny Żeromskiego



13. Jan Wacław Machajski, przyjaciel
i kolega Żeromskiego z lat szkolnych
i warszawskich

14. „Imaginacyjny” portret Hele-
ny z Zeitheimów Radziszewskiej



15. Dwór w Łysowie

16. Stefan Żeromski w latach na-
lęczowskich



17. Oktawia Żeromska w latach
panieńskich



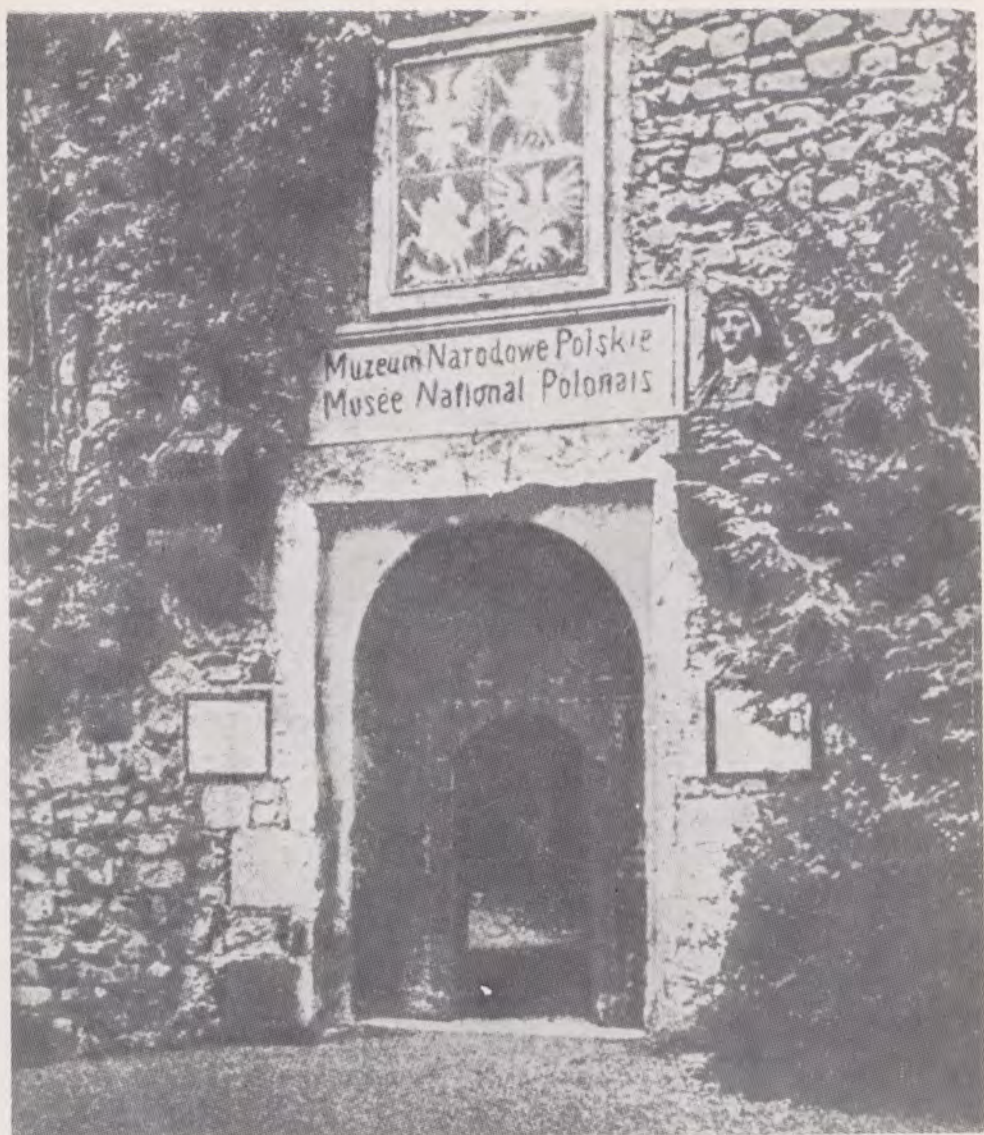
18. Plac ratuszowy w Rapperswilu z widokiem na zamek



19. Stefan Żeromski w okresie rapperswilemskim



20. Oktawia Żeromska



21. Brama Muzeum Narodowego w Rapperswilu

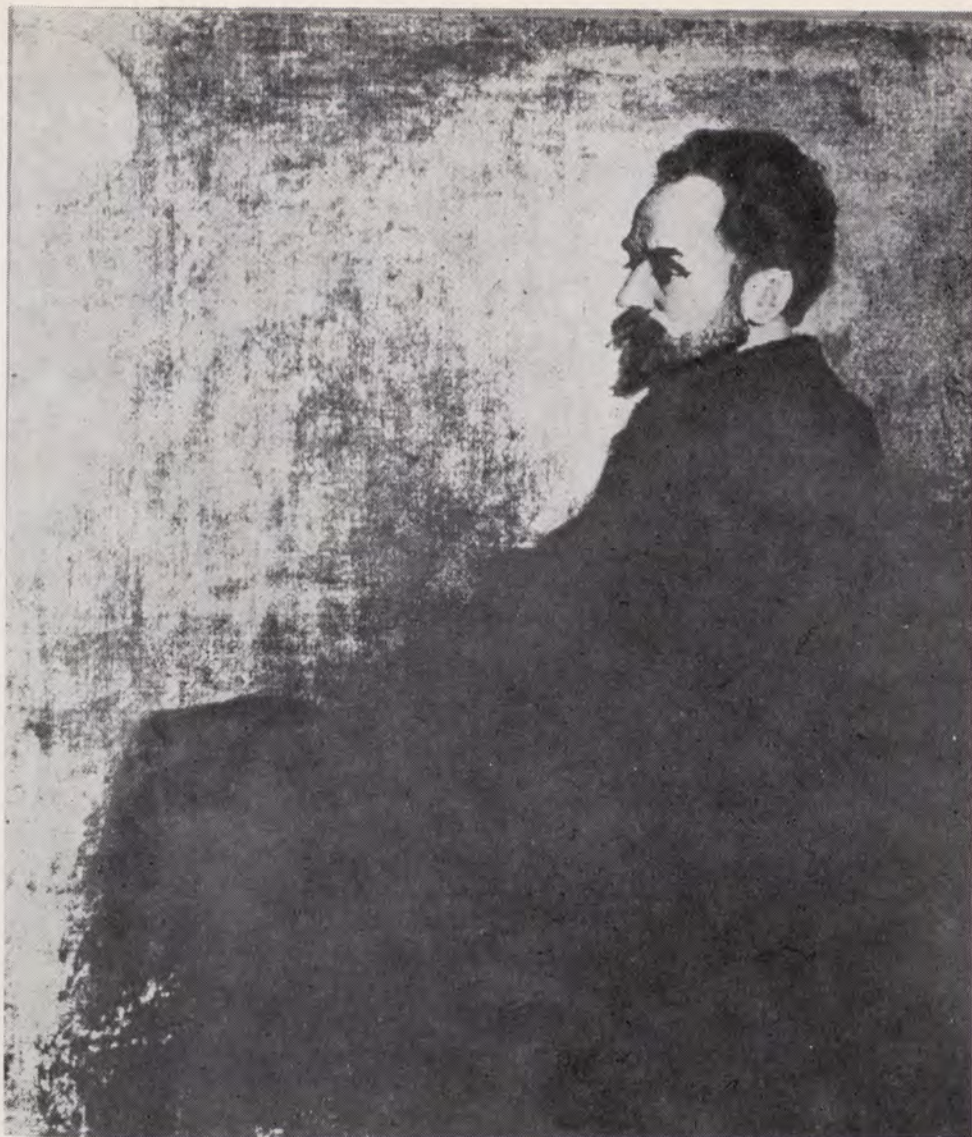
22. Oktawia Żeromska



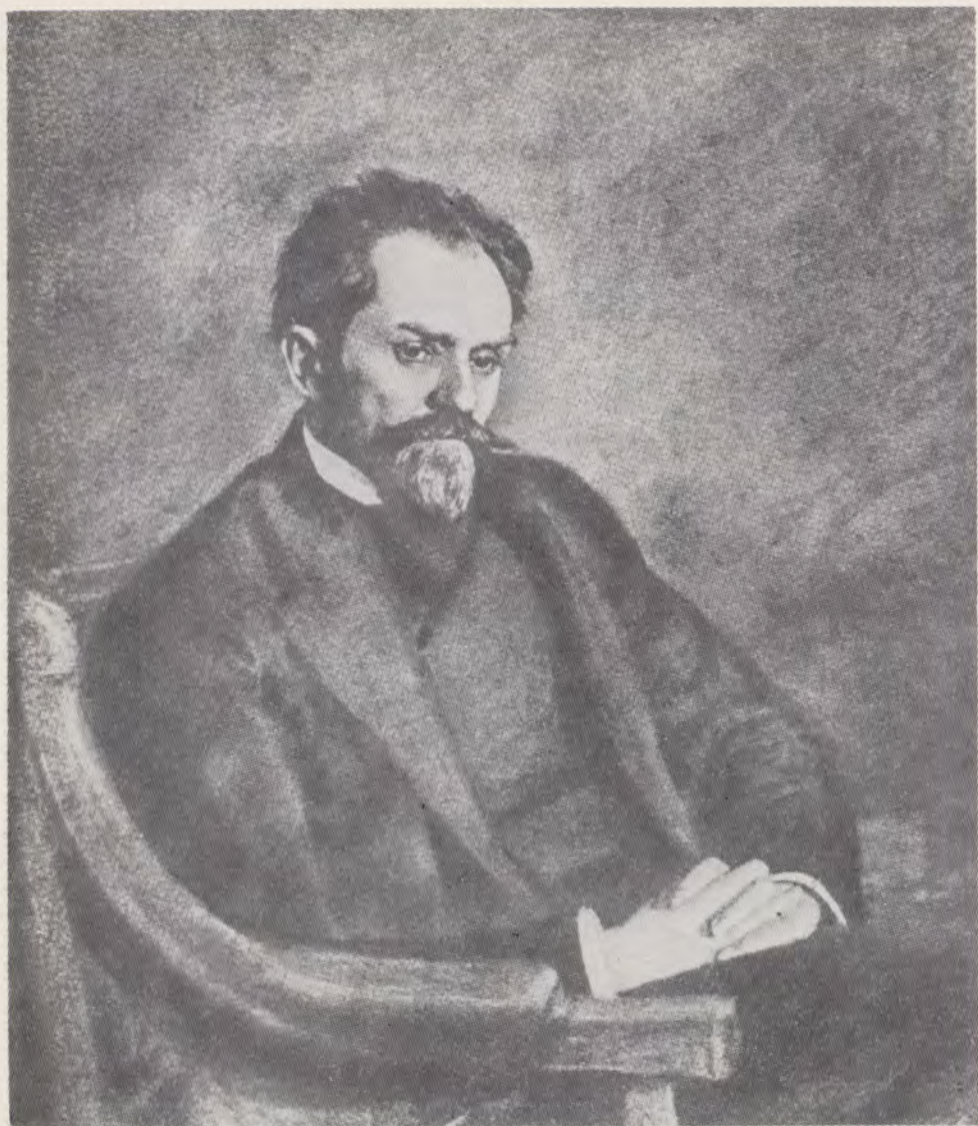
23. Adaś Żeromski



24. Adaś Żeromski



25. Portret Stefana Żeromskiego z 1900 r., mal. Eligiusz Niewiadomski



26. Portret Stefana Żeromskiego, mal. Kazimierz Mordasewicz

nieraz granic jednego miasta, gminy, powiatu, ale wszystkie były sygnałem końca ery rozbiorów.

Żeromski przeżywał wszystkie te tak znamienne i tyle nadziei niosące wydarzenia w wielkim podnieceniu i uniesieniu ducha. Wywalczona i wymodlona niepodległość stała u bram niejako. Pomyślnie, zewsząd napływające wiadomości przytłumiły nawet boleść po stracie syna, co Żeromski odczuwał nieraz ciężko jako dojmujący wyrzut sumienia. W związku z widocznym już upadkiem Austrii również i w Zakopanem poczęto się przygotowywać do przejścia upadłości po administracji zaborczej. Szczególną aktywność w tym zakresie przejawiały koła endeckie. Z początkiem października r. 1918 na polecenie kierownictwa krakowskiego okręgu Narodowej Demokracji utworzono w Zakopanem jako *sui generis* namiastkę lokalnego rządu polskiego tzw. Organizację Narodową, której prezesurę objął Żeromski. Nie podzielając społecznego programu endecji, który nazywał „reakcyjnym”, jako zwolennik koalicji przyjmował i akceptował jej orientację polityczną. Tak więc stał się niemal z godziny na godzinę jakoby „prezydentem” miniaturowej „Rzeczypospolitej Zakopiańskiej”, na jego ręce złożyli ślubowanie wierności wobec Państwa Polskiego miejscowi kierownicy urzędów, wojska, sądownictwa, szkół. On sam oceniał po latach ten osobliwy epizod swojej obywatelskiej biografii raczej z humorem.

Powierzono [mi] — pisał w liście do Tadeusza Łopalewskiego w r. 1925 — niemal „dyktaturę” nad Zakopanem i przyległymi dolinkami. Sprawowałem ten niezapomniany, śmieszny i wzniosły urząd przez jedenaście dni, gdy się mama Austria waliła w gruzy. Zaprzysiągłem uroczyście wojsko, policję, szpiclów, gminę, pocztę i telegraf na wierność nowemu Państwu, a nawet prowadziłem wojnę o odzyskanie wsi Głodówki i Sucha Góra od inwazji czeskiej. Mile wspominam te moje przewagi wojenne i dyktatorskie, gdyż zawierają morze wesela.²⁷

Zimę roku 1918 na 1919 spędził Żeromski z Anną i Moniką w Krakowie. Niezbyt szczęśliwy był to okres. Pisarz chorował na hiszpankę, której epidemia grasowała właśnie wówczas po Europie, mała Monika nabawiła się tyfusu. Na wiosnę cała trójka przeniosła się z powrotem do Zakopanego, do zajmowanej już poprzednio willi „Władysławówka”. Ale ówczesne Zakopane nie okazało się już tym, czym było jeszcze do niedawna. Nowe życie odradzającego się państwa przeniosło się i rozwijało gdzie indziej. Zakopane zaczęło z wolna pustoszeć wracając do pierwotnej swej roli sezonowego letniska. Dla Żeromskich było w latach minionej wojny schronieniem i zbawiennym wzmocnieniem wątłych sił Adasia. Teraz wszystkie te racje odpadały. Zaczął zatem z wolna dojrzywać zamiar wyniesienia się z zakopiańskiego odludzia i osiedlenia na przeciwległych krańcach Polski, nad morzem. Sprawa miała swoje preliminaria już dość dawne. Żeromski jako mieszkaniec zaboru rosyjskiego nie znał Pomorza

²⁷ Zob. Stefan Żeromski, *Kalendarz...*, s. 360.

ani bałtyckiego wybrzeża. Ale interesowały go i pociągały te wiadome mu jedynie z przekazów i studiów historycznych obszary polskie, odcięte od pnia macierzystego linią granic międzyzaborowych. Dowodem tych zainteresowań było już bardzo znamienne zakończenie *Urody życia*. Piotr Rozłucki w tę właśnie nadbałtycką stronę skierowuje swój samolot i pozdrawia z daleka ów kraj nieznanym polskim słowem „Pomorze”. W pierwotnym, nie zaakceptowanym ostatecznie, epilogu opowiadania bohater powieści miał zamieszkać na Helu wśród rybaków kaszubskich i tu wreszcie odnaleźć swoją polską ojczyznę.

Zakończenie *Urody życia* stało się początkiem korespondencji między autorem a Bernardem Chrzanowskim, działaczem społecznym z Poznańskiego, który wydał akurat w owych latach dwie książeczki poświęcone Kaszubszczyźnie i Pomorzu polskiemu: *Na kaszubskim brzegu* (1912), *Z wybrzeża i o wybrzeżu* (1917). Poruszony zakończeniem *Urody życia* Chrzanowski przesłał był Żeromskiemu pierwszą z tych publikacji, za co pisarz podziękował mu serdecznym listem. W r. 1917 Chrzanowski ofiarował mu swą drugą książkę, która zachwycała odbiorcę i utwierdziła w nim od dawna nurtujące jego wyobraźnię zamiary. Gdy w r. 1919 kwestia przeprowadzki z Zakopanego stała się właściwie nagłą i domagała się powzięcia jakiejś ostatecznej decyzji, Żeromski napisał w marcu list do Chrzanowskiego, konkretyzujący już wyraźnie jego zamysły:

Od dziesiątków lat jest moim najgorętszym pragnieniem zapoznanie się gruntownie z wybrzeżem morskim i Półwyspem Helskim, z ludem, mową, obyczajami i całkowitym zakresem tamtejszego życia, co udałoby mi się następnie spożytkować, być może, w sposobie literackim i odtworzeniu artystycznym. Wyjazd czasowy w porze letniej do tych okolic, gdy nadto wybiera się tam obecnie bardzo wiele osób, byłby dla mnie prawie bezcelowy, gdyż nie umiem zbierać dorywczo wiadomości i wrażeń. Musiałbym tę całą ziemię poznać i przeżyć, jak przeżyłem wewnętrznie inne okolice kraju. Toteż pragnąłbym tam zamieszkać, o ile by mi zdrowie i zdrowie córki pozwoliło, na dłużej, a w najlepszych okolicznościach na stałe.²⁸

Podjęte po tym liście starania o nabycie jakiejś posiadłości na własność przy udziale Chrzanowskiego i głównego w tamtych latach plenipotentą interesów pisarza Jakuba Mortkowicza skończyły się niepowodzeniem. Ale zainicjowane wówczas kontakty doprowadziły w przyszłości do regularnych pobytów sezonowych Żeromskiego nad morzem i miały zaowocować obficie w jego twórczości.

W ciągle złudnej nadziei, że przecież uda się zrealizować jego projekty, jesienią r. 1919 zdecydował się Żeromski opuścić na zawsze Zakopane i na razie zatrzymać na nie dający się przewidzieć okres w Warszawie. Zdobycie mieszkania w powojennej, przeludnionej stolicy było prawie niemożliwością. Nie mając żadnego upatrzonego i zagwarantowanego *pied-à-terre*, Żeromski zamieszkał tymczasowo w skromnym pensjonacie

²⁸ Cyt. za: H. Mortkowicz-Olczakowa, *O Stefanie Żeromskim. Ze wspomnień i dokumentów*, Warszawa 1964, s. 325 - 326.

pani Bilińskiej przy ulicy Żurawiej. Powrót znakomitego pisarza do Warszawy pozostał prawie nie zauważony. Czas i okoliczności nie bardzo zresztą jakimkolwiek celebracjom sprzyjały. Były to pierwsze, bardzo niepewne, chwiejne, na pół świadome poruszenia świeżej polskiej wolności, stan chaosu, tak normalny właściwie, gdy rozpadał się w gruzy stary świat, a ten nowy pełen był znaków zapytania. Na wschodzie toczyła się wciąż wojna, Poznańskie i Pomorze wciąż jeszcze były w rękach niemieckich. Pomysł uroczystego powitania znakomitego pisarza narodził się więc nie w jakichś sferach oficjalnych czy wśród uznanych prominentów świata kultury i literatury, lecz w kręgu młodzieży literackiej, która od dawna uwielbiała Żeromskiego widząc w nim swego duchowego i ideowego patrona. Ów powitalny obiad składkowy odbył się w restauracji „Pod Bachusem”, przy udziale przede wszystkim ówczesnych debiutantów i głównych aranżerów imprezy, przyszłych niebawem skamandrytów — Lechonia, Iwaszkiewicza, Słonimskiego i Wierzyńskiego oraz towarzyszących im w roli opiekunów i protektorów kilku starszych przedstawicieli teatru i literatury: Schillera, Bandrowskiego, Irzykowskiego.

Żaden z bankietów mego życia — wspominał po latach tę imprezę Lechoń — nie miał tego nastroju płynącego z głębokiego wzruszenia, z prawdziwego wzniesienia uczuć i myśli [...] Żeromski przyjął nasze zaproszenie z tą właśnie nigdy nie opuszczającą go powagą; jeśli my sami, choć obca nam była przesadna skromność, nie lubiliśmy przez wyostrzone poczucie śmieszności myśleć o sobie poważnie — to już sam sposób, w jaki Żeromski przywitał się z nami, jego wzięcie się w czasie tego bankietu i wreszcie jego mowa jakby nadały nam tę powagę, jakby ją z nas wy dobyły i powiedziały nam, że jesteśmy nie tylko beniaminkami upojonej wolnością Warszawy, ale że mamy być następcami tych, którzy nieraz wśród cierpień i walki pełnili przed nami służbę polskiego pisarza. Kiedy Żeromski podniósł się, aby podziękować za witające go przemówienia, ogarnęło nas wszystkich wzruszenie takie, jakby nagle hetman Żółkiewski wrócił z tamtego świata i miał się do nas odezwać. Ze spuszczoną jak zawsze, kiedy przemawiał, głową, jakby zarazem wstydząc się swej szczerości i bojąc się jej przeszkodzić — powiedział od razu parę zdań, które zdawały się być wyjęte z jego książek, zdań pełnych wstrząsającego liryzmu i wykluczającej wszelką poufałość godności. Zwierzył się nam, że kiedy przed niedawnym czasem dotknął go największy cios jego życia — śmierć ukochanego syna, po której długo nie mógł odnaleźć poczucia wagi swych wysiłków i sensu życia — wpadł mu w rękę świeżo wyszły z druku, przysłany mu z Warszawy zbiór wierszy młodego poety, właśnie jednego z nas obecnych na tej sali. Te wiersze przeczytane jednym tchem pozwoliły mu po raz pierwszy zapomnieć o jego żalobie, połączyły go znów z tą młodocianością, której pozbawiła go śmierć Adasia [...] Było tylko jeszcze potem parę zdań tej mowy — ale wszystkie padły w nasze milczenie jak jakieś ważne objawienie, bo człowiek, który je wypowiadał, mówił zawsze tylko prawdę i tylko to, co czuł głęboko. Później Żeromski — z powagą władcy udzielającego najwyższego odznaczenia — wznosił toast na cześć poezji i w tej chwili poculiśmy wszyscy, że weszliśmy naprawdę i uroczyście do literatury.²⁹

²⁹ J. Lechoń, *Bankiet „Pod Bachusem”*, [w:] *Wspomnienia o Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1961, s. 238 - 239.

Rozdział VIII

W BRZASKU NIEPODLEGŁOŚCI

W dniu 28 sierpnia 1915 r., w ramach wykładów organizowanych w Zakopanem przez profesora Franciszka Bujaka na temat „zadań i potrzeb gospodarczych” nowej, wyłaniającej się z pożogi wojennej rzeczywistości narodowej, wygłosił Żeromski odczyt zatytułowany *Literatura a życie polskie*. Tekst ten wydrukowany został niebawem w „Kurierze Lwowskim”, a następnie w zbiorze utworów literacko-publicystycznych *Sen o szpadzie i sen o chlebie* (1916). Odczyt był jak gdyby spowiedzią z najskrytszych, od dawna domagających się wyrazu i urzeczywistnienia myśli i marzeń prelegenta na temat zadań, zakresu działania i generalnego stanowiska literatury w Polsce niepodległej, w której niechybnie przyjęście niezłomnie wierzył. Zakładał więc w tym odczycie, że w tej wielkiej godzinie, tak od dawna wyczekiwanej, dokona się zarazem wyzwolenie twórczości. Po wiek z górą trwającej twardej i ciężkiej służbie pisarz narodu niepodległego będzie mógł wreszcie swobodnie wyprostować ramiona, odrzucić jarzmo powinności społecznej i poświęcić się wyłącznie swemu artystycznemu powołaniu, według woli, zamysłu i zachcenia własnego.

Kiedy pamiętnej jesieni r. 1918 ów sen i „romans poetów”, Polska Odrodzona, stały się rzeczywistością i niepodległe państwo zaczęło z wolna dźwigać się ku wolnemu życiu, tamte, śmiałe marzenia czasu wojny okazały się na przekór nadziejom i oczekiwaniu wielkim złudzeniem. Położenie odradzającego się państwa było dramatycznie skomplikowane, nie ustalone i niepewne były nawet jego granice. Gdy na całym prawie obszarze świata nastąpił pokój, tu długo jeszcze świecić miały po nocach łuny pożarów. Wojna polsko-ukraińska o Lwów i Galicję wschodnią, zatargi z Czechami o Cieszyn, Spisz i Orawę, walki z Niemcami na rubieżach zachodnich, plebiscyty na Śląsku, Warmii i Mazurach, wojna na wschodzie, tocząca się bez wytchnienia przez dwa z górą lata od momentu proklamowania niepodległości państwowej — stwarzały stan śmiertelnego zagrożenia, wyczerpywały ostatnie istniejące jeszcze cudem rezer-

wy duchowe i materialne. Polska rozpoczynała swoje niepodległe istnienie bez pieniędzy, bez wojska, zrujnowana ekonomicznie przez zaborców i okupantów, którzy opuszczając tereny polskie zostawili je w stanie całkowitego spustoszenia i ogołocenia z wszelkich materialnych i technicznych zasobów. Trwanie narodu przez wiek z górą w trójzaborowym rozdzieleniu wydało teraz dopiero swe trujące owoce. To, co tłumiała dotychczas i niejako przesłaniała solidarność w poniżeniu niewoli, teraz wynurzyło się z mroków na powierzchnię. Odmienne warunki wiekowego bytowania wyłobily głębokie bruzdy i ślady w ludzkiej świadomości, zasiewając w niej nieufność i niechęć do „obcych”, co tym samym, polskim mówili językiem. Ujawniły się przerażające egoizmy i przeciwieństwa dzielnicowe, jakieś groźne dla spoistości państwa objawy ksenofobii i separowania się w imię najfatalniej pojętej regionalnej wspólnoty. Złączyć w naród to zbiorowisko ludzkie, nieświadome śmiertelnego schorzenia, jakim je obdarowała perfidia wrogów, dźwignąć z ruin zamarle życie, dać milionom bezdomnych i wegetujących od wieków w poniżeniu i nędzy pracę i chleb powszedni, ocalić i podeprzeć skutecznie wciąż niepewne i chwiejące się ściany domu ojczyzny — oto kolosalne zadanie, które wymagało wyjątkowo zgodnego zespolenia wszystkiej woli zbiorowej, wszystkich uczuć i energii społecznej. Pisarz o tak czujnie reagującym sumieniu obywatelskim, jak Żeromski, nie mógł nie usłuchać tego naglącego wezwania. W jego własnej twórczości nie miało nigdy się spełnić tamto przelotne, uśmiechnięte marzenie.

Pierwsze lata niepodległości okazały się w życiu Żeromskiego okresem szczególnego przypływu i spotęgowania energii twórczej. Przeprowadzka z Zakopanego przeniosła go w samo centrum życia politycznego i kulturalnego organizującego się państwa. Włączył się z miejsca w bieg spraw aktualnych, jakimi żył ówczesnie dzień powszedni narodu, dźwigającego się z największym trudem z ruin wojny i stuletniej niewoli. Na wschodzie toczyły się nadal zmagania o bezpieczne i sprawiedliwe granice, w kraju panoszyła się powojenna bieda, głód, bezrobocie; ale były też warstwy, które na tych bezmiarach ludzkiej niedoli zbijały kapitał i bogactwo — „świat — jak go określał Żeromski — paskarzów, zubożonej hołoty, świat chamów w drogich futrach i kortach, świat motłochu w znakomitej, bezcennej bieliźnie i obuwiu”¹. Ten świat spekulantów i kombinatorów, zubożonych nuworyszów i nienasyconych w chciwości chłopów, żerujących na nędzy zbiedzonych i wygłodniałych miast, krył się ze swym bezczelnym dostatkiem za frontem walczącego żołnierza, kiepsko na ogół odzianego i wyposażonego. Zimą r. 1919 wszczęto w całej Polsce powszechną akcję zbiórki ciepłej odzieży dla wojska. Żeromski poparł ją odezwą pt. *O odzież ciepłą dla żołnierza*, opublikowaną w dniu 20 listopa-

¹ S. Żeromski, *Elegie...*, s. 239.

da w „Kurierze Warszawskim” i przedrukowaną następnie w wielu innych dziennikach pozawarszawskich. W odezwie tej można było przeczytać m.in., że:

W dniach 22, 23, 24 i 25 listopada odbędzie się zbiórka ciepłej odzieży dla polskiego żołnierza. Skaut polski, młodzieniec, w którego nieskażonym sercu zamknięta jest Polska przyszła, istotna, wywalczona przez bohaterów i wyśpiewana przez poetów, przyjdzie w poselstwie od żołnierzy do domu obywateli — po ciepłą odzież. W progu nędzarzy nie pewnie nie uźbrze, z izb inteligencji zawodowej wyniesie przedostatnią koszulę. Toteż niech ten poseł od skostniałych żołnierzy w zimnym polu kołace do drzwi bogaczy, niech w nie wali, jak groźny, pozywający zwiastun, niech nie błaga, lecz żąda, niech patrzy z grozą w zimne oczy i niech tym spojrzaniem sięga do kamiennego serca.²

Za tymi interwencjami pisarskimi szło czynne, osobiste angażowanie się w działalność patriotyczno-społeczną. Późną wiosną r. 1920 w związku ze zbliżającą się datą plebiscytu, który miał przesądzić przynależność Warmii i Mazur do Polski lub Niemiec, wziął Żeromski udział w agitacji plebiscytowej, objeżdżając wraz z Janem Kasprowiczem i Władysławem Kozickim, profesorem historii sztuki Uniwersytetu Lwowskiego, objęte głosowaniem powiaty kwidzyński, sztumski, iławski i malborski. Efektem pisarskim tej wyprawy był reportaż, opublikowany w czerwcowych numerach warszawskiego dziennika „Rzeczpospolita” i przedrukowany następnie w broszurze *Inter arma* (1920) pt. *Ilawa—Kwidzyń—Malbork*. Reportaż był literackim sprawozdaniem z wrażeń wyniesionych z owej osobliwej wędrówki po tych wyspach i enklawach polskości, broniących poprzez wieki swego istnienia wśród zalewu agresywnej i potężnej niemieczyny. Autor kończył ten swój zwiad apelem, aby wszystko uczynić dla utrzymania tego ludu przy Polsce. „Biada nam po tysiącokroć, jeśli w tej straszliwej godzinie nie okazemy się narodem świadomym swego celu i sensu swego życia [...] jeśli teraz opuścimy Mazurów i zaprzędamy w niemiecką niewolę braci spod Kwidzyna i Sztumu [...]”³.

Lato r. 1920 spędzał pisarz w Orłowie. Zamieszkał w domku rybackim u stóp wzgórza redłowskiego, tuż przy ujściu małej rzeczulki do zatoki i przy ponemieckim kurhauzie, w którym się wiktował. Towarzyszył mu w tym odpoczynku wakacyjnym młody poeta Leszek Serafinowicz (Jan Lechoń), którego poznał był jeszcze w czasie pobytu w Zakopanem. Młody poeta przeżywał jeden z owych trudnych momentów, które miały się położyć mrocznym cieniem na jego tragicznym życiu. Po na szczęście nieudanym zamachu samobójczym i po kuracji w zakładzie psychiatrycznym doktora Piltza w Krakowie oddano go niejako pod opiekę starszego pana, który zawsze miał wiele zrozumienia i szczególnej przyjaźni dla każdej, zwłaszcza utalentowanej młodości. W ciągu kilku tygodni codziennego, bliskiego obcowania miał więc Lechoń sposobność podpatrzenia niejako

² Ibid., s. 239 - 240.

³ S. Żeromski, *Inter arma*, [w:] *Bicze z piasku*, s. 46.

pewnych tajemnic osobowości Żeromskiego i pisarskiego geniuszu. Pogoda nad tym kapryśnym polskim morzem nie zawsze owego lata dopisywała. Gdy przychodziły dni szarugi, deszczu i wichrów, warszawiak z krwi i kości, przywykły do atrakcji wielkiego miasta, nudził się po prostu i gotów był ponownie popaść w owe stany depresji, z których się wydobyl dopiero co z tak wielkim trudem. Tymczasem Żeromski nawet w najczarniejszą, przygnębiającą niepogodę zdawał się być najwyraźniej szczęśliwy i zupełnie nieporuszony, tak iż „pomyśleć można było chwilami, że ta szaruga, zawieja i łomot morza jest to jak gdyby przychylny mu żywioł, spokrewniony z nim i mówiący szczególnie zrozumiałą dla niego mową [...], patrzył” w nie „zamyślonym, prawie łzami zasnutym wzrokiem, jakby chciał nim przeniknąć tajemnicę pośpiechu tych chmur, pędzących po niebie, melancholii jesiennego deszczu i wiecznych odpływów i przyływów morza”⁴.

Wtedy właśnie, w owych momentach szczególnych, objawiała się jak gdyby młodziutkiemu poecie istota wyjątkowej i nieporównywalnej z kimkolwiek pozycji tego człowieka w życiu swego narodu⁵. Szukając najprawdziwszej formuły, w której można by zamknąć tę tajemnicę Żeromskiego, Lechoń przywoływał wspomnienie pewnego dnia pogodnego, gdy po długiej wędrówce wyszli obaj na redłowskie wzgórze, skąd otworzył się przed nimi szeroki i nieskończony bezmiar wyjątkowo w tym dniu błękitnego jak Adriatyk morza.

Nie było wokół nas nikogo, poza krzykiem mew nie dochodziły nas żadne głosy z dołu czy z góry; staliśmy sami twarz w twarz z bezmierną pięknnością świata, na jednym z najpiękniejszych, cudem po stuletniej niewoli odzyskanym brzegu naszej ziemi.

Instynktem, który odkrył mi cały sens przeżywanej przeze mnie chwili — zwróciłem oczy na Żeromskiego, stojącego obok mnie i wpatzonego w ten widok o pięknie tak potężnym i o tak wstrząsającej dla Polaka wymowie.

Wszystko, czego nas uczyły i czym czarowały jego książki: synowskie uwielbienie ziemi, czucie zmysłowe jej uroków i tajemnic, świadomość rządzącego zarówno naturą, jak nami prawa rodzenia się i śmierci, ból i palący wstyd niewoli, przepelniające duszę szczęście odzyskanej wolności — wszystko to zdawało się zawierać we wzroku, którym Żeromski ogarniał ukwieconą, szumiącą lasem i jak owa Reduta Ordoną bodzącą morze swym wyniosłym brzegiem granicę naszego kraju [...] Żeromski stał na tej bałtyckiej skarpie jak Mojżesz na górze Synaj albo raczej jak Mojżesz, któremu u schyłku życia pozwolone było wejść do ziemi obiecanej. Był on ostatnim z wielkich proroków, z wielkich wajdelotów, wielkich harfiarzy, którzy pieśnią swą zagrzewali naród do walki i powracali wolę życia umierającym z ran i z rozpacz. Poza biblijną Judeję — tylko jeden naród, tak samo jak naród izraelski wybrany do męczeństwa i cierpienia, tylko nasz naród polski miał tych nieznanach Zachodowi, nieznanach innym, potężniejszym narodom poetów-wieszczbiarzy i proroków, którzy wzgardziwszy własnym szczęściem połączyli się z duszą narodową

⁴ J. Lechoń, *W Orłowie*, [w:] *Wspomnienia o Stefanie Żeromskim*, s. 229.

⁵ Zob. A. Hutnikiewicz, *Żeromski — Lechoń* [w:] *O Stefanie Żeromskim. Materiały z sesji naukowej, Kielce 14 - 16 październik 1974*, Kraków 1976, s. 127 - 141.

i zdobywszy w ten sposób innym ludziom niedostępną władzę — siłą jej odmięli serca i odkrywali zdarzenia przyszłości. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i Wyspiański byli takimi prorokami, takimi wodzami, słuchanymi przez naród bardziej niż przywódcy polityczni i dowódcy wojskowi. Żeromski był ostatnim z nich i jemu jednemu dane było ujrzeć to, o czym daremnie marzyli tamci, co wypatrywali gasnącym wzrokiem Mickiewicz, ginący od straszliwej zarazy w Stambule, i Słowacki, umierający w biednej paryskiej izbie. Zobaczył on Warszawę wolną, wskrzeszone wojsko polskie i po stu latach rozdarcia dzielnice polskie połączone znów ze sobą aż po ów brzeg, na którym stałem z nim wtedy, a który wydawał się Polakom w niewoli kresem, wypełnieniem wszystkich ich marzeń o wolności.⁶

To lato r. 1920 było szczególnie, pod ciszą pozorną wakacyjnego odpoczynku taił się dręczący niepokój, z daleka docierały w to nadmorskie odludzie odgłosy zdarzeń, których rozwój i bieg mógł zadecydować o wszystkim. Wojna na wschodzie weszła w stadium krytyczne. Po pierwszych sukcesach polskich we wiosennej ofensywie na Ukrainie obróciła się karta losu. Nadeszły tygodnie nie ustającego odwrotu. Rozpoczął się historyczny, według określenia głównodowodzącego wojsk Armii Czerwonej, późniejszego marszałka Tuchaczewskiego, „pochód za Wisłę”, który miał się zakończyć zwycięstwem rewolucji nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. W połowie sierpnia kraj i państwo znalazły się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia. Wojska Tuchaczewskiego stanęły u bram Warszawy, a część jego oddziałów podeszła pod Włocławek i Płock z zamiarem przeprowadzenia się w tych miejscach przez Wisłę i obejścia stolicy od zachodu. Historyczne cele sierpniowego pochodu Armii Czerwonej przekreślone jednak zostały strategicznym manewrem Piłsudskiego, który zgromadziwszy nad Wieprzem silną armię uderzeniową zaatakował lewą flankę wojsk sowieckich zaangażowanych pod Warszawą, zmuszając je do pośpiesznego odwrotu. Wielka bitwa nad Niemnem przypieczętowała ostatecznie zwycięstwo.

Żeromski obserwował wszystkie te dramatyczne zmagania zrazu z wybrzeża, później z Warszawy, do której wrócił w pierwszych dniach sierpnia. Gdy burza wojenna przeminęła i odeszła na wschód, zgodnie z powszechną wówczas praktyką bezpośredniego udziału pisarzy i artystów w różnych akcjach propagandowych, służących mobilizowaniu opinii na rzecz celów zbiorowych, z końcem sierpnia udał się Żeromski z ekipą dziennikarską w roli korespondenta wojennego na tereny niedawnych zmagania bitewnych. W skład tej reporterskiej ekipy wchodził ponadto: znakomity artysta malarz, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Ferdynand Ruszczyk oraz krytyk i dramatopisarz Adam Grzymała-Siedlecki. Po wielu kłopotach z samochodem, nie przystosowanym do pokonywania bezdroży zniszczonego przez wojnę kraju, wśród ulewnego deszczu szczupła ta gromadka dotarła wreszcie do nadbużańskiego Wyszki, gdzie dla odpoczynku i jakiegoś takiego ogarnięcia się po fatalnej

⁶ J. Lechoń, op. cit., s. 230 - 231.

podróży zatrzymała się w miejscowym probostwie. Na gościnnej plebanii księdza kanonika Mieczkowskiego przebywali akurat generał Józef Hal-ler oraz ambasador francuski w Polsce Jusserand. Przedmiotem ożywio-nej tego wieczoru rozmowy wszystkich obecnych i przybyłych stał się niedawny pobyt na tej właśnie plebanii niedosłego „rządu polskiego”, podążającego w odwodach armii Tuchaczewskiego i gotującego się do ob-jęcia władzy w Warszawie po zdobyciu stolicy, w osobach Juliana Mar-chlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i Feliksa Kona. Dwu z nich poznał był ongiś Żeromski osobiście. Przed wielu laty w Raperswilu przyjmował i obsługiwał jako bibliotekarz Różę Luxemburg i Marchlewskiego, póź-niejszego swego wydawcę w Niemczech; Feliksa Kona widywał jako jed-nego z sędziów na procesie Brzozowskiego w Krakowie.

Owocem owych rozmów prowadzonych w gościnnym domu księdza Mieczkowskiego był reportaż *Na probostwie w Wyszkanie*, opublikowa-ny niebawem w zbiorze *Inter arma*. Reportaż był w istocie sumą refleksji, związanych z niedawnymi wydarzeniami i z rolą w tych wydarzeniach owych trzech postaci, po których jako jedyny ślad ich obecności niedaw-nej pozostał biały cukier kostkowy, wartość bezcenna w ciężkich czasach wojennych. Potępiając ich rolę i odmawiając im prawa do polskości wskazywał zarazem autor na grzech pierworodny samych Polaków, któ-rzy w lenistwie ducha nie zdobyli się u progu swej niepodległości pań-stwowej na jakiś akt wielkoduszny, ustanawiający w tym państwie prawo wyższe, doskonalsze, sprawiedliwsze, mądrzejsze niż gdziekolwiek, „po-nad śnieg bielsze”. Po wywalczonym zwycięstwie wzywał do pracy: „Sierpniowa burza, która swymi piorunami strzaskała tyle głów juna-ckich, oślepiła na wieki tyle oczu harcerskich, w jamę mogiły pchnęła tyle bohaterskiej energii, musi oczyścić nasze powietrze, zatrute wyzie-waniami podłości. Po okrzyku — do broni! — gdy pokój stanie, powinien się rozlegać od krańca do krańca okrzyk równie skuteczny, jak tamten: — do pracy!”⁷. Kończył zaś ten swój niezwykle reportaż, raczej apel, wezwanie i pouczenie, apostrofą do zwycięskiej, bohaterskiej młodości. „Złoty róg Polski trzyma w rękę z przepotężnej swej siły młode narodu pokolenie. I zadmie weń lada dzień, lada godzina pobudkę nową, nową pieśń życia, od której rozradują się kości pradziadów, dziadów i ojców, rozraduje się młoda krew, co za tej burzy sierpniowej spłynęła z ran w biedną polską ziemię”⁸.

Silne zaangażowanie w bieg spraw aktualnych pobudzało Żeromskie-go w tych latach do nieustannego myślenia o sprawach Rzeczypospolitej i nagliło jak gdyby do skodyfikowania owych myśli w jakiś quasi-system poglądów, który miałby być wkładem jego własnym w ogólnonarodową dyskusję na temat kształtu ustrojowego odradzającej się i tworzącej do-

⁷ *Inter arma*, s. 68 - 69.

⁸ *Ibid.*, s. 70.

piero Polski. Rozwinęła się więc w tym czasie, jak nigdy przedtem, publicystyka polityczno-społeczna Żeromskiego, przynosząc obok wielu enuncjacji przygodnych: odezw, apelów, listów otwartych, odpowiedzi na najrozmaitsze ankiety, dwa własne pisma o dość szerokim rezonansie społecznym: *Początek świata pracy* (1918) oraz *Organizację inteligencji zawodowej* (1919). Oba uznał sam autor i określił jako „wyciąg ideowy z pism życia”. Przeglądając je starannie pilny czytelnik Żeromskiego mógł istotnie odnaleźć w tych broszurach zestawienie idei spotykanych już dawniej nie tylko w okazjonalnych wypowiedziach pisarza, ale i w formie zbeletryzowanej narracji w jego opowiadaniach i powieściach. Odzywały się w nich echa kooperacyjnych pomysłów Abramowskiego, syndykalistycznych koncepcji George'a Sorela, na poły utopijne marzenia wywiedzione jeszcze z natchnień Wielkiej Emigracji polistopadowej i Mickiewicza. Wszystkie te „praktyczne” wskazania przenikał jak zawsze u pisarza romantyczny idealizm, odwołujący się do najlepszych i najszlachetniejszych odruchów duszy ludzkiej i na tym wielkim nakazie nieustannego dźwigania się ku światłu i ku miłości dobra wspierający całą resztę szczegółowych i konkretnych zaleceń. Inspiracją owych zaleceń była tkwiąca od lat u podłoża myśli społecznej Żeromskiego wiara w istnienie dusz wybranych w narodzie i jego niezłomne przekonanie, że ich własnowolne, bohaterskie wyrzeczenie się przywilejów, dóbr, bogactw i mienia pociągnie świętą siłą przykładu rzesze naśladowców, stając się zaczątkiem wielkiej, polskiej rewolucji „z ducha”.

Obie broszury spotkały się w opinii społecznej i publicystyce ówczesnej z przyjęciem żywym, acz nie jednomyślnym. Ogólną intencję oceniano bardzo wysoko jako jeszcze jeden wzruszający przykład szlachetnego marzenia. Podkreślano siłę moralną wezwań i projektów pisarza, które niezależnie od tego, czy nadają się czy też nie do praktycznej realizacji, zachowują przecież zawsze moc zapładniającą i pobudzającą, tak cenną u początku nowej epoki. Ze szczególnym uznaniem spotkało się wysokie wyniesienie przez Żeromskiego wartości pracy, natomiast szczegółowe projekty reform i rozwiązań wydały się wątpliwe i dyskusyjne. Pisarz może być nauczycielem i moralistą, to jeden z jego przywilejów, ale wymyślanie programów to nie jego dziedzina. Aprobowano upomnienie się pisarza o prawa i o naprawę krzywd inteligencji jako warstwy wyjątkowo dotkniętej przez skutki wojny i najsilniej w wyniku powojennych perturbacji ekonomicznych spauperyzowanej, ale kwestionowano, szczególnie lewica, wyznaczanie inteligencji jakowejś roli przodującej i społecznie przywódczej. Nie zadowolili więc Żeromski nikogo. Prawica nadal go podejrzewała o sympatie socjalistyczne, lewica zarzucała mu inteligenckie uzurpacje i naiwną utopijność poglądów.

Gdy publicystyczne wskazania i pouczenia rozmięły się na ogół z rzeczywistością bez konkretnych konsekwencji i następstw, sięgał Żeromski — zawsze wierny pierwotnemu mniemaniu i najgłębszemu przeświadcze-

niu, że literatura jest służbą — po instrument oddziaływania, który wy-
dawał mu się zawsze bodaj najdoskonalszym, najbardziej niezawodnym,
do którego przymierzał się już dawniej niejednokrotnie, bez szczególnego
jednakże powodzenia. Tym instrumentem był teatr.

Wcześniejsze dramaty Żeromskiego, młodzieńczy *Grzech*, późniejsze
Róża i *Sułkowski*, spotykały się nieodmiennie właściwie z przyjęciem ra-
czej chłodnym i powściągliwym. *Grzech*, wysłany przed ćwierćwieczem
na konkurs „Kuriera Warszawskiego”, nie doczekał się o sobie choćby
i wzmianki, a zniechęcony autor ogłosiwszy zaledwie I akt dramatu
w książce jubileuszowej Świętochowskiego, skazał go następnie na wiecz-
ne zapomnienie. *Róża* była dramatem wybitnie niescenicznym, *Sułkowski*
z wielkimi kłopotami reżyserskimi dawał się zaadaptować do wymagań
teatru. Po wielu długich staraniach wystawiony ostatecznie w r. 1917
przez Teatr Polski w Warszawie, a w r. 1919 przez Teatr Miejski we Lwo-
wie, przyjęty został jako twór „wielkiego poety — nie dramaturga”⁹.
Autor nie bardzo sobie radzący z kompozycją powieści, tym więcej miał
kłopotów z rygorami dramatu, których niepodobna wyminąć. Nie umiał
zmieścić się w granicach strawnych dla sceny, poszczególne wątki treś-
ciowe, traktowane lirycznie lub po epicku, rozrastały się w dłużyzny,
ujęte w formę monologów. W ich potopie gubił się i zatracił doszczętnie
nerw dramatyczny. Zamiast akcji scenicznej o żywej, frapującej intry-
dze, przestrzeń teatralną wypełniały obrazy luźno z sobą związane i za-
stygłe w bezruchu.

Mając pełną świadomość tych niedostatków Żeromski zwykł był jed-
nak wyrażać się z sarkastycznym przekąsem o znanych nie od dziś ze
swych osobliwych i wygórowanych wymagań tzw. krytykach i recen-
zentach warszawskich, co to zawsze wszystko — ledzą najlepiej. Nie pod-
dając się rezygnacji usiłował nadal z uporem pokonywać owe przeszkody,
utrudniające mu trwalsze zadomowienie się w nęcącym nieustannie kró-
lestwie złudy. W warunkach wolnego państwa dostęp do widowni był na
pewno łatwiejszy niż pod kuratelą rosyjską. Teatr gwarantował szybkie
i doraźne oddziaływanie, a w okresie szczególnego angażowania się
w sprawy publiczne Żeromski-społecznik do bezpośredniego kontaktu
i wpływu na bieg rzeczy, na świadomość i postawy widowni teatralnej
przywiązywał wielkie znaczenie. Właśnie w owych pierwszych miesią-
cach niepodległości, po powrocie z rosyjskiego wygnania, montował
w Warszawie swą „Redutę” Juliusz Osterwa. Osterwę i jego żonę Wandę
Malinowską znał Żeromski jeszcze z towarzyskich kontaktów nałęczow-
skich. Teraz miał się stać pierwszym autorem tego eksperymentalnego
teatru. Na jego otwarcie wystawiony został w dniu 29 listopada 1919 r.
nowy dramat pisarza: *Ponad śnieg bielszym się stanę*. Tekst sztuki, wy-
drukowany w roku następnym nakładem Instytutu Wydawniczego „Bi-

⁹ W. Zawistowski, „Pro arte et Studio” 1917, z. 8.

blioteka Polska" w Warszawie, dedykowany został „Panu Juliuszowi Osterwie, niezrównanemu artyście i reżyserowi”.

Wystawienie dramatu stało się wydarzeniem niezależnie od jego rzeczywistej artystycznej wartości. Przedstawienie potraktowano jako eksperyment, gdyż po raz pierwszy zastosował Osterwa w tym spektaklu podpatrzoną w Rosji metodę Stanisławskiego. Inscenizację przygotowali bardzo starannie i po wielokrotnych próbach, obok głównego reżysera, profesor Mieczysław Limanowski, drugi filar „Reduty”, oraz Andrzej Pronaszko jako twórca oprawy dekoracyjnej. Nad całością czuwał sam autor. Obsada aktorska była świetna: Osterwa, Siemaszkowa, jedna z największych artystek tamtej epoki, Wanda Osterwina o ślicznej, egzotycznej urodzie. Widzów zdumiała sama zewnętrzna forma prezentacji dramatu: niewielka sala i bliskość aktorów, „którzy występowali nie na «deskach scenicznych», ale bez podwyższenia, wprost na podłodze”. Nie zastanawiano się jednak nad oceną i nad określeniem zjawiska, poddawano się „idącej ze sceny grozie”¹⁰.

Powodzenie teatralne dramatu było olbrzymie, ale triumf był w istocie pozorny. O sukcesie zadecydowała bezpośrednia, doraźna aktualność sztuki, ideowa i polityczna. Na wschodnich rubieżach toczyła się nieustannie wojna. Była to konfrontacja nie tylko militarna, ale i konfrontacja dwu odmiennych światów i dwu idei. Dramat w zamiarze Żeromskiego był teatralną próbą przedstawienia owej właśnie „idei polskiej” jako alternatywy rewolucyjnego eksperymentu rosyjskiego. W ten wątek ideowy wplątano romansową awanturę, oscylującą między grecką tragedią a współczesnym melodramatem. Stopień wartości bardzo różnych i sprzecznych nie wyszło dramatowi na dobre. Władysław Rabski, krytyk teatralny „Kurier Warszawski”, dostrzegł w tym nowym objawieniu scenicznym Żeromskiego wszystkie stare tony indywidualności pisarskiej autora: tę samą mesjaniczną wiarę w posłannictwo Polski, to samo wglębianie się w duszę narodową, tę samą dostojewszczyznę, tę samą melodramatyczność, ten sam bezbrzeżny smutek i „przenajgłębszy liryzm”, i „bunt przeciw krzywdzie społecznej”, i „kult osobistego heroizmu” — tylko ów „fatalistyczny piorun matczynego przekleństwa” był czymś nowym, lecz jednocześnie chybionym. „Słyszymy grom — pisał Rabski — lecz nie widzimy żywiołu, z którego rodzi się kłątwa. Jakby ukryta za kulisami rakietą wskoczyła na scenę. Jakby kumoszka z komedii francuskiej przemówiła nagle głosem Rozy Wenedy”¹¹.

Zarzucono dramatowi zewnętrzność rozwiązań nie dość przekonująco osadzonych w przebiegu zdarzeń dramatycznych. „Idea utworu — pisał Boy — nie bije ku nam ze sceny; raczej wylania się z wolna pod

¹⁰ J. Hennelowa, J. Szaniawski, *Juliusz Osterwa*, Warszawa 1956, s. 52; J. Szaniawski, *Reduta*, [w:] *W pobliżu teatru*, Kraków 1956, s. 185 - 186.

¹¹ W. Rabski, „Kurier Warszawski” 1919, nr 332.

wplywem drobiazgowej analizy intencji autora. Bezpośrednie wrażenie, jakie się odbiera [...] jest dziwnie rozbieżne i chaotyczne”¹². Wskazywano na gatunkową hybrydyczność całości, w której każdy akt był jakby wzięty z innej sztuki: pierwszy to nieomal tragedia w stylu starogreckim, drugi to melodramat mieszczański z ducha Sardou czy Zapolskiej, trzeci to udratyzowana publicystyka, w której rozwiązanie konfliktu dokonuje się jedynie poprzez dialektykę werbalną. „W dramacie Żeromskiego — pisał Emil Breiter — idea jest *deus ex machina* i dlatego chociaż ją akceptujemy, nie możemy jej teatralnie przyklasnąć”¹³.

Mimo tylu istotnych zastrzeżeń rok 1920 rozpoczął się dla Żeromskiego dalszymi sukcesami dramatu *Ponad śnieg...*, który wystawiły kolejno teatry Krakowa, Lublina, Wilna, Lwowa, Poznania, ubiegały się o prawo do eksploatacji teatralnej amatorskie zespoły w Tarnobrzegu, Sandomierzu i Mielcu, na co autor godził się chętnie bez najmniejszych zastrzeżeń kierując się poczuciem obywatelskiego i społecznego obowiązku, zabiegał o przekazanie tekstu w odpisie jakiemuś przedsiębiorcy czeskiemu, który zainteresował się sztuką. Pozytywne przyjęcie „sztuczdyła” przez widzów teatralnych jakby na przekór chronicznym utyskiwaniom recenzenckich malkontentów rozbudziło w Żeromskim wenę i pasję dramatyczną. Jej owocem była nowa sztuka w trzech aktach, z prologiem i epilogiem, napisana jakby od jednego rozmachu pióra wiosną tegoż roku, *Biała rękawiczka*. W wydaniu książkowym rzecz ukazała się w roku następnym 1921, w Towarzystwie Wydawniczym w Warszawie.

Autorowi przyświecały zapewne zgodnie z ustaloną i powszechnie już wiadomą linią jego pisarstwa intencje społeczne i moralne. Angażował się w powojenne problemy kraju, którego nowa rzeczywistość budziła w nim niejednokrotnie gwałtowny protest. Przerażały go objawy społecznego zdzierzenia, arraywizm zbogaconego i bezczelnego chamstwa, popolity bandytyzm, panoszący się bezkarnie we wszystkich niemal dziedzinach zbiorowego istnienia i samotność jednostek, usiłujących jeszcze bronić jakichś resztek honoru, uczciwości i prawa. To wszystko próbował wtłoczyć w ramy swej sztuki, która od symbolicznego tytułu począwszy, a na stylistyce skończywszy miała być zapewne jakąś udratyzowaną parabolą i przypowieścią o brzydocie i okrucieństwie życia, o bezsilności dobra, o triumfie zła, a w ostatecznym wykonaniu objawiła się widzom jako jaskrawo melodramatyczna i sensacyjno-kryminalna afera.

Premiera *Białej rękawiczki* odbyła się 8 marca 1921 r. w Teatrze Polskim w Warszawie. Reżyserował sztukę Karol Borowski, oprawę dekoracyjną przygotował Wincenty Drabik. Obsada była jak zwykle w dramatach Żeromskiego znakomita: Wiktor Biegański, Stefan Jaracz, Janusz Strachocki. Mimo frapującej i bulwersującej anegdoty sztuka nie miała

¹² T. Boy-Żeleński, „Czas” 1920, nr 60.

¹³ E. Breiter, „Świat” 1919, nr 49.

powodzenia, poza Teatrem Miejskim w Łodzi żadna inna ze scen nie zażytkowała wystawienia utworu. Krytyka przyjęła to nowe dzieło Żeromskiego z zażenowaniem i niedowierzaniem, że coś takiego mogło wyjść spod pióra tego pisarza.

Wczoraj — pisał po premierze Władysław Rabski — był [...] wieczór naprawdę osobliwy. Niby ten sam Żeromski, co dawniej, ale jakby wszystko, co w nim jest wielkie, przygasło, a co jest małe, wlaźło na szczudła i w świetle stu reflektorów chodziło po scenie [...] z symbolicznego założenia nie rozwinął się dramat symboliczny [...] lecz sensacja filmowa lub sztuka „Grand Guignolu” [...] Zrazu pod sugestią prologu próbowałem się bronić przeciw takiemu wrażeniu i szukałem tych samych trybów konieczności społecznej, która zmusza do zbrodni i miazdzy aniołów. Zrazu wyteżałem wzrok, aby znaleźć na scenie coś więcej niż paskarsko-bandycką awanturę: jakąś szatańską potęgę negacji, jakąś dramatyczną wizję anarchizmu, a choćby tylko jakąś drażącą w głębinach ludzkich i uperloną łzami poety satyrę. Na próżno. To wszystko śniło się może autorowi w prologu, ale w wyrazie scenicznym stało się filmą i mało czym więcej [...] ¹⁴.

Stanisław Pieńkowski określił sztukę bez ogródek jako „coś tak nieudanego, nielogicznego wewnątrz i zewnątrz, coś tak pospolitego, że przykro o tym mówić” ¹⁵. „Jeśli *Biała rękawiczka* — pisał Zygmunt Kisielewski — posiada problemat, to jest nim problemat wielkiego pisarza, który mógł stworzyć słabą sztukę. Zdarza się to największym. Prus napisał *Pamiętnik cyklisty*, Sienkiewicz *Wiry*” ¹⁶. Najbardziej życzliwi Żeromskiemu potraktowali rzecz jako kaprys wielkiego człowieka. „Wielkim ludziom wiele wolno — nawet się zmniejszać” — pisał wyrozumiale Kornel Makuszyński ¹⁷.

Gdy interesy literackie układały się kapryśnie i zmiennie, w życiu prywatnym zdawał się osiągać pisarz jakby pozór upragnionej stabilizacji. Należał właściwie od młodości do zastępu „ludzi bezdomnych”. Wczesnie osierocony i pozbawiony opiekuńczych, bezpiecznych ścian domu rodzicielskiego, tułał się najpierw po uczniowskich stancjach, potem jako guwerner zmieniał ustawicznie miejsca tymczasowych postojów, a kiedy się ożenił i gdy się zdawało, że fakt ten stanie się początkiem jakiegoś unormowanego istnienia, okazało się niebawem, że ustawiczna wędrówka z miejsca na miejsce jest już chyba fatalistycznym przeznaczeniem jego człowieczej egzystencji. Wiódł więc Żeromski nadal życie koczownicze: Raperswil, Nałęczów, Warszawa, Kraków, Zakopane, Paryż, Florencja, ale nigdzie przecież własnego domu — mieszkania służbowe bibliotekarza, pokoje hotelowe i wynajęte, zawsze cudze graty, nic własnego poza odzieniem i przedmiotami najosobistszego użytku. A przecież tkwił w nim gdzieś głęboko dawny szlachcic-ziemianin, udzielny posiadiciel jakiegoś

¹⁴ W. Rabski, „Kurier Warszawski” 1921, nr 68.

¹⁵ S. Pieńkowski, „Gazeta Warszawska” 1921, nr 69 - 70.

¹⁶ Z. Kisielewski, „Robotnik” 1921, nr 65.

¹⁷ K. Makuszyński, „Rzeczpospolita” 1921, nr 67 - 68.

najskromniejszego choćby płachetka ziemi i własnego dachu nad głową. Teraz, gdy jego pozycja pisarska i materialna gwarantowała pewną stabilność sytuacji, plany jakiegoś zakorzenienia się na stałe po raz pierwszy w życiu zdawały się nabierać kształtów całkiem realnej, konkretnej możliwości. Początkowo były to, jak wspomniano, pomysły osiedlenia się nad morzem, których jednak rychło po bliższym rozejrzeniu się w sprawie pisarz musiał poniechać. Odległość od Warszawy, prymitywne warunki życia na kaszubskim bezludziu, klimat morski, znośny jedynie w pełni lata, nazbyt uciążliwy jesienią, zimą i wiosną, po gruntowniejszym rozważeniu wszystkich pozytywnych i negatywnych okoliczności raczej zniechęcały niż utwierdzały w ryzykownych projektach. Ostatecznie latem r. 1920 przy pomocy Jakuba Mortkowicza, za cenę 500 000 marek polskich nabył Żeromski na własność od artysty malarza Zdzisława Jasińskiego willę „Świt” w Konstancinie.

Konstancin był eleganckim letniskiem podwarszawskim. Piękne pejzaże, suche piaski, sosnowe lasy, wiele zieleni, drzew, sadów, ogrodów — warunki nieomal wymarzone. Sama willa była dużym, piętrowym domem, co nieco za obszernym nawet dla niewielkiej rodziny, jeszcze nie całkiem wykończonym. Żeromski sprowadził się tam jesienią i z zapalem zabrał natychmiast do porządkowania i urządzania tej pierwszej w swym życiu posiadłości. Jako zawsze źle płatny i wyzyskiwany literat i bibliotekarz był od dawna przyzwyczajony do wykonywania wielu operacji domowych własnym przemysłem. Wyzyskiwał obecnie te pożyteczne doświadczenia malując własnoręcznie lakierem drzwi, okna, balustradę tarasu, ławki w ogrodzie, wykonywał roboty tapicerskie, pokostował i politurował meble, oprawiał obrazy i pamiątkowe fotografie rodzinne, porządkował swą skromną bibliotekę i pisarskie archiwum, uprawiał ogródek, do którego drzewek, krzewów i szczepów dostarczał mu najbliższy, a znakomity sąsiad Miriam-Przesmycki.

Konstancin nie okazał się jednak miejscem i schronieniem tak wymarzone, jak to się z początku zdawało. Zdrowie pisarza wymagało coraz częściej stałej i natychmiastowej opieki, gdy tymczasem na miejscu nie było ani odpowiedniego, budzącego zaufanie lekarza, ani apteki, dostatecznie zaopatrzonej, a komunikacja z Warszawą odbywała się za pośrednictwem prymitywnej, dychawicznej kolejki wąskotorowej, typowej „ciuchci” z lokomotywką-samowarkiem. Nie było żadnych taksówek, nikt w sąsiedztwie nie dysponował samochodem. Toteż już od r. 1921 przebywał Żeromski w Konstancinie tylko na wiosnę i w jesieni, miesiące letnie spędzał regularnie na Helu, gdzie w ponemieckim uzdrowisku znalazł najbardziej odpowiadające mu warunki życia, na zimę uciekał do Warszawy. Zdobycie w niej stałego mieszkania było w okresie powojennym nawet dla człowieka o pozycji i sławie Żeromskiego prawie niemożliwością. Pisarz korzystał więc okresowo z uprzejmości swego wydawcy Mortkowicza, u którego wynajmował dwa pokoiki przy ulicy Okólnik 5, a po

wyjeździe siostry pani Anny, Anieli Kleczyńskiej z mężem, do Niemiec na placówkę dyplomatyczną przeniósł się do ich dwupokojowego mieszkania przy ulicy Wspólnej 25.

Tryb życia, jaki w tym okresie prowadził, miał swój ustalony rytm i porządek. Rano pisanie, codzienne, systematyczne, nawet wówczas, gdy jakieś niedyspozycje zdrowotne nie pozwalały mu opuszczać łóżka. Po południu spacerować albo wyjazdy do Warszawy, do teatru lub kina, które lubił i którym się interesował szczególnie. Niekiedy zachodził do cukierni „Ziemiańskiej” przy Mazowieckiej 12, gdzie zbierał się cały aktualny świat artystyczny stolicy. Zmienił się na pozór zdumiewająco: znikł w nim, a może raczej tylko cofnął się w głąb, dawny nieśmiały i milczący, szczelnie zamknięty w sobie odludek. Pod wpływem sławy i rozgłosu wyrósł w nim jak gdyby ktoś zupełnie odmienny, oficjalny i reprezentacyjny, swobodny, życzliwy i przyjazny, umiejący się nawet śmiać niekiedy i zabawić zebranych przednią, dowcipną anegdotą, ale w gruncie nieautentyczny. W głębi pozostały te same, nie do usunięcia pokłady i nawarstwienia nieufności, urazów, swoisty kompleks zagrożenia. Świat wydawał się nadal najeżony przeciwieństwami i nie zasługujący na zaufanie. Przy pozorach kontaktu jego stosunki ze środowiskiem literackim nie układały się najlepiej, były oficjalne, bez szczególniejszej zażyłości z kimkolwiek. Jego niechęci były równie namiętne jak przywiązania, a sądy o ówczesnych pisarzach i literatach bardzo podmiotowe i nie zawsze w swoich konkluzjach sprawiedliwe. Źródła owych jednostronności i subiektywizmów kryły się jednakowoż nie w jakiejś świadomej, zawodowej zawiści czy rywalizacji, do których był organicznie niezdolny, lecz w jakichś złożach podświadomych, w wewnętrznym poczuciu samotności, opuszczenia i niezrozumienia. W sprawach własnej pracy pisarskiej niedostępny, pisał skrycie, nie pozwalał o swej „pisaninie” w swojej obecności rozmawiać, taił swoje literackie zamiary¹⁸.

Tę rezerwę i dystans wewnętrzny wobec świata zdolny był jednak przełamywać, ilekroć odczuwał doniosłość i wagę danej sprawy. Ponieważ zagadnienia kultury i nauki w nowych warunkach niepodległości państwowej leżały mu szczególnie na sercu, więc kreślił projekty powołania akademii literatury polskiej, której zadaniem byłaby nie tylko obrona uprawionych aspiracji i żądań pisarzy polskich, ale i obrona czystości języka oraz rozprzestrzenianie i utwierdzanie kultury literackiej w jak najbardziej rozległych kręgach społecznych. Angażował się czynnie w prace organizacyjne nad utworzeniem pierwszego na ziemiach polskich Związku Zawodowego Literatów dając się nawet wybrać na pierwszego prezesa, aczkolwiek rychło z owej godności zrezygnował tłumacząc się kiepskim stanem zdrowia i utrudnieniami wynikającymi z zamieszkania

¹⁸ Zob. A. Hutnikiewicz, *Osobowość Żeromskiego*, [w:] *Portrety i szkice literackie*, Warszawa 1976, s. 62.

poza Warszawą. Współdziałał w utworzeniu polskiej ekspozytury międzynarodowego Stowarzyszenia Pisarzy, tzw. Pen-Clubu. Interesował się żywo nowymi tendencjami i kierunkami w literaturze, aprobując naturalne dążenie każdej sztuki do nowatorstwa i oryginalności, ale protestując zarazem przeciw wszelkim skrajnościom, w których widział nie tyle rzeczywiście postęp, ile przejaw najpospolitszego snobizmu. Wśród wszystkich tych wielokierunkowych działań i czynności wyobraźnię jego zajmował jednak i pochłaniał coraz wyłączeniej pomysł nowej książki o morzu i o Pomorzu.

Pomysł napisania specjalnego utworu, związanego tematycznie z załącznikiem Polski, którego długo nie znał, który go później oczarował i przez wiele lat miał corocznie przyciągać, pojawił się w Żeromskim bodaj już przy pierwszym spotkaniu w r. 1920. Już wtedy zaczął zbierać swoim dawnym zwyczajem i kompletować literaturę przedmiotu, kontynuował te penetracje również w latach późniejszych, korzystał z informacji i pomocy fachowców, ściągał naręcza książek z najbliższej dlań Biblioteki Krasieńskich. Okresy wakacyjnych pobytów na wybrzeżu dawały okazję do jak gdyby „wizji lokalnych”, poznawania terenu, sięgania bezpośrednio do źródeł kaszubskiego folkloru. Wtedy to narodziła się legenda o pobycie Żeromskiego w latarni morskiej na Rozewiu, gdzie miał jakoby ową książkę napisać. *Wiatr od morza* ukazał się na przełomie marca i kwietnia r. 1922 nakładem Mortkowicza w Warszawie. Książka miała niezwykle powodzenie i w tymże roku doczekała się wydania drugiego.

Wiatr od morza był zbiorem opowiadań i obrazów literackich o bardzo różnej strukturze gatunkowej. W niektórych zwyciężała literatura, zmyślenie, wyobraźnia; w innych materiał erudycyjny, pracowicie wydobyty i wyszperany z sumiennych studiów historycznych i etnograficznych, przytłoczył i przygłuszył niejako elementy fikcji. Całość przedstawiała się jako sfabulizowana, rozpisana na obrazy historia pobrzeża bałtyckiego i przyległych połaci lądu od czasów zamierzchłych aż po najświeższą, bezpośrednią współczesność. Krytyka przyjęła ukazanie się nowego dzieła na ogół entuzjastycznie. Najsilniej zdawało się przemawiać do wszystkich bijące z każdego słowa uczucie patriotyczne. Przyrównywano książkę do czynu orężnego, który zespałał polskie morze z polską ojczyzną. Widziano w niej przewyciężenie tak znamienne dla pisarza obezwładniającego pesymizmu, w którego miejsce pojawiły się nieobecne w Żeromskim do niedawna wiara i nadzieja, błogosławione dary odzyskanej niepodległości. *Wiatr od morza* potwierdzał więc jak gdyby pozycję Żeromskiego jako przywódcy i wielkiego pisarza narodowego, którego dzieła organizują świadomość społeczeństwa i wytyczają drogi zbiorowości polskiej. Choć w tej najnowszej książce nie było już tak charakterystycznego dla twórczości pisarza indywidualnego bohatera-prometeidy, dostrzeżono w tym nie brak, lecz osiągnięcie, rozszerzenie „wszechogarniającej miłości” z człowieka-jednostki na bezmierne obszary ziemi, bardzo tragicznej

w swoich losach, ale cudownie ocalonej i odradzającej się do nowego życia w brzaskach wolności.

Z jednomyślnym uznaniem spotkał się też język i styl. Przyjęto książkę jako nowy triumf polskiego słowa, odkrycie „zapomnianych pokładów lingwistycznego instynktu”¹⁹. Nawet tak wymagający i wyborny stylista w swoim własnym piarstwie jak Jan Parandowski nie mógł się powstrzymać od słów najwyższego zachwytu. „Buchnął ku mnie — pisał — gorący żar stylu i zamigotał mi w oczach skarbiec przebogatego języka. Zdawało mi się, że nie czytam, lecz patrzę. Oto z każdej karty, z każdego zdania, z każdego niemal słowa wylania się ku mnie wizja Żeromskiego. Żeromski widzi wszystko, o czym mówi. Posiada ten dar przenikania rzeczy, stosunków i dusz, który jest darem tylko największych artystów”²⁰.

Z krytyką i zastrzeżeniami spotkała się jedynie kompozycja utworu. „Nasza potrzeba zdrowej architektoniki — pisał Parandowski — i pewnej konstrukcji pozostaje niezaspokojona, a często wręcz zraniona boleśnie”; nadmiar szczegółów i drobiazgów „zawsze jednako skrupulatnie oddanych” nuży oko mnogością przedmiotów, a „sceny luźno powiązane [...] na mocy zewnętrznej chronologii” wywołują w odbiorze czytelnicznym „przykre i dojmujące pojęcie chaosu”²¹.

Krytyków co subtelniejszych nie zdołało też zwieść optymistyczne zakończenie utworu, nieomylnie wyczuli i w tej najnowszej książce Żeromskiego jego dawne, stare, niepokonane i nieposkromione smutki i mroki. „A jakaż jest dusza tego utworu? — pytał Parandowski. — Dusza, to znaczy i nastrój jej, i myśl zasadnicza, i podkład uczuciowy, z którego cała koncepcja wyrasta. Pomimo radosnego wdzięku, pomimo imponującego przedstawienia idealizmu polskiego w zapasach z materializmem Niemców — jest złożony na dnie gruby i spleśniały osad smutku, żalu i zgryzoty. Dusza pozostała niezmieniona, ta «przedwojenna», ta z okresu niewoli”²².

¹⁹ E. Breiter, „Skamander” 1922, t. 3, z. 19.

²⁰ J. Parandowski, „Kurier Poznański” 1922, nr 165.

²¹ Ibid.

²² Ibid.

Rozdział IX

OSTATNIE SŁOWA

Lato roku 1923 spędzał Żeromski jak zwykle na Helu. Zygmunt Wasilewski, ów przyjaciel z lat raperswilekich i współziomek z Gór Świętokrzyskich, który spotkał właśnie wówczas pisarza na tej Helskiej Mierzei, przekazał później we wspomnieniu swoje tamto, po tak długim czasie, jego widzenie. Zmienił się niewątpliwie, ale jednocześnie jakby odrodził. „Grób syna [...] stał się przepaścią, która go odcięła od dawnych czasów i stosunków [...] Odradzało się w nim nowe życie [...] Spokojny był i dobrotny [...] Nie nosił brody i wyglądał czerstwo, ale z trudem można w nim było rozpoznać dawnego, bladego młodzieńca”¹. Tylko dawne urazy i szczelne zamknięcie się w swoim świecie wewnętrznym pozostały te same. „Po dawnemu nie wspominał [...] nad czym pracuje i nie pozwalał rozmawiać o swoich dziełach”².

Jego twórczość pisarska nie tylko nie osłabła, ale jakby z wielokrotnością się i wzbogaciła w swym wyrazie formalnym. Wiosną „Reduta” wystawiła nowy dramat, *Turonnia*, ukazał się tom nowel *Pomyłki*, późnym latem ukończył poemat *Międzymorze*, pisywał aktualne artykuły do prasy i udzielał wywiadów. Uporczywie ponawiane usiłowania podboju sceny wciąż nie przynosiły jednakże upragnionych i oczekiwanych efektów. *Turoń*, rzecz o galicyjskiej rabacji chłopskiej z r. 1846, mimo znakomitej reżyserii Limanowskiego i Osterwy oraz kapitalnej kreacji Jaracza w roli Szeli, znów okazał się teatralną pomyłką, raczej produktem literackim niż dramatycznym. Mętna symbolika ujawniała wewnętrzne pęknięcia i sprzeczności, jako „historia” wydawał się „za mało plastyczny, jako światopogląd — wręcz błędny”³. Utwór przeznaczony na scenę znów fatalnie rozłamywał się jak gdyby w swojej strukturze, uderzając z początku „w ton najwyższy dramatu dziejowego” obniżał się potem coraz bardziej w swym wewnętrznym nastroju, „jakby wiotczał i gasł”⁴.

¹ Z. Wasilewski, *Wspomnienie o Stefanie Żeromskim*, [w:] *Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1927, s. 183 - 186.

² *Ibid.*

³ E. Breiter, „Świat” 1923, nr 18.

⁴ Z. Kisielewski, „Robotnik” 1923, nr 111 - 112.

Natomiast *Pomyłki* spotkały się z powszechnym prawie podziwem dla zdumiewającej żywotności pisarza, którego potencja twórcza nie tylko nie słabła, lecz zdobywała się na wciąż nowe potwierdzenia swej siły, coraz większej pewności i dojrzałości swego rzemiosła. „W najdrobniejszym fragmencie twórczości wielkiego artysty — pisał Leon Piwiński — kryje się całość jedyna i niepowtarzalna, jak gdyby wieczyste zaklęcie całkowitej istoty jego geniuszu”. Tak i tu, już po pierwszych zdaniach „ma się zupełną pewność, że z utworów tych przemawia największy poeta Polski współczesnej”⁵. Niby to ten sam Żeromski — zachwycał się zwłaszcza nowelą *Pavoncello* Władysław Zawistowski — ta sama „skłonność [...] do organicznego amalgamowania nieśmiertelnego piękna z jego straszliwie zmysłowymi wyznacznikami. Technika ta sama, ale dłoń, która jej zwykła używać, potęgą artystycznej sugestii zniewala czytelnika przeżywać te same dreszcze bez poznania ich tożsamości [...] *Pavoncello* wyszedł spod pióra, które największe trudności artystyczne pokonuje ze spontaniczną łatwością i zdumiewającą potęgą”⁶. Maria Dąbrowska nawiązując jak gdyby do tytułu całości zwracała uwagę na przedziwne odchylenie się tej niewielkiej książki od głównej linii i wysokich natchnień pisarza. Cała ta „książka jest przecież jakby zboczeniem z wielkiego gościńca twórczości Żeromskiego. Wyprawą ku dzikiej ścieżce wypoczynku czy też pomyłką w drodze. Czarującą i rozbudzającą, jak nazbyt często bywają pomyłki [...] Cóż na to poradzić, książka jest śliczna”⁷.

Z równym zachwytem przyjęte zostało *Międzymorze*. Porównywano ten poemat o Helu z poezją natury, wywodzącą się z ducha Lukrecjuszowego, starodawnych bylin słowiańskich i ludowych pieśni Północy, nazywano książkę „przedziwną”, jakiej nikt poza Żeromskim nie mógł w Polsce napisać, bo jest w niej wszystko, co stanowi najgłębszy ton i nastrój jego twórczości: „Wyrazy nabrzmiałe cierpieniami i męką pokoleń — pisał o *Międzymorzu* Lorentowicz — drżące frenetyczną radością odzyskania ziemi wydartej przez najeźdźców; duma twórcy, chłonnego potężne moce ducha narodowego [...] nieustanny patos duszy, wypełnionej [...] troską o przyszłość odrodzonej ojczyzny; ciche, samotne skupienie barda, zasłuchanego w echa zamierzchłych legend; fantastyczna rozlewność liryka, żyjącego w promieniach słońca, w blasku księżyca, w drganiach powietrza, w głębinie morza [...]”⁸. Żeromski jest jedynym poetą Polski Odrodzonej. Kiedy stała się ona „jawą i rzeczywistością, smutną czasem, twardą i ciężką, ale mimo to przez samą swoją namacalną istność niewypowiedzianie radosną, jeden tylko Żeromski zdobywa się na hejna-

⁵ L. Piwiński, „Przegląd Warszawski” 1923, nr 27.

⁶ W. Zawistowski, „Pani” 1923, nr 7 - 8.

⁷ M. Dąbrowska, „Bluszcz” 1924, nr 7.

⁸ J. Lorentowicz, „Pani” 1923, nr 11 - 12.

ły dziękczynne, na triumfalne symfonie słów [...] w których z rozrzewaniem szczęścia śpiewa nieśmiertelną urodę Zmartwychwstałej”⁹.

I oto w tym właśnie czasie, gdy zdawał się sięgać szczytów swojej twórczości i kariery życiowej, spotkało go niepowodzenie, które odczuł niewątpliwie jako dojmującą i dotkliwą porażkę. Sprawa miała dość odległe preliminaria. Już w r. 1920 pojawiła się po raz pierwszy myśl o podjęciu starań w sprawie przyznania Żeromskiemu nagrody Nobla¹⁰. Co prawda już wcześniej, w r. 1918, krakowska Akademia Umiejętności zgłosiła kandydaturę Władysława Reymonta, ale w tym właśnie czasie ukazało się kilka powieści o tematyce chłopskiej pióra pisarzy skandynawskich, bliższych rzecz jasna Akademii Szwedzkiej niż mało jej znany pisarz polski, czyniąc kandydaturę autora *Chłopów* jak na razie nieaktualną. Sprawą Żeromskiego zajęli się przede wszystkim poseł polski w Sztokholmie Zygmunt Michałowski oraz sekretarz poselstwa Konrad Czarnocki. Rozwinęła się długa, wieloletnia korespondencja, bo pomoc Żeromskiego w tej sprawie była konieczna. Chodziło o skompletowanie dla Instytutu Nobla i Akademii Szwedzkiej wszystkich dzieł pisarza, a także książek, broszur, wycinków z gazet w różnych językach, traktujących o nim. Największy kłopot był z tym, że główny referent literatur słowiańskich w Fundacji Nobla profesor Jensen bardzo słabo znał język polski i czytał Żeromskiego przeważnie w obcych przekładach, tłumaczka zaś dzieł pisarza na język szwedzki panna Ellen Wester, choć dobrze znała język, miała przecież z przekładaniem autora *Popiołów* spore kłopoty ze względu na niełatwą do oddania i podrobienia stylistykę prozy Żeromskiego. Również ze strony polskiej pojawiły się nieprzewidziane trudności i przeszkody. Było rzeczą jak najbardziej wskazaną i pożądaną, aby kandydaturę Żeromskiego zgłosiła oficjalnie jakaś poważna instytucja, w danym wypadku Polska Akademia Umiejętności. Ale poparła ona już poprzednio Reymonta, a w samym zarządzie Akademii nastroje dla Żeromskiego ze względów politycznych i światopoglądowych przychylne raczej nie były. Uchodził za pisarza lewicy, a uczeni krakowscy sympatyzowali z orientacją konserwatywną. Znane też powszechnie były jego antykrakowskie i antygaliczyjskie awersje, urazy, uprzedzenia i złośliwości. Kandydaturę do nagrody zgłaszać mogły co prawda również luźne grupy uczonych i Żeromski mógł liczyć na popar-

⁹ K. Kozicki, „Słowo Polskie” 1924, nr 10.

¹⁰ Zob. K. Czachowski, *Żeromski a nagroda Nobla*, [w:] *Pod piórem*, Kraków 1947; S. Wędkiewicz, *Żeromski w Szwecji*, „Przegląd Współczesny” 1923, t. 4, nr 9 - 10; tenże, *Dokoła literackiej nagrody Nobla*, „Przegląd Współczesny” 1925, nr 41; K. Czarnocki, *Nagroda, która go nie doszła*, „Tygodnik Powszechny” 1950, nr 40; Listy Żeromskiego do Czarnockiego z lat 1921 do 1924. Zob. *Stefan Żeromski. Kalendarz...*, s. 396 i n.; J. Lorentowicz, *Spojrzenie wstecz*, Warszawa 1935; S. Miłaszewski, *Wspominamy*, Poznań 1939; A. Wysocki, *Sprzed pół wieku*, Kraków 1956; tenże, *Jeszcze o Noblu dla Reymonta*, „Kierunki” 1959, nr 16.

cie profesorów Chrzanowskiego, Sobieskiego i Nitscha, ale wniosek firmowany przez instytucję naukową najwyższej rangi zyskiwał niewątpliwie na wadze i miał większe szanse realizacji. Dzięki uporczywym staraniom udało się w końcu przełamać zastrzeżenia niektórych członków Akademii Krakowskiej, która z początkiem r. 1921 poparła oficjalnie kandydaturę pisarza. Wiadomość przedostała się rychło na kolumny gazet, pojawiły się fotografie Żeromskiego i noty informacyjne w wydawnictwach i periodykach szwedzkich, profesor Jensen napisał obszerny referat na temat twórczości kandydata, raczej przychylny, choć zawierający jednocześnie wyważone sądy krytyczne.

W maju tegoż roku profesor przybył do Polski i przez cztery dni był gościem pisarza w Konstancinie. Wyjaśniono sobie wówczas wiele zagadnień, co pozwoliło Jensenowi pogłębić jego rozprawę o Żeromskim, rozсланą ostatecznie w grudniu członkom Akademii. Starania polskich i szwedzkich przyjaciół pisarza zbiegły się z prezentacją *Wiernej rzeki* w przekładzie jak zwykle Ellen Wester. Książka przyjęta została przez krytykę szwedzką przychylnie, choć i tej również powieści zarzucono wadliwą kompozycję, rozbicie całości na drobne, niespójne epizody, nadmierną skłonność do symboliki i mistycyzmu. Odczuto specyficzny urok polskości, ale dopatrzone się też wpływów rosyjskich. Pozytywnie wypowiedziały się o twórczości pisarza osobistości tak znaczące, jak głośna, znakomita pisarka Selma Lagerlöf, członek Akademii profesor Böök oraz jeden z najwybitniejszych ówczesnie krytyków szwedzkich Anders Österling.

Tymczasem we wrześniu r. 1922 zmarł nagle we Wiedniu profesor Jensen. Nowym referentem literatur słowiańskich w Akademii został Anton Karlgren, profesor uniwersytetu w Kopenhadze i jednocześnie redaktor jednego z największych i najbardziej wpływowych dzienników sztokholmskich „Dagens nyheter”. Karlgren znał dość dobrze język rosyjski, lecz słabo polski. W twórczości Żeromskiego orientował się niewspółmiernie gorzej niż Jensen. Milkliwy i zamknięty, był raczej dość oporny wobec zachęcających działań i sugestii poselstwa polskiego. Zbiór prac o Żeromskim, skompletowany przez Jensena, zaprzepaścił się na domiar złego bez śladu, mimo usilnych poszukiwań nie do odnalezienia, co niewątpliwie utrudniało pracę następcy. Odżegnała się też ostatecznie od sprawy Akademia Umiejętności, która, mimo ponagłań, wniosku w latach następnych nie ponowiła. Z początkiem kwietnia r. 1922 bawił w Warszawie profesor Böök, podejmowany znów przez Żeromskiego, który dla jak najprzychylniejszego usposobienia szwedzkiego gościa dla literatury polskiej starał się go wprowadzić w polski świat artystyczny i literacki, organizując mu spotkania z pisarzami i ludźmi sztuki. W listopadzie ukazał się szwedzki przekład *Urody życia*, niestety okrojony do romansowego wątku Tatiany. Mimo to nowa powieść spotkała się z przyjęciem życzliwym, niektórych recenzentów oczarowała, wzbudziła zainteresowanie dla innych dzieł autora. Wreszcie wiosną r. 1923 profesor Ekblom z Uppsali wysunął z gronem

kolegów kandydaturę Żeromskiego. Pisarz wysłał mu materiały dotyczące jego twórczości, gdy całkiem nieoczekiwanie, ku powszechnemu zaskoczeniu, w jednym z październikowych numerów czasopisma „Svenska dagbladet” ukazała się obszerna recenzja *Wiatru od morza*, napisana przez Bööka, ostra i napastliwa. Nie znając zupełnie dzieła, opierając się wyłącznie na opiniach niemieckich, zarzucił najnowszej książce Żeromskiego germanofobię i że jest to literatura na usługach „polskiej polityki imperialistycznej”.

Odpowiedział mu młody sławista z Göteborga Stender-Petersen, biorąc dzieło w obronę i stawiając *Wiatr od morza* na szczycie twórczości Żeromskiego. Wystąpienie Petersena, rzeczowe i udokumentowane, osłabiło nieco siłę wrażenia, jakie wywołał atak Bööka, rozbudziło nawet jakby na nowo ciekawość dla polskiego pisarza. Jesienią ukazał się szwedzki przekład *Popiołów* z przedmową autora, a z początkiem r. 1924 nowy poseł polski w Sztokholmie Alfred Wysocki podjął raz jeszcze sprawę polskiej kandydatury. Wciąż wchodziły w rachubę dwa zgłoszone już od dawna nazwiska: Reymonta i Żeromskiego. Ale dość szybko zorientował się Wysocki, że szanse Żeromskiego są właściwie znikome. Przewodniczący Komitetu nagrody, arcybiskup Uppsali, oświadczył Wysockiemu otwarcie, że to nie jest pisarz, z którym chciałby zapoznać czytelnika szwedzkiego, autor zaś napastliwej recenzji *Wiatru od morza*, profesor Böök, wówczas już zdecydowany zwolennik Reymonta, stwierdził bez ogródek i kategorycznie, że Komitet nagrody nigdy się nie zgodzi na wyróżnianie dzieł, które mogą uchodzić za instrument jakiegokolwiek bądź propagandy czy za wyraz takiej lub innej sympatii i opcji politycznej. W dniu 13 listopada 1924 r. literacka nagroda Nobla przyznana została Reymontowi.

Gdy decydowały się losy walki o Nobla, Żeromski przebywał na kuracji we Włoszech. Jego wieczne kłopoty ze zdrowiem nasiliły się niepokojąco; ustawiczne przeziębienia, grypy, gorączki, kaszel ciągnęły się poprzez nieskończone tygodnie i miesiące, skłaniając w końcu lekarzy do wysłania go w łagodniejszy klimat południa. Przebywał zrazu na śródziemnomorskim wybrzeżu, w Santa Margherita Ligure, między Genuą a Rapallo; uciekł stamtąd przed inwazją turystów z Niemiec, którzy wyjedli „wszystek makaron i pomarańcze”¹¹, i przed hałasem setek tysięcy samochodów, przenosząc się do Gardony nad zacisznym jeziorem Garda. Wieści docierające tam z dalekiej Szwecji niczego dobrego nie wróżyły. Artykuł Bööka zrobił swoje, panna Wester donosiła ze smutkiem, że przekład *Popiołów* idzie słabo, zamilkli krytycy i recenzenci; „skończyły się złote dni Aranjezu” — pisał Żeromski z rezygnacją i smutkiem do Czarnockiego. Wiadomość ostateczna o triumfie Reymonta dotarła do niego już w Warszawie.

¹¹ W liście do Czarnockiego z 22 maja 1924. Zob. *Stefan Żeromski. Kalendarz...*, s. 435.

Rząd polski i świat literatury starały się zrekompensować poniekąd tę porażkę pisarza, choć rekompensata wobec tamtego wyróżnienia była zupełnie niewspółmierna. Wiosną r. 1924 sąd konkursowy Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy przyznał mu nagrodę im. Elizy Orzeszkowej za *Wiatr od morza* jako najwybitniejsze dzieło dwu lat ostatnich, a jesienią jury pod przewodnictwem wybitnego krytyka i teatrologa Jana Lorentowicza, działając z ramienia Departamentu Sztuki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w łączności z Zarządem Głównym Związku Literatów przyznało Żeromskiemu pierwszą w Polsce państwową nagrodę literacką. Żeromski mieszkał wówczas od niedawna na Zamku, w trzech niezbyt wygodnych, pozbawionych komfortu, ale suchych, przestronnych i słonecznych pokojach, przydzielonych mu po wielu mieszkaniowych udrętkach przez prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego. Tam właśnie któregoś dnia grudniowego, późnym wieczorem, zawiózł mu Lorentowicz wiadomość o przyznaniu nagrody wraz ze specjalnym adresem, ułożonym przez kolegów po piórze. „Przeczytał go w milczeniu — relacjonował później Lorentowicz tę scenę — i — pobladł. Wielkie jak groch łyzy spadać poczęły po zmęczonych i schorzałych policzkach [...]”¹².

Wśród tych napięć psychicznych, oczekiwań, nadziei, rozczarowań i wśród perypetii ze zdrowiem, które psuło się widomie coraz bardziej niepokojąco, realizowały się jednocześnie dwa utwory, mające już niebawem wywołać rezonans równy jedynie rozgłosowi ongiś *Ludzi bezdomnych* i *Dziejów grzechu*. W pierwszych dniach stycznia r. 1924 ukończył Żeromski nowe swe dzieło dramatyczne, przeznaczoną dla Osterwy komedię w trzech aktach *Uciekła mi przepióreczka*. Pisał ją jak zawsze z nadzieją i z najwyższym niepokojem. Wziął sobie bardzo do serca swe dotychczasowe niepowodzenia teatralne i drżał o przyszłość tego najmłodszego swojego dziecka, w którym widział i przeczuwał ostatnią szansę. „Jeżeli teraz nie zdobędę teatru — pisał do Czarnockiego — to już kaput”¹³.

Bezpośrednim impulsem do napisania sztuki była działalność oświatowa znanego Żeromskiemu już dawno etnografa i folklorysty Aleksandra Patkowskiego, organizującego właśnie w tych latach coroczne kursy regionalne w Sandomierzu dla nauczycieli ludowych i działaczy kultury. Pierwszy kurs tego rodzaju odbył się w sierpniu r. 1922. Żeromski pisał w połowie stycznia r. 1923 Patkowskiemu o „swoich zainteresowaniach tymi sprawami” i o swym „duchowym uczestnictwie” w imprezie¹⁴. Niezależnie jednak od tej podniety bezpośredniej rzecz tkwiła głęboko swą genezą w całej dotychczasowej twórczości i postawie pisarza. Raz jeszcze zbiegły się w tej komedii i podały sobie ręce stare, dawne pomysły. A więc owa wieś polska, smutna, biedna, zacofana, ale wyprowadzona już nieco z cywilizacyjnego

¹² J. Lorentowicz, *Spojrzenie wstecz*, jw., s. 49.

¹³ W liście z 9 czerwca 1924. Zob. *Stefan Żeromski. Kalendarz...*, s. 438.

¹⁴ Zob. *Stefan Żeromski. Kalendarz...*, s. 433.

bezwładu dzięki bezinteresownym wysiłkom grona ludzi szlachetnych i dobrej woli; idea regionalnej kultury, tak bliska zawsze Żeromskiemu choćby z własnych, osobistych, nałęczowskich poczyniań; młody człowiek, fanatyk, zapaleniec, główny twórca i organizator imprezy, zawsze ten sam — Judym, Nienaski czy Przełęcki, bo zmienia się tu tylko nazwisko. W tę warstwę problemową wplątane zostały perypetie romansowe, niepomierne komplikujące jak zazwyczaj ideowe wątki dramatu.

Sztukę przygotowywał i reżyserował Osterwa przy współudziale autora, zresztą znikomym; w obcym, nieznanym środowisku nie potrafił przełamać swojej wrodzonej nieśmiałości, „w dyskusjach — wspominała po latach Maria Malanowicz-Niedzielska, pierwsza Smugoniowa w premierowym spektaklu — nawet prawie udziału nie brał, o ile się go wprost nie zapytano [...] siedział cichutko i obserwował”¹⁵. Powoli jednak rozkruszały się i tajały owe lody obcości, „Żeromski płonącymi oczyma chłonał [...] cud powolnych narodzin swoich postaci [...] siedział sam na widowni, słuchał i oczy miał pełne łez...”¹⁶.

Premiera *Przepióreczki* odbyła się w dniu 27 lutego 1925 r. w Teatrze Narodowym, w obsadzie aktorskiej znakomitej. Głównego protagonistę sztuki Przełęckiego grał oczywiście Osterwa, Smugonia Stefan Jaracz, wśród odtwórców ról drugoplanowych znaleźli się m. in. Kotarbiński, Sol-ski, Śliwicki. Nastrój był podniosły, teatr wypełniony po brzegi, ogólne odczucie jakby święta, sukces sztuki u publiczności teatralnej zupełny. Powtórzyła się sytuacja jak za dawnego czasu *Ludzi bezdomnych*, ów potężny odzew i rozmowa bezpośrednia widzów i czytelników z autorem. Zaczęły płynąć dziesiątki i setki listów od osób zupełnie nieznanymi, a błagających pisarza, „aby napisał dalszy ciąg *Przepióreczki* lub aby zmienił zakończenie (to były listy kobiet!), aby pozwolił Smugoniowej odejść z Przełęckim”¹⁷. Reakcja krytyki była oczywiście mieszana i jak zwykle nie wolna od zastrzeżeń, ale nawet najbardziej nieprzejednani cenzorzy i sędziowie musieli ostatecznie skapitulować przed zniewalającą siłą idei, która była z tej sztuki mimo wszystkich jej pokrętnych i karkołomnych komplikacji wewnętrznych. Najwięcej zastrzeżeń wywoływał ów nieprawdopodobny pomysł, na którym oparł autor całą swoją intrygę, ów „fantastyczno-groteskowy heroizm poświęcenia [...] przeciw któremu buntuje się pospolita logika trzeźwego weryzmu”¹⁸. I oto gdy widz gotów już jest odrzucić tę urągającą rozsądkowi aferę, „nagle odzywa się ta «druga dusza» poety, ta konwulsja tragicznych pajaców, ten taniec fantazji wichrowej w którym człowiek się kończy, a zostaje tylko rozpalona do białości idea”¹⁹.

¹⁵ M. Malanowicz-Niedzielska, *Z Żeromskim na premierze „Przepióreczki”*, „Dziennik Polski” 1945, nr 15.

¹⁶ Ibid.

¹⁷ Ibid.

¹⁸ W. Rabski, „Kurier Warszawski” 1925, nr 59.

¹⁹ Ibid.

Na nieprawdopodobieństwo pomysłu zwracali uwagę prawie wszyscy. „Komedia Żeromskiego jest mocowaniem się z najkarkołomniejszym teatralnie i psychologicznie pomysłem” — pisał Lechoń w entuzjastycznym skądinąd sprawozdaniu z premierowego przedstawienia²⁰; „ów Przełęcki — zgadzał się z nim Boy — to raczej szlachetny paradoks literacki niż ludzka z krwi i kości istota”²¹. Wskazywano na związki organiczne tej sztuki z dawną twórczością Żeromskiego, na jej zakorzenienie głębokie w Polsce niewolnej. Ludzie Żeromskiego z tej ostatniej jego komedii „są upiorami minionego dnia, przybranymi w szaty jutrzejsze”²²; „to jeden z owych dramatów — pisał Żeleński — które raczej możemy sobie wyobrazić w egzaltacji i mrokach podziemnych prac konspiracyjnych niż tu, w tej szkolnej izbie, do której szeroko otwarte okna wpuszczają tyle słońca i powietrza”²³. Widz przechodzi jednakże nad wszystkimi tymi wątpliwościami do porządku, poddając się zniewalającej sugestii, jaka płynie ze sceny. W tej komedii niby wszystko jest dawne, z Żeromskiego, a jednocześnie inne, nowe, odmienne: dialogi, kompozycja, ton, nastrój. Każda postać mówi własnym językiem, a nie „po żeromsku”, budowa, tak z reguły kulejąca w sztukach tego pisarza, osiąga tu „absolutną doskonałość”²⁴. Widać we wszystkim rękę mistrza, który wie,

jak cudownie elastycznym narzędziem jest komedia i ile można w niej zmieścić dramatu szlachetności i powagi życia [...] Dawno, bardzo dawno — kończył Boy swoją recenzję — nie widziałem w teatrze takiego przyjęcia, jakie publiczność zgotowała wczoraj uwielbianemu pisarzowi. Koniec każdego aktu zmieniał się w owacje, a kiedy trzeci akt dobiegł do końca, długo jeszcze stojąca w miejscach publiczność oklaskiwała z zapalem tego, który od dawna stał się dla nas w literaturze ucieleśnieniem myśli i serca narodu.²⁵

Czy był istotnie tym sumieniem i natchnieniem dla wszystkich? Powieść, która ukazała się na trzy bez mała miesiące przed triumfalnym spektaklem *Przepióreczki* i rozpętała burzę wokół autora i książki, jakiej nie wywołały nawet osławione i „skandaliczne” *Dzieje grzechu*, zdawała się podważać ów sąd krytyka życzliwego i przyjaznego. *Przedwiośnie* pojawiło się w witrynach księgarskich późną jesienią, nakładem jak zwykle Mortkowicza, z datą wyprzedzającą 1925. Geneza powieści była dość powikłana, kryła się w różnorodnych podniętach zewnętrznych i w prywatnych koniecznościach pisarza. Niewątpliwie impulsem najsilniejszym było zaniepokojenie autora ogólnym obrazem owego państwowego przedwiośnia niepodległości, które pilnie, z przejęciem obserwował i najgłębiej przeżywał.

²⁰ J. Lechoń, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 10.

²¹ T. Boy-Żeleński, „Kurier Poranny” 1925, nr 59.

²² E. Breiter, „Świat” 1925, nr 10.

²³ T. Boy-Żeleński, op. cit.

²⁴ Zob. W. Borowy, *O „Przepióreczce” Żeromskiego*, Warszawa—Łódź 1925.

²⁵ T. Boy-Żeleński, op. cit.

Polska zawarła w tym okresie ostatnie traktaty pokojowe i ustabilizowała się niejako w swoich granicach. Ale teraz dopiero, gdy uwaga powszechna przesunęła się ze spraw zewnętrznych na kwestię wewnętrznego zorganizowania się ustrojowego, okazało się widomie, jak społeczeństwo zdemoralizowane stuletnią niewolą polityczną nie potrafi się rządnie w państwie swym prowadzić. Rozpętała się zjadła i nie przebierająca w metodach walka o władzę. Polska niepodległa ukonstytuowała się ostatecznie jako republika demokratyczna o porządku ustrojowym zbliżonym do zachodnich demokracji parlamentarnych. Z wzorów zachodnich przeszczepiono na politycznie surowy i niewyrobiony teren rodzimy normy i mechanizmy, wymagające niezwyklej dojrzałości i odpowiedzialności, a w ich braku niosące katastrofalne zagrożenia: ostrą rywalizację polityczną i swobodną grę interesów. Skutki owej niedojrzałości ujawniły się niemal natychmiast z przerażającą jaskrawością w niebywałym rozbiciu sił politycznych, z niezmiennie wzrastającą tendencją do dalszej ich atomizacji. W pierwszym sejmie ustawodawczym z r. 1919 zasiadło 18 ugrupowań partyjnych. Żadna z owych frakcji parlamentarnych czy też bloków stronnictw politycznie zbliżonych nie dysponowała w zgromadzeniu sejmowym większością głosów. Kolejne rządy opierały się więc na niepewnych, chwiejnych i wiecznie zagrożonych doraźnych i krótkotrwałych koalicjach. Prowadziło to do ustawicznych kryzysów gabinetowych i parlamentarnych. Dochodziło do objawów zupełnego zdziczenia politycznego, którego najjaskrawszym przykładem było zabójstwo w r. 1922 pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza.

Równie groźna i niepokojąca była sytuacja ekonomiczna i społeczna młodego państwa. Wielkie reformy, o których marzyli ongiś twórcy i przewodawcy Towarzystwa Demokratycznego i ich następcy, a które przywoływał Żeromski w swych publicystycznych apelach, poszły w niepamięć. Sprawę wykonania reformy rolnej, uchwalonej pod presją niebezpiecznej sytuacji wojennej w pierwszych latach niepodległości, przewlekano świadomie w nieskończoność. Rozszalała się samopas, niczym nie kontrolowana drożyzna, spekulacja i lichwa, pieniądz z każdym miesiącem tracił na wartości. Spadek waluty dezorganizował ekonomikę kraju, permanentna inflacja uderzała przede wszystkim w warstwy pracujące najniżej uposażone, których nędzne zarobki kształtowały się w absurdalnie niewspółmiernym stosunku do rosnących gwałtownie cen. Bilans handlowy gospodarki państwowej stale był ujemny, zrujnowany przez wojnę i zacofany technicznie przemysł nie wytrzymał konkurencji i tracił kolejno ostatnie rynki zagraniczne. Rosło bezrobocie, a przez kraj przewalały się raz po raz fale strajków i społecznych protestów. Rząd odpowiadał militaryzacją kolei, wprowadzaniem sądów doraźnych i stanu wyjątkowego. Dochodziło do krwawych demonstracji, padali ranni i zabici. Coraz wyraźniej stawało się wyczuwalne w każdej dziedzinie i strefie życia wzrastające napięcie sił nieobliczalnych.

Jednocześnie na kresach, wśród mniejszości narodowych zaczęły się ujawniać wyraźne dążenia separatystyczne, nie bez inspiracji zewnętrznej. Akty przemocy i dywersji antypaństwowej usiłowano dławić represjami policyjnymi i organizowaniem demonstracyjnych procesów politycznych. Rozdzierana przez anarchię, podgryzana przez wrogów jej państwowej niezależności, podkopywana w swym istnieniu przez zatrważającą nieudolność rządu, Polska wydawała się niekiedy istotnie „państwem sezonowym”, które pewnego dnia bądź samo siebie unicestwi, bądź stanie w obliczu nieuniknionej rewolucji, której niepokojące widmo unosiło się nad krajem wciąż potencjalnie realne i możliwe od pamiętnego lata r. 1920.

W tej sytuacji wielu odpowiedzialnym ludziom w Polsce musiało się narzucać pytanie, co będzie dalej? Pytanie to zadawał sobie również Żeromski, tak czujnie wsłuchujący się zawsze w sprawy swego narodu. Że Polska musi się zdobyć na jakiś wielki akt wewnętrznego uzdrowienia, to było poza wszelką dyskusją. Ale owa świadomość konieczności łączyła się jednocześnie z niepokojem, czy znajdą się w tym kraju siły moralne, które by owo dzieło wielkiej naprawy podjąć się odważyły i zrealizować zdołały. Z takich i tym podobnych pytań i obaw narodził się pomysł powieści, która miała być obrazem Polski współczesnej, a jednocześnie ustosunkowaniem się znakomitego pisarza do palących problemów jej społecznego i państwowego istnienia.

Historię swą osnuł autor na kanwie niekonwencjonalnie ujętej biografii młodego człowieka, którego trudna i kręta droga do ojczyzny daje mu okazję przebadania wszystkich jasnych i mrocznych stref życia polskiego na tle grozy świata dźwigającego się z otchłani sił zniszczenia, wojny i rewolucji, ku pierwszemu brzaskom przedwiośnia. Losy i dramat wewnętrzny bohatera pomyślane zostały jako symbol młodości, która widząc opieszałość i nieudolność pokolenia ludzi dojrzałych, odpowiedzialnych za stan, przyszłość i bezpieczeństwo narodu, wśród dramatycznych sporów, zwątpień, sprzecznych szamotań ideowych i zbłąkań na manowce idei obcych i wrogich, szuka po omacku swojej własnej drogi do Polski, suwerennej i niepodległej, ale zarazem dla wszystkich swych synów i córek sprawiedliwej. Powieść miała być wezwaniem do rachunku sumienia, do powszechnej dyskusji nad przyszłością odrodzonego państwa i wołaniem o wielką, z najrdzenniejszego ducha narodowego ducha wywiedzioną ideę Polski.

Sens powieści nie wszędzie został zgodnie z intencją zrozumiany, nie do wszystkich serc trafił. Ci, którzy znali twórczość pisarza i przeżyli ją najgłębiej we wszystkich dotychczasowych objawieniach świata jego idei, odczytali nową powieść ze zrozumieniem. Nikt nie zaprzeczał, że akt oskarżenia, jaki przedstawił Żeromski w tym utworze swemu własnemu narodowi, jest bezwzględny, okrutny, bezlitosny; pisarz

z odwagą i siłą — pisał Karol Irzykowski — na którą nie stać było najmłodszych [...] sięgnął w dialektykę współczesnej rzeczywistości polskiej tam, gdzie ona

się rozstrzyga, i nie cofnął się nawet przed zobrazowaniem możliwości, że syn podniesie rękę na własną matkę.²⁶

Nowa powieść Żeromskiego jest dokumentem epoki — pisał jeden z przedstawicieli najmłodszego pokolenia literackiego Władysław Zawistowski. — Jest splotem skomplikowanych pytań bez odpowiedzi. Pytań tak ważnych, że ich znaczenie przysłania niepospolity artyzm języka i narracji, któremu wszak — w ostatniej instancji — swą rację bytu zawdzięcza.²⁷

Odczytywano powieść jako poszukiwanie idei prawdziwie i autentycznie polskiej wobec potężnych zagrożeń, idących z zewnątrz. Zagrożenia te zawisły przede wszystkim nad najmłodszym pokoleniem Polaków, najbardziej żarliwym, niecierpliwym, ale też i najsilniej narażonym na niebezpieczeństwo pomyłek i zbłąkań ideowych. Ta przejmująca opowieść wyrosła z lęku i cierpienia i „ten ból z powodu łamania się dusz bogatych i zdolnych do wielkiego rozmachu pod ciężarem polskiej rzeczywistości — to jedyna, ale bardzo mocna, tragiczna struna ostatniej powieści autora *Walki z szatanem*”²⁸.

Te głosy umiarkowane i odpowiedzialne, oceny sumienne i wychytujące wnikliwie istotną myśl i intencje utworu, utonęły jednak rychło w zamęcie nieprzytomnej nagonki, jaką rozpętała część prasy o orientacji prawicowej. Przeciw nowej powieści wytoczono najcięższe działa polityczne, oskarżając pisarza o poniżenie i zniewagę swego narodu, o wyraźne opowiedzenie się za komunizmem, o schlebianie elementom wrogim państwu polskiemu i o podżeganie do rewolucyjnych wystąpień.

Co świat wyczyta z *Przedwiośnia*? — pytał w „Głosie Narodu” znakomity dramaturg Karol Hubert Rostworowski. — Dowie się, że polski kapłan, w dodatku pochodzący z „wyższych” polskich sfer, a więc mający od dziecka sposobność do obcowania z polską kulturą, stoi na najniższym szczeblu barbarzyństwa, które pozwala mu nie tylko „urzynać się”, nie tylko śpiewać kabaretowe piosenki, ale nawet, w razie potrzeby, łamać tajemnicę spowiedzi! Dowie się, że polski szlachcic oprócz katowania parobków, katowania usprawiedliwiającego nawet bolszewickie najazdy, nigdy dla kraju nic nie zrobił.

Dowie się, że polski, najbardziej oddany służący czeka tylko na sposobność, ażeby za posiadanie srebrnej papierośnicy rozwalić łeb swojemu pracodawcy. Dowie się, że zdrowo myślący Polak uważa perypetie pani Laury z Baryką za „najzdrowszą i najistotniejszą” część przedwiośnia życia!!!

Dowie się, że polska policja rozporządza dostarczonymi jej przez rząd narzędziami tortur! A wreszcie dowie się, że nawet piekło bolszewickie jest niczym wobec polskiego piekła i że kto ma serce w piersi, ten po bliższym zapoznaniu się z Polską musi ruszyć pod Belweder i „przeć oddzielnie na szary mur żołnierzy!”²⁹

Wacław Naake-Nakęski w liście otwartym, wydanym w formie broszury pt. *Salto mortale wielkiego pisarza*, robiąc aluzję do postawy Że-

²⁶ K. Irzykowski, *Burzliwa rzeka rzeczy*, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 1.

²⁷ W. Zawistowski, „Tygodnik Ilustrowany” 1925, nr 1.

²⁸ K. Górski, „Gazeta Administracji i Policji Państwowej” 1925, nr 3.

²⁹ K. H. Rostworowski, *Czemu zwalczam „Przedwiośnie”?*, „Głos Narodu” 1925, nr 145.

romskiego w latach niedawnej wojny sugerował odczytanie *Przedwiośnia* jako wymownego sygnału jeszcze jednej być może metamorfozy autora, przesunięcia się jego poglądów w stronę nowej, zwycięskiej, nadchodzącej idei.

— Pańska fizjonomia duchowa — sugerował Nakęski — przechodziła już niejedną metamorfozę. Z sympatyka socjalizmu z wybuchem wojny, wiedziony zdrowym instynktem narodowym, przedzierzniętą się w zdecydowanego wroga NKN-u, a było to tak wyraźne, że opinia gotowa była Cię uznać za zwolennika endecji, co jednakże nie nastąpiło. Czy wystąpienie Twoje w zakończeniu *Przedwiośnia* nie znamionuje jakiejś nowej przemiany? Psyche Twoja jest bardzo nieobliczalna i gotować może nową niespodziankę. Socjalizm w postaci Polskiej Partii Socjalistycznej od pewnego czasu wszedł już w stadium uwiadu starczego [...] Więc czy Pan nie jesteś jednym ze szczurów uciekających z tonącego okrętu PPS? A teraz wchodzi na widownię w Polsce komunizm, partia młoda, energiczna [...] Sytuacja jest bardzo poważna. Na dziejowym zegarze wskazówki nieuchronnie posuwają się ku wyrocznej godzinie...³⁰

Temperaturę sporów wokół *Przedwiośnia* gwałtownie podniosło przyznanie Żeromskiemu z okazji święta 3 Maja Wielkiej Wstęgi Orderu Polonia Restituta. W kręgach prawicy przyjęto ten gest wyróżnienia jako obelgę. Do zarzutów natury politycznej dołączono moralne. W erotycznych wątkach powieści dopatrzono się naruszenia elementarnych zasad przyzwoitości publicznej. Według sprawozdania „Głosu Narodu” na zebraniu Związku Inteligencji Polskiej w Krakowie Karol Hubert Rostworowski mówiąc o godności narodowej „z książką w rękę [...] dał próbkę ideologii i kultury Żeromskiego” na przykładzie *Przedwiośnia*, w którym „ordynarność walczy o lepsze z pornografią”³¹. I takiego oto pisarza dekoruje się najwyższym odznaczeniem państwowym. „Niedawno kapituła Legii Honorowej w Paryżu — pisał Edward Ligocki — odebrała krzyż komandorski autorowi dość miernej książeczyny³², która nawet wiele złego zdziałać nie mogła. Było to raczej ostrzeżeniem dla innych [...] A u nas? U nas Cezary Baryka na czele komunistycznego pochodu rozwija przed Belwederem Wielką Wstęgę *Przedwiośnia*”³³. Poseł na sejm z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji Tadeusz Mendrys ostro zaatakował ministerstwo oświaty za wyróżnienie Żeromskiego nagrodą i za brak protestu „przeciw najwyższemu odznaczeniu tego pisarza. Nie wolno bowiem — pisał w «Głosie Narodu» — Ministerstwu WRiOP wyróżniać wielkich nawet talentów, jeśli one sięją zgniliznę moralną, nie wolno w Polsce wstęgi orderu Odrodzenia dawać ludziom, którzy gloryfikują ruję i poróbstwo, drwią z etyki i uczciwości, głoszą kult wolnej miłości”³⁴.

³⁰ W. Naake-Nakęski, *Salto mortale wielkiego pisarza*, Poznań 1925.

³¹ „Głos Narodu” 1925, nr 137.

³² Mowa tu o powieści Victora Margueritte pt. *Chłopczyca* (1920).

³³ E. Ligocki, *Wielka Wstęga Żeromskiego*, „Rzeczpospolita” 1925, nr 123.

³⁴ T. Mendrys, *Z powodu odznaczenia Stefana Żeromskiego wstęgą orderu Odrodzenia Polski*, „Głos Narodu” 1925, nr 126.

Do rosnącego wokół powieści i jej autora zamętu przyczynił się też niewątpliwie sukces dzieła w rewolucyjnej Rosji, gdzie zostało ono sześciokrotnie przetłumaczone, zdobywając w państwie Sowietów niezwykle rozgłos i poczytność. Ale jeszcze przed ukazaniem się przekładów pojawiły się sygnałne komunikaty w prasie sowieckiej o wymownych i znaczących tytułach: *Komunizm w Polsce wzrasta*, *Znamienny zwrot*. Wiadomość o ostatniej głośniejszej powieści największego współczesnego pisarza Polski „burżuazyjnej” odebrano „jako wyraz przełomu zachodzącego w świadomości” pokaznego odłamu inteligencji polskiej, jako książkę rewolucjonizującą „wbrew tendencjom autora dzięki faktom w niej zestawionym, do czego zmusiło Żeromskiego jego zawsze czujne sumienie artystyczne”. Pozwalano sobie nawet na dość ryzykowne prognozy i przepowiednie, „że obiektywny stan rzeczy popchnie w końcu Żeromskiego na drogę walki społecznej”³⁵.

Komunistyczna krytyka krajowa nie wyciągała tak daleko idących wniosków. Podkreślano wyraźną antyrewolucyjność autora, który odrzucając dawne utopie i naiwne marzenia o szklanych domach, obnażywszy jakoby niewystarczalność ewolucyjnego i kompromisowego programu Gajowca odgrodził się zarazem zdecydowanie od perspektyw przewrotu nie dając żadnej „jasnej i kojącej odpowiedzi” na tragiczne pytania, jakie postawił w swej powieści. Najsumienniejszy i najgłębszy z komunistycznych interpretatorów *Przedwiośnia* Julian Brun-Bronowicz nazwał powieść „wzywaniem trzeciego cudu”, po pierwszym, po wskrzeszeniu państwa polskiego, i po drugim, jakim było zwycięstwo pod Warszawą. Zaś ów trzeci może się wyrazić „w czymś, co wstrząśnie duchem [...] narodu. Sprawić go może garść ofiarnych i nieustraszonych. Albo objawi się w geniuszu jednostki. «Ogień Dana» unicestwi zmorę najazdu. Twórczy geniusz doktora Baryki, wynalazcy «szklanych domów», mocą swej woli, cudem swego czynu odkupi małość i gnuśność współziomków. *Przedwiośnie* to oczekiwanie, wzywanie trzeciego cudu”³⁶.

Żeromski przeżywał całą tę burzę i nagonkę bardzo dotkliwie. Nie zrozumiano go, mylnie odczytano jego rzeczywiste intencje. Na obelgi osobiste, dotyczące jego zasad i kwalifikacji moralnych, odpowiadać nie zamierzał i nie chciał, ale zarzuty polityczne dotknęły go i poruszyły głęboko, nie mógł ich pominąć milczeniem. W tym właśnie czasie, w samym najgęstszym ogniu, jakim obłożono *Przedwiośnie*, ukazał się w gazecie rosyjskiej „Za swobodu”, wychodzącej w Warszawie, *List otwarty do P. Żeromskiego* emigracyjnego pisarza Michaiła Arcybaszewa. List był ostrym protestem przeciw jednemu określeniu, wyszperanemu pracowicie

³⁵ Zob. W. Broniewski, *Sześć przekładów rosyjskich „Przedwiośnia”*, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 39.

³⁶ J. Brun, *Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek*, „Skamander” 1925, t. 5, z. 40 - 42.

z całej dużej powieści, a odnoszącemu się do osoby i pewnego marginesu twórczości Aleksandra Puszkina. Młodociany bohater opowiadania zgodnie z zainteresowaniami swojego wieku „budował wraz z innymi skrytki w skalnych pieczarach [...] w celu przechowywania zakazanych książek, nieprzyzwoitych wierszy Puszkina i innych pornografów”. Wyjaśniając Arcybaszewowi, że to przecież nie on, pisarz, lecz jego powieściowy bohater, i to w określonym momencie życia nazywa Puszkina „pornografem”, Żeromski postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji i odpowiedzieć jednocześnie swoim krytykom i recenzentom rosyjskim. Robiąc aluzję do pomówień, że swą nową powieścią dał jakoby wymowny i jednoznaczny wyraz swym komunistycznym sympatiom, odcinał się kategorycznie od wykładni tego rodzaju:

Oświadczam krótko — pisał w tej „odpowiedzi Arcybaszewowi i innym” — iż nigdy nie byłem zwolennikiem rewolucji, czyli mordowania ludzi przez ludzi z racji rzeczy, dóbr i pieniędzy — we wszystkich swych pismach, a w *Przedwiośniu* najdobitniej potępiałem rzezie i kaźnie bolszewickie. Nikogo nie wzywałem na drogę komunizmu, lecz za pomocą tego utworu literackiego usiłowałem, o ile to jest możliwe, zabiec drogę komunizmowi, ostrzec, przerazić, odstraszyć. Chciałem, jak to zaznaczył jeden z czujnych krytyków polskich, a człowiek serca — „uderzyć w sumienie polskie” — wezwać do stworzenia wielkich, wzniosłych, najczyściej polskich, z ducha naszego wystających idei, dokoła których skupiłaby się zwartym obozem młodzież, dziś pchająca się do więzień, ażeby w nich gnść i cierpieć za obcy komunizm. Nie zrozumiano mej przypowieści. Nie uderzyłem w sumienie, lecz tu i tam trafiłem w brzuch, tu i tam w serce poczciwe, niewiedzące, zaślepione. Nie zrozumiano ohydny, okropności, tragedii pochodzącej na Belweder — sceny, przy której pisaniu serce mi się łamało. Koroną moich usiłowań stały się pochwalne artykuły w pismach moskiewskich, głoszące, iż przyłączyłem się do komunistów, po prostu i bez namysłu, jakbym się oto zapisał do cyklistów albo esperantystów.

Nie, panowie władcy Moskwy i panowie sympatycy władców Moskwy. Sprawa „nie ma tak dobrze”. Zawsze, wciąż, dawniej i teraz mówię to samo, iż tutaj w Polsce musimy wypracować, stworzyć, wydzwignąć, wdrożyć w życie idee, które by przewyższyły moskiewskie, które by dały naprawdę i w sposób mądry ziemię i dom bezrolnym i bezdomnym, które by wydzwignęły naszą świętą, wywalczoną ojczyznę na wyżynę świata, gdzie jest jej miejsce.⁸⁷

Bezprzykładna, brutalna, nie przebierająca w środkach i słowach zmasowana nagonka na autora i jego książkę, wywołała kontrmanifestacje sprzeciwu i solidarności z pisarzem. Koło Polonistów Studentów Uniwersytetu Warszawskiego przesłało do „Wiadomości Literackich” list protestacyjny, biorący w obronę nową powieść przeciw bezpodstawnym zarzutom i pomówieniom o „szerzenie idei antypaństwowych i niemoralnych, o wywieranie deprawującego wpływu na młodzież”. To ewidentne nieporozumienie — można było przeczytać w owym liście — „oburzyło do głębi młodzież polską [...] która gorąco protestuje przeciw podobnym wystąpieniom, a jednocześnie składa wyrazy hołdu i uwielbienia wielkiemu

⁸⁷ S. Żeromski, *W odpowiedzi Arcybaszewowi i innym*, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 10, przedr. [w:] *Elegie...*, s. 119 - 120.

pisarzowi, dla którego zagadnienie bytu narodu i jego postępu moralnego jest wciąż najżywotniejszą sprawą³⁸.

Maria Jehanne-Wielopolska nazwała tę nie mającą przykładu kampanię przeciw twórcy i jego dziełu „samożerstwem polskim”.

Kiedy Stefan Żeromski — pisała — w głębokiej, bolesnej zadumie nad przeszłością i teraźniejszością narodu dał swego czasu *Popioły*, *Walgierza*, *Dumą o hetmanie i Sułkowskiego*, a dzisiaj, w twardym związku będący z całą jego twórczością radosny hejnał *Wiatru od morza* — kto w Polsce odrodzonej podniósł głos, aby tego pisarza uczcić, aby odznaczyć najwyższym odznaczeniem, na jakie nas stać, ów talent, tyle chwały ojczyźnie przynoszący!? Nikt.

W milczeniu zjadano, jakby z łaski, chleb święty, chleb pożywny jego twórczości [...] Ale kiedy się komuś, gdzieś, kiedyś, nagle przypomniało przy tej okazji, że Żeromski napisał *Dzieje grzechu* [...] zaraz znalazły się jakieś klany, jakieś damy, jakieś, pozał się Boże, pismaki płatne, zmieniające co kwadrans orientację, które zakrzyknęły: „cofnąć odznakę Żeromskiemu!!!” [...] Kiedy zdarzy się moment na pochwałę, na pokłon komuś, nie ma nikogo, lecz kiedy uderzy godzina jakiegoś domnie-manego czy istotnego pobłędzenia, zachwiania — znajdują się bezwzględnie tysiące, rozżętnione radością, pijane gorliwością, gotowe pluć aż do ostatniego tchu [...] Samo-zjadanie, samożerstwo panoszy się u nas coraz potężniej pod łatanym płaszczkiem z gronostaj, któremu na imię (*nom de guerre!*) — „obowiązek obywatelski”³⁹.

Te nieliczne zresztą głosy obrończe wywoływały z kolei ponowne ataki przeciwników, coraz bardziej obelżywe i niewybredne. Franciszek Ksawery Pusłowski nie liczył się już z żadnym słowem:

chamstwo uczuć, bezwstydną lubieżność i ruja bydlęcych bipedów, ulubiony temat p. Żeromskiego.

Ta sama przepaść niezmierną dzieli Annę Kareninę od Laury Kościenieckiej, co p. Żeromskiego od hr. Tołstoja [...] Odczytajcie sobie genialny opis upadku Anny Kareniny [...] Potem powąchajcie cuchnącą kloakę *Przedwiośnia*, obrzydliwy dialog, po którym „Cezary stoczył się w objęcia czystego szczęścia” [...]

I autora takiego baciarstwa literackiego umieszcza się w prytaneum Zamku Warszawskiego! Zaprawdę upadliśmy nisko.

Ustał prymitywny rozmach wielkiego talentu opisowego, rozżarzonego żądzami młodości, pozostaje tylko lubieżne grzebanie w pogorzeli przepalonego hipererotyzmu, odsłaniające zupełny brak kultury i ordynarność z grubsza ociosanej natury.

Zadne wykrętne dowodzenia nie obalą logicznego wniosku: W *Przedwiośniu* bohater p. Żeromskiego ostatecznie dokumentuje swe przekonania, maszerując wraz z komunistami na wojsko polskie, broniące Belwederu.

Wiosną — po tej przesłance — może być tylko: Bolszewizm w Polsce.⁴⁰

Żeromski przyjmował to zdające się nie mieć końca pasmo obelg, insynuacji i pomówień z coraz większą, bezradną rezygnacją: „Cóż ja mogę poradzić” — mówił w rozmowie z przygodnym dziennikarzem, który dotarł aż do jego samotni w celu uzyskania wywiadu — gdy dla „pp. Rostworowskiego i Pusłowskiego jestem bolszewikiem, dla innych zaś —

³⁸ „Wiadomości Literackie” 1925, nr 28, zob. dział *Korespondencje*.

³⁹ M. Jehanne-Wielopolska, *Mobilizacja przeciw Żeromskiemu*, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 32.

⁴⁰ F. K. Pusłowski, *Przez-czas Żeromskiego*, „Głos Narodu” 1925, nr 206.

reakcjonistą. Wiec studentów wszechpolskich publikuje jakąś rezolucję skierowaną przeciwko mnie, w Rosji ukazało się już sześć przekładów *Przedwiośnia*, a dla radykalnych lewicowców jestem wciąż konserwaty-
stą”⁴¹. Nie ufał krytyce i nie bardzo się jej wyrokami przejmował; wątpił nawet, czy po śmierci Ignacego Matuszewskiego ona w ogóle jeszcze w Polsce istnieje. Od wiosny r. 1925 coraz ciężiej chorował, „ciągle ostatnimi czasy choruję i choruję — pisał do kuzyna Saskiego. — Płuca szkodzą nerkom, a nerki sercu”⁴². W miesiącach letnich stan chorego wydawał się bardzo groźny, miewał ciężkie ataki nocne, połączone z dusznością i majaczeniami. Były to obrzęki płucne, „w które chory jak gdyby powoli sam się wprowadzał”⁴³. „Miał w nich pewien udział czynnik nerwowy”, ale ich genezą anatomiczną „było wyniszczenie mięśnia sercowego” na tle zmian sklerotycznych, „które powstały wcześniej na tle starej gruźlicy”⁴⁴. Latem główną opiekę nad pisarzem przejął doktor Leon Zieliński, który przez zastosowanie nowego środka, nieosiągalnego w sprzedaży, ale wydanego przez Ministerstwo Zdrowia, gdzie znalazło się reklamowe opakowanie, doprowadził do wydatnej poprawy, usunięcia obręzków i związanych z nimi, szczególnie uciążliwych dla chorego objawów. Żeromski wrócił do normalnej równowagi psychofizycznej i ten stan trwał już do końca. Rokowania były jednak nadal niedobre, spodziewano się możliwości zgonu w każdym z powtarzających się, raptownych stanów zapaści.

W tym właśnie czasie wpadła Żeromskiemu do rąk książka profesora Witolda Rubczyńskiego *Filozofia życia duchowego* (Poznań 1925). Dzieło to, poświęcone zagadnieniu niezniszczalności ducha, a poczęte z cierpienia po stracie syna-młodzieńca, przesłał był autor Żeromskiemu z potrzeby serca, w odruchu ludzkiej wspólnoty i solidarności w nieszczęściu. Żeromski czytał je pilnie, wracał do tej książki w chorobie, miał ją stale przy sobie, robił z niej notatki, zapisywał własne refleksje. Jakby w przeczuciu nieuniknionego i zbliżającego się kresu myśl jego krążyła ustawicznie wokół zagadnień ostatecznych: życia i śmierci, sensu trwania i grozy unicestwień, okrucieństwa bytu i nadziei nieśmiertelności. Spisywał w osobnym zeszytiku jawiące mu się wówczas owe jedynie ważne i odwieczne pytania bez odpowiedzi oraz tajne, niewypowiedziane wyznania serca:

„Och, jakże trudno jest wierzyć, iż zagłada bytu, przemiana w glinę i w cuchnące gazy nie jest jedynym celem istnienia! [...]

⁴¹ I. Deutscher, *Rozmowa z Żeromskim*, „Nasz Przegląd” 1925, nr 320.

⁴² W liście z 14 listopada 1925. Zob. Stefan Żeromski. *Kalendarz...*, s. 480.

⁴³ Według relacji dra Antoniego Stefanowskiego, spisanej przez W. Borowego w książce *O Żeromskim. Rozprawy i szkice*, Warszawa 1960, s. 288 i n.

⁴⁴ Ibid.

Wygraną w tajemniczym igrzysku sił skrytych a widomym zadaniem potęg, nie dających się dostrzec, jest naga, zimna, obojętna śmierć”⁴⁵.

Czym jest dusza i czy w ogóle istnieje, czy „sięga poza ciało i trwa nadal w oderwaniu od niego [...]”⁴⁶.

„Dana nam jest wolność, lecz wolność skazańca wplecionego w koło konieczności”⁴⁷. W tragicznym rozdarciu między ową straszliwą koniecznością a szaleńczą, rozpaczliwą nadzieją, jedynej łaski ukojenia zdaje się używać modlitwa.

Jest niewiadoma i nie dająca się wymierzyć potęgą zawarta w modlitwie.

Kiedy leżymy na ziemi powaleni przez nieszczęście, kiedy strugi łez wylewamy w kamienie, coś zdobywamy, gdzieś się wdzieramy, stajemy się komuś wszechpotężnemu równymi, kto jest sprawiedliwością i miłosierdziem.

On to straszliwymi karami [...] uczy [nas] wewnętrznego nasłuchiwania [...]

Sciska aż do uduszenia żelaznymi szponami, aż do ostatniego podrzutu nieszczęsne serce, ażeby zeń krople świętości wycisnąć [...]

Ktoś ukazuje mi wciąż, wczoraj i dziś, w ciągu długotrwałego życia to potrącenie aż na sam brzeg przepaści i nagłą łaskę odpuszczenia.

Ileż to razy głowa moja upadała w ostatnim znużeniu na błogosławioną dłoń spokoju i w łasce dłoni tej spoczywała!

O, dziwne, dziwne, dziwne — o, przedziwne zjawisko!⁴⁸

W tych to miesiącach fizycznego cierpienia i lęków duszy wyłoniło się nieoczekiwane, może w drodze naturalnej samoobrony i przemożnej tęsknoty za nieosiągalnym, nie do odzyskania już nigdy, zawsze w nim obecne, utajone najgłębiej, niewygasłe marzenie. O Łysicy, o Strawczanej, Stróżnej, Klonowej, o „górach domowych” Kamieniu i Radostowej, marzenie o tamtym samym sobie, minionym i nie istniejącym młodzieńcu, co samotnie przebiegał pustkowie leśne, nachylał się „nad burzliwą, kipiącą wieczyście wodą źródła świętego Franciszka”, wsłuchiwał pilnie, „jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem”, co przypada i odchodzi daleko szczytami gór i lasów⁴⁹. I tak powstał jeden z najprzedziwniejszych poematów Żeromskiego, wypowiedziany jakby ostatnim oddechem i westchnieniem — *Puszcza jodłowa*, wydrukowana w *Almanachu „Biblioteki Polskiej”* na r. 1925.

Ale to przeszłe, gdzieś stracone i zagubione na drogach życia, miało jeszcze nieoczekiwane, na mgnienie chwili powrócić w niezwyklej i niespodziewanej postaci. Z początkiem r. 1925, w krakowskim dzienniku „Głos Narodu” ukazał się przedziwny apel, zredagowany po łacinie przez żyjącego jeszcze wówczas, sędziwego katechetę pisarza z lat kieleckich,

⁴⁵ S. Żeromski, [Ostatnie notaty], [w:] *Elegie...*, s. 366 - 367.

⁴⁶ *Ibid.*, s. 370.

⁴⁷ *Ibid.*, s. 371.

⁴⁸ *Ibid.*, s. 371 - 372.

⁴⁹ S. Żeromski, *Puszcza jodłowa*, [w:] *Pisma*, t. 4, cz. 4, s. 265.

księdza prałata Teodora Czerwińskiego. Dawny nauczyciel religii znał oczywiście i obserwował z uwagą zawrotną karierę swego ucznia, nie zawsze akceptował ton i kierunek jego twórczości, uznawał talent artysty, kwestionował aspiracje i kwalifikacje moralne ideologa. Czuł się w swym sumieniu kapłańskim odpowiedzialny za duszę tego dawnego swego ucznia i wychowanka. Ten swój niezwykły apel potraktował jako próbę odnalezienia się po latach i wyciągnięcia ręki przyjaznej ku duchowej pomocy. „Chodziło mi [...] — wyjaśniał w broszurce, wydanej już po śmierci pisarza — o ujęcie [go] sobie i przygotowanie [...] do przyjęcia [...] dalszej co do niego akcji kapłańskiej”⁵⁰, o „uporządkowanie jego sumienia i dobro jego duszy”⁵¹.

Żeromski przyjął to wezwanie. Musiał zapewne zachować mimo dawnych młodzieńczych buntów jednak dobre wspomnienie o swym przewodniku duchowym, skoro wysyłając mu na ów apel poemacik o *Wiśle* kładł na nim znamienne, jakże wymowną dedykację: „Czcigodnemu Księdzu Prałatowi Teodorowi Czerwińskiemu, z którego ust nie słyszałem przynigdy, przez cały czas pobytu w rusyfikacyjnej szkole ani jednego rosyjskiego wyrazu, Kochanemu Mistrzowi i surowemu Nauczycielowi w sprawach duszy — ten skromny upominek jako wyraz wdzięczności z prośbą o pamięć i modlitwę”⁵². Do przesyłki dołączał list, w którym powierzał swemu dawnemu wychowawcy najgłębsze cierpienie i największą troskę tych ostatnich dni życia:

Po stracie dziewiętnastoletniego syna [...] — pisał w tym liście — mam jedynie dwunastoletnią córkę Monikę, która jest radością i nadzieją mego życia.

Prosząc dla niej o błogosławieństwo Twe na życie cnotliwe, któregoś nas uczył w dzieciństwie naszym w Świętej Trójcy, i o modlitwę, Czcigodny Ojcze Przewodniku, zasylałam życzenia najdłuższych lat, wszelkiego dobra i wszelkiej łaski u Boga.⁵³

Korespondencję przerwała ciężka choroba Żeromskiego. Tylko mała Monika doniosła o swej pierwszej komunii i zapowiedziała list ojca, którego już nie zdołał napisać. Ale może jakimś echem tego przedziwnego spotkania były znamienne słowa, wpisane do albumu pani Konradowej Olchowiczowej w ostatnim miesiącu życia: „W moich stronach rodzinnych (w Górach Świętokrzyskich), jeżeli kto odchodzi w daleką drogę, żegna tego, kto pozostaje, słowem — «ostaj z Bogiem» — a tamten w zamian prowadzi go życzeniem: «idź z Bogiem». Szkoda, że tego miłego Towarzysza wędrówki nie życzą sobie nawzajem ludzie miejscy, pośpiesznie biegnący po zawiłych szlakach kamieni”⁵⁴.

⁵⁰ T. Czerwiński, *Dookoła St. Żeromskiego*, Kielce 1926, s. 4.

⁵¹ T. Czerwiński, *Pamiętnik*, cz. 2, Kielce 1931, s. 73.

⁵² *Ibid.*, s. 73 - 74.

⁵³ *Ibid.*, s. 75.

⁵⁴ *Elegie...*, s. 365.

Pozostała jeszcze do załatwienia sprawa, która stanowiła największą udrękę lat ostatnich. Nowe stosunki rodzinne Żeromskiego wciąż były nie uregulowane formalnoprawnie. Już w okresie paryskim i później zakopiańskim podejmował Żeromski w tym kierunku pierwsze starania, zapewne połowiczne, hamowane oporami ze względu na obecność w całej tej tragicznej sprawie Adasia. Zachowywano pozory i podtrzymywano złudzenia dla spokoju tego nieszczęsnego, chorego chłopca, którego młodzińcze uczucia szamotały się zapewne bezradnie między miłością do matki, uwielbieniem dla ojca, a tym wielkim rozczarowaniem, w którym łąmac się zdawała jego chłopięca wiara. Wielokrotnie ponawiane po śmierci syna prośby o wyrażenie zgody na rozwód spotykały się niezłomnie z odmową. Dla Oktawii Żeromskiej była to jakowaś próba rozpaczliwego ratowania i obrony swych praw i podtrzymania związku, który dawno nie istniał. Przeprowadziła się z Nałęczowa do Warszawy, pragnąc męża spotykać choćby z daleka, na ulicy. Przeżywała okresowe stany zamroczeń i nierównowagi psychicznej. Próbował dotrzeć do jej świadomości i uzyskać jej zgodę poprzez matkę Oktawii i jej braci — odmawiali wszelkiej pomocy. Ostatni list w tej sprawie napisał na dwa miesiące przed śmiercią 24 września 1925 r. Prosząc o podpisanie oświadczenia odwoływał się do jej znanych mu uczuć „wzniosłości i wspaniałomyślności”: „Wśród męczarni choroby, która mię od tyłu miesiący prześladowuje, bardziej niż męczarnie fizyczne nękała mnie i nęka myśl o losie niewinnego dziecka, mojej córki Moniki, którą mam zostawić na świecie bez praw i nazwiska”⁵⁵. List pozostał bez odpowiedzi, nie dotarł po prostu na czas do świadomości adresatki. Była właśnie ponownie w jednym z owych periodycznie powracających stanów omroku, poza światem. Wtedy zapewne, wbrew sobie, w sytuacji, jak mu się zdawało bez wyjścia, powziął zamiar zmiany wyznania. Nie zdołał już tego przeprowadzić. Pozostał zapis w testamencie, stwierdzający uznany przez niego stan faktyczny: „Wszystko, cokolwiek posiadam z mojego pisarskiego dorobku [...] rozporządzam i zapisuję w połowie: a) córce Monice, urodzonej we Florencji 31 maja 1913 r., b) żonie Annie z Zawadzkich Żeromskiej, ur. w 1890 r., którą z całą świadomością uznaję za żonę swoją i mianuję spadkobierczynią, wbrew wszelkiej innej opinii, która by związek ten inaczej traktować zamierzyła”⁵⁶.

Dzień 19 listopada 1925 r. zupełnie nie zapowiadał katastrofy. Pisarz czuł się wyraźnie lepiej; jego wydawca, odwiedzwszy go wieczorem, zastał go siedzącego przy stole, rozmownego i ożywionego, „pani Anna wyszła gdzieś, korzystając nareszcie z odzyskania swobody ruchów po [...] miesiącach nieustannego czuwania [...]”⁵⁷. Po spokojnie spędzonej nocy

⁵⁵ Zob. K. Jabłońska, *Oktawia. Opowieść o Oktawii Żeromskiej*, Lublin 1967, s. 247.

⁵⁶ Stefan Żeromski, *Kalendarz...*, s. 486.

⁵⁷ H. Mortkowicz-Olczakowa, *O Stefanie Żeromskim. Ze wspomnień i dokumentów*, Warszawa 1964, s. 423.

obudził się nazajutrz około godziny 11 i zadzwonił na domowników. Gdy na prośbę chorego, aby rozchylić zasłony, pani Anna stojąc na wysokim parapecie zamkowego okna mocowała się ze storą, zanim zdołała to uczynić, usłyszała jęk i westchnienie. Śmierć nastąpiła gwałtownie, momentalnie, na aneuryzm serca.

Wiść o zgonie Stefana Żeromskiego lotem błyskawicy obiegła miasto. Już w parę godzin po zdarzeniu zaczął się formować długi korowód, zdążający do skromnego mieszkania na drugim piętrze pod basztą, w oficynie zamkowej. W dniu następnym wystawiono zwłoki pisarza w sali kolumnowej na Zamku, przemienionej na tę uroczystość w kaplicę. Zaskoczeniem dla powszechnej opinii i dla organizatorów pogrzebu stały się dopiero teraz ujawnione starania zmarłego o przejście na kalwinizm, co stwarzało sytuację dość kłopotliwą w państwie i kraju, w którym wyznaniem panującym był katolicyzm. Powagę czasu żałoby zmąciły więc publiczne spory na temat zasięgu i charakteru uroczystości pogrzebowych. Nie było już oczywiście mowy o udziale duchowieństwa katolickiego. Adolf Nowaczyński protestował przeciw pochowaniu zmarłego na cmentarzu ewangelickim, skoro cała twórczość pisarza z tym wyznaniem nic nie miała wspólnego. Zastanawiano się nad formą i zakresem uczestnictwa władz oficjalnych. Opinia ogółu domagała się stanowczo, aby hołd ostatni Stefanowi Żeromskiemu wypadł najgodniej, wpływowe czynniki w rządzie, w sejmie i prasie, w których nie brakło ideowych popleczników niedawnej przeciw pisarzowi napastliwej batalii, usiłowały sprowadzić uroczystość do ram skromnych, jak najmniej oficjalnych. Skończyło się na kompromisie. Pogrzeb na koszt państwa odbył się w poniedziałek 23 listopada 1925 r. Właściwy obrzęd poprzedził akt dekoracji zmarłego wielką wstęgą orderu Polonia Restituta. Nad trumną przemówił minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Stanisław Grabski. Przed Zamkiem ustawiły się w ordynku wojskowym szwadron I pułku szwoleżerów, kompania 30 pułku piechoty, dywizjon artylerii i oddziały policji; nad miejscem uroczystości krążyły samoloty. Prezydent Wojciechowski był obecny jedynie przy wyprowadzeniu zwłok z Zamku, pozostali członkowie rządu wycofali się na Placu Bankowym. Przy dźwiękach marsza żałobnego Chopina kondukt pogrzebowy zdążył Placem Zamkowym, ulicą Senatorską, Placem Teatralnym, Elektorálną, Chłodną, wśród błotnistych wybojów warszawskiego przedmieścia aż na cmentarz przy ulicy Młynarskiej. Młodzi poeci — Lechoń, Wierzyński, Iwaszkiewicz, nieśli odznaczenia zmarłego. Wzdłuż całej trasy orszaku pogrzebowego trzymała szpaler młodzież szkół powszechnych, średnich i wyższych. A za nią — tłumy.

Dzień był pochmurny, słotny, listopadowy. Osłonięte kirem latarnie słały w posępną szarość jesiennego południa smutne, żałobne, znikome światło. Ktoś pisał w owym dniu wyrażając myśli i uczucia powszechne:

Polska w ten jeden ranek listopadowy zubożała i przygasła jak dom ubogi, z którego anioł śmierci wyniósł płonące łuczywo.

Obowiązkiem naszym jest teraz zebrać w jeden płomień wszystkie błędne ogniki naszych serc, aby przyświecać dalej ludziom pracującym w mroku i tam płonąć najjaśniej, gdzie jest najsmutniej i najciemniej.⁵⁸

Rozdział I

⁵⁸ Czarom słów, świętości uczynków, płomieniem myśli Stefana Żeromskiego hołd pośmiertny składają w żałobie poeci Skamandra i redakcja „Wiadomości Literackich” (1925, nr 48 <100>).

TO „NAJPIERWSZY OBOWIĄZEK”

POLAKÓW

Wiosną 1890 r. wykończył był Żeromski na kondycji w Łysowie niewielki utwór, któremu nadał tytuł *Początek*. Opowiadanie przeznaczone zostało dla „Tygodnika Powszechnego”, którego wydawca i redaktor Wiktor Gomulicki okazał już poprzemnie wiele życzliwości debiutantom drukując w swoim piśmie pierwsze jego obrazy. Rękopis wysłany Gomulickiemu dotarł do adresata w momencie, w którym na skutek kłopotów finansowych „Tygodnik” zakończył swe istnienie. Teżli Żeromskiego spoczął więc w łecze redakcyjnej, i to spoczął na lata, bo zarówno redaktor o nim zapomniał, jak i sam autor machnął nad ręką jako na wydarzenie ostatecznie nieważne. Pierwszą wiadomość o tym „zaginionym” utworze podał dopiero w r. 1927 Józef Ujejski, opierając się na informacji przekazanej mu przez Anielę Rządewską. Żyjącą jeszcze wówczas łysowska eks-Muza Żeromskiego o istnieniu tego utworu oczywiście wiedziała; jego drugą, odróbną wersję wysyłała przed laty z propozycją druku Mieczysławowi Pawlikowskiemu, opiekującemu się dziełami literackimi krakowskiej „Nowej Reformy”, bez skutku zresztą. Dopiero w 1940 r. Juliusz Wiktor Gomulicki przeglądając obfite archiwum ojcowskie natknął się na ów zaginiony i zapomniany tekst *Początku*. Wydsienie tak interesującego znaleziska w warunkach okupacyjnych było prawie niemożliwe, toteż utwór przeszedł się w ukryciu późniejszych lat cisiery i dopiero w r. 1944, gdy zaczęła działać w Warszawie konspiracyjność uliczna i spółka wydawnicza, po 55 latach utajonego żywota ten młodzieńczy utwór znakomitego pisarza dostąpił wreszcie światła objawienia się. *Początek* opuścił oficynę w godzinach południowych 1 sierpnia 1944, a w parę godzin później wybuchło powstanie. Pod grzesami stał się cały

1. Ujejski, Z młodych lat Stefana Żeromskiego, „Ruch Literacki” 1927, nr 9.
2. Dla zwolenników okupantów na karcie tytułowej podane sformułowanie drukarskie świadczyło dezinformująco: Stefan Żeromski, *Początek*. Nieznana nowela młodzieńcza z autografu wydał i wstępem poprzedził dr Franciszek Kayta, Łódź 1938, nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Głębok” i za oficyną Głęboko zainicjował drukarni „Antykwa” w Łucku, WG 1474.

Cześć II TEMATY

Rozdział I

OJCZYŻNA

TO „NAJPIERWSZY OBOWIĄZEK” POLAKÓW

Wiosną 1890 r. wykończył był Żeromski na kondycji w Łysowie niewielki utwór, któremu nadał tytuł *Pocałunek*. Opowiadanie przeznaczone zostało dla „Tygodnika Powszechnego”, którego wydawca i redaktor Wiktor Gomulicki okazał już poprzednio wiele życzliwości debiutantowi drukując w swoim piśmie pierwsze jego obrazki. Rękopis wysłany Gomulickiemu dotarł do adresata w momencie, w którym na skutek kłopotów finansowych „Tygodnik” zakończył swe istnienie. Tekst Żeromskiego spoczął więc w tece redakcyjnej, i to spoczął na lata, bo zarówno redaktor o nim zapomniał, jak i sam autor machnął nań ręką jako na wydarzenie ostatecznie nieważne. Pierwszą wiadomość o tym „zaginionym” utworze podał dopiero w r. 1927 Józef Ujejski¹, opierając się na informacji przekazanej mu przez Anielę Rzażewską. Żyjąca jeszcze wówczas łysowska eks-Muza Żeromskiego o istnieniu tego utworu oczywiście wiedziała; jego drugą, odmienną wersję wysyłała przed laty z propozycją druku Mieczysławowi Pawlikowskiemu, opiekującemu się działem literackim krakowskiej „Nowej Reformy”, bez skutku zresztą. Dopiero w 1940 r. Juliusz Wiktor Gomulicki przeglądając olbrzymie archiwum ojcowskie natknął się na ów zaginiony i zapomniany tekst *Pocałunku*. Wydanie tak interesującego znaleziska w warunkach okupacyjnych było prawie niemożliwością, toteż utwór przeleżał się w ukryciu dalszych lat cztery i dopiero w r. 1944, gdy zaczęła działać w Warszawie zakonspirowana oficyna i spółka wydawnicza, po 55 latach utajonego żywota ten młodzieńczy utwór znakomitego pisarza dostąpił wreszcie łaski objawienia się światu². Drucelek opuścił oficynę w godzinach południowych 1 sierpnia 1944, a w parę godzin później wybuchło powstanie. Pod gruzami stolicy cały

¹ J. Ujejski, *Z młodych lat Stefana Żeromskiego*, „Ruch Literacki” 1927, nr 9.

² Dla zmylenia okupantów na karcie tytułowej podano informację drukarską świadomie dezinformującą: Stefan Żeromski, *Pocałunek. Nieznana nowela młodzieńcza*. Z autografu wydał i wstępem poprzedził dr Franciszek Kawka, Lwów 1938, nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Globus”. I na odwrocie: Odbito czcionkami drukarni „Antykwa” w Łucku, WG 1474.

prawie nakład uległ zniszczeniu; prawie cały, z wyjątkiem kilku egzemplarzy, cudem w istocie ocalałych. Jeden z nich, nabyty natychmiast po wydrukowaniu, jeszcze w stanie „gorącym” wyciągnięty spod prasy, wywiózł na Zachód z pożogi powstańczego dramatu bibliofil warszawski Józef Chudek, drugi wygrzebała rękami spod gruzów i zgłiszczy swego mieszkania pani Gomulicka. Ten przypadkiem odnaleziony i uratowany egzemplarz stał się podstawą pierwszej, już jawnej publikacji utworu w numerze 5 „Twórczości” z r. 1945.

Kilka podniet złożyło się na powstanie owego tajemniczego tak długo *Pocałunku*. W czerwcu r. 1889 był Żeromski po raz pierwszy w Krakowie w związku z kuracją chorej ręki. Zwiedził wówczas Wawel i podziemia katedry, wstrząsającym przeżyciem stało się dla niego spotkanie po raz pierwszy z malarstwem Grottgera. „Stałem przed Grottgerem — napisze w parę lat potem w liście do narzeczonej po którejś z późniejszych swoich wizyt w Krakowie — i myślałem o czymś dawnym, przecudnym, co się dziś zmieniło dla mnie na smutek rozproszony dokoła, leżący w powietrzu, wyrastający spod nóg”³.

Pod koniec owego roku 1889 podążył Żeromski do Łysowa. W sąsiadującym tuż o miedzę Janowie Podlaskim znajdował się starożytny kościół, w którego podziemiach pochowany był autor *Głosu umarłych* Adam Naruszewicz. Łysowski guwerner, rozmiłowany w studiowaniu przeszłości i terażniejszości swojego kraju, nie pominął okazji i nie omieszkał się pokłonić prochom poety. Otóż wszystkie te zdarzenia i towarzyszące im pobudzenia uczuć i wyobraźni, złożyły się na osnowę *Pocałunku*, jako sceneria, tło, przestrzeń literacka, klimat ideowo-emocjonalny, w którym umieścił autor swą fikcyjną historię.

Temat opowiadania przy pozorach weryzmu nieprawdopodobieństwem sytuacji wykluczał jakąkolwiek konkretno-życiową i realistyczną interpretację zdarzenia. Śmieszny, brzydki, pokraczny pomocnik referenta z „kraju przywiślańskiego” raz jeden w życiu wybrał się za granicę do starożytnego miasta, słynącego z pamiątek wielkiej, znakomitej, lecz minionej dawno przeszłości. W czasie zwiedzania galerii obrazów zwrócił jego uwagę jeden zwłaszcza rysunek nie znanego mu dotychczas malarza, *Znak* z cyklu *Litwania* Grottgera. Nie mógł oderwać odeń oczu, przebudzał w nim i odgrzebywał spod popiołów jakieś wzruszenia zdawało się na zawsze umarłe. Przed tym samym obrazem spotkał „przecudną nieznaną”. I ona również była wyraźnie urzeczona wizją artysty. Była tak niewysłowienie, nieziemsko piękna, że niepozorny pomocnik referenta zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, zakochał się raz na zawsze, na całe życie. Zapatrzony w nieznaną wlecze się za nią, razem wstępują na wyniosłe wzgórze, na którym wznosi się posepna i czcigodna bu-

³ W liście do Oktawii z 13 stycznia 1892. Zob. J. Kądziała, *Młodość Stefana Żeromskiego*, Warszawa 1976, s. 409.

dowla, razem schodzą w podziemia starożytnej świątyni i tu, u sarkofagu wielkiego człowieka, jednego z nieśmiertelnych bohaterów narodu, rozgrywa się kulminacyjna i rozstrzygająca ideowo scena opowiadania. W jakimś niepojętym momencie dzikiego uniesienia, pod wrażeniem tego miejsca, w którym skupiła się jak gdyby cała wielka, wspaniała przeszłość i tragedia narodu, wśród łez dumy i bezbrzeżnej rozpaczyny nieznajoma pochyla się nad przygodnym świadkiem zdarzenia i składa na jego czole pocałunek.

Alegoryczny sens tej przedziwnej historii jest oczywisty. Utwór jest transpozycją na obraz literacki wzruszeń i myśli, które zapewne nieraz nawiedzały młodego autora, poszukującego swojej własnej idei u początku drogi pisarskiej. Pocałunek jest od dawna zadomowioną w literaturze konwencjonalną metaforą, wyrażającą naznaczenie nieodwołalnym stygmatem powołania, jest symbolicznym znakiem wezwania. Idea umiłowania ojczyzny na zawsze, aż po kres, do ostatniego tchnienia, ucieleśniona w postaci nieziemsko pięknej nieznajomej, pojawia się w życiu narratora opowieści jako nakaz i nie dający się zagłuszyć głos powinności. Jest ostatnią nadzieją i ratunkiem przed niszczącą siłą tkwiącą w niewoli⁴. Ów prowincjonalny skryba miał też kiedyś swoją epokę heroiczną, miał swoje „gwiazdy-prawdy” i zdolny był nawet porywać się na szaleństwo „chodzenia bosymi nogami po rozpalonych na kolor biały sztabach żelaznej rzeczywistości”⁵. Ale to wszystko było; zjadła go i pokonała nikczemność spodłonego, niewolnego istnienia, przeistaczając go powoli w mizernego i pospolitego filistra, chorego „na spokojną pogardę, na plugawą obojętność, na zimny, najedzony, zdrowy rozsądek”⁶. Tylko gdzieś w głębi żarzy się w nim niewidzialnym płomykiem pamięć dawnych uniesień, dręczy „jak wiecznie ropiejąca ranka” wyrzut sumienia. I oto wspomnienie przedziwnego spotkania staje się dla niego kotwicą, która uratuje go przed ostatecznym zatonięciem w morzu podłości. Fatalna siła idei, która poraziła go swym urzekającym pięknem, dźwiga go i wzmacnia w najczarniejszych, przeklętych godzinach życia.

Zatrzymaliśmy się tak długo nad tym młodzieńczym drobiazgiem, bo jest w nim utajony jakby cały przyszły Żeromski. Wszystko tu już jest, co stanowić będzie najistotniejszy rdzeń jego dalszej twórczości. Zapatrzenie się w niedolę polską, w rozpaczliwą beznadziejność życia w niewoli, w ową siłę niszczącą, która jak niedostrzegalnie działająca trucizna zdolna jest łamać najpiękniejszych ludzi, unicestwiać najwspanialsze idee. I bunt przeciw tej poniżającej nędzy niegodnego istnienia, to okrutne

⁴ Zob. A. Boleski, *Początki literackie Stefana Żeromskiego*, „Prace Polonistyczne” S. VIII, Wrocław—Łódź 1951, s. 216 i n.

⁵ S. Żeromski, *Pocałunek*, [w:] *Rozdzióbki nas kruki, wrony...*, Warszawa 1956, s. 271.

⁶ *Ibid.*, s. 275.

i bezlitosne „rozdrapywanie ran, aby nie zarosły błoną podłości”, wierność aż do końca, na zawsze dla spraw wzgardzonych i pozornie przegranych, a w istocie wieczyście nieśmiertelnych.

Już pierwsze opowiadania ujawniły osobowość pisarską o takich właśnie predyspozycjach tematycznych. Dolegliwość bezpośredniego położenia i co dzień doświadczanej rzeczywistości problematykę narodową wysunęła zdecydowanie na miejsce pierwsze i naczelne. W szerokich kręgach społeczeństwa polskiego pod wrażeniem rozmiarów i następstw klęski ostatniego powstania w zastraszający sposób zaczęły szerzyć się nastroje oportunistyczne — serwilizmu, bierności, pogodzenia z niewolą. Nastroje te, jak trucizna, zaszczerpione przez zaborców w organizmie narodu, rozkładając się niszczyły jego wolę, świadomość i moralną zdolność oporu. Żeromski, bezpośredni obserwator i uczestnik tych zjawisk, wprowadził całą tę skomplikowaną i niecenzuralną w istniejących wówczas warunkach problematykę śmiertelnych zagrożeń egzystencji narodowej już w najpierwszych swoich utworach, i to w zakresie i ujęciu, które na tle przyspazonej i trwożliwie ostrożnej literatury pokolenia pozytywistów wydawały się ewenementem niezwykłym i urzekającym. *Niedobitek*, *Ananke*, opowiadania podlaskie *Do swego Boga* i *Poganiń*, *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, *Echa leśne*, *Mogila* przynoszą w sumie, w swojej zawartości treściowej jedną z najprzenikliwszych diagnoz świadomości narodowej społeczeństwa polskiego lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Na czoło wybija się tu niewątpliwie szkic powieściowy z r. 1894 *Mogila*. Ujęty w formę „listów i notatek”, które spisuje młody Polak, odbywający jednoroczną służbę wojskową w 43 astrachańskim pułku piechoty, stacjonującym w przeraźliwej mieścinie o znamiennej wymownej nazwie Wieprzowody, szkic ten jest — dzięki szczególnej skali i wyjątkowemu bogactwu obserwacji — jedynym w swoim rodzaju, wiarygodnym dokumentem socjologiczno-historycznym⁷.

Maurycy Zych jako ochotnik z cenzusem dysponuje większą niż rekruci z poboru swobodą ruchów i dostępu do nieomal wszystkich tajemnic tego mikrośrodowiska, w którym egzystować mu przyszło. Jako osobnik o umysłowości ciekawej i spostrzegawczej z pasją analizuje ów prowincjonalny światek i wyniki swych obserwacji skrętnie dla pamięci notuje. Z tych pamiętnikarskich zapisków wylania się obraz rzeczywistości o niezwykle interesującej panoramie. W swym wewnętrznym zróżnicowaniu środowisko Wieprzowodów wykazuje wszelkie znamiona socjologicznej typowości dla rozległych obszarów prowincji polskiej zaboru rosyjskiego w dobie popowstaniowej — wyższa administracja państwowa,

⁷ Zob. A. Hutnikiewicz, *Wstęp do Wyboru opowiadań Stefana Żeromskiego*, Wrocław 1971, Bibl. Narod. S.I, Nr 203; Z. Lisowski, *Próba monografii „Mogily” Żeromskiego*, „Rocznik Naukowo-Dydaktyczny WSP w Rzeszowie. Nauki Humanistyczne”, z. 3, 1968.

szary tłum biurokratów niższego szczebla, drobnomieszczaństwo, ziemia-
nie. Obojętność tych grup dla sprawy narodowej jest odwrotnie propor-
cjonalna do pozycji, jaką dana grupa zajmuje w hierarchicznej struktu-
rze środowiska. Na tzw. szczytach biurokratycznych polskość rodowodu
jest już tylko skazą dziedziczną, o której chciałoby się raz na zawsze za-
pomnieć. Wielkorosyjski patriotyzm owych „Polaków” jest absolutnie nie-
naganny i mógłby zwycięsko współzawodniczyć z najbardziej szowini-
stycznymi manifestacjami firmowych polakożerców spod znaków Katko-
wa, Murawiewa, Hurki i Apuchtina. Na szczeblach niższych dławi uczu-
cia patriotyczne lęk przed utratą osiągniętego lojalną służbą stanowiska,
strach przed narażeniem się zwierzchnikom, obawa przed zaprzepaszcze-
niem nadziei na poprawę nędznego losu. Ziemiaństwo powiatowe utrzy-
muje przezornie jak najlepsze towarzyskie stosunki z przedstawicielami
władzy państwowej, spotyka się przy zielonych stolikach z panami office-
rami, lichy co prawda mówi po rosyjsku, ale wykazuje chwalebna gorli-
wość w nadrabianiu tych żenujących niedostatków i usiłuje „kłaść akcen-
ty na właściwych sylabach”⁸. Usposobione ugodowo, tchórzliwe i ostroż-
ne, wszystką energię kierujące ku zachowaniu swoich kastowych przywi-
leżów, nastawione na pasożytniczą konsumpcję — ziemiaństwo polskie da-
lek jest od kultywowania heroizmu narodowego.

Ten motyw zapierania się polskości dla chleba, dla wygody, kariery,
z lęku, tchórzostwa, dla uniknięcia represji, będzie się przewijać przez
wiele ówczesnych i późniejszych utworów pisarza. W swej antypolskiej
polityce eksterminacyjnej rząd zaborczy nie cofał się przed żadnym spo-
sobem, byle skutecznym; wyzyskiwał perfidnie ubóstwo i nędzę ludzką,
uciekał się do środków brutalnego nacisku. Stłamszony i zaszczyty przez
życie prowincjonalny skryba z *Ananke*, którego jedynym, choć dosyć wą-
tpliwym osiągnięciem jest obfita progenitura, aby ulżyć swej nędzy, prze-
szedł na prawosławie. Stary dziad-unita z króciutkiego obrazka *Do swego
Boga*, gdy bić zaczęto jego wnuczkę, której po śmierci jej rodziców był
jedynym opiekunem i wychowawcą, nie wytrzymał tego widoku, „pod-
pisał duszę swoją i wnuczki na złą wiarę. Stare u niego było serce, dzie-
dowskie...”⁹. Potwornie niszcząca jest ta siła tkwiąca w niewoli. To ona po-
pycha do dezercji, do rezygnacji, co na wszystkie ideowe porywy odpo-
wiada „nie warto”.

Poszerzoną i pogłębioną wersję objawów zdrady i abdykacji narodo-
wej przyniosła też pierwsza powieść Żeromskiego. Utarło się przekonanie, że *Szyfowe prace* są opowiadaniem o szkole i o walce młodzieży polskiej z antynarodową, rusyfikacyjną funkcją tej szkoły. W istocie jed-
nak zakres tematyczny powieści jest o wiele szerszy, a zawartość proble-
mowa nierównie bogatsza, niżby to z tej potocznej i obiegowanej formuły

⁸ S. Żeromski, *Mogila*, [w:] *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, s. 141.

⁹ S. Żeromski, *Do swego Boga*, [w:] *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, s. 257.

mogło wynikać. Powieściowy Kleryków i jego społeczność gimnazjalna to poniekąd jakby skupiająca soczewka, mikrorzeczywistość życia polskiego, w której w jakimś pomniejszonym formacie dokonują się procesy o znaczeniu powszechnym, typowe i znamienne dla całego społeczeństwa polskiego lat popowstaniowych na obszarze Królestwa Kongresowego.

Nad całością życia ciąży najwyraźniej jedno zdarzenie — klęska powstania. Jest to fakt wszystko właściwie determinujący i tłumaczący — ludzkie zachowania, postawy, reakcje na bieżącą codzienność w skali życia jednostkowego i w skali egzystencji zbiorowej społeczeństwa pokonanego i rzuconego na kolana. Fakt jak najbardziej w każdym atomie narodowego istnienia stale obecny, choć się o nim nigdy głośno nie mówi. Na tym właśnie polega zarówno przenikliwość obserwatora, jak mistrzostwo pisarza, że potrafił pokazać i uprzytomnić przemożne istnienie czegoś, co właściwie na stronicach powieści jako element anegdoty nie egzystuje. Powstanie jednakowoż jest swoiście obecne jako dotkliwie uwieśrajający uraz psychiczny, jako głuche wspomnienie, o którym chciałoby się raz na zawsze zapomnieć, choć w istocie całe to żałosne życie uwikłane jest bez reszty w następstwa tamtego, odległego, tragicznego zdarzenia.

W tę bezoporność rozbrojenego moralnie i porażonego psychicznie społeczeństwa wdziera się obca, wroga siła. Aparat władzy zaborczej doskonale wyzyskuje moment psychologiczny, ów stan utrzymującej się chronicznie zapaści, sparaliżowania ośrodków woli i świadomości narodowej. Głównym frontem natarcia staje się dziedzina oświaty i wychowania. Dla uważnego czytelnika nie ulega najmniejszej wątpliwości, że autor przedstawia tu moment z naszych dziejów niedawnych jeden z najbardziej dramatycznych. Społeczeństwo znalazło się na krawędzi totalnej klęski, zagrożone śmiertelnie w swej najżywotniejszej substancji, bo w swym najmłodszym pokoleniu, naturalnej nadziei każdego organizmu narodowego. Tragizm szczególnie położenia polega na tym, że to najmłodsze pokolenie pozostawione jest zupełnie sobie, że nie może ono liczyć na żadne wsparcie ze strony społeczeństwa ludzi dorosłych. Jest to społeczeństwo znajdujące się w istocie w stanie całkowitej dezintegracji, pozbawione jakichkolwiek celów zbiorowych, jakiegokolwiek programu pracy narodowej.

Jest rzeczą uderzającą, że w tej powieści, której akcja rozgrywa się w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych latach ubiegłego stulecia, nieobecny jest prawie zupełnie pozytywizm jako ideologia i kierunek aktywności społecznej. Idea pracy organicznej zdaje się być produktem elitarnych umysłów oświeconej Warszawy, ale mœ jej działania zdaje się wyczerpywać natychmiast tuż za rogatkami stolicy; na klerykowskiej prowincji uznawana jest już tylko „mądrość” biernego trwania, uległego przystosowania, posłusznego wykonywania zarządzeń władzy. Powieść bardzo wnikliwie i ze swoistą precyzją anatomicznego rozbioru zjawisk społecznych ukazuje najrozmaitsze stopnie zaawansowania owego procesu rezygnacji. Jego stadium krańcowe to apostazja narodowa. Kierownik wstęp-

nej klasy gimnazjum pan profesor Majewski, jeszcze parę lat temu zwykły nauczyciel „szkółki elementarnej w jakiejś Kiernozji”¹⁰, przeszedł na prawosławie i jest Rosjaninem od dwu lat dopiero, lecz jego gorliwość neofity została szczerze nagrodzona, awansował na nauczyciela gimnazjum, ma żonę „bardzo piękną i ubraną w negliż wykwintry”, salonik jak „istne pudeleczo”¹¹ i solidne nadzieje na świetną przyszłość.

Nie wszyscy klerykowski nauczyciele posuwają się aż tak daleko. Większość z nich nie zapiera się swojej narodowej przynależności, wykazuje nawet niekiedy pewną solidarność z młodzieżą w głuchym sporze ze zwierzchnością szkolną, ale tylko do granic zakreślonych rozsądkiem istot uległych, zniewolonych i mających oportunistycznym niemal we krwi. Ich metrykalna polskość, ostrożnie zamknięta w sferze odczuć najzupełniej i wyłącznie prywatnych, nie manifestuje się publicznie i cofa się lęklawie przed najbliższym niezadowoleniem i dezaprobatą zwierzchności.

Powszechne nastroje lojalności bez zastrzeżeń i abdykacji politycznej reprezentują w powieści dwie znamienne figury starych bywalców w domu Przepiórkowskich, w którym mieszka protagonista opowiadania, radców Grzebickiego i Somonowicza. Ich kontrowersje i spory polityczne z judzącymi prowokacjami kwaśniejących w staropanieństwie córek pani domu, a potem także z Marcinkiem, doskonale oddają postawę totalnej rezygnacji pokąźnego odłamu opinii polskiej. Stanowisko to sprowadza się do panicznego lęku przed powtórzeniem się tragedii powstań. Społeczeństwo wykrwawione i wyniszczone represjami, rzucone na kolana i zdławione obrozą policyjno-żołdeckiego reżimu, nie chce już pod żadnym pozorem patrzeć po raz trzeci na skutki klęski, „wszechmocy boskiej po nocach nadaremnie wzywać”¹². Pozostaje więc rezygnacja, bierność, wegetacja bez jutra. Tę postawę utwierdza i uzasadnia autorytet nauki. Młodzież klerykowska, szukająca prawdy o poniewieranej ojczyźnie w *Dziejach Polski w zarysie* profesora Bobrzyńskiego w myśl zasady „audiatur et altera pars”, dowiaduje się z tej polskiej księgi, „że «w ciągu dwu ostatnich wieków istnienia Rzeczypospolitej nie można znaleźć w jej dziejach ani jednego prawdziwie wielkiego, rozumnego czynu, ani jednej prawdziwie wielkiej, historycznej postaci»”¹³. „Rozumność”, „zmysł polityczny” mają polegać na stanowczym odżegnaniu się od wszelkich „lekkomyślnych, na chwilowym uczuciu polegających porywów”¹⁴.

Skutki narodowo-moralne owej postawy lojalizmu bez zastrzeżeń i bez dyskusji ujawniają się również w pokoleniu najmłodszym. Opuszczone i zostawione sobie staje się ofiarą dezorientacji ideowej. Część młodzieży skazana jest na powolne zruszczenie, jeśli nie w dosłownym i totalnym

¹⁰ S. Żeromski, *Szyfowe prace*, Warszawa 1947, s. 59.

¹¹ *Ibid.*, s. 57.

¹² *Ibid.*, s. 238.

¹³ *Ibid.*, s. 182 - 183.

¹⁴ *Ibid.*

tego określenia znaczeniu, to przynajmniej psychicznym. Jest to poddanie się wpływowi i specyficznym właściwościom mentalności rosyjskiej nie ze względów koniunkturalnych, lecz z wewnętrznego przekonania, że to wejście w krąg kultury obcoplemiennej pobratymczego narodu, który stworzył siłę imponującą, jest swoistym awansem i nobilitacją. Pokażny odłam młodych kleryków wyładowuje swą młodzieńczą energią w tzw. korzystaniu z uroków życia, tworząc „ligę wolnopróżniaków” i wykazując absolutny indyferentyzm w sprawach narodowych.

Niewola wytwarza w podbitym społeczeństwie ów stan szczególny moralnego znieprawienia, który wyraża się w obłudzie, dwulicowości, w osobliwym połączeniu niewolniczego służalstwa z mściwą, tajoną nienawiścią. Przybysz z innego świata Piotr Rozłucki z *Urody życia* uderzony jest po przyjeździe do Warszawy tą odpychającą mieszaniną pozorów i ukrywającej się za nimi istoty rzeczy. „Wszystko tam było obłudne, czolobitne aż do nizoty, a zarazem zdradzieckie w tej uniżoności, albo wręcz wrogie, i to wrogie śmiertelnie”¹⁵. Najmniejszego porywu ku jakiemuś działaniu, które by naprawdę wydzwignęło ten naród. W miejsce programu jakiegś rzeczywistej aktywności zbiorowej tylko słowa, namia-stki, gesty symboliczne, za którymi czaiła się niemoc zupełna. „W życiu polskim [...] tak fatalnie nie było nic spiżowego, potężnego, co by było obliczone i wykonane na moc, na opór i trwanie! Gdzież jest” — zadawał sobie to pytanie Ryszard Nienaski — ów „kręgosłup narodu, rdzeń i główna siła? Opór wszędzie podobny był do owych grobelek, które biedna ludność powiśla w Królestwie buduje na gwałt, w samym już dniu powodzi, gdy żywioł zalewa wybrzeże [...] Nigdzie powiewu natchnienia [...] śladu porwania się na czyn doniosły. Co pewien czas uroczystości”, kazania, pochody i bankiety. „Nikt, zdawało się, nie czuł straszliwie jasnego niebezpieczeństwa, iż czas uchodzi, siła topnieje [...]”¹⁶. Jak dawniej, jak od lat zawsze to samo: „młodzież, bieda (największe i jedyne polskie bogactwo), bezsilne związki i bezsilne pieśni...”¹⁷.

Nad olbrzymimi obszarami niewolnej Polski zawisło najstraszliwsze, bezpośrednie niebezpieczeństwo: powolnej, stopniowej, nieświadomej samej siebie rusyfikacji. Dla mieszkańca „kraju przywiślańskiego” był to problem dotyczący go najbardziej wprost i osobiście. Żeromski stał się jego najprzenikliwszym świadkiem, obserwatorem, dziejopisem i sędzią. *Szyfrowe prace* są jednym z najbardziej wiarygodnych dokumentów historycznych określonego epizodu dziejów najnowszych Polski. Ukazują mechanizm eksterminacyjnej polityki rosyjskiej, w jej obliczeniach najbardziej dalekosiężnych i w zamierzeniach dla bytu polskiego najgroźniejszych. Rusyfikacja urzędów i administracji, wyłączność czy też szczególne preferencje dla języka i kultury rosyjskiej na etnicznym obszarze

¹⁵ S. Żeromski, *Uroda życia*, Warszawa 1948, s. 25.

¹⁶ *Nawracanie Judasza*, s. 282 - 283.

¹⁷ *Ibid.*, s. 285.

polskim, biurokratycznie zagwarantowane, uznane zostały za zabiegi czy-
sto zewnętrzne i politycznie na dalszą metę nieskuteczne. Należało więc
sięgnąć w samą najżywotniejszą substancję podbitego narodu, decydują-
cą o przyszłości i jego dalszej egzystencji, włamać się w umysły młodzie-
ży, poddać je impregnacji urzędowo-państwowej ideologii, zniewolić od
wnętrza, ukształtować na miarę politycznych zamysłów obcej administra-
cji, zachwiać je w poczuciu własnej słuszności, racji swego narodu.

Powieść ukazuje wewnętrzne mechanizmy owej polityki antypolskiej,
od form najprostszych, jawnych, brutalnych i prostackich aż po przewrot-
nie wyrafinowane i osłonięte pozorami wyższych, wysublimowanych
i uszlachetnionych metod i funkcji wychowawczych. Najbardziej doraź-
nym i bezpośrednim sposobem realizacji owego planu „odpolszczenia” au-
tochtonicznego żywiołu jest narzucenie mu obcego języka, tak iżby prze-
stał być językiem obcym, by jego obecność w każdym zakresie życia zbioro-
wego społeczeństwo podbite uznało za fakt najzupełniej naturalny i nie
budzący zastrzeżeń. „Język rosyjski tu, w tym kraju, nie jest językiem
obcym, jak się panu wyrażać podoba...”¹⁸ — przywoła do porządku nie-
fortunnego ojca jednego z kandydatów do klerykowskiego gimnazjum in-
spektor Sieldiew. Powieść pokazuje zarazem, jak w owym brutalnym for-
sowaniu rusyfikacji językowej krył się przecież jednocześnie zaród jej
niepowodzenia i klęski. Społeczeństwo polskie, zmęczone i storturowane,
broniąc się instynktownie zachowuje zupełną bierność, przywykłe do naj-
rozmaitszych dziwów administracji carskiej gotowe było mówić i pisać
nawet po chińsku, gdyby tak zwierzchność zaleciła, ale ulegając prawu
bezwładu poza miejscami publicznymi mówiło „w dalszym ciągu swoim
własnym językiem”¹⁹.

Zwierzchnictwo szkolne, trzeźwo oceniając ograniczoną skuteczność
swych zabiegów i starań, sięgało po środki bardziej radykalne. Po przeję-
ściu Marcinka Borowicza z klasy 4 do 5 rządy w klerykowskim gimna-
zjum objęła nowa ekipa kierownicza, zmieniając do gruntu istniejące do-
tychczas względnie znośne porządki. Zaostrzono więc jeszcze bardziej wy-
móg mówienia wyłącznie po rosyjsku nie tylko w szkole, ale i *extra mu-
ros*. Rozciągnięto policyjną nieomal inwigilację nad całym życiem poza-
szkolnym młodzieży, wszystkie stancje uczniowskie poddano czujnej ob-
serwacji. Pobyt w szkole upodobia się do pobytu w więzieniu, młodo-
ciani obywatele gimnazjalnej społeczności czują o każdej porze i na każ-
dym miejscu spoczywający na nich przenikliwy, badawczy wzrok, zdają-
cy się podpatrywać nawet „słodkie sny z zamiarem szczegółowego ich
opisania we właściwej rubryce, pod odpowiednim numerem”²⁰. Wykry-
tych „winowajców” karze się też odpowiednio surowo, w zależności od

¹⁸ *Szyzyfowe prace*, s. 65.

¹⁹ *Ibid.*, s. 141.

²⁰ *Ibid.*, s. 139.

stopnia i ciężaru „przestępstwa”: karcerem, chłostą albo wydaleniem ze szkoły.

Wykonawcami owych zabiegów „wychowawczych” są nauczyciele, świadomie i przemyślnie dobrany komplet pedagogów. Powieść doskonale i z historyczną wiernością odtwarza swoistą politykę personalną w szkolnictwie rosyjskim na terenie Królestwa Kongresowego. Niezależnie od wykładanego przedmiotu nauczyciele klerykowsy czują się przede wszystkim realizatorami misji historycznej „wielkiego narodu słowiańskiego”. Formy i sposoby urzeczywistniania owej misji i posłannictwa, jakie mają do wypełnienia w podbitym kraju ci mandatariusze obcego rządu, zależą od indywidualnej osobowości, charakteru, temperamentu i poziomu inteligencji. Są więc wśród nich rusyfikatory w jak najbardziej prostackim i wulgarnym znaczeniu, o mentalności żandarmskiej, jak ów inspektor Sielidiew, usiłujący egzekwować zalecenia zwierzchności ordynarnym wrzaskiem, chamską niegrzecznością wobec uczniów, rodziców i nauczycieli Polaków. Ale są też „politycy nietuzinkowi”, stosujący metody obliczone na efekty bardziej znaczące, istotniejsze i trwalsze. Dyrektor Kriestobriadnikow i inspektor Zabielski nie wszczynają awantur z rodzicami, nie rządzą szkołą ustawicznym krzykiem. Ująwszy uczniów mocno „pod żeberka”, rozciągnawszy nad nimi zgoła i prawdziwie policyjny patronat, starają się zarazem zachowywać pozory rodzicielskiej nieomal wyrozumiałości. W sporach między uczniami a profesorami, polskiej oczywiście narodowości, kierownictwo szkolne bierze z zasady stronę uczniów, nie bez wpływu na postawę młodzieży, która drżąc „przed nowym zarządem” czuje jednocześnie za sobą mocnych sojuszników. Jest to perfidna i przebiegła polityka atomizowania i tworzenia antagonistycznych podziałów społeczności szkolnej, aby ją tym skuteczniej zdeintegrować i taką wewnętrznie rozbitą całkowicie zawiadnąć.

Rola i położenie nauczycieli Polaków są w istocie żałosne. Narażeni na grubiaństwa swych rosyjskich zwierzchników, w lęku przed utratą społecznej pozycji i służbowego stanowiska, grzęzną coraz głębiej w „prawomyślnym” konformizmie i tchórzliwym oportunistycznym. Powieść doskonale obnaża ów stan psychicznego zastraszenia, rozprzestrzeniający się coraz szerzej i głębiej w miarę przybierania na sile antypolskiej polityki apuchtinowskiej. Z dokumentarną dokładnością odtwarza i pokazuje generalny kierunek i cele wychowawcze zaborczej szkoły. Ów cel zasadniczy to całkowite zdobycie młodej generacji Polaków dla idei rosyjskiej i w miarę możliwości zniweczenie zupełne poczucia więzi historycznej i wspólnoty duchowej z przeszłością i teraźniejszością Polski. Wyzyskując przewrotnie naturalną młodzieńczą rewolucyjność, wszystko, co polskie, przedstawia się w tym nauczaniu jako zacofane, reakcyjne, wsteczne, antydemokratyczne; wszystko, co rosyjskie, jako postępowe i twórcze. Rosyjskość prezentuje się usilnie jako wyraz i synonim wyższości pod każdym względem — politycznym, społecznym, kulturalnym. Ma to po-

grążyć nadwiślańskich autochtonów w nieznośnym kompleksie zawstydzającej prowincjonalności i obudzić w nich potajemne pragnienie wyzwolenia się za wszelką cenę od tych polskich „obciążeń”, wejścia w ów nęcący swobodą i szerokością horyzontów wyższy świat „rzeczywistej kultury”.

Toteż nauczanie jedyne go przedmiotu, który mógłby utwierdzić w wychowankach narodową świadomość, przynosi efekt całkowicie odwrotny, a jak najbardziej zgodny z obcą „racją stanu”. „«Polskie» [...] to godzina stokroć nudniejsza od kaligrafii i «Zakonu Bożego» [...] nad tą nieszczęsną lekcją” unosi się „w powietrzu woń wzgardy”. Stopnie z polskiego nikogo w istocie nie obchodzą i są bez znaczenia, a nauczyciela, przekazującego wiadomości tak niepotrzebne, traktuje się jak przysłowiowe „piąte koło u wozu”²¹.

Rola szczególna w owym urabianiu umysłów przypada nauczaniu historii. Ma ono uświadomić młodym Polakom, że akt rozbiorów był nieomal błogosławieństwem, ponieważ łaskawy protektorat i wielkoduszna opieka potężnego brata ze wschodu wyzwoliły lud polski spod ucisku jego „jezuicko-szlacheckich” ciemiężycieli. Z tą akcją „naukowouświadamiającą” zsynchronizowane są ściśle znamienne gesty o charakterze towarzyskim. Zwierzchność szkolna wypatruje uważnie w tłumie uczniowskim jednostki dostatecznie inteligentne, a nie bardzo zorientowane, i jak się wydaje na tyle podatne na uśmiechy władzy, aby je mogła pozyskać dla swych zamiarów wychowawczych i uczynić niejako tych młodzieńców poplecznikami i sojusznikami sprawy rosyjskiej w środowisku młodzieży. Polityka zjednywania, schlebiana i kuszenia naiwnych opiera się na doskonałej znajomości psychologii młodzieńczej, uwzględnia w swym rachunku wszystkie tkwiące potencjalnie w ofiarach małostkowe snobizmy i egoistyczne ambicje. Bohater powieści zaczyna bywać w prywatnym mieszkaniu inspektora, a ta „przyjacielska zażyłość” okazuje się etapem mądrej i dalekovidzącej polityki wychowawczej czołowego eksponenta zamysłów zwierzchności szkolnej. Nie wiedząc kiedy i jak, absolutnie nieświadomy istoty rzeczy, oczarowany zaszczytem tej przyjaźni młodzieniec staje się uległym narzędziem swego możnego protektora. Zmęczony młodzież nudą rzeczy polskich i zasiawszy w jej umysłach zarody wiernopoddańczej uległości, władza szkolna przystępuje do natarcia bezpośredniego. Za delikatną sugestią inspektora, ale z na pozór samorzutnej inicjatywy Borowicza, powstaje wśród gimnazystów klerykowskich kółeczko dla studiowania piśmiennictwa „ruskiego”. Powieść doskonale odsłania i demaskuje wewnętrzny mechanizm tej inicjatywy i jej cel ostateczny. Młodzież klerykowska przy całej swej politycznej naiwności jest w istocie inteligentna, żywa, gorąca i pragnąca się rzeczywiście wyrwać z zatęchłego partykularza swojej prowincjonalnej vegetacji ku jakimś szerszym światom, choćby

²¹ Ibid., s. 110.

w marzeniu. Odcięta od największych arcydzieł literatury narodowej rzuca się na prozę i poezję rosyjską, które są jej dostępne bez ograniczeń. Jest to literatura znakomita i bezwzględnie jak najbardziej warta poznania, ale w istniejących warunkach jest to zarazem jedna z wyjątkowo podstępnych i zjadliwych form „obrusienja”, bo oto „najpierwsze samoistne uczucia tych młodzieńców”²² znajdują wyraz i kształt osobisty wypowiedzi nie w utworach piśmiennictwa narodowego, lecz pisarzy rosyjskich.

Od lektury przechodzą do wypracowań bardziej samodzielnych, referatów „politycznych” lub „polityczno-religijnych”. „Samorodni badacze” na podstawie materiałów i książek dostarczanych przez ukrywającego się w kulisach aranżera całej imprezy, masakrują „nieszczęsną «Polszę» [...] jako dom niewoli, gniazdo rozbestwionej szlachty, mordującej lud ruski przy akompaniamencie okrzyków «psiakrew» i «psiadusza»”²³. Część owych obalamuconych młodzieńców wykonuje te prace dla przypodobania się władzy i dla dobrych stopni, ale są w tej gromadce również „entuzjaści, umysły krytyczne, badawcze, samodzielne, z właściwą młodzieży furją i namiętnością przyswajający sobie urąganie tej polskości, wśród której wzrosli”²⁴.

Narrator opowiadania zamyka tę historię wewnętrznego dramatu swych młodocianych bohaterów znamiennej i wymowną konkluzją: „Tak tedy propagacyjne działania inspektora Zabielskiego wydały plód o tyle, że całą młodzież należącą do ćwiczeń literackich zniechęciły do rzeczy ojczytanych, których wcale nie znała, zasiały w umysłach specyficzny, wybitnie klerykowski wstręt do wszystkiego, co polskie. Rusofilizm we wszystkim — aż do religii — uchodził w kołach tej młodzieży za synonim postępowości”²⁵.

Ten tragizm położenia kulminuje najwyraźniej w świadomie przesuniętych ku końcowym kartom opowiadania dziejach „Biruty”. Córka Polaka i Rosjanki, która przez miłość dla męża stała się najżarliwszą Polką, wychowana przez tę właśnie matkę w atmosferze najczystszej patriotyzmu polskiego, Anna Stogowska na mocy obowiązujących w Rosji ustaw i praw uważana jest przez władze carskie za Rosjankę. To nieludzkie prawo, które przypisuje jednostkę do narodowości wbrew jej najgłębszym przekonaniom i świadomemu wyborowi, zdeterminuje i określi na zawsze życie i przyszłość tej dziewczyny. Cokolwiek by zrobiła, czeka ją los matki, którą zamęczyła nieustająca rozpacz i nienazwana tęsknota. Wyjeżdża w końcu z ojcem i rodzeństwem w głąb Rosji, gdzie się zaprzepaści i zginie jak tyle innych najpiękniejszych i najszlachetniejszych istnień polskich przed nią i po niej. To wszystko dzieje się przy zupełnej bierności i bez-

²² Ibid.

²³ Ibid., s. 181.

²⁴ Ibid., s. 182.

²⁵ Ibid., s. 183.

silności społeczeństwa. Na całym obszarze świata nie ma ani jednej istoty, która chciałaby i mogła jej pomóc. Przez mózg Borowicza, rozbitego wiadomością o nagłym, nieoczekiwanym wyjeździe „Biruty”, snuje się orszak pytań, na które nie ma odpowiedzi: „Po cóż to wszystko ludzie robią, po co czynią dobrowolnie na złość słabszym spośród siebie, dzieciom? Toż to jest pomoc, udzielona młodości przez wiek i rozum dojrzały?”²⁶ Dramat „Biruty” urasta tu do miary symbolu wszystkich istot najlepszych w Polsce, skazanych na męczeńską, całopalną i daremną ofiarę.

Problem zaprzepaszczania się dusz polskich bez ratunku w „morzu słowiańskim” był zresztą tylko elementem cząstkowym zagadnienia szerszego, które zawładnie myślą i wyobraźnią pisarza i wycisnie na nich piętno, nadające jego twórczości aż do końca wyraz swoisty, narzucający się jako jeden z wątków tego pisarstwa przewodnich, pierwszoplanowych. Rosja i człowiek rosyjski jako ukształtowany historycznie, niepojęty i niepokojący problem moralny. Przy całej fascynacji swoistą egzotyką i odmiennością tego narodu Rosja była zawsze dla Europy zagadką i tajemnicą. Stworzyła potęgę państwową i militarną jedną z największych, ale opartą na despotyzmie i niewolnictwie zupełnie niepojętym dla Europejczyków z Zachodu, przywykłych żyć w warunkach ustrojów konstytucyjnych. „Samodzierżawie” carskie, utrzymujące się na przestrzeni stuleci, było nie tylko systematem rządzenia, ale i mechanizmem swoistej edukacji społecznej, kształtowania postaw, zachowań, podświadomych nieomal odruchów warunkowych, wiekową tresurą zaszczipionych w naturę „człowieka rosyjskiego”. Ten to właśnie upadający system instruowania dusz, wypracowany do najmniejszych szczegółów, a w ciągu praktyki wiekowej wszechstronnie wypróbowany, stwarzał ową nieprzebytą zaporę niezrozumienia między europejskim Wschodem i Zachodem.

W kwietniowych numerach krakowskiej „Nowej Reformy” z r. 1892 opublikował Żeromski pod kryptonimem M. E. sześcioczęściowy artykuł pt. *Sędzia-„obrusitiel”*²⁷. Artykuł był recenzją powieści współczesnego pisarza rosyjskiego Mikołaja Pokrowskiego *Blednow*, wydanej w Petersburgu w r. 1891. Tematem powieści był ukazany — według opinii recenzenta — uczciwie, prawdopodobnie, z rzetelnym realizmem rosyjski świat „czynowniczy”. Ale właśnie ta „uczciwość” pisarska może niezbyt świadomie, nie wprost, lecz między wierszami pozwoliła Pokrowskiemu ujawnić wydatnie „ów grzech pierworodny — jak to określił recenzent — altruizmu północnego: nieświadome hołdowanie niewoli. «W Rosji ojczyzna znaczy *stanowej pristaw* (żandarm okręgowy)» — szydził Szczedrin. Takie właśnie rozumienie ojczyzny — pisał Żeromski — rozciągnęło się tam i na umysły najbardziej rozwidnione, wsiąkło w nie jak zarazek i jako integralna część organizmów psychicznych przechodzi dziedzicznie z pokolenia

²⁶ Ibid., s. 240.

²⁷ „Nowa Reforma” 1892, nr 83 - 88 z 10 - 16 kwietnia.

na pokolenie”²⁸. Pokrowski nie potrafi „odtworzyć polskości warszawskiej”, ani „należycie ocenić wartości głuchej, zacieklej i skrytej obrony swego kulturalnego typu, swej mowy, swego obyczaju”, z jaką spotyka się w Warszawie, „bo i dla niego, choć o tym nie wie, ojczyzna — to *stanowoj pristaw*”²⁹. Żeromski zwracał uwagę na fakt godny zastanowienia, że to swoiste zwichnięcie pojęcia wolności i sprawiedliwości obarcza w Rosji niemal wszystko i wszystkich. „Z wyjątkiem — pisał — jednego bodaj Włodzimierza Sołowiewa, śmiało i bezwzględnie nawołującego społeczeństwo rosyjskie do wymierzenia sprawiedliwości skrzywdzonej Polsce [...]”, trudno byłoby wskazać kogokolwiek innego, kto by „stawał w obronie naszej wobec niezliczonej zgrai prokuratorów niszczenia i wynaradawiania. Genialny melancholik północy Iwan Turgieniew”, zawsze, jak sam mówił o sobie, „prawdliw i czestien (prawdomówny i szlachetny)”, pisywał „broszury popierające system wynaradawiania w Królestwie. [...] Dostojewski — ten mistyk altruizmu, poeta litości, jak go nazywa Brandes, nienawidził Polaków nie gorzej od Katkowa [...] Inni, młodszy, jak [...] Uspieniski [...] Garszin [...] Macztiet, Korolenko [...] jeśli nie utrzymują się w tonie Dostojewskiego — to milczą”. Nie lepszy jest stosunek do sprawy polskiej piśmiennictwa rosyjskiego na emigracji. „Programaty najbardziej nieprawdopodobne i od rzeczywistości dalekie wspominają o «całości państwa» i nie zwracają uwagi na różnice narodowe i historyczne”³⁰. Recenzja powieści Pokrowskiego była więc jak gdyby pierwszym ogniwem tego trwającego od początku do końca, przez całą twórczość Żeromskiego, tragicznego dialogu dwu narodów i światów, skazanych zrzędzeniem losu na sąsiedzkie współistnienie i uwikłanych jednocześnie w niszczycielskie obroty koła historii.

Jest więc w pisarstwie Żeromskiego jakby uraz rosyjski, owa „choroba na Moskali”, której doświadcza tak dotkliwie narrator historii owego chłopca z „ziemi mogił i krzyżów”, „poganina”, który pod wpływem straszliwych krzywd i cierpień w obronie wiary zwątpił raz na zawsze o prawdzie, o sprawiedliwości, o Kościele i Bogu. Jest to dziwna choroba, nie dająca się właściwie określić, choć wyniszczająca bez wątpienia

organizmy psychiczne tysiąca ludzi. Wytwarza ona w jednostkach pewnego rodzaju melancholię, odrzę do wszystkiego, cokolwiek się wszczyna, a jednocześnie chorobliwą i bezradną nadwrażliwość na ludzką niedolę, która nęka co godzina, codziennie, wszędzie, toczy duszę jak skir i równa się jakiemuś nieprzerwanemu szarpaniu żył. Choroba ta nie jest ani sentymentalizmem, ani szowinizmem, ani nienawiścią, ani miłością, lecz jest po prostu głuchą i niemą rozpaczą umysłów. Pokazuje nicność systemów myślenia, idei, ukochań, prac w pocie czoła, w zaparciu się siebie, w obeldze i potwarzy, bohaterstw cicho spełnianych, jak zbrodnie, poświęceń tajemniczych — uczy, że jeden jest pewnik nieomylny, jeden cel i wynik wszystkiego³¹ —

²⁸ *Elegie...*, s. 195.

²⁹ *Ibid.*

³⁰ *Ibid.*, s. 192 - 193.

³¹ S. Żeromski, *Poganin*, [w:] *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, s. 247 - 248.

łomotanie we drzwi po nocy, najście zbirów moskiewskich [...], rewizja, aresztowanie.³²

Bożyszczę z *Róży*, aby uświadomić Danowi cały ogrom niedoli jego narodu, przyrównuje los Polski do białopiennej brzozy, „której naród moskiewski, opętany przez ideał tyranii, w szaleństwie swym przywalił wszystkie żywe gałęzie, pręty ssące sok i oddychające liście olbrzymią masą głuchej gliny, górami pracowicie zniesionego [...] kamienia”³³. I „schnie i pęka jej kora, jak z ran bezużytecznie wycieka w ziemię sok życiotwórczy”³⁴.

Obecność Rosji w życiu polskim była więc dla Żeromskiego jakby ciężkim, upiornym wiekiem trumny, które tłoczyło swym bezmiernym ciężarem i dławiło w załączku wszelki poryw ku wolnemu i twórczemu istnieniu. Wszystko rozkruszało się w rękach, wszystkie prace okazywały się daremne, wszystko pozbawione perspektyw i skazane na klęskę. Jest w *Urodzie życia* znamienna rozmowa, jaką prowadzi Piotr Rozłucki ze swoim stryjem Michałem, a której ostateczny, jednoznaczny wynik i narzucający się wniosek jest najoczywistszym wyrazem opinii i przeświadczeń pisarza. Przybysz z Rosji nie bardzo może zrozumieć, jaki jest sens właściwie tego upartego trzymania się w tym kraju „polskich przesądów”, gdy poddanie się intensywnemu działaniu dobroczynnych wpływów kultury rosyjskiej byłoby dla tego kraju błogosławieństwem. „Rząd tu nigdy żadnej kultury szerzyć nie zacznie — wyprowadza go z naiwnych złudzeń zasiedziały w tym nieszczęsnym zakątku Europy stary jego mieszkaniec. — Rosja zniszczyła wszystko [...] Przez półwiecze całe leżała” na tym kraju „martwym ciężarem [...] Żywy [...] rozpęd do europejskiego życia — dławiła wszystkimi siłami i sposobami.” A przecież gdyby nie Rosja „byłby to jeden z najpiękniejszych narodów Europy, byłoby to jedno z najzdolniejszych, najszlachetniejszych [...] plemion.” Jest tu ogrom prac do zrobienia — „na gwałt, dniem i nocą, za całe zmarnowane dziesiątki lat”. Tymczasem wszystko pozostaje jak było. „Złe doznaje poparcia. Szerzą złe i głupie dla złego. W tym celu wyteżają swe siły, żeby złe wiecznie trwało”³⁵.

Od ponad wieku Rosja usprawiedliwiała swoje porządki w tym kraju polskim „nierządem”, polskim „szowinizmem”. „— Tam z tym «nierządem»! — mruknął Michał machnąwszy ręką. — «Nierząd». Kiedy Polska upadała — trwał sejm, który uchwalił znaną konstytucję trzeciego maja. Gdyby ta konstrukcja weszła była w życie, gdyby w ciągu stulecia ubiegłego była ulepszana i rozszerzana, to czy ten kraj tak by teraz wyglądał, jak wygląda? [...] I ten «szowinizm» — to tylko w Polsce widzą”³⁶. Gdyby

³² S. Żeromski, *Róża*, Warszawa—Kraków 1929, s. 96.

³³ *Ibid.*, s. 231.

³⁴ *Ibid.*

³⁵ *Uroda życia*, s. 62 - 63.

³⁶ *Ibid.*, s. 64.

nawet i był w dawnej przeszłości, robi się w tym kraju wszystko, aby trwał nadal, aby nic tu nie zmierzało ku polepszeniu³⁷.

Ryszard Nienaski z *Nawracania Judasza* wplątał się był w latach wczesnej młodości w spisek grona idealistów, szukających w bliźnich istotach przeczuwanego w nich „wewnętrzny anioła”. Należeli do „spisku” „chłopcy zdolni i szlachetni, których łączyła przyjaźń wzajemna” i którzy postanowili wydać bój ostateczny wszelkiemu złu moralnemu, rozpuście, ciemnocie, próżniactwu, bezczynności społecznej. Mieli kilka „wspólnych myśli czy haseł. Czcic człowieka przytłoczonego niedolą — wrogów przestaczać na apostołów swej wiary — nie prześladować — nie potępiać, nie nienawidzić [...]”³⁸. „Wszystkie te młodociane piękności i wiry dusz nazywały się technicznie «nawracaniem Judasza»”³⁹. Wszystko jednak w tym „przywiślańskim kraju” ma swój kres wiadomy. Hoduje się tu ze szczególną pieczołowitością specyficzny, mile u władz zwierzchnich widziany gatunek obywateli, trudniących się podpatrywaniem współziomków. Gdy w ostatnim roku pobytu Nienaskiego w gimnazjum zjechali się delegaci „spiskowców” z zachowaniem wszelkich, jak się należy, ostrożności, zostali natychmiast wydani przez utajonego wśród nich Devadattę, „jak to mówią, nakryci [...] prowodyrów poproszono, żeby troszeczkę posiedzieli dla odpoczynku po bieganiu w dziewictwie półideału. Odpoczynek trwał dosyć długo”⁴⁰. Gdy Nienaski „wyszedł na świat, dowiedział się”, że zamiast maturą, „musi się zadowolnić czymś znacznie skromniejszym, a mianowicie tak zwanym «wilczym biletem»”⁴¹. Taki kres ma z reguły w tym kraju każdy poryw ku dobru.

To wszystko usprawiedliwia się „misją” historyczną, racją stanu imperium rosyjskiego. „Ludzie zmieniać się mogą — wyklada Piotrowi Rozłuckiemu tę historiozofię wszechsłowańskiego posłannictwa Rosji generał Polenow — pokolenia znikają po pokoleniach, lecz myśl musi być stała i jedna”⁴². Poczucie straszliwej odpowiedzialności, które zaszczerpił w duszy rosyjskiej twórca Rosji nowoczesnej Mikołaj I. Ta odpowiedzialność wymaga bezwzględności bez żadnej zabawy w sentymenty. Kto jest z Rosją, „ten musi być z nią nie połową, lecz całą duszą”⁴³. Dla Rozłuckiego — i dla Żeromskiego dodajmy — w tej aroganckiej uzurpacji jest jakaś szatańska „pycha Rosji”, „nienasycona żądza krzywdy”⁴⁴.

Żeromski odrzuci te pretensje i powtórzy swe wątpliwości już wprost, jednoznacznie i od siebie w piśmie publicystycznym *Snobizm i postępek*

³⁷ Ibid.

³⁸ *Nawracanie Judasza*, s. 15.

³⁹ Ibid., s. 19.

⁴⁰ Ibid.

⁴¹ Ibid.

⁴² *Uroda życia*, s. 119.

⁴³ Ibid., s. 121.

⁴⁴ Ibid., s. 120.

z r. 1922. Omawiając krytycznie literackie produkty rosyjskiej szkoły imażynistów Żeromski zwracał uwagę, że poezja ta, opiewająca rewolucję, jak za czasów Dostojewskiego i Katkowa zdaje się wierzyć w Rosję jako miejsce na ziemi, „gdzie we krwi i męczarniach [...] dokonuje się poród nie idei, lecz samego ciała nowego świata”⁴⁵. Dla niego, który jako wieloletni poddany „samodzierzcy” Wszechrosji doświadczył na sobie samym tego „błogosławieństwa” zbawczej obecności pobratymczego narodu na ziemiach polskich, ta ideologia zbawiania świata przez Rosję była zawsze problematyczna. „Nie tak to dawne czasy, gdy inny prorok rosyjski” — przypominał tu Żeromski Dostojewskiego — przepowiadał światu całemu, że przeznaczeniem Rosjanina jest „niezaprzeczenie wszechuropejskość i wszechludzkość [...] nie mieczem zdobyta, lecz siłą braterstwa i braterskiego dążenia ku zjednoczeniu się ludzi. Stać się Rosjaninem prawdziwym, to znaczy [...] wskazać dla europejskiej tęsknoty ostateczne wyjście w [...] duszy rosyjskiej, wszechludzkiej i jednoczącej, ogarnąć miłością braterską wszystkich naszych braci, a koniec końców wyrzec może to ostateczne Słowo harmonii, powszechnej, braterskiej zgody wszechplemion według Ewangelii Chrystusa”⁴⁶.

Mistyczne posłannictwo Rosji Dostojewskiego w najnowszej poezji rosyjskiej imażynistów zostało zastąpione czynem rewolucji. Obie koncepcje łączy

przecież jedno: entuzjastyczne, a pochodne uwielbienie państwa rosyjskiego i jego poczynañ. Zarówno Dostojewski — zauważa Żeromski — jak Andrej Bielyj, Błok i Jեսienin ślepo wierzą w doskonałość tego, co się dokonuje nad nimi i poza nimi, co już spełnione zostało przez „władzę”. Dostojewski nie wie, czy też udaje, że nie wie, jak i kiedy Rosja runęła na Polskę, a po rzezi na Pradze rękoma zbroczonymi we krwi niewinnej przykuła męczennicę do tronu swego cara. Mówi bez zajäknienia, iż „losem Rosji jest wszechświatowość nie mieczem zdobyta, lecz siłą braterstwa i braterskiego dążenia ku zjednoczeniu się ludzi” [...] Poeci nowoczesnej Rosji nie widzą albo udają, że nie widzą strasznego przelewu krwi, dokonanego i dokonywanego przez zwolenników jednej doktryny na zwolennikach innej doktryny czy innych doktryn.⁴⁷

Żeromski kwituje ostatecznie te światowe pretensje ironicznym uśmiechem z racji choćby starszeństwa.

My — pisze — którzy przeżyliśmy tak zwany „tołstoizm” znacznie dawniej, bo w arianizmie, a znacznie szczerzej, wznioślej i pokorniej — którzy wydaliśmy ze siebie na emigracji mistyczną wiarę w Polskę jako Chrystusa narodów, lecz w formie bezpośredniej, pierwotnej i czystej, gdyż w bezpaństwowym sieroctwie i na wygnaniu z ojczyzny — spoglądamy na miotanie się ducha rosyjskiego ze współczuciem i półuśmiechem. Więcej pokory, więcej kultury, więcej prawdziwości i szczerości, a mniej krzyku i rozgłosu przydałoby się rosyjskim poczynaniom duchowym, naprawiającym świat cały.⁴⁸

⁴⁵ S. Żeromski, *Snobizm i postęp*, Warszawa—Kraków 1926, s. 37.

⁴⁶ *Ibid.*, s. 38.

⁴⁷ *Ibid.*, s. 40 - 41.

⁴⁸ *Ibid.*, s. 42.

Jest zresztą, zdaniem Żeromskiego, w całym systemie rosyjskiego despotyzmu jakiś pęd ku samozniszczeniu, jest zagrożenie nie tylko dla ościen-nych pobratymczych narodów, ale jest zarazem jakaś pasja samozagłady. Wszystko, co usiłuje się wyzwolić ze śmiertelnych objęć tyranii, jest tu skazane na zdławienie w samym zarodku. Stąd tyle w utworach Żeromskiego ludzi rosyjskich przełamanych moralnie, pobitych, okaleczonych, dożywających swoich dni w straszliwej rozpacz i w poczuciu klęski życiowej. Kapitan Wilkin z *Mogily* to żyjący trup, ostrzeżenie i przykład. Jego zabójczy, obezwładniający nihilizm jest przeznaczeniem każdego, kto by się ośmielił rzucić wyzwanie potędze bezprawia i ucisku. On też kiedyś, jak bohater *Mogily*, „wraz z innymi głuptaskami” chciał iść do „wielkiego parobka” Ilii Muromca, aby budzić go do życia wolnego, roił jakieś fantastyczne marzenia o wszechrosyjskim parlamencie. Poproszono go w następstwie tych niewłaściwych rojeń do zwiedzenia Czelabińska i Bieriezowa i „dla poratowania zdrowia [...] wyjechać na Kaukaz”, w końcu wyekspediowano do owego „kraju przywiślańskiego”. I oto z dawnego marzyciela i naprawiacza pozostały już tylko „moralne zwłoki narodowolca”, cyniczne szyderstwo z wszystkich wiar, ideałów, świętości, pokrywające bezgraniczną, śmiertelną rozpacz. Zamiast parlamentu wszechrosyjskiego ministrowie Jego Imperatorskiej Wysokości przewidzieli już miejsce pod gmach (po uprzednim rzecz jasna braterskim przyłączeniu zbuntowanego Zachodu) „powszechnorosyjskiego na całą Europę, jednego i nierozdzielonego kryminału”⁴⁹. I wszystko zostanie po staremu, jak „powiedział sam Iwan Siergiejewicz Turgieniew [...] «Kubeł czystej wódki ściskając w pięści, czoło wsparłszy o biegun północny, a piąty o Kaukaz, śpi snem nieprzespanym ojczyzna, Rosja święta»”⁵⁰.

Kierownik dykcji naukowej Piotr Nikołajewicz Jaczmieniew, z młodzieńczej powieści Żeromskiego, jeszcze wczoraj nieomal łąził po dolinach i po górach szwajcarskich, aby „się nauczyć, jak najlepiej, najszybciej, najhumanitarniej rozniecać światło wśród ciemnych mas chłopstwa [...]”⁵¹. „Zapalony ludowiec” chciał „iść między naród”, osiąść w szkole wiejskiej. Przygotowywał się do tego zadania pilnie, intensywnie studiując wzory i sposoby rozniecania owych ognisk kultury w wolnych krajach Zachodu. A dziś, po latach, jest strażnikiem więzienia. Zamiast wcielać w życie szlachetne wskazania pedagogów szwajcarskich, opracowuje nieodzowne, znakomite i najskuteczniejsze projekty rusyfikacji chłopów polskich i ma tego dzieła wytrwale i pieczołowicie pilnować.

W *Wiernej rzece* przewija się ubocznie podobny motyw w historii owego oficera Wiesnicyna, który nazbyt często odwiedza dwór w Niezdołach. Kocha się on w pannie Salomei, bezprzytomnie, posępnie i bez żadnej nadziei. Ten dramat uczuć, które nigdy zaspokojone być nie mogą, pogłębił

⁴⁹ *Mogila*, s. 85.

⁵⁰ *Ibid.*, s. 83.

⁵¹ *Szyzyfowe prace*, s. 42.

Żeromski jeszcze bardziej komplikując sytuację ideową postaci. Bo Wiesnycyn spełniając obowiązek żołnierski i ścigając uchodzące oddziały powstańcze, w istocie rzeczy czuje wstręt i odrazę do tej walki nierównej. Jeszcze „tak niedawno... W kole młodych przyjaciół czytał sam wzniosłe inwektywy genialnego emigranta” Hercena przeciw carskiej Rosji, jego płomienną obronę uciemiężonej Polski. A teraz —

„ogarnięty uczuciem powinności” jak kruk trupom wydziobywał oczy. Wiedział, że się w nim nie oprze nic tej „powinności”, którą w duszy rosyjskiej nitowały wieki, na pniu, pod katowskim toporem [...] Ogarnęła go [...] chwyciła ni to ramionami samowładna nuda życia — wstręt do czynów, które wykonywał i miał wykonać — zrozumienie jałowości wszystkiego [...] Po tylu trudach [...] puste miał ręce, a w sobie nie duszę czującą, lecz jakby wycie wilka w ostępie. Po męstwie, walce, pracy, niespaniu — zajrzało mu w oczy moskiewskie pytanie: — po co to wszystko? ⁵²

Jaka jest siła, jaki ratunek przeciw owemu zagrożeniu, które zawisło nad Polską od stu lat bez mała? Tą siłą, tym wiecznie żywym, w głębiach duszy zbiorowej nieustannie bijącym źródłem ocalenia jest — wierność. „Bywa tu w Polsce — powie bohater *Dumy o hetmanie* — zamurowana dozgonna wierność dla przegranej sprawy, nie znana nigdzie na świata obszarach, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać, niesplamiony honor, sam siebie [...] głodem ducha karmiący w podziemnych lochach nędzy bytu” ⁵³. Wierność uzmysłowiona obrazowo w owej rzece, zamykającej się nad tajemnicą, ukrytą w tajnych papierach rządu narodowego. Owa wierność dla idei ojczyzny ujawnia się w gestach i odruchach zupełnie niekiedy instynktownych, niby przywalone brzemieniem codzienności, a przecież nie zabite doszczętnie sumienie; odzywa się w głuchym i dręczącym poczuciu winy i w głęboko przejmujących aktach ekspiacji. Zdobywają się na nie bardzo często istoty ludzkie najmniej do gestów tego rodzaju powołane, niepozorne, najokrutniej przez życie i przez los skrzywdzone. Tak właśnie żona owego nieszczęśnika z *Ananke* dowiedziawszy się o zdradzie męża odejdzie z dziećmi na tułaczkę i poniewierkę podejmując tę decyzję nie z nadmiaru bynajmniej świadomości narodowej, bo jest na to kobietą zbyt ograniczoną, lecz pod wpływem wewnętrznego nakazu, będącego naturalnym odruchem każdej istoty moralnie prawej i uczciwej. Dziad-unita przepisał się i wnuczkę na „złą wiarę” wędruje corocznie lasami i bezdrożami, pośród śniegów i zawiei „do swego Boga”, aby się kajać za grzech zdrady.

Tragedia unitów, z którą zetknął się Żeromski naocznie i bezpośrednio w czasie pobytu na Podlasiu, stała się dla niego symbolem najwyższego bohaterstwa narodowego. Wydawało mu się wówczas, że jedyną warstwą narodu, która się na to bohaterstwo wierności zdobyć jeszcze potrafi, jest ten właśnie lud, pod pozorem apostołatu religijnego poddany najsroższemu prześladowaniu i uciskowi. Maurycy Zych zabłąkawszy się któregoś dnia

⁵² S. Żeromski, *Wierna rzeka*, Warszawa—Kraków 1948, s. 96 - 97.

⁵³ S. Żeromski, „*Duma o hetmanie*” i inne utwory, Warszawa 1949, s. 166 - 167.

w toku swoich wędrówek krajoznawczych do jakiejś zapadłej unickiej wsi i wdawszy się w rozmowę z chłopami po raz pierwszy od niepamiętnych czasów usłyszał od nich słowo „Polska”. Im tylko była ona potrzebna. W ciemnym kącie izby, „między świętymi bohomazami”, wisiał portret Kościuszki. Zakazana, niecenzuralna książka polska tutaj tylko znajdowała wdzięczne przyjęcie i schronienie. Droga narratora do Polski będzie niełatwa, zavalona tysiącem przeszkód, które trzeba pokonać. Maurycy Zych musi przezwyciężyć nie tylko te własne opory psychiczne, które wynikają z trzeźwej, bezwzględnej analizy rzeczywistości, z owego „nie warto”, co zdaje się przypominać każdy niemal dzień życia w niewoli i niezliczone przykłady tragedii najpiękniejszych istnień ludzkich, zdławionych i pokonanych przez brutalną przemoc, ale i najbardziej własne, wewnętrzne wątpliwości ideowe. Młody ten człowiek, przejęty ideami równości i sprawiedliwości społecznej, w swoich marzeniach o przyszłej, powszechnej rewolucji socjalnej i ponadnarodowym braterstwie ludów, dość skutecznie zdołał oczyścić swoją ideową świadomość z resztek „partykularnego”, „plemiennego” myślenia. Spotkanie i rozmowa z unickimi chłopami po raz pierwszy od lat zmusiły go do zastanowienia się nad tym, czym jest właściwie ta Polska, która dotąd tak zupełnie nie mieściła się w polu jego widzenia, w orbicie zajmujących go najżywiej spraw. Znaczenie decydujące ma ostatnia scena opowiadania. W momencie całkowitej prostracji i rozpaczki powstańcza, zapomniana mogiła, ów widomy szczątek ojczyzny, symbol narodowej wolności i obowiązku, działa jak wstrząs uświadamiający, przywracając życiu najwyższy sens.

Cudowne zjawisko odnajdywania ojczyzny, odgrzebywania spod umarłych popiołów tlejących ognisk świadomości narodowej, rozpalanie ich w potężne płomienie nie ugaszonych już na zawsze uczuć, jest jednym z głównych i naczelných motywów powieściopisarstwa Żeromskiego. Ta droga powrotna z manowców i bezdroży zapomnienia, zwątpienia, przenięwierstwa czy nieświadomej nieraz zdrady jest drogą trudną i wymagającą sił moralnych niemal nadludzkich.

W klerykowskim gimnazjum wśród olbrzymiej większości, uległej i pogodzonej z koniecznością niewoli, usiłuje się nie poddać znikoma garstka: wywodzący się z warszawskiego zarzewia konspiracji Bernard Zygier, „nawrócony” Borowicz, twardy, nieugięty chłop Radek, „fanatyczny” katolik, a niebawem równie zapalony wielbiciel Buckle’a „Figa”-Walecki i kilku jeszcze innych z „górką u Gontalów”. Jakże szaleńcza, przeciw jakiemukolwiek rozsądkowi wydaje się ta ich wiara wobec potęgi sił bezwładu i przemocy fizycznej. Nad uzasadnionym pozornie w istniejących warunkach poczuciem daremności wszystkiego góruje przecież w tej młodzieńczej powieści wola niezłomnego postanowienia, siły, odwagi i uporu, tak znamienne wyeksponowana w tytule opowiadania. Trud Syzyfa to przecież tragiczna, a zarazem wzniosła i porywająca, pełna pogardy uporczywa niezłomność w zmaganiu się ciągle na nowo z fatalizmem losu. Albert Camus

w głośnym eseju *Mit Syzyfa* (1942) podkreślał z naciskiem, że w historii króla Koryntu zawsze go interesował szczególnie ten dramatyczny moment, w którym Syzyf po wykonaniu pracy stoi na szczycie i spogląda na głaz staczający się w przepaść. Co czuł wtedy, co myślał?

Widzę tego człowieka — pisał Camus — jak schodzi krokiem ciężkim, ale równym ku męce, której końca nie pozna. Ta chwila, która jest jakby czasem nabrania oddechu i która powraca równie pewnie jak jego nieszczęście, ta chwila, ta godzina jest momentem świadomości [...] Syzyf, proletariusz bogów, bezsilny i zbuntowany, zna w całej rozciągłości swoją nędną dolę; o niej to myśli podczas schodzenia. Jasnowidzenie, które miało być jego męką, obejmuje zarazem jego zwycięstwo. Nie ma przeznaczenia, którego by się nie dało przewyciężyć pogardą. Jeśli w pewne dni schodzenie takie odbywa się w bólu, może ono także odbywać się w radości.⁵⁴

Żeromski zdaje się być bliski w swojej powieści takiemu właśnie rozumieniu ezoterycznego sensu paraboli mitologicznej. Zmagania tego wątłego sprzysiężenia młodocianych Polaków z miażdżącą siłą eksterminacyjnej polityki obcego najazdu mają w sobie coś z uporu, tragizmu i wielkości pracy Syzyfa. Jest to trud nad siły, trud na pozór daremny, przeciw jakiegokolwiek rachubie i rozsądkowi, ale za to tym więcej godny uwielbienia. Dzieje młodzieży klerykowskiej to wcale nie optymistyczna opowieść o totalnym bankructwie rusyfikatorów, lecz wręcz przeciwnie, to historia porażek i załamań, zwątpień i apostazji, obok aktów oporu i sprzeciwu budzącej się wśród dramatycznych zmagañ świadomości narodowej. Gdy opowiadanie dobiega kresu, bohaterowie opowieści znajdują się niemal u progu totalnej klęski. Radek ledwo uniknął ostatecznej katastrofy w postaci przepędzenia na zawsze z wszystkich szkół Królestwa. Los „Biruty” urasta do miary i znaczenia tragicznego symbolu. Stan świadomości i uczuć Borowicza sięga niemal dna ostatecznego zwątpienia. Owiany smutkiem optymizm końcowego fragmentu opowieści wspiera się jedynie na irracjonalnej ufności w bohaterstwo dusz wybranych, młodzieńczych — Borowiczów i Radków. Gdy ci dwaj w ostatnim zdaniu opowiadania wspomagają się milczącym uściskiem rąk, wiemy już na pewno, że Borowicz i ta garstka jemu podobnych zejdzie raz jeszcze, jak mityczny Syzyf, w pograżone w uśpieniu, smutne, mroczne niziny niedoli polskiej, aby podjąć wbrew wszystkiemu walkę na nowo.

Motyw samoodnalezienia się w tym, co stanowi najgłębszą istotę osobowości ludzkiej i co zdeterminowane jest w ostatecznej instancji przez dziedzictwo, biologię, rodowód, tradycję historyczną i kulturową, rozwinęty został w całą sfabulizowaną historię w *Urodzie życia*. Piotr Rozłucki, Polak z pochodzenia, syn powstańca rozstrzelanego za udział w „polskim buncie”, wychowany w petersburskiej szkole kadetów i w tym środowisku rosyjskiej elity oficerskiej niemal ostatecznie zruszczony, zostaje skierowany służbowo do jednego z pomniejszych garnizonów prowincjonal-

⁵⁴ A. Camus, *Le Mythe de Sisyphe*, Paris 1942. Cyt. za: A. Kowalska, „Dżuma” Alberta Camusa, Warszawa 1968, s. 19.

nych w „przywiślańskim kraju”. Należy do milionowej armii „ludzi ruskich”, których posłannictwem dziejowym jest umacnianie porządku i władzy carskiej na tych niespokojnych rubieżach potężnego imperium. Tymczasem zetknięcie się z tą nie znaną mu dotychczas rzeczywistością staje się dla tego prawie Rosjanina zaczynem nieoczekiwanego, wewnętrznego fermentu. Zapisana w tajemniczych składnikach krwi utajona polskość, dobywająca się coraz silniej spod nalotów i nawarstwień obczyzny świadomość jakiejś tajemniczej wspólnoty losów i przeznaczeń z ludźmi tego kraju, zaczynają się rozrastać w Rozłuckim coraz potężniej.

Ta ewolucja ku całkowitemu rozpoznaniu swej tożsamości narodowej dokonuje się w walce sprzecznych i wykluczających się uczuć. To nowe — dziwne, tajemnicze, cudowne, które co dzień, na każdym kroku zagarnia coraz szersze i głębsze pokłady duszy — to krajobraz, pola, wody i niebo swoiste nad tą ziemią, to ludzie, jakże inni, odmienni, żyjący jakimś życiem dla przybysza ze Wschodu niepokojąco niezrozumiałym i dlatego właśnie pociągającym, to historia narodu, odczytywana z początku przypadkowo, z biegiem dni i miesięcy z coraz bardziej świadomą, namiętą zachłannością z zakazanych w tym kraju, szarych, niepozornych tomików poezji polskiej z zakonspirowanej na stryżku, obok izby oficera, biblioteczki sztubackiej. To wreszcie wciąż trwająca we wspomnieniu ludzi tu-tejszych żywa obecność ostatniej tragedii narodowej i odgrzebana nocą samotna, opuszczona mogiła, kryjąca tajemnicę ojca-powstańca. Jednocześnie zaś temu nowemu, co tak zaborczą i nieoczekiwaną zdobyczość okazuje, przeciwstawia się niedawna przeszłość i pełna obietnic terażniejszość.

Ucieleśnieniem owej urody i pełni życia, walczącej z „polską ponurością”, jest tu bohaterka powieści, w swoich oszałamiających urokach, ale jednocześnie wrogich, nieprzyjaznych odruchach psychicznych wobec wewnętrznych światów swego kochanka, streszczająca w sobie wszystkie mroki duszy rosyjskiej, fascynującej, jak każda nieprzenikniona zagadkowość, i odpychającej zarazem jako odczuwana instynktownie obcość. Koniec tragiczny romansu stanie się punktem przełomowym w wewnętrznych dziejach bohatera.

Punktem centralnym, z którego wywodzi się niejako i rozrasta w całość twórczości Żeromskiego jej wielki i przemożny temat, było oczywiście powstanie. Powstanie stało się dla Żeromskiego zdarzeniem, które określiło na zawsze jego myślenie, jego czucie, jego przeżywanie sprawy narodowej. Silna, namiętą uczuciowość przyłgnęła wiernie i trwale do tej pięknej, choć bolesnej legendy jego dzieciństwa i wyraziła się w szeregu utworów idących poprzez lata aż po schyłek działalności pisarskiej, od młodzieńczego obrazka „z ziemi mogił i krzyżów” *Rozdzióbią nas kruki, wrony...* (1894), od *Ech leśnych* (1905), przez *Wierną rzekę* i *Urodę życia* (1912) aż po przedmowy do *Kryjaków* Marii Jehanne-Wielopolskiej (1913) i do książki Karoliny Firlej-Bieleńskiej *Nulla i jego towarzysze* (1923).

W ujęciu tego tematu uderza przede wszystkim wieloaspektowość widzenia. Żeromski jako pisarz, epik i liryk jest oczywiście wiernym świadkiem, opisywaczem, piewcą, rapsodem i poetą tego tragicznego zdarzenia z dziejów jemu prawie współczesnych. Ale jest zarazem badaczem dociekającym jego sensu, znaczenia i konsekwencji przegranej oraz przyczyn katastrofy i klęski. Juliusz Kleiner nazwał przed laty Żeromskiego poetą „bolesnej bezowocności powstania”⁵⁵. Jego przedstawieniu odebrał Żeromski prawie zupełnie historyczność. Nie ma w owych utworach powstaniowych ani jednej postaci rzeczywistej. „Wymienione są tylko, jakby przypadkiem, nazwiska Langiewicza, Czachowskiego, Jeziorańskiego, Czengierego [...]”, nie zajmuje się Żeromski nigdzie „szerszym tłem faktów”⁵⁶. Usunięty został zupełnie „pierwiastek batalistyczny”; jedyną przesłanką opowieści jest pobojowisko, nadciągająca noc ostatecznej rozpaczy i bezmierne cierpienie ludzkie. Nie ma już żadnego zorganizowanego oporu, są tylko rozpaczliwe odruchy zamierające w ostatnich błyskach broniącej się przed unicestwieniem świadomości, jak w owym epizodzie śmierci Winrycha, ostatniego z niezłomnych, który dowożąc broń dla partii powstańczej, przyłapany przez tropiący „buntowników” oddział kozaków, ginie pod ciosami żołdeckich lanc. Książę Józef Odrowąż z *Wiernej rzeki* ocknąwszy się na krawędzi śmierci ogląda przez ból przenikający całe jego jestestwo i przez mgłę krwawą, przesłaniającą widzenie, to

dokonanie, które był przeżył [...] dzieło nowe, które w duchu przecierpiał. Leżeli w kilkuset, tworząc w zmierzchu rannym białą górę — podobijani, gdy padli z ran, na rozkaz wodza nieprzyjaciół, rodaka i niedawnego spiskowca — obdarci przez wojsko ze szmat do ostatniego gałgana — rozstrzesieni na bagnietach — po dziesięć razy do ziemi przybici szychem oficerskiej szpady pchniętej na wskroś — z głowami rozwalonymi kulą z lufy przystawionej do czoła — porozgniatani przez pędzące koła armat Czengierego.⁵⁷

Z całego porywu powstańczego, z natchnionego, romantycznego uniesienia pozostały tylko obrazy bestialstwa i okrucieństwa, jak w Grottgerowskiej *Wojnie*, widmo upiorne zbieganego, oszalałego konia, włóczącego ciało jeźdźca bez rąk i głowy, straszliwy koniec ostatniego z wodzów powstania: „Rozłupali mu ciosami czaszkę, aż trysnął mózg i wywalił się na trawę. Siekli ręce, piersi i żebra. Rąbali leżącemu brzuch, nogi — dopóki zeń nie wyciekła wszystka krew. Spłynęła z jego żył, wsiąkła w państwisko i napoiła rozmięklą, chciwą, wiosenną ziemię”⁵⁸. Nad polem klęski unoszą się w porywach zimnego wichru stada kruków i wron, na ziemi miota się w zaprzęgu okaleczały śmiertelnie koń. Jego rozpaczliwe

⁵⁵ J. Kleiner, *Żeromski jako poeta powstania styczniowego*, [w:] *W kręgu historii i teorii literatury*, Warszawa 1981, s. 425.

⁵⁶ *Ibid.*, s. 426.

⁵⁷ *Wierna rzeka*, s. 5 - 6.

⁵⁸ *Ibid.*, s. 94.

rzenie zdaje się „wołać na ludzi osiadłych, na plemię ludzkie: — O ludzie nikczemni, o rodzie występny, o plemię morderców!”⁵⁹

Wyłania się z takiej wizji i widzenia rzeczywistości naturalną logiką rzeczy nieuchronne pytanie: po co to wszystko? To pytanie zadawano sobie w Polsce wówczas i potem wiele razy i Żeromski formułuje je również, dając na nie jednoznaczną odpowiedź. W *Wiernej rzece* jest taka pełna rozpacz i rozdzierająca rozmowa między Miłą Brynicką a Hubertem Olbromskim, w której padają słowa ostateczne i rozstrzygające w tej sprawie. Opuszczona przez wszystkich, przez ojca i przez krewnych, w pustym, samotnym dworze, osaczona przez wieści coraz straszliwsze o tragediach ludzkich, płynące zewsząd, borykająca się bezradnie z niemocą tego przybłąkanego powstańca, którego bohatersko ukrywa, wiecznie nękana przez tropiące „buntowników” oddziały wroga, a niekiedy przez zdziczałe od klęsk i trudów nierównej walki, głodu i wyczerpania grupy powstańcze, w zupełnym zagubieniu w tym obłądnym splocie wydarzeń, przekraczających zdolność jej dziewczęcego rozumienia, rzuca temu wodzowi insurekcji okrutne, rozpaczliwe pytania-oskarżenia:

— Panie [...] Co wy robicie? [...] Niech mi pan wytłumaczy ze swego rozumu i z głębokiego sumienia. Ja jestem prosta i głupia... Nic nie mogę pojąć [...] Któż z was ośmielił się mówić, że pobije tych, co tu wiecznie przychodzą szarpać nas, ludzi bezbronnych? A jeśli ich nie możecie pobić, to kto z was ośmielił się rozpętać w nich dzicz, co ją z sobą z okrutnych śniegów w duszach przynieśli? Czy macie w sobie siłę równą ich dziczy i taką, żeby tamto zle zgniotła?

Olbromski milczał. Łkając oskarżała:

— Soldactwo pali dwory — rannych dobija na placu bitwy. Chłopi wiążą powstańców...

Przerwał jej głosem innym, twardym:

— Wolicie ich dzicz niż rany i śmierć? Będziecie mieli dzicz za wiecznego pana!

— I tak go mamy, choć tyle ran...

— Polskie plemię popadło między dwa młyńskie koła zagłady — między Niemców i Moskwę. Musi się stać samo młyńskim kamieniem, albo będzie zmielone na pokarm Niemcom i Moskwie. Nie ma wyboru. Zbyteczne jest wszelkie o tym słowo.⁶⁰

Jest to przekonanie i pogląd samego Żeromskiego, choć je wypowiada jedna z postaci powieściowych. Taka a nie inna jest ostateczna wymowa powstańczego motywu w jego twórczości. Powstanie było nieuniknioną koniecznością, było kwestią narodowego być albo nie być, sprawą honoru i godności. Tak je rozumieją wszyscy bohaterowie Żeromskiego, ci najprostsi i ci najbardziej świadomi. Ta sama Salomea Brynicka, rzucająca Olbromskiemu swoje okrutne oskarżenie, powie kiedy indziej, że ojczyzna to „najpierwszy obowiązek Polaka”, i określi to zdanie jako „mądre”, „ustalone”, „powszechne”⁶¹. „Pragnienie walki w młodym księciu było tak głębokie i potężne, jak potężnymi były cierpienia, przez które prze-

⁵⁹ *Rozdzióbą nas kruki, wrony...*, s. 57.

⁶⁰ *Wierna rzeka*, s. 87 - 88.

⁶¹ *Ibid.*, s. 30.

szedł. Zimnymi oczami wpatrywał się w przestrzeń i widział w niej wojnę scytyjską, nie znaną światu walkę na śmierć, która się z polskiej wywinęła nędzy. Zagasły w nim wszystkie wspomnienia i została jedna tylko żądza: stanąć w szeregu"⁶². Jest w odniesieniu do powstania to samo, już poprzednio stwierdzone, uwielbienie dla nieznanego, samotnych aktów bohaterstwa i dla wierności aż do końca: „gdy wszystko już runęło na łeb w bezdenną jamę trwogi”, Winrych „jeden chodził jeszcze po broń, jeden nie upadał na duchu”, czując „w sobie upór coraz zuchwalszy, coraz straszliwiej bolesny i już prawie szalony...”⁶³. W tym szaleństwie jest porywająca wzniosłość i sens najgłębszy, jakaś pewność niepodważalna. W momencie śmierci ogarnia umierającego „wielka nadzieja nieśmiertelności”⁶⁴; o chwilach ostatnich Olbromskiego powie narrator, że „staczał swój ostatni chwalebny bój”⁶⁵.

Józef Piłsudski usiłując rozjaśnić tajemnicę wielkości swego narodu w epoce powstania styczniowego dostrzegał ją w istnieniu nie znanego z imienia, nie dającego się pochwycić i otoczonego aureolą najgłębszego szacunku i bezwarunkowego posłuchu Rządu Narodowego. Jego symbolem była pieczęć, działająca magnetycznie jak nakaz, jak znak woli zbiorowej. Rozstrzygała o wszystkim, określała ludzkie działania, popychała je ku celom dalekosiężnym⁶⁶. U Żeromskiego jest podobnie. W krytycznej chwili ostatecznego zagrożenia Hubert Olbromski nie tyle myśli o ratunku własnym, ile o owej torbie, którą miał na sobie, „ze wszystkimi dokumentami, z tysiącem sekretów Rządu, ze wszystkim, co się dokonywało i dźiać jeszcze mogło. Niósł w tej torbie jak gdyby serce walczącej Polski”⁶⁷. Nie mając już innego wyboru ciska ją z zamachem — „sekret Ojczyzny — w głębinę. Rzeka plusnęła na znak — ni to głuchą odpowiedź. Zawarła się. Tysiącem zawinęła fal skarb powierzony. Popłynęła w krętą, prastarą a wiecznie nową, daleką drogę”⁶⁸.

Myśl i wyobraźnia pisarska Żeromskiego nie zatrzymywała się przecież na tworzeniu jedynie owych grottgerowskich obrazów męki i cierpienia walczącego narodu ani na dociekaniu sensu i celowości owej walki, lecz szukała zarazem przyczyn i źródeł katastrofy. Żeromski pomija zupełnie militarne aspekty epopei powstańczej, stosunku sił obu zaangażowanych w niej stron, taktyki i strategii działań wojennych. Głównych przyczyn przegranej dopatruje się przede wszystkim w politycznych, społecznych i moralnych okolicznościach dramatu. A więc w niskim morale społeczeństwa, które w sytuacji krytycznej nie potrafiło sprostać wymo-

⁶² Ibid., s. 147 - 148.

⁶³ *Rozdzióbą nas kruki, wrony...*, s. 52 - 53.

⁶⁴ Ibid., s. 56.

⁶⁵ *Wierna rzeka*, s. 92.

⁶⁶ Zob. J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937, t. 3, s. 137, t. 6, s. 161 i n.

⁶⁷ *Wierna rzeka*, s. 92.

⁶⁸ Ibid., s. 93.

gom położenia, poddając się panicznej trwodze i nastrojom niewiary w sens dalszego oporu. Na podłożu rozrastającego się gwałtownie poczucia klęski odzyskiwała z powrotem zachwianą przejściowo pewność i arogancję pełną obłudy i przewrotnej sofisterei polityka służalczego oportunistu, przeciwstawiająca idei czynu zbrojnego „rozsądną” i „rozważną” taktykę ugody. Przez świadomość ostatniego z niezłomnych przepływa bolesny, rozpaczliwy i tragiczny strumień refleksji:

Wszystko przełajdaczone [...], przegrane nie tylko do ostatniej nitki, ale do ostatniego westchnienia wolnego. Teraz dopiero wyleci na świat strach o wielkich ślepiach, ze stojącymi na łbie włosami i wypędzi z mysich nor wszystkich metafizyków reakcji i proroków ciemnoty. Czego dawniej nie ważyły się jeden drugiemu do ucha powiedzieć, to teraz będą opiewali heksametrem. Ile w człowieku jest zbroja i zdrajcy, tyle z niego wywleka, na widok publiczny ukażą i ku czci oraz naśladowaniu podadzą.⁶⁹

Księżna Odrowążowa zaledwie przez delikatność wobec Salomei i przez miłość ślepą do syna ukrywa swoją żywiołową awersję do tych „obłąkanych zamysłów”. Jej syn „jest pan — i z rodu — książę!” i „nie jego to rola terać się w zgniłych barłogach [...] Co jest godne przekleństwa, musi być przekłete”⁷⁰. Żeromski bardzo trafnie określa socjalne oblicze rewolucji styczniowej. Kadry podstawowe oddziałów powstańczych rekrutują się u niego ze szlachty średniej lub zupełnie ubogiej. Tę szarą, drobnoszlachecką masę żołnierską, żarliwie patriotyczną i do końca ofiarną, przeciwstawia magnackiej, utytułowanej arystokracji. Ona głównie zasilą przeciwny walce obóz „białych”. Młody książę Odrowąż, entuzjasta-szaleniec, jest wyjątkiem, który potwierdza regułę.

Podstawowej jednakowoż przyczyny niepowodzeń powstania i jego klęski ostatecznej dopatrywał się Żeromski przede wszystkim w głuchej i tępej obojętności ludu wiejskiego. Stanowisko chłopów ukazane jest u Żeromskiego zgodnie z prawdą dziejową. Było ono zależne od stosunków wzajemnych między dworem a wsią. Tam, gdzie ucisk był słabszy, tam i postawa chłopstwa wobec powstania była przychylna lub neutralna. Gdzie problemy socjalne leżały odłogiem, a współzycie dwu stron układało się według archaicznych nawyków maksymalnej eksploatacji strony słabszej, tam chłop patrzył na tę pańską ruchawkę okiem podejrzliwym lub nawet wrogim i współdziałał z zaborcą. Był to tragiczny, choć niestety w przekonaniu pisarza zasłużony odwet historii za wielowiekowe „niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i za cierpienie ludu”⁷¹. Chłop-nędzarz, zwabiony nadzieją nieoczekiwanej zdobyczy, skrada się pod osłoną nadciągającej nocy i w całkowitej niewiedzy okropności moralnej swego czynu obdziera Winrychowego trupa z wszystkiego, co na tym nieszczęśniku jakkolwiek choćby mizerną przedsta-

⁶⁹ *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, s. 53.

⁷⁰ *Wierna rzeka*, s. 143.

⁷¹ *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, s. 59.

wiało wartość. Rzecz przedstawiona jest beznamiętnie, z absolutnym obiektywizmem, najlżejszy nawet cień potępienia nie błąka się nad tą sceną odrażającą. Ów chłop jest taki, jakim go uczyniły historyczne warunki, pańszczyzniana niewola i ciemnota celowo poprzez wieki pielęgnowana. Postawa chłopów wobec rannego Odrowąza waha się w niezdecydowaniu między lękiem przed władzą, która buntowników nakazuje brać w areszt i odstawić do miasta, szyderstwem z takiej tam jego gadki, że się za nich i ich dobro bić poszedł, a „krześcijańskim” zlitowaniem dla „takiego to ciaciastwa”, co ledwo zipie i „uświerknie”, zanim go dowiożą do miasta; „puścić toto [...] niech ta lezie, skąd przyszło”⁷².

Powstanie było więc dla Żeromskiego jakby tragedią podwójną. Tragedią niespełnionych nadziei i dramatem wewnętrznego rozdarcia i niezrozumienia w tym samym, jednako zniewolonym i raz jeszcze pokonanym plemienu polskim. Niemniej nawet w swoich tragicznych doświadczeniach i konsekwencjach pozostało w świadomości pisarza przedmiotem wzniosłego uwielbienia. Tych kilkanaście miesięcy to był krótki oddech wolności; w porywie walki, być może szaleńczej i skazanej od początku na klęskę, naród odzyskiwał swą godność. Ta chwila była warta, aby za nią zapłacić cenę najwyższą. Na tle powszechnego upadku ducha i niewolniczej rezygnacji, jakie ogarnęły życie polskie na rozległych jego obszarach po klęsce insurekcji styczniowej, rosła ona w odczuciach i przeświadczeniu Żeromskiego paradoksalnie jako najwyższa mądrość, jako jedyna polityka realna w bezwyjściowej sytuacji narodu, skazanego przez potężnych sąsiadów na wieczystą podległość. W tym to właśnie najgłębszym przekonaniu wewnętrznym, w tych tajemnych odczuciach, tak rozmiągających się z powszechnym, pospolitym nastrojem zgody, były źródła zwrotu pisarza ku odleglejszej przeszłości, ku początkom od wieku już trwającej epopei wyzwoleniczej narodu.

Zwrot ten był swoistym protestem przeciw nędzy życia polskiego po zawiedzionych nadziejach roku 1863. Żeromski samoistnie poniekąd wyprzedzał w sposób zdumiewający i świadczący o jego wspaniałej intuicji polemikę Askenazego i jego uczniów z pesymizmem krakowskiej szkoły historycznej⁷³, aczkolwiek orientował się już nieco w kierunkach i ocenach neoromantycznej historiografii polskiej dzięki swoim osobistym kontaktom z Askenazym i Sokolnickim. Ale podstawowe dzieła Askenazego i jego wychowanków, Tokarza i Skalkowskiego, były od *Popiołów* późniejsze. Jedynym historykiem starszej generacji, który mógł Żeromskiego inspirować, był Tadeusz Korzon, znany mu z Raperswilu i z Biblioteki Zamoyskich. W jego *Wewnętrznych dziejach Polski za Stanisława Augusta* katastrofa rozbiorów przedstawiona została jako gwałt dokonany przez

⁷² *Wierna rzeka*, s. 14.

⁷³ Zob. K. Wyka, *Żeromski jako pisarz historyczny*, [w:] *Szkice literackie i artystyczne*, Kraków 1956, t. 1, s. 230 i n.

ościenne mocarstwa na kraju, który znajdował się na najlepszej drodze ku społecznemu i politycznemu odrodzeniu. Identyczny pogląd formułuje w *Sułkowskim* tytułowa postać tragedii: „Olbrzymi kraj pod panowaniem dwu Sasów trwał bez armii, bez skarbu, bez handlu, w apatycznym letargu, jak olbrzym bezsilny, którego wycieńczyły drgawki anarchii. Kiedy ocknęło się w nim zdrowie, wróg mu do zdrowia przyjść nie dał. Kiedy się olbrzym porwał na nogi, związali go żelaznymi łańcuchami”⁷⁴.

Legiony Dąbrowskiego były pierwszą próbą dzwignięcia się powalonego narodu z rumowiska klęski, rozpoczynały ten ciąg nieustannych usiłowań, który poprzez całe stulecie docierał aż do progu nowego wieku. Szymon Askenazy wiązał wyraźnie współczesne Żeromskiemu poczyna-
nia niepodległościowe z tamtym, z pokolenia na pokolenie przekazywanym testamentarycznym przesłaniem:

Legiony pracowały nie tylko dla teraźniejszości [...] lecz dla dalekiej przyszłości [...] Przez potop trójrozbiorowy przeniosły ocalone hasło niepodległości. Utrzymały nieprzerwaną ciągłość tego hasła i wcielającej je broni polskiej [...] I kiedyś jeszcze, gdy nareszcie wybijie naprawdę godzina zmartwychwstania, najpierwszy w imię niepodległości zbrojny odruch polski pod starym legionowym odrodzi się znakiem. Tak na zawsze z granitowym blokiem niepodległej samowiedzy narodowej spoją się legiony Dąbrowskiego i Napoleona.⁷⁵

Cofnięcie się w przeszłość historyczną i wybór takiej właśnie a nie innej tradycji był więc dla Żeromskiego swoistą formą dialogu ze współczesnością i określoną propagandą. Pisarstwo założone od początku jako działanie służebne miało kształtować orientację na dziś i jutro. Przypomnienie chwały minionej wzbudzać miało uczucia i pragnienia podobne tym, jakich doświadczał Krzysztof Cedro idący ze swoją polską kawalerią sławnym szlakiem Rolanda i Turpina. „Serce drżało w Krzysztofie [...] żądza czynów [...] które się śmiercią własną wyważyła z nicości [...] oplecionych przez bluszcze legend, a przez westchnienia pokoleń zmienionych w baśnie — płonęła w jego duszy [...] Duma, w której mrokach knują się, kłębią i przewalają olbrzymie a jeszcze mgliste zamiary” wypełniała „mu piersi. Uczucie męstwa przejęło i skrzepiło wszystkie niezwalczone żądze, duchowe porywy, podobnie jak czyste i żyzne powietrze gór umacnia ciało”⁷⁶. W majaczeniach ciężko rannego, w których pojawia się widziadło starego Trepki, spadkobiercy oświeceniowego pokolenia reformatorów, utajona jest polemika z pozytywistyczną ideologią pracy u podstaw, nie na miarę narodu, który ma prawo do wolności:

Więcej znaczy nowy rów przerznięty w odwiecznych bajorach nad Wisłoką niż wygrana potyczka... Czy tak? Więcej znaczy jeden przytułek, jeden szpital w twojej [...] dziedzinie niż zdobycie sztandaru...

⁷⁴ S. Żeromski, „*Sułkowski*”, „*Turoń*”, Warszawa 1950, s. 113.

⁷⁵ „*Kwartalnik Historyczny*” 1935, s. 553.

⁷⁶ S. Żeromski, *Popioły*, Warszawa 1946, t. 3, s. 22 - 23.

— Zabawnys ty, stary, zabawnys ty ze swoją przyziemną, chlebożerną filozofią [...] Wyrzekłeś się bohaterstwa nie tylko za siebie, ale za syny i wnuki, odpinasz na zawsze pióra od przyłbicy i miecz rzucasz rycerski. Pracy się nędznej poślubiłeś, żeby odkupić pradziady i prawnuki...⁷⁷

U podstawy myślowej *Popiołów* leży więc czyn; jedyna prawda w czynie ludzkim. Tylko on ma moc zbawiającą i oczyszczającą jednostki i narody. Gdy Gintuł słuchając opowiadania Sułkowskiego o zwycięstwach Francji rewolucyjnej kwituje je wzgardliwym: „Wszystko to nie warte jednego wiersza Dantego”, Sułkowski kończy bezcelową dysputę swoistym wyznaniem wiary: „Nie warte jednego wiersza Dantego... Wiem to nie z książki, nie z mądrości cudzej, lecz z siebie, ze swego własnego przejrzenia, że wszelkie słowo w istocie swej jest czcze i próżne. Nawet słowo najgenialniejszych poetów. Nawet spisane natchnienie proroka [...] Wielkimi są tylko czyny. One jedne równają się siłom przyrody, niweczą ich wszechmoc i wszechmoc naszej, ludzkiej śmierci. Toteż życie bez wielkiego czynu jest nędzą [...]”⁷⁸.

Epopeja napoleońska była więc dla bohaterów powieści koniecznością życia. Wszystko dokoła wydawało się nikczemne, w parę lat po ostatnim akcie tragedii naród zdawał się przyzwyczajać na dobre do okowów niewoli.

Widziałem spodlenie wszystkich instynktów — tłumaczy stary Trepka staremu panu Cedrze, dlaczego Krzysztof musiał pójść nieuchronnie za potężnym odruchem woli zbiorowej — powolne znikanie zmysłu plemiennego [...] Z pruskich banków brali pieniądze na ziemię wiedząc, że ją zaprzędają na wieki [...] Za pięćdziesiąt lat nogi by polskiej w tych Prusiech Południowych nie było [...] Młodzież złaładaczała, gałgąństwo i głupota padły na cały naród, jak morowe powietrze...

— Trzeba było ratować. Honor plemienny za jaką bądź cenę musiał się obudzić [...]

— Musiało, co lepsze, ocknąć się i rzucić w krwawą kąpiel [...] ⁷⁹

W dziejach tych młodzieńców, którzy szli ślepo zapatrzeni w gwiazdę cesarza, było cudowne „ocknienie, przebudzenie, siła żywota”⁸⁰.

Jest taki moment w drugim tomie *Popiołów*, w którym zamyka się jak gdyby sens najgłębszy tej romantycznej epopei. W szaleńczej jeździe ze Stokłosów ku czekającym ich przygodom wojennym Rafał i Krzysztof przystanąli na chwilę na skrzyżowaniu dróg. Stał tam

na rozdrożu spróchniały słup, niegdyś pomalowany ciemną farbą. Pod jego szczytem widniał obrazek na blasze, przybity czterema gwoździami. Patrzyły z niego oczy miłościwe, zamazane jakoby łzami, wyplakane i skostniałe od żalu. Patrzyły w ciemną jaskinię nocy, uchodzącej za bory, lasy, w pustkę ugorów, w żal sennych dróg. Krzysztof ściągnął cuglami konia i osadził go w miejscu. Zwrócił go łbem do słupa. Zdjął czapkę i wznosił oczy na święty obrazek. Westchnął... Nie z głębi cielesnego serca,

⁷⁷ Ibid., s. 103.

⁷⁸ Ibid., t. 1, s. 232.

⁷⁹ Ibid., t. 3, s. 214 - 215.

⁸⁰ Ibid., s. 214.

lecz z dna duszy wypłynęła krótka modlitwa. Nie za siebie, nie o zachowanie życia, nie za ojca, nie za siostrę i nie za duszę matki, lecz za one niskie i mokre zagony, za nieobeszły, spracowany kraj...⁸¹

„Wysiłek odrodzeńczy narodu jest w ujęciu Żeromskiego wysiłkiem przede wszystkim militarnym, a nie politycznym”⁸². On też „stoi w centrum myślowym *Popiołów*”⁸³. Polska niepodległa może powstać tylko z ofiary krwi. „Ile krwi — powiada Dąbrowski do Gintułta — męki, trudu, sławy wsiąknie w obce pola — któż to odgadnie? Ale zostanie reszta. Ze wszystkich rozstajnych dróg jedna jakaś będzie prowadziła! Żyły będą pękać i krew z pazurów tryśnie, ale to darmo. Iść trzeba wiekuistym pochodem”⁸⁴.

W trudach wojny i wśród jej zmiennych losów kształtuje się też i wyrasta nowe pokolenie Polaków, nowy typ patriotyzmu, dojrzałego i odpowiedzialnego, zdyscyplinowanego i poddającego się bez zastrzeżeń i bez sprzeciwu wyższym koniecznościom, idei nadrzędnej wyzwolenia narodu: „[...] żołnierz nasz — woła Dąbrowski — musi zajaśnieć cnotą na śmierć gotową, konduita, żelazną subordynacją i energią. Dopiero wtedy zaufają mu ci, którym ja honorem swoim za żołnierza ręczyłem”⁸⁵.

Mowa tu oczywiście o człowieku, który stał się nazwą i uosobieniem całej epoki, wyrazem jej najbardziej natchnionych i porywających idei i któremu zawierzyli Polacy. W badaniach powojennych próbowano forsować tezę, że *Popioły* oznaczają zerwanie z tak głęboko osadzoną w tradycji i świadomości polskiej legendą napoleońską⁸⁶. Nie wydaje się to słuszne, nie potwierdza tej tezy tekst powieści. Legenda Napoleona w niej istnieje, tyle że nie w owej naiwnej, pospolitej i ludowej postaci, jaką utrwaliła popularna literatura i podręcznikowa, szkolna historiografia. Pojawia się na kartach *Popiołów* w dyskretnym utajeniu jako tajemnicza i nieodgadniona potęga, głucha wieść, porywające natchnienie, zdolne popychać narody ku dalekim i niedosiężnym celom, które zna tylko Bóg i — On, bohater mitu. W tych celach „mieści się nowy świat”, ku któremu „zmierza bez przerwy [...] Tam się poczynają i ciągną nowe dzieje okręgu ziemskiego [...] Nowa ziemia [...] nowa, odrodzona ziemia”⁸⁷. Mówi to co prawda Sułkowski, postać w danym wypadku powieściowa, nie ulega jednakże wątpliwości, że jest w tym momencie, w którym te słowa wypowiada, *porte parole* Żeromskiego. To jest jego uwielbiany bohater, tym bardziej wiarygodny, że w swym stosunku do Napoleona wcale nie bezkrytycznie zaślepiony. Zna on wszystkie ambicje, wszystkie sny i marzenia tego czło-

⁸¹ Ibid., t. 2, s. 194 - 195.

⁸² K. Wyka, op. cit., t. 1, s. 242.

⁸³ Ibid., s. 243.

⁸⁴ *Popioły*, t. 1, s. 217.

⁸⁵ Ibid., s. 214 - 215.

⁸⁶ Zob. zwłaszcza K. Wyka, op. cit., t. 1, s. 250 i n.

⁸⁷ *Popioły*, t. 1, s. 227.

wieka, ale to rosnące nienasycenie i żądza sławy łączą się w osobie cesarza z tajemniczą, potężną siłą władania nad ludźmi i nad sobą dla celów olbrzymich i nieznanym, jemu tylko wiadomym.

W odczuciach masy ludowej i wojsk niepoliczonych wszystkich nacji europejskich jawi się postać cesarza jako wyzwoliczela skrzywdzonych i ujarzmionych. Od krańca do krańca kontynentu idzie za nim nieustający „krzyk potężny, łoskot jednolity z męskich, zdrowych, żołnierskich piersi [...] niby dzwięcny strzał stu armat: — *Vive l'Empereur!* [...] szalejący orkan radości [...] uniesiony hymn, w jedno słowo zawarte atlantyckie morze: — Wiwat cesarz!”⁸⁸ „Po stokroć! Po tysiącokroć! Chwała mu wieczna!”⁸⁹

„Widziałem w jego cyfrach — powiada Sułkowski do Gintułta — [...] olbrzymi pomysł, żeby [...] zwalić” Anglię „przez nagłą inwazję, zdeptać potęgę kupców i na gruzach oligarchii zapalić ogień rewolucji, żeby nauczyć swobody ten lud, któremu wydaje się, że jest wolny dlatego, że mu to wmawiają”⁹⁰. Na przekór zgrozie, oburzeniu, protestom wszystkich reakcjonistów i wszystkich demokratów, oświeceniowych liberałów i nadwrażliwych humanitarystów, ten „uzurpator” jest „panem Berlina i panem Wiednia”. Roztrącone jest rakuskie mocarstwo „jak kupa zgonin”, roztrącone jest państwo pruskie — kończy swą opowieść kaleki żołnierz, co pół świata zwędrował w służbie cesarza. A teraz idzie on ku Polsce, „w Poznańskie, w Mazowsze... do Warszawy! Przez żywy Bóg tak będzie! Armie przemierzają równiny [...] gdzie rządził Prusak”⁹¹.

Krzysztof Cedro, leżąc ciężko ranny na chwilowym postoju pod Madrytem, słucha słów manifestu cesarskiego.

Manifest głosił wszem i wobec — zdrowym i konającym żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom i świeckim, Francuzom, Hiszpanom, wszystkim zgola, kto oddycha na Półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycję świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę zakonów i klasztorów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje...

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko zrozumiał.

— Teraz już wiesz, Szczepanku — mamrotał śmiejąc się i ziewając — dlaczego łamaliśmy starą Saragossę, kastel Aliaferię z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucja, więźniu hiszpański.⁹²

Napoleon dwukrotnie pojawia się na krótko na stronicach powieści. Raz pod owym Madrytem, gdy przystaje na chwilę nad rannym Cedrą. Stylistyka migawkowego ujęcia zjawy człowieka wskazuje na wyraźną tendencję uwznioślającą. „Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiadomego metalu,

⁸⁸ Ibid., t. 3, s. 106.

⁸⁹ Ibid., t. 2, s. 188.

⁹⁰ Ibid., t. 1, s. 224 - 225.

⁹¹ Ibid., t. 2, s. 188.

⁹² Ibid., t. 3, s. 106 - 107.

była ku niemu wyczekująco i groźnie zwrócona”⁹³. I powtórnie, w zakończeniu powieści, w czasie rewii powszechnej przed wyprawą na Moskwę. Ta sama twarz, „zimna i obojętnie ponura, jak złom głazu. Spojrzenie oczu mijało twarze po twarzach, szło po spojrzeniach tysięcy, jako po martwym szlaku. Oczy straszliwe, w których gromady ludzkie przyuczone zostały widzieć jeno radość i gniew, były w tej chwili nijakie, obojętne, zasłonięte olbrzymością myśli dalekich”⁹⁴. Ujęcie językowe portretu wskazuje na oczywistą fascynację. Tak pisze się jedynie o największych bohaterach historii. Dwie te sceny łączy więź wyeksponowanej świadomości zależności. Zamykający *Popioły* półtorastronicowy epilog epopei nosi znamieny i wymowny tytuł: „Słowo honoru”.

Dotrzymał cesarz słowa honoru, danego pod Madrytem najslabszemu ze swych żołnierzy [...] ⁹⁵

Ręka pociągnęła cugle konia i jakiś rozkaz padł z ust. Wstrzymał się cesarz. Podniósł oczy. Patrzy w pułk. Widzi każdą twarz, przechodzi kolejno jedną po drugiej. Spotkał wlepione w siebie oczy Krzysztofa Cedry, oczy skamieniałe z żołnierskiej wierności, oczy przysięgłe. Przez chwilę coś zamigotało w twardych źrenicach cesarskich, jak daleki błysk w burej, bezlicej, bezkształtnej chmurze. Wspomnienie stało się jasnym widzeniem rzeczywistości. Przelotny, półsmutny uśmiech spłynął po granitowym obliczu...⁹⁶

Jest rzecz jasna nieprawdopodobne, by w tym morzu żołnierskich głów mógł Napoleon przechwycić to spojrzenie Krzysztofa i związać ten przelotny błysk nieznanych oczu z tamtą chwilą sprzed lat, w dalekim kraju. Że nie był już tym dawnym, młodym korsykaninem, dziko, młodzieńczo miłującym swą skalistą ojczyznę, to oczywiste. I nie była to zdrada, było to normalne następstwo rzeczy, unosili go zdarzenia, którym sam nadał kiedyś początek i teraz był już więźniem własnych zamiarów i idei. I nie dla Krzysztofa Cedry, nawet nie dla Polski poruszone zostały i wyprowadzone pod Orszę tysiączne armie. Ale niezależnie od istotnych, subiektywnych zamiarów i rachunków Napoleona, obiektywne następstwa jego polityki europejskiej przywracały Polakom godność, honor, nadzieję. W dziele literackim każdy najdrobniejszy element ma istotne znaczenie. To iż Żeromski zamknął swoją powieść w momencie, który przywołuje analogię z największym arcydziełem naszej literatury narodowej, że w tej ostatniej scenie pożegnania kazał się spotkać dwom postaciom, z których jedna uosabia wszechmocną wolę i siłę historyczną, druga zaprzysięgłą, żołnierską wierność, że połączył je tym „słowem honoru”, nadając owej scenie ostatniej jakby znamię zamknięcia, które jest zarazem spełnieniem — wszystko to jest przecież nieprzypadkowe i znaczące; *Popioły* są najoczywistszym wyrazem wiecznie i niezmiennie urzekającej legendy napoleońskiej.

⁹³ Ibid., s. 107.

⁹⁴ Ibid., s. 277 - 278.

⁹⁵ Ibid., s. 277.

⁹⁶ Ibid., s. 278.

Popioły w zamyśle dalekosiędnym Żeromskiego były „sprawą pierwszą” wielkiego cyklu epickiego, którego ogniwnem ostatnim miało być powstanie styczniowe. W rozpięciu tych dwu dat 1797 - 1863 zmieścić się miała powieściowa historia wiekowych bez mała usiłowań narodu „wybicia się na niepodległość”. Z zamysłu pozostały tylko fragmenty i dalekie odwołania w utworach o zupełnie odmiennym zakresie gatunkowym i tematycznym. *Wszystko i nic*, „sprawa druga” *Popiołów*, *Turoń*, *Wierna rzeka*, *Uroda życia* i *Róża* — stanowią ów ciąg różnorodnych rodzajowo ekspozycji literackich tego samego w swej istocie tematu: walki narodu o byt samowładny, suwerenny. W twórczości Żeromskiego jest to sprawa naczelna, dominująca od początku do końca nad całym światem jego pisarskiego widzenia. *Wszystko i nic* jest introdukcją powstania listopadowego. To samo pokolenie napoleonidów podejmuje po raz wtóry to samo dzieło. W siedzibie Rafała Olbromskiego wiszą na ścianach szerniałe podobizny Kościuszki i księcia Józefa, wizerunki marszałków napoleońskich. W myślach Machnickiego snuje się „zapomniane widziadło nieprzeliczonych wojsk idących przez nieprzebyte ruskie śniegi. Wielkie bitwy, marsze, bezprzykładne szarże, zwycięstwa, klęski [...]”⁹⁷. Teraz on sam, gdy tamten, „niezwyciężony [...] runął i znikł, wydawał moskiewskiemu mocarstwu wojnę drugą, spisek przemądrzały”, oparty na myśli przenikliwej, woli niezłomnej, rachunku nieomylnym, wywiedzionym „z okrucieństwa doli” i hańby bytu polskiego⁹⁸. Przybywa teraz do tego spokojnego domostwa dawnego towarzysza marzeń i czynów heroicznych, aby spokój ów zburzyć. Taki jest los polski. „Do dzieła! Nie dla nas lży! kobiety, dzieci”⁹⁹. Rafał Olbromski wojnę tę przeżyje, zginie dopiero zarąbany siekierami zbuntowanego chłopstwa w czasie rabacji galicyjskiej. W biografii jego syna powtórzą się te same koleje losu. Wydawało się dziecku kilkuletniemu, słuchającemu opowieści Machnickiego o ludziach walczących, „którzy honor wyżej cenili niż życie”¹⁰⁰, „że mu nad głową skrzydła szumią... Wzrok się rozognił i włosy splonęły jakby od ognia”¹⁰¹. W trzydzieści parę lat później Hubert Olbromski stoczy swój „ostatni chwalebny bój” nad „wierną rzeką” jako jeden z wodzów powstania styczniowego.

Wszystkie te insurekcje i rewolucje polskie są dla Żeromskiego przede wszystkim trwającą od wieku irredentą wolności. Element społeczny i klasowy jest istotny, doniosły, ale zawsze wtórny. Rok 1846 jest więc powstaniem „przeciwno naszym i waszym wrogom, którzy nas w niewoli trzymają”¹⁰² — powie Hubert Olbromski do zrewoltowanych chłopów, którzy

⁹⁷ S. Żeromski, *Wszystko i nic*, [w:] „*Sen o szpadzie*”, „*Pomyłki*” i inne opowiadania, s. 126.

⁹⁸ *Ibid.*, s. 127.

⁹⁹ *Ibid.*, s. 136.

¹⁰⁰ *Ibid.*, s. 131.

¹⁰¹ *Ibid.*

¹⁰² „*Sułkowski*”, „*Turoń*”, s. 231.

tej wolności pospólnej usiłują w swej tragicznej niewiedzy stawić zaporę. On i jego ojciec „byli w stu bitwach [...] bili się ze wszystkimi wrogami, którzy Polskę ujarzmili [...]”. Gdy przyszli z dalekiej, francuskiej ziemi „nad brzeg ostatniej rzeki, co [ich] od Polski oddzielała, w bród [...] ją przebrnęli. A padłszy krzyżem na świętą polską ziemię całowali [...] ją w radości wielkiej, bo [...] piętnaście lat na taką chwilę z utęsknieniem [...] czekali”¹⁰³. Nie wiedzieli, że chłop polski stanie na drodze przeciw tej wolności.

Przewycięzeniem tej tragedii stała się dla Żeromskiego dopiero rewolucja 1905 roku. To co było w niej wyrazem gwałtownego przebudzenia się i spotęgowania świadomości klasowej proletariatu, istnieje w jego widzeniu na dalekich obrzeżach rzeczywistości. Zachwyca go przede wszystkim wyidealizowany i przez niego samego otoczony czarem poezji samotny, nieznaną żołnierz rewolucji, wychodzący w pojedynkę przeciw potężnemu mocarstwu „w najciemniejszą, jesienną noc”, gdy huczy wichur i bije deszcz. W tę to noc „przyniesiona została Niepodległość do tego kraju nędzarzy ducha, popychanych pięścią obcego żołdaka”¹⁰⁴. Wyższość tej rewolucji nad wszystkimi powstańczymi usiłowaniem przeszłości polegała na tym, że po raz pierwszy dokonało się w niej zjednoczenie narodu. „Po powstaniu sześćdziesiątego trzeciego roku — powie Czarowicz do przesłuchującego go oprawcy z carskiej ochrony — byliśmy jedynie skatowaną szlachtą, społeczeństwem bez ludu”¹⁰⁵. W wielkim i solidarnym porywie rewolucji, niweczącym przedziały grup i warstw społecznych, nastąpiło stopienie ich w jeden naród walczący. Inteligencja polska przyszła do ludu ze wszystkim, co było w niej najlepsze. „Lud zapamiętał ten krótki czas. Ujrzał przez krótką chwilę, co mu dawała Polska, i ujrzał, co daje Rosja”. Ogrom cierpień obudził „z martwych dusze”. Katownie i szubienice pracowały „dla niepodległej Polski”. „Po dalekich siołach” szło „wędrownie w kurzu krwi zrodzone podanie o tym, jak wspaniałe umierał za niepodległość Okrzeja, Baron, Izdebski — i tylu innych”. Obeszło „ono wszystkie drogi”, trafiło „do każdego domostwa”. Zrozumieli w tych dniach „wszyscy polscy ludzie, jak niezgłębioną krynicą regeneracji narodu była ta rewolucja, jak żywa siła bić zaczęła z tej wody, w boleściach wydanej przez ziemię naszą”¹⁰⁶.

Stosunek Żeromskiego do rewolucji 1905 r. nie był jednak tak prosty. Wskazywaliśmy już na to w pierwszej części tej pracy. Na początkowy entuzjazm z biegiem zdarzeń zaczęły się nakładać coraz głębsze z wątpienia, rozczarowania, przerażenia, niewiara. Ruch rewolucyjny załamywał się nie tylko pod uderzeniami sił reakcji i państwa, lecz rozkładał od wnętrza.

¹⁰³ Ibid., s. 241 - 242.

¹⁰⁴ *Sen o szpadzie*, [w:] „*Sen o szpadzie*”, „*Pomyłki*” i inne opowiadania, s. 8 - 9.

¹⁰⁵ *Róża*, s. 153.

¹⁰⁶ Ibid., s. 153 - 154.

W krwawych oparach degenerującej się walki, wśród partyjnych, grupowych i jednostkowych egoizmów ginęła i umierała ostatecznie święta idea. Jak Czarowiec odczuwał Żeromski w owych dniach swą straszliwą samotność,

widział [...] naród swój podarty [...] jego rozproszenie, odłamy, odszczepy, części, warstwy, stronnictwa [...] Poznał w nieomylnym przejrzeniu, że stojąc na wysokości wolnego polskiego ducha, nie jest i nie będzie nigdy złączony ani z tymi zbiorowiskami ludzi, ani z żadną na tej ziemi jednostką. Widział [...] zaród zgnilości od początku i brud narosły pod wzniosłymi hasłami [...] Cuchnęła ze wszech stron kariera, żądza urzędu, pycha, pragnienie władzy. Dobrze to pojmował w tej chwili, że się zawiódł na wszystkich, którym najbezwzględniej ufał, którym najwierniej służył w przekonaniu, że służy ojczyźnie. Zawiódł się oto na siłę wszelkich polskich prawd, na wartości prądów i pośliznięć myśli zbiorowej, uwięźnięj w doktrynach stronnictw. Nie mógł dostrzec żadnego spoidła, które by plemię polskie zjednoczyć mogło. Jedyne, ostatnie i niewątpliwe, które jak ściany mogłoby ten naród rozpieczęścić w jedno zegnąć i materialnymi środkami zjednoczyć — państwo niepodległe — zostało odrzucone przez wszystkich rodaków. Czuł, że dusza nie może nawet zewrzeć się z nikim w walce, bo walki nikt nie chce.¹⁰⁷

U pręgu niepodległości załamuje się więc gwałtownie ta prosta linia, wzdłuż której rozwijała się dotychczas myśl patriotyczna Żeromskiego. To, co w perspektywie przeszłości i z dystansu historii wydawało się w swej czystości nieskazitelne, nieśmiertelne i niepokonane, zdawało się zamierać, podlegać niszczącemu skażeniu. Klęska rewolucji zdruzgotała moralnie Żeromskiego i napoiła niewiarą. Nie dźwignął się z tej zapaści nawet wówczas, gdy to główne natchnienie jego twórczości zaczęło się oblekać w realny kształt. Na to wszystko, co w swym rdzeniu i w najgłębszej istocie było porywem ku najczystszej idei niepodległości, nakładały się pokrętne matactwa polityki doraźnej, orientacje i kombinacje partii, stronnictw, programów. Mąciło się widzenie rzeczy, wszystko wydawało się podszyte kłamstwem, oszustwem, prywatą i egoizmem intrygantów. Tym zapewne można wytłumaczyć jedynie tę zdumiewającą nieobecność w dziele pisarskim Żeromskiego czynu zbrojnego Legionów, choć był on przecież zaprzeczeniem czarnowidzących zwątpień pisarza, a także nieobecność trudnych, dramatycznych, ale pełnych jednocześnie nadziei lat rodzenia się i formowania niepodległej Polski. Wydawało się niekiedy, jakby rację miał, niestety, pokąźny odłam krytyki i opinii ówczesnej, gdy dostrzegał w Żeromskim ów nieodegnany, nawet w czasach nadziei nie dający się pokonać, smutek niewoli. Ten „prorok niepodległości”, jakby zaprzeczając sam sobie, wydawał się istotnie poetą natchnień i porywów od początku skazanych na zagładę, usiłowań przegranych, walk bez zwycięstwa. Zdawał się nie wierzyć w zwycięstwo, a gdy zwycięstwo stało się rzeczywistością, jakby zabrakło mu mocy i zdolności pisarskich, by sprostać wielkości i powadze tematu. Z całej więc „polskiej wojny” lat 1914-1918 dostrzegł Żeromski

¹⁰⁷ Ibid., s. 161-162.

jedynie „blagierskie deklamacje [...] wielosłowne, wielokwadransowe wywody grubych ciemiegów”, elokwencję „kretynów, dowcipy błaznów” z „Enkaenu”, „galicyjskie gadulstwo” i austriacką lojalność wobec „Widnia”, zbrataną ze „starą tromtadracją”¹⁰⁸. „Tak to zażywając całej zdolności intrygowania i gadania, spychano jeszcze raz z ramion starych walcowników obowiązek zbawienia Polski na barki dzieci i podrastającej młodzieży”¹⁰⁹.

Reprezentantem tej jakoby oszukanej cynicznie młodości jest Włodzimierz Jasiołd, młodociany eks-żołnierz rozwiązanego już w początkach wojny Legionu Wschodniego. Mimo oporów ideowych, nieuleczalnie chory na niszczącą go gruźlicę, wstępuje ostatecznie do oddziałów Pierwszej Brygady i ciężko poturbowany w walce wręcz z patrolem nieprzyjacielskim kończy swe krótkie, smutne życie w więziennym lazarecie rosyjskim. Jak od wieku, jak zawsze — nadaremnie. „Obojętna wieczność zatoczyła wokół zwłok swe nieprzebyte koło. Triumf prawdy stał się niewidoczny, milczący i na nic nikomu — jak zawsze”¹¹⁰.

Tak oceniając wysiłek militarny, zmierzający ku celom, którym on sam całą swą twórczością dotychczas służył, Żeromski rozmiął się nie tylko z coraz bardziej powszechnymi odczuciami ogółu, ale i z własną, coraz żywszą i nie ukrywaną nadzieją. Śmierć młodziutkiego legionisty Włodzimierza Jasiołda i tysięcy jemu podobnych nie okazywała się daremna „jak zawsze”, skoro z tej ofiary wyłaniać się zaczęła coraz bardziej konkretna i realna wizja niepodległości. Sam Żeromski to czuł na przekór pamfletowym kartom *Walki z szatanem*, pisał o tym w swych utworach publicystycznych, ale tego dziejowego przełomu w formie artystycznej, powieściowej narracji przedstawić i wyrazić nie zdołał. Wyminał w swojej prozie epickiej ów wielki temat, może zbyt trudny dlań do udźwignięcia, gdy tkwiło się samemu w samym środku zdarzeń, bez dystansu, bez perspektywy. Niepodległość jawi się więc w owoczesnych publikacjach pisarza nie tyle jako efekt świadomych działań woli zbiorowej, ile jako ingerencja Boga w historię. „Jeżeli kiedy rodzaj ludzki — pisał w *Początku świata pracy* — patrzył oczyma żywymi w oblicze Boga żywego, to stało się to za tych dni. Prawica wiekuiestej wszechmocy i nieomyłnej sprawiedliwości zepchnęła z krzeseł potęgi kłamstwo cesarzów, a korony ich rzuciła pod stopy uciemieźzonych. Jak gdyby na głos trąby archanioła runęły mury tyranii, które od wieku i zdawało się na wieki zastawiły wolność na ziemi”¹¹¹. Żeromski jak pan Szymon Gajowiec, niewątpliwy *alter ego* pisarza (co do tego nie może być żadnych wątpliwości, jeśli zna się do gruntu jego dzieło), „wierzył w cuda. Wierzył w tajemnicze opiekuństwo” nad tym uciemieźzonym i umęczonym krajem.

¹⁰⁸ Zob. S. Żeromski, *Charitas*, Warszawa—Kraków 1928, s. 259.

¹⁰⁹ *Ibid.*

¹¹⁰ *Ibid.*, s. 353.

¹¹¹ S. Żeromski, *Początek świata pracy*, [w:] *Bicze z piasku*, s. 7.

„Pierwszym «cudem» pana Gajowca było, rzecz prosta, wskrzeszenie państwa polskiego”¹¹². Pan Gajowiec przypominał sobie.

pewną swoją modlitwę przed obrazem zamazanym przez deszcze, niszczoneym przez sloty, przed obrazem w starej kapliczce unickiej, przy drodze do Drohiczyzna. Stał wtedy obok matki Cezarego, młodziutkiej panny Jadwigi... Modlił się gorąco — gorąco o łaskę pomocy dla biednych ludzi Podlasia. I oto — mocarstwa przeszły, cesarze upadli, wojska wielkie znikły, niezdojbyte fortece w gruz się rozsypały. Modlitwa zrobiła swoje.¹¹³

Drugim „cudem” było odparcie bolszewików w roku 1920. Pozycje tego „cudu” były takie — wykladał pan Gajowiec Cezaremu Baryce. — Bolszewicy mieli ogromną armię, świetną konnicę. Zalali tą armią cały prawie polski kraj. Na sztandarach bolszewickich było wypisane hasło wyzwolenia proletariatu z burżuazyjnej opresji, rewolucja socjalna. Któż i co mogło się oprzeć tej armii i jej moralnej sile? Powinna była w Polsce znaleźć zwolenników, powinna była zniszczyć szczupłą polską siłę zbrojną, gdyż za plecami wojsk polskich powinna była stanąć druga potęga, zrewolucjonizowane masy proletariatu miast i wsi. Ta druga siła powinna była podać rękę rosyjskiej armii czerwonej.¹¹⁴

Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Udział Cezarego w wojnie polsko-rosyjskiej stał się dla niego jakby okazją i sposobem zrozumienia i rozwiązania tej zdumiewającej zagadki. Niedawny prawie bolszewik nie bardzo był przekonany wewnątrznie co do celów i słuszności tej wojny. Ale widział jednocześnie defetyzm, rejteradę plutokratów z zagrożonej stolicy albo wyrachowaną, wyczekującą obserwację biegu wydarzeń z przeczorną gotowością do sprytnego przystosowania się i rozsądnego znalezienia w każdym mogącym zaistnieć położeniu. Wstąpienie do szeregów walczącej armii było osobistym protestem Cezarego przeciw kapitalistycznym łobuzom i politykom kawiarnianym, ukrywającym się za kordonem walczącej bohatersko młodzieży. Porwał go zarazem entuzjazm, jakiego nigdy nie widział. Słyszał

mowy robotników i przywódców robotniczych wzywające do walki na śmierć i życie — nie z burżuazją, jak zawsze w mowach robotniczych — lecz z tym najeźdźcą, który kraj nachodzi, łup i zamienia w ruinę, niosąc czerwone sztandary. Patrzył, jak chłopcy niedorośli wylatywali spod ręki matek, i czytał w dziennikach opisy, jak po bohatersku ginęli. Chciał zobaczyć własnymi oczyma tę sprawę [...] dowiedzieć się, co naprawdę kryje się w samym rdzeniu tego ich entuzjazmu, jaka idea zasadnicza, jaka siła, jaka wewnątrz skreślona sprężyna rozpręży się i popycha ich do dzieła. No, i co ta siła jest warta.¹¹⁵

Tą siłą była wola obrony zagrożonej suwerenności państwowej, niezbywalnego prawa samostanowienia. Myśl Żeromskiego, wpisana w jego publicystykę ówczesną i jego utwory literackie, zwłaszcza w *Przedwiośnie*, w uderzający sposób przypomina argumentację Piłsudskiego, który odpo-

¹¹² S. Żeromski, *Przedwiośnie*, Warszawa 1946, s. 255.

¹¹³ *Ibid.*, s. 257.

¹¹⁴ *Ibid.*, s. 255.

¹¹⁵ *Ibid.*, s. 101.

wiadając naczelnemu dowódcy Armii Czerwonej w r. 1920 uzasadniał swą politykę zbrojnego oporu wołą zabezpieczenia Polsce rzeczywistych i optymalnych warunków spokojnego rozwoju i odbudowy państwa bez czyjejkolwiek ingerencji po stuletnich torturach niewolnego, spodłonego istnienia. „Jako Naczelnik Państwa Polskiego i Wódz Naczelny [...] postawiłem [...] sobie już w r. 1918 wyraźny cel [...] natężyć siły, aby możliwie daleko od miejsc, gdzie się nowe życie wykuwało i wykuwało, obalić wszelkie próby i zakusy narzucenia raz jeszcze życia obcego”¹¹⁶.

Dla Żeromskiego „pochód za Wisłę” Armii Czerwonej Tuchaczewskiego w r. 1920 był również taką próbą zawrócenia koła historii. Nawiązując do roli Marchlewskiego, Dzierżyńskiego i Kona jako członków niedoszłego rewolucyjnego rządu polskiego zapytywał, kim ci ludzie właściwie byli i kto ich na tej ziemi na to stanowisko mianował?

Lud polski — pisał w owym reportażu *Na probostwie w Wyszku* — czy naród polski, tak rozumiany, jak to jest w ich zwyczaju, nie naznaczał żadnego z nich na godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś z wyższą, w obcym kraju, w swej partii. Jako takich można by ich nazywać tylko komisarzami w znaczeniu, jakiego ten wyraz nabrał w opinii ludowej polskiej podczas długoletniej działalności komisarzy „po krestiańskim dielam” za poprzedniej inwazji carów moskiewskich na ziemię polską. I tamci stawali przeciw w obronie ludu polskiego wobec ucisku szlachty. Tamci także opierali pomoc swoją dla chłopów polskich na nieprzeliczonej ilości bagnatów. Jedną tylko różnicą: tamci komisarze nie byli z naszego rodu. Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili na nasze pola, na nędzne miasteczka, na dwory i chałupy posiadzicieli, na miasta przywalone brudem i zdruzgotane tyloletnią wojną — obcą armię [...] W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili.¹¹⁷

Bez względu na intencje było to dla Żeromskiego zdradą ojczyzny. „Kto na ziemię ojczystą — kończył ten swój osobliwy reportaż, ni to wezwanie, ni manifest — chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, stratował, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyzuł z ojczyzny”¹¹⁸. Odpowiedzią na ów zamach na wolność było zjednoczenie narodu, jakiego świat dawno nie widział, cały „lud polski poszedł w bój za ojczyznę”, inteligencja, mieszczaństwo, proletariat i chłopstwo, „opasali się pasami żołnierskimi nędzarze, którzy na własność w ojczyźnie mają tylko grób, i z męstwem, na którego widok oniemiał z zachwyty świat, uderzyli w wojska najeźdźców. Od krańca ziemi polskiej do drugiego krańca, gdziekolwiek brzmi nasza mowa, jeden podniósł się krzyk: niech żyje ojczyzna!”¹¹⁹

Wojna roku 1920 postawiła szczególnie ostro sprawę zasięgu granic Polski. Ścierały się w tej kwestii dwie zasadnicze orientacje: inkorporacyjna, forsowana przez stronnictwa prawicy z Narodową Demokracją na cze-

¹¹⁶ J. Piłsudski, *Rok 1920*, [w:] *Pisma zbiorowe*, jw., t. 7, s. 146 - 147.

¹¹⁷ S. Żeromski, *Na probostwie w Wyszku*, [w:] *Inter arma*, s. 61 - 62.

¹¹⁸ *Ibid.*, s. 70.

¹¹⁹ *Ibid.*, s. 66.

le, i federacyjna, popierana przez belwederski obóz Piłsudskiego, nawiązująca do jagiellońskiej idei Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Bez względu na różnice ustrojowe przyszłej organizacji odbudowanego państwa polskiego obie stały na stanowisku, że Polska, jeśli ma być zdolna do życia, nie może zgodzić się na wegetację w ramach państewka rangi i rozmiarów dawnego Księstwa Warszawskiego czy Królestwa Kongresowego, gdyż byłoby to dla niej wyrokiem śmierci. Żeromski rozpatruje tę sprawę w kategoriach utrwalonego silnie przez cały wiek XIX w świadomości zbiorowej historycznego posłannictwa i wiekowej rywalizacji między Polską a Rosją. O idei jagiellońskiej mówią jednak i Baryka, i pan Gajowiec. Dla nich obu oznacza ona nie tylko zjednoczenie w całość nierozzerwalną wszystkich historycznych ziem polskich, ale i zbieranie ludów ościennych pod bezpiecznym, ochronnym dachem wspólnej ojczyzny. „Dał wam los w ręce ojczyznę wolną, państwo wolne, królestwo Jagiellonów — woła z wyrzutem pod adresem Gajowca jego młodzieńczo niecierpliwy przyjaciel. — Dał wam ludy obce, ubogie, proste, ażebyście je na sercu tej Mocarcki, tej Pani, tej Matki ogrzali i do serca jej przytulili”¹²⁰. Ale rządcom odrodzonego państwa brak jak gdyby odwagi „postawienia nowych idei”, wyższych od bolszewickich, „które by ludy okrainne odwróciły twarzą ku Polsce”¹²¹.

Niecierpliwość młodzieńczą usiłuje pohamować rozważa i odpowiedzialność, dojrzałość i doświadczenie. Wszystko się z czasem wypracuje. „Zbudujemy dom wspólny”. Ale „jeszcze ziemie nie odkupione jęczą pod wrogiem [...] Obronić się przed straszną koalicją wrogów — otóż pierwsza idea. Nie dać świętej Polski, nie dać Lwowa, nie dać Poznania, nie dać brzegu morskiego, nie dać Wilna — Moskalom, Niemcom, Litwinom, nikomu, kto po ziemie nasze ręce wyciąga [...] Nie możemy oddać w niewolę czyjąkolwiek naszych rodaków na Rusi. To zazębiecie ludów ruskich, polskich, litewskich musi żyć w Rzeczypospolitej Polskiej”¹²².

Ze nie były to opinie i wypowiedzi tylko postaci powieściowych, tego dowodziła żarliwa, okazjonalna działalność publicystyczna Żeromskiego czasu wojny i przedwośnia polskiego. Żeromski jawi się w tej publicystyce jako niezłomny strażnik historycznego stanu posiadania polskiej domeny, o najmniejszym skrawku ziemi polskiej pamięta, wszystkie domaga się zgromadzić i połączyć w jednym narodowym jestestwie. W odezwie wzywającej o pomoc „dla głodnych Wilna” z r. 1917 pisał o tych kresach białorusko-litewskich jako najcenniejszym i niezapomnianym dziedzictwie polskim. „W prawieku, za cenę miłości cudnej królowej, kupiona została unia wieczysta Polski i Litwy, jedno z najpiękniejszych podań z przeszłości świata. Litwa to kulebka wodza narodu — Kościuszki, to kraina, którą

¹²⁰ *Przedwiośnie*, s. 289.

¹²¹ *Ibid.*

¹²² *Ibid.*, s. 291 - 292.

nazywał ojczyzną wieszcz plemienia polskiego — Mickiewicz. Wilno to mury, w których cieniu nauczali Śniadeccy i Lelewel, a gdzie się uczył Słowacki”¹²³. W geście pomocy, jakiego ma prawo ten kraj i to miasto oczekiwać od Polski, idzie nie tylko — zdaniem Żeromskiego — „o miłosierdzie względem bardziej cierpiących, lecz o nasz skarb najdroższy, nabyty przez współzycie w ciągu pięciuset lat, o byt fizyczny, o dorobek kultury polskiej na tej męczeńskiej ziemi”¹²⁴. Upominał się o powrót Ziemi Spiskiej, Orawy i Cieszyna, okupowanych przez Słowaków i Czechów, do „świętej polskiej korony”¹²⁵, angażował się najsilniej w żarliwą agitację na rzecz przyłączenia do Polski Ziemi Mazurskiej i Pomorza.

Problem niemiecki bardzo późno pojawił się w polu widzenia Żeromskiego. Mieszkaniec zaboru rosyjskiego nie miał okazji zetknięcia się bezpośrednio z zagadnieniem stosunków polsko-niemieckich w ich historycznym i współczesnym układzie rzeczy. Nad świadomością zbiorową w. XIX ciążyła i dominowała wyraźnie sprawa rosyjska. Najzupełniej ubocznie i fragmentarycznie, zaledwie sygnalizowany, pojawiał się temat pruski w eposie *Popiołów* czy w zaskakującym finale lotniczej przygody Rozluckiego w zakończeniu *Urody życia*. Dopiero odkrycie morza i Pomorza polskiego w bezpośrednim kontakcie w pierwszych latach niepodległości, gwałtowne przylgnięcie uczuciowe pisarza do tego skrawka odpoznanej i odnalezionej ojczyzny, udział w agitacji plebiscytowej, a zapewne i zbliżenie przejściowe z kołami Narodowej Demokracji, od dawna na problematykę niemiecką uczulonej szczególnie, wprowadziło ten temat w krąg zainteresowań pisarskich Żeromskiego.

Najpełniej, ale i swoiście, i bardzo „po żeromsku”, przedstawiony on został w *Wietrze od morza*, w tej książce osobliwej, jakiej dotychczas w literaturze polskiej nigdy nie było. *Wiatr od morza* nie jest bowiem ani powieścią historyczną o stosunkach polsko-niemieckich, ani rachunkiem obustronnych krzywd, ani doraźną agitacją, ani programem politycznym. Jego tematem jest swoiście pojęta filozofia dziejów, odsłonięcie i ukazanie owego tajemnego, skrytego a decydującego czynnika, który organizuje i determinuje w istocie rozwój zdarzeń dziejowych. W książkę wpisane jest przekonanie, że historia ma swoje prawa, swoją logikę i wewnętrzną konieczność, którym ulegają jednostki i narody. W *Wietrze od morza* tą zasadą historiozoficzną jest odwieczna opozycja dwu czynników, których spór na przestrzeni wieków nadawał stosunkom wzajemnym ludów stykających się ze sobą na pobrzeżach Bałtyku dramatyczny rytm, tworząc na rozległym obszarze między Łabą a Zalewem Wiślanym tragiczne teatrum dziejów. Są nimi z jednej strony instynkt walki, podboju i zniszczenia, z drugiej siła miłości, pokoju i twórczej pracy. Uosobieniem tych dwu sił,

¹²³ *Elegie...*, s. 241.

¹²⁴ *Ibid.*, s. 242.

¹²⁵ S. Żeromski, *Niech żyje Ziemia Spiska*, [w:] *Elegie...*, s. 234.

wcielających się kolejno, w biegu wydarzeń, w różne postaci historyczne, są diaboliczna postać Smętka i pierwszego patrona Polski, świętego Wojciecha męczennika. Ich odwieczny spór określa jakby esencję stawania się i przepływu czasu historycznego na tej nieszczęsnej ziemi. Otwarta na przestrzał między wschodem a zachodem, między lądem a morzem i jakby w tym otwarciu bezbronna, staje się przedmiotem nieskończonej, grabieżczej pożyteczności i upartej, rozpaczliwej obrony.

Ostatnie opowiadania *Wiatru od morza* otwierały jakby nowy rozdział w dziejach Bałtyku i Wybrzeża. Przewaliła się nad nimi wielka wojna, skończyła się tu władza niemiecka, Polska powróciła na ten skrawek nadmorski ojcowizny i objęła go w wieczyste władanie. Powrót ten pojmował Żeromski jako wyrównanie krzywd niezawinionych, które winno położyć raz na zawsze tamę pojawieniu się krzywd nowych z jednej czy z drugiej strony. Musimy bronić się od zagłady, ale — pisał zarazem w numerze pisma harcerskiego, poświęconym sprawie pruskich Mazurów — „Nie pożąda ani jeden z nas jednej piędzi ziemi niemieckiej. Nie chce ani jeden z nas władzy nad jedną duszą niemiecką [...] Jesteśmy synami i czcicielami pracy. Nie pożądamy niczego, co jest poza granicami, gdzie już mowa nasza wygasła”¹²⁶.

Gdy niedawna, straszliwa wojna wykazała całą absurdalność uczucia plemiennych nienawiści, odwieczna żądza odwetu powinna być zastąpiona na zawsze ideą pojednania. Jej wypełnienie we współżyciu narodów byłoby przerwaniem obrotów tragicznego koła nieporozumień. Żeromski odwołuje się w tym wezwaniu do mądrości natury, którą zdają się wyrażać tajemnie samym swym odwiecznym trwaniem dwa wyniosłe buki pod Witominem, z wszystkich stron gdańskiego wybrzeża dostrzegalne — Sambor i Mestwin. Strażują tam od wieków, wśród wzgórz i dolin, ponad sosnowymi i świerkowymi lasami, ponad ziemią i morzem, ponad nieskończonym czasem natury i znikomym, krótkotrwałym czasem człowieczym. Ich w niebo sięgająca wysokość daje im widzenie i rozumienie względności i przemijalności zjawisk tego świata poza jedyną, najwyższą i niezbitą prawdą szczęścia i radości istnienia. „Gdyby człowiek był w stanie podźwignąć ciężki swój rozum na stopień wyższy [...] unieść się nad ziemię i stanąć na wysokości konarów bukowych, bratnio splecionych”, gdyby z tej wysokości spojrzeć „jasnowidzącymi oczyma w śmieszne przyczyny zwad i w dzieje zbrodni”, może by potrafił pod tym niebem „westchnąć niewinnie, jak wzdycha drzewo [...] spojrzeć w oczy wroga, zalane krwią nienawiści, wyciągnąć ramiona i po wiekach wieków wymówić wyraz, zapomniany w języku człowieczym: — o bracie...”¹²⁷.

Józef Ujejski w pozgonnym wspomnieniu nazwał Żeromskiego „ostatnim wajdelotą”, Juliusz Kaden-Bandrowski „prorokiem niepodległości”.

¹²⁶ S. Żeromski, *Odpowiedź na wezwanie*, [w:] *Elegie...*, s. 209.

¹²⁷ S. Żeromski, *Sambor i Mestwin*, [w:] *Inter arma*, s. 75 - 76.

W tych metaforycznych formułach uchwycona została celnie jakaś istotna prawda rzeczy. Żeromski był ostatnim w owym długim szeregu wielkich i niezłomnych strażników świętego ognia wolności, których rola przypadła w udziale głównie polskim pisarzom w XIX wieku. Mimo wszystkich zwątpień i chwilowych załamień przeniósł ów ogień poprzez przełom stuleci aż pod próg niepodległości. Był od swych wielkich poprzedników szczęśliwszy, bo zobaczył spełnienie ich i swoich tęsknot. Ta odzyskana niepodległość, o którą kazał walczyć tylu swoim postaciom literackim, okazała się wolnością trudną i tragiczną, pełną zewnętrznych i wewnętrznych zagrożeń. Jego czujne widzenie dostrzegło to i dało temu wyraz w ostatnich dziełach. Ale w tej cudownie odzyskanej niepodległości, mimo wszystkich mroków i cieni, była przecież zawarta wielka nadzieja pojednania w miłości i w przebaczeniu.

111. 112. 113. 114. 115. 116. 117. 118. 119. 120. 121. 122. 123. 124. 125. 126. 127. 128. 129. 130. 131. 132. 133. 134. 135. 136. 137. 138. 139. 140. 141. 142. 143. 144. 145. 146. 147. 148. 149. 150. 151. 152. 153. 154. 155. 156. 157. 158. 159. 160. 161. 162. 163. 164. 165. 166. 167. 168. 169. 170. 171. 172. 173. 174. 175. 176. 177. 178. 179. 180. 181. 182. 183. 184. 185. 186. 187. 188. 189. 190. 191. 192. 193. 194. 195. 196. 197. 198. 199. 200. 201. 202. 203. 204. 205. 206. 207. 208. 209. 210. 211. 212. 213. 214. 215. 216. 217. 218. 219. 220. 221. 222. 223. 224. 225. 226. 227. 228. 229. 230. 231. 232. 233. 234. 235. 236. 237. 238. 239. 240. 241. 242. 243. 244. 245. 246. 247. 248. 249. 250. 251. 252. 253. 254. 255. 256. 257. 258. 259. 260. 261. 262. 263. 264. 265. 266. 267. 268. 269. 270. 271. 272. 273. 274. 275. 276. 277. 278. 279. 280. 281. 282. 283. 284. 285. 286. 287. 288. 289. 290. 291. 292. 293. 294. 295. 296. 297. 298. 299. 300. 301. 302. 303. 304. 305. 306. 307. 308. 309. 310. 311. 312. 313. 314. 315. 316. 317. 318. 319. 320. 321. 322. 323. 324. 325. 326. 327. 328. 329. 330. 331. 332. 333. 334. 335. 336. 337. 338. 339. 340. 341. 342. 343. 344. 345. 346. 347. 348. 349. 350. 351. 352. 353. 354. 355. 356. 357. 358. 359. 360. 361. 362. 363. 364. 365. 366. 367. 368. 369. 370. 371. 372. 373. 374. 375. 376. 377. 378. 379. 380. 381. 382. 383. 384. 385. 386. 387. 388. 389. 390. 391. 392. 393. 394. 395. 396. 397. 398. 399. 400. 401. 402. 403. 404. 405. 406. 407. 408. 409. 410. 411. 412. 413. 414. 415. 416. 417. 418. 419. 420. 421. 422. 423. 424. 425. 426. 427. 428. 429. 430. 431. 432. 433. 434. 435. 436. 437. 438. 439. 440. 441. 442. 443. 444. 445. 446. 447. 448. 449. 450. 451. 452. 453. 454. 455. 456. 457. 458. 459. 460. 461. 462. 463. 464. 465. 466. 467. 468. 469. 470. 471. 472. 473. 474. 475. 476. 477. 478. 479. 480. 481. 482. 483. 484. 485. 486. 487. 488. 489. 490. 491. 492. 493. 494. 495. 496. 497. 498. 499. 500. 501. 502. 503. 504. 505. 506. 507. 508. 509. 510. 511. 512. 513. 514. 515. 516. 517. 518. 519. 520. 521. 522. 523. 524. 525. 526. 527. 528. 529. 530. 531. 532. 533. 534. 535. 536. 537. 538. 539. 540. 541. 542. 543. 544. 545. 546. 547. 548. 549. 550. 551. 552. 553. 554. 555. 556. 557. 558. 559. 560. 561. 562. 563. 564. 565. 566. 567. 568. 569. 570. 571. 572. 573. 574. 575. 576. 577. 578. 579. 580. 581. 582. 583. 584. 585. 586. 587. 588. 589. 590. 591. 592. 593. 594. 595. 596. 597. 598. 599. 600. 601. 602. 603. 604. 605. 606. 607. 608. 609. 610. 611. 612. 613. 614. 615. 616. 617. 618. 619. 620. 621. 622. 623. 624. 625. 626. 627. 628. 629. 630. 631. 632. 633. 634. 635. 636. 637. 638. 639. 640. 641. 642. 643. 644. 645. 646. 647. 648. 649. 650. 651. 652. 653. 654. 655. 656. 657. 658. 659. 660. 661. 662. 663. 664. 665. 666. 667. 668. 669. 670. 671. 672. 673. 674. 675. 676. 677. 678. 679. 680. 681. 682. 683. 684. 685. 686. 687. 688. 689. 690. 691. 692. 693. 694. 695. 696. 697. 698. 699. 700. 701. 702. 703. 704. 705. 706. 707. 708. 709. 710. 711. 712. 713. 714. 715. 716. 717. 718. 719. 720. 721. 722. 723. 724. 725. 726. 727. 728. 729. 730. 731. 732. 733. 734. 735. 736. 737. 738. 739. 740. 741. 742. 743. 744. 745. 746. 747. 748. 749. 750. 751. 752. 753. 754. 755. 756. 757. 758. 759. 760. 761. 762. 763. 764. 765. 766. 767. 768. 769. 770. 771. 772. 773. 774. 775. 776. 777. 778. 779. 780. 781. 782. 783. 784. 785. 786. 787. 788. 789. 790. 791. 792. 793. 794. 795. 796. 797. 798. 799. 800. 801. 802. 803. 804. 805. 806. 807. 808. 809. 810. 811. 812. 813. 814. 815. 816. 817. 818. 819. 820. 821. 822. 823. 824. 825. 826. 827. 828. 829. 830. 831. 832. 833. 834. 835. 836. 837. 838. 839. 840. 841. 842. 843. 844. 845. 846. 847. 848. 849. 850. 851. 852. 853. 854. 855. 856. 857. 858. 859. 860. 861. 862. 863. 864. 865. 866. 867. 868. 869. 870. 871. 872. 873. 874. 875. 876. 877. 878. 879. 880. 881. 882. 883. 884. 885. 886. 887. 888. 889. 890. 891. 892. 893. 894. 895. 896. 897. 898. 899. 900. 901. 902. 903. 904. 905. 906. 907. 908. 909. 910. 911. 912. 913. 914. 915. 916. 917. 918. 919. 920. 921. 922. 923. 924. 925. 926. 927. 928. 929. 930. 931. 932. 933. 934. 935. 936. 937. 938. 939. 940. 941. 942. 943. 944. 945. 946. 947. 948. 949. 950. 951. 952. 953. 954. 955. 956. 957. 958. 959. 960. 961. 962. 963. 964. 965. 966. 967. 968. 969. 970. 971. 972. 973. 974. 975. 976. 977. 978. 979. 980. 981. 982. 983. 984. 985. 986. 987. 988. 989. 990. 991. 992. 993. 994. 995. 996. 997. 998. 999. 1000.

Rozdział II

„ZŁE ... JEST TYLKO JEDNO: KRZYWDA BLIŹNIEGO”

Jedno z najgłośniejszych i najbardziej wstrząsających opowiadań Żeromskiego kończy się makabryczną sceną profanacji, której dopuszcza się chłop-nędzarczy na zwłokach zabitego powstańca. Dla obserwatora tej sceny był to odwet historii za wielowiekowe „niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzysk, za hańbę i za cierpienie ludu”¹. Lud polski i warunki jego istnienia były pierwszym odkryciem społecznym młodocianego pisarza, odkąd zastanawiać się zaczął nad otaczającym go światem. Z biegiem lat, stopniowo, w miarę przyrostu osobistych doświadczeń ów obszar obserwacji socjologicznej rozszerzać się będzie na coraz rozleglejsze regiony rzeczywistości, obejmując z czasem nie tylko wieś i warstwę włościańską, ale również miasto z całą jego powikłaną i zantagonizowaną wewnętrzną strukturą ekonomiczną i społeczną. Rezultaty obserwacji i związane z nimi doznania zderzyły się z osobowością ludzką i pisarską, sensualistycznie uwrażliwioną na zjawiska „ostre”, silnie kontrastujące, oraz uczuloną moralnie na najmniejszy objaw krzywdy, niesprawiedliwości i niezawinionego cierpienia.

I tak oto od początku wpłynął na karty dzieł Żeromskiego drugi wielki temat jego twórczości, obok poprzedniego, narodowego i patriotycznego — temat krzywdy społecznej. Oba te kręgi tematyczne zrosły się zresztą w pisarstwie Żeromskiego tak organicznie, że niekiedy po prostu niepodobna nawet ich od siebie oddzielić. Jest w dorobku początkującego pisarza znamienne pod tym względem, dłuższe opowiadanie, napisane w Raperswilu, *O żołnierzu tułaczku*. Jest to historia pańszczyźnianego chłopca z austriackiej Galicji, który zbiegiem okoliczności wciągnięty w wir gwałtownych wydarzeń Europy porewolucyjnej, dostawszy się do szeregów francuskiej armii republikańskiej walczy pod jej znakami na rozlicznych frontach o przyszłą Polskę, nie tylko niepodległą politycznie, ale i sprawiedliwą społecznie. Lecz gdy wróci po latach w swoje strony rodzinne, odda głowę pod katowski miecz. Dla obrońców feudalnego porządku rzeczy nie ma

¹ *Rozdzióbij nas kruki, wrony...*, s. 59.

najmniejszego znaczenia jego zdobyta na dalekich i krętych drogach żołnierskiej tułaczki i ofiary społeczna równość i obywatelska wolność. Dla nich pozostał jak od wieków przypisanym do ziemi pańszczyźnianym chłopem, zuchwałym agitatorom, podburzającym chłopstwo przeciw odwiecznej powinności, którego za zbiegostwo i za buntarstwo należało dla przykładu najsurowiej ukarać. Ważność i szczególne znaczenie w odczuciu Żeromskiego tego socjologicznego aspektu niedawnej jeszcze historii narodowej, ale także mimo wszelkich przeobrażeń i przemian wciąż aktualnej niestety rzeczywistości społecznej, zadecydowały o bardzo szybkiej autonomizacji tego wątku, który w pierwszych już nowelach pojawiać się zaczął jako motyw samoważny, istniejący niezależnie, tylko dla siebie. Dostrzegając w tych obszarach ówczesnego życia polskiego kapitalny temat, Żeromski już od pierwszych prób literackich w tę właśnie stronę zwrócił swą pisarską uwagę. Jego osobiste koleje losów znakomicie owym studiom sprzyjały. Z wsią zrośnięty był od dzieciństwa, potem konieczność wygnała go na wieś za chlebem. Kolejne postoje guwernerskie stwarzały doskonałe warunki pilnej, wnikliwej obserwacji. Z niej to właśnie powstały pierwsze jego korespondencje, drukowane w r. 1889 w warszawskim „Głosie” i w „Gazecie Kieleckiej”, które ostrością oskarżenia tak wzburzyły opinię oleśnickich szlagonów, oraz ludomańskie obrazki w rodzaju *Elegii* czy owej „prawie idylli” *Ach, gdybym kiedy dożył tej pociechy...*, w których lud ukazany został poprzez upiększające rzeczywistość widzenie idealisty-marzyciela. Z czasem pogłębiła się wiedza społeczna autora, wzbogacił materiał obserwacyjny, wyostrzyła umiejętność pisarskiego przekazu i tak oto pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęły się pojawiać owe głośne opowiadania, jak *Zmierzch* czy *Zapomnienie*, które miały się zrosnąć organicznie z nazwiskiem autora jako reprezentatywne przykłady jego ideowej postawy i orientacji.

W tych prymicjach literackich już wówczas potrafił Żeromski zamknąć interesujący ładunek prawdy społecznej o istotnym położeniu ówczesnej wsi, o nędzy chłopca, o jego zacofaniu cywilizacyjnym i niepełnoprawności jego stanowiska wobec pańskiego dworu mimo formalnie zagwarantowanej prawem równości. Ten realizm socjologiczny przejawiał się zarówno w literackich rysopisach tych chłopskich bohaterów, portretowanych z reguły fakturą ostrych, naturalistycznych kontrastów, jak i w celowym aranżowaniu sytuacji, których brutalność i bezwzględność służyły demaskacji rzeczywistej, wciąż w istocie trwającej krzywdy społecznej. Każdy szczegół obrazu był starannie wyważony i podporządkowany intencji poznawczej opowiadania. Nieszczęsny Obala z *Zapomnienia* jest właścicielem dwu morgowin lotnego piachu — komunikuje nam narrator — a ten detal własnościowo-ekonomiczny staje się istotnym ogniwem motywacyjnym w konstrukcji losu i sytuacji społecznej bohatera. Posiadacz dwu morgowin jałowego ugoru był i musiał być od dworu zależny jak za czasów sprzed reformy włościańskiej, a jego formalna równość okazuje się iluzją. Młó-

dociani oprawcy, co w finale opowiadania zabijają bestialsko nowo narodzone wronięta, czynią to nie z własnego tylko impulsu czy z wrodzonego okrucieństwa, lecz za namową leśniczego, który każe ptakom obcinać nogi i za każdą parę płaci trzy grosze. Nędza i chciwość choćby mizernego zarobku wdzierają się do każdej dziedziny życia, stając się przyczyną nowych form cierpienia.

W jeszcze gorszej sytuacji niż obity i sponiewierany Obala znajdują się Gibałowicze z obrazka *Zmierzch*, bo oni nawet owych kilku morgowin lotnego piachu i ledwo dychającej szkapy nie mają, są jak za „najlepszych” czasów pańszczyźnianych poniekąd *glebae adscripti* i do miejsca przykuci nieodwołalnie. Za podkradanie z nędzy pańskiego owsa wystawiono Gibale takie świadectwo, że nie miał się co pokazywać z nim gdziekolwiek z propozycją usług. Miał go więc dwór teraz całego w swoim ręku, mógł mu zaproponować zatrudnienie na dowolnych warunkach. Nowy dziedzic wprowadza klasycznie kapitalistyczne formy eksploatacji gospodarczej. Majątek-przedsiębiorstwo musi być oczywiście dochodowy. O stopie dochodowości decyduje wysokość wartości dodatkowej. Należy ją powiększać kosztem siły roboczej. Dlatego wprowadza się drastyczne zmniejszenie ordynarii i pensji, zaostrzenie kontroli oficjalistów, służby, robotników folwarcznych. Działający w myśl odgórnych dyrektyw rządca majątku rozumuje ściśle wedle zasad kapitalistycznego ekonomizmu. Skoro Gibałowicze tak ochoczo, bez targu pokwapili się do roboty wcale nie lekkiej, to znajdują się zapewne w położeniu bez wyjścia, a więc w sytuacji wprost idealnej, w której można i bezwzględnie należy obniżyć oferowane im pierwotnie wynagrodzenie z kopiejek trzydziestu na dwadzieścia. Chłop schleje się ze złości na tę wiadomość i spierze babę, ale cóż ma począć? Dnia następnego pracowali oboje „od rannego brzasku do szczerzej nocy nie ustając w robocie”². Eksploatacja kapitalistyczna wyzyskuje nie tylko materialnie, ale i wyniszcza biologicznie. Nieoczekiwany niedobór usiłują Gibałowicze wyrównać wzmożoną pracą, harują bez przerwy, bez spoczynku, prawie nie ludzie, lecz bydłęta. Tak też właśnie, jak na dziwne, egzotyczne bydłęta, mocne, wytrwałe i poczciwe spogląda na swych chłopskich wybawców czwórka dżentelmenów szlacheckich z opowiadania *Pod pierzyną*, których z lodowatej kąpieli w czasie przejazdu przez zamarznąłą rzekę ratują pokornie okoliczni kmiotkowie. Dwa te światy oddzielone są od siebie niezgłębioną przepaścią, pojęcie równości jest terminem nieznanym i nieprzyzwoitym. „Sojusz” i „zjednoczenie klas” urzeczywistniają się na moment tylko, na „załamujących się lodach”, by się rozwiać natychmiast w chłodnej i rzeczowej refleksji, że ratować panów w potrzebie to przecież oczywista powinność tych poczciwych prostaków, to ich naturalne „psie prawo”.

Od tych pierwszych rekonesansów obrazy wsi, pogrążonej niezmiennie

² S. Żeromski, *Zmierzch*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, Warszawa 1949, s. 57.

w nędzy, w głodzie, w chorobach, w cywilizacyjnym opuszczeniu i zaniedbaniu, powracać będą w pisarstwie Żeromskiego wytrwale, obsesyjnie aż po kres twórczości. Motyw ten wejdzie w jego pierwszą powieść z postacią Radka. Aczkolwiek akcja utworu zlokalizowana została w gubernialnym mieście, wieś jest tu w istocie ustawicznie obecna, zaczyna się za jego granicą, wdiera w środowisko klerykowskiej inteligencji i klerykowskiego mieszczaństwa poprzez swych ziemiańskich i włościańskich przedstawicieli. Oko autorskiej kamery wyszukuje i wydobywa chciwie najsilniej prowokujące do sprzeciwu fakty rzeczywistości. Mieszkańcy powieściowych Gawronek, Bukowca i Pajęczyna Dolnego wegetują raczej jakimś niepojętym sposobem, niż żyją, jak przystało istotom ludzkim. Grunty zajmują najniezdniejsze pod słońcem. W całych Gawronkach „ani jeden gospodarz nie miał nie tylko szkapy, ale nawet źrebięcia”³. Krowy, cielęta i kozy bytowały porą zimową pospołu z ludźmi w izbach mieszkalnych. Latem wsie pustoszały, bo kto żyw i miał siłę, wędrował w „pszenne kraje” na bandos. Nad tą odwieczną nędzą dominują nieliczni bogacze wiejscy, jak ów bukowiecki Scubioła, generalny lichwiarz na całą rozległą okolicę, czerpiący swój prostacki dostatek spanoszonego chama z ludzkiego nieszczęścia i ubóstwa.

Na szczególnie przerażające warunki życia wiejskiej biedoty zwraca uwagę wytwornego gremium lekarzy warszawskich doktor Tomasz Judym w swoim prowokacyjnym referacie. „Czyliż — mówił w nim — nie jest zjawiskiem pospolitym lokowanie dwu rodzin z mnóstwem dzieci w jednej izbie, a raczej w jednym chlewie folwarcznym, gdzie znajduje się spiżarnia, odgradzona deskami, z kupą gnijących ziemniaków i zbiorem żywności, jak kapusta, buraki” [...] Ci, którzy rodzin nie mają, „śpią w stajniach i oborach pod żłobami”, u parobków żonatyh „w jednej izbie, wśród błota zalegającego od ścian na wiosnę, hodują się razem dzieci i prosięta”. Mięso je się tu jedynie na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, okraszy w formie sadła czy też stęchłej słoniny używa się w „homeopatycznej dozie, gdyż przy większej ilości z racji silnego odoru” i swoistego smaku „strawa nie byłaby jadalna”⁴.

W kuracyjnych Cisach Judym odkrywa endemiczne ognisko wiecznej febry, podtrzymywane skutecznie przez błotniste grzęzawiska, malaryczne, stojące wody, upiększające uroczę zakątki tej słynnej z walorów leczniczych miejscowości. Tworzące się w tych zastoinach gnijące szlamy wybierano na wiosnę i spuszczano beztrąsko w rzekę, z której mieszkańcy okolicznych wiosek czerpali wodę do picia. Przyprawdżane stamtąd dzieci wiejskie „były wyschnięte, zielone”, z wargami spalonymi w dreszczach periodycznej gorączki. Trwało to tak od lat, trwać będzie nadal po odejściu niefortunnego reformatora.

³ *Szyfowe prace*, s. 128.

⁴ S. Żeromski, *Ludzie bezdomni*, Warszawa 1947, s. 66.

Skazawszy się własnowolnie na banicję po niepowodzeniach miłosnych do ustronnego folwarczku na obrzeżach nawłockiego dominium Cezary Baryka „chodził, biegał, wtrącał się, wścibiał, podglądał, nadśluchował. Uczył się ostatnich sekretów życia biedoty”⁵. „Przebiegał nawłockie lasy obserwując źle żywionych podrostków, obdartusów i sankiulotów, wyschłe, schorzałe babiny”, dźwigające na plecach wiązki suchych gałęzi, aby „w mróz srogi” mogły ogrzać ręce i warzę nędzną zgotować. Najstraszliwszy był los najemnych, bezdomnych komorników. Było tego nieszczęścia ludzkiego po okolicznych wsiach „tłum, mnogość, powszechność. Ślaniali się po drogach jako dziady, tłukli się po dziedzińcach zabudowań płacząc się i nie wiedząc, o co ręce zaczepić”⁶. Grasowały pośród nich potworne choroby. „Wielu z nich skrwawiło się, pokryło ranami i zdobyło kalectwo w walce o wolność narodu polskiego, a ojczyzna, w nowe państwo przekształcona, nie zdołała jeszcze nic dla nich uczynić...”⁷.

Od relacji ujętych w literackie obrazy i epicką narrację przechodził Żeromski do interwencji bezpośrednich, publicystycznych. Przywoływał obraz Polski, w której zasięg proletariatu rolnego i bezrolnego sięgał granic przerażających. Ta milionowa masa wydziedziczonych i wyzutych dosłownie ze wszystkiego, co by można nazwać osobistą własnością, bytowała na najniższym poziomie egzystencji w folwarcznych czworakach lub w „izbach szkarlatynkach”, tuląc się u bogatych gospodarzy na komornem „przy kominach” i na zapieckach, w stajniach i na strychach, była przedmiotem najbezwzględniejszego wyzysku, z niej rekrutowało się coroczne, gromadne wychodźstwo na robotę najemną, na zachód lub za daleki ocean, gdzie stawało się ponownie obiektem nieludzkiej eksploatacji, schodząc niekiedy do poziomu całkowitego niewolnictwa. Tych, którym przyszło bytować do końca w kraju ojczystym, czekało na starość nieuchronnie dziadowanie pod kościołem lub na cmentarzu w okolicy, w której całe życie przepracowali. „Dziadostwo — pisał w *Początku świata pracy* — jest to w ojczyźnie naszej prytaneum, *panis bene merentium* dla tego najbardziej pracowitego odłamu społeczności, który trudem swym przeważnie wykarmia miasta i miasteczka”⁸. Przejaskrawiał niekiedy przenosząc w rzeczywistość Polski niepodległej dawne wspomnienia nędzy chłopskiej z czasów swojej świętokrzyskiej i guwernerskiej młodości.

Od współczesności sięgał pisarz w przeszłość głęboką, bo rzecz miała swoje zadawnione i wiekowe, historyczne preliminaria. W 6 numerze „Głosu” z dnia 7 lutego 1891 r. opublikował był Żeromski artykuł pod dziwnym, zagadkowym tytułem *Mękale*. Odznaczony rzymską jedyneką artykuł miał być pierwszym ogniwem jakiegoś dłuższego zapewne cyklu prozy do-

⁵ *Przedwiośnie*, s. 233 - 234.

⁶ *Ibid.*, s. 232.

⁷ *Ibid.*

⁸ *Bicze z piasku*, s. 26 - 27.

kumentarnej, poświęconej opisowi wyczynów i obyczajów owych oleśnickich „mękali”. Tego dalszego ciągu Żeromski nigdy nie napisał i skończyło się na tym pierwszym odcinku, zawierającym wyjaśnienie genezy i znaczenia owego w tytule wymienionego imioniska. Kimże więc są czy też byli owi „mękale”?

Mieszczanin Łagowa — pisze autor — Kurozwęk, Oleśnicy, Pacanowa, Polańca — drobnych osad na pograniczu gub. kieleckiej i radomskiej położonych, nosi w ustach ludu okolicznego pogardliwe przezwisko — „mękala”.

„Mękałska dusza” — mówi chłop, gdy chce wyrazić swój wstręt i nienawiść lub określić dobitnie czyjąś nędzotę moralną. Zapytany o przyczynę nienawiści i nazwy — wspomina jakieś odległe, mgliste w jego pamięci zarysowujące się dzieje. Mieszczanin ze swej strony pogardza „śmierdziuchem chamciuci”, drwi z jego głupoty i ile się uda oszukuje w handlu. Jakkolwiek mękałstwo nie pozbyło się powszechnego u nas indywidualizmu, stoi jednak w stosunku do wioski bardziej solidarną i jednomyślną gromadą.⁹

Mieszczanin okoliczny niezależnie od tego, czy posiadał jakąś własność, czy nie, obojętnie, jakim parą się rzemiosłem czy procederem, zawsze przewyższał chłopów „sprytem, inteligencją, wytrwałością”, a jego swoista pycha, „hardość «obywatelska», źródło miała w ustnej tradycji o „dawnym stanie mieszczańskim”¹⁰.

Oleśnica wraz z szeregiem pomniejszych miasteczek okolicznych należała do rzędu najstarszych osad miejskich w okręgu. Bardzo wczesnie, wcześniej niż Kraków, Lublin i Tarnów, już w połowie XIII stulecia otrzymała przywilej rządzenia się prawem magdeburskim. Kiedy w wiekach późniejszych bezpośrednio związki z Magdeburgiem czy z Halle uległy zerwaniu, sąd oleśnicki w ferowaniu wyroków, jak i w innych miasteczkach, kierował się nie tyle przepisami prawa magdeburskiego, ile tradycją, ugruntowaną od niepamiętnych czasów zwyczajem, przykładem, precedensem. Zwyczajowe to prawo odznaczało się wyjątkową surowością i okrucieństwem. Wyroki sądu mieszczańskiego podlegały zatwierdzeniu przez dziedzica zamku oleśnickiego, tak iż trwał przez stulecia swoisty sojusz między zamkiem, pańskim dworem i municypalnością miejską przeciwko chłopstwu. Okrutne to prawo, oddające w ręce mieszczan i dziedzica niezwykle groźny instrument społecznego ucisku, wytworzyło z jednej strony ową dumę i pogardę łyka miejskiego względem chłopca, a z drugiej zakorzeniło głęboko w duszy ludu wiejskiego odwieczną i dziedziczną nienawiść do okrutnych „mękali”.

Potworna — kończy ten artykuł Żeromski — na mieszaninie legend oparta modła wyrokowania, stosowana przez sąd mieszczański, staje się w ręku dziedzica biczem na lud okoliczny, a niejednokrotnie stosuje się po prostu do jego rozkazów. Trudno znaleźć lepszy sposób upozorowania barbarzyństwa. Opowieść ludowa, z jaką spotykałem się w wielu wioskach, otaczających Oleśnicę, wie o parobku „nieboraku”, któ-

⁹ S. Żeromski, *Mękale*, [w:] *Elegie...*, s. 287.

¹⁰ *Ibid.*

ry za zabicie psa dziedzicowego na polu — do sądu miejskiego oddany na śmierć szubieniczną osądzony został. Opowieść ta zbyt jest w pamięci ludowej świeża, zbyt żywą do „mękali” tchnie nienawiścią i zbyt jest powszechnie znana, aby fałszywą być miała — a wykonanie wyroku na „nieboraku” o małą zapewne miarę czasu wyprzedza szlachetny uniwersał z obozu pod sąsiednim Połańcem, nie dziwna, że nadaremnie wydany.¹¹

Ten dokumentarny wywód, oparty na wyrokach oleśnickiego sądu miejskiego z drugiej połowy XVIII wieku, ma istotne znaczenie dla zrozumienia pewnych wątków, pojawiających się i uporczywie wracających w historycznych utworach Żeromskiego. Pan Opadzki z opowieści *O żołnierzu tułaczu* tak właśnie odwołuje się do usług „gulońskiego” trybunału dla osądzenia swego chłopą pańszczyźnianego, „który w ciągu dwunastu okrągłych lat gdzieś się podziewał” i uchodził nawet za nieboszczyka, gdy nagle, nie wiadomo kiedy i jak, zjawiwszy się w rodzinnej wsi bezczelną, zuchwałą agitacją zmawia chłopów przeciw pańszczyźnie. Trudno i darmo, „kto sieje wiatr, ten zbiera burzę”. Oddany pod „mękalski” sąd eks-żołnierz napoleoński, obywatel Matus Pulut, wedle dekretów świątobliwego prawa „mańdeburskiego” na ścięcie mieczem osądzony został.

Całą panoramę obrazów krzywdy i niewolniczego poddaństwa chłopów polskich dał Żeromski w *Popiołach*. Wuj Rafała Olbromskiego Nardzewski traktuje swoje zagubione w górskim odludziu świętokrzyskie Wyrwy jako kraj nieograniczonej swojej wszechwładzy — on tu jest jedynym panem, jedynym prawem, to jego ziemia i jego wyłącznie ludzie, jak od wieków, jak od pradziada i z nikim owej władzy dzielić nie myśli. Na anonsowane mu przez cesarskiego komisarza rozporządzenia administracji austriackiej, dotyczące pańszczyzny, podatków, jurysdykcji, praw i wolności osobistej chłopów, odpowie z furją prowokacyjnym pokazem swej sobiepańskiej samowoli: „Niech mi Jawór obębni po wsi, że jutro mają się zejść wszyscy, kto żyw. Na mój rozkaz, słyszałeś! Będzie brał karę Tomek Zalesiak za to, że się dobierał do mego lamusa. Otrzyma przy całej wsi w oczach tego oto pana komisarza sto pięćdziesiąt miotełek brzoźowych jak za Jana Kazimierza, Michała Korybuta i innych bywało”¹².

Podobną egzekucję obserwuje Rafał Olbromski zajechawszy do Wyrwanki, przejętej po śmierci Piotra przez niejakiego pana Chłukę, marnego szlagona i szlachciurę, wieszającego się u pańskiej klamki książąt Gintułów. Egzekutorami pańszczyźnianej sprawiedliwości są tym razem austriaccy huzarzy, a podsądnym i skazańcem ów wierny Michcik, żołnierz i przyjaciel nieomal, którego do godności wolnego obywatela tego kraju podniósł był ongiś książę na prośbę Piotra. Czując się człowiekiem wolnym „na pańskie nie chce wychodzić [...] jak Bóg wszechmogący przykazał”, na prawowitego pana rękę podnosi i wieś całą „bontuje”¹³. „Na dany znak

¹¹ Ibid., s. 297.

¹² *Popioły*, t. 1, s. 37–38.

¹³ Ibid., s. 188.

chwycono go za bary, z tyłu poderwano mu nogi, rzucono na ziemię. Wzniosły się kije i zaczęły świstać a rypać. Co chwila Michcik zrywał się z ziemi z krzykiem coraz straszniejszym. Nie słyhać już było słów, które z krwawych jego ust leciały, tylko sylaby jakieś porozdzierane. Rafał rozumiał je dobrze. Słyszał, że Michcik wzywa nadaremnie brata i to zdanie w strzępach wciąż powracające: — Szanuj mię, psie, człowieka wolnego!”¹⁴

Rafał odjechał stamtąd natychmiast w poczuciu bezdennej klęski i rozpaczy; nie chciał tego widzieć i słyszeć. „Brat Piotr... Michcik... Role przez nich wykarczowane... Dźwigał rękę ciężką jak kamień. Czuł, że nic sobie pomóc nie może... Z obszarów zasłanych jałowcem, ze ściernisk pachnących macierzanką i cierpkimi woniami chwastów jesiennych, dźwigało się ku niemu owo bolesne, straszliwe szemranie chłopstwa, dygotał w uszach niepochwytny gwar wściekłego motłochu, rozjuszzone skamlanie, jęk nie do zniesienia”¹⁵.

Chłopska niewola wydaje się być wiecznym przekleństwem nie do odwrócenia. Żołnierze polscy, chłopci, w armii rewolucyjnej pod Weroną, zbiegowie z austriackich glitów, nie mają złudzeń co do przyszłych swych losów po szczęśliwym powrocie z wojny w swoje ojczyźniane dziedzictwo: „I znowuj pojmie cię karbowy na pańskie, szlufy ci każe odpruć, mundur wojacki ściągnąć [...] a będzie ci swoim starym rzemieniem plecy orał jako ojcom, dziadom, pradziadom [...]”. Zmieniali się na tej polskiej ziemi królowie i cesarze, ale „zawždy ten sam beł podstarości i onego to samo prawo: od zaranku na pańskie naród gnać, a późnym zmierzchem popuszczać”¹⁶.

Widziałeś ty chłopską krzywdę tu, na tej ziemi, od niepamiętnych lat? — pyta herszt galicyjskiej rabacji chłopskiej następnego w pokoleniu Olbromskich bojownika sprawy ojczyste — [...] Żeby się znalazł taki — nie z was, ino z nas — co by pisać umiał, a żeby nadto tak wszystko pamiętał, jak Bóg pamięta, to by przez całe swoje życie musiał spisywać te krzywdy, co od prapradziadów chłopom panowie zadali. I jeszcze by ich nie spisał [...] Żeby z was wytoczył, ilu was tu jest jak okiem sięgnąć, wszystką krew — żeby się zaś rowami dróg lała — jeszcze by ta krew nie zmasała waszej winy, a naszej krzywdy!¹⁷

Obrazy niedoli chłopskiej, ten wielki temat swego pisarstwa, rozszerzy z czasem Żeromski na coraz dalsze, odkrywane z biegiem lat i bogacenia się doświadczeń obszary cierpienia i nieszczęścia. W pole obserwacji wdziierać się zaczęło miasto. Były to oczywiście obserwacje na miarę możliwości wiejskiego prowincjusza, przechodnia, chwilowego i przypadkowego przybysza z zewnątrz, dla którego rzeczywistość gubernialnych Kielc i stołecznej Warszawy, a nawet później wielkich metropolii zachodnich była

¹⁴ Ibid., s. 189.

¹⁵ Ibid., s. 190.

¹⁶ S. Żeromski, *Sułkowski*, [w:] „*Sułkowski*”, „*Turoń*”, Warszawa 1950, s. 11 - 12.

¹⁷ S. Żeromski, *Turoń*, [w:] „*Sułkowski*”, „*Turoń*”, s. 239 - 240.

dostępna w powierzchownym i przelotnym tylko oglądzie. Kielce były głu-
czą, zaniedbaną mięszciną na pogranicznych obrzeżach wielkiego imperium.
Nie było tu przemysłu, nie było proletariatu, nie było wielkich problemów
społecznych nowoczesnego świata; była tylko stara, zadomowiona i nie do
pokonania w tych ponurych zaułkach i rozsypujących się ruderach odwie-
czna nędza. Bohaterowi *Promienia*, zwiedzającemu po kilkuletniej nieobec-
ności rodzinne miasto, nasuwało się natrętnie „jedno jedyne słowo prze-
mierze i bolesne [...] motłoch. Olbrzymie tłumy żydostwa, zanurzone
w niezbadanej nocy ciemnoty, na którą nigdzie nie ma lekarstwa”¹⁸, „rze-
mieślnicy najbiedniejszego stopnia”, obdarte tłumy nie wiadomo z czego
i jak żyjące, „wszelka bezimienna i bezklasowa hołota”¹⁹. White-Chapel
łzawiecki, od którego wionęło w duszę Raduskiego jakby zgniłe, śmierć
niosące powietrze.

Na zebraniu lekarzy u doktora Czernisza Judym „opowiadał o dzielnicy
cité Jeanne d'Arc, w sąsiedztwie szpitala Salpetriere, mieszczącej kilka-
dziesiąt mieszkań wyrobniczych”²⁰, o straszliwych obozowiskach pośród
śmietników na peryferiach Paryża, gdzie gnieździły się w potwornym bru-
dzie „wszelaka nędza, choroby i zepsucie stolicy świata”. Tatiana i Piotr
z *Urody życia* w swoich wędrówkach po Paryżu zabrnęli któregoś dnia
„na bardzo odległą uliczkę Gracieuse i znieznacka spostrzegli zjawiska nie-
wiarogodne, widoki przerażające: czarne sienie, skąd wybuchał zgnily za-
duch, izby za oknami zakratowanymi pełne nędzy i wstrętnego brudu, męż-
czyzn o groźnym i złowieszczym spojrzeniu, kobiety półnagie i straszne,
wychudłe dzieci”²¹. Identyczne obrazy odnajdywał Judym w najściślejszej
swojej ojczyźnie, na Ciepłej i na Krochmalnej. „Mury o kolorze zakurzo-
nego grynszpanu albo jakiejś zrudziałej czerwoności, niby pstre, ubłocone
gałgany”²², żar słoneczny nad rynsztokiem w kształcie ulicy i wydzielają-
cy się z tego kamiennego wąwozu cmentarny fetor. W wilgotnych, zatęch-
łych jamach „pełzały dzieci okryte brudnymi łachmanami”, z wnętrz wy-
zierały zgięte, pochylone postacie mężczyzn i kobiet, „blade, żółte, obu-
marłe dziewczyny”²³.

Biegając co dzień do prosektorium i na wykłady Cezary Baryka prze-
mierzał najuboższą dzielnicę stolicy Polski, zamieszkaną przez mrowiące
się i hałaśliwe tłumy żydostwa. Cały ten obszar były to w istocie „po-
tworne [...] kloaki, śmietniki, ścieki, zlewy, rynsztoki”, nagie mury, brud-
ne, osliżłe, pełne „wyrw, plam, zmas, zacieków i wstrętnych zapaprań”.
Z głębi tych ruder patrzyła „nieopisana melancholia” i wieczny, nieode-

¹⁸ S. Żeromski, *Promień*, [w:] *Utwory powieściowe*, Warszawa—Kraków 1923, s. 207.

¹⁹ *Ibid.*, s. 197.

²⁰ *Ludzie bezdomni*, s. 65.

²¹ *Uroda życia*, s. 95.

²² *Ludzie bezdomni*, s. 35.

²³ *Ibid.*, s. 34.

gnany smutek, snujący się wśród obumarłych i smrodliwych zaułków. W zgniłych jamach, do których nigdy nie zajrzały promienie słońca, bażyły się „tłumy dzieci żydowskich, brudne, schorowane, mizerne, wyblakłe, zzieleniałe”²⁴. Wśród straganów i w płytkich, wklonowanych w stare mury wnękach-sklepikach roily się tłumy przekupniów i handlarzy w nieopisanych łachmanach, zużywające „ruchliwość przyrodzoną rasy żydowskiej na oszukiwanie się wzajemne, na pracowitą kłótnię” o najmizerniejsze ochłapy życia²⁵. „Całe to zbiegowisko sprawiało wrażenie soboru potępieńców opętanych od diabła, o coś twarzą w twarz zaciekłe walczących”²⁶.

Uderza w tych obrazach z jednej strony tak znamieny dla pisarza emocjonalizm, z drugiej pewna wąskość i powierzchowność wiedzy o interesujących go strefach i obszarach rzeczywistości społecznej. Przerażające obrazy nędzy, ciemnoty, wyniszczenia, degeneracji miały apelować do świadomości moralnej wszystkich ludzi uczciwych i przekonywać ich o naglącej konieczności natychmiastowego zlikwidowania owych wynaturzeń cywilizacji, stanowiących hańbę nowego wieku. Nie ulega zarazem wątpliwości, że obrazy te nie pretendowały do zupełnej prawdy socjologicznej, zdawały się być raczej reporterskim zapisem bardzo czulej, zwłaszcza na najbardziej ponure i odpychające wyglądy świata kamery fotograficznej, utrwalającej zmysłową, atakującą bezpośrednio obiektyw tkanę rzeczywistości. Żeromski nie dociera do problemów społecznych współczesnej wielkomiejskiej i wielkoprzemysłowej cywilizacji, proletariatu robotniczego tylko niekiedy pojawia się w jego świecie powieściowym; jako żywy i przejmujący obraz wyłania się jedynie tłum, motłoch, lumpenproletariat, nie dające się ściślej określić socjalnie warstwy graniczne, jakie wytwarzają się i plenią w olbrzymich aglomeracjach wielkomiejskich. Opisując paryską instytucję noclegową Chateau-Rouge wymienia Judym mieszkańców i pensjonariuszy owego przytuliska nędzarzy: są tam „zbieracze niedopałków”, którzy „wydmuchują z gilz swój towar i układają go w torebki”, aby nazajutrz sprzedać, „znużeni akrobaci podwórzowi, częstokroć tatuowani, drobni rzemieślnicy, ludzie, których zajęcie stanowi pławienie psów w rzece, otwieranie dorożek przy dworcach kolejowych, wyławianie zdechłych kotów i inne fuchy, nie nadające się do ogłoszenia”²⁷. Nie brak tu ulicznych dziewcząt, ich kochanków i pospolitych rzezimieszków. W obrazach nędzy warszawskiej dominuje plebs drobnomieszczański, drobni handlarze, właściciele małych sklepików, sprzedawcy wody sodowej i ziarenek dyni, fryzjerzy, perukarze, przekupki, rzemieślnicy najpośledniejszego gatunku.

²⁴ *Przedwiośnie*, s. 249.

²⁵ *Ibid.*, s. 252.

²⁶ *Ibid.*, s. 251.

²⁷ *Ludzie bezdomni*, s. 64.

Emocjonalizm Żeromskiego i wrażliwość moralna lubowały się wyrażnie w obrazach tego rodzaju, widział w nich zapewne skuteczny instrument oddziaływania i inspirowania określonych, pożądanych postaw społecznych. Ale zdawał się niekiedy wyczuwać jednocześnie pewną jakby niewystarczalność takiej czystej opisowości i wówczas podejmował próby odsłonięcia owych utajonych, istotnych, przeczuwanych czy też domyślnych mechanizmów, których następstwem był ów świat cierpienia, krzywdy, niesprawiedliwości, wyzysku. Próby tego rodzaju pojawiają się już w najwcześniejszej twórczości pisarza w kształcie zaskakująco trafnych analiz socjologicznych, dając dowody dużej spostrzegawczości i orientacji społecznej młodocianego autora. Obserwacje te dotyczyły oczywiście zjawisk i spraw, w których Żeromski osobiście niejako uczestniczył, dostrzegał je w otoczeniu bezpośrednim i poddawał na bieżąco osądzającej diagnozie i ocenie. Jego początkom literackim towarzyszyły głębokie przemiany ustrojowe i demograficzne, jakie zmieniły i przeobraziły do gruntu strukturę społeczną i ekonomiczną Królestwa w ostatnich dekadach kończącego się wieku. Deklasacja szlachty, tworzenie się inteligencji i kształtowanie nowej klasy rodzimej burżuazji i plutokracji kapitalistycznej, formowanie się pierwszych środowisk i skupisk rolnego i robotniczego proletariatu, sytuacja ocalałej z pogromu arystokracji ziemiańskiej, rosnący antagonizm między dworem a wsią, wyzysk chłopca na pozór uwłaszczonego, a w istocie jak dawniej zależnego od łaski pana — cała ta skomplikowana problematyka swoistej rewolucji społecznej pojawi się już w pierwszych opowiadaniach, znajdując w szczupłych rozmiarach strukturalnych zdumiewająco ściśle i poznawczo wiarygodne odzwierciedlenie.

Żeromski nie ogranicza się do ogólników, obraz rzeczywistości z niezwykłym wyczuciem zróżnicowań socjologicznych systematyzuje jak gdyby, ukazując zachodzące procesy w charakterystycznych i typowych mutacjach. Wersja pierwsza to los Dominika Cedzyny z *Doktora Piotra*, przykład generacji nazbyt głęboko tkwiącej w obyczajowości szlacheckiej i posuniętej w latach, by mogła zdobyć się jeszcze na rewizję poglądów, zachowań i atawistycznych odruchów i by starczyło jej energii na rozpoczęcie życia od nowa. Wersja druga to ów Jules Polichnowicz, reprezentant pokolenia, które oporów i trudności, zrozumiałych poniekąd i wytłumaczalnych w generacji pana Cedzyny, mieć właściwie nie może i nie powinno. Jest dostatecznie wykształcony i dostatecznie młody, aby mógł się odważnie zmierzyć z sytuacją. Jeśli mimo to przegrywa i utonie zapewne w szarym, bezbarwnym tłumie „wysadzonych z siodła” eksposesjonatów, plasując się na nędznej, lichej posiadce, to najoczywściej dlatego, że atawistyczne narowy kasty szlacheckiej — lekkomyślność, niedołęstwo, lenistwo, wzgarda dla rzetelnej, wytrwałej pracy okazały się silniejsze. Wariant trzeci to ów nowy dziedzic ze *Zmierzchu*, wyróżniający się raczej wyjątkowo w swojej warstwie zdolnością akomodacji do zmienionych warunków

życia. Ma „nos” przedsiębiorcy, umie „wywachać” interes, ma inicjatywę, potrafi spekulować, przewidywać, obliczać. Objąwszy nową posiadłość, grząskie i podmokłe obszary, które poprzednik-lekkoduch miał za nieużytki, przemienia na intratny i prosperujący świetnie interes.

Wreszcie wariant czwarty to historia młodego Piotra Cedzyny. I on też jest właściwie „wysadzonym z siodła” przymusowym uchodźcą z kasty szlacheckiej, węzłami wychowania i sentymentu związany ze wspomnieniem odległego, nie istniejącego już nigdzie kraju dzieciństwa. Pozbawiony ojcowizny Cedzyna-junior zdobywa jednakże wykształcenie zasilając szeregi formującej się ówczesnie, niejako w tempie przyspieszonym, nowej inteligencji. W kreacji bohatera, w przedstawieniu jego losów życiowych uchwycił Żeromski niezwykle trafnie, choć oczywiście w skrócie, dwa znamienne aspekty złożonego problemu socjologicznego. Aspekt pierwszy to szlachecko-ziemiańska genealogia pokaźnego odłamu inteligencji polskiej. Aspekt drugi to bardzo częste radykalizowanie się ideowopolityczne tej szczególnie formacji w przeciwieństwie do inteligencji wywodzącej się ze środowisk drobnomieszczańskich czy też chłopsko-proletariackich. Doktor Piotr przystąpi być może kiedyś do obozu radykałów i przyszłych uczestników niedalekiej już walki o Polskę niepodległą i sprawiedliwą, wykazuje wszelkie po temu dyspozycje.

Ale młody Żeromski z przynoszącą mu zaszczyt dociekliwością anatomicznych zjawisk społecznych, różnicując precyzyjnie zachodzące przemiany, pokazuje jednocześnie w zdumiewająco trafnych i nieomylnych skrótach, poprzez z finezją zarysowane biografie swych bohaterów, jak na miejsce opróżnione przez zbankrutowaną szlagonerię ziemiańską wdziera się formacja inna, również nowa, ale bardziej zdobywcza, agresywna — wszelkiego rodzaju nuworyszów, dorobkiewiczów, nowobogackich, jak owi Wawelscy z neofitów z *Oka za oko*, jak ów pan Brzeszczotowicz z *Mogily*, co to jeszcze niedawno — jak fama złośliwa głosi — „wieprze pędzał do granicy pruskiej”²⁸, a dziś jest *bene natus* i *possessionatus*, jak przede wszystkim ów majstersztyk analizy socjologicznej i charakterologii literackiej inżynier Bijakowski z *Doktora Piotra*, właściwie po prostu Bijak, bo to szlacheckie *-ski* jest dodatkiem przyczepionym do nazwiska w wieku dojrzałym przez wzbogaconego drobnomieszcza.

Żeromski nie upraszcza zjawiska; ukazując wszystkie snobizmy porastających w bogactwo arrywistów, ich podejrzane machinacje, z których rośnie fortuna Bijakowskich, nie odmawia im zarazem bezspornych zalet — sprytu, inteligencji i pracowitości. Bijakowski nie potrafiłby istnieć bez pracy, bez obmyślania i realizowania coraz to nowych, „bajecznych” interesów i bez pomnażania majątku dla samej po prostu satysfakcji zdobywania i robienia pieniędzy. W tej świetnie postawionej postaci uchwycił Żeromski z doskonałą precyzją najistotniejsze rysy nowej, tworzącej się spo-

²⁸ *Mogila*, s. 142.

lecznej klasy, jej agresywną zaborczość i jej rozmach życiowy. Losy Bijakowskiego to zarazem świetna satyra na ideologię i program pionierów i apologetów pozytywistycznej postępowości. Wszak pierwszy impuls przyszłej działalności przedsiębiorczego inżyniera dała decyzja starej panny, entuzjastki pozytywizmu, która ugodzona kamykiem przez małego urwipółcia postanowiła go skierować na drogę wiedzy i nauki. Rozbieżność między tym szlachetnym w intencjach początkiem a końcowymi wynikami wieloletniej edukacji budzi nieodparty uśmiech ironii. Cywilizacyjna działalność Bijakowskich ma bowiem jednocześnie swoją stronę odwrotną. Jest nią rosnące błyskawicznie bogactwo cieniutkiej, wierzchniej warstwy plutokratów i jej inteligentnych eksponentów i mandatariuszy tudzież nędza głodomorów, przywabionych „kulturotwórczą” aktywnością inżyniera z dalekich wiosek i zapadłych lasów. Ten to tłum niedożywionych nędzarzy druzgocąc i krusząc skały w warunkach urągających elementarnym nakazom bezpieczeństwa i rozbójniczego wyzysku, opłaca koszty postępu i zawrotnego wzrostu stopy życiowej Bijakowskich.

Ryszard Nienaski z *Nawracania Judasza*, niepoprawny reformator i naprawiacz wszystkich bied tego świata, przyłoczony owym nieobjętym obszarem cierpienia, jaki go osaczał ze wszystkich stron, usiłował uciekać, chronić się niejako w swej sztuce i architekturze, nic nie wiedzieć i zapomnieć o wszystkim.

Ale zastarzały nałóg uczuwania mocniejszy był niż jakiekolwiek postanowienie. Goszcząc wśród rybaków, kędyś w Normandii [...] przypatrywał się z bliska żywotowi pracy poławiaczek krewet. Widział, jak te kobiety po każdym odpływie aż do przypływu, za dnia i w nocy, pławią się w morzu, zanurzone do pasa, żeby zarobić cztery sous na kukielkę miejskiego chleba i kieliszek *gouttes*. Były to analfabетки i prostytutki, dzikie, bez cienia wyobrażeń moralnych, żebraczki i najbardziej upośledzone pracownice zarazem — biedne tak samo, jak były za czasów Wilhelma Zdobywcy czy dawniej za czasów Rzymian, czy dawniej... Zawsze tylko ten sam, jak teraz, chłostał je północny, z dzikiego morza lecący wiatr i wysysała im nogi aż po uda słona otchłań przypływu [...] W obcisłych majtkach i kusych kieckach, zawsze ociekających wodą, bose, rozkudłane, zziębnięte, w dygotkach, cuchnące, z sieciami na barkach i koszem w rękę, podobne do widm i stwor, które morze ze swego łona wyrzuca — przebiegały wśród najwykwintniejszej promenady Paris-Plage, zamieszane w tłum szczebiocących paryżanek. Bose ich nogi nadeptywały na lakierki ostatniego kształtu, mokre kubraki ocierały się o wykwintne „kreacje”, o batysty i fulary, a krzyk ich ochrypłych gardzieli zaiste rozdierał tę cywilizację.²⁹

Patrząc na widoki tego rodzaju Nienaski doświadczał jakichś straszliwych, bolesnych paroksyzmów wewnętrznego, ironicznego śmiechu. „Cywilizacja «łacińska», kultura «francuska», «prawa człowieka i obywatela»”³⁰. Widział całą bezsilność i obłudę owych wielkich słów, „uczonej w szkołach filozofii”, rezonerskiej przebiegłości rozumu, które nigdy nie zmoją „tego misterium, jakim jest nędza pogrążona w pracy dla cudzego

²⁹ *Nawracanie Judasza*, s. 123 - 124.

³⁰ *Ibid.*, s. 123.

zbytku, wygody i dobra”³¹. Wszystkie owe cuda malarstwa i architektury, które podziwiał przebiegając i badając ten kraj, „wszystka kultura [...] oparta na tym bezprawiu, przedstawiała się jak wenecka Campanilla, stojąca na zgniłych palach”³².

Wspierały tę niepokonaną potęgę zła świadomie i z okrutnym cynizmem bezwzględny egoizm władców tego świata oraz twarde, Nielitościwe, żelazne i niezłomne prawa, rządzące jego istnieniem. Przemierzając „brudne, cuchnące, błotniste przedmieście Krakowa w kierunku Wisły”³³, Nienski śnił szalone marzenia o zbudowaniu na tej bogatej przecież ziemi potężnego pracowiska ludu polskiego, które dałoby mu chleb, dach nad głową i uczciwe, godne, człowiecze życie. Perorował o tym aż do znudzenia na najrozmaitszych zebraniach, na których zastanawiano się nad pozyskaniem w tym celu kapitałów. „Słuchało go w skupieniu kilkunastu gentlemanów, którzy razem wzięci wyobrażali prawnych przedstawicieli kilkudziesięciu milionów koron”; ale cała ta gadanina niepoprawnego marzyciela trafiała „na twardą opokę serc i rozumów”³⁴. Uświadamiał sobie coraz dobitniej, że magnateria polska nie da na te tam mrzonki ani złamanego szeląga. „To by wzmocniło lud, podźwignęło stan robotniczy, pchnęło na obszary galicyjskie kwestię socjalną”³⁵, której dotychczas tutaj „dzięki Bogu” nie było. Opłacało się nadal, po dawnemu trzymać góry złota w bankach angielskich lub sprzedawać bezcenne tereny kopalnianego bogactwa w ręce Prusaków.

Nie inaczej się rzecz miała z owym drugim światem, który zdawał się być głównym sprawcą i motorem nie znanego dawniej postępu bogactw i nędzy. Świat burżuazji, wielkiego handlu i przemysłu, gigantycznych afer i zawrotnych karier, przedstawiał się marzycielowi, usiłującemu się weń wdrzeć, aby poznać mechanizmy jego sukcesów i zdobyć środki dla realizacji swoich pomysłów, jako „potężny, przebiegły, niezmożony organizm, dobrze wiedzący o nędzy i dobrze przygotowany do stłumienia wszystkiego, co by tę nędzę mogło zniweczyć. Świat ów miał [...] zdrowie wieczności, rzuty potęgi, odruchy bólu wściekłego i piekielnej mocy przywiązania do swego bytu”³⁶. Siegał też po swoje cele nie licząc się z żadnymi nakazami litości i miłosierdzia. „Panie szanowny — pouczał humanitarystę i społecznika, usiłującego zdobyć pieniądze, wytrawny wyga, otrzaskany od wieku z wszystkimi podstępными chwytami, jakie w owej dżungli interesów obowiązują, inżynier Czarnca. — Zdobyć pieniądze można jedynie waląc po czaszkach na prawo i na lewo, bez rozmyślań, że od uderzenia

³¹ Ibid., s. 110.

³² Ibid.

³³ S. Żeromski, *Zamieć*, Warszawa—Kraków 1925, s. 210.

³⁴ Ibid., s. 216.

³⁵ *Nawracanie Judasza*, s. 296.

³⁶ Ibid., s. 109.

drągiem czaszki pękają — wybijając zęby, przetrącając kości i palce pałą niemiłosierną. Jakże to pan potrafi?"³⁷.

Literatura była jednak dla Żeromskiego nie tylko obiektywnym w intencji zapisem rzeczywistości, ale i poszukiwaniem idei, wskazań i dyrektyw działania. Obrazom stanu faktycznego spraw tego świata towarzyszyła zatem od początku charakterystyczna dla pisarza tendencja do tworzenia jednocześnie jak gdyby idealnych widoków rzeczy przyszłych, wzorów, przykładów, zgodnie z przyjętym od pierwocin pisarskich rozumieniem literatury. Twórczość miała być nie tylko świadectwem życia, ale i nauczycielką postaw, zachowań i wiecznie niezłomnej aktywności, zdolnej przeobrazić rzeczywistość widzialną. Wewnętrznie niezależny, nigdy nie związany formalnie z żadnym stronnictwem czy orientacją polityczną, poszukiwał Żeromski owych środków i sposobów wyzwolenia się od udręk życia w wysokim, maksymalistycznie wysublimowanym rygorystycznym. Ową przyszłość innego, doskonalszego świata wyobrażał sobie najczęściej jako rewolucję moralną, jako akcję wyjątkowych, bohaterskich i ofiarnych jednostek, które swą pracą i przykładem zdolne byłyby pociągnąć innych ku szlachetnym i wzniosłym dziełom, i tak w owym bohaterskim porywie miałyby się realizować wielka idea przebudowy.

Nie była to zapewne myśl oryginalna. Żeromski przejął ją najoczywistej w spadku po ideologach emigracji polistopadowej i jej współczesnych epigonach, Limanowskim i Abramowskim, a koncepcje podobne, choć inaczej formułowane i uzasadniane, nie były też obce twórcom i pionierom pozytywizmu. Tkwiły one immanentnie niejako w haśle pracy u podstaw, pracy organicznej, która w konkretnej realizacji miała być i często bywała swoistego rodzaju ofiarnictwem; rezygnowało się z osobistej kariery, z indywidualnych aspiracji i szło się na przedmieścia, do fabryk, na wieś, do zabitych deskami od świata miasteczek, aby stawać przy warsztatach, zakładać czytelnie, rolnicze i oświatowe kółka, obejmować stanowiska nauczycieli w zapadłych kątach³⁸. Był to styl epoki. Prasa ówczesna roiła się od wzmianek o autentycznych entuzjastach tego gatunku, co wskazania programu społecznikowskiego usiłowali urzeczywistniać w praktyce życiowej, a w literaturze motyw owych farysowych uniesień nie był bynajmniej wyjątkowy. Sam Żeromski spotykał zapewne osobników podobnych, cwanianych młodzieńczą wiarą w świętą moc przykładu, skoro o nich wspominał w swoich pierwszych korespondencjach.

Prezentując owe obrazy swoistego bohaterstwa prasa i literatura ówczesna zwracała jednocześnie uwagę na towarzyszące owym idealistycznym

³⁷ *Zamięć*, s. 31.

³⁸ Zob. A. Hutnikiewicz, *Wstęp do: Wyboru opowiadań S. Żeromskiego*, s. LVIII i n.; H. Markiewicz, *Opowiadania Żeromskiego*, [w:] *Prus i Żeromski*, Warszawa 1964, s. 185 i n.

nym porywom zjawiska dezercji i kapitulacji pod wpływem zaraźliwej i obezwładniającej inercji prowincjonalnego bezruchu. Powolna śmierć ideału, degrengolada moralna jednostek wstępujących w życie z młodzieńczą wiarą Prometeusza, niosących święty ogień w najgłębsze mroki, i w zetknięciu się z tępym oporem zorganizowanego tłumu z wolna ostygających aż do całkowitego wyziębienia i zaparcia się pięknych i szlachetnych rojeń młodości — to był temat wyjątkowo pociągający i jakby wymarzony dla pisarza, który twórczość chciał pojmować jako służbę społeczną, jako przestrożę, pouczenie, jednocześnie i przykład. Żeromski podjął ten motyw i uczynił go ideą przewodnią swego pisarstwa, dopełniając go zarazem znamienne akcentem wiary, mimo wszystko, w świętą i cudotwórczą siłę bohaterstwa. Chciał współczesnej sobie epoce pokazać piękno idei i piękno życia podporządkowanego wartościom ponadosobistym. Wylonił się w konsekwencji z tej idei pierwotnej swoisty poetycki pogląd na świat, charakterystyczny dla pisarza system wskazań i zaleceń społecznych i moralnych o znamienych cechach osobliwego synkretyzmu i eklektyzmu ideowego.

Rysem podstawowym i najsilniej się narzucającym tego światopoglądu był wybitnie moralistyczny jego charakter. Wszystkie wskazania i konkretne propozycje ideologii społecznej Żeromskiego biorą swój impuls zasadniczy w moralnym nakazie obowiązku. Tylko autentycznie i głęboko przeżyta świadomość moralna powinności może być rzeczywistym rodniem zmian i przeobrażeń społecznych. Idea ta tkwiła zapewne immanentnie w samej organizacji psychicznej Żeromskiego, ale w pewnym momencie życia to samorodne i własne widzenie świata zetknęło się z systemem myśli i poglądów, który owym instynktownym odczuciom nadał nie tylko autorytatywną sankcję, racjonalne niejako potwierdzenie oraz sugestywne, wyraziste unaocznienie, ale i myślową, pojęciową formułę. Zawdzięczał je Żeromski Abramowskiemu. Ich poglądy, wizje i projekcje przyszłości są tak zbliżone, tak w niektórych szczegółach, nawet w leksykalnym swym kształcie identyczne, że nie może tu być mowy o jakiejś przypadkowej i niezamierzonej zbieżności, to raczej ślad oczywisty zapłodnienia chłonnej wyobraźni i osobowości pisarza przez indywidualność wybitną, głęboką, oryginalną i obdarzoną w dodatku przymiotem nadzwyczajnej sugestywności.

Abramowski pojawia się wielokrotnie na kartach pism Żeromskiego pod swym własnym nazwiskiem albo w literackim, przetworzonym, ale wskazującym najwyraźniej na swój rzeczywisty pierwowzór portrecie powieściowym³⁹. Kiedy Ewa Pobratyńska wkroczyła po raz pierwszy do biura głównego zarządu Bodzantowej komuny, zastała tam niepozornego urzęd-

³⁹ Zob. S. Kawyn, *Edward Abramowski i jego idee w twórczości Żeromskiego*, [w:] *Studia i szkice*, Kraków 1976.

nika, który, jak się niebawem dowiedziała, był w istocie głównym ideowym animatorem całej imprezy.

Przy stole, wśród papierów siedział pewien pan z mglistoniebieskimi oczami, z mocno przerzedzoną czuprynką i ryżawą brodką.

Ten to właśnie

urzędnik od kooperatyw spożywczych i wytwórczych, mistyk społeczny i marzyiciel [...] swą mglistą i zająkliwą wymową przyczynił się głównie do tego, że z jednej strony Bodzanta przestał oddychać powietrzem szlacheckim, a z drugiej zaludnienie okolicy poczęło z ukosa spoglądać na dotychczasowe dobrodziejstwa indywidualizmu i skłaniać się do mglistych idei spółkowych, czyli „mrzonek”. Rudawy pan siedział już od lat przy tym stole i zapuszczał swe kooperacyjne macki coraz dalej w okolice, coraz głębiej w sioła, przysiółki, mieściny i dwory szlacheckie.⁴⁰

„Pewien młody lekarz” z *Nawracania Judasza*, Bronisław Ustański, krzątający się obok swego normalnego zawodu około organizowania w celach samokształcenia moralnego młodzieńców polskich, w swoich zabiegach wychowawczych najwyraźniej przypomina Abramowskiego, inicjatora i prawodawcę rozmaitych tworzonych przez niego na papierze i w życiu Komun Duchowych, Związków Przyjaźni, Związków Rycerzy Polski itp. W *Przedwiośni*, w gabinecie pana Gajowca wisi obok podobizn Bohusza i Krzemińskiego portret Abramowskiego, twórcy „nowego świata”, który miał być w jego marzeniu „wielkim powszechnym ruchem etycznym”⁴¹. „Podczas rozgwarów roku 1905 — mówił Żeromski w głośnym odczycie zakopiańskim *Literatura a życie polskie* — byłem obecny w małym pokoju na Chmielnej ulicy w Warszawie, gdzie czterej panowie [...] zakładali redakcję czasopisma „Społem” z zamiarem szerzenia w kraju ruchu kooperacyjnego”⁴². Dla zorientowanych w rzeczy słuchaczy było oczywiście wiadome, że prowodyrem tej czwórki nie wymienionych z nazwiska promotorów był Edward Abramowski. Pisząc w *Snobizmie i postępie* o istocie poezji, która może się ujawniać nawet w dziełach o nieliterackiej w zasadzie, abstrakcyjnej treści, przywoływał Żeromski znowu świadectwo i autorytet Abramowskiego: „Zmarły niedawno myśliciel Edward Abramowski mówił, że znalezienie pewnych formuł dla pewnych prawd dawało mu chwile zachwyty, chwile szczęśliwe, które poeci nazywają w swym słownictwie natchnieniem”⁴³.

Żeromskiego mogły instynktownie popychać ku Abramowskiemu nawet pewne zbieżne rysy osobowości ich obu i podobne koleje życia. Sięgając po typologię Kretschmerowską można by dostrzec w nich natury fizycznie i psychicznie podobne i pokrewne. Abramowski był wątły, choro-

⁴⁰ S. Żeromski, *Dzieje grzechu*, Warszawa—Kraków 1928, t. 2, s. 251 - 252.

⁴¹ *Przedwiośnie*, s. 244.

⁴² *Sen o szpadzie*, s. 57 - 58.

⁴³ *Snobizm i postęp*, s. 190.

wity, nieśmiały, uczuciowy, marzyciel, trochę bezbronny i bezradny wobec twardych wymagań bezwzględnej i brutalnej rzeczywistości życia, które zdawało się po tysiackroć zaprzeczać jego marzeniom. Ich doświadczenia życiowe wydawały się zdumiewająco podobne. Urodzony na Ukrainie zachował Abramowski przez całe życie najgłębsze przywiązanie do stron rodzinnych i nigdy nie milknącą w nim tęsknotę „za epoką dzieciństwa, którą uważał za jedyny i nieodżałowany świat, w jakim można żyć, być sobą, być samym ze swoimi myślami”⁴⁴. Jak Żeromski w dzieciństwie utracił matkę, po której odziedziczył twarz, budowę, konstytucję psychiczną i chorobę. U Żeromskiego bardzo często zaufanie i przyłgnięcie psychiczne do określonych ludzi i idei opierały się na takich subiektywnych przesłankach i odczuciach tajemnego powinowactwa usposobień i losów.

Punktem wyjścia wszystkich koncepcji reformatorskich Abramowskiego była analiza aktualnego stanu cywilizacji współczesnej⁴⁵. Dostrzegał w niej fatalne pęknięcia i rozdarcia, tragiczny rozdźwięk między myślą a czynem. Socjaliści posiadają majątki i kapitały, anarchiści pełnią służbę w instytucjach państwowych, polscy patrioci mają rozbieżne i walczące ze sobą orientacje, a wyznawcy Chrystusa i Jego „dobrej nowiny” nawet na chwilę nie pomyślą, ażeby spełnić w życiu choćby jeden werset z nieśmiertelnego *Kazania na górze*. W świetle tych faktów myśl o jakimkolwiek postępie i doskonaleniu się rodzaju ludzkiego może być uznana jedynie za iluzję fantastów. Aby myśl o reformie i przebudowie świata przestała być nieziemską utopią, musi ją poprzedzić rewolucja moralna. Teza o rewolucji moralnej jest pierwszą oryginalną koncepcją, jaką wprowadził Abramowski do ideologii socjalizmu. Uważał ją za warunek konieczny i rozstrzygający o wszystkim. Krytykując metody propagandy socjalistycznej zarzucał im zbyt intelektualizm i abstrakcjonizm. Nie wnikając głębiej w życie, w pragnienia i potrzeby człowieka, prawiąc mu o socjalizmie jako o ustroju przyszłości, wynikającym z ustawicznego usprawniania techniki produkcyjnej, wyposaża go co najwyżej w pewien zasób pojęć teoretycznych, z którymi nie wie, co począć. Praktyczna strona ideologii sprowadza się więc do uczestnictwa w ruchach zawodowych i manifestacjach strajkowych, w wystąpieniach partyjnych, w głosowaniu do organów przedstawicielskich. Rodzi się rewolucyjność konwencjonalna, idea „żyjąca w umyśle tylko, odosobniona od wszystkiego, co istotnie porusza i obchodzi człowieka [...] nie może stanowić pierwiastka rewolucji istotnej, staje się jak gdyby odświętną osobowością jednostek”, bez najmniejszego wpływu na ich rzeczywiste postawy i zachowania⁴⁶. Fałszem jest według Abramowskiego twierdzenie ortodoksyjnych socjalistów, że reformy można narzucić

⁴⁴ Zob. K. Krzeczkowski, *Edward Abramowski*, Wstęp do: E. Abramowskiego *Pism*, t. 1, Warszawa 1924, s. XII—XIII.

⁴⁵ Zob. E. Abramowski, *Człowiek dzisiejszy*, [w:] *Pisma*, t. 1, jw., s. 389—392.

⁴⁶ E. Abramowski, *Etyka a rewolucja*, [w:] *Pisma*, t. 1, jw., s. 278.

metodami policyjnymi, odrzucał kategorycznie tę „politykę jakobinizmu”, uważając, że „to tylko staje się faktem historycznym rzeczywistego życia społecznego, co przejdzie jako idea przez świadomość mas ludzkich”. Stare zasady, obyczaje, nawyki, odruchy i narowy, umocowane w duszach ludzkich wiązaniami rozumowania, interesów, moralności środowiskowej, nawet zwalczone powierzchownie „odżyłyby samorodną siłą, dopóki pozostałyby nietknięte i zachowane w swym ognisku moralnym”⁴⁷. Reforma narzucona przemocą i biurokratycznym uciskiem przeistoczyłaby się rychło w swe własne przeciwieństwo, w państwowość wrogą i gnębiącą. Nie więc w mechanizmach zewnętrznych należy szukać sposobów naprawy i przebudowy świata, lecz w świadomej swych celów woli ludzkiej.

Główne źródło wszystkich złąkań i bezdroży, po których chaotycznie i po omacku miota się w świecie współczesnym istota ludzka, upatrywał Abramowski w negacji przykazania miłości i braterstwa, w zapomnieniu o jedynym grzechu — krzywdzie człowieka. Egoizm jest tą — jego zdaniem — zaporą, jaką zbudował człowiek między sobą a szczęściem, między sobą a Bogiem. „Ateizm umysłowy — dowodził — jest niewinną zabawą wobec tego wygnania Boga z duszy, jakie wynika z deprawacji woli przez egoizm. Można być ateistą z przekonania, a mimo to obcować z Bogiem i mieć bogate przeżycia religijne, które daje człowiekowi spełnianie braterstwa [...] Dla odnalezienia więc Boga w sobie, trzeba przede wszystkim umieć kochać ludzi. Kto to rozumie, ten rozumie całą tajemnicę i wartość życia”⁴⁸. Sakrament braterstwa to najwyższy ideał ludzkości, a apostołstwo tej idei uważał Abramowski za swą religię.

Warunkiem rozpowszechnienia się tej religii miało być uwolnienie człowieka z jarzma tych nawyków, przyzwyczajzeń, potrzeb i trosk życiowych, fałszywych pojęć i despotycznych nakazów, które go przytłaczają i gną ku ziemi. Pracy nad wychowaniem nowych ludzi w duchu solidarności i braterstwa musi więc towarzyszyć akcja etyczna natury negatywnej, polegająca na wykorzenianiu z duszy ludzkiej zastarzałych i zgubnych dla niej pojęć i form. Za najbardziej zabójcze uważał Abramowski trzy przede wszystkim kategorie i zasady dominującego aktualnie ustroju: prawo własności, przymus pracy i organizację państwa. Bóg — twierdził — dał człowiekowi życie i dał wszystko, co do życia potrzebne: ziemię, słońce, powietrze i żywność. O tej prawdzie świat współczesny zapomniał tworząc ustroj oparty na bezwzględnym współzawodnictwie, wyzysku, brutalnym rozpychaniu się egoizmu i przywileju⁴⁹. Abramowski przeciwstawiał mu ideał ustroju komunistycznego, ustroju pierwszych gmin chrześcijańskich, przenikniętych wzniosłym duchem nauki swego Założyciela. Przeciwesta-

⁴⁷ Z. R. Walczewski [E. Abramowski], *Zagadnienia socjalizmu*, Lwów 1899, s. 171; tenże, *Etyka a rewolucja*, jw., s. 275.

⁴⁸ E. Abramowski, *Związki przyjaźni*, [w:] *Pisma*, t. 1, jw., s. 357 i n.

⁴⁹ E. Abramowski, *Czego chcą socjaliści?*, [w:] *Pisma*, t. 4, jw., s. 270 i n.

wiając się zasadzie własności indywidualnej propagował etykę powszechnej solidarności i pomocy wzajemnej. Podstawą nowego ustroju miało być uspołecznienie pracy, gwarantujące każdej jednostce ludzkiej za minimum wytwórczego wysiłku zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Wspólną własność uważał za warunek konieczny zrealizowania idei powszechnego braterstwa. Tylko ona bowiem uwalniając człowieka od nieustającej walki o byt w warunkach bezwzględnej konkurencji może w nim wyzwolić jego społeczną naturę i rozszerzyć jego osobniczą indywidualność poza ciasne granice czucia organicznego.

Drugą przeszkodą, stojącą na drodze ku pełnemu odczuwaniu radości życia i uczuć przyjaznych wobec świata, było wedle Abramowskiego przekleństwo pracy takiej, jak się ją rozumie w aktualnie istniejącym ustroju: wiecznej, uciążliwej, wyniszczającej. Człowiek współczesny nie pracuje już dlatego, by żyć, lecz żyje po to, by pracować. Ten przymus i nałóg pracy zabija w nim wrażliwość na wszystkie wyższe i wznioślejsze wartości życia. Pod tym względem stoi on o wiele niżej od pierwotnego barbarzyńcy, który umiał uczestniczyć swą duszą w życiu całej przyrody, czy też dawnego Greka, „który otaczał się pięknem sztuki, lubował w igrzyskach i zabawach i zdolny był interesować się żywo dialektyką filozofów”⁵⁰. Grzech pracy wypędził z życia ludzkiego nie tylko instynktową radość istnienia, ale przytłumił w nim zarazem wrodzoną naturze ludzkiej zdolność przeżywania stanów bezinteresownej kontemplacji sztuki i piękna.

Ażeby w duszy człowieka — pisał Abramowski — mogły rozwinąć się potrzeby estetyczne, musi on uwolnić się spod hipnotyzującego wpływu troski życiowej, przyzwyczaić do próżniaczego stanu swych mięśni, do głębszego oddechu ludzi kontemplujących, do radowania się bezcelowego, do przyjemności bezużytecznych dla życia [...] musi mieć więcej prawa do lenistwa, a mniej do pracy. Te bowiem momenty swobody próżniaczej są to jedyne zakątki duszy ludzkiej, gdzie może wytworzyć się, zaszczerpić i rozwinąć pierwiastek piękna, zaczątek estetycznego odczuwania świata.⁵¹

W sztuce widział Abramowski jedną z najpotężniejszych dźwigni postępu, a zwycięstwo piękna było dlań równoznaczne z triumfem jego idei naczelnej — braterstwa. Opisywał procesy kontemplacji i zachwycania się sztuką jako zapadanie się w głąb naszej indywidualności aż do zupełnej zatraty poczucia istnienia jednostkowego i rozrastania się w nas stanów identyfikacji z całym *universum* wszechświata. By to jednak łączyć ludzi przeżywanie i kontemplowanie piękna mogło stać się regulatorem czynów ludzkich, musi być wprawdzie zdjęta z człowieka kłątwa pracy.

I wreszcie trzecie zło, gnębiące ludzi, to państwo⁵². Ideał przyszłości widział Abramowski w zagwarantowaniu każdej ludzkiej jednostce takiej

⁵⁰ E. Abramowski, *Etyka a rewolucja*, jw., s. 303.

⁵¹ E. Abramowski, *Co to jest sztuka?*, [w:] *Pisma*, t. 3, jw., s. 1-2.

⁵² Zob. E. Abramowski, *Socjalizm a państwo. Przyczynek do krytyki współczesnego socjalizmu*, [w:] *Pisma*, t. 2, jw., s. 239-376.

swobody jej osobistego rozwoju, żeby życie człowieka było barwne, bogate, różnorodne, wspaniałe, żeby każdy mógł urzeczywistniać bez przeszkód indywidualny, osobniczy wzór życia, jaki nosi w sobie. Tego nie można zapewnić za pomocą ustawicznego rozszerzania opatrnościowej roli państwa, ponieważ państwo niszczy indywidualności, narzuca ludziom jeden wspólny wzór życia i pilnuje policyjnie, aby tego wzoru przestrzegać. Urzeczywistnienie swych ideałów widział natomiast Abramowski w dobrowolnych zrzeszeniach, które skupiałyby ludzi dla zaspokajania najróżniejszych, ale zawsze naprawdę istniejących i autentycznych potrzeb. Marzyła mu się ludzkość zorganizowana w jakąś wielką rzeczpospolitą spółdzielczą, która by oddała spożycie i produkcję środków potrzebnych do życia nie w ręce sztywnej, ociążałej, biurokratyzowanej organizacji państwowej, lecz w ręce połączonych ze sobą stowarzyszeń różnego typu, urzeczywistniających komunizm, lecz w sposób nieskończenie bardziej wnikliwy, giętki, zgodny z bogactwem i różnorodnością potrzeb życiowych, niżli czyni to komunizm państwowy.

Koncepcja ustroju bezpaństwowego była ostatnim punktem ideologii społecznej Abramowskiego. Wyszedłszy z krytyki i negacji stosunków dotychczasowych jako nie odpowiadających roli i powołaniu człowieka we wszechświecie, Abramowski dochodził do idei wielkiej, wolnej rzeczpospolitej kooperacyjnej, opartej na solidarności i powszechnym braterstwie, w której nowy człowiek, wyzwolony z niewoli państwa i z jarzma wyniszczającej pracy odnajdzie własne szczęście w szczęściu swych braci, odzyska radość życia i zdolność odczuwania tych potężnych i boskich wzruszeń, jakie dają piękno i sztuka, odkryje te tajemne drogi i ścieżki, na których dusza indywidualna odnajduje łączność z duszą wszechświata, z Absolutem, z Wiecznością. U podstaw tego marzenia płonęła głęboka i niespożyta wiara w wartość moralną człowieka, w twórczą moc jego woli, której siłą jest on w stanie urzeczywistnić mit o Królestwie Bożym na ziemi.

Źródła ideologii Abramowskiego były liczne, powikłane i nie dające się jednoznacznie określić⁵³. Czerpał z nich to, co mu odpowiadało, odrzucając elementy systemów czy teorii, jakie były mu obce, sprzeczne z jego subiektywnym odczuciem. Jego idea negacji państwa powoływać się mogła zarówno na Marksa i Engelsa, mówiących o społeczeństwie bezklasowym i bezpaństwowym, na poglądy Sorela, redukującego rolę państwa do zera i odrzucającego jego interwencję i pomoc w walce między kapitałem a pracą na rzecz tzw. akcji bezpośredniej, jak i na mistyczne pomysły Tołstoja. Był to więc swoisty anarchizm, ale anarchizm konstruktywny, nie ograniczający się do negacji wyłącznie, lecz usiłujący budować twórcze konstrukcje nowej organizacji życia. Etyzm Abramowskiego przypominał etyzm Sorela, przywiązującego podobnie jak on istotną wagę do moralnego czynnika rewolucji i do wychowania nowej formacji ludzi przyszłości. Idee

⁵³ Zob. O. Lange, *Socjologia i idee Edwarda Abramowskiego*, Kraków 1928.

kooperacyjne znajdowały swój odpowiednik i prawdopodobną inspirację w teoriach francuskiej *école de Nîmes*, która również marzyła o republice spółdzielców⁵⁴. Była więc ideologia Abramowskiego stopem podniet najróżniejszych, na które nakładały się z kolei znamiona jego osobowości indywidualnej: utopizm, wierzący w metafizyczną siłę ideałów, intuicjonizm, odwołujący się do instynktownych prawd, zakodowanych w pierwotnych, najgłębszych warstwach intuicji moralnej, woluntaryzm wyzwalający wolę i świat ideałów etycznych z jarzma przyczynowości i determinizmów społecznych. Na usługi swoich idei miał Abramowski niesłychanie sugestywny, własny i osobniczy język, nie tyle uczonego badacza, ile myśliciela-poety, obrazowy, plastyczny, alegoryczny, nasycony jak gdyby jakąś mgłą mistyczną, a jednocześnie zniewalający swą nieomal matematyczną logiką i niepospolitą siłą swojej dedukcyjnej argumentacji⁵⁵. Język ten przy atrakcyjności samych idei był dodatkowym i niebywale skutecznym instrumentem oddziaływania.

Urzekający wpływ osobowości i ideologii Abramowskiego padał na grunt przygotowany i doskonale podatny na przyjęcie jego idei. Abramowski był z całą oczywistością kontynuatorem myśli społecznej pokolenia romantycznego, radykalnych i rewolucyjnych odłamów Wielkiej Emigracji listopadowej. Żeromski już w czasach raperswilskich, mając bezpośredni dostęp do literatury emigracyjnej, uległ jej myślowym urokom i stał się wiernym aż do końca wyznawcą pewnych elementów tej myśli. „Skala wpływów — pisał badacz i znawca tych problemów — jest tu bardzo szeroka; wychodząc od Towarzystwa Demokratycznego sięga aż do komunistycznej Gromady Grudziąz — od teoretyka, może najwybitniejszego, Towarzystwa Demokratycznego Henryka Kamińskiego do haseł społeczno-moralnych Mickiewicza”⁵⁶. Pomijając idee i wskazania konkretne, jakie przejął Żeromski niewątpliwie z pism ideologów emigracyjnych, najistotniejszy i niejako korespondujący z postawą Abramowskiego wydaje się ich ton ogólny, zasadniczy: religijno-moralistyczny. Radykalizm skrajnych odłamów Emigracji ewoluował najwyraźniej w stronę idei socjalistycznych, ale był to socjalizm specyficznie „emigrancki”, o silnej barwie religijnej. „Chęć zrównania kondycyj socjalnych” łączyła się organicznie „z pragnieniem zwycięstwa na ziemi idei chrześcijańskiej [...] Lud Polski zasady swe przede wszystkim z ewangelii wyprowadzał, postulatory swe przez ewangelię uzasadniał i nawet konieczność rewolucji, konieczność walki orężnej słowami Chrystusa popierał”⁵⁷. Sprowadzała się ostatecznie ta ideologia do „wzniosłej koncepcji Mickiewicza: «O ile polepszyście i po-

⁵⁴ Ibid., s. 72.

⁵⁵ Zob. K. Krzeczkowski, op. cit., s. XLIX.

⁵⁶ J. Hulewicz, *Źródła ideologii społeczno-politycznej Stefana Żeromskiego*, Lwów 1930, s. 4. Odb. z „Pamiętnika Literackiego” Rk 27, z. 3.

⁵⁷ Zob. S. Szpotański, *Lud Polski. Z dziejów polskiej myśli socjalistycznej*, Lwów 1907, s. 33.

większycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice». Słowa te, wielokrotnie przez siebie cytowane, zaliczał Żeromski do tych „kilku wyrazów świętych, które z otchłani cierpień niewoli wynieśli na świat *nobiles* ducha polskiego, eupatrydzi, ojcowie”⁵⁸.

Podobnie moralistyczny charakter miały związki ideologii Żeromskiego z socjalizmem. To, co go w pewnym okresie jego biografii wewnętrznej zbliżyło do socjalizmu, to przede wszystkim „wyczulona do ostatnich granic wrażliwość na objawy krzywdy społecznej”⁵⁹. W czasie najbliższych i najsilniejszych związków sympatii z ruchem socjalistycznym, w latach rewolucji 1905 r., *Nagiego bruku*, *Nokturnu*, *Snu o szpadzie* i *Róży* — owe związki uczuciowej solidarności nigdy jednak nie doprowadziły ani do doktrynalnej akceptacji, ani organizacyjnej przynależności. W *Róży*, która jest jakby ostatecznym zamknięciem najbliższych kontaktów Żeromskiego ze środowiskiem ideologów i pragmatyków ruchu — jak słusznie zauważono — „nie ma ani jednego zdania, które by wskazywało”, że bohater tego dramatu, niewątpliwy *porte parole* autora, „wierzy w ewangelię Marksa. Przeciwnie, w rozmowie z Zagozdą hasłom i wierzeniom socjalistycznym przeciwstawia się z całą stanowczością”. Jest w nim natomiast swowisty, socjalistyczny bajronizm, „jest ogromne wyczulenie na objawy krzywdy społecznej, jest wyolbrzymiona aż do stanu patologicznego litość nad wszystkimi pariasami ludzkości, nad ich nędzą i z tej nędzy płynącym brudem duchowym i fizycznym”⁶⁰.

Stosunek Żeromskiego do teorii i praktyki socjalizmu miał więc najwyraźniej charakter sympatii uczuciowej⁶¹, „uczuciowy argument krzywdy społecznej — jak słusznie to podkreślał Skiwski — odegrał tu rolę zaczynu agitacyjnego”⁶². I podobnie było z syndykalizmem. Źródłem szczególnego zachwyty pisarza w czasie lektury *Réflexions sur la violence* Sorela był moralistyczny podkład tej książki. Sorel odmaterializował jak gdyby „marksowskie materialistyczne pojmowanie dziejów” wysuwając na plan pierwszy jako główny czynnik historiotwórczy ludzką pracę i wolę, irracjonalne, idealistyczne porywy. „Nowa moralność — moralność pracowników jutra — moralność wyrastająca z podłoża pracy, produkcji” — moralność zwycięskiego proletariatu — to była „nowa kapitalna teza Sorela”, która przede wszystkim musiała przemówić najsilniej do uczuciowej wyobraźni pisarza⁶³.

Światopogląd społeczny Żeromskiego ma więc charakter wybitnie se-

⁵⁸ J. Hulewicz, op. cit., s. 12.

⁵⁹ Ibid., s. 15.

⁶⁰ Zob. W. Kozicki, „*Róża*”, *poemat dramatyczny*, „Słowo Polskie” 1927. Cyt. za J. Hulewiczem, op. cit., s. 16.

⁶¹ Ibid., s. 17.

⁶² J. E. Skiwski, *Żeromski — pisarz i apostoł*, [w:] *Poza wieszczbiarstwem i pedestrianią*, Poznań 1929, s. 58.

⁶³ J. Hulewicz, op. cit., s. 20.

lektywny, wybiera on spośród różnorodnych sugestii i inspiracji ideowych te jedynie koncepcje, które odpowiadają jego pierwotnemu, jakby instynktownemu odczuciu moralnemu. Tym jakby najpierwszym i rozstrzygającym elementem odniesienia, *sui generis* aksjomatem, który staje się dlań miarą wszelkich prac, ludzkich działań, postaw, zachowań w skali zarówno jednostkowej, jak i społecznej, jest krzywda. „Złe niewątpliwie jest tylko jedno: krzywda bliźniego [...] Wyjąwszy krzywdy bliźniego, wolno każdemu czynić, co chce”⁶⁴. Krzywda jest tu pojęta nie tylko w sensie materialno-społecznym jako wyzysk, niesprawiedliwość, ale i jako wszelka przemoc, wszelki przymus i gwałt, zadane człowiekowi choćby w najlepszych w założeniu i najszlachetniejszych intencjach, wszelkie zbawianie kogokolwiek wbrew niemu. Stąd pierwszym rysem negatywnym ideologii Żeromskiego jest odrzucenie rewolucji społecznej jako instrumentu przemiany i przebudowy ustroju Polski i świata, odrzucenie dyktatury proletariatu i wszelkich form socjalizmu państwowego.

W rewolucji widział Żeromski przede wszystkim ślepy i bezrozumny żywioł totalnego zniszczenia. Cezary Baryka, idący jako żołnierz tropami cofającego się nieprzyjaciela, nie był zdolny myśleć o „ideologii najeźdźców ze wschodu”, bo niepodobna było dostrzec jej „w ruinie, w zniszczeniu, tratowaniu, w śladach rabunków, rzezi i gwałtów... Gdzie były żelazne mosty, wisiały poprzetręcane ich gnaty — gdzie były mosty drewniane, sterczały osmalone pale. Gdzie były wsie, stały porozwalane pustki. Gdzie cokolwiek pięknego, wzniosłego przeszłość zostawiła potomnym na tej ziemi ubogiej, widniała kupa gruzów. Jakże tu było doczytać się w tym piśmie najeźdźców ze wschodu idei głoszonych przez mówców wiecowych?”⁶⁵. Na tych smutnych i tragicznych bezdrożach wojny uczył się Cezary przeszłości polskiej, nie tej rzekomo militarystycznej, imperialistycznej, jaką wmawiał mu Lulek, lecz tej pokojowej przeszłości „ogromu prac cichych w zakresie rzeczy subtelnych”, które leżały teraz stratowane przez furię niszczycielską dzikiego i nieświadomego żywiołu — „porabowane biblioteki, porozbijane dzieła sztuki, potłuczone witraże, szczątki, ułamki, druki”⁶⁶, rozwleczone w fanatycznej pasji niszczenia. Szukając w swych utworach publicystycznych sposobów jak najszybszego wydzwignięcia Polski z wiekowych zaniedbań i następstw wojny przestrzegał zarazem przed „krwawą i szaloną” rewolucją, „która by tylko zgłiszcza, trupy i krew zostawiła na tej roli, gdzie mogą rosnąć kłosa, owoce i kwiaty”⁶⁷.

Rewolucja jako sposób rozwiązywania zagadnień społecznych wydawała się tragiczną pomyłką, fatalnym błędem w rachunku, w którym dobre intencje obracały się w swoje zaprzeczenie, była drogą prowadzącą doni-

⁶⁴ Ludzie bezdomni, s. 337.

⁶⁵ Przedwiośnie, s. 105.

⁶⁶ Ibid., s. 266.

⁶⁷ Początek świata pracy, s. 36.

kąd, a właściwie wiodącą w „krwawą próżnię”⁶⁸. Była dla Żeromskiego wybuchem nienawiści i ślepej zemsty, z której posiewu nic twórczego i zba-
wiennego wyrósć nie mogło. Jego moralna i intelektualna uczciwość skła-
niała go do uznania ideowych założeń tych rewolucyjnych przewrotów, od-
dawał lojalnie głos swoim powieściowym, fikcyjnym organizatorom
i zwolennikom rewolucji w replikach Zagrody na wątpliwości Czarowica
z dramatu *Róża*, w namiętnych sporach Cezarego z Gajowcem, dostrzegają-
jąc jednocześnie jakby błąd zasadniczy w ostatecznym rachunku. „Któż
by był — pisał — tak niesprawiedliwy [...] ażeby twierdzić, iż reformato-
rowie moskiewscy pragnęli w duszach swych zniszczenia i wygłodzenia ro-
syjskiego ludu [...] Z rachunku ich wypadło dobro i piękno, a rzeczywi-
stość przyniosła śmierć głodową dziesięciu milionów ludzi, czyli całego ja-
kowegogo narodu. Pragnęli wygubić najpodlejszą na ziemi carską tyranie,
a zwalali się we krwi po samo serce”⁶⁹. Przerazał go fanatyzm i swoisty
nawet snobizm rewolucyjny w pewnych kręgach i środowiskach lewicy
polskiej. „Nie posądzam nikogo — pisał — o wystugiwanie się wrogom. Są
dusze gorące, którym obmierzył widok biedy, deptanej przez polskie burżu-
stwo tak samo dziś, jak za czasów” dominacji zaborczej. „Ale istnieje rów-
nież snobizm rewolucyjny. Są dusze, którym pachną piwnice moskiewskie,
nalane krwią, dusze tęskniące za możliwością pastwienia się, katowania,
władania”⁷⁰. I przedstawiał takiego fanatycznego wyznawcę praw zorgani-
zowanej pomsty w postaci owego Lulka z *Przedwiośnia*, który pałał szcze-
gólnym „uwielbieniem dla poczynań reformatorskich «sąsiedniego mocar-
stwa» [...] Ręce jego drżały [...] twarz promieniała jak od głębokiego na-
tchnienia”, gdy „czytał o srogich karach na kontrrewolucjonistów, o kaź-
niach setek tysięcy” i „o mordowaniu bez sądu”⁷¹.

Rewolucja wydawała się po prostu krwawą wymianą jednej tyranii
na drugą i usadowieniem się w miejscu starego, obalonego przywileju no-
wej klasy panów i władców, niczym się w istocie od poprzednich w swej
arogancji i rozpychaniu się upojonych swą władzą nuworyszów nie róż-
niącej. Najbardziej nawet upragnione rewolucje — powiada książę Gin-
tułt w rozmowie z Sułkowskim — „niczym innym nie są, tylko zamianą
bardzo kosztowną pewnych nadużyć i wad na innego rodzaju, innego
kształtu nadużycia i wady”⁷². Nowy, demokratyczny „wielki świat” po-
rewolucyjnej Francji niczym w swym zamięłowaniu do zbytku nie ustę-
puje towarzystwu *ancien regime*, chyba tylko brakiem umiaru i prostacką
pychą nieokrzesanych parweniuszy. Książę miał okazję przyjrzeć się
z bliska tym nowym demokratycznym obyczajom, jak i osobom demokra-
tów. „Stroje dam! Józefina Buonaparte ubrana w tunikę grecką i *coiffée*

⁶⁸ *Przedwiośnie*, s. 288.

⁶⁹ *Snobizm i postęp*, s. 62 - 63.

⁷⁰ *Ibid.*, s. 62.

⁷¹ *Przedwiośnie*, s. 263.

⁷² *Popioły*, t. 1, s. 222.

en camée... Panie Tallien, de Chateaurenaud, Adrienne de Cambis, de Crény... Te jako *Sapho de Mitylène*, inne à la *Cléopatra*. I to wszystko w pocziwym, sankiulockim miesiącu *nivôse*"⁷³. „A dopieroż *Conseil de anciens* w robach i tokach fioletowych, w białych płaszczach i panto-
flach!"⁷⁴ Książę nie miał „szczęścia ujrzeć żadnego z członków *du Directoire exécutif* w wielkim kostiumie", ale pociesza się, że to może i lepiej, nie zniósłby zapewne blasku ich wspaniałości. „Są oni przecie *plus puissants que les Monarques*"⁷⁵. Tylko wszechpotężny Barras, widziany raz w łoży teatralnej, nie sprawił na nim szczególnego wrażenia; wyglądał na to, „czym zapewne był [...] z przyrodzenia i woli Bożej: jak tłusty siepacz, szlachetnie udrapowany i odpowiednio rozdęty przez imaginację"⁷⁶.

Ryszard Nienaski obserwował był niekiedy w lokalu towarzystwa dla niesienia pomocy bezrobotnym pod nazwą „Praca", jak schodzili się tam nieraz przywódcy francuskiego ruchu syndykalistycznego, „najbardziej włochaci i kudłaci mędrzy rosyjskiego socjalizmu i inni pisarze oraz doktorowie marksowskiej idolatrii wyrazu «walka klas» — przez swe życie, swe posady, salony, służbę i cały sposób życia zupełnie obcy światu robotniczemu, właśnie «burżuazja» najistotniejsza, tym bardziej wstrętna, że bezprawnie nadużywająca hasła, a do gruntu cudza głęboko bolesnej doli i duszy ludu"⁷⁷.

Że nie były to wrażenia wyłącznie postaci powieściowych, że stanowiły one swoiste, literackie media odczuć i przeświadczeń pisarza, tego dowodziła niemal dosłowna, literacka tożsamość tych beletrystycznych wypowiedzi z bezpośrednimi, zwerbalizowanymi poglądami Żeromskiego w jego publicystyce polityczno-społecznej. Opisując warunki życia niedawnych gości „na probostwie w Wyszku" („jeździli znakomitym i wytwornym automobilem, jedli i pili doskonale, spali wygodnie") dopowiada Żeromski w nawiasie ironicznie od siebie: „Zawsze zadaję sobie pytanie, czy też ludzie tego rodzaju zarabiają na to dostatnie życie? Głosząc zasady prawa, opartego jedynie na pracy, sami stoją na poziomie wszystkich zwyczajnych władców, którzy swe stanowisko odziedziczyli lub posiadli na mocy takiej lub owakiej intrygi"⁷⁸. „Wódz niemieckiego socjalizmu August Bebel umierając zapisał milionowy majątek swemu spadkobiercy, choć przecie przez całe życie przeciwko takiemu właśnie spadkobranu wojował słowem"⁷⁹.

Na gruncie odczuć, wątpliwości i przeświadczeń tego rodzaju rozwinęła się i utrwaliła w świadomości pisarza nieufność i podejrzliwość wobec

⁷³ Ibid., s. 229.

⁷⁴ Ibid., s. 230.

⁷⁵ Ibid.

⁷⁶ Ibid., s. 231.

⁷⁷ *Nawracanie Judasza*, s. 69.

⁷⁸ *Na probostwie w Wyszku*, s. 61.

⁷⁹ *Nawracanie Judasza*, s. 327 - 328.

wszelkich form zorganizowanego działania pod szyldami partii i stronnictw mieniących się robotniczymi, nieufność wobec czystości intencji ich przywódców, ideologów, etatowych funkcjonariuszy, uczonych w piśmie talmudystów marksizmu. Widział w pretensjach i uroszczeniach tych „przywódców ludu” bezmierną pychę, arogancję, pewność siebie, nieskończoną pogardę dla wyzutej z wszelkich praw i przywilejów szeregowej armii proletariatu, którego rzekomym interesem usprawiedliwiali swą władzę, mając go w istocie za skazanego jak dawniej na niewolnicze posłuszeństwo odrażający motłoch. W samym zresztą proletariacie bardzo szybko i łatwo rozwija się i dojrzewa pokusa wyodrębnienia i wywyższenia ponad tłum pospolitych łachmaniarzy „robotniczej elity”, „z rozmaitych zanos-wodzów partyjnych i różnych partyjnych magnifik na emeryturze” złożonej. „Przez szeregi lat — opowiada narrator *Nawracania Judasza* — owi sztabowcy partyjni spoglądali z najzupełniejszą obojętnością na przedzierzganie się emigrantów robotników w «chodzików», na biura stręczycieli ciała robotniczego, na straszliwe nędze wędrowców polskich, na ich noclegi pod ławkami skwerów i pod mostami rzeki. Ci społecznicy nie uczynili ani jednego społecznego kroku w celu jakiegokolwiek zorganizowania życia nędzarzy polskich i ulżenia ich doli”⁸⁰. „Wszyscy ci partyjni panowie” — wedle zjadliwej ironii jednego z takich właśnie z owej ciżby bezimiennej niedoli — nie mają czasu zajmować się bieżącymi sprawami doraźnego i natychmiastowego likwidowania nędz społecznych, ponieważ zajęci są najpilniejszym zagadnieniem organizacji pracy w „przyszłym ustroju”. „Nie żywych, dzisiejszych ludzi mają na oku ci nominaliści nowoczesni, lecz swój przyszły «ideał». Są to religianci nowego świata. Kapłani starego zapewniali swych nędzarzy, że zapłata ich nie jest na tej nędznej ziemi, siedlisku bogaczy, lecz obfita jest w niebiesiech. Ci kapłani nowego świata zapewniali swych nędzarzy, że zapłata ich jest nie dziś, lecz w «przyszłym ustroju»”⁸¹. „Dyktatura proletariatu” tam, gdzie obalono dawne reżimy i ustroje, przemienia się rychło w dyktaturę przywódców i zawodowych rozprawiaczy o niedoli proletariatu, żyjących „z pracy mas okradzionych”⁸². Ci „przedstawiciele ludu” stają się bardzo szybko „po przyjściu do władzy najzacieklejszymi i najmądrzej reakcyjnymi sługami reakcji”⁸³.

Sam będąc człowiekiem konkretnej pracy, tworzącej określoną i sprawdzalną wartość społeczną, Żeromski miał niemal organiczną niechęć do wszelkiego typu zawodowych instruktorów i organizatorów życia zbiorowego, tzw. polityków, parlamentarzystów, notorycznych reprezentantów klas, stanów, stronnictw i partii, osobników w jego mniemaniu o podej-

⁸⁰ Ibid., s. 58.

⁸¹ Ibid., s. 71 - 72.

⁸² Ibid., s. 73.

⁸³ Ibid., s. 74.

rzanej czystości ideowej i bardzo wątpliwych kompetencjach w jakiegokolwiek dziedzinie.

Drzwi do ciał prawodawczych — pisał w *Początku świata pracy* — otwiera nie geniusz, wiedza, posiadanie całkowitej prawdy o rzeczy przez jej umiejętnie w każdej dziedzinie zbadanie, znajomość specjalności aż do podstawy, lecz tak zwany „klucz partyjny” [...] Człowieka pragnącego działać publicznie na arenie społecznej, pracować szeroko a skutecznie, zalecać musi nie jego istotne uzdolnienie, wiedza i osobiste zalety, lecz przynależność do jakiejś partii. Jednostka nie należąca do narodowych demokratów, polskich socjalistów, ludowców, postępowych demokratów, krakowskich konserwatystów [...] pozostaje bezsilnym zerem, zepchniętym do głębin wzgardzonego zawodu. Osobistość taka nie posiada prawa do patriotycznego działania na korzyść ojczyzny, do publicznego sądu i publicznego głosu. Nawijają się pod pióro dziesiątki imion ludzi mądrych, tęgich, pracowitych, ofiarnych, czystych, promotorów i strażników rzeczy publicznej, którzy za czasów najstraszniejszych dni Polski karmili ją chlebem swego trudu i poili życiodajnym mlekiem wiecznej nadziei, trzymali ogół na wyżynie jako cywilizowaną społeczność, a którzy teraz, gdy wody niedoli odpływają — w pokorze swej idą w zapomnienie. Na widowni publicznej grają i harczą rozmaici „posłowie” [...] jakieś nikomu nie znane koczkodany partyjne, których pracy nikt nie widział i których zdolności nigdzie i w niczym się nie ujawniły. Po władzę nad narodem, wyzwolonym z kajdan, sięga nawet zwyczajna kanalia, którą rządy najezdnicze opłacały pieniędzmi lub możliwością dorabiania się mocą poruczonego jej zakresu władzy. Główną masę tych ambitnych karierowiczów stanowią rozmaici lawiranci, krętacze, ludzie bez stałej narodowej zasady, tak zwani „politycy”.⁸⁴

Jeśli rządy cesarzy, obalonych przez gniew ludowy, oparte były na łotrystwie i kłamstwie, które osłaniane były tyloma symbolami rzekomo wyższego, boskiego jakoby pomazania, to jakaż jest — pyta Żeromski — gwarancja, że pod szczytnymi hasłami demokracji i sprawiedliwości społecznej nie kryją się też same kłamstwa i łotrystwa? I że jest to zasadą wszelkiej władzy, „jaką przybiera człowiek nad człowiekiem. Któż rozumowi czystemu, nie spletanemu więzami wierzeń, wzmówień lub doktryn zaręczy, iż rządy dyktatorskie, republikańskie, mieszczańskie, ludowe, socjalistyczne, rządy partii zjednoczonych albo wysuwających się na czoło społeczeństw poprzed swe siostrzyce i rywalki, nie zawierają tej samej w sobie zasady kłamstwa i łotrystwa?”⁸⁵

Dowodem, że się nic w istocie w tej dziedzinie nie zmienia, miały być w przekonaniu Żeromskiego stosunki panujące w Rosji rewolucyjnej.

Ucinać głowy „kramoły” umiał tak samo Iwan Groźny toporami opryczników, jak Trocki bronią najemnych Chińczyków, Węgrów i Łotyszów. Lud pracujący — pisał — w fabrykach, warsztatach i po wsiach, wówczas i dziś jest w rękę władców, którzy tylko nazwy swych urzędów i tytułów zmienili. Pochlebstwa „komisarzy” dla tego ludu takie same są dziś, jak były niegdyś w ustach tyranów. Złudzeniem było oszukanych robotników, iż oni to w owych „sowietach”, czyli radach, decydują o sobie.⁸⁶

⁸⁴ *Początek świata pracy*, s. 11–12.

⁸⁵ *Ibid.*, s. 8.

⁸⁶ *Ibid.*, s. 58.

Decyduje o wszystkim władza, która później te swoje działania i zarządzenia robotnikom wytłumaczy i konieczność owych czynności demagogicznie wmówi, a oni to pokornie zaakceptują.

Obowiązkiem ludu jest wykonywanie poleceń z góry, jak niegdyś, za rządów cara, za władzy Stołypina, i obowiązkiem jest umieranie na rozkaz, jak za czasów najciemniejszej reakcji. Jedynym prawem, które robotnicy, jakoby dzierżący dyktaturę niewątpliwie posiadli, jest prawo do szerszenia i praktykowania niesłuchanej, iście carskiej niewoli. Wolno jest wyznawać publicznie, mówić i głosić w druku tylko przepisane zasady. Kto przepisanych zasad nie wyznaje, tego się sadza do kryminalu [...] Zupełnie jak za czasów Szczedryna: „Można przedsięwziąć nawet najsakrajniejszą rewolucję, byle by tylko w tej materii nadeszło dokładne i wyraźne rozporządzenie policji”⁸⁷

Nie tędy zatem wiodła droga prawdziwego wyzwolenia i prawdziwej, autentycznej przemiany świata. Wchodząc już wyraźnie w tropy myśli społecznej Abramowskiego Żeromski z uporem i konsekwencją rysował w swych utworach od początku do końca tę samą w istocie wizję polskiej rewolucji z ducha. Na „sztandarze Polski nowej” miało być wypisane hasło „wyższe, świętsze, sprawiedliwsze, mądrzejsze” ponad wszystko, co gdziekolwiek powzięto w imię wyzwolenia skrzywdzonego i sponiewieranego człowieka, „ponad śnieg bielsze”⁸⁸. W Polsce „nie powinno być niżej” niż gdzie indziej, nawet „nie tak samo, lecz wyżej”⁸⁹. „Polska — pisał w *Snobizmie i postępie* — odrodziła się ze krwi i pracy męczenników po to, żeby na miejscu, gdzie stała ciemnica niewoli, rozpostarło się najjaśniejsze pracowisko postępu”⁹⁰. Swoistość tej rewolucji polegać miała przede wszystkim na szczególnym sposobie motywacji. Tu właśnie odwoływał się Żeromski nie tylko do Abramowskiego, lecz i do wysublimowanych, idealistycznych koncepcji teoretyków ideologii emigracyjnej. Zarzewiem i motorem ogromnego wysiłku, jaki winien był wywieść życie polskie z nizin jego zewnętrznej i wewnętrznej niewoli, miała być nie chęć zemsty, nie bezrozumny i ślepy gniew uciemiężonych, lecz wychodzące na przeciw przykazaniu braterstwa i miłości poczucie winy i wewnętrzna potrzeba odkupienia. Ponieważ są to odczucia i stany ducha właściwe tylko jednostkom i nie do narzucenia tłumnej zbiorowości, przeto nadawały one wszystkim koncepcjom społecznym Żeromskiego charakter wybitnie indywidualistyczny.

Sprawa rewolucji to nie było zagadnienie ruchów masowych; rozstrzygała się w samotnym, jednostkowym sumieniu ludzkim. Żeromski określał je tajemniczym, zagadkowym słowem *dajmonion*. *Dajmonion* — wpływający z głębin ducha ledwo słyszalny szept, wskazujący nieomylnie, co jest dobre, co złe. Coś boskiego w człowieku, nieomylny drogowskaz.

⁸⁷ Ibid., s. 58 - 59.

⁸⁸ *Na probostwie w Wyszkowie*, s. 65.

⁸⁹ *Przedwiośnie*, s. 291.

⁹⁰ *Snobizm i postęp*, s. 55.

Idąc za nim należało „wypowiedzieć zacieklą wojnę”, ale nie ludziom, lecz pokusie tyranii, zdzierstwa, oszustwa w samym sobie⁹¹. „Wszystkie najwznioślejsze hasła — powiada Sułkowski do księżniczki — są kłamstwami, jeżeli wiodą do materialnego wywyższenia się tego, kto je głosi”⁹². Gdy się jest czystym w swoim duchu i w swych intencjach, ma się prawo narzucić światu, co jest widziadłem własnej duszy. „Jeśli chcę mieć świat takim, jak chcę — usiłuje upewnić się i utwierdzić w tej myśli Nienaski przed podjęciem ostatecznej «walki z szatanem» — powinienem uczynić go takim, jak chcę. To nieprawda, iż go takim uczynić nie można! Powinienem narzucić mu się na tyrana, odcinać z ramienia łeb hydrze, ciągnąć wszystko w kierunku swoim”⁹³. Ma być tak, jak powiedział Mickiewicz: „Przez ofiarę ducha rozumiem czyn człowieka, który otrzymawszy prawdę, utożsamiwszy się z nią, roznosi ją, objawia, służy jej za organ, za twierdzą i za wojsko, nie zważając na spojrzenia, na głosy i rysy nieprzyjaciela”⁹⁴. I tak, jak nauczał Chrystus: „«Po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli się wzajem miłować będziecie». Miłość między ludźmi należy siać jak złote zboże, a kąkol nienawiści trzeba wyrwać i deptać nogami”⁹⁵. „Niezmierzona jest moc dobrego poczynania. Przez dobre poczynanie zły świat staje się siedliskiem dobra”⁹⁶.

Misję tę powierzał Żeromski jednostkom, swoim bohaterom, wybrańcom, pomazańcom, ludziom idei, walki i ofiary. Jest ich legion, wywodzą się ze wszystkich klas, stanów, środowisk i zawodów, ponieważ głód prawdy, instynkt dobra i wewnętrzny nakaz działania na rzecz ich zwycięstwa złożone być mogą i zakorzenione w każdym ludzkim istnieniu, nawet najbardziej niepozornym, a wielokroć nawet zbrukany i poniżony przez nielitościwe koleje losu i winy własne. Ciągnie się ten orszak „synów światłości” od pierwszych opowiadań aż po karty ostatnie: doktor Piotr, „Siłaczka” Stanisława Bozowska, „niedobitek” Rzepkowski, Maurycy Zych i panna Jadwiga Zapaskiewicz z *Mogily*, pan Władysław z *Niedzieli*, Borowicz, „Biruta” i młodociani spiskowcy „z górki u Gontalów” z pierwszej powieści, Raduski z *Promienia*, doktor Judym, Korzecki i Joasia z *Ludzi bezdomnych*, prawie wszyscy z wszystkich pokoleń rodziny Cedrów i Olbromskich, Sułkowski, Czarowicz z *Róży*, hrabia Bodzanta z *Dziejów grzechu*, Rozłucki, Wolski i Bezmian z *Urody życia*, Ryszard, Xenia i nawrócony pan Granowski z *Walki z szatanem*, pan Gajowiec i Cezary z *Przedwiośnia*, Przełęcki z *Przepióreczki* i spoza już świata fikcji literackiej rzeczywiste ucieleśnienia ideału i jakby wzory i przykłady najczcigodniejszego gatunku człowieka w Polsce: hetman Żółkiewski, Sta-

⁹¹ Zob. *Popioły*, t. 1, s. 223.

⁹² *Sułkowski*, s. 156.

⁹³ *Nawracanie Judasza*, s. 308.

⁹⁴ *Ludzie bezdomni*, s. 334.

⁹⁵ *Ibid.*, s. 337.

⁹⁶ *Nawracanie Judasza*, s. 352.

niśław Worcell, Marian Bohusz, Stanisław Krzemiński, Edward Abramowski i Władysław Zamoyski. Rewolucja, jakiej przewodzą i jaką wnoszą oni w życie polskie, jest tą właśnie najwznioślejszą rewolucją z ducha, poczętą z miłości, z poczucia winy i nakazu ekspiacji. Jest zaprzeczeniem rewolucji nihilizmu przez akt dobrowolnej ofiary i poświęcenia. Oni sami, promotorzy tej rewolucji, są proletariatem z wyboru bez względu na ich pochodzenie społeczne i na profesję. „Ten, kto się świadomie zgina w hak i zamienia w pas transmisyjny, kto się dobrowolnie zarzuca na ogniwa i na zębate koła świata, żeby go ze wszech sił ciągnąć”⁹⁷, ten jest z ludu. Jak Stanisław Worcell, „litewski magnat, wykwinny i subtelny pan, który zstąpił w lud i stał się jednym z ludu”⁹⁸. „Nie trzeba w Polsce rewolucji socjalnej. Kto pierwszy znalazł *liberum veto*, ten pierwszy zniweczy na ziemi rewolucję socjalną. Rozpustne swoje hasło: — «zastaw się, a postaw się» — przemieni szlachta polska na najwyższe hasło świata: Zastaw się, jak wygnańce w ziemię cudzą i w ziemię sybirską! Nie zostaw sobie nic prócz wielkości duszy”⁹⁹. Jak ów „jasny panicz”, który napotkawszy na swej drodze owego parobka bezdomnego, nędzarza-bandosa, i wysłuchawszy długiej historii jego niedoli, „wziął w swe piersi serce bandosa, a swoje serce w jego piersi wcielił”¹⁰⁰. I całe właściwie dzieło Żeromskiego jest taką rozpisaną na najrozmaitsze warianty opowieścią o dziejach takiego właśnie rycerza prawdy, poety, błędnego don Kiszota, deptającego „strudzonymi nogami wszystkie gościńce idejów”, wdzierającego się „na niedościgłe percie wyklętych marzeń [...] na śmiesznie zawrotne urwiska złudzeń potęgi”, ściganego urągliwym szyderstwem lub nienawiścią pospółstwa¹⁰¹.

W tej pracy wyzwolenia narodu wyznaczał Żeromski rolę szczególną panom polskim, szlachcie, dziedzicom i potomkom dziedziców. Odrzucając rewolucję socjalną jako gwałt i przemoc, odwoływał się do poczucia winy moralnej i honoru. Na tej to bowiem, istniejącej jeszcze za jego życia i aktywnej społecznie, warstwie spoczywał przede wszystkim w jego najgłębszym przeświadczeniu grzech pierworodny wobec ludu polskiego i dług niespłacony za całe wieki ucisku, niesprawiedliwości i krzywdy. Taki gest dobrowolnego wywłaszczenia miał być wypełnieniem „nauki Chrystusa i świętych Jego Kościoła”¹⁰², najwyższą formą patriotyzmu i uspołecznienia, wreszcie mądrym, przewidującym zabiegnięciem drogi nieobliczalnemu w swych skutkach niebezpieczeństwu rewolucji. Miał być owym pańskim, lekkomyślnym „zastaw się, a postaw się”, przetłumaczonym w tym jednakże wypadku na dzieło wzniosłe, poruszające z posad

⁹⁷ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 379.

⁹⁸ *Ibid.*, s. 381.

⁹⁹ *Słowo o bandosie*, s. 13.

¹⁰⁰ *Ibid.*, s. 10.

¹⁰¹ *Ibid.*, s. 10 - 11.

¹⁰² *Początek świata pracy*, s. 43.

martwą bryłę starego świata. Hrabia Bodzanta powziął myśl o wyrzeczeniu się władania swymi dobrami „z dziwactwa! Z pańskiej fanaberii. Jeszcze tego na świecie nie było, więc to musiał zmajstrować”¹⁰³. Ale miał też nadzieję, „że za tym przykładem pójda” inni, bo

za idejami polskimi, które były najbardziej utopijne, jednostkowe i przegrane od samego początku do samego końca szło wielu. Szło wielu wybrańców. A „wybrańcami” i dawna Polska zawżdy stała. Wspomnij pan jeno — mówił Bodzanta do wątpiącego w jego mrzonki rozmówcy — „listy przepowiednie” [...] Kiedy Stanisław Zólkiewski, hetman samotny, na dzikim polu słał listy przepowiednie, był właśnie tak śmieszny dla szlacheckiego świata, jako i ja chudeusz. Ale posyłam we świat szlachecki mój „przepowiedni” list.¹⁰⁴

Na widok straszliwych zniszczeń wojny i ogromu ludzkiej niedoli pan Granowski począł odczuwać jakiś czynny, głęboki wstyd.

Wstyd pieniążnika, bogacza, pana w obliczu mizerii, na którą trzeba patrzeć z założonymi rękami. Pan Granowski wiedział przecie najdokładniej, w jaki sposób dokonywa się nabywanie prawa posiadania ziemi i wszelkiej innej własności. Wiedział również, w jaki sposób zużytkowuje się owoce owego prawa [...] Miał dosyć. Nuda ziewała ze wszystkich obszarów zbytku i wlokła się w dal poza ich miedzami. Teraz do nudy przyłączył się niecierpliwy, nieznośny wstyd [...] Ohydnie było myśleć o posiadaniu pałacu, wiecznie pustego — ogrodu, po którym nikt nie chadza¹⁰⁵

— gdy tuż obok, w na pół zgniłych chałupach, pospołu z trzodą i pogłowiem zwierzęcym, w jednej izbie gnieździły się całe pokolenia dorosłych i dzieci, zżeranych przez nędzę i wiekuiste choroby. Przypomniawszy sobie „przypadki hrabiego Bodzanty z Głowni” zapragnął jak on „spróbowania się z tym samym światem, przeżycia raz jeszcze nieustraszonej młodości”¹⁰⁶. „Odpokutować!” Za całe niegodne, zmarnowane życie. „Czynić na klęczkach, w szale natchnienia [...] Czynić za siebie, za lud, za naród, za państwo, za przyszłą Polskę”¹⁰⁷.

Już wówczas, gdy Żeromski to pisał, przyjmowano te słowa i te obrazy jako piękne utopie szlachetnego, lecz naiwnego marzyciela. Wiedział o tym, ale trwał przy tych swoich ideach aż do końca, odwołując się do rzeczywistości i usiłując udowodnić, że to nie są wcale złudzenia.

Rysowałem był — pisał jeszcze w styczniu r. 1925, na dziesięć miesięcy przed swą śmiercią, w siódmym roku istnienia Polski niepodległej — rozmaite fikcyjne postacie powieściowe, które zrzekają się swych magnackich fortun, ażeby uczynić dar dla narodu. Postaci te, różni Bodzantowie, Czarowice, Rudomscy, hrabiowie Wiesiołowscy, Nienascy *et consortes* — „wchodzili w lud, ażeby stać się ludem” [...] Hasałem dosyć długo na tym koniku, a raczej na głodnym koniu Rosynancie, jeździłem wzdłuż i wszecz dowoli po rozłogach wyobraźni, zastawionych realnymi wiatrakami, które wciąż meły i miały normalną mąkę żywota. A tymczasem o miedzę od mglistej

¹⁰³ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 207.

¹⁰⁴ *Ibid.*, s. 254.

¹⁰⁵ *Charitas*, s. 359 - 360.

¹⁰⁶ *Ibid.*, s. 361.

¹⁰⁷ *Ibid.*, s. 363.

krainy wyobraźni chodził piechotą albo trząsł się na góralskim wózku, jeździł trzecią klasą albo biegał po Paryżu za interesami rodaków żywy człowiek, właśnie hrabia — ba! — i niebylejaki, pan z panów, istny Bodzanta i Czarowic, Rudomski i Nienaski w jednej osobie, który w ciszy, skrytości ducha przygotowywał, budował, kształtował swe wielkie dzieło przez długie — długie lata. Nikt go w zamysłach nie podtrzymywał. Przeciwnie, zrażali go wszyscy do powziętego zamysłu. Mówię o Władysławie Zamoyckim.¹⁰⁸

Tysiące legend i anegdot krążyło o rzekomym skąpstwie i sknerstwie tego człowieka, który żył najskromniej, liczył każdą zapalkę. W istocie nie był on żadnym „abnegatem, kutwą, sobkiem, samoiścem, samolubem, sknerą, groszorem, wyrzeczeńcem” czy zakonnikiem. „Odzienie jego było czyste, porządne, normalne — sposób życia jego był naturalny, przeciętny, można by rzec, proletariacki”¹⁰⁹. Tyle że wszystko, co posiadał, uważał nie za swoje, lecz Polski, więc musiał to oszczędzać dla niej. „Polska jest w niewoli — rozumował — jest uboga, przeto mnie nie stać, mnie nie wolno zmarnować jednego jej grosza. Za pomocą tej zasady służył ojczyźnie, którą pojmował nie jako kraj zamieszkania, miejsce pobytu, dom i teren swej władzy, lecz jako cnotę i prawo, jako głęboką i niezłomną religię swej duszy”¹¹⁰. W całym jego życiu i we wszystkich jego działaniach nie było nic z świadomego wyrozumowania, to był gest wewnętrzny, prawie instynktowny, wytwór „wysokiego, subtelnego, wyrafinowanego arystokratyzmu”, szlachectwa duszy. Żeromski podkreślał, że nie przylegały do tego człowieka żadne kategorie potoczne, którymi można by określić jego postawę: „plutokratyzm, socjalizm, komunizm, oligarchia, a nawet sam demokratyzm”. Jedno nasuwało się tylko określenie właściwe: „syn boży. Człowiek dostojny w swym jestestwie, religijnie związany z Bogiem”¹¹¹. Niepodobna oczywiście wymagać od milionów ludzi przeciętnych w Polsce, aby wstępowali dosłownie w jego ślady. Ale powinien on pozostać i żyć w pamięci jako „wzorzec ludzki”, jako przykład, za którym w miarę swych sił należałoby podążać, jeśli z „gromady lekkomyślnej” mamy stać się „świadomym narodem”¹¹².

W tym budowaniu nowego, doskonalszego świata wolności i sprawiedliwości wyznaczał Żeromski rolę szczególną również inteligencji. Obowiązek ten ciążył na niej w jego przekonaniu z racji zarówno jej genealogii społecznej, jak i z uwagi na pozycję, jaką w społeczeństwie zajmuje. Rodowód przeważającego odłamu inteligencji polskiej był szlachecki, a zatem i ją, mimo deklasacji i pauperyzacji, mimo iż schodziła ona bardzo często do poziomu proletariatu umysłowego, obciążał ten sam grzech zadawnionej i nie odpokutowanej krzywdy, jaka leżała na sumieniu szlach-

¹⁰⁸ S. Żeromski, *Drożynna i Zamoyczyzna*, [w:] *Bicze z piasku*, s. 98.

¹⁰⁹ *Ibid.*, s. 101.

¹¹⁰ *Ibid.*, s. 100.

¹¹¹ *Ibid.*, s. 102.

¹¹² *Ibid.*, s. 104.

ty i panów polskich. Ten zaś odłam inteligencji, któremu udało się wydzwignąć ku światłu wiedzy i kultury z najgłębszego dna nędzy chłopskiej i proletariackiej, zaciągał przez sam ten fakt uprzywilejowania swojej pozycji osobistej niejako dług powinności wobec klasy, z której wyrósł i z bezmiennej pracy warstwy tej korzystał. Inteligencji przysługiwał z racji jej wykształcenia niejako naturalny przywilej czynnego uczestnictwa w awangardzie postępu. Jej intelektualizm, kult nauki, nawyk krytycznego myślenia wytworzyły w niej swoistą postawę wobec świata i swoisty etos inteligencki, wyrażający się w permanentnym buncie „wobec rzeczywistości zastanej” i w sprzeciwie „wobec wszelkich autorytetów w imię obrony rozumu, wiedzy i godności ludzkiej”¹¹³. Ten naturalny nonkonformizm zabarwiony był swoistym, silnie odczuwanym poczuciem stanowego honoru, charakterystycznym zwłaszcza dla inteligencji polskiej nieodłącznym składnikiem „wszelkich kodeksów rycerskich, których inteligencja zawsze czuła się w jakiejś formie spadkobiercą”¹¹⁴.

Inteligent — pisał Żeromski nie bez pewnej smutnej ironii — to był od wieku „miłośnik rzeczy publicznej, inspirator obrony wszelkich warstw i klas uciśnionych, altruista, człowiek od tworzenia «programów» skrajnie konserwatywnych i maksymalnie postępowych [...] amator siedzenia za uciemiężonych robotników w cytadeli warszawskiej”¹¹⁵. Widział w tym swoistym gatunku ludzi, do którego sam oczywiście należał, pewien rys czy instynkt arystokracji, który „obok litości, współczucia i sylogizmów czystego i uczciwego rozumu” był „jednym z głównych czynników oddziaływania inteligencji na bieg wypadków”¹¹⁶. Inteligencja wyzyskiwała ten swój wpływ, aczkolwiek nie zawsze ze skutkami, do jakich w swych intencjach zdążała. „Dyktatura proletariatu» — dowodził — jak to nam niedawna w Rosji, na Węgrzech i w Bawarii pokazała rzeczywistość, jest dyktaturą ambitnych i wybitnych inteligentów”, posługujących się dla jak najszybszego osiągnięcia pożądanego przez siebie zmian społecznych proletariatem jako dźwignią najspodobniejszą”¹¹⁷. Widział w tym groźną, niszczącą „zaciekłość doktrynerów”, którzy w wewnętrznym przekonaniu o absolutnej słuszności swoich idei nie cofali się przed „najbezwstydniejszą tyranją”, ale widział też zbawienność poczynań inteligencji, wzniosłą bezinteresowność i bezgraniczną ofiarność, zwłaszcza w dziejach Polski ostatniego stulecia. Wydawała mu się jedyną warstwą, która zdolna jest dzięki owym przymiotom bezinteresowności i ogarniania spraw życia z wyższego niejako, ponadpartyjnego i partykularnego punktu widzenia, do rozwiązy-

¹¹³ Zob. H. Janaszek-Ivaničkova, *Etos inteligencki Żeromskiego na tle współczesnej literatury europejskiej*, [w:] Stefan Żeromski. W pięćdziesiątą rocznicę śmierci, Warszawa 1977, s. 105.

¹¹⁴ *Ibid.*, s. 108.

¹¹⁵ S. Żeromski, *Organizacja inteligencji zawodowej*, [w:] *Bicze z piasku*, s. 54 - 55

¹¹⁶ *Ibid.*, s. 56.

¹¹⁷ *Ibid.*, s. 56 - 57.

wania w duchu prawdy najtrudniejszych problemów egzystencji narodu w warunkach niepodległości, a więc zwielokrotnionej odpowiedzialności za przyszłość Polski.

Rozpłenił się więc szeroko w konsekwencji przeświadczeń tego rodzaju charakterystyczny dla Żeromskiego typ bohatera powieściowego, właśnie inteligenta: lekarza, inżyniera, nauczyciela, uczonego, organizatora i naprawiacza z wewnętrznej pasji moralnej i nieodpartego nakazu, ofiarnika, poświęcającego dla sprawy całe swoje życie i szczęście oraz pewien znamieny schemat anegdoty, który powtarzać się będzie z nieznacznymi zmianami w całej twórczości. Głucha, zapadła, zabita deskami od świata prowincja polska z całą beznadziejnością swego życia. Nic się tu naprawdę nie dzieje, nikt niczego nie pragnie poza zaspokojeniem najbardziej prymitywnych i ordynarnych potrzeb. Pośród niezgruntowanej nędzy i ciemnoty pospólstwa cyniczni arrywiści, pozbawieni skrupułów i sumienia, budują swą dostatnią, burżujską sytość. I oto któregoś dnia przybywa w tę nieszczęsną okolicę młody człowiek z rodu reformatorów i naprawiaczy świata. Młody człowiek jest idealistą i marzycielem. Chciałby wszystko tu od przyciesi, od fundamentów zmienić i przebudować. Jego wszystkie uczucia są po stronie skrzywdzonych i cierpiących. Rad by ich wydzwignąć z poniżenia i nędzy, stworzyć jakiś trwały zaczątek lepszego życia dla wszystkich. Szlachetny reformator nie docenia jednakowoż potęgi zasiedziałego kołtuństwa, odważa się samotnie, w pojedynkę wydać walkę mafii. Przegrywa ją i przegrywa zarazem osobiste szczęście, traci ukochaną kobietę. Całą tę historię przenika bezmierny, przytłaczający, tragiczny smutek. Ale jak każda tragiczność ma on w sobie zarazem budującą siłę. Bohaterów Żeromskiego wzmacnia i dźwiga z najcięższych załamań i zapaści ducha wewnętrzny głos, który mówi im, że ich ofiara pójść na marne nie może. Tym samym szlakiem lecą i będą lecieć stada ptaków podobnych, a najcięższa nawet boleść traci pono „połowę swej niszczącej siły, o ile staje się cierpieniem gromadzkim [...] istnieje w tej dolinie łez [...] kooperacja serc umęczonych”¹¹⁸. „Niewiele uczuć — zapisała w swym dzienniczku Joasia — może taką żądzą działania napelnić serce, jak oschła świadomość, ile cierpiano, ile znoszono dla szczęścia pokolenia dziś żyjącego, którego częśćkę my tu stanowimy. Jest jakieś dziwne braterstwo idące wstecz do tych, co już wszystko spełnili. Nikogo z żywych nie można otoczyć w myśli taką czcią, świętą czcią, jak tych, co zostają za nami w mroku niepamięci”¹¹⁹.

Do tego właśnie gatunku „ludzi świętych”, naznaczonych jakimś tajemnym charyzmatem ofiary i posłannictwa, należą inteligentcy bohaterowie Żeromskiego. Judym czuł się odpowiedzialny przed swym duchem, który wołał w nim „nie pozwalam! [...] Jeżeli tego nie zrobię — mówił do Joasi — któż to uczyni? — Otrzymałem wszystko, co potrzeba... Muszę to

¹¹⁸ S. Żeromski, *Źródło*, [w:] *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, s. 164.

¹¹⁹ *Ludzie bezdomni*, s. 154.

oddać, com wziął. Ten dług przekłety... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmary”¹²⁰. Tę samą, najosobistszą odpowiedzialność za stan aktualny i za przyszłość swego narodu odczuwa w swym sumieniu bohater *Róży*.

Polska, zastój, nędza i ja — to jedno... Mam do wykonania niezmierny ogrom prac. Czas mi ucieka. Tygodnie, miesiące, lata mi lecą. Mam od krańca do krańca naród polski przeorać. Mam do postawienia tysięcy szkół, mam do wywyczenia tysięcy nauczycieli [...] Mam hasło niepodległości wpracować w trudy polskie, zakląć we wszystkie wysiłki, mam je wszczepić w sztukę nowoczesną. Mam to krótkie, proste, jedyne prawo oddać ludowi. Będę jak pies czekał to hasło po nocy dookoła siedlisk ojczyzny, żeby go nie przepała w swym gnuśnym śnie.¹²¹

Zamyka tę galerię pan Gajowiec z *Przedwiośnia*. On też wyszedł z tego rodu niezmordowanych konstruktorów życia polskiego, urodzonych z defektem sprawy polskiej. W jego gabinecie wiszą portrety Bohusza, Krzemieńskiego i Abramowskiego; byli nauczycielami jego młodości. „Na nich się w swej głuchej prowincji — tłumaczy Cezaremu Baryce — uczyłem ideału [...] Dzięki im przemyciłem swoją duszę do Polski”¹²². W swych naukach, marzeniach, pomysłach i projektach budowali oni Polskę przyszłą, nie istniejącą jeszcze, idealną — on kontynuował ich dzieło w warunkach Polski rzeczywistej, spełniając ich marzenia „tylko zgoła inaczej, wprost inaczej, w wolnym państwie polskim”¹²³.

Tę przywódczą w pewnym sensie rolę wyznaczał Żeromski inteligencji z dwu innych jeszcze bardzo istotnych w jego przeświadczeniu powodów. Jako warstwa w swych najznakomitszych przedstawicielach reprezentująca najwyższy poziom i potencjał wiedzy fachowej, jest ona nieodzowna dla należytego funkcjonowania skomplikowanych mechanizmów nowoczesnego państwa. Jak „bowiem w matematyce — dowodził w pisemku publicystycznym *Organizacja inteligencji zawodowej* — medycynie, chemii, fizyce, astronomii, zoologii, botanice nie prawie nie znaczy powszechne głosowanie”, tak też bywa i „w sprawie ustanowienia waluty, agronomii, użytkowania nawozów sztucznych i maszyn, w kierownictwie wielką fabryką, w kombinowaniu koniunktur handlu międzynarodowego i dowodzeniu armią. Inteligencja zawodowa jest nie tylko nieodzowną, lecz bezcenną siłą społeczną”¹²⁴.

Jest też siłą, bez której nie wyobrażał sobie pisarz istotnego postępu w dziedzinie ostatecznego wyzwolenia proletariatu polskiego. Cała jego problematyka przebudowy społecznej obracała się od początku do końca

¹²⁰ Ibid., s. 368.

¹²¹ *Róża*, s. 53 - 55.

¹²² *Przedwiośnie*, s. 245.

¹²³ Ibid., s. 247.

¹²⁴ *Organizacja inteligencji zawodowej*, s. 67.

wokół sprawy chłopskiej. Uwłaszczenie i „uobywatelnienie” chłopca przez nadanie mu własności ziemskiej było pierwszym i najistotniejszym punktem ideologii społecznej Żeromskiego. Do realizacji tego przykazania i testamentu ojców z Towarzystwa Demokratycznego nawoływali wszyscy jego powieściowi reformatorzy, usiłowali je przemieniać w rzeczywistość arystokratyczni wyznawcy komunistycznych utopii Abramowskiego. Przedmiotem tego *sui generis* nabożeństwa był ów uświęcony nieomal przez wszystkie ewangelie wychodźstwa polskiego i przez wielką poezję romantyczną lud, nędzarz bezrolny, brat Chrystusa w siermiędze i w łachmanach, bandos polski. W jakimś jednak momencie ta swoista wiara zachwiała się jak gdyby w Żeromskim pod wrażeniem pewnych negatywnych zjawisk społecznych czasu wojny i trudnego, pełnego napięć i rażących dysproporcji ekonomicznych przedwiośnia niepodległości.

Tyloletnia — pisał — wiara niemal wszystkich warstw narodu, z mniejszą lub większą wyznawana i głoszona siłą, lecz powszechna i trwała w formułę poety, iż — „zbawienie leży pod siermięgą” — skoro wskrzeszone zostało państwo polskie i za ledwie otwarły się podwoje pierwszego konstytucyjnego sejmu, przemieniła się u wszystkich warstw, z wyjątkiem zainteresowanej, w powątpiewanie, czy tylko przypadkiem poważne dla ojczyzny niebezpieczeństwo nie leży pod siermięgą. Chłopi, posiadający ziemię, z bogaceni czasu wojny, przedstawili się narodowi jako klasa egoistyczna, myśląca tylko o sobie i o swym zysku, gotowa ze spokojem doprowadzić do wygłodzenia miast i zniszczenia kultury, w miastach mającej swe źródło i siedlisko, byle by tylko osiągnąć jedyny ideał: zagarnąć jak najwięcej ziemi.¹²⁵

Podobnie ambiwalentnie kształtował się stosunek pisarza do proletariatu robotniczego. Przerazała go nędza proletariackich przedmieść, do których zabląkiwał się niekiedy ten lub ów z jego powieściowych idealistów. Pisał co prawda, że: „Proletariat [...] zorganizowany [...] zjednoczony, po wessaniu w swój ogrom mocy geniuszu [...] niedostępny dla jakichkolwiek ambicji i potężniejszy ponad wszelką władzę cesarza weźmie na się rolę wielkiego promotora, rolę wodza i twórcy historii”¹²⁶, ale był to raczej piękny mit, wizja przyszłości niż rzeczywistość terażniejsza. Rzeczywistością wydawała się być raczej owa nędza, zwyrodnienia, choroby, o których mówiono na zebraniu komunistów w *Przedwiośniu*. Czy klasa zwyrodniała, przeżarta chorobami i pozbawiona kultury mogła pretendować do roli odrodzicielki społeczeństwa? Te wątpliwości Cezarego Baryki były w jakimś stopniu wątpliwościami i jego literackiego kreatora. Ten proletariacki padł też zbyt często łupem zwodniczej demagogii rozmaitych krętaczy politycznych, spryciarzy, „za-nos-wodzów” partyjnych. Wydawało się w tym stanie rzeczy, że tylko inteligencja, „siostra rodzona pracy fizycznej”, zdolna jest wyjaśnić swoim braciom z proletariatu „istotną prawdę”, wskazać drogę właściwą, „po której kroczyć należy. Ona to — pisał — wypracowywać będzie idee, według których istotnie lud fizycznie pracu-

¹²⁵ Ibid., s. 51.

¹²⁶ *Początek świata pracy*, s. 19 - 20.

jący będzie mógł zacząć i dźwigać budowę gmachu swego szczęścia, ściśle spojenego ze szczęściem Polski”¹²⁷.

Od tych ogólnych wskazań, zawołań i apeli, odwołujących się zarówno do poczucia honoru i powinności moralnej, jak i zdrowego, przewidującego rozsądku, przechodził Żeromski do rozwiązań i zaleceń konkretnych. Dwa zwłaszcza postulaty stanowiły jakby rdzeń najistotniejszy i stały jego programu społecznego: postulat reformy rolnej i idea kooperatywności. Sprawa wyzwolenia i uwłaszczenia chłopów polskiego, a ściślej mówiąc bezrolnego proletariatu wiejskiego, przewija się przez całą twórczość pisarza znajdując jakby ostateczną formułę w jego publicystyce społecznej z lat przedwojennych niepodległości. Publicystyka ta, określona przez samego jej autora jako „wyciąg ideowy z pism życia”, stanowi istotnie jakby kwintesencję całej problematyki społecznej, wpisanej w jego trzydziestoletnią działalność literacką. Polska — zdaniem pisarza — od dziesiątków już lat „jest dziedziną nadmiaru proletariatu rolnego”.

Dola tej szczególnie skrzywdzonej i upośledzonej warstwy społecznej „gorzka jest, jak nigdzie [...] na świecie”. Z niej rekrutowały się od wieku rzesze komorników, tulących się „przy kominach [...] na strychach i w stajniach burżuazji chłopskiej”, gromady „wolnych najmitów”, pracujących na cudzym u bogatych gospodarzy, wychodźcy sezonowi, wędrujący „na Saxy” w pszenne okolice i kraje, emigracyjne kompanie nowoczesnych niewolników, udających się rokrocznie na Zachód, do Francji i do Niemiec lub do obu Ameryk, gdzie padali ofiarą niesumiennych pośredników, handlujących tym zbiedzonym i bezbronnym pogłowiem ludzkim, bezradnym i zagubionym na obcym bruku. Nikt się tą sprawą w Polsce zająć nie potrafił i nie chciał, choć — przypominał Żeromski — literatura polska na tę niesprawiedliwość wielokrotnie wskazywała piórem swoich świetnych pisarzy: Prusa, Dygasińskiego, Reymonta, Konopnickiej, i nawoływała do wypracowania sposobów zaradzenia temu złu, uwłaczającemu godności wielkiego narodu. Te wezwania i napomnienia spotykały się niestety z milczeniem i dopiero, „gdy czerwona chusta zemsty na żerdzi krwią ociekłej podniesiona została na widok okręgu ziemskiego z Kremla Moskwy «białokamiennej», gdy masy rozjuszone runęły na dwory Ukrainy, Polesia i Podola, mordując chorych i dzieci, paląc i niszcząc dorobek kulturalny pokoleń, przypomniano sobie o prawdzie dawno w piśmiennictwie polskim proklamowanej. Nie ma teraz w kraju naszym partii tak zacofanej, a nawet nie ma brukowej gazety, która by nie rozwiązywała «sprawy rolnej»”¹²⁸.

Oczywiście nie może to być rozwiązanie „na rosyjską modłę”; „ziemi nie można — pisał — dzielić na szmaty, rozdrapywać, szarpać i rznąć według upodobania, ażeby zyskać posłuch w nieszczęsnej chłopskiej masie”.

¹²⁷ *Organizacja inteligencji zawodowej*, s. 80 - 81.

¹²⁸ *Początek świata pracy*, s. 29.

Ziemia „jest warsztatem pracy i jako warsztat [...] winna być umiejętnie przez światłych i świadomych rzeczy agronomów zmuszona do wydawania stokrotnego plonu”¹²⁹. Metodę gospodarowania rolnego w Polsce powinien by — zdaniem Żeromskiego — cechować amerykańizm, tzn. uprawa racjonalna, oparta na dokładnym rozeznaniu się naukowym producenta w klimatycznych, glebowych i botanicznych właściwościach i możliwościach terenu. Rzec rozpoczętą od wielkiego rozmachu prowadzić powinna cała armia agronomów, chemików i techników rolnych, botaników i zoologów, obsługujących zarówno gospodarstwa indywidualne, jak i wielkie aglomeracje państwowe, powstałe ze skonfiskowanych latyfundiów magnackich. Ta rewolucyjna przebudowa, omijająca wszystkie krwawe manowce i bezdroża rewolucji socjalnej, powinna się dokonać na mocy zgodnej decyzji sejmu polskiego w myśl „nieśmiertelnej zasady ojców z Towarzystwa Demokratycznego, przypieczętowanej świętą krwią męczenników: «Społeczność obowiązkom swoim wierna prawo posiadania ziemi i wszelkiej innej własności pracy tylko przyznaje»”¹³⁰.

Za górną przeto granicę własności prywatnej przyjmował Żeromski gospodarstwo pięćsetmorgowe jako warsztat rolny możliwy do opanowania pracą jednej rodziny. Gospodarstwa tego rodzaju miałyby jednocześnie pełnić rolę ferm doświadczalnych, w których można by wypróbowywać najnowocześniejsze metody produkcji rolnej. Organizację gospodarstw wywłaszczonych, uspołecznionych i oddanych chłopom bezrolnym i małorolnym, wyobrażał sobie natomiast jako opartą na zasadzie swobodnych kooperatyw, prowadzących swe sprawy w zupełnym uniezależnieniu zarówno od indywidualnych posiadaczy, jak i od państwa. Odwoływał się tu wyraźnie do idei wolnych zrzeszeń Abramowskiego, powiązanych wspólnotą identycznych interesów i wzajemnych, braterskich usług.

W ostatnim okresie rozwoju myśli społecznej Żeromskiego, głównie pod wrażeniem lektury Sorela, pojawiła się w jego pismach literackich i publicystycznych idea syndykalizmu. Syndykalizm pojmował przede wszystkim jako wielki ruch organizowania się proletariatu robotniczego w uniezależnione od państwa i od jakichkolwiek stronnictw i partii politycznych, autonomiczne związki zawodowe, chroniące interesy nie tylko świata bezpośrednich wytwórców, lecz zabezpieczających zarazem wysoką godność samej pracy i moralność społeczną. Wskazywał na straszliwe ich poniżenie i pogwałcenie w warunkach bezwzględnej konkurencji i nie liczącej się z żadnymi normami uczciwości pogoni za najwyższym zyskiem. Zysk ów osiąga się bardzo często nie tylko przez nieludzką eksploatację siły robotniczej proletariatu przy najniższym wynagrodzeniu, ale i przez wytwarzanie towarów o znikomej wartości czy też wręcz szkodliwych dla zdrowia nabyw-

¹²⁹ Ibid., s. 30.

¹³⁰ Ibid., s. 33.

ców i konsumentów. Oczywiście współnikiem tego zbrodniczego oszustwa bywa niestety robotnik jako bezpośredni wytwórca, robi to w interesie fabrykantów przeciw sobie samemu, swoim dzieciom, swoim braciom i siostrom. Jest w tym — w przekonaniu pisarza — jakieś budzące sprzeciw poniżenie godności ludzkiej. Proletariat, który ma w sobie instynktowne poczucie klasowego honoru, powinien odmówić dalszego uczestnictwa w tym powszechnym, zorganizowanym przestępstwie. Będzie to mógł uczynić, gdy stanie się zjednoczoną siłą, gdy zwiąże się w syndykaty robotnicze. Żeromski widział w nich nie tylko tamę przeciw panoszeniu się nieuczciwości społecznej, ale i najlepszą szkołę wychowania moralnego. Zgodnie ze swym idealistycznym poglądem na świat był przekonany najgłębiej, że tylko człowiek najciężej w Polsce pracujący może pokonać raz na zawsze świat przemocy, kłamstwa i krzywdy. Proletariat zorganizowany w swych związkach, mający w swoich rękach wszystkie mechanizmy produkcji, wytworzy spośród siebie nowy gatunek —

ludzi wolnych [...] Ulepszony i uczyni obyczaj. Jego zadaniem — przepowiadał — jest już dziś założenie podwalin moralności wytwórców [...] opartej na skali trudu. Moralność wytwarzająca się na pniu pracy i w jej granicach, będzie antytezą dzisiejszej i nie do pojęcia przez ludzi starego świata. Zasadniczą jej cechą będzie dążenie do ocalenia cywilizacji. Siła entuzjazmu i siła cnoty, zrodzonej w pracy, wytworzą motor, który prowadzić będzie ludzkość po drodze postępu. Człowiek nowy pozostanie w warunkach życia skromnego. Wszystko składając na ołtarzu odkupienia i odrodzenia mas, nie będzie liczył na sławę w jej dzisiejszym rozumieniu, w pojęciu błyszczenia, zwracania roztargnionej uwagi tłumów i podobania się za wszelką cenę. Jego czyn będzie czynem wolnym i posiadzie sławę istotną wśród ludzi wolnych.¹³¹

Widząc w ruchu syndykalistycznym najskuteczniejszą formę obrony wartości i interesów świata pracy, rad był Żeromski zaszcześcić jego idee również warstwie, z którą czuł się najsilniej osobiście związany wspólnotą sytuacji ekonomicznej i solidarnością postawy, środowisku inteligencji. Niepokoiła go szczególnie i najprywatniej dotykała gwałtownie postępująca pauperyzacja tej warstwy w wyniku perturbacji wojennych i następstw wojny. Sytuacja jej wydawała się tym bardziej rozpaczliwa, że inteligencja była grupą całkowicie rozbitą, osamotnioną, nie zorganizowaną i co najwyżej powciskaną w najrozmaitsze partie i stronnictwa, które mając swoje własne programy traktowały inteligencję w swych szeregach podobnie, jak przed wojną traktowano po ziemiańskich dworach ubogie guwernantki lub ciotki-rezydentki.

Otóż jej los — przewidywał Żeromski — będzie nadal i coraz gwałtowniej się pogarszał, jeśli inteligencja na wzór innych warstw i grup społecznych nie wytworzy własnych związków i ciał zbiorowych, które by nareszcie zaczęły myśleć konkretnie o poprawie położenia tych jedynek

¹³¹ Ibid., s. 20 - 21.

w okresie powojennym pariasów. Żeromski zdawał sobie sprawę, że zadanie nie należy do łatwych. Inteligencja nie jest przede wszystkim warstwą tak jednolitą, jak robotnicy i chłopci. Różni się w sobie wielością światopoglądów, wyznań, zapatrywań społecznych i politycznych. Jakże tu w jednym związku połączyć endecka i socjalistę, klerykała i wolnomysliciela, karierowicza i uczciwego, bezinteresownego pracownika? Niemniej podjęcie takiej próby było — w najgłębszym przekonaniu pisarza — nie tylko możliwe, ale i konieczne. Podstawą organizacji mimo wszystkich różnic mogłaby być oczywista wspólnota interesów i właściwy tej warstwie ideał moralny.

Z racji swojego wykształcenia i wysokiego poczucia odpowiedzialności społecznej inteligencja polska, tak znakomicie zapisana w przeszłości w dziejach życia narodowego, jest powołana niejako logiką rzeczy do odgrywania roli swoistego rodzaju regulatora norm moralnych, rządzących istnieniem społeczeństwa w niezwykle trudnym okresie załamania się tych norm pod wpływem demoralizacji wojennej. Paskarstwo, łapownictwo, kradzieże stały się powszechną rzeczywistością życia polskiego. Sam rząd tych plag zlikwidować nie zdoła, jeśli nie wesprze go akcja wszystkich ludzi uczciwych i dobrej woli, którym powinna przewodzić inteligencja. Oczywiście, nie rozbita i zatimizowana, bo w takim stanie nie przedstawia ona żadnej siły społecznej, lecz zjednoczona i zorganizowana w zawodowy syndykat. Celem takiego inteligenckiego związku zawodowego byłoby ubieganie się w sejmie czy u rządu o godziwe wynagrodzenie dla wszelkiej pracy umysłowej, walka z rozplenionym protekcjonizmem i nepotyzmem, utworzenie specjalnego funduszu pomocy, organizowanie własnych spółek i kooperatyw, domów zdrowia, sanatoriów i schronisk. Organizacja tego rodzaju nie byłaby oczywiście żadną partią, bo sklecenie stronnictwa z żywiołów tak różnorodnych jest już w założeniu niemożliwością, lecz byłby to po prostu związek syndykatów, reprezentujących najróżniejsze rodzaje i odłamy inteligencji pracującej. Pracującej, bo w warstwie tej mogą się znajdować i najoczywiściej znajdują również jednostki utrzymujące się z wyzysku innych — magnateria, plutokracja burżuazyjna, dorobkiewicz mieszczańscy. Ci powinni pozostać poza związkiem, którego celem ostatecznym byłoby nie tylko uwolnienie się od jarzma ekonomicznego, ale i duchowego, moralnego i umysłowego. Zorganizowanej inteligencji przypadłaby — zdaniem Żeromskiego — zaszczytna rola swoistego sumienia narodowego, dbającego o możliwie najwyższy moralnie poziom naszego życia zbiorowego w odrodzonej ojczyźnie.

Kooperacyjne i syndykalistyczne koncepcje Żeromskiego są na tyle ogólne, że nie mogą być oczywiście żadną wskazówką dla organizowania życia rzeczywistego. Nie było to i nie mogło być intencją pisarza-beletrysty, który tworzy tylko obrazy pobudzające wyobraźnię i wyzwajające pożądane energie psychiczne i moralne. Żeromski w pisarstwie swo-

im był przede wszystkim humanitarystą, uwrażliwionym szczególnie na cierpienie człowieka we wszystkich obszarach i zakresach, w jakich cierpienie to może się ujawnić. Jak słusznie dawno już zauważono: „Pouczenia ideologiczne Żeromskiego są zbiorem myśli powiązanych na podstawie ich podatności emocjonalnej jako czynników podtrzymania w sobie i czytelniku wysokiego napięcia pewnych uczuć, szczególnie uczucia litości dla nieszczęśliwych i przeświadczenia, że się na ich nieszczęścia znalazło ratunek”¹³².

¹³² J. E. Skiński, op. cit., s. 54.

Rozdział III

NATURA

Od dnia dzisiejszego codziennie będę chodził do Ogrodu Botanicznego. Gdy wyszedłem z obrębu naszych podwórek, pokoi, z obrębu tego nieustannego, natrętnego hałasu powozów, wszedłem w niezamąconą ciszę olbrzymich drzew, zobaczyłem tyle traw, tyle kwiatów, tyle zieleni — poczułem niby zawrót głowy ze szczęścia. Technicznie tych roślin, ziół i kwiatów kołace do twojej piersi dotąd, aż mu otworzysz. A gdy otworzysz — wydajesz głębokie westchnienie... Nie ma takiego stanu duszy, nie ma takiej niedoli, nie ma takiego przygnębienia, które by nas nie opuszczało, gdy kwiaty drzew pękając ściera się nam pod nogi. Uczucie doznane dziś przeze mnie — opisać się nie da. Przyroda działa potężniej niż muzyka.¹

Nie był to pierwszy w dzienniku zapis tego rodzaju. Ogród Botaniczny, niewielka, sztuczna enklawa uporządkowanej natury w kamiennej pustyni wielkiego miasta, był tylko przypomnieniem raju utraconego, świata wolnej i nieujarzmionej przyrody, której wspomnienie nigdy go nie opuszczało jak nieustająca tęsknota. To był świat, do którego należał, który był jego fizyczną i duchową ojczyzną, źródłem życia, podniecią najintymniejszych doznań, tak iż zacierało się czucie odrębności, jego ludzka istota stawała się integralną, organiczną częstką natury, przez którą płynęły te same, identyczne fale nieświadomej radości istnienia. Z odczuć tego rodzaju wywiązała się i rozrosła twórczość w niczym do innych nie podobna. Obrazy natury są odwiecznym motywem sztuki i poezji i same w sobie nic oryginalnego nie przedstawiają. Wyjątkowość pisarstwa Żeromskiego polega na swoistości ujęcia tego motywu i zakresie obecności w dziele pisarza. W epice narracyjnej wyznaczano zazwyczaj treściom tego rodzaju ograniczone czasowo i przestrzennie miejsce elementu towarzyszącego, tła, przerywnika, określającego lokalizację przebiegów fabularnych. W twórczości Żeromskiego przyroda staje się autonomicznym tematem albo równorzędnym partnerem, czynnym uczestnikiem i sprawcą ludzkich dramatów, zagarniając tą swoją żywą, aktywną obecnością zdumiewająco rozległe przestrzenie świata przedstawionego.

¹ *Dzienniki II*, s. 229.

Natura jest przede wszystkim najwyższym i najczystszy­m pięknem, z którym nic się na tym świecie równać nie może, nieskończonym, niewyczerpanym źródłem olśnień duszy, zachwyceń serca. Rafałowi i Helenie de With, gdy schronili się ze swą miłością w skalnej pustelni, co dzień długie godziny upływały „na wypatrywaniu ziemi i nieba”. Oczy ich napotykały „miejsca tak cudne, niewiarygodnie piękne, że Helena załamywała ręce i płakała z zachwytu”². Jest to piękno zarazem wieczne i w swym każdorazowym objawieniu jedyne i dlatego tak bezcenne w swym chwilowym, ulotnym trwaniu. W czasie pierwszej przechadzki przyszłych kochanków, pani Zofii i Wawelskiego, „wszedł księżyc i nastąpiła jedna z tych nocy letnich, a może ta noc w lecie jedyna, gdy na ziemię zstępuje czar przedziwny”³. Jest to piękno tak przejmujące i potężne, że porusza ono nawet istoty najbardziej proste i z pozoru jakby niezdolne i nieprzysposobione wewnętrznie do estetycznej kontemplacji. Nieszczęsna Judymowa, tłukąca się z gromadką dzieciaków po jakichś światach zatraconych, patrząc na góry i jeziora szwajcarskie nie mogła ocknąć się i ocucić z zachwyconego osłupienia. Było to „coś niezmiernego, coś, na co patrząc oczom wierzyć nie chciała [...] wzrok wewnętrzny wlepił się w to cudne skupienie rzeczy”, a „serce jej przyjmowało je i cicho, ostrożnie, troskliwie, jak drogi skarb, chowało w sobie”⁴. Niekiedy jakby nie dowierając sile swego ewokacyjnego talentu, zdolnego tworzyć sugestywne ekwiwalenty artystyczne autentycznych stanów rzeczywistości, Żeromski rezygnuje jak gdyby z roli epickiego, obiektywnego narratora ujawniając z rezygnacją swą rzekomą autorską bezradność wobec olśniewającego piękna natury. W czasie letnich wakacji Marcinek Borowicz ulegając nowej, odkrytej po raz pierwszy pasji myśliwskiej, upodobał sobie szczególnie podchody i włóczęgi nocne. „Nie było zda się rozkoszy, która by mu starczyła za włóczenie się w zmroku po miejscach odludnych, samotnych i ogarniętych przez ciszę tak wielką, że w niej sły­chać było, jak szeleszczą dojrzałe, nie skoszone trawy, jak szmerze woda. Były wówczas noce księżycowe... Ale po cóż silić się na opis nocy tych w tamtym kraju! Jakież język zdoła je wysłowić...”⁵.

Piękno natury jest w istocie mimo całej maestrii pisarskiej Żeromskiego „niewysłowione”. Niepodobna go przede wszystkim ogarnąć, jego istotę zdaje się stanowić nadmiar nie do objęcia, bo składają się nań ziemia, niebo i żeglujące po niebiosach obłoki, drzewa, zioła i kwiaty, wody spływające, ruchliwe, porywcze, „gadające rzecz swoją” i zastygłe w bezruchu, lśniące lustra, pogrążone w wiecznej ciszy przymglonego uśpienia. Niekiedy jakby boski kaprys natury chwycił i zbierał wszystkie owe cuda ziemi i nieba w jednym spektrum, wiązał je jak gdyby w jedno skupienie wszystkich

² *Popioły*, t. 2, s. 83.

³ S. Żeromski, *Oko za oko*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 128.

⁴ *Ludzie bezdomni*, s. 263 - 264.

⁵ *Szyfrowe prace*, s. 126.

piękności świata. Rafał i Helena pokochali szczególnie jedno jeziorko w górach. Nazywali je „zmiennym”, bo jego mieniąca się woda „zamykała w sobie wszystkie cuda niebios, poranną i zachodnią zorzę, różnobarwne obłoki, wiatr i złotą błyskawicę, gwiazdy, księżyc i samo wieczne słońce”⁶.

W swej nie dającej się ogarnąć i zrozumieć piękności świat widzialny przemieniał się jak gdyby w święte misterium, w niedocieczoną tajemnicę, z której rodziły się pytania bez odpowiedzi, świadczące o bezradności człowieka wobec niepojętych cudów istnienia. „Po co jest wiosna? Czemu noc przemija i czemu dnieje? Dokąd żeglują pracowite chmury [...] Dla kogo rosną kwiaty wiosenne [...] Co to są drzewa i z jakiej przyczyny w biały dzień upuszczają na ziemię [...] czarujące cienie [...]?”⁷. Czyż to wszystko byłoby tylko czystym pięknem i niczym więcej? Jest w *Dziennikach* z r. 1888 pewien charakterystyczny zapis z czasu pobytu w Kurozwękach, będący znamienym i ważnym tropem wiodącym ku rozpoznaniu tego swoistego odczucia natury, jakie było własnością Żeromskiego od lat najmłodszych. „«Noc jasna, czyste niebo — księżyc płynie spokojnie po przestworze bez chmur...» Wracalem alejami olchowymi od Czernicy; cudowna noc, majestatyczna noc. Białe obrusy mgieł ciągną się na łąkach [...] cisza wszędzie, nienaruszona chwila modlitwy przyrody całej. W taki wieczór — duch wszechświata kładzie dobre ręce na serca ludzkie [...] Cudowna noc, majestatyczna noc [...] przeżyć noc taką, wyprężyć ramiona w tę przestrzeń niezmierną i modlić się do wielkiego serca, co musi uderzać w całym tym cudzie”⁸.

„Wielkiego serca”. Z zamyśleń i z zachwyceń tego rodzaju rodziły się całe szeregi pytań, na które mogła być tylko jedna narzucająca się z oczywistością odpowiedź. „Cóż w tym jest, co tak kusicielsko, tak niepohamowanie pociąga nas ku sobie, rozmawia z nami, odurza nas i upaja, aż do omdleń serca, aż do zachwyceń? Cóż jest to, z czym gada nasza dusza? Czyż tylko piękno? Doprawdy — natura musi posiadać serce czy duszę. Drzewa i ptaki, kwiaty i trawy muszą posiadać uczucie. Z nim to porozumiewa się uczucie nasze, z nim rozmawia [...]”⁹.

Natura jest więc dla Żeromskiego jakby żywym, czującym i psychicznym bytem. Cichy szmer strumienia, przewijającego się wśród wzgórz przez „rozkoszne dolinki, pełne bujnych brzoź, malin, tarniny, jeżyn, traw sięgających do pasa i kwiatów najcudniejszych na ziemi”, podobny jest „do wesołego śmiechu istoty żywej i pełnej szczęścia”¹⁰.

Od ujęć tego rodzaju był już tylko krok do pojmowania natury jako wielkiego medium i wielkiego partnera. Pojedyncze ludzkie istnienie wy-

⁶ *Popioły*, t. 2, s. 80.

⁷ *Ludzie bezdomni*, s. 272.

⁸ *Dzienniki* III, s. 147.

⁹ *Ibid.* II, s. 224.

¹⁰ *Syzyfowe prace*, s. 121.

dawało się wszczepione w potężną, nieskończoną i pochłaniającą wszystko rzeczywistość przyrody, zacierały się granice odrębności istnienia, zapadając się w biologiczną egzystencję natury człowiek zstępował do najgłębszych pokładów swej tożsamości. I na odwrót, przyroda stawała się integralną częstką ludzkiej istoty. Są to w świecie twórczości Żeromskiego owe przedziwne momenty absolutnej identyfikacji. W czasie podróży rozklekotaną bryczką do umierającej pani Daszkowskiej Judym zajechał na polankę śródleśną. Uderzył go przedziwny nastrój tego miejsca.

Była cisza tak głęboka, że słyszało się ciche, drżące dzwonienie świerszcza polnego. Człowiek mógł liczyć bicie swego serca i uczuć szelest krwi biegnącej w żyłach.

Przychodziły myśli dziwne, natchnione, jakby nie myśli człowieka, tylko jej, tej zaklętej, zacczarowanej polany. Widziało się, że ten skrawek leśnej łąki jeden jedyny jest na świecie, że człowiek po to żyje, aby weń zatopił ducha swego i marzył. Żeby marzył o tych rzeczach, które leżą w głębi, w ciemności, w zamknięciu [...] Żeby dozwalał z serca swego płynąć wszystkiemu, co w nim jest, wszelkiej świętości i brzydocie.¹¹

Są to momentalne stany objawień najgłębszej prawdy o sobie wobec siebie samego. Znaki i symbole natury stają się zapisem dziejów, doznań, tajemniczych i niepojętych stanów duszy. Marcinek Borowicz miał w swoim rodzinnym lesie „pewne wysmukłe brzoźki, do których żywił uczucia więcej niż przyjazne. Lubił je, nie wiedząc o tym, tak głęboko, jakby były częstkami jego istoty, organami jego czującej natury. W kształtach niektórych drzew mieściły się długie historie smutków i radości, całe dzieje przywitania i pożegnań [...] Pewne miejsca i widoki w tych tak zwanych leśnych «odpawkach» były dla niego przejmująco smutne i nie wiedzieć czemu budziły jakiś bolesny żal i niepojętą obawę”¹².

Przyroda staje się jak gdyby współczującym partnerem i jednocześnie uprzedmiotowionym obrazem wnętrza ludzkiego. Gdy Radek po niespodzianej katastrofie, równającej się banicji z gimnazjum, półprzytomny, półmartwy siada na dziedzińcu, rozbity, roztracony wewnętrznie, „wiatr jesienny” huczy „w nagich konarach kasztanów zwisających nad murem”, garnie „na kupę zeszcble, skurczone, ceglaste i żółte liście”¹³. Martwiejąca przyroda staje się korelatem stanów psychicznych człowieka, zdaje się im wtórować czy też on nadaje światu barwy, raz radosne, to znów ponure i pępne, zgodnie z własnym, subiektywnym nastrojem chwili. Na wiadomość o tragicznym małżeństwie panny Jadwigi Maurycy Zych zanotuje w swoich zapiskach: „Była już pewno północ. Nie znana mi okolica leżała w mroku [...] Zdawało mi się, że ciemność nie tylko mnie otacza, ale idzie przeze mnie na wskroś, jak idzie przez wodę.

¹¹ *Ludzie bezdomni*, s. 350.

¹² *Szyfowe prace*, s. 124.

¹³ *Ibid.*, s. 176 - 177.

Miękkimi, niewidzialnymi piórami swych skrzydeł dotykała każdej myśli i gasiła iskierki pociechy”¹⁴.

Bywa jednakże i tak, że więź między przyrodą a człowiekiem przestaje być tylko kwestią subiektywnych odczuć, lecz staje się jakby aktywnym współdziałaniem dwu sił upsychnicznych, które dążą ku sobie, tworząc zamknięte, magnetyczne pole bez wyjścia. Ilekroć doktor Paweł Obarecki obserwował z okien swego mieszkania dalekie, opustoszałe pola, zasnuwane deszczem i jesienną szarugą, myśl jego „zbierała z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego — i mglisto, niejasno, bezwiednie wyczuwaną trwogę”¹⁵. Żeromski zestraja świadomie w zgodny, harmonijny w tonacji akord atmosferę środowiska i psychiczną sytuację postaci. Z pustej, jałowej przestrzeni szeroko rozrzuconych ugorów dźwiga się przemożny, zabójczy smutek, zatruwając wszystko dokoła. I podobne uczucie podnosi się i wysnuwa z dna duszy znudzonego obserwatora, spoglądającego godzinami przez okno w nagi, milczący przestwór, zdając się go sobą nasycać. Dwie te fale identycznego nastroju dążą ku sobie, zlewają się, jednoczą w jakąś spotęgowaną atmosferę rozpaczy, w której nie sposób istnieć.

Pejzaż pełni tu funkcję swoistego akompaniamentu stanów świadomości czującej ludzkiej istoty, wtóruje jej wewnętrznemu doświadczeniu, pogłębia intensywność stanów depresji. Ale bywa też odwrotnie, natura staje się niewyczerpanym źródłem nieskończonego odnawiania się energii życia. Patrząc na budzący się dzień, wchłaniając jakby całym sobą horyzont nieba i ziemi, wynurzający się z objęć nocy wśród przedrannych dreszczów świtania i pierwszych przebłysków słońca, Rafał Olbromski „zadumał się nad tym, jak to dobrze jest żyć... Począł wolno, sam z siebie przemyśliwać, jak piękny jest i jak niewysłowiony świat, jak wielkim a błogosławionym cudem jest życie, jak dziwnymi sposobami godzina cierpienia przeistacza się w stokrotne bogactwo radości, płynące z widoku ziemi...”¹⁶.

Znalazł się po raz pierwszy jako lekarz zdrojowy w wyznaczonym mu apartamencie, doktor Tomasz Judym zapatrzył się w biegnącą za oknem ogrodową alejkę, pełną drzeń i lśnień chylącego się już ku zachodowi dnia. Patrzył i —

czuł w sobie zjednoczenie z tym, na co spoglądał. Przez jego ciało zdawała się płynąć siła natury, stwarzająca rozrost drzew i wykwitanie liści. Judym czuł w sobie tę siłę i uczył władzę spożytkowania jej w wielkiej pracy. Nadzieja trudów, które przewidywał w tym miejscu, poila go rozkoszą [...] Nareszcie, nareszcie! Oto miejsce, gdzie mu będzie wolno włożyć jarzmo i drzeć starą glebę głęboko sięgającym pługiem. Będzie tu siał, będzie pracował [...] będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego. Nie pożałuje ramion, nie będzie skąpił potu.¹⁷

¹⁴ *Mogiła*, s. 151.

¹⁵ S. Żeromski, *Silaczka*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 83.

¹⁶ *Popioły*, t. 2, s. 154.

¹⁷ *Ludzie bezdomni*, s. 115.

Nie jest to jedyna forma, w której przejawia się ocalająca siła natury. Tak jak jest ona nieskończenie rozrzutna w swoich pięknościach i bogactwach, tak bywa też niewyczerpana w sposobach łagodzenia udręk życia, pomocnego dźwignania z najgłębszych czeluści i otchłani cierpienia. Dla istot najbardziej bezbronnych i niewinnych wymyśliła „wspaniałe, dobrotliwe, najlepsze z praw przyrody — mądre prawo zapomnienia [...] Dla nich «żyć» znaczy «zapomnieć» — i dobra przyroda pozwala im zapomnieć natychmiast...”¹⁸ Dla istot świadomych, które doświadczyły już w życiu wszelkiego dobra i zła i dotarły do kresu, w którym wszystko wydaje się na zawsze skończone, natura może stać się niekiedy cudotwórczą siłą, która odmyka głucho od lat zawalone pokłady wspomnień, wyzwala zapomniane pragnienia i na zawsze pogrzebane nadzieje. Tak właśnie pani Borowiczowa pod wrażeniem cudów natury w czasie powrotu Marcinka do Gwronek w ową noc czerwcową odnajduje swoje zagubione dziewczęce oczekiwania: „Pani Borowiczowa miała wzrok skierowany na roziskrzone niebo. Dawne wspomnienia ciągnęły ku niej z dalekich przestworów cudownej nocy, młode nadzieje wypływały z serca przeczuwającego już schyłek swych snów, kres marzeń i jakieś wielkie znużenie. Teraz to serce roztwierało się na oścież dla przyjęcia wszystkiego, co człowiek uczciwy pielęgnuje i kocha”¹⁹.

Czarodziejstwo natury sprawia, że dusze ludzkie przechodzą najprzeździwniejsze metamorfozy. Piękno przedwiośnia, urok pierwszych kwiatów potrafi otwierać ujście uczuciom najbardziej nie znanym i nie przeczuwanym. Tak właśnie Cezary Baryka pod wrażeniem budzącej się na wiosnę natury odnajduje czułą, najgłębszą łączność z umarłą matką, związek, jakiego nigdy za ostatnich dni jej życia między nimi nie było.

Gdy trawy otulające urwiste ogrody pięknej zatoki półwyspu zazieleniły się bujną i lśniąca barwą, a wśród nich stokroć, fiołki i sasanki otwały swe oczy żywe i ukazały twarzyczki, przypominał sobie pisma poetów, których mu się w różnych językach uczyć kazano i którymi dawniej pogardzał. Gdy wylewały woń swą, wiecznie rodzącą wzruszenie, przychodził do przeświadczenia, iż dwie są tylko na ziemi sprawy nieśmiertelne i nie podlegające zepsuciu śmierci: wiekuisty powrót kwiatów na wiosnę i odtworzenie ich powrotu na ziemię w wierszach poetów. Wypowiadał teraz matce umarłej te ciche, woniejące jak fiołki słowa... Posyłał jej do zimnej głębi grobu wiadomość tamtymi słowy, iż wiosna przyszła znowu — iż ptaszek złotopióry, wilga boża-wola, którego tak lubili pokazywać sobie za dni szczęśliwych, upłynionych, którego śpiewu słuchać lubili w poranki wiosny, zjawił się skądś i wśród gałęzi samotnego cedru niezrozumiałą mową swoją ogłasza niebiosom, morzu i ziemi szczęście powrotu przedwiośnia.

— Cezary — po niewczasie! — był teraz uległy matce.²⁰

¹⁸ S. Żeromski, *Zapomnienie*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 77.

¹⁹ *Szyfowe prace*, s. 94-95.

²⁰ *Przedwiośnie*, s. 41.

Cechą konstytutywną wyobraźni pisarskiej Żeromskiego była jednakże od początku znamienita ambiwalencja sprzecznych i wykluczających się, a zarazem paradoksalnie współlegzystujących wartości; toteż i jego stosunek do natury nie był zawsze tak jednoznacznie aprobatywny i entuzjastycznie wyznawczy, jakby można z przytoczonych tu przykładów wnioskować. Równie silna była w nim świadomość nieprzebytej przegrody, oddzielającej człowieka od wszechpotężnego *universum* natury. Będąc jej integralnym elementem, jest zarazem dzięki swojej czującej świadomości istotą osobną, samoswoją, wyodrębnioną i zdającą sobie z tej inności sprawę. Wobec jej potężnych obrotów, w których życie i śmierć toczą się i wymieniają odwiecznym ruchem, jego krótkotrwałe i przelotne istnienie wydaje go na łup nieustającego drżenia przed widmem nieuchronnej zagłady. Przyroda jawi się w takich momentach wyostrozzonej świadomości jako byt obcy, straszliwie obojętny, zwrócony ku swoim własnym, nieznanym celom, nie do pojęcia i nie do zrozumienia dla umysłu i dla serca ludzkiego. Tak właśnie Joasia Podborska w czasie swych odwiedzin po latach rodzinnych Głogów uświadamia sobie nagle obcość i obojętność wobec niej tej ziemi, którą tak bardzo i tak wiernie kochała. „Ujrzałam [...] jej prawdziwe oblicze! Jej uśmiech do wiecznego słońca, w którym było jakby drwiące natrzęsanie się z miłości mojej dla niej, jakby cyniczna spowiedź, że ona mię nigdy nie widziała, że nie wie wcale, kto jestem! Ona nie taka jest, jaką kochałam. Na miłość serca ludzkiego nie odpowiada. A gdy ku niej z całej mocy dusza się wydziera, ona odsłania w błysku sennym jakiś cel zaziemski, którego niczym, co jest w mocy człowieka, nie można dosięgnąć”²¹.

Tego samego uczucia szalonej niewspółmierności, przygńbiającego nie stosunku, efemeryczności ludzkiego trwania wobec wiecznych dążeń i przeznaczeń natury, doświadcza Ewa Pobratyńska w obliczu morza i gór. „Jakże to może być — zadawała sobie pytanie — że owo błękitne morze i sine góry, i bytujące w nim senne wyspy, ten wszystek nieznaną świat — stał przed wiekami taki sam, a nas nie było? Jakże to może być, że nas nie będzie, a on na wieki taki sam zostanie?”²²

Istnienie ludzkie jest tylko prawie niedostrzegalnym i niewiele znaczącym fragmentem wiecznych prac natury. Refleksje tego rodzaju snują się przez świadomość bohaterów Żeromskiego szczególnie wówczas, kiedy stają przed przygniatającym ogromem wielkich dzieł przyrody. Najpierw był ocean, z którego wszystko się poczęło. Krzysztof Cedro doznaje tego uczucia potęgi morza nie widząc go, lecz raczej czując tylko jego oddech w ową noc w Pirenejach: „Z dzikiego huku, ze zgiełkliwego chaosu, ze zbiorowiska krzyków rozszarpanej fali [...] wydobył się głos [...] ni to pie-

²¹ *Ludzie bezdomni*, s. 200 - 201.

²² *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 4.

nie o dziejach przeszłych”, o narodzinach ziemi, która w tych nieskończonych wodach się poczęła. „W łonie oceanu tworzył się jej piasek, zsiadała glina warstwami, rodziły się margle i głady opok, gotowały wapienne skały, zrastał w tafle granit leżący na szczytach Alp i Pirenejów. Ciałem swym okrywał ocean najwyższe wierzchołki gór”, aby je „przed zupełnością czasów” wydać na świat²³.

Judymowi, zwiedzającemu kopalnię węgla, zdawało się,

że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej [...] Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy w drzewa wybujałe [...] niewidzianych form, mistycznej piękności albo potwornej brzydoty [...] Te wielkie potwory, splecione między sobą łańcuchami lian, krzewiły się na pulchnym trzęsawisku, gdzie mchy przepyszne i niewysłowione kwiaty pachniały w czarnym gorącu wieczystych cieniów [...] Aż oto wielkie jakieś morza w głębi łądów próżnujące wyrwały się ze swoich grobel i puściły prądy szalone, które zdjęły z korzeniem olbrzymie lasy, niosły je w pianach swych niby flotę okrętów zdruzgotaną i pchały w te zakłętą niziny. Tu je niezmierną masą wwalili jakby do grobu. Przykryły je warstwami gruntu zdjętymi z gór. W ciągu tysięcy lat w ciałach tych krzewów [...] ustało życie i zaczął się tajemny rozkład. Wielkie ciśnienia zapadniętych warstw, napływy wód i czas wiekami idący czyniły sprawę podziemną: stwarzanie wody z tlenu i wodoru tych cielsk obumarłych, wydobywanie z nich kwasu węglanego i tlenku węgla. Został tylko węgiel sam, jedyny, w olbrzymim nadmiarze, nie mający się z czym połączyć, jak samotny duch ciemności. Straszliwe jego cielsko martwiało, stygło i umierało w sobie samym tysiące lat.²⁴

W tych fascynujących obrazach tworzy Żeromski jakby poetycką historię naturalną życia organicznej i nieorganicznej przyrody, odsłania kolejne etapy jej mozołów. Jest to historia straszliwa, każdy przejaw odradzającego się życia, każda nowa forma istnienia pojawia się tu bowiem i rozwija na podścielisku śmierci. Nawróconemu grzesznikowi, panu de Granno Granowskiemu, w na pół sennych i gorączkowych zwidach istota życia przedstawiała się jako nie kończący się pochód „potwornych bytów, które się wzajem zżerały albo dzieliły na części jak niezmierne glisty. Były to, poniekąd, w kształcie wyolbrzymiałym żywoty i prace tych pracowników straszliwych, którzy pożarli już większość niezmierną rodu ludzkiego każdego z nas pożywać będą w skłonieniu wiecznym”²⁵.

Swoistą apoteozą i symboliczną formułą tej historiozofii naturalnej jest diaboliczna wizja Smętka z *Wiatru od morza*, ukazująca życie jako nieustający triumf okrucieństwa. Uciąwszy sobie z młodej witki wierzbowej cieniutką ligawkę Smętek puszcza się w płas intonując na tej swojej fujarce przedziwną pieśń. Od jej niesamowitego zaśpiewu wypelzło, zatoczyło się, rozkołysało w całej naturze stworzeń wszystko, co raduje się śmiercią, co czuje w sobie wolę i zachwyty zabijania.

²³ *Popioły*, t. 3, s. 28 - 29.

²⁴ *Ludzie bezdomni*, s. 322 - 323.

²⁵ *Charitas*, s. 326.

Wzrok Smętka tak straszliwie płomienny i zapamiętały, jakby w nim zawarła się w tej chwili moc wszystkich drapieżnych zwierząt, mordujących ptaków, zabójczych gadów, skorupiaków i ryb, jadowitych komarów, trujących jagód, roślin i grzybów w jedno zestrzelona, potęga trucicieli i morderców, gdy zdobycz swą rozszarpują, zabijają ukąszeniem, ciosem, podstępem lub zdradzieckim czyhaniem — miotał się w górę i na strony, padał w głąb utwierdzenia i w nadobłoczne wyżyny. Zawsządnosił się ku niemu poklask tajemniczy, sekretna pochwała, hymn jednej, jedynej zgody, zarazem czucia, myśli, żądzy, wysiłku i dokonania w skutku śmiertcionym. Łamanie stawów, chleptanie krwi, rozkosz, gdy od zadanego ciosu lub jadu serce drży, szamoce się i przestaje uderzać, wzrok zagasa i moc życia się kończy — owiewało jego słuch we wszechistnienie wydany. Płąs jego stał się arcydoskonały, w obliczu dokonywającej się śmierci. Lędzwie jego same się nosły wśród kwiatów zdeptanych. Ruch jego każdy był celowo nieomylny, jako rzut skrzydła jastrzębia, rylcem doskonałości we wklęsłych cyrklowany niebiesiech.²⁶

Myśl Żeromskiego tak właśnie jest rozpięta i rozdarta między ekstazy-cznym zachwytem a pełnym niewiedzy przerażeniem. Jest to myśl, która przewija się przez całą twórczość. Scena z *Wiatru od morza* ma swoje nieoczekiwane *pendant* czy antycypację w jednym ze wczesnych opowiadań *Cienie*. Bohater opowiadania tłumaczy zakochanej w nim dziewczynie pewną myśl, spostrzeżenie, jakie narzuciła mu obserwacja natury. Jest w naturze jakby manifestujące się na każdym kroku dążenie do powtarzania się i do poszukiwania ciągle nowych i doskonalszych realizacji idei piękna. Obłok niezrównanej piękności płynący zenitem niebios „ukazuje się w wodzie [...] w oczach i myślach [...] Wielkie skały i dalekie przestwory odbijają się nie tylko na płaszczyznach poziomo i prostopadle ułokowanych, ale i w kropki wody”. W kamiennych złomach granitu „natura powtarza raz jeszcze miękkość i ruchliwe kształty kwiatów i roślin [...] Z jednej krainy tworów idzie [...] do drugiej, dążąc nieustannie ku temu, ażeby nareszcie w umyśle człowieka, w jednej ze składowych części swego ogromu, powtórzyć się raz ostatni i uczynić przedmiotem dla samej siebie”²⁷. Tu dociera do swego kresu osiągając nie tylko najdoskonalsze spełnienie zamierzonego kształtu piękna, ale swą czującą samoświadomość, staje się przedmiotem swego własnego zachwycenia.

Ta genialna kreatorka najcudowniejszych form, jakie tylko wyobrażenia pomyśleć może, kryje zarazem w sobie mroczne przepaści najpotworniejszych możliwości, istnieje jak gdyby poza dobrem i złem, jest kamieniem obojętna i jakby nie widząca czy też nie chcąc widzieć efektów swej niezmordowanej twórczości bez względu na to, czy prowadzi ona ku szczy-

²⁶ S. Żeromski, *Wiatr od morza*, Warszawa—Kraków 1922, s. 34 - 35.

²⁷ S. Żeromski, *Cienie*, [w:] *Opowiadania. Utwory poiweściowe*, s. 286 - 287. Żeromski zdaje się tu powtarzać za Mochnackim romantyczną interpretację kosmosu jako „drabiny bytów” i ogniów w łańcuchu jestestw, dążących po kolejnych szczeblach do ostatecznego samopoznania. Zob. J. M. Rymkiewicz, *Ludzie dwoiści*, [w:] *Problemy polskiego romantyzmu*, Wrocław 1981, s. 96.

tom piękna i dobra, czy sieje grozę bytów przerażających. Bohater opowiadania przypomina sobie pewną przygodę, która nim wstrząsnęła. W paryskim ogrodzie zoologicznym

widział był [...] wielką misę kamienną pełną wody, w której leżało całe towarzystwo krokodyłów. Jeden z nich, wielki, płowy zbój z pyskiem jak grot olbrzymiej włóczni, przypatrywał się widzom tkwiąc grzecznie, bez ruchu w płytkiej wodzie niby kłoda.

Uderzył obserwatora

wyraz jego oczu, a właściwie okrutny brak jakiegokolwiek wyrazu. Były to wielkie ślepia bez połysku, dawno zgasłe, patrzące nie wiadomo jak, bo ani żarłocznie, ani ciekawie, a przecie w taki sposób, że to wejrzenie na zawsze, aż do śmierci ryło się w oku i mózgu. Były to dwie gały z ołowiu, posiadające siłę widzenia, widzenia do gruntu, z bezgraniczną szczegółowością, a z przeraźliwym niedbalstwem. Marek dygotał wspominając te ślepia [...] — To są oczy powszechnej natury stworzeń [...] — myślał z bolesnym złamaniem w sercu.²⁸

Teraz przyszła ta wielka i czysta miłość, która pochłonęła całą jego ludzką istotę, ale Marek wiedział o sobie coś o wiele więcej, niż mógł wiedzieć, a nawet przeczuć ktokolwiek z tych, którzy go znali: „z chytrą szpiega badał swą duszę, czy jest niedostępna dla zdrady i krzywoprzysięstwa, czy godna jest i czy wytrwa w miłości, płonącej w jego piersiach dla Lili...”²⁹. Przypomniał sobie nagle swą niedawną przygodę z uwiedzioną dziewczyną, którą bez skrupułów porzucił, wyjechał „i zapomniał tak zupełnie, jak człowiek dużego imienia i fortuny zapomina o tego rodzaju epizodzie młodości”³⁰. Teraz otworzyła się przed nim jakby cała brzydota tego czynu, brzydota nieszczęścia, opuszczenia i sieroctwa pozostawionej bez najmniejszego gestu pożegnania. Nie był to żaden wyrzut sumienia. Marek patrzył na to „widmo przedmiotu” i „przypatrywał mu się ze spokojem badacza”, patrzył w głąb ciemnej, zagadkowej, niepojętej natury, czuł, jak ona, że nic nie wie, co uczyni za chwilę, „jaka namiętność z duszy jego wystrzeli, w którą stronę się zwróci. Czy owocem jej będzie dobro czy zło, cnota czy niegodziwość? Czy w sercu kryją się i wyjdą zeń kiedyś sprawy cnotliwego czy dzieła zbrodniarza?” Nie było w nim w tej chwili nic poza jedną myślą: „jak straszliwie niepewną, jak wątpliwą jest władza człowieka nad sobą, nad instynktami duszy”³¹.

Ciemność i nieodpowiedzialność instynktów zdaje się być naturalnym stanem ludzkiego istnienia. Poza dobrem i złem — jak świat przyrody, który nie zna tych pojęć. Granica między świętością a grzechem wydaje się być prawie niezauważalna. Przekracza się ją, nie wiadomo w jaki sposób i o jakiej godzinie, bez udziału woli i świadomości. Ewa Pobratyńska nazywa to momentem defloracji ducha, gwałtem demona, który okrył ją

²⁸ *Cienie*, s. 294 - 295.

²⁹ *Ibid.*, s. 295.

³⁰ *Ibid.*, s. 293.

³¹ *Ibid.*, s. 294.

swymi szkarłatnymi skrzydłami. W istocie było to jakby wyzwolenie utajonych w najgłębszych zapadniach własnej natury potencji samozniszczenia. „Złowieszcza rozkosz marzenia [...] o olbrzymiej wolności ponad ludźmi, ponad wszelkimi prawami, wbrew wszelkim ustawom, wśród wiekistych niebezpieczeństw, w kulcie samowładnych zmysłów — odchyliła się na mgnienie przed duszą, trzymała ją w blasku swoich źrenic i w swoich orlich szponach”³².

Tatiana Iwanowna z *Urody życia*, której ust dziewiczo czystych nikt przed Piotrem nie dotknął, jest autorką nie wiadomej nikomu, z wyrafinowaną precyzją przygotowanej i wykonanej zbrodni doskonałej. Znudzony swoją cnotą Bodzanta zepchnie swoje dzieło w otchłań zagłady.

Natura jest jednym z kilku głównych tematów twórczości Żeromskiego. Jego świat osobniczych i społecznych zależności i uwarunkowań jest organicznie wtopiony w wielkie *universum* przyrody jako jego część integralna, dzieląca z nim jego nieskończone i wielorakie piękno i jego niepojętą, wielokształtną grozę.

³² *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 115.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w *Urodzie życia* Żeromski, podobnie jak w *Dziękuję ci, mój ojciec*, przedstawia postać, która jest w pełni świadoma swojej roli i konsekwencji swoich działań. Tatiana Iwanowna, podobnie jak w *Urodzie życia*, jest postacią, która jest w pełni świadoma swojej roli i konsekwencji swoich działań. W tym miejscu należy zaznaczyć, że w *Urodzie życia* Żeromski, podobnie jak w *Dziękuję ci, mój ojciec*, przedstawia postać, która jest w pełni świadoma swojej roli i konsekwencji swoich działań. W tym miejscu należy zaznaczyć, że w *Urodzie życia* Żeromski, podobnie jak w *Dziękuję ci, mój ojciec*, przedstawia postać, która jest w pełni świadoma swojej roli i konsekwencji swoich działań.

1 *Żyję i umieram*, s. 232.
2 *Żyję i umieram*, s. 187.
3 *Żyję i umieram*, s. 118.

Rozdział IV

IMIONA MIŁOŚCI

Jest pewien element w świecie twórczości Żeromskiego, który ma w sobie, jak natura, coś z nie dającego się ujarzmić żywiołu — sprawy miłości. Nie jest rzeczą przypadku, że scenom i sytuacjom miłosnego zapamiętania tak często towarzyszy w tej twórczości wtór natury. Bo miłość w świecie pisarskim Żeromskiego należy do natury, jej korzenie, jej nieodparte impulsy i szalone erupcje są tak głębokie i tak ciemne, tak pierwotne i tak niepojęte, jak potężne obroty zjawisk przyrody — nocy i dni, pogody i niepogody, jak roziskrzzone niebo i morskie nawałnice.

Marcin Borowicz i „Biruta” spotykają się w swym „ogrodzie miłości” o najwcześniejszej porze, w tych godzinach przedrannych, gdy zamęt życia nie zakłóca jeszcze tak pożądanej przez nich samotności. I tak jak niebo rozjaśnia się i powleka nieśmiało subtelnymi barwami, drzewa otrząsają się z rosy, ptaki zaledwie przebudzone nawołują się po zakątkach parku i dzień letni wyzwala się z wolna z objęć nocy, tak i uczucia owych dwojga wysnuwają się jak gdyby z załążka i zatrzymują w drzeniu na krawędzi niespełnionego marzenia. Żaden głos nie mącił ich szczęścia „prócz bełkotu wody, mówiącej niepojętą rzecz swoją”¹.

Ta woda, monotony głos spadającej wody, szum deszczu tłukącego jednostajnie o szyby, tajemniczy, pociągający urok głębokiego, ciemnego nurtu wody płynącej — to jeden z ustawicznie się powtarzających elementów wyobraźni miłosnej Żeromskiego. U szczytu ekstatycznego zachwyty Krystyny i Czarowica „szum wody, spadającej z drewnianego na rzeczce stawidła, zdało się pochwylić dalszy szereg wyrazów i zawarł treść w głosie swym jednostajnym, natchnionym, wiecznym”². Salomea Brynicka w chwili oddania się Odrowążowi „stała się jak niewiedząca fala morza, która tonie w innej fali — jak powiewny obłok, który się w inny obłok zamienia”³. Kochankowie zdają się jak gdyby zatracać swój odrębny byt.

¹ *Szyfowe prace*, s. 233.

² *Róża*, s. 197.

³ *Wierna rzeka*, s. 116.

„Deszcz bił w dach, zacinał w ściany, bulgotał za zawartymi okiennicami wśród ciemnej, nieprzeniknionej nocy”⁴. I podobnie, gdy Piotr ulega po raz pierwszy woli i pragnieniu Tatiany: „Deszcz dudnił w rynnach i ściekał długimi strugi po [...] szybach, wiatr wył i skowyczał między topolami ogrodu”⁵.

W *Nawracaniu Judasza* Xenia i Ryszard idąc przez park Łazienkowski przystanąli nad stawem, ciemnym, cichym, zielonym „od drzew nawisłych”. Było w tej wodzie, po której przepływały białe łabędzie, coś ponadczasnego, coś wiecznego i zarazem wieloznacznego i symbolicznego. Wśród przemijających istnień ta woda wiecznie istniejąca, wiecznie płynąca, wiecznie gadająca jakieś niepojęte wyrazy, staje się jak gdyby obrazem miłości, tej siły niezniszczalnej w swoim pięknie bez granic, wiecznie nie dośpiewanej, nie poznanej i nie dopełnionej do końca. Łukasz Niepołomski już po pierwszym spotkaniu z Ewą doświadcza przedziwnego uczucia jakby „chwilowego powrotu do stanów półświadomych dzieciństwa [...] Ta żywa, piękna dziewczyna wywarła nań urok, jak gdyby [...] nurtu głębokiej, czarnej, bujnej wody w rzece rodzinnej”⁶. Był niegdyś „nad tą wodą szczęśliwy i kochał ją bez granic [...] nie wiedzieć za co i nie wiedząc o tym, czego doświadcza”. Teraz odnajdywał ją jakby. „Panienka, co przed chwilą [...] odeszła, była jakoby tamta woda. Taka sama. Wiecznie żywa, bezmiernie bujna, jasna, przeźroczysta [...] Wszystko w niej było stawaniem się i żywotem. I była w sposób niepojęty, tajemniczo pociągająca, jak tamta [...]”⁷.

Sprawy miłości to jeszcze jeden z kilku wielkich tematów Żeromskiego. Ten społecznik i ten spazmatyczny piewca niedoli polskiej był jednocześnie najpierwszym i bodaj jedynym w swym rodzaju erotystą w naszej literaturze narodowej. Do tematu tego, w którym miał się okazać mistrzem nieporównanym, zbliżał się początkowo ostrożnie, powoli, powściągliwie. Zanim się rozpętał ten żywioł w jego twórczości w szaleńczą fugę, w namiętą, zmysłową poezję miłości, zaczynał zrazu jak typowy realista i naturalista, badający przedmiot z obiektywizmem anatoma, dokonującego sekcji zjawiska za pomocą niewzruszonej, obojętnej aż do okrucieństwa obserwacji fenomenu w jego objawach poszczególnych. Własne doświadczenia z lat młodości, nie najwyższej niestety próby, dostarczyły tu materiału w dostatecznym i dość urozmaiconym wyborze. Na ujęciu tematu zaważyło też zapewne bliskie w tym okresie współzycie początkującego pisarza ze światem idei naturalizmu, który wątki obyczajowo-erotyczne traktował z programową niechęcią i z kostycznym, cierpkim sarkazmem, wynikającym z zasadniczej opozycyjności kierunku wobec systemu zacho-

⁴ Ibid., s. 117.

⁵ *Uroda życia*, s. 86.

⁶ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 37.

⁷ Ibid., s. 37 - 38.

wań i norm moralnych swojej epoki. Owa opozycyjność wyrażała się głównie w zjadliwych i zaciekłych atakach na instytucję małżeństwa i w sceptycznym stosunku do czystości i szczerości jakichkolwiek związków między mężczyzną a kobietą. Odbywające się z aprobatą prawa i sankcji społecznej niewolenie kobiety, która staje się nieomal towarem do kupienia i do posiadania, jak rzecz, wyrafinowane manewry panien, usiłujących schwytać i usidlić upatrzonych młodzieńców, uczuciowa pustka i nuda związków, których nic nie łączy poza materialnym wyrachowaniem i rozwijające się na podłożu owej nudy i obustronnej nienawiści związki uboczne, cudzołożne, jakieś rozpaczliwe poszukiwanie i chwywanie się pozorów szczęścia, w istocie płaskie i kończące się z reguły jeszcze większym rozczarowaniem — wszystkie te motywy, tak znamienne dla postawy i upodobań naturalistów, wzbogacone o doznania i obserwacje własne, Żeromski przejmie dając szereg wariantów drapieżnością ujęcia wcale nie ustępujących najgłośniejszym przykładom tego typu pisarstwa w ówczesnej prozie fabularnej polskiej i obcej.

Swoistą antologię zachowań w owej grze miłosnej, obustronnie cynicznej i wyrachowanej, dał Żeromski w swoich wczesnych opowiadaniach, a zwłaszcza w szkicu powieściowym *Oko za oko*, ale wątek owych smutnych „miłości” ciągnąć się będzie poprzez całą twórczość pisarza. W *Oku za oko* główne wątki opowiadania to historia manewrów młodej dziewczyny wokół bogatego i urodziwego młodzieńca oraz cudzołożny romans z mężatką — dwa klasyczne dla naturalizmu motywy fabularne. Wątek pierwszy to kapitalna demaskacja specyficznego procederu, który w niezliczonych domach tamtej epoki uprawiano nagminnie jako rzecz najnaturalniejszą pod słońcem. Panna Wanda jest ubogą guwernantką, która rada by się wydać za kogokolwiek, kto by ją zechciał i kto by ją uchronił przed najstraszliwszą klęską — staropanieństwem. Student Adam Wawelski wydaje się być kandydatem wprost wymarzoną — jest bogaty, wykształcony, ma ujmującą aparycję. W polowaniu na upatrzonogo młodzieńca bierze udział cała rodzinka, wspomagając aspirantkę w jej matrymonialnych zabiegach.

Z ironiczną satysfakcją demaskuje narrator całą naiwną przemyślność owych starań i sposobów, zmierzających do możliwie najrychlejszego wyekspediowania z domostwa zbyt uciążliwego i niechodliwego towaru. Panna Wanda usiłuje roztoczyć wszystkie czary swej kokieterii, aby zawiązać wyobraźnię wybranego młodzieńca. Cała jej nadzieja w kolorowych fatalaskach i szmatkach, modnych stroikach i drobiazgach toalety kobiecej, które w jej dalekosiężnym wyrachowaniu mają stanowić rodzaj przynęty. „Co dzień inny kubraczek: krótki, długi, wcięty, puszczonej wolno, bufiasty, porozpruwany, jasny, żółty, ciemny, czarny — co dzień inna suknia...”⁸. Ukazując te naiwne manewry narrator nie ulega jednakowoż

⁸ *Oko za oko*, s. 137.

upraszczającym szablonom i schematom, indywidualizując zdarzenie uwzględnia determinanty wieku i płci, całą złożoność sytuacji moralnej i psychologicznej. Panna Wanda jest osobą zbyt młodą, aby mogła być tylko i wyłącznie zimną i wyrachowaną kokietką. Wawelskiego pokochała istotnie „nagłym, namiętym i niecierpliwym uczuciem”, ale — dodaje narrator jednocześnie — tym rodzajem uczucia, „jakie wobec warunków nieodpowiednich znika szybko, wobec sprzyjających nie trwa również dłużej nad niewyraźny kres miodowego miesiąca”⁹. Deprawujący wpływ otoczenia zdołał już nieco zmącić pierwotną czystość młodej duszy, płaskie, materialistyczne wyrachowanie zdążyło już zapuścić w niej korzenie jako zasada generalna postępowania i kierowania sobą.

„Adaś jest bogaty, za rok będzie skończonym prawnikiem, a ona mieszkać będzie w Warszawie”¹⁰. To jest miara rzeczy, ona reguluje nawet potencjał i skalę uczuć: „Kiedy zestawiała nędzne położenie guwernantki, istoty najbardziej na ziemi nieszczęsnej, z położeniem mecenasowej, bogatej mecenasowej w Warszawie, czuła, że nad życie kocha Adasia”¹¹. Ale gdy odkryje niebawem romans jego z siostrą i uświadomi sobie bezcelowość wszystkich swych starań, nie zawaha się nazwać uwielbianego do niedawna pięknego chłopca „parszywym żydziakiem”. Jest to bardzo znamienne dla pasji poznawczej Żeromskiego obnażanie pozorów, kompromitowanie rzeczywistości, niemal z reguły sytuującej się grubo poniżej naszych iluzorycznych o niej przeświadczeń i wyobrażeń.

Sytuacja analogiczna z nieznacznymi odmiankami powtarza się też w wielu innych utworach Żeromskiego. W młodzieńczym *Grzechu* mamy jedynie odwrócenie sytuacji; tu mężczyzna poszukuje kobiety, która by zrealizowała jego aspiracje życiowe. Pieniądz jest tu elementem decydującym. Jeśli ma się pieniądze, można się nawet kusić o kupienie osoby, na której bardzo zależy. Panna Zofia Parmen wcale się nawet z tym kryć nie usiłuje — to jest tak oczywiste w tym świecie. „Znam kogoś” — mówi do Bukowicza głosem „cichym [...] ze spuszczonej oczyma — kto szaleje za panem, w istocie aż do utraty zmysłów... kocha. Ta osoba oddałaby panu wszystko, co posiada... Posiada duży kapitał...”¹².

Wszechmocne środki panny Zofii nie potrafią co prawda zapewnić jej pożądanego mężczyzny, ale są zdolne odebrać go zniechęconej rywalce. Bukowicz nie ożeni się z Anną, którą kocha rzekomo, lecz z Janiną, nie kochaną, ale odpowiednio przez pannę Parmen wyposażoną. „W istocie zdradziłem cię — będzie się tłumaczył przed Anną. — Ale pomyśl [...] Czy ja mogłem inaczej? Przecież muszę założyć kancelarię [...] Musiałem ożenić się z jakim takim posagiem [...] Czyż ty nie pojmujesz tego, Anetko?”¹³.

⁹ Ibid., s. 136.

¹⁰ Ibid., s. 137.

¹¹ Ibid.

¹² S. Żeromski, *Grzech*, Warszawa 1950, s. 49.

¹³ Ibid., s. 66.

Kobieta jest w systemie obyczajowym aktualnie i powszechnie aprobowanym przede wszystkim towarem, który można z intratą wymienić na bardzo poziome, ale bardzo realne i konkretne korzyści. Z jej zamążpójściem wiążą pozostali członkowie rodu dalekosiężne nadzieje. Panna Jadwiga Zapaskiewiczówna z *Mogily* wyjdzie zatem wbrew woli i wbrew odrazie wewnętrznej za sztabskapitana Izmailowa, weneryka i nałogowego pijaka, ponieważ takie jest „zadanie kobiety: — iść za mąż” — i pomagać rodzinie. Stać się w takich lub podobnych warunkach zamienia się w niezawinioną katorkę, z czasem w rezygnację, z której rodzi się śmiertelny żal, „odraza do siebie [...] jak nieposkromione, wewnętrzne wymioty ducha”, ten „ucisk najcięższy” duszy, jakiego doznaje pani Celina Śnicowa, gdy po nocnych uciechach w ramionach prawowitego małżonka leżąc bezsennie z oczyma utkwionymi „w ciemny kwadrat powały” słyszy wśród drżenia członków i przerażeń serca miotanie się na górcę, na piąterku oszałałego z rozpaczki Włodzia Jasiółda¹⁴.

Chociaż — do wszystkiego można przywyknąć i tak sobie życie ułożyć, by zadośćuczynić „obowiązkowi kobiety” i zarazem umilać sobie egzystencję wypróbowanym sposobem. Tak pociesza się Maurycy Zych spoglądając na nieszczęsną pannę Jadwigę.

Zadawałem sobie pytanie — po co właściwie ja się nią zajmuję? Czy jej mogę przynieść jakakolwiek pomoc, a choćby pociechę? Ani pierwszej, ani drugiej. Chyba oświadczyć się... Nie zachwycała mnie wcale. Wiedziałem dobrze, że w tydzień po ślubie obrzydłaby mi jej figura, jej ręce czerwone i szorstkie, a nawet ta posepność oblicza. Zresztą — z czegoż byśmy żyli? [...] A może — rozmyślałem — ktoś to wie?... Może ona będzie szczęśliwa z tym Izmailowem? To, co dziś przedstawia sobie jako niedolę, już po upływie roku uważać będzie zapewne jako los nie tylko znośny, ale po prostu wyśmienity. Utyje, Izmailowa umieści pod pantoflem, wypięknieje i będzie cięła romanse z melancholijnymi porucznikami i namiętymi majorami.¹⁵

Potajemny kochanek, gruby flirt i małżeńska zdrada jako naturalny finał i konsekwencja flirtu — oto co zostaje w tej sytuacji. O uczciwości moralnej mowy tu nie ma, ani być nie może, oszukując nie rezygnuje się tu z żadnych uprawnień i honorów, należnych ludziom uczciwym. Zaprawiają się zawczasu w tej podwójnej buchalterii młode dziewczęta, jak lekomyślna kokietka panna Maria Kłucka czy anielsko niewinna z pozoru, a w istocie rozpustna i dobrze ostrzelana w grubych flirtach panna Teresa Zabrocka. Uprawiają ją *con amore* i z nudy, z wewnętrznej potrzeby wrażeń mężatki, jak Natalia Wzorkiewiczowa, próbująca siły swych niepełnych wdzięków na Kubie Ulewiczu w *Sidlach niedoli*, jak pani Sabina Topolewska i zawsze czarująca, zwłaszcza w świetle wieczorowym, pani Lenta Żwirska z *Nawracania Judasza*.

Czasem i w ten świat przyziemnych ludzi i przyziemnych pożądań wkradnie się uczucie prawdziwe, ale po to jedynie, żeby doznać zawodu.

¹⁴ *Charitas*, s. 217 - 218.

¹⁵ *Mogila*, s. 101.

Tak właśnie zakocha się w Adamie Wawelskim pani Zofia Świerkowska z *Oka za oko*. Cudzołożny romans, jedna z najświetniejszych i najoryginalniejszych wersji flaubertowskiego motywu pani Bovary, został tu pogłębiony o tę autentyczność uczucia, w którym nie ma ani cienia z owych urojeń wyobraźni i przerostów imaginacji, jakie stały się powodem zguby bohaterki Flauberta, jest tu sama nieskłamana prawda i wdzięczność. W pani Zofii Świerkowskiej, kiedy po raz pierwszy spotkała tego młodzieńca, nie zagościła ani przez ułamek momentu jakaś myśl zdroźna. Wtajemniczona przez męża w jego plany w stosunku do obojga młodych stara się je wspierać ze wszystkich sił. Spodziewając się naiwnie, że Wawelski lada dzień oświadczy się o rękę siostry, radowała się szczerze z tego triumfu. Towarzysząc Wandzie w codziennych jej przechadzkach do lasu, gdzie czekają na nie białe narcyzy, składane niezmiennie w tym samym zawsze miejscu przez zakochanego młodzieńca, pani Zofia nie zdaje sobie absolutnie sprawy, że te kwiaty przeznaczone są dla niej, a nie dla siostry. Miłość Wawelskiego zaskakuje ją i nieomal przeraża, i jeśli nie odtrąca jej z miejsca, jeśli się temu nieoczekiwanemu uczuciu ostatecznie powierza i oddaje, to nie tyle dlatego, że Wawelski już w tym pierwszym oporze rozbroił ją przemyślnym szantażem, ile z tego przede wszystkim powodu, że pokonała ją ta gwałtowna jego namiętność, która tak nagle rozświetliła szarość jej życia.

Utwór daje niezwykle wnikliwą i przekonującą analizę sytuacji uczuciowej młodej jeszcze, bo dwudziestoczteroletniej ledwo kobiety, która wcześniej wyszedłszy za mąż za człowieka nigdy w niej nie budzącego jakichś romantycznych porywów, wprzęgnięta w monotony kołowrót codziennych kłopotów, obowiązków, prac gospodarskich, zatraciła się bez reszty w tej rozpaczliwej i zabójczej szarzyźnie życia, zapomniała o sobie, poddała się z rezygnacją niepokonanemu smutkowi i beznadziejności istnienia. I oto nagle zjawia się w tym pustym i znikomym jej życiu młody i piękny człowiek, który wyróżniając ją uczuciem przywraca jej jak gdyby wiarę w siebie, przebudza w niej nie znane dotychczas pożądania, wznieca oszałamiającą nadzieję. Na tle prawdy i szczerości tego uczucia pani Zofii namiętność partnera stanowi odpychający kontrast i dysonans, chociaż z poznawczego i artystycznego punktu widzenia jest to świetne studium analityczne dosyć szczególnego typu i gatunku miłości — animalnej, egoistycznej i histerycznej zarazem, która staje się na chwilę autentycznym cierpieniem, gdy natrafia na przeszkody i sprzeciw, osiągnąwszy swój cel łatwo przechodzi w stan znudzenia i nasycenia, a przeobraża się w nienawiść i mściwość, gdy zostanie zdemaskowana i nazwana słowem właściwym.

Ten romans niewymownie smutny, przygnębiający, zakończony niską, niegodną mężczyzny zemstą kochanka, który odsyła oszukiwanemu mężowi listy miłosne jego żony, to jeden z najbardziej charakterystycznych przykładów ujęcia tematu, wskazujący zarówno na zakres obserwacji oby-

czajowej, jak i na wyraźne oddziaływanie ideologii i metody naturalistycznej. Tak miła naturalistom pasja i namiętność do demaskowania pozorów odezwie się niejednokrotnie w dziełach pisarza, a wyraz bezpośredni znajdzie w słowach Krystyny, tej „strasznej, nadchodzącej kobiety”, wyrzeczonych do Czarowica: „Pan chciałby, żebym ja z ukochanym młodzieńcem we dwu izdebkach cuchnących, przy kuchennych schodach... I ów „obiadek skromny, ale smaczny...” A moja sztuka to jako dodatek w wolnych chwilach, poza wszystkimi pieluchami i mężowską bielizną [...] „Ewentualnie małżeństwo, oczywiście dozwolone, choćby z „radcą towarzystwa kredytowego. Może być sprzedaż, ale raz na zawsze. Może być zmiana, ale tajna. Nie, panie [...]”¹⁶. Toteż to, co Krystyna gotowa jest ofiarować Czarowicowi, nie będzie już ani transakcją małżeńską, ani wolnym związkiem w naturalistycznym rozumieniu, lecz nieustającą, wyższą ponad wszelkie marzenie ludzkie o szczęściu tęsknotą dwu dusz wyniosłych, wiczyście rozdzielonych i w tym „nieskończonym rozdarcu” podających sobie poprzez odległości czasu i przestrzeni słowo pozdrowienia, „pomocny uścisk ducha”.

Znajdujemy się tu już na przeciwieństwach konwencji, która zdawała się dominować w pierwszych poczynaniach pisarza. Wyobraźnia wyzwolona odrzuca naturalistyczne schematy i otwiera szeroko ujście dla krępowanego dotychczas, a zakodowanego najgłębiej w samej osobowości i w temperamencie pisarza niesłychanie silnego i aktywnego erotyzmu. Rozpiętość wyobraźni twórczej Żeromskiego w tej dziedzinie tematów jest na tle literatury polskiej tamtego czasu zupełnie wyjątkowa, bez precedensów i kontynuacji. Sięga od wyobrażeń wysublimowanych aż do granic poetyckiego uniesienia po manifestację instynktu o nacechowaniu najwyraźniej patologicznym. Ale bez względu na jakość i charakter tej wielopostaciowej frenezji zdaje się ona znajdować bez zastrzeżeń autorskie usprawiedliwienie i akceptację. Były one następstwem zajmowanej przez pisarza postawy wobec tej właśnie sfery zjawisk i rozumienia roli tego żywiołu i instynktu w urzekającym dramacie egzystencji. Jest to postawa, jeśli przyjąć za oczywiste i prymarne najosobistsze dyspozycje osobowości psychicznej Żeromskiego, wybitnie romantyczna i modernistyczna. W wielopostaciowym zjawisku życia miłość zdaje się stanowić rdzeń egzystencji, jest wszystkim, absolutem, prawie sensem istnienia.

Jest w *Popiołach* taka scena, gdy przy książęcym stole zgromadził się cały niemal grudzieński dwór: krewniaków, powinowatych, rezydentów, oficjalistów, guwernerów, emigrantów i emigrantek z piekła rewolucji francuskiej, szlachty okolicznej, czepiającej się książęcej łaski. Wśród rozgwaru chaotycznej rozmowy, poważnych dysput i niepoważnej wesołości w istocie wszystkie myśli, westchnienia, ukradkowe spojrzenia biesiadników kierują się w stronę panującej wszechwładnie nad całym tym zbioro-

¹⁶ Róża, s. 67.

wiskiem ludzkim swym dziewczęcym urokiem i weselem księżniczki Elżbiety Gintułówny. Była w tych twarzach, myślach, uczuciach i spojrzeniach jakaś „skryta rozkosz” i „skryta boleść”. „Cóż warte było życie całe — zdawały się mówić te spojrzenia — po co istnieć tyle lat, skoro się wiek swój cały spędziło bez tego, co jest wszystkim, bez niej?” Była w samym istnieniu tego dziewczątka jakaś „muzyka niedosłyszalna, tajemnicza [...] potęga, władza, tyrania piękności [...] Była samym weselem i dreszczem szczęścia, a biegł od niej na ludzi smutek i udręczenie”¹⁷.

Salomea z *Wiernej rzeki* wobec straszliwej prawdy nieuniknionego rozstania nie umie się odnaleźć w tym niepojętym zdarzeniu, które przyszło tak nagle i niespodziewanie i tak do gruntu odmieniło cały jej dotychczasowy byt. „Przybył obcy człowiek, a stał się wszechwładną siłą, która w duszy rządzi i świat sobą napelnia [...] Żyć, gdy go nie będzie, skoro on jest życiem”¹⁸.

I jeszcze jedno wiele mówiące świadectwo Łukasza Niepołomskiego w jednym z listów do Ewy:

Przekonałem się w ciągu tych niewielu dni szczęśliwych, że miłość jest tworzeniem, że jest absolutnie nową emanacją, że jest doskonałą syntezą wszystkiego, którą duch z zewnętrznego świata wyłamuje i na swoje wyłączne dobro obraca. Kiedy Pani wychodzi z obrębu tych ścian, kiedy Pani nie ma w tym domu! [...] Na próżno mówić... Czymże jest świat bez Pani! Świat bez Pani! A jeśli kiedyś zginęła dla mnie ta miłość? A jeśli chciałaby odejść i nie wrócić [...] Wmyślam się i wwiaduję w taki stan, kiedy Ciebie nie ma. Nie! Tego nie można pomyśleć! Tego serce nie może uczuć. Tam już nie ma uczuć i nie ma myśli [...]¹⁹

Miłość jest więc siłą, która wypełnia sobą pustkę istnienia, daje mu urodę, piękno, głębię, intensywność doznań, ostateczny sens. Jest kresem, poza którym istnieje już tylko jałowość, bezużyteczność i bezcelowość trwania. Fenomen, któremu wyobraźnia pisarza zechciała wyznaczyć tak wszechmożne znaczenie w wielkim dramacie egzystencji, zasługiwał więc na to, aby go uczynić tematem wagą swą dorównującym z oczywistością nie wymagającą uzasadnień tamtym, wielkim problemom społecznym i narodowym i aby go opisywać bez końca we wszystkich jego wielorakich imionach. Skala ujęć obejmuje więc wszystko, co na to pojęcie składać się może, od najsubtelniejszej poezji, od pierwszych, nieśmiałych i niewinnych drgnień, poruszeń, zachwyceń aż po mroczne zachcenia nie znającego granic swych pożądań instynktu. Pokutuje w odczuciach czytelniczych i w niesprawdzonych opiniach krytyki potocznej utrzymujący się na zasadzie inercji myślowej stereotyp erotysty, wywiedziony przed laty z *Dziejów grzechu* i z osławionego przypiska w *Przedwiośnie*. Tymczasem Żeromski bywał też poetą miłości utkanej z najdelikatniejszej materii czy-

¹⁷ *Popioły*, t. 1, s. 171.

¹⁸ *Wierna rzeka*, s. 112.

¹⁹ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 104.

stego marzenia, raczej snów na jawie, których piękność jest cała w niespełnieniu, w niedokonaniu.

Doktor Paweł Obarecki z *Silaczki*, gdy był jeszcze studentem czwartego kursu, kochał się tak właśnie w pewnej nieznannej dziewczynce, spotykanej na trasie, którą co dzień przebiegał w swoich wędrówkach po Warszawie. Spotykał ją i tracił, ale szło za nim ustawicznie jej „natrętne widmo, podobne do białego obłoku o niejasnych rysach”²⁰. Gdy znikiała mu z oczu, miał ją całą pod zamkniętymi powiekami, a gdy zjawiała się ponownie, „doznawał uczucia [...] jakby po skwarnej i dręczącej podróży doszedł do czystego stoku, ukrytego w cieniu sosen na wyżynie górskiej”²¹. Swoistym arcydziełem opisu takiej miłości młodzieńczej, wywijającej się nieśmiało z jakichś niepojętych głębin duszy, o których nic się dotychczas nie wiedziało, jest historia „Biruty” i Borowicza, opowiedziana z niezwykłą u pisarza, słynącego w latach późniejszych z pewnej przesady stylistycznej, powściągliwością słowa, doskonale przystosowaną do wstydlivej nieśmiałości wzruszeń młodzieńczych. Zakochani spotykają się w ogrodzie miejskim. Porażeni tą nie znaną im dotąd siłą nie mają odwagi zbliżyć się do siebie, nie pada między nimi ani jedno słowo wyznania. Pierwsze ocknięcie się i przebudzenie zmysłów ulega tu jakiejś czarownej sublimacji, przemienia się w niemą, milczącą adorację i uwielbienie z daleka, wypowiada w spojrzeniach, w jakimś straszliwym zamęcie, w rozkosznym i bolesnym niepokoju, nigdy dotąd nie doświadczanym. Jest to miłość najzupełniej odcieleśniona, rozkochanie się nie tyle w drugiej, realnej istocie ludzkiej, ile w samej miłości. „Judym nie pragnął panny Joasi jako kobiety, nigdy z niej w marzeniu nie zdierał szat dziewiczych. Pachnące dymy błękitne otoczyły ją i zasłaniały od myśli pożądliwych. Nade wszystko, nad piękność, dobroć i rozum, kochał w niej swoją czy jej miłość, ów zaklęty wirydarz, gdzie człowiek wchodzący zdobywa nadziemską zdatność pojmovania”²².

Zeromski jest poetą takich właśnie iluminacji miłosnych, w których wszystko, co dotychczas było, obraca się jak gdyby w pozór rzeczy i objawia się nagle owa prawda jedyna, jedyny sens i piękność świata. Po spotkaniu z panią Celiną Włodzio Jasiołd doznaje takiego właśnie niepojętego olśnienia.

Nie wiedział wcale, co się z nim dzieje i skąd się wzięło to obce, dziwaczne porwanie jego uczuć przez obcą mu osobę. Nie miał w sobie siły, która by mogła temu przeciwdziałać, ani nie mógł zdobyć się na akt otrząśnięcia się z czaru. Trwał w upajającym, samoistnym marzeniu. Ulegał wciąż pogoni za błękitnymi oczami, które wchłaniała w siebie ciemność otaczająca. To jedno wiedział niejasnym postrzeganiem, że pani, z którą miał szczęście zapoznać się tego wieczora, to jest suma wszystkich zja-

²⁰ *Silaczka*, s. 100.

²¹ *Ibid.*, s. 101.

²² *Ludzie bezdomni*, s. 273.

wisk piękna na ziemi, to jest obraz czaru świata. Wszystko, co kiedykolwiek widział, doznał, uczył pięknego, wzniosłego, wstrząsającego — to było takie, jak ona.²³

Żeromski, jak we wszystkim, pożąda rzeczy ostatecznych, jest poetą miłości w jej najwyższym napięciu, które zdaje się przekraczać granicę życia i śmierci. Rafał i Helena „osiągali chwile szczęścia największego na ziemi. Cały świat zewnętrzny przemienił swą istotę na rozkosz, a rozkosz była na usługach miłości”²⁴. Miłość jest uczuciem, które ma swoją niepojętą, istniejącą poza jakimkolwiek ludzkim rachunkiem wewnętrzną konieczność, nieodpartą jak przeznaczenie, tak jak w owej historii pani Szczebieniew i Ernesta Foski, w której trywialny początek prowadzi do tak zdumiewająco wysokiego i przejmującego finału. Stary garson Ubaldo „widział wiele czarujących kobiet w starej stolicy italskiej ziemi, w piękność bogatej! Ale zaiste wyrazu takiej miłości dla śmiertelnika nie widział nigdy w oczach śmiertelnych”. Stojąc w swym kącie „patrzył zmęczonym wzrokiem na piękną parę, jakby na sen radosny o pięknie ludzkiego życia”²⁵.

Zjawisko tak potężne, urzekające i określające właściwie sens i wartość bytowania ludzkiego na tej ziemi, było przeto ze szczególnym, prawie namiętnym upodobaniem pilnie rozpatrywane i analizowane we wszystkich fazach i objawach swego rozwoju i trwania. Żeromski doskonale odtwarza te momenty psychiczne, w których rodzące się uczucie posiada jeszcze kształt nieokreślony, istnieje jak gdyby poza świadomością jako ciemny i niezrozumiały stan wewnętrznego spętania i zniewolenia, utraty osobistej swobody, nie nazwanej tęsknoty i oczekiwania na coś, czego się namiętnie pragnie i lęka zarazem jak każdej rzeczy przeczuwanej, a niewiadomej. Panna Salomea „już od dawna czuła w sobie niepojętą zmianę. Nie była dawną sobą. Przestała być wolną dziewczyną”. Żyła w jakimś przedziwnym stanie „bezmyślnego zatracenia”²⁶. Czasem wejście w ów krąg jakiejś siły nieznannej dokonuje się nagle, spada znienacka jak łomot serca bez widocznej przyczyny, jak przychodząca znikąd niewytłumaczalna tęsknota „za czymś zupełnie nie znanym, za groźnym, za cudnym, za straszliwym, a tak bliskim, jak bliską jest własna dusza, własne bicie serca, własny oddech. Coś się objawiało w głębokościach duszy”²⁷.

Niekiedy to uświadomienie sobie istotnego stanu rzeczy dokonuje się za pośrednictwem cudownego medium cielesności. Jest to owo „cudne złudzenie”, jakiego doświadcza Judym, gdy pomagając pannie Joannie wejść na stopień bryczki, przez chwilę miał jej ciało „przy sobie prawie

²³ *Charitas*, s. 208 - 209.

²⁴ *Popioły*, t. 2, s. 83.

²⁵ S. Żeromski, *Pavoncello*, [w:] „*Sen o szpadzie*”, „*Pomyłki*” i inne opowiadania, s. 222.

²⁶ *Wierna rzeka*, s. 106.

²⁷ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 36.

w objęciach [...] Któżby uwierzył, że to ta sama, ona [...] Widział w niej dotąd siostrę-człowieka, rozum i serce, istotę ze swej dziedziny, z tego kręgu, gdzie o jedno nic, wysokie a niezrozumiałe dla motłochu egoistów, kłopotą się bez wytchnienia i trują z radością braterskie duchy. I oto szalał ze szczęścia: ona nie tylko taka! Iście czartowskie marzenie jak wąż ślizgało się po jego piersiach”²⁸. Ogarnęła go „jakaś bolesna troska i niewysłowiona czułość”, wysuwały się z mroku jakieś słowa „niezmiernie ważne” i konieczne, w których „były zamknięte całe obszary, całe jakby okolice wiosenne”²⁹.

Ale Żeromski bywa też poetą marzeń miłosnych najczyściej abstrakcyjnych, nie mających najłżejszego nawet kontaktu z materialną rzeczywistością życia. Są to jakby sny duszy, które na jawie wysnuwa ona sama z siebie, tworząc świat samoistny, w sobie zamknięty, swoiście doskonały i pełen nieświadomej poezji. Jest w *Popiołach* taka czarująca sekwencja, której bohaterką jest Zofka, młodsza siostra Rafała. Któregoś dnia Rafał zaintrygowany jej niewytłumaczalnymi zniknięciami, tropiąc ową Zofkę odkrywa jej tajemnicę. W gąszczach, na wzgórku za ogrodem utworzyła sobie skrytą altankę i oddaje się w niej, ona, prosta dziewczyna i praktyczna gospodyni, „zgubnej” a potępianej egzaltacji, której przedmiotem jest książę. Nigdy go nie widziała, ale na podstawie opowiadań Rafała po jego powrocie z Grudna urobiła sobie w swojej dziewczynskiej wyobraźni wyidealizowany obraz jakiejś istoty nieziemskiej, „jaśnie oświeconego księcia pana”. Siedząc w owej zatajonej pustelni kochała się w upojeniu w tym cudnym widmie, które sama stworzyła. Rosły tam „jaskółki” o szerokich kielichach liliowej barwy.

Zofka zerwała wysoko rosnący, prześliczny kwiat [...] Z daleka, z głęboką powagą i przymrużonymi oczyma, w których gorzał ogień szczerzy, rzekła pokazując mu kwiat: — To jest książę...

Rafał zmieszał się i całkiem spłonął.

— Spójrz — mówiła Zofka — czy nie jest najpiękniejszy ze wszystkich kwiatów? Cudniejszy niż konwalia, okazalszy niż storczyk. Dlatego nazwałam go tak: książę. Jaśnie oświecony kwiat. Mój umiłowany, mój kwiat... Cóż z tego, że nie pachnie? Cóż z tego, że nie ma żadnego zapachu?³⁰

Pierwszym pośrednikiem w porozumieniu miłosnym są u Żeromskiego przeważnie oczy. Widzenie jest tym zmysłem, który otwiera przed widzającym jakieś nowe obszary rzeczywistości i zamyka w kręgu, z którego nie ma już wyjścia. Miłość jest w istocie sprawą jednego momentalnego olśnienia, w jednym spotkaniu spojrzeń odmienia się i dokonuje na zawsze los zakochanych. „W półciemności widzieli wzajem tylko swe oczy i tonęli w nich zapamiętawszy się na śmierć. Była to rozkosz zaiste śmiertelna, wyzwolona, naga, szczęście jednej chwili, trwające przez wieczność.

²⁸ *Ludzie bezdomni*, s. 247.

²⁹ *Ibid.*

³⁰ *Popioły*, t. 1, s. 248.

Teraz dopiero czuli oboje, jak straszliwie i nad życie się kochali”³¹. I podobnie Ewa i Łukasz. „Nie wiedząc, jak się to stało i kiedy, przez chwilę zatoneły oczyma w oczach, wcielili się oczyma jedno w drugie, weszli w przecudowne i rozwarne podwoje szczęścia, w rozkosz mroku spojrzenia jednego we dwu osobach. Ogarnęło ich, nie wiedzieć, krótkie czy długie nabożeństwo wstępowania oczyma w oczy i zagłębiania się wzajem w ducha przez czarodziejskie obnażenie spojrzeń”³².

Oczy — „najcudowniejszy żywioł ziemi”³³. Poprzez oczy wstępuje w istotę ludzką przede wszystkim świadomość piękności drugiej ludzkiej istoty. Początkiem miłości jest u Żeromskiego z reguły wzajemny zachwyty zmysłowy pięknnością cielesną zakochanych. Z tego pierwszego olśnienia zmysłów poprzez widzenie biorą się wszystkie następujące potem ekstazy, szaleństwa i dramaty miłości. Szczerbic patrzył na Ewę —

nie mogąc nasycić oczu jej pięknnością bez granic. Pukle jasnych, jasnozłoty włosów, wykwitające w tyle głowy spod runda czarnego kapelusza, spod węża czarnej wualki, rysy prześlicznej twarzy, jakby pochłonięte przez cienie zasłony, postać uroczą tak bliska niego, a tak nieskończenie daleka... Doświadczył uczucia niewymownego smutku z prostej racji istnienia doskonałej piękności, którą miał tuż obok siebie [...] Szaleństwo, tajny szatan, popychało do jakiegoś nieświadomego kroku. Rzucić się do jej kolan! Dotknąć ustami jej czarnej sukni, leżącej bez ruchu nadobnymi liniami!

Wybrać jedno muśnięcie po twarzy przez jej rękę, przez te cudze, obce, zaprzeczone ręce o wąskich dłoniach i palcach, z niczym co do piękności nie dających się zrównać.³⁴

Panna Salomea lubiła patrzeć na Odrowąży —

osobliwie, gdy spał! Włosy miał długie, zwisające czarnymi pasmami jak przepyszne pióra — rysy twarzy ostre i w jedyny sposób ocienione młodym zarostem [...] Widziała go wielekroć nagiego i zachwycała się bezwstydną pięknnością męskiej postaci. Gdy zagoiły się rany i w oczach piękniał, rosło tajemne w jej sercu nasienie tego uroku [...] Częstokroć w nocy umyślnie przy jego łóżku zostawiała latarnię i skradając się na palcach z drugiego pokoju do drzwi sypialni, patrzyła bez końca na te usta i na oczy zakryte powiekami. W tym topieniu oczu w jego ustach była rozkosz śmiertelna.³⁵

Pięknosc cielesna może być czynnikiem rozstrzygającym, jedyną, ostateczną i wystarczającą racją, aby się zakochać na zawsze. Powie to swemu włoskiemu kochankowi odrzucając wszelkie względy na wstyd kobiecy pani Szczebieniew: „Pan jest cudowny, przecudowny, najpiękniejszy, najzgrabniejszy, najwytworniejszy z ludzi na kuli ziemskiej — mówiła z wolna, patrząc mu w oczy, zaglądając w źrenice, ogarniając jego wzrok swy-

³¹ Ibid., t. 2, s. 67.

³² *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 86 - 87.

³³ Ibid., s. 161.

³⁴ Ibid., s. 292 - 293.

³⁵ *Wierna rzeka*, s. 107 - 108.

mi fiołkowymi tęczęwkami i tonąc nawzajem w jego wzroku, jak niebo tonie w wodach ziemi”³⁶.

W tym pierwszym pochwyceniu się wzrokiem, w pierwszym olśnieniu dokonuje się jakby nieświadoma jeszcze samej siebie defloracja duchowa przyszłych kochanków, wewnętrzne rozdarcie, obnażenie i wyzwolenie jakichś niepojętych impulsów, których przemożna władza przeistacza do gruntu cały byt dotychczasowy ukazując go jako stan jałowy, bez najmniejszej wartości, pogrążając zarazem duszę w jakieś dymy pachnące nieokreślonych prężyć, pożądań i dręczącej tęsknoty. Miłość objawia się u Żeromskiego niemal z reguły jako swoistego rodzaju choroba duszy i ciała, w której dokonuje się jak gdyby fizyczne i moralne przeistoczenie kochanków. Rafał po spotkaniu Heleny pogrąża się w taką właśnie trawiącą gorączkę jakby nieuleczalnej choroby. Było to życie „jakby na zewnątrz dnia, prac, zajęć, nawet myśli [...] Sam nie mógł pojąć, ani zrozumieć, ani nazwać pożądań, bólów nieokreślonych, ślepych i ciemnych [...] namiętności”. Dokonywało się w nim jednocześnie groźne i straszliwe przeistoczenie duszy. „O nic nie dbał [...] Stracił poczucie granicy między wpojona wiarą w rzeczy dobre i złe”. Gotów był zniszczyć, podeptać i poharbić wszystko, co dotychczas cenił, uważał za święte, nietykalne. „Znał teraz tylko jedno: pachnący, uroczy, kwiecisty cień”, do którego wyrwało się z całej mocy to rozpętane w nim i nieokiełznane szaleństwo³⁷.

Jest więc u Żeromskiego w ujęciu tego tematu swoista ambiwalencja emocjonalna i moralna. Ten instykt cudowny, potężny, niezwalczony, jest zarazem siłą niszczącą, destrukcyjną. Trzymana świadomie w oddaleniu przez Śnicę rozkochana w nim Isolina zagubiła się zupełnie w swojej rozpacz. „Jej ciało, dusza, rozum, pamięć, zdolność do codziennej pracy i uczciwa staranność — wszystko, czym dotąd żyła — zostało poszarpane [...]”³⁸. Czuliła w sobie śmierć, tak właśnie, „śmierć w sobie, zanim życie ustało, zanim ciało umarło”³⁹. Była gotowa do spełnienia każdej zbrodni, każdej nikczemności, jakich on by zażądał. „Serce nieszczęsne miotano się wśród zwidzeń przeraźliwych, wśród kształtów mglistych boleści i wśród obrazów tego pana, tego władcy-mężczyzny straszliwej piękności. Pożądała tylko jednego, żeby za wszystko, za samą tę śmierć, on się uśmiechnął”⁴⁰.

Sensualizm Żeromskiego, ten szczególny typ temperamentu i wyobraźni erotycznej, jaki ukształtował tę twórczość, zamknął jak gdyby większość jego projekcji i obrazów miłości w szczególnym kręgu fascynacji zmysłowej. Miłość jest nie tyle problematem psychologicznym, ile sprawą ciemnych, nieodpartych pożądań ciała. Ten swoisty redukcjonizm jednej

³⁶ Pavoncello, s. 195.

³⁷ *Popioły*, t. 1, s. 85.

³⁸ *Charitas*, s. 92.

³⁹ *Ibid.*, s. 103.

⁴⁰ *Ibid.*

z najważniejszych sfer życia ludzkiego nadaje erotyce Żeromskiego charakter jakby jednowymiarowy. Jest on nie tyle analitykiem miłości we wszystkich jej wielorakich, głębokich i skomplikowanych powikłaniach psychicznych i moralnych, ile genialnym deskryptorem najróżniejszych przejawów, odmian, odcieni i napięć pożądania.

Anatomia tego impulsu, wybuchającego z jakichś niepojętych tajemnic natury, jest zdumiewająco dokładna, przenikliwa i rozpięta na przeciwieństwach poetyckiej ekstazy, oczarowania, zachwycenia i mrocznego, ponurego, odpychającego weryzmu. Biegun dodatni tego ujęcia to utrzymany w stylistyce i tonacji swoistego hymnu na cześć miłości krótki rozdział z drugiego tomu *Popiołów* — „Pokuszenie”. Jest to noc, którą przeżywa Helena de With po niespodziewanym spotkaniu Rafała w „łóżu profanki”. Pod wrażeniem tego spotkania, pod tchnieniem parnej nocy czerwcowej ogarnia ją owo właśnie „pokuszenie”:

Paliła ją suknia na ramionach i biodrach, cisnęły ją ciężmy ze śliskiego atlasu, dolegała jej związanie nieobjętych, nieogarnionych, ciężkich włosów. Tysiąc już razy pomyślała, żeby zrzucić suknie i rozpuścić włosy, ale za każdym razem ręce jej opadały bezwładnie i splatały się z boleścią. Spoglądała w czarną noc stojącą między pniami drzew, w noc [...] upalną jak żelazo, gdy stygnie, i usta jej szeptały ciche, sekretne, zakazane, w tęsknocie poczęte wyrazy [...] Wyciągała ku ogrodowi stęsknione ręce i stęsknione usta, przycisnęła do pustki czoło pragnące wsparcia, kładła je na ramieniu nocy, a rozchylonymi nozdrzami chwytiała cierpką woń narcyzów, głuchą, niemą, bezdenną woń tęsknoty.⁴¹

Myślała o tym młodym, jedynym od pierwszego z nim spotkania, swoim kochanku:

Wszystkam jest jego w marzeniach całej młodości, wszystka jestem od stóp do głowy, od włosa na głowie do małego palca u nogi, wszystkam jest jego! [...] Usta jego czerwienie są od krwi, jak róże w moim ogrodzie, czarne brwi zsuwają się potężnie od władzy strasznej i słodkiej nade mną, nad moją duszą i ciałem, od władzy, którą tak kocham.⁴²

W tej samej tonacji szalonego napięcia, rozrywającego ciało i duszę na strzępy uczuć, utrzymany jest opis pożądania, jakie ogarnia Rafała na widok pani Ołowskiej, dawnej księżniczki. Wobec beznadziejności położenia włącza się tu dodatkowo ponura zawziętość pasji, gotowej na wszystko, na każdą nikczemność, nawet zbrodnię, gdy pod wpływem nic nie znaczących gestów uprzejmości pani Ołowskiej względem Krzysztofa rodzi się w Rafale myśl niedorzeczna, że ten jego koleżka mógłby być jego rywalem i konkurentem do łask księżniczki.

Okrażała go woniejąca girlanda myśli, że jest w tym samym domu [co ona], że po tylu latach spotkał ją stokroć piękniejszą niż była dawniej, tylko jeszcze bardziej w piękności swojej straszliwą. Ta myśl najgłówniejsza obchodziła dokoła jego pościel jak ciche kroki szatana [...] Była [...] zachwycającą nadzieją [...] i była żalem nie do

⁴¹ *Popioły*, t. 2, s. 63.

⁴² *Ibid.*, s. 65.

zniesienia [...] Przebywał w szczęściu i zlatywał w głuche doły odtrącenia, gdzie wi-cher potępieńczy wyszarpuje ze strun swej lutni nikiemne jęki [...] marzył długo i namiętnie, żeby za jaką bądź cenę tu zostać. W jakiegokolwiek roli! Przerzucić się na stronę austriacką, pruską czy diabelską, stać się żołdakiem, czyimkolwiek jur-gieltnikiem [...] Zostać w pobliżu tego domu szczęścia [...] ⁴³

A tego „głupca”, tego „szczygła” Krzysztofa — „strzał w ucho [...] trupa w wodę i pod lód”, albo „chwycić gardziel”, gdy śpi, „zatrzymać na za-wsze oddech”. Gotów był na wszystko za „cenę jednego uścisku, za cenę jednego sam na sam” ⁴⁴.

I ujęcie odmienne, choć równie negatywne — pożądanie wychylające się z jakichś mrocznych zaułków i zapadni duszy, ten moment, gdy wy-znanie przez Ewę jej podwójnej zbrodni spotyka się z nieoczekiwaną re-akcją Bodzanty: „Oczy Bodzanty spłonęły dzikim ogniem, jakby ogniem zachwytu [...] Słuchała zdumiona łoskotu własnego serca. Patrzyły na nią oczy, których już tak dawno nie widziała, oczy zachwytu pełne i żądz. Okropne, odtrącające zdumienie pchnęło ją z miejsca [...] Odraza wzma-gała się i przechodziła we wzdrygnięcia cielesne” ⁴⁵.

Stylistyka tych ujęć, swoista „literackość”, przesadna wyrazistość emo-cjonalna, emfatyczność tego języka, w którym się tu opisuje określone doznania, zdaje się jakby umniejszać ich psychologiczną precyzję, przy-nosząc zamiast zobiiektywizowanej analizy zjawiska jego metaforyczne, poetyckie ekwiwalenty. Ale bywa też inaczej, zdarzają się doskonale nie-omal „studia przedmiotu”, w których ujawnia się cała obnażona aż do najdelikatniejszych unerwień anatomia rzeczy we wszystkich jej fazach i stadiach narastania, rozwoju, w swoistej psychomachii, gdy potężniejsze impulsy zmagają się zaporami budowanymi przez rozsądek i przez sprze-ciw moralny. Jest to opis owego „huraganu obrazów”, który ogarnia Ewę i Łukasza i nachyla wszystkie ich myśli „w jednym kierunku”: „wszy-stko ginęło w gęstym kopcju, osiadającym pod czaszką, trzeszczało, jak łatwo palny materiał wśród sypkich iskier, co w dreszczach leciały po żyłach. Był ponad siły, nad możność zniesienia, stan obcowania z nią, uwielbiania jej, dotykania jej rąk [...] zasłuchiwanie się w jej nowe, nie-wiadome genyzy [...]” ⁴⁶. Walka „czystego rozumu”, platońskiego „to lo-gikón” z „to álogon” straszliwych, nieodparty impulsów, studia, lektu-ry, przymuszanie się do pracy abstrakcyjnego myślenia, kończyły się na-wrotem tamtego, z nikłych śladów jej obecności, gdy jej nie było, „strze-lała w górę cudowna, naga, cielesna mgła [...] Cudowne, ledwie rozkwitłe piersi, barki i ręce, biodra i łono były w przepaściach oczu i mózgu” ⁴⁷. Wobec nieustającego naporu tych obrazów, przypomnień i myśli o nich,

⁴³ Ibid., s. 217.

⁴⁴ Ibid., s. 218.

⁴⁵ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 270 - 271.

⁴⁶ Ibid., t. 1, s. 189 - 190.

⁴⁷ Ibid., s. 190.

rozkruszały się „wywody honoru” i „zaprzeczenia rozumu. Wtedy [...] najdokładniej poznał, jak rozkosz jest dobra, jak grzech jest łaskawy, a cnota niezdolna”⁴⁸. „Ewa od dawna spostrzegła, co się dzieje”, czuła, nawet nie patrząc, jak „ją chwytają jego oczy niby płomienne ręce. I jej myśli poczęły chodzić chyłkiem po elipsach szału i rozpacz”, ale była w tej rozpacz jakaś „nieopisana postać rozkoszy, rozkoszy śmiertelnej”⁴⁹.

Absolutyzacja zmysłów jako najintensywniejszej formy przeżywania miłości staje się rozgrzeszeniem erotycznego wyrafinowania, które wydaje się być godną aprobaty przyprawą szczęścia, dobrem zasługującym na pochwałę, dającym ekscytacji miłosnej jakąś przerażającą, cudowną głębię. „Przypomniała sobie wyrafinowanie w rozkoszy, którego ją powyucał. Przypomniała na zimno te słowa szczególne, lubieżne, okropne, słowa o przerażającej głębokości i władzy, słowa potwory, które wówczas były koniecznym dopełnieniem radości, ostatecznym przysmakiem i etykietą szczęścia”⁵⁰.

Siła rozkoszy cielesnej zdaje się być potężniejsza od miłości uduchowionej, zdolna jest niweczyć wszystkie cierpienia i męki duszy, w niej dopiero jak gdyby objawia się cała piękność życia. „Była dlań dobra, liłościwa, dziwacznie, sennie posłuszna jego cielesnym marzeniom. Czując potęgę piękności swego nagiego ciała [...] puściła wodze rozkoszy rozpasaania zmysłów i pozwoliła korzystać z jego łask. Niektóre jej mrukiwe, krótkie życzenia doprowadziły go niemal do śmierci. Tych kilka godzin — był to zenit jego życia. Teraz dopiero poznał jego piękność...”⁵¹.

Ale nie są to jedyne imiona miłości u Żeromskiego. Bywa on niekiedy poetą chwil i stanów najgłębszego uduchowania, miłości odcieleśnionej aż do absolutnego wyzwolenia, do wzgardy życia. Twarz Ewy „stawała się powoli więcej niż piękną, więcej niż uroczą, przeistoczyła się w samo piękno, stała się tym, co budzi i żywi miłość i co się w miłości zawiera [...] Oczy jej objęły go, oczy błękitny obłok [...] wzajemne zaśnienie [...] zupełność i doskonałość szczęścia [...] Siedzieli z dala od siebie, stopieni w anielski byt”⁵².

U szczytu szczęścia pojawia się pokusa śmierci. Śmierć jako dokonanie i najdoskonalsze, ostateczne spełnienie. Pokusy tej doświadcza Helena u zenitu ich miłości, w „górach, dolinach”. Dosięgli kresu, ostatecznej granicy; już nic nie było do zdobycia w tym życiu: „Umrzjmy już [...] — Zaczęłyby się naprawdę wieczność. Tak jak teraz, na zawsze, bez odmiany. Sen dusz, kiedy spoczywają w objęciach”⁵³.

⁴⁸ Ibid., s. 191.

⁴⁹ Ibid., s. 192 - 193.

⁵⁰ Ibid., s. 372.

⁵¹ Ibid., t. 2, s. 163 - 164.

⁵² Ibid., t. 1, s. 160 - 161.

⁵³ *Popioły*, t. 2, s. 75 - 76.

Podobnej pokusy doświadcza śmiertelnie zakochany w pani Szczebie-niew Ernesto Fosca, wspominając chwilę grozy, gdy dnia któregoś w naj-wyższym upojeniu wtargnęli oboje na zewnętrzną stronę kopuły bazyliki San Pietro: „— Trzeba nam było, trzeba było spaść z tego krzyża nad kopułą, potoczyć się po niej aż na samą krawędź, zlecieć stamtąd na ka-mienie ulicy, roztrzaskać głowy [...]”⁵⁴.

Miłość ma jednak u Żeromskiego również swoją stronę mroczną, de-moniczną, swoje straszliwe przepaści i zapadnie, doły cierpień, błędne ścieżki szaleństwa i rozpaczy. Istnieje piekło miłości. Piekłem miłości jest przede wszystkim zazdrość. Te dwa uczucia, „bezgraniczna ufność” i ka-tusze nieustającej podejrzliwości, splecione są nie dającym się rozerwać węzłem. Miłość może być bezgranicznym szczęściem tylko na pustkowiu, z dala od ludzi, z dala od realnych czy też urojonych zagrożeń, tak jak miłość Rafała i Heleny, na szczytach, gdzie „graniczą Stwórca i natura” i gdzie nie ma żadnej innej istoty ludzkiej. Żaden z pisarzy polskich nie dał w swych utworach takiego studium zazdrości, jakie prezentuje Że-romski prawie we wszystkich swoich romansach powieściowych. Miłość jest ciągłym rozdarciem między niebem łaski a piekielną gehenną potę-pienia. Kochankowie Żeromskiego trwają w nieustannej gorączce miłos-nych zachwycen i mrożącej śmiercią rozpaczy. „Uczucie szczęścia, uf-ności, dziwnie subtelnej wiary przeistaczało się w [Tatianie i Piotrze] przy najłżejszej zmianie zewnętrznych zdarzeń w szarpaninę tęsknoty tak natarczywej, że godziny pod jej wpływem stawały się wieloletnimi okre-sami, a całe dnie były ponure, najeżone kamieniami nieszczęść, pełne nie-pokoju i upadku”⁵⁵.

Po chwilach upojenia, w których dokonywało się jakby absolutne po-jednanie i stopienie dwu istot w jeden, nierozzerwalny, „anielski byt”, „na-stępował dzień zionący okrucieństwem, doba jak mroczna przepaść, w której głębi ni to chichot szalonego na dnie potoku zdrada dawała znać o sobie”⁵⁶. Miłość nabiera charakteru jak gdyby masochistycznego samo-udręczenia, przekształca się w zadawanie sobie wzajemnie cierpień nawet wówczas, gdy nie ma w istocie najmniejszych powodów do podejrzeń. Nie do zniesienia staje się przeszłość, którą chorobliwie zazdrosna wyobraźnia zapełnia nie istniejącymi zdradami. Tatiana wypytywała Piotra „o każdą najdawniejszą znajomość w Rosji, podchwytowała każdą wzmiankę o ko-bietach, które w mieście widywał”. I odwrotnie, jakby mszcząc się za nie istniejące zdrady „zadawała mu umyślne katusze rozpowiadaniem mnie-manych swoich sympatii, znajomości, triumfów, wspomnień o dawniej-szych zalotnikach, których w rzeczywistości lekceważyła albo których

⁵⁴ Pavoncello, s. 209.

⁵⁵ Uroda życia, s. 85.

⁵⁶ Ibid.

wcale nie było”⁵⁷. „Ale i on znał dobrze szpony zazdrości. Często wałęsał się w ulicach pod jej oknami, czyhając na urojonego rywala, choć w głębi duszy wiedział, że takiego nie ma na świecie”⁵⁸. Ukochana do szaleństwa kobieta przemienia się w wyobraźni kochanka w istotę przewrotną, kłamliwą, zepsutą i niejako z natury skłoną i dysponowaną do zdrady. Zazdrość posuwa się do działań poniżających. Piotr „męczył się, poniżał aż do śledzenia kroków ukochanej, aż do przeglądania jej pudełka z listami”⁵⁹.

Miłość przemienia się w nieustanne tropienie, rozpaczliwe ściganie istoty nieuchwytej, której każda, choćby chwilowa, nieobecność staje się w podejrzliwości partnera potajnym uczestnictwem w jakichś sprawach potwornych, przerażających, w których wydrwiona jest i ukamienowana na zawsze czysta, bezgrzeszna miłość. Duszę ogarnia jakaś „zamięć”, jak w tytule powieści, szaleństwo poduszczeń szatana zazdrości. Dzieje Nienaskiego i Xeni stają się pasmem ciągłych poszukiwań, pościgów, miotania się wśród okrutnych podejrzeń, w istocie naprawdę nie uzasadnionych. W tej szarpaninie uczuć, w ślepej boleści, w ognistym kole męczarni pojawiają się nedorzeczne projekty i widoki niosącej ucieszenie i ulgę zemsty: „Zabić tę kobietę!”⁶⁰ Wynająć trzech drabów „po dwa tysiące franków na głowę”. Niech wytropią, odnajdą „tę Eurydykę, choćby się w piekle ukryła [...] Wydrą ją z ramion kochanka, przetną ciągłość pocałunków [...] Marzenie rysowało dokładny obraz odwetu. Salon [...] lokaje [...] salon tego człowieka [...] Tamta swołocz wejdzie pod jakimś pretekstem, pod wymyślonym pozorem. W uszach [...] radosny huk strzałów, które trupem Xenię położą”⁶¹. Od rojeń śmiesznych, wyjętych jak gdyby z jakiegoś nedorzecznego melodramatu, nieszczęśni kochankowie Żeromskiego powracają do przyziemnej, okrutnie prozaicznej rzeczywistości. Zdrada była stwierdzona, wszystko było skończone. „Rano, po ohydnej nocy [Nienaski] napisał do Xeni krótki list, w którym grzecznie oświadczył, iż widział ją, że zrywa z nią na zawsze stosunki i nie chce jej widzieć na oczy [...] Około godziny jedenastej z małym pakunkiem w rękę wyjechał do Royan [...] Jakże pragnął umrzeć! Nie dźwigać już w sobie bezsilnie potwornego węzowiska uczuć”⁶². „Zeszła noc głucha, dzika, nadmorska”. Siedząc nad brzegiem morza „Nienaski patrzył w tę pustynię, która się co jakiś czas ukazywała. Jęk rozpaczy, stękanie żądzy, żeby się zapaść w tę ciemnicę, dokąd już żadne światło nie dolata! [...] Nie wie-

⁵⁷ Ibid., s. 84 - 85.

⁵⁸ Ibid., s. 101.

⁵⁹ Ibid., s. 123.

⁶⁰ *Zamięć*, s. 62.

⁶¹ Ibid., s. 62 - 63.

⁶² Ibid., s. 172 - 174.

dzieć o głupocie przeżyć! Nie wiedzieć o nędzy uczuć! [...] Zapomnieć! [...] stać się zgnilizną, która już nie czuje [...] Dać się pokonać przyrodzie”⁶³.

Gdy mężczyźni na dnie klęski marzą o śmierci, kobiety Żeromskiego szukają w rozpaczach zapomnienia w zniweczeniu miłości poprzez natychmiastowe się oddanie innemu. W nieszczęsnej, uwiedzionej przez Śnicę, przez tego jej pierwszego mężczyznę, Isolinie, ilekroć powracała w niej „świadomość o wyjeździe malarza”, zjawiała się „konieczność zemsty” na tym przeniwierczym swoim kochanku. „W tym uczuciu zemsty była [...] słodka ulga. Zapomnieć! Och, zapomnieć! Podeptać go, w sobie, w sercu swym, w ciele i we krwi! Rozszarpać go, zatłuc całusami innego, wdeptać w błoto! Unurzać go we wszystkim, co najbrudniejszego, w ostatecznym szelmostwie! Wyrzucić ze siebie zmore! Zniszczyć ją na zawsze w pamięci!”⁶⁴.

Podobnego pragnienia „zemsty” doświadcza Ewa Pobratyńska w okresie swojej opieki nad Jaśniachem. „W każdej minucie teraźniejszego życia śnił się sen nieskończony, że Łukasz niespodzianie skądś przyjedzie i ujrzy ją śpiącą na łóżku Jaśniacha. Marzenie nasycalo się męczarnią Łukasza, gdy to ujrzy [...] Tak trwało ciągle. Był to koszmar mroczny i posępny”⁶⁵. I podobnie później, w Montreux, w spotkaniu ze studentem Liwickim, który dostarcza Ewie „niezbitego” dowodu „zdrady” Łukasza. „Uwolnił mnie od siebie — majaczyła. — Uwolnił mnie [...] Jestem zupełnie wolna [...] Widząc [...] nienasycone spojrzenie” tego chłopca, który przyniósł jej tę straszliwą, ostateczną wiadomość, „uczwała od jednego zamachu doli, że musi — albo oddać się natychmiast temu człowiekowi, albo natychmiast umrzeć. Trzeciego wyjścia nie było”⁶⁶.

Rozpusta, z rozpaczliwym rozmysłem świadome jej poszukiwanie i jej zupełna, bez żadnych zastrzeżeń aprobata, wyzwolenie się z wszelkich skrupowań i ograniczeń duchowości, która jest źródłem cierpienia, i poddanie się absolutnie wszystkim instynktom i zachceniom ciała jako sposób zniweczenia raz na zawsze miłości, która jest złem, bo odbiera wolność, bo przykuwa na wieczność do drugiego człowieka — takich właśnie uczuć doświadcza Ewa po straszliwej nocy, spędzonej w potężnych uściskach Pochronia. „Straszliwa noc rozpusty z tym człowiekiem nieznanym, rozpusty rozpasanej i prawdziwie zwierzęcej, wyrwała z duszy i z cielesnej powłoki duchową miłość. Cicho, sekretnie pochwałała tę rozpustę [...] Podziwiała jej siłę [...] władzę jej niezwalczoną i znalazła, że ona jest dobrem, ponieważ niweczy okrutne i beznadziejne misterium miłości”⁶⁷.

W tym momencie bohaterka *Dziejów grzechu* przekracza jakby niewidzialną granicę, poza którą rozpościera się tajemnicze *inferno* mrocznych

⁶³ Ibid., s. 172 - 180.

⁶⁴ *Charitas*, s. 130.

⁶⁵ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 19 - 20.

⁶⁶ Ibid., s. 41 - 42.

⁶⁷ Ibid., s. 115.

i ponurych dewiacji erotyzmu. Raz rozpętany żywioł ujawnia tendencję do wyrażania się w formach, jakich niepodobna przewidzieć, instynkt wyzwolony zdaje się nie znajdować kresu zaspokojenia i w tym wiecznym nienasyceń poszukuje ciągle nowych i silniejszych podrażnień. Eros jest w istocie potęgą, której nikt nie zna, jest jak otchłań ciemna, zagadkowa, niezgruntowana, z której każdej chwili wyłonić się mogą jakies pożądania potworne. Zarówno dla Sczerbica, jak i dla Bodzanty jednym z istotnych elementów fascynacji, jaką wzbudza w nich Ewa, są jej zbrodnie. Ostatniemu spotkaniu ze Sczerbicem towarzyszy szczególny rodzaj jakby spotęgowanej pasji; świadomość finału, jaki ma nieodwołalnie nastąpić, zdaje się budzić w Ewie „diabelską”, przewrotną rozkosz. „Zanurzyła usta w jego ustach, skowycząc w szale jakoweś sylaby, dźwięki, półsłowa... Ogarnęła go sobą, całym ciałem, jak głowonóg-ośmiornica, wessała go w siebie, wciągnęła go w rozkosz, jak w wir niezgłębionego morza”⁶⁸. I potem, po zastrzyku kurary, już po wszystkim, na widok piękności zabitego, to nagle najście straszliwego pożądania.

„Zmarły był piękny. Sliczne jego włosy [...] słały się na poduszce jakoby pióra prześlicznego ptaka. Usta były otwarte i białe zęby lśniły wspaniale w natchnionej twarzy. Wzniosła namiętność, górne szczęście stężało w jego rysach i nieruchoma maska w jego twarzy stała się jak gdyby krzyk zaklęty w męskie rysy. Nagi tors, rozrzucone nogi, ręka zgięta w niedbałe półkole, wszystko to uczyniło zeń obraz czarujący.

Ewa patrzyła na niego w posępnej zadumie. Czula rozkosz na widok nagości tego bożyca, którego przed chwilą zglądziła. Zapragnęła go teraz chwilowym, lecz straszliwym w swej mocy pożądaniem. Gdyby nie to, że stali dwaj widzowie, z jaką radością, z jakąż czcią całowałyby jego prześliczne piersi, jego żebra od niewydanego krzyku wzniesione, zapadnięty od dzikiej walki brzuch, nogi rozwalone jak dwie potęgi. Och, jakże teraz pieściłaby go, gdyby żył.”⁶⁹

Jest rzeczą znamienne, że we wszystkich tych wielopostaciowych kształtach erosa, w jakich objawia się on w dziele pisarskim Żeromskiego, nie ma właściwie żadnego odniesienia do sfery odczuć i wartości moralnych. Jest to dziedzina jakby istniejąca poza dobrem i złem. Jak w świecie Przybyszewskiego. *Am Anfang war das Geschlecht*, nie znająca granic *Grundsubstanz des Lebens*, wobec której wszystkie prawa i zakazy są niczym. Eros jest potęgą samowładną, której niepodobna się oprzeć, która nie wymaga żadnych usprawiedliwień, z żadnymi zakazami i nakazami liczyć się nie musi, jest najpotężniejszą manifestacją życia, najgłębszą formą rozkoszy i osiągalnego na ziemi szczęścia. Jest więc w istocie dobrem wbrew i na przekór wszystkim systematom moralnym, jakie by go chciały ujarzmić, pokonać, obezwładnić. „Dobry jest szatan i państwo jego rozkoszy: noc”⁷⁰. Ile w tym było z fascynacji moderni-

⁶⁸ Ibid., s. 171 - 172.

⁶⁹ Ibid., s. 173 - 174.

⁷⁰ S. Żeromski, *Aryman mści się*, [w:] „Duma o hetmanie” i inne utwory, Warszawa 1949, s. 31.

styczną metafizyką miłości, ile przeświadczenia własnego, niepodobna tego rozstrzygnąć. Zapewne jedno i drugie, skoro jeszcze w *Przedwiośniu* perypetie nocy spędzonej przez Cezarego „w zamkniętym na klucz pokoju pani Laury” zostały uznane za „najistotniejszy, najzdrowszy, najtęszszy obraz przedwiośnia”⁷¹.

Takie rozumienie i pojmowanie rzeczy musiało jednak nieuchronnie prowadzić do dramatycznego rozdarcia i wewnętrznych sprzeczności dzieła. Świat Żeromskiego nie jest bowiem mimo całej fascynacji zjawiskiem światem Przybyszewskiego, zdominowanym totalnie przez fatalizm seksu i płci. „Grzech” miłości jest najczarowniejszym z grzechów, ale nie określa on absolutnie istoty i sensu życia. Poza nim istnieją jeszcze całe olbrzymie, nie dające się ogarnąć obszary najczystszych, najbardziej wysublimowanych uczuć altruistycznych, najwznioślejszych i najwyższych powołań ludzkich. Świat Żeromskiego rozpięty jest więc na tym przeciwieństwie nieodpartej pokusy czarownego grzechu miłości i tęsknoty za jej prześwieteniem światłem jakiejś wyższej i głębszej prawdy. Tę potrzebę i nakaz duszy odczuwają wszyscy nieomal kochankowie z utworów Żeromskiego, a zwłaszcza ci, którzy pełnią niewątpliwie w stosunku do samego pisarza rolę powierników jego idei, jego sobowtórów i mediów powieściowych. Owładnięci swoim marzeniem, swoim wyszczytnionym poglądem na świat, swoimi dążeniami do urzeczywistnienia jakiejś wzniosłej chimery, chcieliby przelać wszystkie te swoje myśli i pragnienia w dusze kobiet, które kochają. Spełnieniem całkowitym miłości może być tylko zawładnięcie duszą.

„Tatiana lubiła zbytek. Ona sama była jakby wyrazem przepychu, symbolem jego wdzięku [...]”. Piotr „nie umiałby sobie wyobrazić Tatiany bez szelestu jedwabiu, bez zapachu, połysku i przejrzystości”⁷². Ale czuł i rozumiał jednocześnie ze smutkiem, że w tym zachwycie dla zewnętrznych akcesoriów urody, w uwielbieniu „żywego życia” wyczerpywały się jak gdyby możliwości duchowego istnienia jego kochanki. „Idee, uogólnienia, spostrzeżenia Piotra nużyły ją, a nawet sprawiały szczególniejszą przykrość. Nie mogła pojąć jego stanu duszy, rozterki i targaniny wewnętrznej”⁷³. I stało się, że dnia któregoś natknąwszy się przypadkowo w Notre Dame na ustawiony tam od niedawna zwykły, „ordynarny, wcale nie artystyczny” posążek Joanny d’Arc, „Piotr wpatrywał się w ten posąg, wmyślił w dzieje Joanny — i oto z jego serca wybuchnęło błaganie do bohaterki, ażeby jej dusza ocknęła się w duszy Tatiany. Nie wiedział czego chce, co czyni, nie przypuszczał nawet, że się modli. Nie zdawał sobie sprawy, do jakich dzieł chce Tatianę podźwignąć, zagnać i popchnąć [...] Wpatrywał się gorejącymi oczyma w postać dziewicy, zakutej w pan-

⁷¹ *Przedwiośnie*, s. 179.

⁷² *Uroda życia*, s. 85 - 86.

⁷³ *Ibid.*, s. 102.

cerną stal i błagał usilnie o przemienienie duszy Tatiany w duszę Joanny”⁷⁴.

Identyczna sytuacja duchowa powtórzy się w szaleńczej miłości Nienaskiego do Xenii. Cały ten romans jest w istocie walką zakochanego bez pamięci mężczyzny, posiadacza nieomylnej i wzniosłej prawdy, o duszę kobiety, zawsze śmiertelnie zagrożoną przez znowę świata, przez pokusę zewnętrznego, marnego blichtru, czarujących, wykwintnych sukien, „barw, kształtów, szelestu jedwabów, zapachu perfum [...] migotania brylantów”, przez podszepty łotrów, doradców, wszelakiego typu i gatunku „artystów”, „mandatariuszy szatana”, wmawiających kobietom dla wiadomych powszechnie celów, iż zepsucie jest jakoby naturalnym instynktem i impulsem kobiet, „niezwalczoną niewiadomą, która krąży w ich krwi”⁷⁵. Nienaski drżał na myśl o tym, co się stanie z tą Vivianą, którą spotkał i wobec której poczuł się nie wiadomo dlaczego i na mocy jakich uprawnień odpowiedzialnym za jej los, przyszłość, czystość i nieskazitelność jej życia. „Dokąd też ona pójdzie? Czy stanie się jak tysiące [...] łupem kurwiarzy i pijanic [...] towarem na rynku”, na którym się kupuje młodość i piękność na użytek rozpusty? ⁷⁶. Widząc w niej dobro i zło Nienaski przywłaszcza sobie w stosunku do Xenii rolę obrońcy, opiekuna, przyjaciela, sędziego, męczyduszy, moralisty, kaznodziei, nauczyciela cnoty, mającego prowadzić tę dziewczynę tymi wysokimi drogami, którymi sam chodzić zamierzał. Przy nim i pod jego opieką — marzył — pokocha ona „wszystko dobre [...] zobaczy duszę swoją odbitą w tym stoku radości, którym jest czynienie dobrze bliźnim ludziom. Przez woniejący las dojdą oboje do tej świętej polskiej krynicy”⁷⁷.

Ale czy dojdą? Czym jest miłość w życiu mężczyzny; czy jest jego siłą czy też jego słabością? Jest to jeden z podstawowych dylematów twórczości Żeromskiego. Odwieczna antynomia miłości i powołania, której niepodobna rozwiązać bez strasznego, wewnętrznego okaleczenia duszy, bez poczucia i świadomości klęski. Problem Judyma i Joasi, ciągnący się od początku do końca, aż po ostatnie utwory. Bohaterowie Żeromskiego rozstrzygają go z okrutną bezwzględnością, powtarzając w ciągle wymieniających się wariantach ten sam archetyp mężczyzny i kobiety, których wszystko, co istotne, dzieli, wszystko, co łączy, jest tylko czarującą i obywatelną pokusą. W długich, nocnych, sennych marzeniach Diokles wpatrywał się w „niedolę pierwszego człowieka, Adama, który po to przyszedł, aby się w nim dokonało wyzwolenie światłości. Duch jego miał zdobyć całkowitą wiedzę o sobie i rozwinięcie całej natury człowieczej. Ale pan mroku, ten, co się z przedwiecznego wroga jasności, z Angramainiu,

⁷⁴ Ibid., s. 103.

⁷⁵ *Zamieć*, s. 115 - 116.

⁷⁶ *Nawracanie Judasza*, s. 223.

⁷⁷ Ibid., s. 272 - 273.

wywodzi [...] umiał temu przeszkodzić. On to dał Adamowi kobietę za towarzyszkę. Nim nastąpiło wyzwolenie światła, Ewa wzniciła w duszy Adama straszliwą siłę, bezdenną, wszystko niszczącą władzę: miłość. Pod naciskiem tej potęgi Adam rozproszył, osłabił i utracił blask swego ducha". I Diokles zrozumiał „raz na zawsze, że miłość do kobiety” sprowadza „zaplątanie się jasnego ducha w materię”⁷⁸. Jakieś dalekie echo modernistycznego mizoginizmu i własny maksymalizm moralny, żądający najwyższych ofiar i poświęceń w dążeniu do celów wyznaczonych, zbiegają się jednocześnie w tym nierozzerwalnym splocie fascynacji i odrzucenia.

Konflikt ten powtarza się prawie we wszystkich sytuacjach, w jakie wikłają się za sprawą miłości bohaterowie Żeromskiego. „Słabość, subtelność, miłość... Błędne światło księżycy, szept liści w nocy, szemranie strumienia, śpiew słowika” — oto imiona wszystkich kobiet świata. „Źródło urody wszechrzeczy”, która jest zarazem „pierwiastkiem omdlenia trudzącego się męża. Zatrutą strzałą piękności rani ze swej zasadzki siłę, wstrzymuje mężny krok bohatera ogarniętego przez pracę, odwraca jego głowę od wiecznego celu”⁷⁹. Piotr Rozłucki „patrzył w swoje nieszczęście i w niezgłębioną swą miłość”⁸⁰, wiedząc z nieomylną pewnością, że musi rozstać się z Tatianą albo rozstać się z sobą. „Młody książę szedł w nieświadomości do swego rzekomego czynu i dla tego czynu poświęcał miłość, wdeptywał ją bez litości w ziemię. Bezlitość jego była tak wielka, jak bezlitosnym jest los Polski. Z zaciśniętymi zębami, z uśmiechem połyskliwym na ustach patrzył na Salomeę”⁸¹.

Ta swoista ambiwalencja aksjologiczna wobec najpotężniejszego instynktu, jaki włada w przekonaniu pisarza ludzkim istnieniem, jest najbardziej charakterystycznym znamieniem erotyki Żeromskiego. W miłości streszcza się i ujawnia najprzemowniejsz „uroda życia”, ale jednocześnie to niezwalczone uczucie, które o niewiadomej godzinie staje zawsze na drodze bohaterów pisarza, wciąga ich zarazem w otchłanie niezgłębionego cierpienia. To jest ten tragiczny paradoks wszystkich ludzkich miłości i przywiązań. Cierpienia Judyma i Joasi, których rozdziela nakaz poświęcenia się dla czegoś, co jest silniejsze niż ich prawo do szczęścia. Cierpienia Ewy i Łukasza, nad którymi od początku rozciągnęła władzę fatalność irracjonalnych przeznaczeń. Błędne ścieżki szaleństwa, ponure doły rozpacz, pomiędzy którymi miotają się uczucia Xeny i Ryszarda, panny Salomei, Ernesta Foski i Zinaidy Szczebieniew, Cezarego Baryki, Laury, Karoliny i młodziutkiej Wandy Okszyńskiej.

To prawo nieodłącznego sprzężenia sprzecznych i wykluczających się na pozór wartości sięga poza sferę Erosa, rozciąga się na wszystkie obsza-

⁷⁸ *Aryman mści się*, s. 9.

⁷⁹ *Sułkowski*, s. 179 - 180.

⁸⁰ *Uroda życia*, s. 125.

⁸¹ *Wierna rzeka*, s. 148.

ry międzyludzkich powiązań uczuciowych; zwłaszcza związków rodzinnych. Lęk umierającej pani Daszkowskiej z *Ludzi bezdomnych* o los przyszły najukochańszego jej dziecka, męka i rozpacz starej pani Pobratyńskiej, patrzącej w przerażeniu na to, co się dzieje z jej córką po odejściu Łukasza. „Stały długo, łkając, wcielone duchem i ciałem jedna w drugą, jakoby na nowo jeden, oplątany krwionośnymi żyłami, nierozdzielny twór natury”⁸². Męczarnia księżnej Odrowążowej, ważącej na dłoni ołowianą kulę moskiewską, wydobytą z ciała jej syna, jak ogrom krzywdy, wyrządzonej tej nieszczęsnej, zakochanej dziewczynie w podzięcie za jej miłość i bezgraniczne poświęcenie. To są te ogródce miłości, których niepodobna ominąć na splątanych i powikłanych drogach, po których blakają się uczucia ludzkie.

Jeden jest tylko w dziele Żeromskiego rodzaj miłości, który istnieje jakby poza owym fatalizmem antynomii bez wyjścia. Żeromski określa go nazwą wziętą z Summy św. Tomasza z Akwinu — *charitas* — miłosierdzie. Przeglądając zapiski po nieżyjącym już zięciu, pan Granowski napotyka zdania wyjęte z owych przedziwnych lektur zmarłego: „*Charitas est singularis amicitia hominis cum Deo [...] Charitas non est aliquid creatum in anima, sed est ipse Deus*”⁸³. To przedziwne uczucie, którego nie można pojąć do końca w jego istocie, którego doświadcza Raduski z *Promienia* wobec strasznego nieszczęścia, jakieś myśli snujące się „długim szeregiem, jedne za drugimi, jak ciche siostry miłosierdzia, co ukrywszy twarze, nieustrudzenie, ze świętym bohaterstwem idą w środek łoskotu wojny, aby na polu zniszczenia zbierać strasliwe jej plony”⁸⁴. Są to krótkie rozbłyski, jakieś cudowne emanacje duszy w samarytańskich staraniach Ewy wobec umierającego z wolna Jaśniacha. „Znosiła bez protestu tysiące przykrości, których jej nie szczędził z egoizmem bez granic i miary, właściwym ludziom ciężko chorym [...] Zdarzały się [...] noce okropne, kiedy nie pomagały bromy, weronale i wszelkie inne trucizny [...] Musiała wówczas siadać przy nim na łóżku, opierać głowę na poduszce obok jego głowy, trzymać go za ręce i dać mu się w pół obejmować. Zmuszała go obecnością swojego ciała do spokoju [...] W Ewie zbudziło się [...] miłosierdzie bez granic”⁸⁵.

Podobnych uczuć doświadcza stary grzesznik pan Granowski, gdy Ios w swojej niezgłębionej łasce i dobroci zsyła mu i powierza w opiekę małą osieroconą dziewczynkę. „Dziecko posiliwszy się dobrze usnęło w jego objęciach [...] ciepło maleńkiego ciała” i „szybkie bicie maleńkiego serca rozkosznie upajało opiekuna [...] Serce jego doświadczało ulgi i radości [...] Objęła go rozkosz współczucia [...] Z serca, które już widziało

⁸² *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 140.

⁸³ *Charitas*, s. 316.

⁸⁴ *Promień*, s. 295.

⁸⁵ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 17 - 18.

Rozdział V

KRÓLESTWO SZTUKI

Muzyka — jest to wyłom, przez który dusza, jak więzień z więzienia, leci czasem w regiony wolności¹.

Byłem dziś na „pasji” w katedrze św. Jana. Stałem przy wejściu. Głęb ciemna, pełna niebieskawych kadzideł, pełna śpiewu, pełna tytanicznych jęków organów, pełna placzu, spośród którego wznoszą się wysmukłe kolumny i biegną w niebo, by się zamknąć w przecudne ostrołuki².

Widziałem dziś *Chrystusa w domu Marii i Marty* Siemiradzkiego [...] Jest południe. Przez szczelnie ułożone liście, pokrywające niby dachem werandę, padają plamy słońca. Na kamiennej ławce siedzi Chrystus, a u nóg jego siedzi zachwycona [...] kobieta [...] Jest namacalna niemal cisza [...] Twarz Marii — prześliczna. Uszczęśliwienie, zachwyty, ciekawość i uwielbienie dla tego ślicznego człowieka, mówiącego jej takie boskie, nadziemskie, takie niesłychane słowa [...] Uwielbia go [...] Taka zasłuchana, zapatrzona, wcielona w niego...³

Przed młodzieńczą duszą, notującą w tych zapiskach swe najintymniejsze wzruszenia, otwierało się jakieś przeogromne, nieskończone, urzekające królestwo sztuki. Nie miało być motywem najważniejszym w przyszłej twórczości, ale jej bardzo istotnym, znaczącym komponentem, jakby najgłębszą, skrytą, słyszalną tylko w najtajniejszych kryjówkach duszy upajającą melodią, towarzyszącą wzlotom i tragicznym przepaściom życia. Myśl o niej wyłaniała się z głębin i ujawniała w wielorakich postaciach: zdumienia wobec siły i potęgi twórczej człowieka.

Przed oczyma sterczał na skalnym zboczu zamek i chropawé mury twierdzy Fuenterrabia. Ciemna, czerwonawa, okrągła wieża zamku [...] dziwnie straszna [...] samotna wieża na wysokości [...] [Krzysztof] stanął na miejscu i patrzył na nią zaczarowany przez milczące jej dzieje, przez dziką, a tak niewymownie piękną zuchwałość [...] — Jakże wielkim, silnym i potężnym jest człowiek! — myślał namiętnie. — Ileż uczynił na ziemi! Te niezmierzone skrzydła gór, których prędkimi oczyma objąć nie sposób [...] zamknął [...] w jedną ojczyznę. Nad niezglębną przepaścią i ponad

¹ *Dzienniki I*, s. 267.

² *Ibid.* III, s. 26.

³ *Ibid.* II, s. 72 - 73.

najwyższym szczytem rozsiadła się jego wola. Fuenterrabia, rozparta w milczeniu na podścielisku gór, była jak znak orla łomignata czy sępa, lwa czy wilka, wykuty w niezmiernej tarczy herbowej.⁴

Zamknięte w wielorakich objawieniach się piękna geniusz i trud człowieka budziły dreszcz zachwytu i przerażenia ogromem zawartego w nich wysiłku i męki twórczej. Rafał

przechodził jak we śnie obok wielkich obrazów, z których spoglądały na niego nagie kobiety, otwierały się krajobrazy zupełnie wyrwane ze snu, walczyły dziwaczne chimery, uctwowali bogowie [...] Niewymowna rozkosz zastępowała tu drogę na każdym kroku [...] Czuł bolesną aż do zemsty podniecającą mękę — uwielbienie. Straszna praca, niewysłowione katusze tworzenia ideału piękności w twardym kamieniu, w drogocennym drzewie, pot wysiłku i łyzy wiecznego zawodu artystów, gnanych przez przymus, przez ciężką pańszczyznę twórczości, ogarniały go postrachem.⁵

Sztuka stawała się tajemniczą i wieloznaczną w swej hieroglificznej symbolice księgą, z której odczytywać można było dzieje prac, buntów, marzeń, rewolucji ducha ludzkiego, poszukującego nieustannie nigdy nie osiągalnego ideału doskonałości. Nienaski studiował romańszczyznę i gotyk, rujnował się na podróże po całej Francji, Normandii, Bretanii, przetrzącał się na drugą stronę Kanału. Wyczuwał w tych kamiennych, granitowych złomach, zmieniających się pod ręką człowieka w strzeliste wieże i koronkowe ornamenty, utajone życie bezimiennych artystów i budowniczych.

Nienaski patrzył w dzieje tych cieniów, w ich walkę z nicością człowieka — jak zakładali i podnosili w górę protest gigantyczny przeciwko nędzy ziemskiego bytowania [...] Kusili się o zaświadczenie wielkiej wewnętrznej wiary w święty ideał i o wieczny znak potępienia mocy szatana. Młody architekt z głęboką rozkoszą szedł po śladach rewolucji i wynalazków [...] pilnie badał szalone kroki nowotworów: zwalczanie ciśnienia sklepień wewnętrznych przez skarpy i łuki przyporne do nich dodane — rozciągnięcie kamiennego kościoła romańszczyzny w kierunku chóru i absydy — złamanie ciężkiego łuku i dla zmniejszenia ciśnienia wyrzucenie go w górę.⁶

Źródłem fascynacji stawała się też wieczność sztuki, jej trwanie ponad przepływem czasu i przemijaniem człowieka. To zdumiewające uczucie, którego doświadcza książę Gintuł na widok znów odnalezioną po latach, upragnionej i wytęsknionej złotej wizji św. Marka. Patrzył na „chimeryczne [...] konie nad głównym portalem” świątyni. „Były już przy pogromie Grecji i jako symbol triumfu rwały się w świat na triumfalnych bramach Rzymu. Były przy upadku Rzymu i stały na triumfalnych murach Carogrodu. Były świadkami zwycięstwa Wenecji nad Bizancjum i stały [...] u drzwi św. Marka, na pięćset lat...”⁷. Przechodzili przez tę świątynię „rycerze idący odbierać grób Chrystusowy. Tu, na kamieniach przedsi-

⁴ *Popioły*, t. 3, s. 24.

⁵ *Ibid.*, t. 1, s. 174 - 175.

⁶ *Nawracanie Judasza*, s. 119.

⁷ *Popioły*, t. 1, s. 194.

ka, Fryderyk Barbarossa klęczał u stóp papieża”⁸. Istniała, taka sama, gdy Mieszko na tron wstępował. W jej złotym mroku słyszał Gintułt „szelst sukni” i echo rozmów „dawno umarłych rodziców”⁹.

Sztuka stawała się jakby głosem mówiącym z zaświata, wokół starych murów snuły się legendy, a w głuchych podziemiach trwały echa zdarzeń umarłych. Książę Gintułt w czasie walk o Sandomierz upodobał sobie szczególnie stary klasztor i kościół św. Jakuba. Robiono tam głębokie wykopy, rozgrzebywano cmentarzysko, odkrywano zapadnięte od wieku lochy, sypiąc szanse obronne. Książę po zakończeniu robót dziennych, „sam, w nocy, obwiązany sznurem, puszczał się częstokroć w owe podziemne chodniki. Znajdował szczególną rozkosz w dotykaniu się ręką, w obejmowaniu trwożliwą źrenicą sennego popiołu przeszłości. Łudził się dobrowolnie, postępując w mroki podziemia, wiedziony przez ruchliwy krąg światła, przez bojaźliwą smugę pochodni, że przepatruje tajemne szlaki śmierci i bada przeszłe dzieje zgasłego człowieka”¹⁰. Za dnia chętnie przysłuchiwał się opowieściom cudownym, podawanym przez lud tutejszy, zatrudniony przy robotach fortecznych, i coraz bardziej im w swej duszy przyświadczał. „Powiadał sobie [...] w duchu, że przecie nie masz nic na tej ziemi sprawiedliwszego od wyroku baśni cudownej [...] Między jego duszą a owym murem, stromo wystrzelającym ze szczytu wzgórzka [...] wyrosła w tym czasie jak gdyby żyła nierozzerwalna”¹¹.

Lecz nade wszystko sztuka jest w świecie twórczości Żeromskiego tłumaczką i wyrazem uczuć, otwiera ujścia i tamy, przez które wydostają się tajone i uwięzione w duszy najgłębsze jej poruszenia, dreszcze zachwytu, męka cierpienia, krzyki rozpacz. Jest jedyną niezastąpioną w swej doskonałości mową, którą można nazywać najtajniejszą wzruszenia i rozświetlać przedmyślowe odczucia, instynkty, intuicje, na jakie nie ma słów w pospolitym, potocznym języku ludzkim.

Pierwszeństwo w tej szczególnej, wewnętrznej iluminacji przyznawał Żeromski muzyce. Wydawała mu się doskonałością absolutną, w przeciwieństwie do poezji i do malarstwa nie podległa nigdy upadkom. „Nie ma — zapisywał w dzienniku — swoich odrodzeń i godzin konania” — jest wieczna¹². Tylko ona zdolna jest obezwładniać aż do stanu zupełnej bezbronności i uległości, przeobrażać, przeistaczać, wydobywać z człowieka jego inną, zgoła mu nieznaną istotę wewnętrzną. Mowa „spiskowa muzyki zdawała się rozsuwać wewnątrz [...] duszy [Ernesta Foski] jak gdyby błonę tajemną, oddzielać połowę od połowy i docierać do ostatniej głębi”¹³. „Ewa z wolna, z wolna zsuwała się i podpadała pod władzę muzyki [...]”

⁸ Ibid., s. 195.

⁹ Ibid., s. 194.

¹⁰ Ibid., t. 3, s. 218.

¹¹ Ibid., s. 218 - 219.

¹² *Dzienniki I*, s. 267.

¹³ *Pavoncello*, s. 197.

melodia stawała się „bezwzględny wyładowaniem innerwacyjnych stanów uczucia”, Ewa czuła ślepa, bezwzględną „rozkosz namiętności [...] rozwarła powieki i brnęła w rwący a bezdenne nurt uniesienia”¹⁴. Trójtton skrzypiec młodzieńczego koncertu w *Róży* zdaje się opowiadać słuchaczowi całą o nim prawdę i zbliżać w tajnej rozmowie aż do granic zaświatów. Muzyka przeistacza, przeobraża, prześwieśla jakimś światłem nadziemskim. Nieśmiała, trusiowata Wandzia Okszyńska „usłyszawszy duszę swej duszy” wyzbywała się swego załęknienia, odchodziła od niej „martwota rąk”, „Włosy jej przebierać się zdawał, podnosić i miotać w górę ogień niematerialny. W całej istocie z minuty na minutę rozpościerała się świadoma swej potęgi władza duszy [...] Nieśmiała i niezdecydowana panienska” stawała się „zuchwałym duchem, który się waży” opowiadać językiem tonów „dzieje miłości [...] wszystkie udręki i treść swego cierpienia, skrytki i zaułki uczuć, przesmyki ich i przejścia tajne, doły jej ciemne i straszliwe oraz niebiosa radości, roztoczone nad głową, gdy on się zbliża”¹⁵.

Muzyka jest więc formą swoistej artykulacji stanów psychicznych, wyraża to, co najgłębsze, najtajniejsze, najistotniejsze, skryte przed światem i nie do wyrażenia żadnym innym językiem pozamuzycznym. I analogicznie jej działanie sięga do najgłębszego rdzenia egzystencji, wyważa ją ze stanu inercji, porażenia, oziębiałego trwania w beznadziejnej szarzyźnie codzienności, w śmiertelnym smutku rezygnacji. Obdarza łaską ukojenia i błogosławionej pociechy; „gdy dusza boli — muzyka występuje jak dobra siostra”¹⁶. Takiego właśnie uczucia ulgi, jakby kojącego dotknięcia ręki ojcowskiej, miłościwego przebaczenia, doświadcza Ewa, słuchająca grającego Szczerbica. „Zamieć tonów porywała na wysokość, pędziła wyżej i wyżej, kędy już nie ma tchu. Aż wreszcie — szczyt. Niebo rozwarło. Jasne śmieją się chmury [...] Oto chwila, kiedy rozwiązuje się niemy język samotności i język niemych jej pociech, błądzących nad przepaściami. Jeszcze jeden, jeszcze jeden niedostępny gradus do najwyższego ołtarza, skąd ukojenie spada lekko, jak płatek uwiedłej róży po falach cichego wiatru”¹⁷.

Ale muzyka potrafi także wpędzać w stan przerażenia, wtrącać w jaskinie lęku, ponieważ tylko ona zdaje się mieć moc docierania aż na krawędzie śmierci. Jak w drugiej części „heroicznej” symfonii Beethovena, w której Piotr i Tatiana usłyszeli stąpanie kroków zmierzających ku rozwierającym się z wolna wrotom wieczności. Tatiana ścisnęła rękę Piotra „z całej siły i przywarła palcami do jego palców”, tak trwając w spazmatycznym skurczu aż do końca tej „przeklętej” melodii. Miała wrażenie,

¹⁴ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 80 - 81.

¹⁵ *Przedwiośnie*, s. 189 - 190.

¹⁶ *Dzienniki I*, s. 269.

¹⁷ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 78.

„jakby ohydny kat zdzierał” z niej „suknie i krwawą garścią chwycił [...] za włosy”¹⁸.

Repertuar konkretnych dzieł muzycznych, których opisy czy przekłady na język literatury pojawiają się kilkakrotnie w różnych utworach Żeromskiego, jest w istocie dość skromny, ale w swym wyborze znaczący i znamieny. Są to dzieła wybitne, głośne, o ustalonej trwale pozycji w wielkim skarbcu muzyki światowej i nacechowane szczególną siłą wyrazu emocjonalnego, w pewnym sensie przechylające się w stronę wielkiej muzyki programowej, a więc świadomie niejako pragnącej sugerować określone treści pozamuzyczne, nastroje, szczególnie dramatyczne napięcia uczuć, co zdawały się potwierdzać nadane im dodatkowo przez twórców czy przez tradycję znamienne określenia przymiotnikowe. A więc III symfonia Es-dur op. 55 *Eroika* Beethovena i tegoż kompozytora wielka, z płomiennym rozmachem napisana, sonata f-moll op. 57 *Appassionata*, Piotra Czajkowskiego VI symfonia h-moll op. 74 *Patetyczna*, „dramat muzyczny” Christopa Willibalda Glucka *Orfeusz i Eurydyka*. Muzyka ta towarzyszy szczególnie sytuacjom psychicznym postaci i staje się niejako ich zmysłowym korelatem, wyważa ze stanu uśpienia jakieś tkwiące w złożach podświadomości, skryte i nie ujawnione skupienia uczuć.

Piotr i Tatiana słuchają w wielkiej, paryskiej sali Châtelet *Eroiki* Beethovena. Żeromski eksponuje szczególnie część drugą symfonii, słynne *Marcia funebre (Adagio assai)* — „dzieło boskie — w którym materialne instrumenty przemawiają niematerialnymi głosami [...] o śmierci”. Po części pierwszej, „jakby po rozległych i szalonych dziejach czynu” (utwór powstał w r. 1804 jako swoista apoteoza Napoleona) melodia „spadła z piedestału mocy swej i jęła tarzać się w boleści u nieubłaganego progu. Słychać w niej było, jak szła ręce zapuszcza we włosy, jak jęk zamiera, jak serce wzdryga się i pęka od widoku bezlitości”¹⁹. Głowa Tatiany „pochyliła się nieco na bok jak u nasłuchującego zwierzątka, oczy zagasły. Uśmiech nieznamy osiadł na wargach. Jednolita bladeść powlekła czoło i lica. Nozdrza zeszytniały w trudnym oddechu”²⁰. W tej muzyce, jakby „za żelaznymi drzwiami” czaiła się jej straszliwa tajemnica, ten, co dobijał się nocą, przychodził do niej, szarpał drzwi. Ta niesamowita melodia wyzwała w słuchającej pamięć upiornych przerażeń, nieustępliwie powracających w niewiadomych godzinach od tamtej chwili spełnienia potajemnej, nikomu poza nią samą nie znanej zbrodni.

Beethovenowska *Appassionata* pojawia się u Żeromskiego dwukrotnie. Raz słucha jej Nienaski w salonie pani Topolewskiej. Narrator stara się oddać w opisie słownym spontaniczną swobodę i namiętność tej sonaty, jej

¹⁸ *Uroda życia*, s. 99 - 100.

¹⁹ *Ibid.*, s. 99.

²⁰ *Ibid.*

dynamiczne kontrasty, subtelne efekty kolorystyczne, rozpędzony żywioł melodii, a zarazem przetłumaczyć je na język odczuć słuchacza. Są to pierwsze chwile miłości Nienaskiego do panny Granowskiej i już w tej fazie niosące obok miłosnego zauroczenia pierwsze cienie, niepokoje i udręki tego uczucia. Słuchając tej muzyki i rzutując jak gdyby wywołane przez nią wrażenia na swą własną sytuację psychiczną, Nienaski czuł „jej zawarte piękno — uwidocznione klęski i rozkosze miłości — jej krzyki na pół zduszone i pogmatwane z echem nadziejskich pieśni, a nade wszystko błyskający z jej wnętrza raz w raz goły ból, który jak szpada wroga, na wskroś przeszywa. Wszystkie uczucia kłębiły się w niej i wybuchały z głębi — wiosenny zapach życia i zionący fetor śmierci — czyn i niemoc — rozkosz i potworne dzieje tęsknoty, męczarnie odtrącenia, które, gdy miną, w niepojęty sposób stają się łaskawym, cichym w piękności swej wspomnieniem”²¹.

Tę samą *Appassionatę* grają, zapewne w jakiejś transkrypcji na skrzypce i fortepian, Ernesto Fosca i Zinaida Szczebieniew w *Pavoncellu*. „Fosca nastroił skrzypce i powiódł smyczkiem po strunach. Jego włosy o fioletowym połysku przewiał teraz jakowyś wiatr radosny i porywczy. Posłyszał swe doskonale dźwięki, swe tony chłuszczące nerwy, zachwyt wyrywające z leniwego ciała. Szczęśliwie, nieomylnie poniosła się melodia boskiego dzieła. Rzęsiste, siekące skojarzenia brzmień wzmagaly się i potężniały”. Fosca słuchał akompaniamentu Zinaidy, który jakby mową dźwięków wymawiał w upojeniu jego imię; „jakże nerwowo, jak namiętnie, jak szalenie biegły jej palce poprzez klawiaturę! Ernesto słyszał nie kołatanie w struny, lecz głos samej muzyki”. Głos ten „zdawał się wymawiać [...] jego imię, wzywać go, wołać”²².

Beethovenowska sonata staje się jakby otwarciem upustów, poprzez które wyzwała się namiętność i szaleństwo uczuć tych dwojga. Ale pierwszą sprawczynią niezwyklej przygody, jaka miała się przydarzyć drugiemu skrzypkowi w orkiestrze filharmonii rzymskiej i arystokratycznej damie z dalekiego, egzotycznego, wielkiego świata, stała się *Patetyczna*, VI symfonia Czajkowskiego. W tym dniu, który miał się okazać dla obojga tak nieprawdopodobny w swych skutkach, Ernesto Fosca grał to natchnione i tragiczne dzieło. „Przeplęnęła właśnie wspaniała pierwsza część [...] Rozległ się spazmatyczny dwugłos skrzypiec głównych i otwarła się przed słuchaczami jak gdyby wielka kwietna dolina, w której dalekości samotna fletnia wabi ku sobie”²³ — gdy natrętne przyglądanie się nieznanomej cudzoziemki pięknemu skrzypkowi, niemal nagabywanie spojrzeniem, szklami i uśmiechem poplątało Fosce zupełnie tekst muzyczny, który odtwarzał, z wiadomym fatalnym skutkiem.

²¹ *Nawracanie Judasza*, s. 245.

²² *Pavoncello*, s. 197.

²³ *Ibid.*, s. 172.

Patetyczna jest tu przypadkowym potrąceniem w stronę wydarzeń, które miały złożyć się na niezwykłą historię dwojga przyszłych kochanków. Staje się natomiast głęboko przejmującym przeżyciem Ewy Pobratyńskiej w czasie wizyty u Szczerbica. Szczerbic gra jej oczywiście jakiś wyciąg fortepianowy głównych motywów tej symfonii, co nie mogło dać tego potężnego wrażenia, jakie dzieło to sprawia w swej właściwej, orkiestralnej fakturze. Niemniej nawet w tej skromnej i ubogiej transkrypcji robi ono na Ewie kolosalne wrażenie. Zwłaszcza jego dramatyczne kontrasty, przejmujący pesymizm. Po melodii „przedziwnej”, „miłościwej”, przynoszącej ukojenie, ten

nagły cios! Głos niewiadomy, potężny i obcy wszystkiemu, co jest na świecie, wybuchł z rozgwaru tonów. Wszystko to, co jest w rosyjskiej duszy, a czego nie ma w żadnej innej, wszystko, co się zawiera w niewytłumaczalnym i jedynym słowie — *s w i r e p y j* — rzuciło się na duszę. Porwał wszystko i poszarpał wicher szaleństwa. Skurcz bóleści wstrzymał serce w biegu. Wychynał z nicości jakowyś potworny dialog rozpętanych gniewów. Dały się słyszeć wrzaski, pomruki i groźby potworów przeciwko samotnej duszy, trzęsącej się w pustce i pohańbieniu. Oto upadła już jej głowa i bez sił leży [...] wzmaga się rozpacz.²⁴

Pod wrażeniem tej muzyki straszliwej dokonuje się w Ewie jakby chwilowe przeistoczenie, owłada nią jak gdyby tęsknota za sobą dawną, tą, której już nie ma.

Pod wpływem niespodzianego natchnienia zaczęła mówić cichaczem:

— Czy są takie grzechy ludzkiego życia, żeby już nigdy nie mogły być zmasane, zatarte, zglądzone? Czy są takie występki, których życie późniejsze już niczym, niczym zaskłonić nie zdoła? [...] Czy natura ludzka nie może stać się po wtóre czystą, znowu taką, jak przeźroczyste diamentu co do mocy, i znowu tak żywą, tak śpiewającą, jak wody morza?²⁵

Muzyka działa tu więc oczyszczająco, jest swoistą *kátharsis*, która poprzez wywołanie wewnętrznego porażenia wszystkich władz duszy pozwala odnaleźć się w zamęcie życia. Muzyka staje się niekiedy ostatnim ratunkiem, jedyną pozostałą jeszcze pociechą. Ryszard Nienaski po daremnych pościgach za panną Granowską wysłuchał „pewnego wieczora, na koncercie w kościele Sorbony [...] Orfeo Glucka [...] Głos altu rozlegał się w nawie kościoła, a po prawdzie gdzieś indziej, w tym piekle bezbrzeżnym, gorszym niż tamto, w tym kolisku żywych, bardziej pustym niż tamten hades umarłych”. Przejmująca nieskończonością wyrażonego w niej cierpienia słynna aria Orfeusza „Che faro senza Euridice?” „spadła w serce słuchacza, w przepaść jego męczarni i jego własnym stała się głosem”²⁶. Nienaski nienawidził w takich momentach muzyki, „jej siły przypominania”, lecz „kiedy indziej przywierał do niej, do jedynej pocieszycielki, do tej ostatniej deski ratunku w zdziczałym i rozhukanym morzu życia”²⁷.

²⁴ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 78 - 79.

²⁵ *Ibid.*, s. 82.

²⁶ *Zamięć*, s. 21 - 22.

²⁷ *Ibid.*, s. 23.

Drugim po muzyce obszarem sztuki, który zagarnia wiele miejsca w świecie przedstawień Żeromskiego, jest architektura. Zarówno w młodzieńczych dziennikach, jak w późniejszych notatkach z podróży roi się od zapisów wrażeń, wywołanych przez zwiedzane miasta, ulice, place, budowle świeckie i sakralne, resztki starych, przedwiekowych zabytków i szczątki ruin. Część z tych zapisów wchodziła po obróbce w skończone literackie całości. Bohaterowie Żeromskiego błąkają się po tropach ich twórcy, przeżywają jemu podobne doznania i wzruszenia, snują się im w świadomości te same myśli. Architektura nie posiada co prawda takiej, jak muzyka, siły sięgania aż do najgłębszego dna osobowości duchowej i poruszania najintymniejszych strun uczuciowości ludzkiej, ale działa swoją materialną potęgą, ogromem utrwalonego w niej natchnienia i fizycznego wysiłku, swoim trwaniem na przestrzeniach nie dającego się ogarnąć czasu, wstrząsającym kontrastem między swoją niezniszczalnością a przemijalnością i efemerycznością nieomal życia ludzkiego. Nawet ruiny i groby zachowują swoistą wielkość i moc oddziaływania. Stare mury stają się jak gdyby kamienną księgą, z której można odczytywać zagasłe dzieje człowieka, nawarstwiające się pokłady kultur.

Tak właśnie książę Gintuł rozwiązuje tajemne szyfry murów Wenecji czy Werony. „Przywarł plecami do muru kampanili obok białej logietty Sansovina, skulił się i z wlepionymi w kościół oczyma na długo tam został. Miał więc znowu to, za czym tęsknił. Balustradę z kilkuset kolumn o ozdobach gotyckich, połączoną z kapryśnymi słupami saraceńskimi, nad którą strzelają minarety arabskie i pięć jasnych kopuł greckiej cerkwi. Nasycił znowu oczy widokiem przedsiönka, okrytego mozaikami na złotym dnie...”²⁸. Zwożono tu przez wieki „w darze dla świętego Marka wszystko, co gdziekolwiek było cennego. Z Egiptu, Grecji, Bizancjum — kolumny z porfiru i serpentyny, alabastry, wazy, płaskorzeźby egipskie, snycerskie dzieła Persów”²⁹. Błądząc nocą po wymarłych placach i zaułkach Werony książę miał wrażenie, że miesięczna światłość wydobywa z uspiionych murów „jakoby cyfry jakieś i napisy, znaki niepojęte i słowa”³⁰. Te „znaki niepojęte i słowa” zdawały się przede wszystkim mówić o nieustępliwym nakazie ustawicznego dążenia i poszukiwania. Sztuka będąc wyrazem duchowości, śladem istnienia, który zostawia po sobie pielgrzymujący przez historię człowiek, przeżywa jak on, choć na przestrzeniach czasu nieporównywalnie rozleglejszych, swoje wzloty i upadki. Gasną stare wiary, rodzą się nowe, poszukując własnego kształtu i wyrazu. W swoich studiach nad dziejami gotyku Ryszard Nienaski docierał do granicy, która zdawała się oznaczać kres ostateczny, wypalenie się zupełne wewnętrznej siły rozwoju. Wszystko, co w tym stylu „było rwaniem się, pędem, płomieniem, już

²⁸ *Popioły*, t. 1, s. 194.

²⁹ *Ibid.*, s. 196.

³⁰ *Ibid.*, s. 208.

przed wiekami zmienione zostało na spokój, równowagę części składowych i opanowanie szczegółów dla całości — a więc na styl. Wiara — szalone uniesienie artystów, tworzących dla Boga — już wmurowana została w te budowle — i zastygła”³¹. Koniecznością sztuki stawało się szukanie nowej świątyni, „która by była odtrąceniem, przewyciężeniem i przewyższeniem tamtej”³². Natykając się co krok na szpetotę współczesnej, eklektycznej potworności zapytywał sam siebie niecierpliwy marzyciel, w co właściwie wierzy człowiek współczesny i —

co zbuduje jako pamiątkę swego czasu? Czy wzniesie cokolwiek równego tamtym budowlom? Czy tylko nowy most w Paryżu, ohydne muzea i wstrętną wieżę? Czy wciąż trwać będzie okradanie i przedrzeźnianie Greków? Hotel z doryckimi kolumnami świątyni, teatr dla operetki w stylu „odrodzenia”, kiosk dla sprzedaży wód mineralnych w stylu gotyckim, budka dla stróża w stylu „cesarstwa”³³.

Widział w niejasnym marzeniu budowlę przyszłości, dzieła wchłaniające w swe kształty sztukę inżynierską i konstruktorską — architekturę korzystającą z materiału, jaki wypróbowała i daje ta sztuka — żelazo, szkło, beton. Wielkie dworce, mosty, tamy, wieże, hale, latarnie morskie, wielkie gmachy publiczne [...] teatry, domy ludowe...³⁴

Z tym wiecznym niepokojem poszukiwania, który był dla Żeromskiego jakby znakiem odwiecznego losu wszystkich artystów i budowniczych świata, łączyło się jednocześnie gorące przywiązanie do starych form, zwłaszcza sztuki rodzimej. Była jedynym bogactwem uciemienzonego narodu, była jak gdyby emanacją jego odwiecznej duszy. W czasie pierwszego rozpoznania w topografii Majdanu Ewę Pobratyńską zainteresował kościół tamtejszy, niepodobny do żadnego, których tyle na szerokim świecie widziała, nic w nim nie było z monumentalności, czarów, lęku i grozy, jakie snuły się po tamtych arcydziełach architektury. „Był on prosty, ubogi”, jego niektóre rozwiązania konstrukcyjne „przemieniały się w jakieś widziadła krzyżowe, które można tylekroć spostrzec na rozstajnych «polskich» drogach i na zapomnianych mogiłach”³⁵. Bryła tej budowli miała surowość i prostotę krajobrazu polskiego. „Widmo tego kościoła wyrosło z ziemi jak drzewo, wystrzeliło w górę, jak okrzyk zapamiętałej egzaltacji, żyjący w łonie polskim. Nic w nim nie było obcego, przyniesionego do kraju zza gór. Wszystko tu wyrosło [...] Przez okna [...] przeglądało niebo tworząc witraż nieporównany. Szybkoskrzydłe chmurki płynęły tam w górę równie niewysłowienie, jak płyną modły, skargi i krzyki rozpaczy ducha przez boskie szyby Wyspiańskiego”³⁶.

Podobnego uczucia swojskości doświadcza Nienaski w stosunku do rezerkt arianskiego kościoła. „Architekt polubił wieżycę za wszystko, czym

³¹ *Nawracanie Judasza*, s. 126.

³² *Ibid.*, s. 127.

³³ *Ibid.*, s. 125.

³⁴ *Ibid.*, s. 125 - 126.

³⁵ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 218.

³⁶ *Ibid.*, s. 219.

była. Pokochał się w niej z całą namiętnością swojej natury. Obchodził ją wokół i patrzył na jej postać z daleka, jak gdyby na symbol ojczyzny [...] Postanowił uczynić z tej wieży «stary miech z nowym winem»³⁷. Zamierzał w niej założyć i rozpaścić ognisko, promieniujące swoim światłem na całą widzialną z jej szczytu okolicę. Na kolejnych kondygnacjach miały się rozłożyć ze swoimi sprawami szkoła dla dziatwy wiejskiej, muzeum arianizmu, zbiory starych druków, rękopisów, pamiątek i portretów, mieszkanie nauczyciela i kustosa zarazem tej instytucji. Była to stara idea Żeromskiego, towarzysząca mu do końca i mająca odżyć po raz ostatni w *Przepióreczce*. Stare, zamarłe budowle, tknięte dreszczem nowego życia za sprawą takich sandomierskich „Orlandów szalonych” jak Bodzanta, Nienaski czy Przełęcki. Lud wydawał się jedynym godnym i prawowitym spadkobiercą Leonardów, Rafaelów, Tycjanów, bo tylko on jeden w nieprawym świecie zbogaconych giełdźarzy i fabrykantów, przebiegłych dorobkiewiczów i fagasów dziennikarskich, zdolny jest wierzyć jeszcze w tragedię wiecznika i w świętość apostołów³⁸.

O ile muzyka jest w dziele Żeromskiego przede wszystkim ekspresją podmiotową wzruszeń i stanów duszy, a architektura zmaterializowanym skupieniem potęgi i energii twórczej człowieka, o tyle, nieograniczony w swojej wielokształtności i kolorystycznym bogactwie świat wytworów sztuki rzeźbiarskiej i malarstwa jest wyrazem głównie czystego piękna w jego absolutnej doskonałości. Jest nie tyle językiem, poprzez który wypowiadać się mają jakieś metatreści pozaformalne, ile istnieje sam dla siebie, jako autonomiczny przedmiot zachwyty i kontemplacji. Doskonałość wizji i kształtu podnosi go niekiedy do wysokości symbolu, idealnej formuły ucieleśnionej i zrealizowanej w owym kształcie idei.

Są więc przede wszystkim wielorakie ujęcia najbliższego Żeromskiemu motywu: wdzięku, piękności i urody kobiecej. Zapisy nazw, niekiedy rozwinięte w dłuższą jakby formułę zachwyty, rzeźb i obrazów, spotykanych we włoskich i francuskich galeriach sztuki: Wenus Praksytelesa, Wenus Anadiomene, Wenus Kallipygos z Museo Nazionale w Neapolu, „najbardziej zmysłowe [...] dzieło sztuki [...] kobiecość figlarna, zepsuta, zwodzająca, szatańska”³⁹, Wenus z Milo, którą kontemplują w salonach Luwru panny Orszeńskie i Joasia, „wynurzająca się” Anadiomene niebiańska, która roznieca miłość, a nade wszystko grecka tancerka, „rózowy złom pentelikońskiego marmuru”, który przybrał czarujący kształt nagiej kobiety, przedmiot wielu zachwyceń Ernesta Foski. „Była [...] w tym posągu zawarta jak gdyby suma kobiecości, obraz tego, co we wszystkich kobietach, razem wziętych, jest ich najsubtelniejszym urokiem, tajemniczym zapachem, pięknnością najjistotniejszą, odurzającą jak zaklęcie, które niweczy wolę”⁴⁰. Po-

³⁷ *Nawracanie Judasza*, s. 154.

³⁸ Zob. *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 250.

³⁹ S. Żeromski, *Zapiski z podróży*, [w:] *Wspomnienia*, s. 157.

⁴⁰ *Pavoncello*, s. 179 - 180.

wracając ustawicznie do tej uroczej tanecznicy i kontemplując w nieskończoność jej nieśmiertelny wdzięk, Fosca słyszał „zapomniane strofy poezji” snujące się „dokoła płasów tego widma [...] najczarowniejsze skrzypcowe cuda [...] zmrużonymi oczyma przypatrywał się uwodzicielce sprzed tysięcy lat i poświstywał na jej chwałę hymn najbardziej wzniosły, wymuszony przez namiętny, młodzieńczy zachwyt”⁴¹.

Żeromski miał swoje umiłowane rzeźby i obrazy, swoje motywy, postaci i swoich mistrzów, do których nieustannie powracał, zapisywał i analizował ich piękność i zagadkę ich zniewalającego uroku, usiłował podglądać i zrozumieć tajemnicę samego kunsztu, malarskiego rzemiosła, za którego ukrytą sprawą realizowały się natchnione wizje i wyobrażenia artystów. Takim powracającym motywem jest między innymi Magdalena. Jawi się ona w zapiskach i w literackich transkrypcjach Żeromskiego w dwojaki sposób: del Sarto i Ribery.

„Andrzeja del Sarto cudowna dziewczynka, Maria Magdalena, trzymająca dzbanuszek czy urnę. Miękkłość, dziewczęcość, urok. Cudny koloryt, wdzięk boskości [...] Coś muzycznego w twarzy [...] Barwy [...] nieopisane, świetliste, twarz ciemna, dziewicza, oczy ciemne od przelanych łez”, w których „kryją się jakieś zdziwienie i gorycz poznania”⁴².

I jakby w przeciwstawieniu do tej wizji poetyckiej dramatyczna, rozdzierająca scena *Zdjęcia z krzyża* Ribery w San Martino. Magdalena jest w tej kompozycji jednym z trzech głosów, w których wyraża się krzyk najgłębszego cierpienia, bijącego z tego obrazu.

Leżą na ziemi zwłoki Chrystusa, nie zdjęte, nie ściągnięte, lecz zaiste oddarte z krzyża. Jeszcze w lewej nodze tkwi gwóźdź. Z prawej wyrwała żelazo ręka Matki, szalonej z boleści. Usta Magdaleny, która upadła w rozpacz na głowę, przywarły do rany w podeszwie nogi. Wargi wessały się w dziurę, rozszarpaną od żelaza, sącząca ze siebie zastygłą krew.

Wieczność nie oderwie tych ust od rany tej nogi.

Ponad ciałem męczennika siania się Matka. Nie płacze i nie wydaje skarg. Patrzy się w oczy widza ślepymi oczami, dźwiga się bezskutecznie na zemdlonych nogach — i raz wraz płaska w próżni oszalałymi rękoma.

Co jest najbardziej męczeńskiego w ludzkości: — cisza cnoty zamordowanej przez świata wiekuiłą czarną secinę — Matka niema z boleści od wejżenia na śmierć Syna-bohatera, niezgłębiona miłość kobieca, która ranę swoją, ostatni skarb, ostatni raz całuje — to zawiera ten obraz.⁴³

Drugim wielkim tematem, który przyciągał i więził całą osobowość pisarza, stawał się przedmiotem najgłębszego poruszenia wyobraźni i uczuć, całej istoty moralnej, była postać Chrystusa. Żeromski eksponuje ten temat na przykładzie dwu dzieł Adama Chmielowskiego, brata Alberta. Pewnego dnia, w czasie wędrówki po Tatrach zabłądził Nienaski do górskiej

⁴¹ Ibid.

⁴² *Zapiski z podróży*, s. 155 - 156.

⁴³ S. Żeromski, *Magdalena*, [w:] *Elegie...*, s. 270 - 271.

pustelni braci ubogich i tam właśnie przydarzyło mu się poznać te dwa swoiste w jego odczuciu arcytwory byłego żołnierza i genialnego artysty. Jeden — to malowidło w ołtarzu.

Był tam wymalowany na płótnie wielki czarny krzyż, a na nim przybite ciało Chrystusa [...] Było coś nad wyraz prostego, jakby oddartego z rzeczywistości w tym dziele [...] Ciało czarne, chude, zabite przez boleść, zalewała krew. Zwisająca na bok głowa była jasnym dowodem, żywym świadectwem, czym jest pokonanie świętości na ziemi. Ani jeden rys nie podkreślał w tym utworze realizmu zjawiska, a co w nim było realnego, mówiło o prawdzie męczarni samej w sobie pełnią wyrazu i pełnią poezji. Gdy słaby blask dnia przedostał się poprzez szyby okienne i wstąpił do tej świetlicy, ukazywała się coraz wyraźniej ta ciężka głowa i jej bohaterские usta, bolesne, zastygające oczy, a nawet w śmierci pełne świętego uniesienia.⁴⁴

Drugie dzieło zagadkowego artysty w zakonnym, rudoszarym habicie, to rysunek przedstawiający scenę kuszenia Chrystusa przez szatana na pustyni Jerycha. Nienaski przytwierdził obrazek do bierwion ściany i przypatrując się uważnie scenie doznawał coraz silniej ogarniającego go wrażenia, iż

nigdy jeszcze w życiu żadne dzieło sztuki nie rzuciło nań takiego uroku. Oczy szatana wszechwiednie mądre, dosięgające dna rzeczy, a jednak smutne, patrzyły z ukosa, z kątów powiek ciężko nawisłych w białego Chrystusa. Włosy szatana były długie i siwe, pasmami spływające. Twarz jego stara, strudzona — śnać niezgłębione cierpienia, furie i tortury duszne ryły ją i wykrzywiały przez nieskończoność. Korona, którą zdejmował z głowy, ciągnęła uwikłane w jej przegubach włosy — co do kształtu przypominała koronę jednego z królów we fresku Benozza Gozzoliego w kaplicy florenckiej pałacu Riccardi. W kształcie, w przepychu, w bogactwie, w ozdobności, w majestacie i ciężarze tej korony, pod którym ugięła się ręka przebiegła, beznadziejnym podająca ją gestem, była wymowa, której słabe nie odda słowo. Chrystus stał pewny swej świętości przez nieświadomość o niej, zawstydzony w sobie i pokorny, istny młodzieniec, w którym boskie serce uderza. Płaszcz, który ciężko spadał z nagich ramion diabła i włókł się po ziemi zwojami fałdów, miał w sobie coś nieskończenie zrozumiałej, niewątpliwiej, a krócej mówiącego niż wykład najściślejszy. Był to prawdziwie obraz i wyraz władzy, panowania, mocy rozkazu, żelaznej woli, która się stała kamienną dumą i zardzewiałą pychą — a która się wiję w fałdy pod ciężarem wyciśniętych przez się łez. Był to wizerunek majestatu, który się zamienił na ciężar pałacy ramiona. Ten niewysłowiony rysunek — zaiste odtwarzał — kuszenie. Młodzieniec w czarnym otworze pieczary — była to niewątpliwie największa świętość ziemi. Spojrzenie boskich oczu zostało wydobyte jakimś dwiema skrzywionymi kreskami. Tylko człowiek w szaleństwie natchnienia, z włosami zjeżonymi od śmiertelnego zimna wizji, mógł środkiem tak niepojętym, jedynym, pierwszy i ostatni raz użytym, palcami, które kurczył i rozginał podszept Boga — wyrazić wzrok Chrystusa. Stał tam Jezus, „zawiedziony na puszczy od ducha, aby był kuszony od diabła.”⁴⁵

Dzieło sztuki ma z reguły dla Żeromskiego jakby wieloraką semantyczną zawartość. Jest ekspresją konkretnego zdarzenia, ale staje się jednocześnie własnością najosobistszą patrzącego, jego doznaniem, przeżyciem, najgłębszym poruszeniem całej istoty duchowej. „Nienaski czuł w sobie

⁴⁴ *Nawracanie Judasza*, s. 338 - 339.

⁴⁵ *Ibid.*, s. 357 - 359.

szczęście i smutek zarazem, to jest to, co sprawiał w nim zawsze widok arcydzieła. Lecz tutaj było jeszcze coś więcej. Od tego widoku zaczęła się w nim pasować najgłębsza i najistotniejsza walka. W jego to sercu działa się to narysowane zdarzenie”⁴⁶. Dzieło sztuki staje się uogólnieniem, znakiem odwiecznych, nieodmiennych powtarzających się w nieskończoność ludzkich dramatów, stanów duszy, pożądań woli. Takie właśnie alegoryczno-symboliczne przede wszystkim znaczenie mają „widziadła snu”, jawiące się Hetmanowi w przeddzień klęski cecorskiej. Młodzieńczy Dawid, wychodzący samotnie w imię Pańskie przeciwko złu, Zwiastun Zwycięzca, ucieleśnione marzenie wieków, wypieszczone w ciemnych lochach stuleci o walecznym, zwycięskim Wodzu⁴⁷. Colleoni z placu San Giovanni e Paolo w Wenecji, „usta [...] w dół skrzywione” w nieopisanej pogardzie, „oczy głuche”, „twarz sobacza”, stężełe w żelaznym, skoncentrowanym skupieniu uosobienie pychy, nieokiełznanej potęgi i wolności, nie znającej granic poza kaprysem i wolą własną⁴⁸.

⁴⁶ Ibid., s. 359.

⁴⁷ *Duma o hetmanie*, s. 151.

⁴⁸ Ibid., s. 162.

Rozdział VI

DZIEDZINA SACRUM

Szkic swój o stosunku Żeromskiego do katolicyzmu rozpoczął ongiś Konrad Górski od znamiennej uwagi: „Jeden z katolickich krytyków współczesnej Francji napisał o Baudelaire studium, które zatytułował *Notre Baudelaire*. Zapewne nikt nie podjąłby się napisania podobnej książki o Żeromskim”, nikt z wyznawców katolicyzmu, „wiemy, że on nie był i nie jest nasz”¹.

Anna Zahorska bilansując na gorąco, tuż po śmierci pisarza, „trwałe wartości” jego dzieła, obnażała jednocześnie największą w jej odczuciu słabość tego pisarstwa — błąkanie się myśli, wyobraźni i uczuć po bezdrożach rojeń pseudomistycznych, które w jej przekonaniu prowadziły donikąd, okazując się ostatecznie złudzeniami niespokojnego i strwożonego serca. Wyzbywszy się czy też nie widząc w porządku świata przyczynowości Bożej, Żeromski trwał w permanentnym stanie rozpacz i przerażenia niepojętą przypadkowością losów i dziejów ludzkich².

Obiektywny historyk literatury nie ukrywał mimo pietyzmu dla pisarza i wysokiej oceny jego twórczości, że „poziom zagadnień religijnych” w dziele pisarskim Żeromskiego „wydać się może obserwacji pobieżnej — płytkim i powierzchownym”³.

Zawdzięczając swe ostateczne ukształcenie umysłowe areligijnej atmosferze czasów swojej młodości, Żeromski zachował aż do końca występującą w różnych nasileniach, odruchową i pozaracjonalną awersję do instytucjonalnych przede wszystkim form religijności i do jej urzędowych, oficjalnych przedstawicieli. Wydawał się być typowym dla formacji światopoglądowej tamtego czasu antyklerykałem, agnostykiem i libertynem, powtarzającym obiegowe stereotypy myślowe epoki materialistycznego scjentyzmu i wojującego ateizmu. Postaci osób duchownych występują

¹ K. Górski, *Żeromski a katolicyzm*, „Verbum” 1934, z. 2, s. 141.

² Zob. A. Zahorska, *Dzieło Stefana Żeromskiego*, „Przegląd Powszechny” 1926, t. 170, nr 508 - 509.

³ S. Adamczewski, *Sztuka pisarska Żeromskiego*, Kraków 1949, s. 37.

więc u niego nieodmiennie w towarzystwie ironicznych, drwiących lub zjadliwie nieprzychylnych określeń i epitetów. Maurycy Zych, stwierdzający wyraźnie na Chełmszczyźnie cofanie się katolicyzmu pod naporem zorganizowanej ekspansji prawosławia, jako „przyzwoity ateusz” kwituje ów proces, w istocie zagrażający polskiej obecności na tych obszarach, z dość krótkowzroczną satysfakcją: „Któż by żałował zburzonych kościołów, któż by się nie cieszył z rozpędzenia na cztery wiatry wydrwigroszów w sutannach?”⁴ „Wydrwigrosze w sutannach” zabiegają gorliwiej o rzeczy tego świata niż sprawy nieba, są z reguły okrągli, kwitnący, dobrze odżywieni, rozmiłowani w zmysłowych przyjemnościach życia, nad ascetyczne pograżenie się w ciszy wewnętrznego skupienia zdający się wyraźnie przedkładać hałaśliwe uroki bardzo świeckiego towarzystwa. Proboszcz cisowski był to „księżyna zażywny, z oczami siejącymi blask wesoły, z ustami do śmiechu”⁵, jowialny humorysta, siłący się na dowcip „lepszego tonu”, właściciel „zgrabnej gospodyni” i obszernych, wygodnych apartamentów. Ksiądz Anastazy z *Przedwiośnia*, „krępy i zażywny księżulo”, z którego radość żywota i wesołość zdają się tryskać wszystkimi porami jego okrągłej figurki, wyśpiewuje filuterne, francuskie piosenki i wyznaje jedną podstawową regułę życia: *primum edere, deinde philosophari*. Nawet w stosunku do postaci, które w zasadzie obdarzone zostały wyraźną sympatią narratora, nie potrafi on odmówić sobie przewrotnej przyjemności odgroźenia się od nich dystansem drwiącej ironii. Młodziutki kleryk z *Pokusy* był „niewysłowienie dobry, łagodny, przebaczący urazy i nieżnośnie skromny. Jeżeli siadał, to na samym brzeżku krzeselka, jak gdyby się lękał, by w chwili nastąpić mogącego wniebowzięcia o stołek sutanną nie zawadzić — chodził na paluszkach, jakby pod podeszwami sandałów miał mistyczne jakies druciki, chroniące od pyłu ziemi — przemawiał językiem niesłychanie biblijnym, unikał ludzi, szeptał modlitwy na widok dziewcząt wiejskich...”⁶.

Główny zarzut, jaki wytacza pisarz duchowieństwu, jest ten sam, którym szermowali w XIX wieku wszyscy przeciwnicy Kościoła i wojujący ateści: rozbieżność między wzniosłą nauką a zaprzeczającą jej codzienną rzeczywistością zachowań. Począwszy od najwyższej hierarchii, od Namiestnika Baranka Bożego, którego strzegą gwardziści z naostrzonymi bagnetami, od watykańskiej pompy, przepychu i bogactwa, „które [...] się tam z przepchanych kieszeni wylewa i wsiąka znowu w gnojowisko świata...”⁷, a na pospolitym ruszeniu w czarnych sutannach skończywszy. „Głosząc cnoty ewangeliczne wyciągają ostatni grosz z sakiewki wieśniaka”, odsuwając Królestwo Boże w jakąś przyszłość pozaświatową „konserwują siedliska nędzy, twierdze niedoli i [...] ciemnoty, gdyż to wszystko

⁴ *Mogila*, s. 140.

⁵ *Ludzie bezdomni*, s. 134.

⁶ S. Żeromski, *Pokusa*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 78.

⁷ *Uroda życia*, s. 242.

nie przeszkadza zbawieniu”⁸. Sami natomiast zabiegają jak najusilniej o doczesny dostatek, „są karciarzami, opilcami, obżartuchami i rozpustnikami”⁹; z nich to właśnie rekrutują się owi „księża kanonicy tudzież proboszczowie”, włóczący się w orszaku „prześlicznej i jakby coraz piękniejszej nierządniczy, spacerującej w najwykwintniejszych szatach” po kieleckich promenadach i parkach¹⁰.

Jedyny ksiądz, który znalazł łaskę w oczach pisarza, jest nieomal odstępcą i herezjarchą w opinii swej kościelnej zwierzchności. Był przychodniem z ziemi największego męczeństwa, był ze swym ludem w ciemnościach nocy, pośród osaczającego go wroga. „Bóg był z nim” i gdy „wznosił ręce, dusze ludzkie dźwigał ku Bogu”. I dlatego właśnie uczyniono go przywłaszczycielem i rozpustnikiem, i wezwano przed sąd. Sądzą go „prawowierni, piastunowie cnoty, zelanci z tłustych prebend”¹¹. Piotr Rozłucki, który przysłuchiwał się tej sprawie, miał straszliwe wrażenie, że osacza go ze wszystkich stron ogrom „podłości w Polsce. Czuł ją występującą naprzeciwko i nie mógł jej dać rady”. Była jakby „forma bezkształtna, narzucająca swą wielkość i ciężar oraz obłudną miękkość”¹².

Z owym księdzem Wolskim, osądzonym i potępionym przez faryzejski areopag, spotka się raz jeszcze Ryszard Nienaski w *Nawracaniu Judasza*, w czasie owej przygody w górach, z której wyszedł z życiem dzięki pomocy bytujących tutaj w swej pustelni braci. Jednym z nich jest ów Wolski, noszący tu zakonne imię Tytusa. Na pytanie tego mnicha, czy wierzy w moc i przewrotność szatana jako źródło zła w świecie, Nienaski odpowiada porywczo: „Musiałbym chyba dostać [...] obłąkania. Po cóż zresztą? Dość popatrzeć na niewzruszone zło przez wieki i na wieki między ludźmi ufundowane, na nikczemne krzywdy, które człowiek stwarza i nazywa cnotami, na podłości i oszustwa, z których bezczelne a wieczyste prawa są ukute”¹³. I wybucha namiętną inwektywą przeciw instytucjonalnej organizacji Kościoła, który nic nie zrobił dla realizacji wskazań swego Założyciela. „Jesteście [...] jak owa figa, na której, gdy łaknął, nic nie znalazł, oprócz liścia. I przeklął ją — aż uschła. Gdyby dziś przyszedł na tę ziemię i przemierzył ją swymi krwawymi stopami, widząc was, nie znalazłby nic prócz obfitego i wspaniałego liścia, w którym nie rodzi się już nic dla świata”¹⁴.

Źródła antyklerykalizmu Żeromskiego były więc przede wszystkim społeczne i moralne. Kościół instytucjonalny, tak świetnie osadzony w swo-

⁸ Ibid., s. 243.

⁹ Ibid., s. 243 - 244.

¹⁰ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 183.

¹¹ *Uroda życia*, s. 316. Semantyka tego epizodu powieści dopuszcza jednocześnie możliwość odczytania metaforycznego jako zastępczego obrazu tzw. sprawy Brzozowskiego.

¹² Ibid., s. 330.

¹³ *Nawracanie Judasza*, s. 324.

¹⁴ Ibid., s. 326.

im materialnym dosycie i zapobiegliwości, zdający się być zupełnie obojętnym na otaczające go zewsząd morze nędzy, sprzymierzony z rządami i ze światem ludzi bogatych, niewzruszony w swym konserwatyźmie społecznym, wydawał się być zaprzeczeniem idei swego Założyciela. Tu nie było możliwości porozumienia, drogi myślenia i działania zdawały się rozbiegać w przeciwne strony bez najmniejszej nadziei na spotkanie w jakimkolwiek punkcie.

Ale religia to nie tylko instytucje kościelne, pozostawała jeszcze cała sfera teologiczna, owej wielkiej tajemnicy, której eksponentami są wszystkie systemy religijne. Proste odrzucenie religii nie było żadnym rozwiązaniem czy zamknięciem sprawy, ponieważ racjom rozumu przeciwstawiła się ustawicznie niesłychana emocjonalność, buntująca się namiętnie przeciw rzekomo nieodpartym oczywistościom. Życie i twórczość Żeromskiego wypełniała więc od początku do końca swoista psychomachia sił sprzecznych. Z jednej strony były to ponawiane ustawicznie od młodości, od momentu utraty dziecięcej wiary, próby zbudowania jakiegoś zastępczego, agnostycznego światopoglądu, który by odgrodził raz na zawsze od zagadnień „pozornych”, bo z natury nierozwiązalnych, i zamknął w bezpiecznym systemacie prawd oczywistych. To byłoby gwarancją spokoju i pewności, tak koniecznych, by żyć. „Wątpię o wszystkim — nie wierzę w nic — zapisywał w swoim dzienniku. — Nie wiem, czy bóg jest, czy go nie ma, czy dusza jest nieśmiertelną, i nie zajmuje mię zupełnie ciekawa bądź co bądź myśl, czy jest jakieś istnienie po śmierci”¹⁵.

Kategoryczność stwierdzeń tego rodzaju okazywała się z reguły pozorna. Już wówczas, gdy je zapisywał, zdawał sobie sprawę, jak bardzo są w istocie wątpliwe i rozmiijające się z najgłębszymi odczuciami jego ja wewnętrznego, które domagało się „modlitwy, uniesienia bez granic, cichego szeptu duszy z kimś nieznanym, z sercem jakimś nadzmysłowym”¹⁶. Ucieczka od pytań, które rozum zdawał się rozstrzygać tak bezceremonialnie i prosto, okazywała się niemożliwością, aczkolwiek wszystkie próby wytłumaczenia czegokolwiek ujawniały jedynie całkowitą bezradność.

Moje rozumienie było zawsze pomyłką. Każdy uczynek, każdy akt dokonany przez moje serce — chybiał celu. Wszystko zawsze inaczej wypadalo, niżem zamierzył, przewidział, obliczył. Wszystko inaczej się stało, niżem wyśnił. Poza moim logicznym wywodem wszystko szło strunami, swoją własną drogą. Z ciemności nad moje pola spadała burza. Z ciemności wychodziła na mnie śmierć. Czasami kędyś w dali spotykała się linia mojego wymiaru i rysunku z linią innego wymiaru, nie moją — ale tak daleko, w tak nieskończonej odległości, że to mógł zobaczyć jedynie w przywidzeniu. A wtedy było mi już wszystko jedno. Triumf mój bywał tak niewidoczny, niedostrzegalny, że się zamieniał w krótki, mały, samotny półuśmiech, istny punkt geometrów.¹⁷

¹⁵ *Dzienniki II*, s. 14.

¹⁶ *Ibid.*

¹⁷ S. Żeromski, *Pomyłki*, [w:] „*Sen o szpadzie*”, „*Pomyłki*” i inne opowiadania, s. 150 - 151.

Pozorny agnostycyzm, manifestowany wprost czy przez medium powieściowych partnerów, ostentacyjny antyklerykalizm, raz po raz dochodzący w tej twórczości do głosu w zjadliwych, sarkastycznych aluzjach czy portretach osób duchownych, zwieść więc uważnego czytelnika nie mogły. Pod maską gestów nieprzyjaznych tlił wewnętrzny, nie dający się zagłuszyć i pokonać niepokój. Osobowość o strukturze psychicznej Żeromskiego skazana była niejako przez naturę na kontemplacyjne przeżywanie rzeczywistości. Życie objawiało się jako fenomen fascynujący, a zarazem pełen grozy i tajemniczości budzącej lęk. I nie można było o tym nie myśleć, to trwało w podświadomości jako głucha, udręczająca pamięć rzeczy nieznannej, niepojętej, a domagającej się natarczywie odsłonięcia. Niepodobna też przeoczyć i nie docenić formacji kulturowej, która ukształtowała Żeromskiego na mocy prostego faktu urodzenia w tym właśnie a nie innym miejscu Europy i świata. „Cervantes i Shakespeare — pisał Jan Błoński w artykule *Ekumenizm a literatura*¹⁸ — Goethe i Dostojewski przekonywali mnie z cierpliwą starannością, jak trudno europejskiemu pisarzowi przekroczyć krąg mentalny, zatoczony przez chrześcijaństwo”. I nie chodzi tu o teologię, określone wyznanie czy nawet wiarę, lecz o „substancje, które z tej wiary biorą początek”. „*Sacrum* jest kapryśne, zjawia się niespodziewanie” i objawia się niekiedy w utworach, „które trudno nazwać chrześcijańskimi, które nie zasługują nawet na miano religijnych, zdradzają jednak w swej myślowej i także literackiej (np. fabularnej) strukturze jawną lub dyskretną zależność od chrześcijańskich wzorców”¹⁹.

Istotę *sacrum* stanowi odczucie czegoś, „co budzi grozę i przyciąga jednocześnie [...] coś niepoznawalnego [...] co żyje w każdej religii jako najbardziej skryte”²⁰. Jest to tajemnica wymykająca się właściwie możliwości całkowitego poznania. Człowiek postrzega pewne zagadkowe przejawy, ale „rozpoznaje jedynie to, że poza znanym, swojskim i podległym jest coś nierozpoznanego, tajemniczego i przynajmniej niezależnego, jeśli nie uzależniającego od siebie. Próby dochodzenia do tego, czym jest to nierozpoznawalne i tajemnicze, i uzależniające [...] nie dają zadowalających rezultatów”. *Numinosum* jest dla bezpośredniego wyrażenia nieosiągalne, „słowa go nie ujmują, wzrok gaśnie, słuch zawodzi”²¹.

Niemniej *sacrum* może być w dziele literackim przywołane pośrednio na różnych poziomach organizacji utworu: poprzez słowa należące do rodziny znaczeniowej terminów sakralnych, przez cytaty z ksiąg świętych, liturgiczne formuły, przez stylistykę przejętą z pism religijnych *sensu stricto*, poprzez większe całości znaczeniowe i figury semantyczne jak obrazy, sce-

¹⁸ W książce zbiorowej *Sacrum w literaturze*, Lublin 1980, s. 29.

¹⁹ *Ibid.*, s. 32.

²⁰ S. i T. Cieślakowscy, *Sacrum i maska, czyli o wypowiedzianiu niewypowiedzianego*, [w:] pr. zbior. *Sacrum w literaturze*, jw., s. 67.

²¹ *Ibid.*

ny, postaci, sekwencje zdarzeń, wątki fabularne²². To wszystko można znaleźć u Żeromskiego.

Wśród wielu pomyłek i zbłąkań myśli, szukającej po omacku pośród oceanu ciemności, jedna sprawa nabierała w odczuciu Żeromskiego wagi szczególnej, niepodobna jej było w sposób zadowalający rozstrzygnąć i nie można się było od niej raz na zawsze uwolnić, a jednocześnie poprzez myśl o niej to, co wiadome, stykało się z tym, co numinotyczne, nieznanne — zagadka śmierci. Żeromski dobrze wiedział, że dla rzeczywistego agnostyka jest to problem nie istniejący. Ustami Łukasza Niepołomskiego przywoływał wielkie nazwisko Sokratesa, który „wcale nie zajmował się [...] śmiercią”, uważając ją „za noc głuchosenną”, „bez marzeń, wzruszeń”, cierpienia i radości. „Skoro zaś śmierć — usiłował dowodzić Ewie Niepołomski — jest tak powszechnym zjawiskiem, więc nie rozmyślać o niej należy [...] lecz zapomnieć”²³.

Niepołomski nie jest oczywiście w tej sprawie *porte-parole*, sobowtórem pisarza. Myśl o śmierci przewija się obsesyjnie przez całą twórczość Żeromskiego, świadcząc o głęboko emocjonalnym i dramatycznym przeżywaniu problemu, którego nie sposób było zagłuszyć czy unicestwić żadnym sofizmatem, żadnym racjonalnym wywodem i który jako fakt nieodwołalny rzucał ponury cień na całość życia, wydając się niezrozumiałym absurdem, jakąś niepojętą pomyłką w cudownym, olśniewającym swą doskonałością porządku natury. Jest to ten straszliwy dysonans w dziele stworzenia, który uświadamia sobie pani Ewa z opowiadania *Tabu*, siedząc nad wodą pełną blasków słonecznych, miłosnych drzeń młodych, wiosennych traw, schylających się nad jej przezroczytym lustrem. „Gdybym tu umarła w tej chwili, gdybym się zsunęła w wodę i utopiła, pożarłyby mię raki i robactwo, a ta woda igrałaby nade mną tak samo cudownie, te ryby tak samo by się pluskały i ta rozkosz, co idzie z rozkwitłej ziemi, szłaby tak samo dla innych”²⁴.

Tę straszną egzekucję, którą śmierć wykonuje na wszystkim, co istnieje, odczuwa tak boleśnie również panna Joasia, szukająca śladów dawnego życia. „Gdzież oni są? W co się obrócili? Dokąd odeszli z tego miejsca?”²⁵ Przeszywająca świadomość istoty rzeczy i przypadający tuż za nią lęk śmiertelny, jakiego doświadcza Nienaski w pierwszym dreszczu choroby. „Przypadł na duszę postrach ostatniej minuty, przed którego wysłowieniem język zamiera. Cuchnący smród własnego zgnicia zadławił wszelkie czucie. Zgasło spojrzenie [...] Żal bezsilny zatrzepotał się nad nicością i runął w cuchnącą rozpadlinę pod sobą”²⁶. *Pavor nocturnus* Korzeckiego, ta godzi-

²² Ibid., s. 82. Zob. też K. Dybcia, *Literatura wobec religii — izolacja czy przenikanie*, „Znak” 1977, nr 281 - 282.

²³ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 73 - 75.

²⁴ S. Żeromski, *Tabu*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 279.

²⁵ *Ludzie bezdomni*, s. 201.

²⁶ *Nawracanie Judasza*, s. 307 - 308.

na nie dającej się wyrazić trwogi, gdy staje nad nim „to bezosobowe widmo [...] W języku ludzi nie ma na to imienia [...] Tylko straszliwa muzyka Beethovena czasami roztworzy podwoje tego cmentarza, gdzie w skrwa-wionych dołach leżą obdarte trupy, gdzie w nocy wiecznej wyje płacz jakiejś istności ludzkiej, która straciła rozum i błądzi, błądzi, błądzi bez końca, szukając ratunku”.²⁷ Nie bać się „zstąpienia do grobu” wydawało się jedyną miarą siły i wielkości człowieka; umieć pokonać w sobie tę wszechwładną myśl, osiągnąć to, co wydaje się być przeciw naturze, „obudzić się ze snu i śmierć, gdyby stanęła przy [...] wezgielciu, powitać z takim samym uśmiechem, jak kwietniowy poranek”²⁸.

Wśród wszystkich utrapień i udręczeń, jakie są nieodłącznym składnikiem egzystencji, śmierć wydawała się przeto złem najbardziej absurdalnym, niezrozumiałym. Raz po raz przewija się więc poprzez myśli bohaterów Żeromskiego to odwieczne pytanie, które stało się przedmiotem dysputy św. Augustyna z kapłanem manichejskim Fortunatem, przypomnianej w rozmowie księcia Gintuła z de Withem: *unde sit malum?* skąd jest zło? kto wymyślił śmierć?²⁹ „Kto trudzi się [...] kierowaniem cichej śmierci ku gniazdom człowieczym i słowiczym?” Kim jest ten „tajemniczy sprawca”, „nieśmiertelny wróg”, który przez nieskończoność czasu czatował w górach, aby strącić w przepaść młodzieńca u progu życia?³⁰ Pani Rudecka pograżała się chwilami w skamieniałym martwym myśleniu. Straciła męża, dwaj synowie przepadli w powstaniu. Jednego rozniesiono ciosami szabel tak okrutnie, że nawet jego szczątków znaleźć nie mogła. „Drugiego widziała w śmiertelnym gźle”, jak go „bez trumny spuszczano w pospólny grób”. Trzeci „był jeszcze kędyś w polu”, nie wiadomo, żywy czy martwy. Oczy jej, nie widzące niczego, co się wokół niej działo, patrzyły w puste, bezmierne pola, „w dalekie, leśne doły, a może zuchwale w niedosięte oczy straszliwego Boga”³¹.

Na pytania i na myśli tego rodzaju nie było żadnej odpowiedzi w żadnym języku; tłumaczenie, jakie przynosiła religia, budziło opór i wydawało się być sprzeczne z instynktownym odczuciem ludzkim. Ryszard Nienaski, widząc radość braci z powodu śmierci jednego z nich, „uczuł wstrząśnienie odrazy, poryw do życia i nienawiść do tej czci śmierci”³². W tym sprzeciwie, a jednocześnie w uporczywym, obsesjonalnym powracaniu do nieuśpieliwej, natrętnej, nękającej myśli, było w istocie, wbrew pozorom, przeżywanie rzeczywistości na wskroś religijne. O religijności bowiem decyduje przede wszystkim powaga, z jaką traktuje się w świecie twórczości Żerom-

²⁷ *Ludzie bezdomni*, s. 311.

²⁸ *Ibid.*, s. 310.

²⁹ Zob. *Popioły*, t. 2, s. 41 - 43.

³⁰ *Pomyłki*, s. 151.

³¹ *Wierna rzeka*, s. 118, 128.

³² *Nawracanie Judasza*, s. 361 - 362.

skiego ową zagadkową dziedzinę spraw ostatecznych. „Bez względu na to — pisał James w swych *Doświadczeniach religijnych* — w jaki sposób odpowiemy na [...] pytania oddzielne, związane z naszym przeznaczeniem osobistym [...] stosunek nasz do nich jest głęboki tylko wówczas, gdy traktujemy je poważnie i nie wahamy się żyć w tych dziedzinach duchowych, które pytania te przed nami otwierają. Żyć w ten sposób — to znaczy być religijnym³³. Na odczuwanie zjawiska, choćby nawet bezwiednie, w kategoriach doświadczenia religijnego, wskazuje też swoisty antropocentryzm metafizyki Żeromskiego. Religia jest w istocie dążeniem ludzkim do zachowania egzystencji, „główną podniętą religijną na wszystkich stopniach rozwojowych jest zawsze tylko miłość życia”, wszyscy bogowie i wyznania schodzą się w poszukiwaniu zbawienia. „Na zbawienie zaś składają się: poczucie zła”, a więc również zła śmierci, oraz „wyzwolenie się od niego. Poczucie zła [...] jest stwierdzeniem, że wokół nas czy w nas samych nie wszystko jest, jak być powinno. Wyzwolenie zaś polega na tym, że od zła zbawia nas wyższa jakowaś potęga, z którą w sposób właściwy weszliśmy w stosunek”³⁴.

Świat Żeromskiego jest światem religijnego niepokoju, osobowość twórcza, jaka się w tym świecie objawia, sprawia wrażenie duszy niepokornej, zbuntowanej, wewnętrznie rozdartej między nadzieją a rozpaczą, głęboko nieszczęśliwej, wątpliwej, nie mogącej się zdobyć na akt wiary bez zastrzeżeń, w całkowitej ufności, a w istocie rozpaczliwie poszukującej jakiejś siły nadziejskiej, która uciszyłaby niepokój znękaney myśli. Jest to przeżywanie istnienia w pełnym tego słowa znaczeniu religijne, gdyż dla myślenia religijnego każdy „byt staje się bezsensowny”, jeśli nie potrafimy znaleźć ostatecznego „źródła całego szeregu przyczynowego w przyczynie pierwszej, w przyczynie absolutnej, w której wypoczywa nasza myśl, gdzie odpadają wszelkie dalsze pytania i skąd promieniuje na wszystko jasne, czyste światło”³⁵.

Toteż świat Żeromskiego jest wbrew pozorom rzeczywistością, w której obecność *sacrum* dostrzegalna jest na różnych poziomach organizacji dzieła. Objawia się w szczególnej fascynacji niektórymi, zapamiętanymi jeszcze z czasów dzieciństwa formami liturgii i obrzędowości religijnej. Szczególnie trwale wyłobily się w pamięci doznania przeżywane pod wrażeniem siły i potęgi pieśni kościelnych i było to nie tylko proste echo wzruszeń czasu wczesnej młodości, gdy słuchało się tych śpiewów w leśnych kościółkach Świętego Krzyża ani wspomnienie zapisane jedynie we wrażliwości estetycznej, lecz rzeczywiste wczucie się w stan duszy, którego ów śpiew stawał się wyrazem. Piotr Rozłucki w czasie pobytu u stryjostwa w Cier-

³³ W. James, *Doświadczenia religijne*, Warszawa 1958, s. 452.

³⁴ *Ibid.*, s. 458 - 459.

³⁵ H. Höffding, *Filozofia religii*, Warszawa 1935, s. 31.

niach, uczestnicząc w nabożeństwach niedzielnych czekał przede wszystkim na chwilę, gdy śpiewano całym kościołem ową „pieśń-potęę”: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny”.

Pieśń uderzała w sklepienie kościelne, zdawała się wyważać zamknięte drzwi i wyłamywać okna. Nieuczony, potężny, jednolity głos tłumu podrywał się z ziemi jak ptak, rozpościerał skrzydła i szybował ku niebu [...] Pieśń wypominała klęski, które spadają na plemię ludzkie, na sioła przyziemne [...] Ciemne, straszliwe, nieme dzieje chłopstwa, znaczone stygmatami „powietrza” — poryte legendarnymi klechdami o męczarniach „głodu” — rozświetlone nocną żagwią „ognia” — i pamiętające dziki, przeraźliwy tętent „wojny” — wzywały o pomoc do Tego, co żywych może zachować.³⁶

Pieśń nabożna, błagalna, wypływająca z głębin niedoli i cierpienia ludzkiego, jest w świecie Żeromskiego tą szczególną formą modlitwy, w której najgłębiej przeistacza się dusza nawiązując jak gdyby tajemniczą, mistyczną więź z jakimś anielskim bytem zaświatowym. Cezary Baryka, jeszcze w czasie przed swym ostatecznym zbolszewiczeniem śpiewał niekiedy na chórkę małego bakińskiego kościółka starą i znaną pieśń: „O, Panie, co losy ludzkości...”. „Gdy się zaniósł od samotnego śpiewu, chwyciło go coś za serce. Niepojęta, głucha tęsknota za ojcem sięgnęła do ostatecznej głębi w jego duszy. Czuł, że lada chwila zanieś się od płaczu. Śpiew jego stał się przejmujący i piękniejszy ponad wszelką pochwałę”, było to zaiste „wieszczanie ponadludzkie” i „modlitwa przed Panem”. „Zdawało się słuchaczom, że to anioł niebiański zstąpił z kościelnego obrazu, stanął przy klawikordzie i zaśpiewał za grzesznych ludzi pieśń błagalną”³⁷.

Niektóre wątki zdają się potwierdzać perseweracyjny charakter wyobraźni twórczej pisarza, polegający na ustawicznym nawrocie wątków w ciągle innych wersjach i funkcjach: jako znak tytułowy rozdziału lub całego utworu, jako wspomnienie inkantacji liturgicznej czy też osobista modlitwa. Takim wątkiem ustawicznie powracającym są słowa starego psalmu „Asperges me, Domine, hysopo...” — „Pokropisz mnie, Panie, hysopem i będę czysty, obmyjesz mnie i ponad śnieg bielszy się stanę...”. Słowa i wspomnienia z nimi związane, z których jak gdyby w zawstydzeniu tłumaczy się przed Judymem Korzecki:

— Czasami przychodzi skądś taki obraz nieoczekiwany. Uczucie jakby spod ziemi [...] stary kościół w górach [...] zapach ziół, zboża, leszczyny [...] bo to 15 sierpnia. Ksiądz intonował: „Asperges me...” i odchodził na kościół [...] tym jakby wygonem [...] pośrodku chłopów. Kropił na prawo i na lewo, wolno wznosząc rękę [...] Krople wody święconej... Święte, chłodne krople [...] melodia błagająca, ufna, ten śpiew dziecka, to westchnienie duszy prostej, która się nie boi... Czy pan nie widzisz, że z głębi tych wyrazów patrzą na niebo oczy wyteżone, zalane łzami?³⁸

Słowa liturgii odczuwane są tu w ich najgłębszym znaczeniu, nie chodzi tu jedynie o wspomnienie piękności starego kościelnego obrzędu, lecz o sens

³⁶ *Uroda życia*, s. 287.

³⁷ *Przedwiośnie*, s. 24.

³⁸ *Ludzie bezdomni*, s. 306 - 307.

jego nadzmysłowy, jest to modlitwa duszy pragnącej oczyszczenia. Tak samo marzy Ewa Pobratyńska: „Zobacz mię, Panie, grzeszną i dźwignij mię z prochu ziemskiego”³⁹; tak samo odczuwa zbawczą i uświęcającą siłę tego śpiewu Wincenty Rudomski z dramatu *Ponad śnieg bielszym się stanę*: „Czy słyszysz — stara się to uświadomić Helenie — czy czujesz zamkniętą w tych przenajświętszych wyrazach ostatnią radość serca, które jest przebite na śmierć i radości już innej nie zazna, najwyższe szczęście, jakie może być w sercu człowieka ponad niezgruntowanymi wodami boleści...”⁴⁰.

W *Ludziach bezdomnych* jest znamieny zapis w dzienniczku Joasi z nocy wigilijnej. Piękno tej nocy, jej wyjątkowy czar, poczucie niezwykłości tych godzin, o których się wie, bo to jest zakodowane od wieków w archetypicznej podświadomości pokoleń, że są chwilą łaski szczególnej, staje się podłożem modlitewnego westchnienia:

Wróciłam z pasterki [...] Mróz. Sypki śnieg iskrzy się i chrupi pod nogami. Z mojego okna widzę tylko dachy ze srebra. Szeregi zaczarowanych pałaców stanęły w biednej dzielnicy [...] Jest coś dziwnego w tej nocy jasnej, w tej nocy czystej [...] Już chyba wszystkie walki ze znużenia w tej ciszy ustały i żelazna pięść przemocy osłabła z żalu [...]

Gdyby w tej chwili zbójca chciał sztylet utopić w piersiach swojej ofiary — zemdlałaby mu ręka. Bo teraz aniołowie zstępują z niebios na ziemię i tułają do serc przezczystych westchnienia skrzywdzonych ludzi [...]

W żłobie, gorzej niż niemowlę ubożego parobka, leży ten, o którym mówił Izażasz, że „uderzy ziemię różgą ust swoich”. Może to Jego Królestwo już się zaczęło, może już idzie „rok Pański wdzięczny”. Niech się umocnią dusze cierpiące dla dobra wielu, niech wytchną, Panie...⁴¹

To nieomal mistyczne odczucie bezpośredniego związku świata niewidzialnego z widzialnym jest jednym z wyraźnych wskaźników postawy najoczywistej religijnej. Religijne odczucie świata polega bowiem na wierze w porządek wyższy, choćby nic w planie rzeczywistości zmysłowej, myśleniu racjonalnemu dostępnej, jego faktycznego istnienia nie potwierdzało⁴². Wiara ta oparta jest na pewności wewnętrznej, bezpośredniej i niewyrozumowanej, której nic, najrzeczniejszy nawet wywód racjonalistyczno-logiczny zagrozić nie może. Jest to czucie intuicyjne, absolutne, coś, co w nas w i e i wobec czego wszelkie rozumowanie jest tylko przejawem powierzchownym. „Prowadzą instynkty, inteligencja tylko idzie za nimi”⁴³.

Tej dotykanej nieomal obecności świata niewidzialnego, bezpośredniego działania w życiu własnym istot najbliższych, nie żyjących już, a zatem przychodzących z obszarów jakiejś niedocieczonej tajemnicy, doświadcza

³⁹ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 31.

⁴⁰ S. Żeromski, *Ponad śnieg bielszym się stanę*..., Warszawa—Kraków 1926, s. 95.

⁴¹ *Ludzie bezdomni*, s. 178 - 179.

⁴² W. James, op. cit., s. 51 i n.

⁴³ *Ibid.*, s. 70.

wielu bohaterów Żeromskiego. Podźwignięty siłą modlitwy ze swej sierocej niedoli Marcinek Borowicz zaczął odczuwać niemal żywą obecność obok siebie umarłej matki. „Jego [...] matka — żyła, wiedziała o wszystkich troskach, smutkach i radościach. Nieraz odzywał się w głębi jego duszy jej głos jako dobre postanowienie albo trzymał go niby ręką. Marcinek nie miał wówczas dawniej odczuwanych niepokojów i żalów [...] wiedział dobrze, że mu włos z głowy nie spadnie”⁴⁴.

Można by to uznać za naiwne złudzenie dziecka, gdyby był to w świecie pisarskim Żeromskiego fakt jednostkowy i odosobniony, ograniczony do tej pierwszej, młodzieńczej powieści o naiwnym i uroczym dzieciństwie. Ale tego dotknięcia niewidzialnej ręki doświadczają też osoby zaprawione choćby z racji swego zawodu do ścisłego, konkretnego, materialistycznego myślenia lub starzy grasanci i krętacze, wyszargani po wszystkich nędzach i łotrostwach życia, w których dawno zamarło czucie spraw wyższych. Doktor Zenon z opowiadania *Złe spojrzenie* w straszliwym upadku ducha po stracie syna-młodzieńca, w najcięższych chwilach, gdy miał wykonać jakąś rzecz szczególnie trudną, podjąć decyzję wyjątkowo odpowiedzialną, „odwoływał się do pomocy [...] zgasłego syna”. I oto „na wezwanie modlitewne, na westchnienie z samej głębi trzewiów i jestestwa, jakby na skutek rozpeknięcia się serca — zawsze przybywał niewidzialny. Samego nie było ani widać, ani słyszeć, ani czuć, ani można dotknąć, ani niczym zewnętrznym czy wewnętrznym objąć — a przecie objawiał się w czynnej pomocy, w tajemnicy współdziałania. Utwierdzał lub osłabiał powziętą myśl, mocno i nieodwołalnie rozstrzygał decyzję, niemal podsuwał i prawie kierował narzędziem”⁴⁵.

Ostatecznym i decydującym impulsem nawrócenia starego grzesznika w *Charitas* jest widok umarłego Włodzimierza Jasiołda, którego życie było czyste, a śmierć bohaterska. Wobec tych młodzieńczych zwłok wszystko stawało się dla pana Granowskiego wiadome i oczywiste, co należało postanowić, co powinien był zdziałać. „Gdy tak w szczególnym przyćmieniu zmysłów patrzył na przepiękną twarz Włodzia, nagle owiała go radosna myśl, tchnienie jakieś szczęśliwe [...] Radosny śmiech, wzburzenie ducha, które się z Boga rodzi [...] trzęsło się w jego piersi i wyrывało na usta”⁴⁶. Myśl rozjaśniająca wszystko, że „nie ma umarłych, są tylko umierający”, napełniła go nieomylną pewnością, jakby zmarły uczył go i wskazywał swoim przykładem, jak należy żyć i jak umierać.

Jest w świecie Żeromskiego bardzo silna świadomość dysharmonii i rozdwójnienia natury ludzkiej. Jakby zgodnie z nauką Kościoła na tle doskonałości stworzenia, w którym wszystko dostosowane jest bezbłędnie do wyznaczonych sobie celów, jednym dysonansem jest człowiek. Krew płynąca

⁴⁴ *Szyfowe prace*, s. 118.

⁴⁵ *Pomyłki*, s. 158.

⁴⁶ *Charitas*, s. 356.

w żyłach ludzkości jest krwią zepsutą, zbuntowaną. Stąd ów rozdział i rozdźwięk między świadomością dobra, szlachetnością porywów, a dziwnie uporczywym pożądaniem i dążeniem do zła⁴⁷. Ewa miała takie uczucie, jakby „szła po ruchomej i sypkiej granicy między dobrem i złem, jakby po grani wapiennej Giewontu”. Jej dawna czystość i niewinność pozostała tylko mglistym wspomnieniem, „patrzyła obojętnie, jak dusza dawna, dusza miniona — szatanieje”⁴⁸. „Jest w człowieku, w więzieniu serca zamknięty anioł i zamknięty szatan”⁴⁹. Jest straszliwa niepewność i chwiejność wobec tajemniczych impulsów, które podnoszą się z dna duszy jednako skłonne przechylić się w przeciwne strony. „Często [...] nie wiem, co jest dobre, a co złe — zapisze w swym dzienniku Joasia. — Zdaje się, że nie «złego» nie robię, ale też żadnej nie mam pewności, że takie sprawowanie ma jakąkolwiek wartość. Chwilami wydaje mi się, że «dobrym» uczynkiem byłoby właśnie wręcz coś innego”⁵⁰.

Zło pojęte jest tu nie w kategoriach społecznych, lecz indywidualnych, a więc jako grzech, „jedyna własność osobista jednostki”⁵¹. Definicja grzechu, jaką posługuje się Żeromski, mieści się zasadniczo w kategoriach dogmatyki katolickiej. Na zapytanie Ewy skierowane do spowiednika: „A co jest grzech?” i w jaki sposób go poznać, otrzymuje odpowiedź: „Grzechem jest zły czyn [...] dobrowolny [...] Grzechem [...] jest obraza Boga [...] Przyczynę grzechu stanowi rozum i wola [...] wyobraźnia i pożyteczność [...] niewiadomość i złość”⁵². A więc *malum Dei*, obraza i zaprzeczenie Boga; wola skierowana ku dobru, które jest dobrem fałszywym, a więc *delectatio morosa*; pomyłka rozumu, błędne rozeznanie — *motus concupiscentiae*; poruszenie namiętności — *desideria prava*, pragnienia grzeszne i płynąca stąd nieprawa radość⁵³.

Siła grzechu polega na jego przewrotnym pięknie. Nawet Joasia, która zaledwie przeczuwa jakies „łotrstwa [...] pełne okrucieństwa i hańby, w których kobiety biorą udział”, nie mogąc oprzeć się pokusie przeczytania raz jeszcze *Elégiés amoureuses* Owidiusza i znajdując w nich „karty niepojęte, straszliwe w swym nadludzkiem cynizmie”, odkrywa jednocześnie w owych „ohydach” jakąś „cudną poezję”, która ulatuje „z tych kart starych [...] jak zapach mocnych perfum czy przed tysiącem lat zerwanych róż”, co „wieńczyły skronie poety”⁵⁴. Na wspomnienie twarzy, oczu i uśmiechu Łukasza Ewa czuła „nieugaszone pragnienie wieczyście nowego [z nim] grzechu [...] Myśli rozpierzchły się w nicość. Zostało tylko

⁴⁷ Zob. Bougaud, *Chryścianizm i czasy obecne*, cz. 3, Poznań 1932, s. 155 - 159.

⁴⁸ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 132 - 133.

⁴⁹ *Ibid.*, t. 2, s. 194.

⁵⁰ *Ludzie bezdomni*, s. 180 - 181.

⁵¹ Zob. motto do dramatu S. Żeromskiego *Grzech*, Warszawa 1950, s. 5.

⁵² *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 24.

⁵³ Zob. A. Borowski, *Teologia moralna*, Włocławek 1945, t. 2, s. 189.

⁵⁴ *Ludzie bezdomni*, s. 170 - 171.

drzenie spalonego ciała [...] On jeden był i jest na świecie”⁵⁵. Grzech jawi się w marzeniu jako błękitny przestwór, który zewsząd ogarnia, jak zapach wiosennych kwiatów⁵⁶.

Z przyzwolenia na grzech rodzi się szczególnie fatalizm. „Grzech woła. Wszystko się płacze, owija się wokoło ciała, jak nieskończenie długie bąbdyle błotnych grzybieniów”⁵⁷. Ewa miała „poczucie władzy nieodwołalnych wypadków”, które „poza wszelką siłą i wbrew wszelkiej woli” prowadziły „duszę coraz dalej i dalej w kraj subtelnej ciemności”⁵⁸. Potężna, obezwładniająca pokusa grzechu przybiera w odczuciu Ewy postać szatana, jakiejś diabelskiej siły, której niepodobna się oprzeć. Ostatni odruch woli, usiłującej się wyrwać ze stanu niepojętej niemocy, okazuje się bezsilny. „Zapytana w owej chwili, odpowiedziałaby bez wahania, że to szatan szkarłatnymi skrzydłami okrył jej duszę”⁵⁹. To samo powtórzy przed Szczerbicem: „Straszna jest władza grzechu. Diabeł mię opatrzył błogosławieństwem, utulił, uciszył, tchnął we mnie ducha [...] Idę wśród świata pod cieniem szkarłatnych skrzydeł jego siły. Była taka jedna chwila w kościele, kiedy mię ten demon zgwałcił. Od wszystkiego uciekłam i ode mnie wszystko uciekło”⁶⁰. Będąc już we władzy Płazy i Pochronia Ewa miała dziwne wrażenie, że jest szatanem, „a z ramion jej wyrastają dwa olbrzymie szatańskie skrzydła — Płaza i Pochroń”⁶¹.

Są to subiektywne odczucia postaci, ale jednocześnie szatan wydaje się być rzeczywiście obecny w świecie twórczości Żeromskiego i pojęty w zasadzie zgodnie z katolickim rozumieniem istoty i charakteru tego zbuntowanego anioła. Nie wpływa on nigdy bezpośrednio na postanowienia i wolę ludzką, lecz działa poprzez zaciemnienie rozumu, przez pobudzenie wyobraźni⁶². Jest owym innym, obcym głosem, który w głębi człowieka podaje w wątpliwość wszystkie prawdy, unicestwia wszelkie nadzieje. Jest to głos, który okrąża i osacza Rafała, wrzuconego w ciemnicę lochów więziennej katowni po straszliwej tragedii w górach: „Wyrwę ci z serca ostatnią pociechę [...] Otoczę cię trwogą tak nieprzejrzaną, jak ciemność głębokiej nocy [...] spuszcze na cię [...] smycz zgłodniałych nędz aż do nieznannej, aż do ostatniej, której jeszcze nawet wśród snu ciężkiego nie oglądałeś w mglistym przecuciu”⁶³. Jest to ten sam „Wielki Dreszcz”, który przeszywa na wskroś Nienaskiego ukazując mu daremność i śmieszność wszystkich jego uczynków: „Cokolwiek wszcząłeś, przecie się w proch rozsypało [...]

⁵⁵ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 318 - 319.

⁵⁶ *Ibid.*, s. 125.

⁵⁷ *Ibid.*, t. 2, s. 86.

⁵⁸ *Ibid.*, t. 1, s. 220.

⁵⁹ *Ibid.*, s. 85.

⁶⁰ *Ibid.*, t. 2, s. 84.

⁶¹ *Ibid.*, s. 141.

⁶² Zob. A. Borowski, op. cit., s. 324 - 325.

⁶³ *Popioły*, t. 2, s. 98.

Ilekcję co «dobrego» wszcząłeś dla nich, dla braci, cóż zostało «dobrego»⁶⁴. W wielkiej scenie kuszenia z *Wiatru od morza* szatan jawi się Wojciechowi przede wszystkim jako siewca zwątpienia. Wszystko wydawało się fałszem: czystość moralna jego misji, ubóstwo, wzdarga świata, nawet dążenie do świętości, ostateczny sens i jedyne usprawiedliwienie całego życia. Duch Wojciecha zdaje się spoczywać na najgłębszym dnie totalnej klęski, a jego ciało staje się więzką bezsilnej materii, drżącej w śmiertelnym lęku. Jest to chwila najwyższego triumfu Smętka-szatana.

Cechą charakterystyczną świata twórczości Żeromskiego jest jego rozdwój, rozdarcie, ambiwalencja nastrojów i pożądań, jaka rządzi tym światem. Zapaściom duszy, jej zbrukaniom i poniewierce towarzyszy więc żal za utraconym stanem niewinności i pragnienie odzyskania pierwotnej czystości serca. Droga do oczyszczenia wiedzie przez cierpienie i przez pokutę, a więc zgodnie z nakazami, jakie przekazują wszystkie religie, z odczuwaną powszechnie przez człowieka psychologiczną i moralną potrzebą uwolnienia się od ciężaru kłamstwa i oparcia swego życia na wewnętrznej podstawie prawdomówności⁶⁵. Ewa Pobratyńska analizując drogi i przyuczyny swego upadku doświadcza owych chwil szczególnej iluminacji, w których odsłaniają się przed nią wszystkie motywy zdarzeń i jedyna konieczność postanowień, która może wyprowadzić ją z błędnego kręgu. „Podeptałam wszystko, co było na mojej drodze. Podniosłam rękę na Boga. I odstąpiła mię łaska [...] Za zniewagę Boga dźwigam na ramionach moje cierpienie [...] Z niego wyrasta, jedynie z niego, najcudniejszy kwiat ziemski: skrucha. Ze skruchy, jakoby z kwiatu, ulata zapach: mądrość pokuty. A z pokuty staje się tajemniczo — świętość”⁶⁶.

To samo olśnienie, przychodzące nie wiadomo skąd i prostujące wszystkie zbłąkania i pomyłki całego życia, staje się udziałem starego grzesznika z *Walki z szatanem*, pana Granowskiego: „W głębokich mrokach [...] nocy rozlegał się nad duszą starego człowieka głos, nie głos, jakoby pukanie w ośliżłą ścianę, w mur, przegryziony zaskórnymi wodami. Nie wiadomo było, jak to nazwać. Wreszcie ozwało się raz, drugi, trzeci to świetliste, radość w sobie niosące wezwanie, to ciche słowo podpowiednie: — Pokuta! Pokuta! Pokuta!”⁶⁷

Jednym z najistotniejszych elementów religijnego przeżywania rzeczywistości jest odczuwanie jakby bezpośredniego, prawie zmysłowego posiadania i obecności Boga⁶⁸. Jest to odczucie bardzo bliskie wielu postaciom Żeromskiego. Zwłaszcza na dnie najgłębszego upadku ducha, w nieszczęściu, w cierpieniu, w obliczu śmierci lub śmiertelnego zagrożenia doznają oni jakby łagodzącego i uśmierzającego dotknięcia czyjejs niewidzialnej

⁶⁴ *Nawracanie Judasza*, s. 306.

⁶⁵ W. James, op. cit., s. 419.

⁶⁶ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 320 - 321.

⁶⁷ *Charitas*, s. 334.

⁶⁸ Zob. W. James, op. cit., s. 61.

ręki. Chłop, któremu odjęto nogę i grozi mu następna podobna operacja, doświadcza nagle w swoim „mściwym nieszczęściu” jakiejś kojącej pociechy, w której kryła się „dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość [...]; leżał [...] na swym tapczanie i szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonego morza uśmierzając burzę...”⁶⁹.

Po niepowodzeniach szkolnych, w smutnym swoim sieroctwie Marcinek Borowicz odnajduje pociechę w nagłym, gwałtownym przypiływie pobożności. W ciemnym przejściu pod chórem pustej i zimnej katedry, u stóp ukrzyżowanego Chrystusa, codziennie rankiem, przed lekcjami, przedstawiał swoje troski i zmartwienia chłopięce. To nagle rozwinięcie się duszy w jakimś mistycznym kontakcie z Tajemnicą zaziemską przeobraża i do gruntu zmienia całą wewnętrzną sytuację młodocianego zelanta. Było to jakby zbudzenie się „do życia istoty martwej [...] w duszy Marcinka z niczego wyrosło uczucie nieznanego, cudowny kwiat wieku dziecięcego: ufność. Roztoczyła ona dokoła chłopca jak gdyby nadziemski zapach”⁷⁰. A nade wszystko ta pobożność słodziła jego sieroctwo. Nie był już sam, „nie czuł żadnego opuszczenia [...] Był to cudowny sen na łonie Boga”⁷¹.

Na Rafała Olbromskiego, leżącego na kamiennym dnie więziennego lochu jakby w ostatecznej władzy szatana spłynęło nagle wspomnienie stron rodzinnych, a wraz z nim jakby tajemnicze dotknięcie czyichś rąk błogosławionych. Serce przestało szaleć, burzyć się, szarpać, „jak niewolnik w łykach”. Czuł, że głowa jego „spoczywa jakoby na czyjejś dłoni dobrotliwej, zaznając ciszy i nicości”⁷². Stary Berto przywołując Boga „na świadka i sędziego” wszystkich trosk „śwego żywota”, „mocą modlitwy” sprowadzał „Go tak blisko siebie, iż czuł niewysłowioną łaskę i bezgraniczną ulgę Jego opieki”⁷³.

Ostatecznym kresem owego odczucia bezpośredniej bliskości Boga byłaby identyfikacja, tożsamość, zlanie się przeżywającego podmiotu z Istotą Boską. „Szczytem rozwoju mistycznego jest przekroczenie wszystkich zwykłych przegród pomiędzy jednostką i Absolutem”, to — w języku Pawłowym — „nie ja żyję, lecz Chrystus żyje we mnie”⁷⁴. Moment takiego właśnie przeistoczenia opisał Żeromski w *Wietrze od morza* w scenie śmierci Wojciecha. Gdy szatan-Smętek zdaje się mieć jego duszę ostatecznie zlaną i schwytaną w swoim potrzasku bez żadnej możliwości wymknięcia się z jego uchwytów, staje się coś nieoczekiwanego. W obliczu śmierci dusza Świętego odzyskuje swą moc.

⁶⁹ S. Żeromski, „Cokolwiek się zdarzy — niech uderza we mnie”, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 46.

⁷⁰ *Szyfowe prace*, s. 117.

⁷¹ *Ibid.*, s. 118.

⁷² *Popioły*, t. 2, s. 99 - 100.

⁷³ *Charitas*, s. 57.

⁷⁴ W. James, *op. cit.*, s. 379.

Wielkie męstwo, owoc dojrzały cnót uprawianych w ciągu życia długiego, ocknęło się z omdlenia. Uspokoilo się serce. Radość prosta, mocna i górna roześmiała się w piersiach, a uniesienie nieopisane zamieszkało w ciele. Gdyż w ciału postronkami związane wstępował Chrystus Pan, kroczący na górę śmierci. Słowo pozdrowienia, politowania i pocieszenia, słowo modlitwy do Jedyne go Współbrata w przestrzeniach i w wieczności wypełzło na wargi.

Rzeczywistością stał się sen życia całego.

Wojciech stał się Chrystusem, wiszącym na krzyżu.⁷⁵

Istotą wszelkiej religijności, „prawdziwą duszą [...] religii” jest modlitwa⁷⁶. Jeśli religia — pisał August Sabatier — jest świadomie podtrzymywanym związkiem „pomiędzy duszą [...] i potęgą tajemniczą, od której losy jej zawisły”, to związek ten „ureczywistnia się przez modlitwę”, to szczególne „poruszenie się duszy wchodzącej w stosunek osobisty i w styczność” z jakąś mocą nadziemską, „której obecność odczuwamy, choćbyśmy nawet nazwać jej nie umieli”⁷⁷. Jest to moment „otwartego i skupionego oczekiwania” na łaskę, która spływa na modlącego się „z nieskończonego świata duchowego”⁷⁸. Dzięki modlitwie „wyzwała się energia, która w przeciwnym razie pozostałaby uwięziona [...] ginie strach i egoizm”, przywrócona zostaje „równowaga duchowa, pozwalająca [...] odkryć rzeczy dobre i pożądane w prostym szeregu następujących po sobie godzin. Wydaje się, jak gdyby wszystkie drzwi stały otworem, jak gdyby wszystkie ścieżki były wygładzone”⁷⁹.

Bohaterowie Żeromskiego modlą się bardzo często i modlą się o różne łaski i sprawy. Wydaje się, że modlitwa towarzyszy im na każdym kroku, stając się ucieczką zwłaszcza w trudnych i zawiłych momentach życia. Są modlitwy naiwne i dziecinne, choć nie mniej szczerze i żarliwie, i z głębi serca, jak Marcinka Borowicza o cenzurki i stopnie; i są wyzwolone już zupełnie z egoistycznej interesowności modlitwy pochwalne i dziękczynne za błogosławieństwo życia i piękność świata, jak w ekstatycznym westchnieniu brata Tytusa na widok budzącego się z uspienia dnia: „Bądź błogosławiony za widok tej jutrzemki! Bądź błogosławiony [...] za czystość Twojego ranka”⁸⁰. Porzucony w kałuży błota, poraniony i skluty na śmierć ciosami wrogów ostatni powstaniec umiera z nadzieją nieśmiertelności i z modlitwą Pańską na ustach⁸¹. Rafał Olbromski po śmierci starszego brata odnajduje w jego „zielonej książeczce” ułożoną przez zmarłego i własnoręcznie zapisaną modlitwę, powstałą w męce duszy i ciała, w po-

⁷⁵ *Wiatr od morza*, s. 79.

⁷⁶ Zob. W. James, op. cit., s. 421.

⁷⁷ A. Sabatier, *Esquisse d'une Philosophie de la Religion*, Paris 1897, s. 24-26. Cyt. za: W. James, op. cit., s. 421.

⁷⁸ *Ibid.*, s. 423.

⁷⁹ *Ibid.*, s. 423, 429.

⁸⁰ *Nawracanie Judasza*, s. 341.

⁸¹ *Rozdzióbą nas kruki, wrony...*, s. 56.

czuciu klęski, załamania się wszystkich dążeń i pragnień życia⁸². O mądrość postanowień, o „łaskę walki”, o „śmierć Żółkiewskiego” modli się przed bitwą generał Sokolnicki⁸³. Nieugięty apostoł biedoty i nędzy ludzkiej z *Urody życia*, przywalony ogromem zła, z którym zмага się samotnie, leżąc „po nocach krzyżem w pustym kościele pod pełgającą lampą” błaga „Boga o rozum”, co uczynić powinien, „o łaskę męczeństwa na wzór Zbawiciela”, byle by „świętego czynu dokonał”⁸⁴. Ewa Pobratyńska modli się o czystość duszy i ciała na całe życie, na zawsze, a gdy związała się z Łukaszem, o błogosławieństwo dla swego „grzechu”, który jest w istocie wiadomym wszechwiedzącemu Bogu pięknem, dobrem i prawdą. Ryszard Nienaski leżąc na kamiennych płytach ulicy pod murem Saint-Severin w potokach łez, w szlochach modlitwy, błaga Boga o zbawienie i ocalenie Xeni. W smutnym, obarczonym nadmiarem trosk życiu starego gazeciarza z Florencji jedyną ulgę przynosiły modlitwy, powtarzane z „żarliwością, która przeistaczała się w zaciekły, wewnętrzny szloch, w namiętny krzyk [...] Głębokość wiary bez granic rozsiewała smugi pociechy niepojętej, jakoby promienie poranne w [...] morzu ciemności”⁸⁵. Młodzianka Isolina, wciągnięta przez Śnicę w piekło nie znanych jej dotychczas męczarni, „modliła się z głębi swej istoty o zesłanie na nią śmierci lub wewnętrznego uciszenia”⁸⁶.

Modlitwa głęboka, wynikająca z całkowitego oderwania umysłu od zewnętrznych wrażeń, jest aktem prowadzącym poprzez coraz wyższe poziomy do mistycznego połączenia się z Bogiem. Następuje zupełne wyzwolenie z ograniczeń rzeczywistości, wola ulega zawieszeniu, doznający mistycznego zachwyty i olśnienia czuje się jakby „pochwycony i podtrzymywany przez jakąś potęgę wyższą”⁸⁷. Tę najgłębszą i wyjątkową formę modlitewnego uniesienia opisał Żeromski w *Wietrze od morza* w scenie mszalnej ofiary, sprawowanej przez brata Radzima u początku tragicznej wyprawy misyjnej:

Gdy kapłan Radzim podnosił kielich ofiary w górę, biskup, klęczący za nim, doznał złudy niebiańskiej, która go niezmierną napełniła radością. Zdawało mu się, że kielich ten wznosi się ponad drzewa wysokie i stare, że dotyka nieprzeźroczystych obłoków i błękitu nieba. Co więcej, wydawało mu się — a doświadczał tego dotykającym, fizycznym czuciem poderwania siłą tajną nad ziemię i podźwignięcia w powietrze — iż to ten umiłowany brat [...] podnosi go niby wino świętego kielicha ofiary drżącymi rękoma, wśród płaczu i modlitwy trzyma wysoko i że go w niebiosa podaje. Słodko tak było leżeć w przestworze na drżących, a nieomylnych dłońach

⁸² *Popioły*, t. 1, s. 160 - 161.

⁸³ *Ibid.*, t. 3, s. 146 - 147.

⁸⁴ *Uroda życia*, s. 241.

⁸⁵ *Charitas*, s. 56.

⁸⁶ *Ibid.*, s. 93.

⁸⁷ W. James, op. cit., s. 346.

braterskich wysoko, w niebiańskim zachwycie i prosić się najżarliwszą modlitwą u Boga nieśmiertelnego, aby go już odebrał z tej ziemi, ażeby go już przyjął i wziął z braterskich rąk omdlałych i do swego łona przytulił.⁸⁸

Problemat obecności Boga w rzeczywistości widzialnej i jakiegoś bytu zaświatowego był jednak dla Żeromskiego nie tylko zagadnieniem indywidualnym osobistego niepokoju, ale ponadto, a może niekiedy przede wszystkim sprawą społeczną i narodową. Wynikało to ze szczególnej sytuacji narodu ujarzmionego i na skutek owego zniewolenia zagrożonego tragicznie w swym wewnętrznym rozwoju. Było niejako w interesie obcego najazdu utrzymywać ten naród, a szczególnie ten lud w jego przytłaczającej masie w nędzy, w ciemnocie, w cywilizacyjnym zacofaniu, odebrać mu nie tylko nadzieję, ale i samą myśl, samą nawet pokusę wydobycia się z wiecznego jarzma. To nie były abstrakcyjne dywagacje myślowe i odczucia przewrażliwionego społecznika i „chorego na polskość” patrioty, ale stan rzeczywisty, dający się obserwować i stwierdzać na każdym kroku. Stan ten wywoływał instynktowne, jakby podświadome odruchy obronne, które w zasięgu najszerszym, tam zwłaszcza, gdzie z naturalnych przyczyn odpadały inne motywacje oporu, znajdowały oparcie i wyraz w przyłgnięciu do wiary jako ostatniej ostoji i pociechy w beznadziejności bytowania. Toteż Maurycy Zych, wędrujący po piaskach ziemi chełmskiej, na których toczyła się od wieku najbardziej dramatyczna, zajadła i nie znana światu walka o fizyczne i duchowe przetrwanie, zapisuje znamienne refleksje o dziejach „żałartego rozgrzebywania tych piasków nieurodzajnych na skwarze słonecznym i w słoty bezlitosne przez pónagie stada antropoidów, których jedynym uczuciem był smutek, a jedynym trybunem — Chrystus... Przed wiekami nauczyli się wierzyć w Pocieszyciela stokroć smutniejszego niż oni, w dobrotliwego Władcę, który nawet najbiedniejszych miłuje. Z obrazem Jego zrosła się mowa, obyczaj i cały zakres obrzędów. Toteż ta wiara ma korzenie długie jak jałowiec — i panowie tyrani napocą się jeszcze, zanim ją wydrą”⁸⁹.

Poprzez problem społeczny docierał Żeromski do narodowego. „We wszystkich zaborach — pisze współczesny historyk dziejów najnowszych Kościoła katolickiego w Europie środkowowschodniej — pierwszym i bezpośrednim celem działań” władzy zaborczej „była definitywna likwidacja struktur państwa polskiego i włączenie [...] ziem polskich” w obcą państwowość. „Opór społeczeństwa i jego kolejne zrywy powstańcze wskazały jednak rządóm zaborczym, że pełnej integracji państwowej nie da się osiągnąć bez równoczesnego osłabienia poczucia tożsamości narodowej w społeczeństwie polskim. Stąd następnym niejako etapem stała się walka już nie o struktury życia politycznego, ale o polski byt narodowy”. Osiągnięcie

⁸⁸ *Wiatr od morza*, s. 67 - 68.

⁸⁹ *Mogila*, s. 140.

tego celu okazało się wyjątkowo skomplikowane w granicach zaboru rosyjskiego, ponieważ chcąc

trwale zlikwidować sprawę polską, państwo rosyjskie stawało przed problemem szczególnie rozległym, na jego bowiem terenie rozpościerały się — poza etniczną Polską — ogromne terytoria dawnego, ale wciąż żywego polskiego kręgu kulturowego, gdzie pamięć poprzedniego, z łacińsko-europejskiej tradycji zaczerpniętego ładu, prawa, kultury i religii, utrudniała akceptację carskiego samodziśwawia. Poprzez tę tradycję Europa zderzała się tu z obcym jej duchem wschodniego autokratyzmu. Likwidacja polskiego kręgu kulturowego na wschodzie urastała więc do rangi odrębnego i wyjątkowo trudnego zadania dla polityki caratu.⁹⁰

Jedną z najistotniejszych trudności był Kościół katolicki i związana z nim tradycja łacińskiego obrządku w Polsce.

W Rosji [...] która od czasów Piotra Wielkiego nie знаła problemu politycznej odrębności Kościoła od państwa, a instytucji Cerkwi skutecznie narzucała funkcje aparatu ideologicznej kontroli społeczeństwa, polski [...] Kościół katolicki stanowił instytucję niezgodną z całą odwieczną koncepcją państwa autokratycznego. Niezgodną zarówno poprzez swe dążenie do ideowej niezależności od władzy świeckiej, jak i przez związek z faktycznie niezależnym od carskiej polityki papieżem. Tu więc [...] konflikt władzy zaborczej z Kościołem był najbardziej nieunikniony. Tu zaczął się najwcześniej, trwał stale, rozpościerał się na rozmaite płaszczyzny, wyrażał się największą liczbą uwięzień, zesłań, kasat klasztorów, konsekwentnym przerywaniem kontaktów lokalnej hierarchii z Watykanem, likwidacją diecezji, rozbijaniem seminariów duchownych, krzywdami i upokorzeniami całego katolickiego społeczeństwa”⁹¹.

Wyjątkowo tragicznego rozgłosu nabierały prześladowania Kościoła unickiego na obszarach granicznych polskiego i ruskiego styku etnicznego.

Wytworzyła się w wyniku owego wiekowego antagonizmu, agresji i oporu sytuacja szczególna. „Społeczność wiernych była [...] społecznością narodu, w którym wszystkie przejawy życia ideowego zdominowane były jedną myślą o odzyskaniu suwerennego bytu państwowego. Społeczność ta pozostawała w swym trzonie niezmiennie wierną Kościołowi i solidaryzowała się z nim w częstych momentach prześladowań o charakterze religijnym, ale i wzajemnie — wymagała od Kościoła hierarchicznego solidarności ze sprawą narodową”⁹². Kościół spełniał to wymaganie

niejako samym swym istnieniem, obecnością, trwaniem swej struktury parafialnej i takim zubożonym prześladowaniami duszpasterstwa. Dla najszerszego ogółu pozostawał publicznym znakiem trwającej polskości [...] Obecność zaborców i [...] fakt narodowych i religijnych prześladowań Polaków pogłębiły poczucie związku, a w pewnym stopniu spowodowały nawet utożsamianie obu sfer życia duchowego w społeczeństwie. W tej atmosferze manifestacja religijności mogła być przeżywana jako

⁹⁰ B. Cywiński, *Ogniem próbowane. Z dziejów najnowszych Kościoła katolickiego w Europie środkowowschodniej*, t. 1, *Korzenie tożsamości*, cz. 1, Warszawa 1982, s. 54 - 55.

⁹¹ *Ibid.*, s. 56.

⁹² *Ibid.*, s. 58.

Opary powstały w las. Młodzie Erha i ^{granic} ~~granic~~
~~granic~~ oddulato in coram ^{barone}, ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis}
 baronij. ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 hinc ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 ab ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 obry gory, to mowu jakby od klaw
 cranej, ah czy powowu wiatru na
 czehat i ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 atychu. ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 we stychai bytu we a nie.
 Naczej slaty jedy ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~, ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 stichu ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 gatzwe ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ i ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 bh ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 jasnobony, ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 widwat nad ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 kbow ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 gatzwe ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~
 klony ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~ ^{curator} ⁱⁿ ^{terrenis} ~~curator~~ ~~in~~ ~~terrenis~~



29. „Chata Żeromskiego” w Nałęczowie



30. Wnętrze „chaty”



31. Anna Zawadzka w czasie studiów w Paryżu



32. Stefan Żeromski w okresie paryskim

33. Anna Zawadzka w latach
wojny



34. Stefan Żeromski w Zakopa-
nem podczas wojny



35. Adam Żeromski w wieku 15 lat



36 Willa Żeromskich w Konstancinie



37. Stefan, Anna i Monika Żeromscy

38. 10-letnia Monika Zeromska



39. Stefan Żeromski na He-
lu w 1922 r.

Przebiegi

| | | |
|-----------------------|-------------|------------|
| Imięgosi | Janar. | Bozowski. |
| Szata | | Malanowski |
| Książkiewicz | Dąbrowski | |
| Bystrzycki | | Bednarczyk |
| Przedziński pr. | Osowa | |
| Wichura hrd. | Korabinski | |
| Cichoński kępa. | Chmielowski | |
| Rasoszewski geolog | Szymanski | |
| Medwodzi baka. | Rykowski | |
| Kleinowski audytor. | Kolacz | |
| Suchancki geolog | | Wielicki. |
| Zabrowski hrd. szlak. | Stivichy. | |

Zastępcy:

Bygones
Jolcha
Jumosa
Zwickel
Kawowski
Myzowski
Owsiński
(Rycki)
Staszkowski
Skarzynski



41. Stefan Żeromski, rys. Kazimierz Sichulski



42. Radostowa, jedna z „góh domowych” Żeromskiego wspomnianych w *Puszczy jodłowej*



43. Puszcza jodłowa



44. Obelisk ku czci Zeromskiego we wsi
Święta Katarzyna

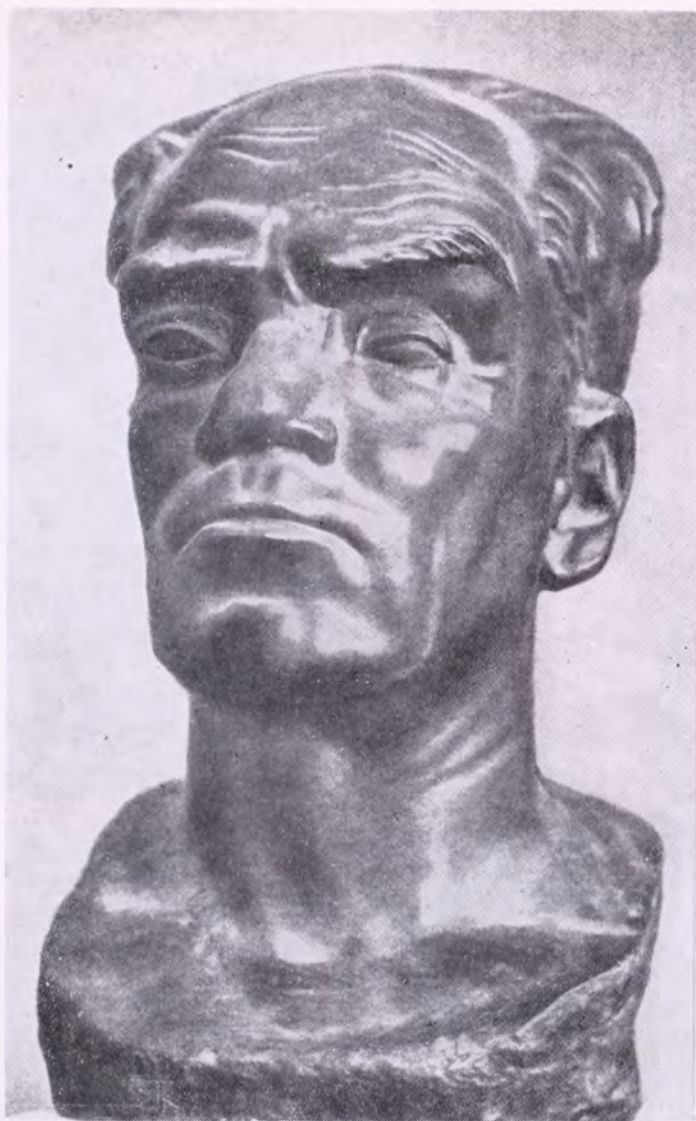


45. Źródło św. Franciszka pod Łysicą

46. Pomnik pisarza w kieleckim parku
miejskim



47. Pogrzeb Stefana Żeromskiego (wyprowadzenie z Zamku Królewskiego)



48. Popiersie Stefana Żeromskiego, rzeźba Zofii Trzcíńskiej-Kamińskiej

obowiązek patriotyczny, a z kolei praktyka religijna świadomie niosła w sobie treści ożywiające uczucia narodowe.⁹³

Twórczość Żeromskiego w wielu swoich aspektach stanowi jakby artystyczną dokumentację analiz współczesnego historyka dziejów religijności i Kościoła polskiego w dobie zaborów. Dla Maurycego Zycha z *Mogily* takim zdumiewającym odkryciem owego faktu utożsamiania wiary i świadomości narodowej, ich organicznego zrośnięcia, stała się podsłuchana przypadkowo u podlaskich chłopów historia o prześladowaniu unitów. Nie chcąc się poddać łatwemu sentymentalizmowi, tak niewłaściwemu i niezgodnemu z przyjętą przez siebie trzeźwą i krytyczną postawą programowego niejako racjonalisty i internacjonalisty, nie może się przecie oprzeć ogarniającemu go wzruszeniu:

Nie jestem chłopomanem — zanotuje w swoim diariuszu — nie rozczulają mnie przepocone magiery ani zabłocone buty [...] Ale pomyśleć tylko... Jakaś czcigodna ręka przelała na papier to żalodne opowiadanie, ten gorzki ból, tę pohańbioną myśl garsteczki ludzi, którzy w niesłychanym ucisku, wśród pokusy, w stadzie nędzników i głupców, ufają aż do śmierci, że przysiedze, jakiejś cnocie czy prawdzie należy wiary dochować. Tę myśl składał przy blasku płomyka gazu wyzyskiwany zecer, przenośli ją jako zabroniony towar jakiś szlachetny mistyk, jakiś nieznany a na śmierć gotowy wyznawca swojej idei. I przyszła na miejsce przeznaczenia, tam, gdzie chciało marzenie prawych i — *in tenebris lux lucet...*⁹⁴

Gdy Piotr Rozłucki rzuca w rozmowie z Wolskim, jednym z nielicznych, co dochowali wierności temu męczeńskiemu ludowi, twarde oskarżenie wszystkich postępwców i liberalów doby oświeconego pragmatyzmu i pozytywizmu: „Katolicyzm wyżera życie polskie”, otrzymuje odpowiedź: „— Srogie słowo [...] jestem zbyt ciemny, żebym to mógł sprawdzić, zaprzeczyć albo potwierdzić. To tylko wiem na pewno, że tu, gdzie się lud polski z ruskim zazębia, zrosły się te dwie siły — katolicyzm i polskość. Kto jedną z nich chce od drugiej odrąbać, krew ma pod siekierą [...] Na tych ziemiach i precz w kraje ruskie katolicyzm żywi się i żyje polskością, a polskość żywi się i żyje katolicyzmem”⁹⁵.

To samo powtórzy Rozłuckiemu stryj Michał. Cokolwiek by powiedzieć można o sposobach socjalnych zbawienia i podźwignięcia tego kraju, jedno jest pewne: „— Tu [...] cmentarz widać ze wszystkich punktów, gdzie tylko człowiek stanie w polu. Kościół to samo sterczy nad chałupami. Jakże tam nie bywać, kiedy to jest dom pospólny, nie mój ani twój, tylko dom boży i ludowy?...”⁹⁶ To jest jedyne, co ten lud trzyma i nie należy nic psuć z tego, „co stoi w duszy chłopskiej, co stanowi w niej moc i siłę trwania, aż do [...] świętego czasu, który nadejdzie [...]”; jeśli nic równie mocnego postawić nie możesz, nie burz nic ze starych spoidel, bo tu nie ma czym żyć, tu tak jest źle jak nigdzie na ziemi...”⁹⁷.

⁹³ Ibid

⁹⁴ *Mogila*, s. 145.

⁹⁵ *Uroda życia*, s. 253 - 254.

⁹⁶ Ibid., s. 289.

⁹⁷ Ibid., s. 210.

Powtórzy to również Nienaski w rozmowie z bratem Tytusem, rozciągając tę opinię na cały obszar ziem polskich, gdzie tylko polskość stykała się oko w oko z obcym naporem: „Kędyś w zakątkach Polski, w starych skrzyniach kaszubskich, na Chełmszczyźnie, w Podlasiu, we wsiach Litwy, Białorusi, Podola, książka polska to książka katolicka. Olbrzymią siłę ma w męczeńskim życiu narodu ta polska wiara. Co o tym mówić! Kto tego nie rozumie! Polska i ta wiara zrosnięte są, jak Lelum i Polelum w tragedii”⁹⁸.

Symbolami tej wiary były dla Żeromskiego kościoły polskie i krzyże, wznoszące się nad każdym najmniejszym nawet miejscem naszego kraju, w którym skupiły się domostwa ludzkie. Tysiące ich powaliła wojna. „Nie wznosi się już krzyż — pisał w r. 1915 — nad płaskim obszarem i nad białymi ścianami wioski. Jeżeli gdzie widnieje, to nad pospólną mogiłą żołnierzy... Lecz krzyż wzniesie się znowu nad równinami. Stanie i zabłyśnie na wieżach nowych kościołów”, które wzniesie „lud polski swojemu Bogu”, jako znaki „święte i wielkie przeżytych cierpień [...] widziadła [...] wiary, nadziei i miłości”⁹⁹.

Umierający Seweryn Baryka, śniący o nowej Polsce „szklanych domów”, marzy o „kościółkach zakwitających na wzgórzach [...] w formach tak pięknych, iż wobec nich zagaśnie i zblednie wszystko, co dotąd było”¹⁰⁰.

Kreśląc wizję przyszłej, „nowej Warszawy” przewidywał Żeromski że kędyś na skrzyżowaniu i u wylotów przyszłych, okalających miasto długich alei, gięących w odległości, w dali, we mgle, jako przeszłość narodu, zapewne na pustym dziś mokotowskim polu, stanie Świątynia Opatrzności [...]; z łona ziemi za dni naszej młodości niewolniczej, okutej kajdanami, chłostanej batem wszelakich zniewag, jakie tylko dzikość egoizmu, diabelstwo duszy posiepaczej powziąć może — a dzisiaj wolnej i samowładnej — winien się podźwignąć, poderwać ku niebu sprawiedliwemu i miłosiernemu ten znak ekstazy rodu polskiego, podzięką za wolność.¹⁰¹

Wybuduje ją lud polski, bo świątynie „potrzebne są oczom rzesz ludzkich, ażeby świadczyły i wołały o zwycięstwie nad szatanem i w naszych sumieniach, o zwycięstwie sprawiedliwości i miłosierdzia”¹⁰².

Słowa te, pisane na pół roku przed śmiercią stanowią jakby zamknięcie tego wielkiego tematu, którego pisarz nigdy do końca nie wyczerpał, nigdy definitywnie nie rozwiązał, ale który był obecny w świecie jego twórczości od początku jako dręcząca tajemnica, niepokojące przecucie, dolaający z niedosięzłego oddalenia głos nadziei, pociągającej zapowiedzią ostatecznego wyzwolenia i ocalenia i tak jednocześnie niepewnej wobec oporów nieufnej i wątpliwej myśli.

⁹⁸ *Nawracanie Judasza*, s. 354.

⁹⁹ S. Żeromski, *W brzasku przedwiośnia*, [w:] *Elegie...*, s. 266 - 268.

¹⁰⁰ *Przedwiośnie*, s. 70.

¹⁰¹ S. Żeromski, *Nowa Warszawa*, [w:] *Bicze z piasku*, s. 118.

¹⁰² *Ibid.*

Rozdział VII

DAIMONION

Pewnego popołudnia w sierpniu Judym otrzymał list przez umyślnego człowieka. Była to ręką Korzeckiego na jakimś urywku schematów kancelaryjnych skreślona cytata z Platonowej *Apologii Sokratesa*:

Objawia się we mnie jakieś od Boga czy od bóstwa pochodzące zjawisko... Zdarza się to ze mną począwszy od dzieciństwa. Odzywa się głos jakiś wewnętrzny, który, ilekroć się zjawia, odwodzi mnie zawsze od tego, cokolwiek w danej chwili zamierzam czynić, sam jednak nie pobudza mię do niczego...

To, co mnie obecnie spotkało, nie było dziełem przypadku; przeciwnie, widoczną dla mnie jest rzeczą, że umrzeć i uwolnić się od trosk życia za lepsze dla mnie sądzono. Dlatego właśnie owo Dajmonion, ów głos wieszczy nie stawiał mi nigdzie oporu.¹

Po otrzymaniu tego listu Judym natychmiast zażądał koni. Gdy w największym pośpiechu przybył na miejsce, zobaczył widok, jakiego mógł się spodziewać. „W drugim pokoju, na sofie, która służyła za łoże gościnne, leżał Korzecki w ubraniu okropną masą krwi do szczętu zwalanym”².

Słowo *daimonion* i pojęcie tym słowem oznaczane pojawia się niejednokrotnie na kartach dzieł Żeromskiego, stanowiąc pewien dość istotny element jego pisarskiego światopoglądu. Słownik grecko-polski tłumaczy rzeczownik *daimon* jako „bóg, bóstwo, moc boska”, bóstwo „opiekuńcze” lub „złe”, raz na zawsze przypisane do kogoś; w znaczeniu dalszym „przeznaczenie, los, dola” lub „moc rządząca przeznaczeniem”. Czasownik *daimonáo* znaczy: być „pod władzą w mocy demona”, być „opętany, nawiedzonym”; przymiotniki: *daimonikós* — to „opętany przez demona”, *daimónios* — „pochodzący od demona” w znaczeniu czegoś, co „niezwykłe, uderzające, cudowne, nadzwyczajne, zesłane z nieba”. Abstrakcyjne pojęcie *daimonion* oznacza jakąś zagadkową boską potęgę lub istotę, dobrą lub złą³.

Badania nad ewolucją helleńskich wierzeń religijnych wiążą pojęcia *daimon* i *daimonion* z wczesnym, początkowym etapem rozwoju świadomości.

¹ Ludzie bezdomni, s. 355.

² Ibid., s. 356.

³ Słownik grecko-polski pod red. Z. Abramowiczówny, Warszawa 1958, t. 1.

mości religijnej Greków, zanim jeszcze, w stadium późniejszym, zaawansowanym pojawili się bogowie⁴. Pojęcia te wyłoniły się jako pierwsza próba wytłumaczenia zjawisk w życiu ludzkim nieprzewidywalnych. Człowiek grecki, gdy spotykało go niepowodzenie, dopatrywał się w tym przekleństwa bogów. Czyn zły, niosący z sobą nieszczęście, przypisywany był jakiejś sile obcej, działającej z zewnątrz i kierującej człowiekiem poza jego świadomością i wolą. Wiara w stałą interwencję w życie ludzkie jakichś mocy irracjonalnych opierała się też na pewnej obserwacji psychologicznej szczególnego rozdwojenia, gdy przejście między dwoma stanami osobowości wydawało się tak nagle, gwałtowne, iż ją rozrywały jak gdyby, człowiek przekraczał jakby siebie i gdy wracał do swego ja „normalnego”, wzdrygało się ono przed przyjęciem odpowiedzialności za czyn popełniony w owym dziwnym stanie transformacji psychicznej i skłonne było go przypisać jakiejś sile zewnętrznej: „nie chciałem tego, to nie należy do mnie, to jest coś całkiem obcego”⁵.

W mitologii greckiej obok bogów, mających własne imiona i przydzielone im zakresy działania, istniały jeszcze bóstwa o nieokreślonej osobowości i nie oznaczonej wyraźnie funkcji. Pojęcie *daimon* tym się właśnie różniło od pojęcia *theós*, że *theós* oznaczało indywidualne i określone, *daimon* coś niezindywidualizowanego i nieokreślonego, coś, co się przejawia przypadkowo, jakąś siłą nieznaną, która popycha człowieka dokądkolwiek poza jego świadomością i wolą, wbrew przekonaniom i zamierzeniom, jest to przychodzący z tajemniczego mroku nagły podszept, namowa. Abstrakcyjne pojęcie *daimonion* oznaczało więc w wierzeniach Greków tajemniczą siłę, która objawia się we wszystkich zewnętrznych i wewnętrznych działaniach ludzkich. Jest to głos, któremu niepodobna się oprzeć, wobec którego należy uznać swą bezsilność i poddać się przeznaczeniu, ponieważ bogowie nie są nikomu winni żadnego usprawiedliwienia i wyjaśnienia. Najbardziej wstrząsający wyraz temu poczuciu swoistego fatalizmu dali wielcy tragicy greccy. Los Edypa, który bez winy własnej spada ze szczytu powodzenia i szczęścia w otchłań ostatniej nędzy, jest najbardziej dramatycznym obrazem ludzkiej niemocy i zależności od bogów.

Istota owego *daimonion* nie zawsze była pojmowana jako siła niszcząca. Według Menandra to, co boskie, może być tylko dobre. Człowiek pozostaje zawsze pod jakąś wyższą opieką, od urodzenia towarzyszy mu jego duch opiekuńczy, który wtajemnicza go we wszystkie misteria życia⁶. Jednocześnie dokonywała się z wolna jakby psychizacja pojęcia, swoiste jego uwewnętrznienie. Heraklit identyfikował *daimonion* z charakterem, Epicharmos z zakorzenioną w osobowości jednostkowej skłonnością do zła lub

⁴ Zob. *Lehrbuch der Religionsgeschichte*, hsg. v. A. Bertholet u. E. Lehmann, Tübingen 1925, t. 2, s. 350.

⁵ *Ibid.*, s. 346.

⁶ *Ibid.*, s. 406.

dobra. Sokrates znajdował niezachwianą podstawę wiedzy i działania w samym sobie jako głos bóstwa, jako swoje *daimonion*, upominające i ostrzegawcze. Była to swoista pewność, że się jest w ręku mocy wyższej, kierującej człowiekiem w sposób absolutnie najlepszy i stawiający mu zadania, od których nie wolno się uchylać⁷. Sokratesowe *daimonion* powstrzymuje go od obmyślania obrony ukazując śmierć jako zjawisko konieczne, naturalne i w swojej istocie pożądane, skoro jest ono tylko przejściem w stan snu bez przebudzenia. Jednocześnie swoją intelektualistyczną teorię etyczną (cnota jest wiedzą, której można się nauczyć) uzupełniał czynnikiem religijnym, pojęciem głosu wewnętrznego, głosu demona, powołaniem się na pomoc, jakiej ludziom udziela bóstwo⁸. Platon pisał o duchu opiekuńczym, który dany jest człowiekowi i towarzyszy mu od urodzenia do śmierci odprowadzając go u kresu życia na miejsce oczyszczenia lub kary. Swoją estetykę wzbogacał wprowadzeniem elementu mistycznego, kategorii natchnienia, boskiego szału (*manija*), widząc w poecie męża nawiedzonego (*daimónios aner*), przez którego przemawia bóstwo.

Daimonion jest więc jakby rdzeniem osobowości, życie rozumne i właściwe miało więc polegać na zgodzie ze swą własną osobowością, ze swym *daimonion*. Kto żyje z nim w harmonii, żyje w harmonii ze wszechświatem, ponieważ „porządek uniwersalny”, podobnie jak „indywidualny są jedynie różnymi wyrazami i przejawami jednej” i tej samej „zasady, stanowiącej ich podłoże”⁹. To jednak, co dla filozofii starożytnej było powodem dumy i przywilejem człowieka, używanie rozumu i refleksja nad sobą, stało się dla średniowiecza grzeszną pokusą. Zalecenie stoików, by człowiek był posłuszny swemu wewnętrznemu głosowi, swemu *daimonion*, uznane zostało za niebezpieczne bałwochwalstwo¹⁰. Dogmatyka katolicka przyjmowała istnienie obok szatana podległych mu demonów; w ewangeliach, w listach św. Pawła, w *Dziejach apostoelskich* i w *Apokalipsie* pełno jest wzmianek i napomknięć o hufcach i zastępach złych duchów, stanowiących utrapienie ludzkości¹¹. Chrześcijaństwo wschodnie dodawało do tych wierzeń znamieny rys manichejsko-gnostyczny¹². Stworzona przez gnostyków gradualistyczna koncepcja bytu, zakładająca istnienie między Bogiem a światem nieskończonego łańcucha bytów pośrednich, tworzących pleromę, czyli pełnię istnienia, przyjmowała zarazem, że świat jest tworem jednego z owych bytów, istoty potężnej, ale i złej lub co najmniej niedoskonałej. Teza o pochodzeniu świata od demiurga jako potęgi negatywnej nada-

⁷ Zob. E. v. Aster, *Historia filozofii*, Warszawa 1969, s. 88.

⁸ Zob. W. Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, Warszawa 1946, t. 1, s. 87.

⁹ Zob. E. Cassirer, *Esej o człowieku. Wstęp do filozofii kultury*, Warszawa 1971, s. 44.

¹⁰ Ibid., s. 48.

¹¹ Zob. B. Bartmann, *Lehrbuch der Dogmatik*, Freiburg i. B. 1920, t. 1, s. 275 i n.

¹² Zob. B. Jasinowski, *O cywilizacji wschodnio-chrześcijańskiej*, [w:] *Kultura i cywilizacja*, Lublin 1937, s. 152 i n.

wała koncepcjom religijnym gnozy rys swoistego dualizmu, nieustającego napięcia między dobrem a złem, między duchem a ciałem, między Bogiem a szatanem. Ten dualizm przenikał do chrześcijaństwa wschodniego stając się jego jakby *ewige Melodie*, jego głównym i przewodnim motywem duchowym. Jest to dualizm zaświata i doczesności, ideału i rzeczywistości, wolności i konieczności, jednostki i organizacji. Ten trwający niezmiennie stan rozdarcia sprzyjał rozprzestrzenianiu się postaw ambiwalentnych i w przeciwstawnych ekstremach tej ambiwalencji maksymalistycznych w odczuwaniu i wartościowaniu rzeczywistości, odrzucenia jej i korzenia się przed nią, ucieczki od niej w samotnię życia pustelniczego lub rozplynięcia się w uniwersum społecznym aż do zupełnej zatury indywidualnej osobowości, nienawiści grzechu i fascynacji złem. Odrzucenie zła przechodzi w „uwielbienie jego potęgi, w kainizm lub satanizm”. Apokryficzna *Ewangelia Judasza* głosiła naukę, że „prawdziwą drogą, prowadzącą do zbawienia, jest droga zbrodni, albowiem jedynie przejście przez wszystkie możliwe zbrodnie i zbroczena ludzkie uzdolnić może człowieka do ostatecznego wyzwolenia”¹³.

Ten rys gnostyczny w chrześcijaństwie wschodnim, kształtującym cywilizację wschodu europejskiego, ujawnił się szczególnie dobitnie w dziejach Rosji, jej państwowości, kultury, filozofii i literatury. W jednoczesnym ubóstwieniu i potępieniu państwa, w poszukiwaniu absolutnej wolności jednostki, „wolności nie z tego świata”, przy równoczesnej omnipotencji organizacji państwowej i upodrzedzeniu owej jednostki wobec zbiorowości w spekulatywnych koncepcjach słowianofilów, w wielkich obrazach literatury, ukazującej psychikę ludzką w nieustannie alternujących i kontrastujących przeciwieństwach dobra i zła. Nasuwa się tu zwłaszcza nazwisko Dostojewskiego, u którego „natura ludzka jako połączenie przeciwieństw”, ciągle „dwojenie się postaci Chrystusa i Antychrysta”, fascynacja zbrodnią jako współczynnikami koniecznym wewnętrznego oczyszczenia, „prośwetlenia” człowieka, są stałym i zasadniczym tematem całej twórczości¹⁴. To jest ta „szeroka, karamazowska natura”, zdolna do łączenia na pozór wykluczających się przeciwieństw i jednoczesnego oglądania dwu przepaści, przepaści „górných ideałów” i przepaści „najbardziej głębokiego i cuchnącego upadku... Dwie przepaści, dwie przepaści w jednej i tej samej chwili...”¹⁵.

Nieobce były koncepcje podobne czy zbliżone i literaturze polskiej, a z pisarzy współczesnych Żeromskiemu, nasuwa się tu przede wszystkim nazwisko Tadeusza Micińskiego, któremu poświęcił on zresztą pełne admiracji wspomnienie. To u Micińskiego właśnie objawiają się również owe mroczne przepaści, graniczące z obłędem, „czarny zamek duszy”, Lucyfer,

¹³ Ibid., s. 164.

¹⁴ Ibid., s. 173.

¹⁵ Ibid.

drugie ja, bodaj czy nie istotniejsze w człowieku, siły podświadome w psychice ludzkiej; lucyferyzm jako wyabstrahowana formuła tragizmu egzystencji. Wszelkie usiłowania zmierzające do uwolnienia się spod jego władzy równe są samozniszczeniu¹⁶. Nie należy też przeoczać potężnego wpływu na świadomość pokolenia moderny myśli Schopenhauera. Człowiek, według niego, zdeterminowany jest w swych działaniach przez charakter, który jako dzieło przyrody jest tak samo, jak ona, pierwotny, niezmienny, konsekwentny¹⁷. Człowiek nie jest więc wolny, „pozostaje zawsze ten sam przez całe życie i dopuszcza wybór tylko jednego czynu”, a następstwa swego działania i odpowiedzialność własną za dokonany wybór uświadamia sobie dopiero *a posteriori*. Przez czyny więc dopiero poznaje, kim jest właściwie i „dlatego też się modli: «i nie wódz nas na pokuszenie», to znaczy: «Boże! Nie pozwalaj mi poznać, kim jestem»”¹⁸. „Stąd symbolika Arymana, wznowiona w literaturze po 1871 r., bywa często schopenhauerowską motywacją tragizmu, nie tylko w motywie miłości”, jak na przykład w Tołstojowskiej *Potędze ciemnoty* czy w *Arymanie* Żeromskiego, „lecz również w podświadomym wyzwaniu się zbrodniczych instynktów i zbrodni, tak istotnych w naturalistycznej indywidualizacji Dostojewskiego”¹⁹.

Jest to ten mrok duszy, w który wpatrują się i wsłuchują tak często bohaterowie Żeromskiego. Ciemna, niezgruntowana tajemnica, demonizm natury ludzkiej, z której wszystko może wyniknąć — dobro lub zło, jak w tym wstrząsającym przeżyciu Marka Katerwy²⁰ czy w nagłym, zgoła dla niej samej niepojętym odwróceniu się Ewy od niedawnego stanu łaski. „Ten stan wydarty został z jej duszy, wyszarpany z korzeniami”²¹. Wznosiły się w niej z jakichś nieprzeczuwanych głębin i rozpierały coraz wszechmocniej jakieś uczucia nieznanne, „mocne i twarde, grubiańskie i niezwalczane dla modlitwy [...] Czują obrzydliwą niemoc duszy do przełamania tych zewnętrznych, cudzych wrażeń”, odnalezienia chwili wczorajszej modlitewnego uniesienia i doświadczała z tego powodu jakiejś przerażającej satysfakcji. Ani cienia żalu za tamtą, zgubioną i utraconą chwilą łaski, tylko śmiech szyderyczy, że już nie jest taką, jak wczoraj²². Herman Balk, namiestnik wielkiego mistrza zakonu, patrząc w straszliwe oczy pruskiego zdrajcy-kusiciela, czuł, że to w nim samym rozprzestrzenia się z wolna ciemny obszar przyszłych nieprzeliczonych krzywd i zbrodni jego własnych i jego następców. W spojrzeniu demonicznego jeźdźca „była sama w sobie,

¹⁶ Zob. Cz. Latawiec, *Introdukcja do Pism pośmiertnych T. Micińskiego*, cykl 1: *Lucyfer*, Warszawa 1931, s. XXIII - XXV.

¹⁷ Zob. J. Tuczyński, *Schopenhauer a Młoda Polska*, Gdańsk 1969, s. 44.

¹⁸ *Ibid.*

¹⁹ *Ibid.*, s. 92 - 93.

²⁰ Zob. *Cienie*, s. 294.

²¹ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 84.

²² *Ibid.*, s. 84 - 86.

istotna, własna, zupełna dusza Hermana Balka. To jego własna dusza z zewnątrz patrzyła mu w oczy”²³.

Demonizm natury ludzkiej może się objawiać jako głos poduszczający do zbrodni, nieodparty jak rozkaz. Ewa na chwilę przed zabójstwem dziecka czuje to pchnięcie jakby czyjejs niezłomnej woli i czyjegoś rozkazu. Wanda Okszyńska z *Przedwiośnia* w piekle nienawiści do Karoliny uczuła nagle jakby niepojętą ulgę, jakby przebłyskujące wyjście w ostatecznej prostracji. „Głos, niejaki pocieszyciel, wabiący doradca, skinął na nią w mrokach”²⁴. Niekiedy jest to głos niweczający nadzieję, wtrącający w głuchą zapadnię zwątpienia i rozpacz. Złe przecucie, którego doświadcza nieznajomy młodzieniec, jadący pociągiem do śmiertelnie chorego ojca: „W przestrzeni martwej dotąd i pustej — coś ożyło, jakby ręka z groźącym palcem wyciągała się ku niemu”²⁵. Podobnej zapowiedzi doświadcza doktor Paweł Obarecki, oczekujący powrotu umyślnego posłańca z lekarstwami dla umierającej „siłaczki”: „Złe przecucie jak koniuszek igły wrzynało mu się w serce”²⁶.

Pani Ewa z opowiadania *Tabu* przypomina sobie „przeklęte słowa” pewnej poetyckiej strofy, powtarzanej w nieskończoność przez jej obłąkanego męża. Była w tych słowach jakaś zupełna beznadzieja, jakieś pożegnanie na zawsze marzeń o szczęściu, prawie niemożliwość dalszego życia. „Rozeznawała treść tych słów ścierpłym sercem i słyszała nawet dźwięk ich bolesny. Nie był to jednak głos jej męża. Był to głos jakiś, niczyj”²⁷. Złowieszcze, wewnętrzne *daimonion* odsłania przed chorym, starzejącym się astronomem z Fromborka nicość jego odkryć, które są jedynie złudzeniem jego skazanego na rozpad mózgu. „Lada dzień, lada godzina, lada moment pięknie w tym mózgu żyłka drobna, kruche naczynko, tak niemal maleńkie, jak blasku niteczka, świecąca w twej źrenicy, gdy patrzysz na jedną z sześciu gwiazdek w Plejadach. Mózg twój stanie się zgniłą masą, pełną cuchnącego jadu. Jasna myśl w ciemność wiekiustą zapadnie. Wyjęte zostaną z twego mózgu niebiosy. Wszechświat skona i z tobą pospołu rzucony zostanie w jamę grobu, gdzie go żmije pożerać rozpoczną”²⁸.

To tajemnicze, wewnętrzne bóstwo, którego głos wydobywa się w chwilach szczególnych z głębin ludzkiej istoty, ulega niekiedy swoistej eksterioryzacji, wyodrębnia się jak gdyby w jakiś byt na poły samoistny, ale zarazem najsilniej, najwewnętrzniej z jednostkowym istnieniem ludzkim związany. „Jakoweś *deion*”, o którym mówi Niepołomski do Ewy, zazdrosne o szczęście, coś z zewnątrz, jakby „uśmiech zdjęty z czyichś szyderczo

²³ *Wiatr od morza*, s. 116.

²⁴ *Przedwiośnie*, s. 185.

²⁵ S. Żeromski, *Złe przecucie*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 62.

²⁶ *Siłaczka*, s. 103.

²⁷ *Tabu*, s. 281 - 282.

²⁸ *Wiatr od morza*, s. 210 - 211.

skrzywionych ust [...] wzrok ohydnie przymkniętych oczu”²⁹. Piotr Rozłucki miewał niekiedy to niesamowicie dziwne wrażenie, że u wezglówia jego łoża zasiada jakowyś „czuwający konsyliarz ducha, bezsenny szatan — i kiedy głęboki sen miał zejść i uciszyć cierpienie — wymawiał krótką a nieśmiertelną formułę nieszczęścia” — jakieś jedno słowo dawnego wspomnienia, od którego „otwierała się [...] tajna i zdradziecka zapadnia”³⁰.

Świat Żeromskiego jest pełen sił demonicznych, które rządzą ludźmi na złe i dobre, popychają ku zbrodni, strącają w najgłębsze lochy cierpienia i nieszczęścia, ale stają się też często tajemniczą, nie wiadomo skąd przychodzącą pomocą. Taką siłą pomocną, sędzią nieomylnym, a sprawiedliwym, poplecznikiem wolności, wiekuistym buntem przeciw nędzy spodłonego, niewolnego istnienia, jest Bożyszcze z *Róży*. Przy kolosalnej masie zła, które zdaje się triumfować i rządzić światem, istnieje obok jakiś „niepojęty wymiar sprawiedliwości”, ludzka „głęboka prawość [...] dobra wola” i „wysiłek cnotliwy, który poczytywało się za najbardziej samotny i przepadły”, znajduje „gdzieś [...] nie tylko przyjęcie życzliwe, lecz jakby miejsce oczekujące”. „Mnie się wydaje — powiada Wolski do Piotra — że tyle właśnie świętości, ileśmy ze siebie wydali, odnosi nam w niewiadomym dniu i w sposób niepojęty jakowaś siła wszystko pamiętająca, jak gdyby czyjś czujny poseł. — Może to jest — odpowiada Rozłucki — ta sama siła, która jest w nas, która się w nas rozdwa i samej sobie z uśmiechem [...] przypatruje”³¹. Zagadkowe *daimonion*, o którym mówi Korzecki do Judy-ma, nieomylny głos prawdy, to „coś boskiego, co jest we mnie [...] w jakimś podziemiu”, czemu można i należy zaufać i we wszystko „na podstawie tamtego szeptu” uwierzyć³². Ostateczna decyzja Judy-ma jest odpowiedzią na ów jego wewnętrzny głos ostrzegawczy. Piotr Rozłucki w czasie pierwszej wizyty w altanie ogrodu generała Polenowa „poczuł nagle jakiś nieopisany lęk [...] To miejsce było szczególnie niemile, złe, odtrącające”³³. Cezary Baryka po zebraniu u komunistów zawahał się w jakimś momencie w niewzruszonej pewności i słuszności swego oporu przeciw usłyszanym tam faktom i argumentom. I wtedy, gdy tak siedział w owej przygodnej kawiarni, zziębnięty fizycznie i duchowo, w zamęcie myśli, „dźwigając ociężałą głowę na pięściach”, przypomniało mu się nagle

jedno zdanie z Platona, z *Obrony Sokratesa*, którą jeszcze tak niedawno w bakińskiej szkole tłumaczył: «Odzywa się we mnie głos jakiś wewnętrzny, który ilekroć się odzywa, odwozi mnie zawsze od tego, cokolwiek w danej chwili zamierzam czy-

²⁹ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 159 - 160.

³⁰ *Uroda życia*, s. 182, 235.

³¹ *Ibid.*, s. 229 - 230.

³² *Ludzie bezdomni*, s. 345 - 346.

³³ *Uroda życia*, s. 49.

nić» [...] Cóż by było prostszego, jak prosto z tej kawiarni wrócić na tamto zebranie, wyznać swoją omyłkę, wypalić orację jak sto tysięcy diabłów, ściągnąć na swoją głowę sto tysięcy oklasków — poruszyć sto tysięcy czynów takich, że od nich ta stara ziemia, co już jęków wysłuchała tyle, znowu by jękała jak nigdy. Cóż? Kiedy wewnętrzny głos wieszczu odwołuje, iż ta droga nie prowadzi nigdzie. Ta droga prowadziła w krwawą próżnię...⁵⁴

Ten głos wieszczu nie tylko powstrzymuje, ostrzega, ale bywa też potężną, wspierającą pomocą w najcięższych, krytycznych chwilach życia. W Ewie Pobratyńskiej, gdy zostawiona przez Łukasza, w rozpaczliwej swej sytuacji uwiedzionej i porzuconej ma wrażenie zaszczucia, dławiącej pętli, osaczenia przez nienawiść i mściwość, rodziło się niekiedy przedziwne, niepojęte uczucie wielkości.

Zdawało się wówczas, że ją dźwiga i unosi ramię mocnego demona. Stawała się czymś zgoła odrębnym od świata i była od niego niewątpliwie wyżej. Stała wówczas poza ludzkimi uczuciami, troskami, poza drżeniem i lękiem [...] Przeobrażała się w czystą siłę cierpienia, która wznosi się ponad życiem ludzi i ponad nędzą ciemności [...] Przenikała wszystko aż do samego dna [...] Zdarzenia, wypadki, fakty przemieniały się [w znaki] według których dusza snuła symfonię swoją zaświatową. Symfonia była olbrzymiego zakresu, straszliwej piękności, niestrzymanej siły [...] Wykwitał na rozchylnych ustach i wyschłych oczach uśmiech zwycięski. Powiew wzniesłego podwyższenia, gardzące wszystkim ucieszenie ochładzało znużone skronie.⁵⁵

Daimonion, drugie, głębokie ja, utajone w duszy ludzkiej, siła boska, wspierające, potężne ramię. Tak jawi się Bożyszczce Danowi: „Ja jestem ty [...] Jestem twój sobowtór. Byłem z tobą w więzieniu. Jako tożsamość twoja przeszkadzałem ci ustać, gdy kułeś po nocach swój wynalazek. Czy nie pamiętasz wsparcia mojego, gdyś upadał, czy nie pamiętasz pociechy mojej, gdyś płakał krwawymi łzami, czy nie pamiętasz zaprzeczeń moich, gdyś się łamał wewnątrz [...] Podniecałem zawsze twą myśl, popychałem cię, żebyś tu przyszedł”⁵⁶.

Świata, jaki wykreowała w swoich dziełach wyobraźnia pisarska Żeromskiego, niepodobna zamknąć w granicach rzeczywistości werystycznej. Jest to świat przekraczający naturalistyczną widzialność i sprawdzalność, mający swoje podziemia, głębie, tajemnicze przestrzenie, w których trwają gotowe w każdym momencie do działania potężne siły, niepodległe racjonalnemu określeniu. Świat manichejsko-gnostyczny, rozdarty między urzekającą, nieodpartą pokusą grzechu a namiętym pragnieniem uświęcenia, między lękiem wobec grozy bytu a nadzieją zaświatowego wybawienia, między poczuciem spętania przez moc nieprzyjazną i ciemną, „co z cienia tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi”, a niczym nie ograniczoną wolnością „jasnych synów bożych”. Obszarem, na którym rozgrywa się

⁵⁴ *Przedwiośnie*, s. 287 - 288.

⁵⁵ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 222 - 223.

⁵⁶ *Róża*, s. 227.

ów dramat egzystencji, odwieczne zmaganie się Arymana z Ormuzdem, bywa przede wszystkim świadomość i dusza ludzka. Życie staje się jednocześnie *mysterium fascinosum* i *mysterium tremendum*. W tym zmaganiu się nikt stać na uboczu nie może. Przez samodzielną decyzję człowiek staje się sprzymierzeńcem bóstwa lub przechyla się dobrowolnie w stronę zła, otwiera mu wszystkie ujścia, zapory i upusty. Sam decyduje o wyborze, jest arbitrem swojego losu. Wydany na pastwę sił demonicznych, rozrywających jego wolę, uczucia i świadomość, jest w swej ontycznej esencji istotą wolną, indywidualnie odpowiedzialną za swoje moralne rozstrzygnięcia.

W 1936 r. ukazała się niezwykle interesująca książka Stefana Balęcy z Żeromskim, określona w podtytułach jako „studium z zakresu psychologii twórczości”. Autor wykorzystując współczesne badania nad strukturą osobowości usiłował określić podstawowe konstanty organizacji psychicznej twórcy *Popiołów* i wywieść z nich pewne charakterystyczne skłonności i znamiona jego sztuki pisarskiej. Książka Balęcy napotkała grunt zupełnie nie przygotowany i w rezultacie tytułowego twórcy nie wywołala; wręcz przeciwnie, raczej wątpliwość i niechęć. Tezy studium wydały się ówczesnym badaczom narbył hipotetyczne i w istocie poniekąd niesprawdzalne jako oparte na przesłankach uchodzących za niepewne i w swej dowodowej wartości problematyczne. Tymczasem książka Balęcy zawierała wiele sugestii i spostrzeżeń zasługujących jak najbardziej na uwagę i poważną refleksję.

Psychologia współczesna badanie nad typologią i kategoryzacją ludzi według cech psychicznych posuwała bardzo daleko odgajając wyniki wcale nie mniej wiarygodne niż klasyfikacje antropologów. Okazała się w świetle owych systematyzujących ustaleń, że człowiek w swej psychice, jednostkowej strukturze może być pomnawiany, można go określić, opisać, zdefiniować. Ujawnia się i ukazuje w „portretie zespołu cech fizycznych i zachowań”, które w całej swojej różnorodności odznaczają się nieprzerwanie w ciągłym kontakcie z „stałocześnie się zmieniającymi stanami rzeczy”. To następstwo reakcji i zachowań chwyta się „intuicyjnie nie tyle jako „szereg” następujących po sobie wydarzeń, ile wyraz pewnej całości psycho-somatycznej, w której owe reakcje mają swoją pierwotną przyczynę. „Ta jedność przebijająca przez różnorodność zachowań i ta tożsamość w zmieniającym następstwie przejawów” decydują o strukturze osobowości, nadaje jej „pewną spójność” oraz „stałość znaczenia”.

1. S. Balęcy, *Orbitował twórczość Żeromskiego. Studium z zakresu psychologii twórczości*, Warszawa 1936, s. 104.

2. Zob. J. Nollin, *Struktura osobowości*, Warszawa 1948, s. 51.

3. *Ibid.*, s. 55.

Część III ARTYZM I TECHNIKA

Rozdział I

OSOBOWOŚĆ PISARSKA

W 1936 r. ukazała się niezwykle interesująca książka Stefana Baleya o Żeromskim, określona w podtytule jako „studium z zakresu psychologii twórczości”¹. Autor wykorzystując współczesne badania nad strukturą osobowości usiłował określić podstawowe konstanty organizacji psychicznej twórcy *Popiołów* i wywieść z nich pewne charakterystyczne skłonności i znamiona jego sztuki pisarskiej. Książka Baleya napotkała grunt zupełnie nie przygotowany i w rezultacie żywszego rezonansu nie wywołała; wręcz przeciwnie, raczej wątpliwości i zastrzeżenia. Tezy studium wydały się ówczesnym badaczom nazbyt hipotetyczne i w istocie poniekąd niesprawdzalne jako oparte na przesłankach uchodzących za niepewne i w swej dowodowej wartości problematyczne. Tymczasem książka Baleya zawierała wiele sugestii i spostrzeżeń zasługujących jak najbardziej na uwagę i poważną refleksję.

Psychologia współczesna badania nad typologią i kategoryzacją ludzi według cech psychicznych posunęła bardzo daleko osiągając wyniki wcale nie mniej wiarygodne niż klasyfikacje antropologów. Okazało się w świetle owych systematyzujących ustaleń, że człowiek w swej psychicznej, jednostkowej strukturze może być poznawalny, można go określić, opisać, zdefiniować. Ujawnia się i ukazuje w „postaci zespołu cech fizycznych i zachowań”, które w całej swojej różnorodności odsłaniają się nieprzerwanie w ciągłym kontakcie z ustawicznie się zmieniającymi stanami rzeczy². To następstwo reakcji i zachowań chwytnie jest „intuicyjnie nie tyle jako «szereg» następujących po sobie wydarzeń”, ile wyraz pewnej całości psycho-somatycznej, w której owe reakcje mają swoją pierwszą przyczynę. „Ta jedność przebijająca przez różnorodność zachowań i ta tożsamość w zmiennym następstwie przejawów” decydują o strukturze osobowości, nadają jej „pewną spójność” oraz „stałość znaczenia”³.

¹ S. Baley, *Osobowość twórcza Żeromskiego. Studium z zakresu psychologii twórczości*, Warszawa 1936.

² Zob. J. Nuttin, *Struktura osobowości*, Warszawa 1968, s. 51.

³ *Ibid.*, s. 53.

Osobowość ujawnia się więc w ustawicznej interakcji między jednostką a światem; preegzystująca struktura psychosomatyczna, stanowiąca jądro osobowości, istnieje funkcjonalnie jedynie w sieci rzeczywistych i potencjalnych powiązań między „ja” a rzeczywistością zewnętrzną, tak iż ów świat „obcy” wchodzi niejako „w skład osobowości jako element integralny”⁴. Na zawartość psychiczną osobowości składają się zatem dwa światy: „osobisty”, stanowiący rdzeń i wewnątrz osobowości, to jedyne i niepowtarzalne „bogactwo” własne, jakie jedna osoba zdolna jest przekazać i ofiarować drugiej, oraz świat „przedmiotowy i społeczny” jako miejsce kontaktu i spotkania z rzeczywistością innych osób i zdarzeń, stanowiący jednakowoż przepojoną subiektywnym znaczeniem treść i zasadniczy element życia psychicznego jednostki⁵.

Wśród wielkich twórców naszej literatury narodowej Żeromski należy niewątpliwie do rzędu tych, którzy w sposób szczególny mogą budzić ciekawość i interes badawczy od tej właśnie strony zjawiska. Sprawia to samo dzieło tego pisarza, najwyraźniej w swoim charakterze intymne, chciałoby się powiedzieć spowiednicze, a więc suponujące jak gdyby, że źródła jego i wytłumaczenia należałoby szukać w jakichś bardzo osobistych przeżyciach twórcy. Miało też ono od początku wyjątkową zdolność i siłę prowokowania namiętnych i gorących reakcji, przychylnych i negatywnych. Twórczość ta była zawsze dla jednych oczarowaniem i olśnieniem, dla innych zjawiskiem wewnątrznie obcym i odpychającym. Dzieło tego rodzaju interesuje nie tylko samo przez się, ale skierowuje zarazem naszą ciekawość w stronę swego sprawcy. Kim był człowiek, którego słowo tak zawsze wytrącało z równowagi i wywoływało tak namiętne i wykluczające się nawzajem reakcje?

W biografistyce literackiej podejmowano już kilkakrotnie próby określenia osobowości Żeromskiego, spodziewając się znaleźć w analizie charakterologicznej wyjaśnienie wielu tajemnic jego pisarskiej wyobraźni. Jeden z pierwszych robił to Zygmunt Wasilewski, zapisując w swych książkach wspomnieniowych szereg spostrzeżeń, których trafność potwierdziła po latach Oktawia Żeromska, a więc świadek w danym wypadku absolutnie niepodważalny i jak najbardziej autorytatywny⁶. Natomiast studium Baley oparło się w swoich klasyfikacyjnych sugestjach na typologicznych ustaleniach głośnego w latach trzydziestych psychiatry i neurologa niemieckiego Ernesta Kretschmera, sformułowanych w dwu jego podstawowych i poczytnych książkach: *Körperbau und Charakter* (do roku 1936 dwanaście wydań) i *Die geniale Menschen* (1931), określając Żeromskiego jako osobo-

⁴ Ibid., s. 242.

⁵ Ibid., s. 244.

⁶ Zob. Z. Wasilewski, *Wspomnienia o Janie Kasprówiczu i Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1927, oraz *Dramat twórczości Żeromskiego*, „Myśl Narodowa” 1927, nr 14, 16; W. Borowy, *Rozmowy i listy o Żeromskim*, [w:] *O Żeromskim. Rozprawy i szkice*, Warszawa 1960, s. 235 - 261.

wość o wyraźnej przewadze rysów schizotypicznych. W świetle systematyki Kretschmerowskiej charaktery schizotypiczne ujawniają się z reguły w takich konstantach, czyli stałych właściwościach psychicznych, stanowiących jakby rdzeń indywiduacji osobowościowej, jak silna pobudliwość nerwowa, nadwrażliwość, afektywność, autyzm, zamknięcie w sobie. Są to więc natury nietowarzyskie lub towarzyskie i społeczne zewnętrznie, w wąskim, ekskluzywnym zakresie osób bliskich i pokrewnych duchowo. Wrażliwość o silnym pobudzeniu początkowym z długotrwałą reperkusją nerwową, lęk przed brutalnością świata skazują je na życie w własnowolnym i „bezpiecznym” odosobnieniu, wśród przyrody, wśród książek, w świecie własnych idei. Afektywność schizotypiczna nie zna uczuć pośrednich, jest gwałtowna, ekstatyczna i patetyczna, wahająca się między ekstremami potwierdzenia i zaprzeczenia. Autyzm, introwersja, skierowanie ku sobie i ku własnym przeżyciom jako głównemu przedmiotowi obserwacji i analizy nie wykluczają gotowości do altruistycznych poświęceń, dążeń do uszczęśliwienia ludzkości i heroicznych gestów samoofiarowania w wielkim stylu. Ogólnie mówiąc, są to jednostki nieprzeciętne, twórcze, bogate psychicznie i zdolne do najwyższych, uporczywych i wytrwałych wysiłków w dążeniu do założonych celów.

W świetle tych ustaleń teza Baley'a o schizotypicznej dominancie jako swoistym rdzeniu osobowości psychicznej Żeromskiego zdaje się znajdować wyraźne i wielokrotnie potwierdzenie. Był bez wątpienia osobowością z najgłębszych, organicznych skłonności samotniczą. Potwierdzają to na wielu stronach jego dzienniki, potwierdzają jego własne wynurzenia epistolarne oraz świadectwa osób, które dobrze go znały. Wasilewski podkreślał swoistą „dzikość” i chorobliwą nieśmiałość Żeromskiego, a konstatacje podobne przekazują niemal wszyscy pamiętnikarze, podkreślając to zdumiewające zjawisko, że człowiek, który tak wspaniale umiał w swoich utworach opowiadać, tak zupełnie nie potrafił rozmawiać. Później, gdy Żeromski osiągnął już wybitną pozycję, zdobył rozgłos i sławę, wyrósł w nim jak gdyby ktoś „drugi”, na pozór swobodny i światowy, ale w gruncie nieautentyczny, zgodnie z tezą Bleulera, że skomplikowana natura schizoidów posiada jakby podwójną osobowość, tę na powierzchni, zewnętrzną, i tę w głębi, jedynie autentyczną, prawdziwą⁷.

Skłonność do psychicznej rezerwy pogłębiały zapewne trudne warunki i okoliczności życia. Wczesne sieroctwo, skrajne, wieloletnie ubóstwo i nieuniknione upokorzenia, jakich wielokrotnie doświadczał w ciągu swojej guwernerskiej tułaczki, nękające go nieomal całe życie uciążliwe perypetie i kłopoty ze zdrowiem, wytworzyły sięgające do głębi rozległe pokłady i nawarstwienia nieufności, urazów, swoisty kompleks zagrożenia. Świat wydawał się obcy, wrogi, najeżony przeciwieństwami i nie zasługujący na zaufanie. „Nie umiem cieszyć się życiem, nie umiem być wesołym — zwie-

⁷ Zob. J. Nuttin, op. cit., s. 212.

rzał się w którymś z listów. — Zdaje mi się — pisał do żony z Raperswilu — że jak niegdyś jestem jak liść, że mię przez nikogo nie odczuwane cierpienia noszą, jak ten wicher, i że nie ma dla mnie ani jednego miejsca na ziemi”⁸. Był nieufny, podejrzliwy i niesprawiedliwy.

Aniela Gruszecka-Nitschowa podkreślała jako znamiennej cechę Żeromskiego w stosunkach z ludźmi niesłychanie łatwą w nim do obudzenia właśnie ową pochopność do pomówień o podłość czy podłość, o złą wolę, o nieprzyjaźń i wyzysk, i to często u ludzi jak najdalszych od intencji tego rodzaju⁹. Z tej przyczyny również jego stosunki z ówczesnym polskim światem literackim nie układały się najlepiej. Były oficjalne, bez szczególniejszej zażyłości z kimkolwiek. Świadek tak w swoim stosunku do wielkiego pisarza niepodejrzany, tak entuzjastycznie i młodzieńczo uwielbiający Żeromskiego, jak Lechoń, podkreślał przecież w swych wspomnieniach, że uprzedzenia i niechęci tego niezwykłego człowieka były równie namiętne, jak jego przyjaźnie i sympatie, że sądy jego o współczesnych pisarzach były niezwykle podmiotowe, że potrafił osądzać najniesprawiedliwiej¹⁰. Ale źródła ocen tego rodzaju ukryte były nie w zawiści czy w pisarskiej rywalizacji, do czego był Żeromski organicznie niezdolny, lecz w jakichś złożach podświadomych, w owym nie opuszczającym go nigdy poczuciu wiecznej obcości, dystansu, oddalenia i absolutnej, wewnętrznej samotności. W sprawach własnej pracy zamknięty i niedostępny, pisał skrycie, nie pozwalał o swych dziełach w swojej obecności rozmawiać, taił swoje literackie zamiary.

Tym trudnościom adaptacyjnym we współżyciu z ludźmi i światem towarzyszyła wyjątkowa nadwrażliwość emocjonalna. W dziennikach roi się od miejsc mówiących o tym, jak głęboko przeżywał młodociany Żeromski każdą książkę, każdy usłyszany utwór muzyczny, każde teatralne spotkanie. Wzruszał się do łez w czasie pisania niektórych scen w swoich utworach i nie były to tylko narcystyczne wzruszenia egotysty. Tą samą wrażliwością ogarniał każde rzeczywiste ludzkie cierpienie i nieszczęście. Jednocześnie zaś ta sama, konstytucjonalna uczuciowość, sensytywność i pobudliwość ujawniała się niekiedy w formach negatywnych, w irracjonalnych, niczym nie uzasadnionych idiosynkrazjach uczuciowych, w niepokojącym rozregulowaniu i puszczeniu samopas życia popędowego zwłaszcza w latach trudnej i zawiłej młodości. Przejawiała się w tych sprzecznych reakcjach osobowość znamienne zdezintegrowana, odznaczająca się charakterystyczną dysharmonią i labilnością nastrojów i zachowań.

Pojęcie dezintegracji wprowadził do współczesnej psychologii Kazimierz

⁸ Listy Żeromskiego. Rękopis w posiadaniu S. Pigionia.

⁹ Zob. A. Gruszecka-Nitschowa, *Moje wspomnienia o Żeromskim*, [w:] *Wspomnienia o Stefanie Żeromskim*, Warszawa 1961, s. 155.

¹⁰ Zob. J. Lechoń, *Serce Ojczyzny*, [w:] *Wspomnienia o Stefanie Żeromskim*, jw., s. 241 - 242.

Dąbrowski w książce *O dezintegracji pozytywnej*¹¹, która niezależnie od wyłożonej w niej teorii rozwoju psychicznego może być o tyle dla badacza literatury w sposób szczególny interesująca, że w eksplikacji swych problemów odwołuje się ona bardzo często do przykładu wybitnych przedstawicieli świata nauki i działalności artystycznej. Książka ta służy między innymi udowodnieniu tezy, że główne i pierwotne przyczyny ludzkich poczynań i osiągnięć tkwią w skomplikowanych splotach wewnętrznych, osobistych uwarunkowań, że wszystko lub prawie wszystko, co zdołamy zrealizować z naszych dążeń i celów, rozstrzyga się i dokonuje wśród ustawicznego napięcia rozbieżnych i skłóconych ze sobą dynamizmów psychicznych osobowości. To ścieranie się sił przeciwstawnych: wiary i niewiary, entuzjazmu i zniechęcenia, ascezy i zmysłowości, chęci wyżycia się absolutnego i nakazu powściągliwości, samotnictwa, egotyzmu i potrzeby kontaktu duchowego z drugim człowiekiem, obejmuje autor sumarycznym pojęciem stanu dezintegracji. Całość składających się na to pojęcie dynamizmów psychicznych da się zatem ostatecznie sprowadzić do dręczącego stanu niepewności, nieustannego niepokoju, niezadowolenia z siebie i z poczucia niższości, ale nie w stosunku do rzeczywistości zewnętrznej, lecz własnego *forum internum*.

Osobowość o bogatym i skomplikowanym życiu wewnętrznym, rozdzielana sprzecznościami, rozdzwaja się niejako na podmiot i na przedmiot, czyniąc samą siebie obiektem autoanalizy i obserwacji. To psychiczne samobadanie upewnia ją coraz silniej w przekonaniu, że to, co czyni i odczuwa, jest stanowczo poniżej tego wzoru, jaki ma w sobie i jaki chciałaby zrealizować. Ten stan ambiwalencji, utrzymujący się często na przestrzeni całego życia i nigdy nie doprowadzający do całkowitego scalenia się osobowości na jakimś wtórnie ustabilizowanym poziomie, czyni życie jednostek tak skonstruowanych niezwykle trudnym, choć okazuje się zarazem zjawiskiem twórczym i pozytywnym oraz wydaje się warunkiem koniecznym każdego rozwoju duchowego. Bez poczucia niższości w stosunku do stale wewnątrznie obecnego wzorca osobowego samowychowywanie bowiem jest nie do pomyslenia, a „proces dezintegracji wydaje się stać u podstawy wszystkich wielkich rozkwitów twórczych”¹².

W świetle dokumentów biograficznych ów stan dezintegracji wewnętrznej zdaje się być stałą dominantą duchowej rzeczywistości Żeromskiego. Przyszły pisarz, w którym osadzający mechanizm psychiczny, owo jakby czynne sumienie osobowości, od lat najwcześniejszych był niezwykle aktywny, miał całkowitą świadomość tego rozdarcia i rozdźwięku. „Dwie

¹¹ K. Dąbrowski, *O dezintegracji pozytywnej. Szkic teorii rozwoju psychicznego człowieka poprzez nierównowagę psychiczną, nerwowość, nerwice i psychonerwice*, Warszawa 1964.

¹² *Ibid.*, s. 68.

natury ścierają się we mnie — pisał w swoich *Dziennikach*. — Doznaję wszystkich walk aniołów cienia i światłości”¹³. Na takim osobniczym podłożu wszelkie konflikty ujawniały tendencję do przybierania form wyjątkowo ostrych i dramatycznych. Instynkt życia walczył namiętnie z chorobą i z nękającą nieustannie obsesją śmierci; samotnictwo, egotyzm, niechęć do ludzi i nieufność z silnym poczuciem więzi i solidarności społecznej, z chęcią ofiarowania się za innych w imię wartości ponadosobistych; w dynamizmach uczuciowych silna zmysłowość znajdowała się w permanentnym konflikcie z osobowościowym ideałem doskonałości i czystości; obok stanów euforycznego podniecenia pojawiały się okresy zupełnego zwątpienia i załamania.

Związków między konstytucją psychofizyczną a twórczością artystyczną czy naukową nikt już dzisiaj kwestionować nie może. Kretschmer wykorzystując bogaty i starannie dobrany materiał przykładowy wiązał określone skłonności twórcze z odpowiednimi typami konstytucjonalnymi¹⁴. Schizotypików odnajdywał wśród romantyków i patetyków, których wrodzone uzdolnienia skłaniały się ku poezji lirycznej i twórczości tragicznej, wśród mistrzów formy, klasycystów i stylistów, rozmiłowanych w pięknym brzmieniu wiersza, w czystości i muzyczności rytmu. Historycy literatury nazbyt więc upraszczają rzeczywistość literacką, jeśli doszukują się zasadniczych determinizmów czyjejs twórczości w okolicznościach zewnętrznych, w tendencjach artystycznych epoki, w tak zwanym duchu czasów czy też w rzekomych koniecznościach i mechanizmach procesu historycznoliterackiego. Determinizmy tego rodzaju, o ile oczywiście istnieją, mogą dotyczyć co najwyżej pisarzy bardzo miernych i ograniczonych talentów, których produkty świecą cudzym, odbitym blaskiem. Indywidualności wybitne wymykają się z natury rzeczy jakimkolwiek normatywizującym usiłowaniami.

Żeromski był lirykiem i patetykiem, ale nie z tej oczywiście przyczyny, że liryczna i patetyczna była jakoby cała ówczesna Młoda Polska artystyczna, lecz z racji swoich osobniczych predyspozycji. Liryzm, subiektywizm, spowiedniczy charakter jego twórczości były wyrazem konstytucjonalnej introwersji psychicznej. Pisał zawsze o sobie i najmniej było w nim instynktów i uzdolnień rzeczywistości i prawdziwie epickich czy dramatycznych, owej umiejętności wczuwania się, wcielania i wchodzenia jak gdyby w cudzą skórę psychiczną. Od Judyma do Przełęckiego wciąż ten sam typ protagonisty — altruistyczny samotnik, *alter ego*, sobowtór, *porte parole* swego twórcy. Jego patetyczność wynikała z organicznego impulsu i uwrażliwienia na zjawisko wzniosłości. Pesymizm był produktem wrodzonego jak gdyby smutku duszy, subiektywnego przeświadczenia, że życie z samej

¹³ *Dzienniki I*, s. 356.

¹⁴ Zob. E. Kretschmer, *Ludzie genialni*, Warszawa 1934.

swojej istoty jest tragiczne i że obszary dobra są nieporównywalnie mniejsze wobec zasięgu i potęgi zła.

Kazimierz Dąbrowski stwierdzał w swej książce, że choroba długo trwająca wzmacnia kompensacyjnie bogactwo i żywość wyobraźni, wrażliwość na bodźce świata zewnętrznego, sprzyja koncentracji wewnętrznej, rozbudza i rozwija tendencje analityczne¹⁵. Toteż w tej to właśnie strefie trudnych doświadczeń osobistych należałoby zapewne szukać wytłumaczenia tak znamienych dla Żeromskiego perseweracji tematycznych, obsesyjnej powrotności pewnych motywów, obrazów, sytuacji: widoków śmierci, pozgonnego rozkładu, swoistego somatyzmu tego pisarza, mściwej zapamiętałości w tropieniu mroków życia. Z drugiej zaś strony poczucie biologicznego upośledzenia szukało rekompensaty w obrazach siły, zdrowia, tężyzny, witalnego rozmachu, w szczególnej drapieżności wobec rozkoszy i piękności zmysłowych świata. Nadwrażliwości nerwowej zawdzięcza dzieło Żeromskiego szereg najcenniejszych swoich wartości. Silny i pobudliwy sensualizm, wyjątkowe uczulenie na najslabsze nawet bodźce zewnętrzne dawało bogaty i wszechstronny materiał przeróbczy, sprzyjało nieustannemu doskonaleniu się poczucia barwy, kształtu, tonu, zmienności zjawisk. Urzekająca sugestywność obrazów przyrody, zmysłowść scen erotycznych, wyjątkowa finezja i specjalna predylekcja do nieustannego przedstawiania fizycznego uroku i wdzięku kobiet, miały swoją przyczynę niewątpliwie w organicznych dyspozycjach osobowości.

Znamienne dla temperamentów schizotypicznych trwało napięcie intrapsychofizyczne i perseweracyjne rytmowi wyobrażeń zawdzięcza też dzieło Żeromskiego swoją tak charakterystyczną monotematyczność. Jego opowiadania i powieści osnute są w istocie na tym samym temacie i zewnętrzne modyfikacje szczegółów fabularnych zwięźć nas tutaj nie mogą. U jednostek o stabilnym układzie dynamizmów psychicznych raczej to się nie zdarza, ponieważ nad zagadnieniami i tematami raz „załatwionymi” przechodzą one do porządku. U jednostek psychicznie zdeintegrowanych ujawniają się natomiast skłonności diametralnie przeciwne, tendencja do intensywnego wiązania się uczuciowego z problematyką i treścią, które je frapują, i do ustawicznego ich na nowo przepracowywania, pogłębiania jak gdyby owych silnie przeżywanych idei. Jest to oczywiście tendencja jak najbardziej pod względem moralnym i społecznym pozytywna i twórcza¹⁶.

Ambiwalencja sprzecznych dynamizmów psychicznych ujawniała się szczególnie wyraźnie w sferze doświadczeń erotycznych, pobudliwości seksualnej, nie liczącej się z żadnymi normami obyczajowymi oraz nie mniej silnego poczucia odpowiedzialności moralnej. Konflikt ten zdradzał ten-

¹⁵ K. Dąbrowski, op. cit., s. 118 i n.

¹⁶ Ibid., s. 89.

dencję do form i przebiegów wyjątkowo dramatycznych. Z jednej strony działał ów niesłychanie dynamiczny mechanizm życia popędowego, z drugiej niechęć do siebie i do swoich zachowań, bezwzględny i nieprzejednany samokrytycyzm, świadoma wola hamowania dynamizmów prymitywnych i animalnych, przekraczania aktualnego poziomu swej wewnętrznej rzeczywistości i realizowania coraz silniej uświadamianego i przeżywanego ideału osobowościowego. Tą ambiwalencją właśnie należałoby tłumaczyć ów zdumiewający na pozór fakt, że w dziele Żeromskiego miłość do kobiety, zawsze żywiołowa, namiętna, frenetyczna, ogarniająca jak płomień całą osobowość kochanków, jest tak niemal z reguły przez męskich partnerów odtrącana, przewycięzana. Zastanawia u pisarza, tak rozmiłowanego w zmysłowej urodzie życia i czującego się w tym kręgu tematów jak w żywiole najbardziej własnym, ta niezrozumiała bezwzględność, z jaką jego bohaterowie odsuwają od siebie ukochane przez nich kobiety. Jest to jak gdyby przeniesienie w sferę sztuki przy jednoczesnym literackim ich wyjaskrawieniu najbardziej osobistych dylematów moralnych. Poczucie winy i zdrady w stosunku do ideału osobowościowego wyraża się w symbolicznym geście wyrzeczenia. Te znamienne rezygnacje wynikają więc nie tylko z podnieć i pobudek czysto społecznych, jak to się na ogół interpretuje, lecz są to zarazem dramatyczne rozstrzygnięcia najbardziej osobistej, intymnej sprawy — jak żyć, aby uczynić z życia twór doskonały, aby sprostać ideałowi osobowościowemu. Przy całym zafascynowaniu kobietą pojęta jest ona u Żeromskiego niemal z reguły jako element ściągający w dół, odwodzący od pięknej i bohaterskiej linii życia. Odsunięcie pokusy miłości jest zarazem przewyciężeniem instynktu posiadania, jest swoistym uświadomieniem sobie błędnych przywiązań i nowych celów, jest koniecznym procesem sublimacyjnym twórczej, bogacącej osobowość ewolucji duchowej.

Podobnie tak znamieny dla Żeromskiego specyficzny w swoich formach i rozmiarach typ patriotyzmu i altruizmu społecznego, a zwłaszcza skala ich napięcia, zdają się wyraźnie wskazywać na ich osobniczą genezę. Literaturze polskiej nigdy przecież nie brakło twórców, oddających dobrowolnie swe pióro na usługi zagadnień życia zbiorowego. Ale u żadnego z nich bodaj sprawy te nie były przeżywane tak spazmatycznie, nie łączyły się tak integralnie z najwyższą udręką i cierpieniem. Tego samym doświadczeniem społecznym wytłumaczyć nie można, decydowała ostatecznie struktura osobowości. „Każda jednostka jest odmiennym, niepowtarzalnym typem o specyficznej strukturze psychicznej, o odmiennych dyspozycjach odziedziczonych, wrodzonych i nabytych, o odmiennych — pod względem rodzaju i stopnia — «słabych» i «mocnych» stronach, o różnie przebiegających kryzysach rozwojowych”¹⁷. W Żeromskim wspomniane tu konstytucjonalne składniki ustroju psychicznego i okoliczności życiowe sprzyjały

¹⁷ Ibid., s. 52.

kształtowaniu się postawy odosobnienia i reakcji obronnych, dyktowanych przez instynkt samozachowawczy natury niezwykle silnie reagującej na wszelkie zagrożenia, na wszelkie gesty nieprzyjazne, jakie mogą spotkać ze strony świata. Stąd ta negatywna ocena życia w jego utworach i absolutna aż do końca samotność Judymów, Rozłuckich i Przełęckich. Ale jednocześnie wysublimowany instynkt moralny, dynamizmy ideału pociągały go ku postawie zaprzeczania samemu sobie, bezwzględnego kwalifikowania własnych poglądów i zachowań. W wyniku intensywnej pracy wewnętrznej, pod działaniem lektury i stałego obcowania ze światem wielkich, szlachetnych bohaterów życia i sztuki, formował się z wolna własny ideał osobowości, który można było zrealizować tylko za cenę przezwyciężenia tamtych, autystycznych i egotycznych, postaw.

Żeromski musiał już w młodości przeżywać najgłębiej owe szczególnie stany uświadomień, które tak doskonale wyraża w metaforycznym skrócie to słynne zdanie o konieczności zatracenia i zagubienia własnej duszy, aby ją ponownie odzyskać. Należało przekształcić instynktowny egotyzm i egocentryzm w postawę alterocentryczną, poświęcić się i ofiarować w pracy dla innych i zrealizować na tej drodze swój osobowościowy ideał. Jest rzeczą bardzo znamioną, że na wielu kartach *Dzienników* Żeromski za najwyższe marzenie życia uznaje śmierć za ojczyznę: „Jedyne moje marzenie, jedyne szczęście, jakie jeszcze dostrzegam na mojej drodze — to śmierć za kraj...”¹⁸

Ale artyści i poeci na ogół rzadko umierają na polach bitew i na barykadach zmagani społecznych. To, co u ludzi praktycznego działania dokonuje się w sferze życia, u artystów realizuje się w płaszczyźnie sztuki. Ekstatyczny patriotyzm Żeromskiego i jego nabrzmiałe niesłychanym napięciem uczuć społeczeństwo wydają się w świetle analizy psychologicznej nie tyle, a przynajmniej nie tylko, próbą faktycznej, doraźnej interwencji pisarza w sprawę swego narodu, bo Żeromski nie miał złudzeń co do utopijności swych pomysłów i ich problematyczności praktycznej, ile aktem samopotwierdzenia i usprawiedliwienia samego siebie na własnym *forum internum*. Nie jest rzeczą przypadku, że bohaterowie Żeromskiego nie tyle czynnie działają, ile realizują do najwyższego perfekcjonizmu i sublimacji moralnej wyniesiony ideał osobowościowy, ideał poświęcenia się aż do ostatnich konsekwencji. Był to swoisty transfer, przeniesienie własnej sytuacji duchowej, własnych marzeń i niezrealizowanych ideałów w zobiektywizowaną sferę fikcji literackiej. A że ta fikcja będąc swoistym wyzwoleniem artysty przynosiła zarazem czytelnikom wielką i nieocenioną korzyść i pomoc, moralną i społeczną, to jest to już ów zysk dodatkowy każdej wielkiej sztuki, wartość związana z każdym dziełem ludzkiego talentu i geniuszu, poczętym z najbardziej nawet osobistych, często nie uświadomionych wyraźnie pobudek.

¹⁸ *Dzienniki II*, s. 248.

Docieramy w ten sposób do tej indywidualnej i osobniczej własności tego pisarstwa, którą zamknął przed laty Wilam Horzyca w znakomitej formule „mroków Żeromskiego”. Słynne „mroki Żeromskiego” — jego otchłanny i przytłaczający pesymizm, dramatyczne wahania wśród skrajności i przeciwieństw dobra i zła, negacji i aprobaty, dysonansowość tego dzieła, jego uczuciowy ekstremizm, maksymalizm moralny, ekstatyczny patriotyzm i żarliwe społecznictwo miały swoje organiczne determinanty w strukturze osobowości niesłychanie skomplikowanej, udręczonej sprzecznościami, przeżywającej życie i świat wśród ustawicznego napięcia wszystkich władz umysłu, woli i serca. Żeromski nie byłby tym, kim jest w naszej literaturze narodowej, gdyby był osobowością inaczej i „szczęśliwiej” dla siebie ukształtowaną. Niepodobna jednak nie zauważyć, że instynktowne dążenie ludzkie do przeciwdziałania cierpieniu, prowadzi nieuchronnie do rezygnacji z doznań, które zdolne są wyzwalać olbrzymie i głębokie wartości twórcze. Tylko bowiem własne cierpienie, własne trudne życie uwrażliwia na cierpienia innych, rozszerza sferę doświadczeń, pozwala innym zrozumieć. Prawdą i wielkość Żeromskiego w tym się właśnie zamyka, że twórczość jego realizowała się w stanach najgłębszego udręczenia, dramatycznych rozdźwięków i dysonansów. Wewnętrzna dysharmonia, rozdwojenie, rozdarcie, skłócenie dynamizmów psychicznych — oto główne znamiona jego osobowości duchowej. Można by więc zastosować do niego definicję Prousta, natury i organizacji psychicznej w wysokim stopniu Żeromskiemu pokrewnej: „Wszystko, co mamy wielkiego, zawdzięczamy nerwowcom. To oni, a nie inni, poczeli religie, stworzyli arcydzieła. Nigdy świat się nie dowie, ile im zawdzięczamy, a zwłaszcza, ile oni wycierpieli, aby to dać światu. Szczycimy się ich boską muzyką, ich pięknymi obrazami, tysiącem subtelności, ale nie wiemy, ile one kosztowały bezsennych nocy, płaczów, spazmatycznego śmiechu [...] lęku przed śmiercią, który jest gorszy niż wszystko”¹⁹.

Dzieło będące wytworem tak zorganizowanej osobowości nie mogło być w swym kolorycie i tonacji jasne i pogodne. Przybierało charakterystyczne znamiona dramatycznej i głęboko osobistej spowiedzi. Było namiętne, ekstatyczne, rozedrgane nerwowo, pełne jaskrawych kontrastów i gwałtownych dysonansów, poezji i brutalności, radości życia i obezwładniającej niewiary.

¹⁹ Zob. K. Dąbrowski, op. cit., s. 83.

Rozdział II

RODOWÓD LITERACKI

Żeromski był wychowankiem epoki realizmu i naturalizmu. Ona dała mu decydujący impuls i orientację twórczą i ona głównie zdeterminowała jego poetykę i metodę pisarską. To była szkoła, której wzory i dyrektywy zachowały swą moc, urok i ważność aż do końca. Stanowiły metę nieosiągalną, ideał pisarski uświadamiany jako cel, którego nigdy doścignąć się nie da. „Gdyby mię zapytano — zapisywał w swoim dzienniku — kogo ja [...] wielbię — powiedziałbym, że wielbię Jeża. Gdyby mię zapytano, kogo kocham — powiedziałbym, że kocham Prusa”¹. Kochał go za ujawniające się na każdej niemal stronie jego dzieła doskonale człowieczeństwo i nieskończoną dobroć. „To wielkie serce, które ukochało wszystko, co małe, pogardzone, co smutne”². Ale podziwiał go zarazem za jego „genialną intuicję” psychologiczną i „szaloną w mistrzostwie moc wykonania”³. „Jego studia — podkreślał to zachwycające go połączenie poezji z fanatycznym obiektywizmem — które są jednocześnie rzewnymi jak muzyka Szopena poematami, można porównać do tych odkryć”, jakich dokonuje się w laboratoriach nauki. „Pokazuje ci przez swój mikroskop życie [...] spermatozoów, lecz skąd wie, co one cierpią, skąd bierze moc tę, która nas rozdrażnia, gniewa, unosi”⁴.

Jeszcze po wielu latach, już na schyłku życia, pisał o Sienkiewiczu, że tylko ten, kto przeżył jego wpływ w młodości, potrafi docenić jego znaczenie dla dalszego rozwoju prozy polskiej. Już pierwsze szkice Sienkiewicza to było „słowo nowe, inne, własne”, niepodobne do niczego, co było przed nim, „wydobyte z pospolitego języka, z mowy codziennej”, a podniesione do poziomu najwyższej i najdoskonalszej sztuki pisania⁵. Niesłychana, nieomal dotykalna plastyczność jego kreacji postaciowych, znajomość serca i najskrytszych zagadek ludzkiego ducha, zdumiewająca intuicja, genialne

¹ *Dzienniki II*, s. 278.

² *Ibid.*

³ *Ibid.*

⁴ *Ibid.*

⁵ Zob. S. Żeromski, *Przemówienie o Sienkiewiczu*, [w:] *Pisma literackie i krytyczne*, s. 95.

wzucie się w ustroje psychiczne ludzi epok odległych, stwarzanych jakąś niepojętą mocą nieomylnego instynktu i wewnętrznej iluminacji genialnego poety, oporny przeciw wszelkim zamachom na wolność sztuki obiektywizm, odsuwający wszelkie aprioryczne idee, wszelkie „przepisy”, „warunki”, konwencje, pozostały dla Żeromskiego na zawsze arcywzorem pisarstwa, sztuką najwyższego poziomu, nic nie tracącą ze swej absolutnej doskonałości mimo burzliwych przemian i szokujących eksperymentów prozy współczesnej. Esencją wszystkich tych zachwytów i opinii, wartością, którą szacowało się najwyżej jako przedmiot podziwu i zazdrości, była dla niego prawda, pojęta jako absolutna identyfikacja i stopienie się z rzeczą, którą pragnęło się wyrazić. „Umieć tak się wcielać w naturę — pisał o Dygasińskim — tak podsłuchiwać jej życie, tak zachwycająco ją opisywać”, wzuwać się jakąś zdumiewającą intuicją w czucie, instynkty i „myślenie” nawet istot spoza świata ludzkiego, na to „trzeba mieć jakiś specjalny mózgowy mikroskop” i „dickensowski artyzm”, graniczący z geniuszem⁶.

W tym samym kręgu literatury nastawionej na odtwarzanie widzialności świata mieściły się nazwiska obce, trwałe fascynacje młodzieńcze i dojrzałego już pisarza. Szekspir, który za pomocą kilku porównań potrafi dać zupełne pojęcie przedmiotu, absolutną prawdę psychologiczną, obnażoną potęgą słowa, której nie sprostą żaden aktor, żaden nawet genialny artysta sceny. Szekspira można tylko otworzyć i czytając go przypatrywać się jego straszliwemu realizmowi⁷. To była wielkość sama dla siebie, poza jakąkolwiek skalą porównań. Poza nim oczywiście wielka literatura powieściowa wieku XIX — Balzak, Stendhal, Dickens, Flaubert, wielcy Rosjanie: Turgieniew, Tołstoj, Dostojewski, i ze współczesnych Conrad, jako przedłużenie tej wielkiej linii.

Pisząc o literaturze francuskiej na schyłku życia, już jako pisarz głośny i uznany, mając na myśli przede wszystkim tych trzech: Balzaka, Stendhala i Flauberta, zazdrościł im swobody w wyborze tematów i metody. Literatura ta, dzięki właśnie owej swobodzie „zaopatrzona w niezmierny zasób doświadczeń wielowiekowej kultury, mogła pójść w głąb zjawisk, badać najdalsze przyczyny i powody zewnętrznych komplikacji, rozpatrywać człowieka w jego istocie i prawdzie tajnych jego przeżyć [...] Nawet łotrostwa zwierząt [...] w ludzkiej postaci, wywody głupców, udających myślicieli”, nieszczęścia „nieudaczników”, niekiedy ocierające się o śmieszność — pokazywane są „bezstronnie”, jako „tak ludzkie i powszechne, iż ten, kto je w czytaniu obserwuje, musi je uznawać za własne swoje wspomnienia”⁸. Miarą ostateczną najdoskonalszej ze sztuk, „skonstruowanej umiejętnie, świadomej swych wartości pięknej prozy”, pozostało dlań do końca pisarstwo Flauberta. Podziwiał jego „nieporównaną dostrzegaw-

⁶ *Dzienniki II*, s. 122.

⁷ *Ibid.*, s. 211.

⁸ *Pisma literackie i krytyczne*, s. 99 - 100.

czość”, chwytającą „nie tylko objawy zewnętrzne codziennego i pospolitego życia”, ale i „świat wewnętrzny, tajny, podświadomy”, ową sekretną maszynę życia utajonego, uniesień i złudzeń duszy, pokazanych „z takim okrucieństwem, prawdą i bezstronnością, jak to czyni sama przyroda”⁹.

Dla absolwenta gimnazjum kieleckiego najłatwiej i najwcześniej dostępna była oczywiście wielka proza rosyjska: Tolstoj, Turgieniew, Dostojewski. Mimo wszystkich naturalnych resentymentów nie mógł się oprzeć jej zniewalającym urokom, nawet groźnym i odpychającym. Był nazbyt z urodzenia artystą, by nie odczuć jej niepodważalnej wielkości. „Czytam Tolstoja — pisał do narzeczonej w r. 1892 — i to czytanie naucza mnie mądrości i darcia własnych utworów”¹⁰, „czytałem niedawno Tolstoja *Wojna i mir* i zadrżałem do głębi duszy, poznawszy nieszczęście, jakie spotkało Nataszę”¹¹. To, co go urzekało, hipnotyzowało w tej prozie i przerażało zarazem, to przejmujące podziwem i lękiem jednocześnie zdumienie, że można tak jasnowidząco przenikać i przeświećlać najskrytsze i najwstydlwsze zakamarki świadomości i podświadomości ludzkiej, anatomiczna analiza i wiwisekcja duszy aż do najniklejszych unerwień. Zwłaszcza Dostojewski. „Wczoraj całą prawie noc — zanotuje z przerażeniem — przepędziłem na czytaniu pierwszego tomu *Priestuplenije i nakazanije* Dostojewskiego [...] Po spełnieniu zbrodni obraz i sposób myślenia tego Raskolnikowa jest tak uprzytomniony, że zgasilem lampę i rzuciłem się ze strachem na łóżko, czując, że niepodobna tego czytać”, niepodobna przypuścić, że sam Dostojewski to przeżył, to zbyt okrutne i przerażające. A więc „genialna intuicja. Straszny artyzm odgadywania myśli [...] Obudziłem się [...] rano z bólem głowy i radością niewysłowioną, że ja nie zabiłem nikogo”¹². Mimo wszystkich oporów uczuciowych wobec tego „mistyka”, „zacieklego proroka” moskiewskiego i „duchowego ojca czarnej sotni” widział w nim jednocześnie „nieomylnego wizjonera”, tak iż wszystko, co pisał, wywijało się z dziedziny sztuki i stawało się jasnowidzącą wiedzą tajemnic duszy¹³.

Na te odkrycia i nietykalne prawdy, wyniesione ze szkoły realistów, nałożyły się silne, trwałe, choć nie bez oporów przyjmowane i nigdy w istocie do stanu absolutnego zawładnięcia nie dopuszczone wpływy naturalizmu¹⁴. Narzuciły się, zwłaszcza w tym pierwszym, młodzieńczym z nim zetknięciu z siłą tym większą, że natrafiły na stan duszy wyjątkowo dla przyjęcia jego idei i wizji świata przychylny. Tragizm położenia osobistego, rozpaczliwość sytuacji życiowej, obserwacja rzeczywistości, która objawiła młodocianemu adeptowi pisarstwa już u początku drogi swe najbardziej

⁹ Ibid., s. 100.

¹⁰ S. Piółun-Noyszewski, *Stefan Zeromski. Dom, dzieciństwo i młodość*, Warszawa—Kraków 1928, s. 273.

¹¹ Ibid., s. 300.

¹² *Dzienniki II*, s. 160 - 161.

¹³ Zob. *Snobizm i postęp*, s. 18.

¹⁴ Zob. A. Hutnikiewicz, *Zeromski i naturalizm*, Toruń 1956 passim.

bezlitosne oblicze, rozrastający się w nim samym na tle owych doświadczeń nieustępliwy smutek duszy, zdawały się idealnie korespondować z posepnym, przygnębiającym kolorytem utworów Zoli, Goncourtów, Maupassanta, Bourgeta. Prawda doprowadzona aż do okrucieństwa, „fotograficzność” nie złagodzona najłżejszym śladem retuszującego dotknięcia, odrzucenie wszelkich idealistycznych iluzji i zawierzenie absolutne sprawdzalnym przesłankom i dowodom fizjologicznego sensualizmu jako jedynej normie i prawu, które rządzą światem, beznamiętny obiektywizm kliniczno-lekarskiego, anatomicznego opisu — wszystko to wydawało się aż nadto wystarczające, by poruszyć wyobraźnię, rozszarpać wszystkie struny wrażliwości wewnętrznej, a tego właśnie oczekiwano się i pragnęło od literatury. W nastroju sztuki naturalistycznej, w jej znamiennych uogólnieniach, w jej brutalnych, dysonansowych akcentach odnajdywał młodociany aspirant do zawodu pisarza ten sam ton protestu i sprzeciwu, który podnosił się z najgłębszego dna jego własnej, wrażliwej, namiętnie reagującej na zło świata istoty moralnej.

Kiedy Żeromski wchodził do literatury, miał już swój ideał pisarstwa i nie wyartykułowaną co prawda werbalnie, ale w pełni świadomą swych założeń własną poetykę, system wskazań i metodycznych zaleceń. Pierwszym przykazaniem twórczości, miarą sprawdzalną prawdy był i miał pozostać na zawsze nieogarniony obszar życia, zbadany aż do najdrobniejszych szczegółów, z odwagą nie cofającą się przed niczym. „Niepodobna być nowelistą — zapisywał w swym dzienniku — nie znając życia. Dla powieściopisarza aulą rzeczywistego ukształtowania — jest aula życia [...] Żywość [...] dowcip [...] obrazowanie wytwarza życie”¹⁵. Odtwarzać rzeczywistość widzialną i osobiste doświadczenia z całym rzetelnym, beztendencyjnym weryzmem, „nadać powieści tę moc przez oparcie jej na naturalistycznej prawdzie, jaką posiadają zestawienia i wyliczenia statystyczne”¹⁶, nie cofnąć się przed żadną drastycznością, przed żadnym okrucieństwem, skoro stanowią one olbrzymi szmat zbiorowego istnienia, a jednocześnie nasycić je osobistym, najintymniejszym przeżyciem rzeczy, zachować bezwzględny obiektywizm i przyglądać się tak obojętnie całemu swojemu „gorzkimi łzami zmytemu — «das Ich», opisywać to, nad czym jęczało się „przez noce całe”, złączyć w obrazie literackim ostrość obserwacji z idealnym polotem i głęboko osobistym odczuciem rzeczy — cały ten zespół wskazań, wywiedziony — jak sam wyznawał — nie z książkowych zasad krytycznych, nie z teorii estetycznych Brandesa, Taine’a, Bourgeta, Turgeniewa czy Zoli, lecz z obserwacji jedynie, która sama stwarza obrazy — stanie się programem działania na całość twórczego życia. Żadne enuncjacje późniejsze na temat wolności i niezależności sztuki nie zmieniają tego młodzieńczego poglądu, pozostaną teoretycznym postulatem bez konse-

¹⁵ *Dzienniki I*, s. 32.

¹⁶ *Ibid.*, III, s. 140-141.

wencji. Pierwsze impulsy i zmagania się młodzieńcze z oporem wielozjawiskowej i niewyczerpanej materii życia, pierwsze męczarnie, doświadczane nad niezapisaną kartką papieru, gdy szukało się wyrazu dla tego, „co w nas się mieści i [...] co boli głęboko”, okazały się rozstrzygające.

Z takim багаżem pojęć i przeświadczeń wszedł Żeromski już jako pisarz w pełni dojrzały i świadomy w orbitę inspiracji i oddziaływań Młodej Polski. Najpełniejszy rozkwit jego twórczości przypadł na tę właśnie epokę, przez którą został z miejsca zagarnięty, zaanektowany i zaklasyfikowany jako jeden z jej najwybitniejszych przedstawicieli. Ale czy był nim istotnie? Jego pierwsze opowiadania i powieści dowodziły wyraźnie, że były przedłużeniem i kontynuacją wielkiej linii realistycznego pisarstwa spod znaków Prusa, Sienkiewicza i Orzeszkowej. Oczywiście od początku było widoczne i narzucające się obserwatorom tego debiutu, że to jest zarazem w wielu swoich niuansach i odcieniach proza odmienna, własna, naznaczona piętnem osobowości wybitnej i oryginalnej, wprowadzająca do modelu dziewiętnastowiecznej narracji fabularnej rysy sobie właściwe, wywodzące się z najgłębszych dyspozycji i wewnętrznych determinizmów indywidualnej, osobowościowej struktury psychicznej autora — liryzm, emocjonalizm, subiektywizm, rozedrganą nastrojami wrażliwość, urodziwość języka, muzyczność frazy narracyjnej, naginającej się ulegle do zmienności odczuć. Modyfikowały one najwyraźniej ustalony nawykiem czytelniczym model tej prozy, ale nie naruszały zasadniczo jej gruntu, jej gatunkowej, naturalistycznej i realistycznej istoty.

Ten rys wyodrębniający przybliżył szybko Żeromskiego do podstawowego nastroju nowej, synkretycznej i rozestetyzowanej literatury modernizmu, ale była to zbieżność przypadkowa, podobieństwo niezamierzone i wykluczające jakąkolwiek zależność. To nie on brał od innych wszystkie owe wibracje serca i szalone eksplozje wyobraźni, lecz raczej oni brali je od niego. To nie on był pilnym uczniem w laboratorium modernistów, lecz sam stworzył bezwiednie „szkołę Żeromskiego”. Michał Głowiński tworząc i opisując swój model „powieści młodopolskiej” materiał dowodowy dla swych konstrukcji myślowych czerpał przeważnie z tekstów Żeromskiego¹⁷. To nie Młoda Polska stworzyła „powieść liryczną”, stworzył ją Żeromski i pociągnął mimowiednie za sobą całą falangę naśladowców, stając się sprawcą owej manieri stylistycznej, którą ochrzczono rychło mianem „żeromszczyzny”. Były oczywiście w całym nastawieniu i orientacji estetycznej okresu pewne wzory, idee, aspiracje, które go w pewnych momentach pociągały i którym nieraz ulegał, ale i one ową przychylną przyjęcia zawdzięczały raczej nie tyle własnej sile inspirowania, ile pewnym organicznym dyspozycjom pisarza.

Od urodzenia był stylistą, wyczulonym na oryginalność, nowość

¹⁷ Zob. M. Głowiński, *Powieść młodopolska. Studium z poetyki historycznej*, Wrocław 1969.

i brzmienie słowa, na rytm i muzyczność zdania. Jego sensualizm nastawiony był niejako z wewnętrznego impulsu na synestezyjne odbieranie wrażeń zmysłowych całą powierzchnią pobudliwej, nerwowej wrażliwości. Jego emocjonalizm współbrzmiał idealnie z rozedrganym liryzmem tej rozpoetyzowanej epoki. Ale wszystkie te korelujące z tendencjami okresu i klimatem jego uczuciowej i estetycznej świadomości instynktowne impulsy sztuki pisarskiej Żeromskiego nie naruszały przecież zasadniczego charakteru jego prozy, była to zamierzona i sama siebie świadoma kontynuacja wielkiej linii realizmu polskiego. Linii tej pozostał wierny do końca. Był oporny wobec wszelkich eksperymentów widząc w nich więcej zakłamaną mistyfikację i jałowego snobizmu niż rzeczywistego postępu. Wciąganie go na siłę do awangardy „nowatorów”, rewolucjonizujących jakoby prozę polską, jest oczywistym nieporozumieniem, wynikającym z pozornych, powierzchownych podobieństw, nic nie mających wspólnego ze świadomą opozycją czy poszukiwaniem jakichś narzucających się ostentacyjnie nowych środków wyrazu¹⁸.

Zasadnicze założenia jego poetyki pisarskiej mieszczą się doskonale w klasycznym kanonie wielkiej prozy realistycznej. Jego czas jest obiektywny i sukcesywny, uznający kategorie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości; jego postaci powieściowe mieszczą się bez reszty w normach weryzmu; jego przestrzeń jest konkretna, realna, trójwymiarowa, nasycona bogactwem egzystujących w niej przedmiotów; jego intryga powieściowa nie gardzi melodramatem i chwytami sensacyjnego romansu przygód. Z domniemanego nowatorstwa pozostaje ów „dyskurs eseistyczny”, czy raczej wtręty i dłużyzny publicystyczne, które on sam miał za skazę swego pisarstwa, „psującą do gruntu jaką taką wartość [jego] «pisanin»”¹⁹, a wynikające z narzuconych sobie celów służebnych, prób uporania się z problematyką tak rozległą i skomplikowaną, iż wymagałaby ona umiejętności organizowania przekraczających skalę jego własnych uzdolnień i możliwości.

¹⁸ Zob. A. Hutnikiewicz, *Problematyka form kompozycyjnych w sztuce pisarskiej Żeromskiego*, [w:] *Portrety i szkice literackie*, Warszawa 1976, s. 70 i n.

¹⁹ *Bicze z piasku*, s. 45.

Rozdział III

TWORZYWO

Dla pisarza realisty tworzywem są jego własne doświadczenia. Wszelka zresztą twórczość, jakiegokolwiek rodzaju, jest z wewnętrznej swojej natury sprawą najbardziej prywatną, osobistą, intymną. Jest swoistą formą spowiedzi, obnażaniem się, ekshibicją psychiczną i być inaczej nie może. Wiarygodność prawdy w sensie artystycznym osiągają bowiem tylko treści, które przeszły przez najgłębsze filtry wewnętrzne. Czego się nie przeżyło całym sobą, to wychodzi literacko martwe, nijakie. Cóż zaś mówić o pisarzu tak zorganizowanym psychicznie jak Żeromski, tak zamkniętym bez reszty w sobie nawet w swoich dylematach społecznych i narodowych, które nigdy nie były dlań jakąś sprawą z zewnątrz, lecz najosobistszą częścią jego istnienia. Toteż zauważono już od dawna¹, że cała jego twórczość sprawia nieraz wrażenie jakby wielotomowego dziennika, rozpisanego na powieści, nowele, opowiadania. Silny podkład autobiograficzny jest rysem narzucającym się każdemu, kto cokolwiek choćby zetknął się bliżej z historią i genezą tego zjawiska.

Przestrzenie Żeromskiego, w których kazał się poruszać i istnieć swoim postaciom, odbijały jak na czulej, wrażliwej kliszy najwierniej zapisane w pamięci, w nerwach i zmysłach krajobrazy rodzinne, chwilowe postoje guwernerskie, miejsca egzotyczne, widoki ziemi, nieba i morza, przeżywane w radości lub w smutku w czasie jego wędrówek i podróży po świecie. Region Gór Świętokrzyskich trwa niezmiennie w tym dziele od nieśmiałych prymicji debiutanta aż po ostatnie westchnienie *Puszczy jodłowej*. Podlasie, Nałęczów, ziemia lubelska użyczą swych uroków kartom *Mogily*, kartom opowiadań unickich, *Ludziom bezdomnym* i *Urodzie życia*. Bohaterowie Żeromskiego podążają tropami swego twórcy, podziwiają te same arcytwory przyrody, góry i morza, i te same arcydzieła malarstwa, rzeźby i architektury, mieszkają przy tych samych ulicach i w tych samych hotelach, w których on zatrzymywał się niegdyś. Tysiące szczegółów, migaw-

¹ Zob. W. Borowy, *O Żeromskim. Rozprawy i szkice*, Warszawa 1960, s. 64.

kowych obserwacji, nie znaczących na pozór gestów, zasłyszanych wiadomości o zdarzeniach i ludziach, wchodziły na stronice utworów w stanie niemal pierwotnym, zaledwie tknięte literackim retuszem. Zapisane zrazu w *Dziennikach* jako fakty rzeczywistości, dawały pierwszy impuls wyobraźni, nasycaly zmyslenie prawdą rzeczy przeżytych lub rozrastały się w rozwinięte pisarsko epizody, motywy czy też samoistne literacko całości.

Pierwsze opowiadania, pierwsze utwory powieściowe to w większym lub mniejszym stopniu transpozycje własnych doświadczeń, obserwacji, odczuć, sytuacji życiowych na język obrazów i zdarzeń fabularnych. Wyraźny podkład subiektywny miały też nieomal aż do końca wszystkie rozległe struktury powieściowe Żeromskiego. Przy wszystkich swych transformacjach, dopełnieniach, licencjach *Szyzofowe prace* są przecież powieścią o smutkach i radościach dzieciństwa i o niepokojach młodości ich autora. Historia Judyma jest znakiem dylematów moralnych swego twórcy i najlepszych spośród ówczesnego pokolenia Polaków. Tak odległe na pozór samym dobozem bohaterki i jej osobistych losów zdeterminowanych szczególnie sytuacją kobiety, *Dzieje grzechu* zdają się wyraźnie ujawniać skryty pod sensacyjną anegdotą nurt osobisty. Jeśli Flaubert mógł powiedzieć o Emmie: „pani Bovary — to ja”, mógł to powiedzieć Żeromski z równym prawem o Ewie. Cała jego namiętność, zmysłowość, temperament weszły w młode, dziewczęce ciało, wybujały erotyzm, krępowany nakazami powinności społecznej i narodowej, wyrwał się na swobodę puszczając wodze wszystkim najskrytszym i przewrotnym podszeptom i zachceniom instynktu.

— *Walka z szatanem* wchłoneła dramatyczne dzieje jego ostatniej miłości. „Nawłoc” z *Przedwiośnia* soczystość swego obrazu zawdzięcza wspomnieniom i awanturom sprzed lat trzydziestu i czyta się jej stronice jak literacką mutację kart młodzieńczego dziennika. Olbrzymi i niewyczerpany materiał, wydobyty z własnego życia stawał się tworzywem dzieła najbardziej niezawodnym i artystycznie produktywnym, stanowił obszar doświadczeń, nad którym miało się absolutną i suwerenną władzę, tu każdy szczegół, każdy wygląd rzeczy, utrwalony w pamięci, pulsował życiem odległej, a wciąż jakby obecnej chwili, w tej przestrzeni kreator zmysłowych światów czuł się najpewniej, życie udzielało prawdy tworom imagi-nacji tworząc najlepsze, najbardziej literacko dojrzałe stronice dzieła.

Ambicje pisarskie przymuszały jednakże do wychodzenia raz po raz poza ten krąg rzeczy najbardziej znanych i najosobiściej przeżytych. Pisarstwo rozumiane od początku jako nie tylko spowiedź, ale również służba, wezwanie, pouczenie, wchłaniało z zewnątrz całe światy idei. Młodzieńcze, ludomańskie inspiracje „Głosu”, wizje przyszłości polskiej, urodzone przed dziesiątkami lat w męce pielgrzymów i wygnańców, reformatorskie pomysły Abramowskiego, syndykalistyczne koncepcje George’a Sorela — stanowiły

tworzywo równie urzekające, jak owe obszary przeżyć własnych, zapisane w pamięci. Wreszcie historia, poznawana i studiowana pilnie od lat młodości, olbrzymia, zdumiewająca erudycja, zdobywana z początku chaotycznie i przypadkowo, później coraz bardziej świadomie, planowo, w formach celowo założonych i zorganizowanych. Ogromny materiał źródłowy zgromadzony w Raperswilu, zasoby Biblioteki Zamoyskich, w dziesiątki tomów idąca drukowana literatura pamiętnikarska dostarczały tworzywa dla rozległych i fascynujących niekiedy przestrzeni dzieła². Niemniej, był to materiał przyjęty z zewnątrz, przyswojony myślowo, ale zarazem nawet przy bezspornej akceptacji emocjonalnej oddzielony swoim dystansem obcości i następujący pewną trudność zupełnego literacko zasymilowania. Toteż partie dzieła zależne przede wszystkim lub całkowicie od owego materiału genetycznie innego nie mają często tej urzekającej urody tamtych wrzuseń przeżytych.

Pełnię wykończenia artystycznego o niezwyklej nieraz piękności osiągały te jedynie impulsy, które potrafiły o jakąś najbardziej osobistą strunę wewnętrzną. Tak właśnie bliski wrażliwości uczuciowej i estetycznej pisarza piękny, wysublimowany i upoetyczniony „romans” Krzysztofa Cedry z młodzieńką doncellą w hiszpańskim epizodzie *Popiołów* rozwinął się pod piórem Żeromskiego z dwóch krótkich wzmianek anonimowego pamiętnika, opowiedzianych w dodatku „niezręcznym i nie zawsze gramatycznym językiem”³. Intuicja artystyczna kazała wybierać Żeromskiemu z olbrzymiego materiału fragmenty najbardziej cenne, nadające się szczególnie do literackiej przeróbki, talent dopełniał reszty przetwarzając surową rudę pamiętnikarskiego czy też źródłowego przekazu na drgające życiem iluzjonistyczne obrazy quasi-realnej rzeczywistości. Szturm Saragossy, „cały wielostronicowy epizod [...] w swej literackiej stylizacji najautentyczniej naturalistyczny, rozrósł się z kilku wierszy pamiętnika Mrozińskiego”⁴.

Ale nie zawsze tak bywało. Nadmiar materiału przytłaczał, wpędzał jakby w stan całkowitej bezradności, przerobienie tej masy na pełnowartościowy produkt pisarski wydawało się niemożliwością. Obezwładniał nakaz wierności historycznej, poczucie odpowiedzialności za prawdę w sensie faktograficznym. W parafrazę stylistyczną wdzierały się całe partie źródłowe w stanie surowym, kronikarskie relacje, wyciągi, informacje, rejestry w dosłownym brzmieniu pierwotnym, bez najmniejszej interwencji językowej pisarza. W partiach ideowych materiał myślowy o wysokim stopniu

² Zob. A. Grodzicki, *Źródła historyczne „Popiołów” Żeromskiego*, Kraków 1935; J. Pachowski, *Prawda historyczna w Popiołach*, oraz M. Strzałkowa, *Żeromski o Hiszpanii*, [w:] *Stefanowi Żeromskiemu w setną rocznicę urodzin*, „Zeszyty Naukowe WSP”, Katowice 1967, nr 34.

³ M. Strzałkowa, op. cit., s. 204.

⁴ Ibid., s. 205.

i poziomie abstrakcji intelektualnej, nie dający się przetransponować na przemawiający do wyobraźni język obrazów fabularnych, wlewał się w nurt epickiej narracji tworząc rozległe melizmy i rozlewiska pozorowanego dyskursu, wykładu, publicystyki programowej, dłużyzny i przerosty nie przefiltrowanego twórczo surowca. Obnażały się jak gdyby naocznie warstwy tworzyw niezintegrowane wewnętrznie, o nierównym stopniu literackiej transformacji. Pisarz i ideolog obnażał jak gdyby i ujawniał niemożność zharmonizowania i uzgodnienia niczym nie ograniczonej wolności twórczej i narzuconego sobie nakazem świadomej woli obowiązku, dwu powołań, które się zdawały wykluczać.

Rozdział IV

STRUKTURA POSTACI I OBRAZÓW PRZESTRZENI ŚWIATA PRZEDSTAWIONEGO

Debiut Żeromskiego był jednym z najblyskotliwszych, jakie obserwowała kiedykolwiek publiczność literacka w Polsce. Nie znany nikomu autor zaprezentował się od pierwszych swych wystąpień jako pisarz całkowicie dojrzały, uformowany, sprawny i pewny w swoich dokonaniach pisarskich. Długoletnie terminowanie w szkole realistów i naturalistów przyniosło widomie znakomite rezultaty, nauczyło powściągliwości i obiektywizowania własnych myśli i wzruszeń w znakach i obrazach o zdumiewająco czystym i wyraźnym rysunku. Można to było stwierdzić od pierwszego momentu na jego kreacjach postaciowych, z których aż kilka — doktor Piotr, „Siłaczka”, Obarecki, Bijakowski, Cedzyna osiągnęły niejako status jak gdyby znaków pojęciowych o niezwykle ostrej wartości semantycznej, oznaczających bezbłędnie określone postawy, typy zachowań i działania. Nie każdemu debiutantowi coś takiego się zdarza. Jeśli wziąć pod uwagę ów realistyczny aksjomat, że narracja epicka prezentuje obraz świata, jego widzenie i ocenę przede wszystkim poprzez los bohaterów i poprzez celowo zaaranżowane zdarzenia, w które owe postaci się wikłają, że człowiek w całej złożoności swego duchowego i społecznego istnienia jest tu głównym przedmiotem opowiadania, to poziom sprawności kreacyjistycznej przyjdzie uznać za poniekąd rozstrzygający dla ostatecznego znaczenia i wartości dzieła. Czytelnik nie zaufa postaciom, w które autor nie potrafił tchnąć życia, które są poczęte nie z krwi i namiętności, lecz z atramentu.

Galeria postaci Żeromskiego jest olbrzymia, obejmuje osoby płci obojga każdego wieku, wszystkich warstw, stanów, klas społecznych, najrozmaitszych zawodów, powołań i poziomów moralnych, ludzi polskich i narodowości obcoplemiennej. Konstruktor tego świata przedstawionego prezentuje je w najrozmaitszych ujęciach w zależności od zadań, jakie tym postaciom wyznacza — rzeczowo-obiektywnym, werystycznym i naturalistycznym, idealizującym i deheroizującym, symbolicznym i alegorycznym, karykaturalnym, komicznym, ironicznym czy też w formie o nacechowaniu emocjonalnym wybitnie dodatnim, superlatywnym, ujawniającym subiektywnie wartościujący, osobisty stosunek narratora. Postaci te ukazywane

są z różnych punktów widzenia, przybliża je obiektyw wszechwidzącego i wiedzącego twórcy i ewokatora owej rzeczywistości przedstawionej, ale ich osobowość odbija się też w zwierciadle świadomości partnerów, czy też objawia się sama przez się w aktach autorefleksji i czujnego, nie cofającego się przed najokrutniejszą prawdą samobadania. Wielość form postaciowych świadczy o wysokiej świadomości i sprawności pisarskiej, oddanej na usługi intuicji poznawczej i wrażliwości spostrzegawczej, niezwykle czulej, reagującej natychmiast na najłżejsze pobudzenia nerwów i wyobraźni i znajdującej dla tych podniet adekwatne ekwiwalenty artystyczne.

Wprowadzając jakąś postać w pole widzenia Żeromski niemal z reguły daje jej rysopis zewnętrzny. Te swoiste portrety oparte są w większości wypadków na pewnym powtarzającym się schemacie, uwzględniającym takie stałe elementy opisu, jak rysy szczególne fizjonomii, właściwości stroju, sposobu bycia, jakieś gesty znamienne, wyróżniające. Opis tego rodzaju nie zawsze pokazuje nam ową postać dokładnie, pedantycznie; wydobywa jedynie celnie to ogólne wrażenie, które się narzuca i w którym zdaje się zamykać syntetyczna formuła zjawiskowa portretowanego obiektu. Książd Wargulski był „wielki, zgarbiony, o bardzo szerokich ramionach, rękach długich, żyłastych i ogromnie muskularnych. Siwizna dobrze już przyprószyła jego krótkie włosy, jak szczotka stojące nad kwadratowym czołem”¹. Wyeksponowane elementy opisu oddają nie tylko sugestywnie to ogólne wrażenie surowej, trochę bezkształtnej masywności cielesnej tego potomka łyków miejskich, ale stają się zarazem jakby fizycznym wykładnikiem surowości moralnej i odwagi cywilnej klerykowskiego katechety. Metoda opisu syntetycznego polega więc na organizacji obrazu wokół jednej lub najwyżej niewielu cech szczególnie akcentowanych, przy czym owe elementy wyróżniające tak bywają wybrane, aby stanowiły jednocześnie „streszczenie wyglądu” i formułę zawierającą jakby esencję charakteru i osobowości psychicznej².

Tak właśnie w portrecie Róży Niepołomskiej koncentruje się autor na tych cechach fizycznych, które narzucają wrażenie osoby zimnej, stanowczej, nawet oschłej, budzącej odruch psychicznego dystansu: na regularności rysów, oscylującej na granicy ostrości, na zimnych, spokojnych oczach. Podobnie w portrecie Karbowskiego z *Ludzi bezdomnych*: „Był to wysmukły, błydy brunet. Małeńki, nie podkreślony wąs ocieniał jego czerwone wargi. Ciemne, mgliste oczy zdawały się nie widzieć nikogo w pokoju. Gładko od lewego kąta czoła przyczesane włosy harmonizowały z całą osobą pełną szczególnego czaru. Modny smoking leżał na nim i uwy-

¹ *Syzyfowe prace*, s. 66.

² Zwróciła uwagę na tę formę sztuki charakterologicznej Żeromskiego moja b. studentka Sławomira Strok w pracy magisterskiej pt. *Struktura postaci kobiecych w prozie Stefana Żeromskiego* (Toruń 1977).

datniał zgrabność powolnych ruchów”³. Suma jakości wyglądu, składających się na tę całość, daje to, o co właśnie autorowi chodziło: to ogólne wrażenie swoistej i zniewalającej doskonałości bytu tego człowieka mimo wszystkich jego hazardów i owego zdającego się być wyrazem najwyższej mądrości życia całkiem obojętnego na wszystko, nic nie widzącego, sennego pograżenia się w sobie, w zamkniętym kręgu swych namiętnych pasji. Patrząc na Karbowskiego Judym zaczynał wątpić w sens i w słuszność swoich zabiegów i idei. Wszystko wydawało się głupstwem wobec piękności i wykwintu tego człowieka.

Szczegółowość portretu, jego wymiary i wielość składających się nań komponentów zależne są od ogólnej struktury świata przedstawionego. W *Szyzyfowych pracach* na przykład, w różnych częściach opowiadania wysuwają się raz po raz na pierwszy plan ciągle inne postaci, stając się w ramach określonych jednostek czasowych i strukturalnych dominującym elementem narracji, wokół którego organizuje się jak gdyby na nowo i koncentruje materia anegdotyczna powieści. Postać Marcinka Borowicza usuwa się wówczas na dalszy plan, staje się tylko partnerem dla nowego, chwilowego protagonisty, elementem tła. Ta procedura mnożenia i wymieniania „bohaterów” staje się w tej powieści podstawową zasadą organizowania struktury świata przedstawionego. Pan Wiechowski, Andrzej Radek, Gumowicz, „Figa”-Walecki, Zygiel, „Biruta” stają się kolejno „konkurentami” Borowicza w powieściowej rywalizacji o rolę i pozycję pierwszego aktora klerykowskiej historii. Z kolei zaś i oni roztapiają się niekiedy w tłumie uczniowskim, który wysuwa się na pierwszy plan jako postać zbiorowa, to znów z owej niezindywidualizowanej gromady wyłaniają się raz po raz figury nauczycieli, wychowawców, reprezentantów małomiasteczkowej socjety, by na chwilę zająć naszą uwagę.

Szyzyfowe prace są więc nie tyle powieścią o jednostce zdecydowanie dominującej nad całością opowiadania, ile narracją o gromadzie i środowisku, które reprezentują w określonych momentach różne osoby. Ma to istotne konsekwencje dla zastosowanych w powieści form postaciowania. Wielość kreacji postaciowych wypełniających tłumnie dość ograniczoną przestrzeń opowiadania, nie pozwalała pisarzowi na wszechstronne, bogate budowanie poszczególnych postaci poprzez swobodne mnożenie i rozwijanie indywidualizujących cech jakościowych. Posłużył się więc metodą jedynie w danym wypadku najwłaściwszą — metodą zwiezłych, impresjonistycznych szkiców portretowych, jednoczesnego wychwytywania zarówno znamion wyglądu, jak też drobnych rysów psychicznych, gestów, odruchów, reakcji somatycznych, sondowania myśli i uczuć w formie krótkich wstawek analitycznych, tworzenia sytuacji i eksponowania wydarzeń, poprzez które przeglądają określone fragmenty ludzkiego wnętrza. Formy te sumując

³ *Ludzie bezdomni*, s. 136.

się i nakładając na siebie, w różnym zresztą stopniu skupienia i koncentracji, wiążą się w ostatecznym wyniku w autonomiczne struktury postaciowe o mniejszej lub większej wyrazistości wizualnej i pojemności psychicznej.

Przedmiotem szczególnego studium opisowego jest u Żeromskiego uroda kobiet. Tu jego sensualistyczna wrażliwość i pisarska inwencja, pomysłowość, ale i niestety banalność znajdują wyraz znamieny. Pisarz podejmujący się zadania tego rodzaju staje w zasadzie wobec dwojakiego repertuaru możliwości: może dać portret zupełny, wydobywający w jednym, wstępnym opisie wszystkie szczegóły i detale czyjejs urody, albo skoncentrować się może na jakimś wybranym elemencie, który jako cecha dominująca określa niejako w sposób narzucający się i nieodparty typ i charakter piękności. Może załatwić sprawę jednorazowo, już przy wstępnej prezentacji postaci, albo stopniowo budować portret rozproszony, rozłożony na rozsiane na przestrzeni całej narracji drobne i migawkowe obserwacje, które sumując się i kumulując dają pogłębione, jak gdyby intensywniej sugestywne wyobrażenie osoby.

W szczegółowym portrecie wydobyte zostaje wszystko, co w odczuciu pisarza składa się na piękność kobiety: włosy, oczy i usta, karnacja ciała, jego kształty, linie, poruszenia, suknie, zapachy. „Miała włosy czarne jak skrzydła kruka, oczy błękitne, brwi proste, długie i wielkie rzęsy [...] Biała jej cera okryta była ledwo widzialnym, nikłym, pisklęcym puchem, włosy posiadały własność szczególnego lśnienia, jak gdyby swój blask odrębny. Dłonie z pięknymi palcami były miękkie jak jedwab obejmujący ciało. Kształtna szyja i powabne, wąskie ramiona bielily się w wyciętej sukni, przepasanej różową wstążką tuż pod piersiami. Suknia ta wolno niby toga spadała do kostek”⁴. Portret tak szczegółowy w nadmiarze detali rozprasza się jak gdyby i rozmywa całościowe, indywidualizujące objęcie rzeczy, pozostaje tylko dość ogólne, mgliste i ostatecznie banalne wyobrażenie pięknej dziewczyny.

Tę dość stereotypową metodę rysopisu rejestrującego w pedantycznym zestawieniu właściwości wyglądu Żeromski wzbogaca i urozmaica poprzez wyeksponowanie jednego czy też dwu, trzech elementów urody, które narzucają się widzeniu spoglądającego jako rysy szczególne, skupiające jakby w sobie objawianie się piękności w stanie najwyższym, doskonałym. Do tych elementów, które wyobraźnia pisarza uprzywilejowuje znamienie, które zdają się mieć dla niego w urodzie kobiet jakieś znaczenie wyjątkowo podniecające, należą włosy, oczy i ręce. Włosy, ich barwa i ich przepych, ich wydawałoby się ciężar bezcenny, oszalamiający, bo tak to odczuwają z reguły partnerzy opowiadania. „Połyskliwa czarność”, „głęboka kruczość” włosów Tatiany. „Włosy te [...] długie, ledwo trzymały się

⁴ S. Żeromski, *Lili*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 284.

na głowie rozsypującym się, poskręcany zwojem”⁵. Włosy pani Szczebieniew, „włosy jasne jak piasek w Viareggio, świetliste, pozłociste, kręte a ogromne. Lekki słomkowy kapelusz z pękiem kwiatów ledwie je mógł objąć i związać”⁶.

Obok włosów — oczy, które są nie tylko w swej zmienności, w wiecznych metamorfozach barwy, blasku, głębokości pięknem samym w sobie, ale jednocześnie wyrazem duszy, zdradzającym w jakichś momentalnych objawieniach najtajniejsze tajemnice instynktu. W twarzy Tatiany uderzały przede wszystkim oczy. „Oczy te były aksamitnie czarne, o jasnej powłoce, która niekiedy aż w szafirowy przechodziła połysk. Tajne i niewysłowione jak nokturn, uchylały się przed cudzym spojrzeniem, a same w sobie stanowiły wszechświat piękności”. Gdy padł na nie promień słoneczny, „zamigotały w owej chwili niemal brylantowym połyskiem, załśniły ową turkusową przemianą swoją. Po chwili były to znowu oczy czarne, nieprzejrzane, ciemne. Ich barwa głęboka jednoczyła się czy sprzeczała z białością policzków, tak jak czarodziejski ton jednoczy się czy sprzecza z ciszą, która jest przed nim czy po nim”⁷. Tajemnicze, matowe, namiętne oczy panny Natalii, skryte pod spuszczonej powiekami. Powieki te na moment dźwigały się o ciężale, odsłaniając oczy patrzące „śmiało, badawczo, upajająco”. Był w tym spojrzeniu „jakby zimny, niepołyskujący blask księżycy, kiedy nad senną ziemią tarcza jego we mgłach się kryje”⁸. I oczy Ewy na chwilę przed oddaniem się Łukaszowi: „Patrzyły spod górnych powiek daleko — daleko... Były zagasłe, przeraźliwe, bosko żyjące, a jakby umarłe”⁹. I znów po ucieczce Łukasza: „Ewa stała się niewymownie piękna. Gdy pośpiesznie szła ulicą, zatopiona w sobie, wyniosła, ze wzrokiem jakby wywróconym na nice i zatopionym w światach duszy — nie było mężczyzny, który by jej nie ścigał wzrokiem, westchnieniem. Były to oczy ptaka konającego, przyćmione przez powieki, jak przez całuny [...]”. Był to wzrok, który „przeszywał [...] na śmierć [...] Zimne błyskanie nieprześląganych oczu”¹⁰.

I wreszcie ręce, miękkie, smukłe, arystokratyczne, o wydłużonych, wąskich, delikatnych palcach, ręce, przez które ujawnia się piękno w swojej formie najdoskonalszej, wysublimowanej aż do granic natchnienia. Ręka Tatiany na zielonej sukni. „Ręka ta była piękna jak ziszczony prawzór, jak pierwszy prototyp dłoni tych posągów, które przed wiekami wykuwali ze śnieżnego marmuru greccy artyści”, żywa, biała ręka, „z palcami alabastrowej przezroczystości, okrągłymi i zwięzającymi się ku różowym pa-

⁵ *Uroda życia*, s. 45 - 46.

⁶ *Pavoncello*, s. 181.

⁷ *Uroda życia*, s. 46 - 47.

⁸ *Ludzie bezdomni*, s. 15.

⁹ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 204.

¹⁰ *Ibid.*, s. 134.

znokciom”¹¹. Szczerbic patrzący na Ewę i marzący, aby „wyżebrać jedno muśnięcie po twarzy przez jej ręce, przez te cudze, obce, zaprzędane ręce o wąskich dłoniach i palcach z niczym co do piękności nie dających się zrównać”¹². Ręce pani Szczebieniew: „W pomieszaniu, bezwiednie, piękna pani ściągnęła rękawiczkę i odsłoniła dłoń wypieszczoną, białą, o palcach jak gdyby rzeźbionych w przeźroczystym marmurze, na których [...] połyskiwały brylanty, migocące tysiącem blasków”¹³.

We wszystkich tych ujęciach uderzają dwa powtarzające się niezmiennie ukierunkowania wyobraźni i pisarskiej sugestii. Opis fizjonomii zewnętrznej otwiera jednocześnie wgląd w stany psychiczne, akcesoria urody stają się korelatami sytuacji duchowych. W objawieniach oczu Tatiany, w bielach i różach jej olśniewającej karnacji, w wątłych cieniach, padających od długich rzęs „ukazywały się niepostrzeżenie sny duszy nie wiedzącej, przeczuwającej, żadnej poznania”, to znów jakby „odrobina jakowejś pogardy, wyższości i grzecznością zamaskowanego znudzenia”¹⁴. W wiecznie przymkniętych oczach panny Natalii, kryjących się pod ciężkimi powiekami, które tylko na moment uchylały się o ciężale, tai się skryta, przejmująca dreszczem namiętność. Jednocześnie nie są to prawie nigdy obojętne, zobiektywizowane opisy, lecz jak gdyby odbicia w drugiej, czującej świadomości. Wygląd postaci staje się zarazem przeżyciem osoby patrzącej, piękność oglądanej osoby wciąga obserwatora w jakieś straszliwe i męczące misterium pograżania się w zachwycie i niezrozumiałym smutku. „Zaledwie [Tatiana] ukazała się w sali, Piotr Rozłucki doznał szczególniejszego zduszenia w piersiach, jakby przerwania tchu”¹⁵. Patrząc na tę dziewczynę doświadczał „zamraczającego zdumienia, młodocianej niewiary w możliwość istnienia [...] takiej piękności”¹⁶. Na podstawie niewiadomych przesłanek wyciągał wniosek, że Tatiana musi już być zakochana, i ten sylogizm napełniał go „jakąś rozpaczliwą i ponurą pocięchą”¹⁷.

W *Dziejach grzechu* pewien obraz idącej obok Szczerbica Ewy, obraz o niezwyklej sugestywności wyobraźniowej, pełen ruchu, jakby objawiania się piękności kobiecej w poruszeniach ciała, staje się właściwie projekcją doznań partnera, to jest Ewa istniejąca w oczach, w zachwycie, w niepojętym zdumieniu zakochanego w niej mężczyzny.

Widział za czarną wualką błękitne jej oczy i precudowną półbarwę lic. Usta różane, włosy pozłocistymi pasmami spływały ze skroni. Była w owej chwili piękna jak widzenie anielskie. Uczucie radości i rozpaczliwej tęsknoty [...] Wiatr miotał co chwila sukniami i dużym, w tyle głowy związanym wualem Ewy. Szła lekko, chyżo, z nie-

¹¹ *Uroda życia*, s. 46.

¹² *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 293.

¹³ *Pavoncello*, s. 181 - 182.

¹⁴ *Uroda życia*, s. 47.

¹⁵ *Ibid.*, s. 45.

¹⁶ *Ibid.*, s. 46.

¹⁷ *Ibid.*, s. 47.

wymownym wdziękiem [...] Sennie, leniwie, mglisto myślał o tym jak kształt jej postaci jest dziwnie niestały, pastelowo kruchy i zmienny [...] jak zatracone w niej jest łamanie się jakiegokolwiek linii... Jest tylko boska całość, nierozdzielność, jedność [...] ¹⁸

Zmysłowe wyczulenie na szczegóły prowadziło Żeromskiego niekiedy do tropienia najdrobniejszych detali w i tak już rozdrobnionych elementach. Powstawały wówczas jakby mikrostudia oczu, włosów, rysów twarzy. „Prześliczne oczy” pani Celiny Śnicowej, „oczy o źrenicach barwy niemal fiołkowej, która na białka spływać się zdawała niedostrzegalnymi falami” ¹⁹. Albo studium malutkiego fragmentu twarzy pani Ołowskiej: „Bure brwi stykały się jedna z drugą nad linią nosa niepostrzeżenie, ledwie dostrzegalnej barwy mchem, a to ich rozkoszne złączenie było jak obraz pocałunku” ²⁰. To pogrążanie się w detalach, nie mające zresztą wpływu na ogólne wyobrażenie postaci, to rozdrabnianie się w szczegółach, mogące sprawiać wrażenie przesadnej opisowości, która bardziej zaciemnia niż uwyrażnia, pełni jednakże funkcję eksponowania finezyjnych, niezwykłych i na skutek tego szczególnie narzucających się uwadze i pociągających atrybutów urody. Owe studia najdrobniejszych elementów natury, kreślone za pomocą jakby cieniutkiego pędzelka i przy użyciu najsubtelniejszych kolorów, wskazują na wyraźną malarskość wyobraźni pisarskiej Żeromskiego. Jest to wyobraźnia przywołująca skojarzenia z obrazami impresjonistów, wyczulona szczególnie na blask, światło, zmienną i ruchliwą, finezyjną grę odcieni barwnych. Oto Raduski obserwuje przez okno odpoczywającą po nocy spędzonej na czuwaniu przy umierającym mężu panią Martę Poziemską:

Siedziała w ogrodzie

pod cieniem dużego wiązu [...] na starej, z odgnitymi nogami ławce drewnianej [...] Czoło pani Marty, odcięte równymi brwiami od reszty twarzy, ukrytej dla wzroku, widać było niby białą, podłużną plamę słoneczną. Na jednej z rąk leżał ruchomy błysk, który czasami wahał się w prawo i w lewo, błędząc na powierzchni dłoni, to znowu zstępował na spróchniałe drewno jakby w usiłowaniu wyważenia i dźwignięcia bezwładnych, rozstawionych palców. Takież światelko obrało sobie miejsce we włosach siedzącej, na jasnym puklu w tyle głowy. Zdawało się, że promień słońca, wpuszczony do tego cichego miejsca przez liście, rozgarnia bujne włosy pani Marty, usiłuje rozwiązać pasma niedbale zwinięte i roztrzepane nieco wskutek zetknięcia się z szorstką korą, jakby składał na jej głowie nieskończony pocałunek. ²¹

Cały obraz oparty jest tu, podobnie jak na płótnach impresjonistów, na tym nicostrym wrażeniu rozedrganych plam świetlnych, wahnień słonecznego promienia, który drży w miejscu, to znów cofa się i przenosi momentalnie w inną płaszczyznę przestrzeni, ukazując wygląd opisywanego obiektu w jakichś wciąż nowych i niezwykłych metamorfozach.

¹⁸ *Dzieje grzechu*, t. 2, s. 74-75.

¹⁹ *Charitas*, s. 208.

²⁰ *Popioły*, t. 2, s. 221.

²¹ *Promień*, s. 275.

Wszystkie te portretowe projekcje urody kobiecej oparte są niemal z reguły na jednym, powtarzającym się nieodmiennie założeniu podstawowym; oto osią kompozycyjną wszystkich tych obrazów jest męski partner kobiety, mężczyzna jest tym czynnym medium, któremu powierza autor funkcję obserwatora. To on konstatuje, komentuje, przeżywa. Od jego wrażliwości zależy, czy zadowolony się stwierdzeniem cech najistotniejszych, czy też przystąpi od razu do delektowania się uroczymi drobiazgami i niuansami. Temperatura tych obrazów rośnie wraz z rozwojem erotycznych pobudzeń patrzącego. W pierwszym kontakcie ze spotkaną w Luwrze panną Podborską jest dla Judyma Joasia po prostu najwzyczajniejszą „dwudziestoletnią, ciemną brunetką z niebieskimi oczami, prześliczną, zgrabną”²². Później, już zakochany, odnajduje w niej urzekającą harmonię rysów, a ślady jej stóp, odcisnięte w piasku, przywołują „zachwycającą wizję” wysmukłego ciała, „budzącego nieopisaną rozkosz”²³.

Ale niekiedy Żeromski odmienia jak gdyby tę zasadę i powierza tę funkcję stronie, która jest przedmiotem zachwyty. To ona sama w jakichś tajnych wzruszeniach cielesnych i ustrojowych uświadamia sobie swoją piękność. „Wargi jej ust stawały się pąsowe, napęczniałe od płomienistej krwi [...] Ręce, ramiona, piersi stały się twarde, natchnione, ruchliwe, podatne i giętne, jak lotne ciało ptaka, szybującego w powietrzu”²⁴. Ale po tej na moment tylko zmianie punktu widzenia następuje powrót do sytuacji pierwotnej: Ewy w odbiciu obejmującego ją spojrzeniem Łukasza. „Wyrwała mu się z rąk, zsunęła z kolan, odwróciła i stanowczo poszła ku miastu. Była piękna w swych prostych sukniach, a jakby naga”²⁵. Akompaniamentem obrazu staje się przyroda, jej dziwny wygląd, który przydaje temu objawianiu się piękności jakiś wymiar i głębię pozazmysłową. „Zimne, roziskrzzone niebo, śnieżysty las, pochyła równia obmarzniętej góry — wszystko jak we śnie [...] Z wyżyny nieba świecił się już księżyc i nasycił blaskiem tajemne kryjówki. Zapadł w głębiny śniegu i błyszczał miliardami promiennych kryształów, iskier błękitnych i pomarańczowych. Oczy Ewy pochłonięte były przez gwiazdy nieba i te gwiazdy ziemi. Śniło się, że słycać trzask światła zaziemskiego i ciepło martwych promieni księżycy”²⁶.

Ta procedura uniezwyklenia urody kobiecej, otaczania jej szczególną aurą najwyższej delektacji, stosowana jest nieodmiennie do tych wszystkich kobiet, którym wyznaczał autor rolę bohaterki wątku romansowego. Wszystkie są bezwarunkowo „śliczne”, „prześliczne”, „cudne”, „cudowne”, „oślepiąco piękne”, „niewiarogodnie urocze”, „niewysłowionej piękności”,

²² *Ludzie bezdomni*, s. 9.

²³ *Ibid.*, s. 248.

²⁴ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 202 - 203.

²⁵ *Ibid.*, s. 203.

²⁶ *Ibid.*

„oszałamiającej urody”, „nieprawdopodobnie, nadziemsko, cudownie piękne”. Piękność uderzająca, przechodząca miarę zwyczajną, wydaje się być atrybutem koniecznym każdej kochanki. Utrzymanie się w tym stanie ustawicznego i najwyższego zachwycenia niosło z sobą w zarodku nieuchronną groźbę banału. Uroda kobiet jest odwiecznym tematem literatury, która w ciągu wieków swego istnienia wytworzyła wypełnioną po brzegi rekwizytornię stereotypów i konwencji. Weszły one w obieg powszechnego użytkowania nasuwając się natrętnie pod pióro w każdym momencie osłabienia czujności. Takie chwile „zdrzemnieć” czy też lenistwa zdarzały się i Żeromskiemu. Wtedy pojawiały się owe zbanalizowane formuły ocierające się o królestwo kiczu: „rózane usteczka”, „usta jak rozkwitające róże” lub „zaiste piękniejsze niż poranna zorza”; „oczy czarujące”, „oczy ogromne jak firmament”, „jak nocne gwiazdy”; „złote włosy”, „królewskiej piękności ręce”, konstrukcje wykrzyknikowe, złożone z epitetów wartościujących z przedrostkiem „naj” — jak owe ekstatyczne westchnienia i krzyki duszy Cezarego na widok Laury: „najpiękniejsza z kobiet [...] najwykwintniejsza z kobiet tego miasta! O, jakże [...] piękna!”²⁷

Na szczęście spotkania literackie tego rodzaju zdarzały się Żeromskiemu tylko niekiedy i od czasu do czasu, jego czułość, wrażliwość pozwalały mu znajdować adekwatne ekwiwalenty wyobrazeniowe widzialności świata w formie owych światła i cieni, kolorów przechodzących w półbarwy i niuanse tonów, delikatnych i nieuchwytnych linii, finezyjnych kształtów, drgnień, poruszeń, w integralnym związku optycznego obrazu z psychicznymi reakcjami uczestniczących w jego kontemplacji partnerów opowiadania i osnuwania owego misterium powolnego wtajemniczenia w urzekające bytowanie żywego piękna aurą niezwykłości. Powstawały w rezultacie zjawiskowe kreacje, posiadające nie tylko moc zniewalania i oczarowywania powieściowych bohaterów, ale mogące być również przedmiotem delectacji estetycznej czytelników tej urzekającej prozy.

Jest to metoda dominująca w przedstawianiu kobiecych postaci prowadzących, ale nie zawsze; zdarzają się również odchylenia, gdy poczucie realizmu i socjologicznej sytuacji partnerów narzucało niejako powściągliwość owej naturalnej potrzebie wyobraźni, chcącej widzieć kobietę zawsze we wszystkich blaskach jej przyrodzonego uroku. Pani Zofia Świerkowska z *Oka za oko* jest oczywiście równie piękna, jak wszystkie heroiny romanśowych wątków tego pisarza, i tą właśnie urodą zajęła wyobraźnię i serce Wawelskiego, ale nie jest to już piękność bez skazy. W czasie wizyty pani Zofii w Warszawie Wawelski zdołał spostrzec w pewnym momencie „jej pokłute, pomarszczone, grube ręce, jakby świeżo wydobyte z beczki kiszzonej kapusty”²⁸. Jej suknie są zaniedbane i biedne. Jeśli nie daje się nakłonić natarczywym prośbom kochanka, to przede wszystkim dlatego, że wstrzy-

²⁷ *Przedwiośnie*, s. 293.

²⁸ *Oko za oko*, s. 171.

mują ją podarte, zabłocone trzewiki, dziurawe pończochy, połatana bielizna. Te nieefektywne szczegóły intymnej garderoby sprowadzają mniemaną romantyczność sytuacji do wymiarów prozaicznej rzeczywistości życia.

Wpływ naturalizmu, uwrażliwionego szczególnie na brzydotę świata i ludzi, okazał się zaskakująco silny i trwały jakby wbrew przyrodzonym w tej dziedzinie skłonnościom Żeromskiego ze względu na swą przydatność poznawczą i ideową. Bezwzględność i brutalność założeń właściwej mu procedury pisarskiej zapewniały obrazom niezwykłą ostrość i dosadność konturu, a zatem prawdę, tak jak się ją pojmowało i dostrzegało. Była to prawda życia określonej sfery społecznej, jak np. w *Ananke*, w której rzeczywistość rozpaczliwej i beznadziejnej vegetacji naznacza również i postaci piętnem uderzającej brzydoty i przedwczesnej starości. Wyniszczenie fizyczne, anatomiczne deformacje i anomalie, nieład w wyglądzie, apatia i obojętność w spojrzeniu są następstwem i produktem miazdzącej siły, tkwiącej w warunkach egzystencji. Ale nie zawsze, czasem to szczególne widzenie świata rozciągało się jak gdyby na całość życia. Świat Żeromskiego, na wszystkich swoich poziomach rozdarty i rozdwojony, obok dziedzin piękna przywoływał zarazem nieustannie przypomnienie nieskończonych obszarów zawinionej czy niezawinionej brzydoty. Takie było indywidualne jego odczucie, podsuwane przez wyostrzoną wrażliwość obserwacji, ale również posiew naturalizmu; toteż naturalizmowi zapewne zawdzięczało to pisarstwo charakterystyczną skłonność do ujęć karykaturalnych. Karykaturalne wyjaskrawienie stawało się formą demaskacji pozorów, ironicznej chłosty, zjadliwego szyderstwa, obnażającego obrzydliwość rzeczywistości. Pod naciskiem odczuć i sugestii tego rodzaju powstawały owe znamienne ekspozycje brzydoty w postaci portretów i wizerunków kobiet, których wygląd robił na obserwatorach wrażenie „niedojedzonej potrawy [...] czegoś zgryzionego i zmielonego w ostrych kłach życia”²⁹ czy też „kupy podmiejskiego nawozu” w obrazie owej staruchy, pochłoniętej namiętnością hazardu, którą obserwuje Ewa w salonach kasyna w Monte Carlo: „Miała myśl, że gdyby tak silnie z góry uderzyć pięścią w to stare czupiradło, a nacisnąć ją z całej siły [...] to pękłaby szarozielona powłoka, a z wewnątrz buchnęłyby pewnie kurz czarny, gąbczasty, cuchnący...”³⁰.

Dosyć często konstruuje Żeromski swoje portrety ludzkie na zasadzie kontrastu między powierzchownością a uposażeniem wewnętrznym. Panna Jadwiga Zapaskiewiczówna z *Mogily*, jedna z najbardziej ujmujących moralnie bohaterek Żeromskiego, godna stanąć obok „Siłaczki”, pozbawiona jest zupełnie zmysłowych uroków kobiecości, jest niepozorna i szara. Jej smutna twarz nie odznacza się niczym szczególnym, jej figura pozba-

²⁹ Ibid., s. 173.

³⁰ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 330.

wiona jest powabu, ręce szorstkie i czerwone, strój ubogi, suknia przerebiona na gwałt z jakiejś przedwiecznej szaty balowej, rękawiczki liche, trzewiki zwyczajne i na grubych podeszwach. Natomiast fenomenalnie piękna panna Maria Klucka, córka wicenaczelnika powiatu, jest antytezą moralną i umysłową bohaterskiej panny Jadwigi — pusta, bezdennie głupia, lekkomyślna i dość łatwa kokietka. Takie ustawienie postaci jest niewątpliwie z jednej strony pewną formą respektowania postulatów realizmu, wykluczającego z zasady jakąkolwiek idealizację przedmiotu, a z drugiej jest wyrazem oczywistej i jednoznacznej oceny ideowo-moralnej.

Rzecz znamienna, portret męski jest w dziele Żeromskiego raczej wyjątkiem i spotyka się go częściej w przypadku postaci drugorzędnych. Wynikało to zapewne z odmienności ról, jakie w świecie pisarskim Żeromskiego zostały wyznaczone męskim i kobiecym protagonistom. Kobietom wyznaczono rolę kochanek, oglądanych okiem kochanków. Uroda jest o wiele ważniejszym atrybutem istnienia kobiety niż mężczyzny. Postaci kobiet, prezentowane poprzez medium widzenia i zachwyty męskich partnerów, stawały się w naturalnym następstwie rzeczy przedmiotami obserwacji i studiów portretowych, podejmowanych przy każdej nadarzającej się okazji *con amore* z widoczną pasją.

Portrety męskie traktowane są wyraźnie zdawkowo i pobieżnie, jako przedmiot w systemie i porządku świata raczej podrzędny i mniejszego znaczenia. Pojawiają się jedynie jakby krótkie, migawkowe zarysy wyglądu w jakichś ułamkowych refleksach pamięci czy przymglonych przypomnień i jakby mimochodem, pod wpływem przypadkowych potrażeń myśli, często z perspektywy niemal finału, tak jak w wypadku Nienaskiego, którego pierwsze zmysłowe wyobrażenie pojawia się dopiero w rozmyślaniami pana de Granno Granowskiego, gdy Ryszard już od dawna nie żyje: „starszy pan uprzytomnił sobie budowniczego. Wyniosła jego postać, czoło, spojrzenie, jasne ubranie, obcisłe, sznurowane sztylpy, wszystko stanęło mu w oczach”³¹. O wyglądzie Judyma dowiadujemy się z króciutkiego zapisu w dzienniczku Joasi tyle jedynie, że był „ślicznym jegomościem w cylindrze”³².

Nieco bardziej rozwinięte prezentacje wyglądu zdarzają się wyjątkowo, w okolicznościach szczególnych, gdy sama sytuacja stwarza niejako możliwości i pokusę kontemplacji męskiej piękności, jak w *Wiernej rzece*, w której rola miłosiernej samarytanki zmusza niejako Salomeę do wielokrotnego oglądania męskiej nagości jej przyszłego kochanka. Zachodzi przy tym analogiczne zjawisko, jak w przypadku prezentacji bohaterek kobiecych, przeniesienie punktu widzenia na powieściowego partnera. Są to zderzenia spojrzeń, w których wzrok kobiety ogarnia mężczyznę w jakimś całościowym oglądzie, a cała jej istota topnieje i zdaje się zamierać od

³¹ *Charitas*, s. 309 - 310.

³² *Ludzie bezdomni*, s. 157.

przejmującego zachwytu. Nie wiadomo, czy Łukasz był naprawdę aż tak bardzo piękny, staje się nim w oczach Ewy w jednym, krótkim momencie, od jednego spojrzenia i jednego uśmiechu. Gdy patrzył na nią, „oczy jego mdlały [...] dwakroć, trzykroć, dziesięćkroć piękniej. Stawał się piękny w uśmiechu [...] Był tak straszliwie piękny tylko przez chwilę, ale na zawsze w pamięci właśnie taki pozostał”³³.

Portrety mężczyzn u Żeromskiego sprowadzają się więc niemal z reguły do takich ujęć migawkowych, jakichś momentalnych zapisów wrażenia, jakie wywierają oni swoim wyglądem w odczuciach, w nagłych, przejmujących poruszeniach całej kobiecej istoty ich partnerek. Sytuacja się zmienia, gdy spotkaniu postaci nie towarzyszy żaden związek zainteresowania zmysłowego czy uczuciowego, lecz wręcz przeciwnie, dystans obcości, a nawet instynktowne odczucie potencjalnego zagrożenia, wzmagające czujność, zmusza niejako do dokładnego zbadania cudzej, niepokojącej fizjonomii. Tak jest właśnie w pierwszym spotkaniu Ewy z Pochroniem i Płazą-Spławskim. Ewa nie chciała na nich zwracać uwagi, ale musiała w końcu przyrzeć się dokładnie eleganckim zbirom zniewolona do tego ich natrętnym i nachalnym sposobem bycia. Powstaje w rezultacie podwójny portret, zbudowany z wielu zaobserwowanych przez postać, znamienne się narzucających szczegółów:

Byli obadwaj młodzi [...] ubrani z nadzwyczajną, przesadną elegancją. Siedzieli w palatotach i kapeluszach. Paltoty były z jedwabnymi podszewkami, buciki lakierowane, kołnierzyki, kapelusze, mankiety najświeższej mody.

Jeden z tych panów był bardzo piękny, z czarnym leciutkim wąsikiem, prawdziwie ozdabiającym górną, pasową wargę. Drugi miał jedno oko wybite czy zapadnięte, w nim monokl, rysy nie tak piękne, jak pierwszy, ale niezwykle, niezapomniane, wpadające w oczy. Uderzyło to Ewę, że ów piękny, wyglądający na eleganta pierwszej wody, ręce miał ohydne, jak rataj, wielkie, z ordynarnymi pazurami.³⁴

W całym tym widzeniu postaci eksponuje się elementy, które odegrają istotną rolę w przyszłych perypetiach i dalszych losach tej trójki: swoistą, obezwładniającą siłę i demoniczną Płazy, chamstwo, brutalność, bezwzględność, ale zarazem jakąś zmysłową, prostacką, ordynarną, a zniewalającą piękność Pochronia.

W wielu portretach Żeromskiego narzuca się uwadze sprzężenie formy zjawiskowej przedmiotu z pewnymi elementami charakterystyki psychologicznej, zawarte są w nich *in nuce* pewne rysy osobowości, jakby niewyraźne sygnały, zapowiedzi, spoza których zdaje się niepokojąco przeziierać tajemnicze, zagadkowe wnętrze człowieka. W przypadku postaci drugiego czy też dalszego jeszcze planu na tym napomknieniu często narrator poprzestaje, czasem ów rysopis wewnętrzny nieznacznie rozwija, tworząc syntetyczne sylwetki, zwięzłe, skrótowe, ale wystarczająco wyraziste

³³ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 87.

³⁴ *Ibid.*, s. 172.

w swym krótkim, chwilowym trwaniu. Są to quasi-definicje psychologiczne, wydobywające cechę generalną osobowości, która narzuca się obserwacji narratora jako stan i sposób wewnętrznego istnienia osoby ludzkiej. Żeromski wykazuje w tym zakresie wiele inwencji, potrafi doskonale ożywić tę schematyczną formę, niezbyt pisarsko atrakcyjną przez zabarwienie jej świadome kostycznym śmiechem lub nieokreślonym grymasem, ni to współczującym, ni to z lekka zjadliwym. „Panny Przepiórkowskie nie powychodziły za mąż, zestarzały się i uczyniły ze swych nawyknień, usposobień i humorów prawdziwy ocet siedmiu złodziei”³⁵. Pan Karol Przepiórkowski, „to kawaler lat około czterdziestu, łysawy już, mizerny i równie jak siostry wiekuiście niekontent”³⁶.

Banalny, niewiele mówiący, stereotypowy rysopis staje się w niektórych wypadkach nieoczekiwaną rewelacją przez wyeksponowanie jakiejś jednej cechy szczególnej, która nagle odsłania jakieś zgoła zaskakujące możliwości i zagadki wnętrza ludzkiego. Wanda Okszyńska była „po dziewczęcemu wysmukła, ale już po panięmsku «sformowana». Miała długie nogi i długie ręce, długie włosy w warkocz splecione, ale w oczach wyraz szczególny, głęboki i niesamowity, jakby nie z tego świata”. Gdy zagrała z Baryką na cztery ręce, „ta trusia odzyskała nie tylko władzę nad sobą, ale objęła ją nad tym nieznanym panem — nie mówiąc już o tym, że prym trzymała w recytacji utworu. Twarz jej zmieniła się, ożyła, rozgorzała i stała się piękna. Ilekroć zwracała się do towarzysza gry, szczególny blask, połysk wyższej inteligencji, można by powiedzieć geniusz muzyczny płonął w jej oczach”³⁷. W kilku zdaniach powiedziane tu zostało o portretowanej osobie nieomal wszystko, co znajdzie potwierdzenie w dalszym biegu wydarzeń i co niejako wyniknie z owego syntetycznie tu uchwyconego charakteru osobowości.

Te zwięzłe definicje, w stosunku do postaci ubocznych spełniające skutecznie swoją funkcję informacyjną, przy kreacjach pierwszoplanowych ustępują miejsca formom literacko bardziej złożonym. Autor nieomal od początku ujawnił w tym zakresie warsztat pisarski całkowicie dojrzały i dysponujący różnorodnymi możliwościami kształtowania materiału literackiego. Jednorazowe, arbitralne quasi-definicje rozwijają się w całe ciągi drobnych obserwacji psychologicznych, których dokonuje narrator w toku opowiadania, a które czytelnik łączy następnie i kojarzy w budujący się nawarstwieniami obraz przedmiotu. Tak w *Szyzofowych pracach*, w pierwszym już rozdziale, niezależnie od rozwijającej się akcji, autor raz po raz zapisuje aktualne myśli i doznania Marcinka, momentalne, zmieniające się co chwila stany wewnętrznego nastroju i towarzyszące im gesty i zachowania. Z tych najprostszych mikroobserwacji tworzy się stopniowo w czy-

³⁵ *Szyzofowe prace*, s. 67.

³⁶ *Ibid.*, s. 70.

³⁷ *Przedwiośnie*, s. 143, 145.

telniczym odbiorze obraz chłopca miłego, rozumnego, ale dziecinnie naiwnego, nieśmiałego, namiętnie przywiązanego do rodziców, a zwłaszcza matki, i przyjmującego pierwszą w swym życiu samotność poza domem z uczuciem niezawinionego skrzywdzenia, opuszczenia przez wszystkich i nie dającej się ukoić rozpacz.

Żeromski nie jest oczywiście analitykiem myśli i uczuć swoich literackich postaci w tym rozumieniu, jak pojmuje to i praktykuje dwudziestowieczna powieść psychologiczna, redukująca anegdotę i akcję do granic niemal zaniku i wypełniająca dziesiątki stron penetracją stanów i procesów psychicznych. Dzieło Żeromskiego określone jest przez konwencję fabularną, w której działanie się, ruch, zmienność rzeczy i zdarzeń tworzą konstrukcyjny szkielet narracji. Owe wglądy psychologiczne ograniczają się więc niemal z reguły do niewielkich wstawek, które przerywają niekiedy wątek opowiadania, aby przez odsłonięcie toku myśli i stanu uczuć wydobyć jakiś rys istotny osobowości. Tak właśnie ujmujące i wzruszające piękno charakteru pani Borowiczowej uświadamia Żeromski poprzez przytoczenie jakby w relacji bezpośredniej jej myśli, niepokojów, zmiennych sytuacji duchowych, gdy w oczekiwaniu na ostateczny rezultat egzaminów Marcinka oblicza wszystkie koszty jego kształcenia, gotowa na najcięższe ofiary i gdy wybiegając poza widnokrąg terażniejszości w daleką i nieprzenikloną ciemność czasu przyszłego pyta z niepokojem sama siebie, kim jest w istocie ten jej chłopiec, jaki z tego dziecka wyrośnie mężczyzna, „co on będzie myślał” i „jak on będzie mówił”, gdy wreszcie patrząc na uśmiech pana Majewskiego, z jakim zwraca się on do Marcinka, niepomna na swą jednoczesną pogardę dla tego renegata i karierowicza, w zupełnej ślepotce swej miłości do dziecka gotowa była choćby przez chwilę uwielbiać „tego profesora wszystkimi władzami serca matki”³⁸ i nienawidzić zarazem za cierpienia rodziców, których dzieciom nie udało się dostać do szkoły. Ukazując w ten sposób wszystkie sprzeczności myśli i zamęt uczuć jednej z najpiękniejszych postaci opowiadania autor wydobyl szereg rysów najistotniejszych jej charakteru; miłość macierzyńską, gotową do najdalejszych poświęceń, dobroć ogarniającą nie tylko ludzi sobie najbliższych, ale obcych i zupełnie nie znanych, zdolność do współprzeżywania cudzego smutku i niedoli, instynktowną szlachetność i prawość serca, odrzucającego odruchowo wszelką pospolitość, małość i podłość.

Owe wglądy psychologiczne w świat wewnętrznych doznań postaci nie mają jednak u Żeromskiego prawie nigdy charakteru analiz w ścisłym tego słowa znaczeniu, anatomii duszy, jakby obiektywnych i beznamiętnych preparatów opisowych, obnażających wszystkie włókna i unerwienia świadomości i podświadomości myślącej i czującej istoty ludzkiej. Są to najczęściej zsubiektywizowane monologi wewnętrzne, jakby rozmowy z samą sobą danej postaci, wywijające się niekiedy nagle, niemal przygodnie,

³⁸ *Syzyfowe prace*, s. 56, 64.

pod wpływem potrącenia przez jakieś fakty i przedmioty zewnętrzne. Monologi te ujmowane są bądź w strukturę mowy zależnej czy pozornie zależnej, bądź przybierają formę wewnętrznej *oratio recta*. „Cezary siedział obok szafy bibliotecznej [w apartamentach pani Laury] i przypatrywał się oprawom książek”. I nagle — to przypomnienie:

Szafa ojcowska, książki... Tak samo stały książki i snuły się wstęgą złoconą tytuły. Przypomnił sobie rozkład i urządzenie swego rodzinnego domu. Westchnął sam przed sobą nad swoją dolą. Obcy jest wszędzie, sam [...] jakiś zblakany pies [...] Patrzył na książki, a myślał o tym, że wszystko jest niepewne, dorywcze, przemijające, podległe bestialskiemu zniszczeniu. Gdzie są książki ojca, gdzie dom, gdzie ojciec, gdzie matka? Zabici są jak psy, za jakąś pierworodną winę — rzuceni są do rowów jak psy.

Praca ich życia na nic się nie zdała. Nie wiedzieli, że zarabiają na karzącą śmierć. Życie ich całe było jakąś śmieszną pomyłką, krwawym nieporozumieniem.

A ci tutaj wszyscy są tak pewni swego.³⁹

W tym zapisie wewnętrznego toku myślenia i ruchu uczuć wydobyta została bardzo istotna dominanta sytuacji duchowej Cezarego — trwale w nim zakorzenione poczucie niezawinionego skrzywdzenia, niepewności czegokolwiek na świecie i wszędzie czającej się i czyhającej zagłady.

Kiedy indziej analiza ludzkiego wnętrza przybiera formę porywającego marzenia, niemal halucynacji i snującego się na ich tle ciągu wyznań przed samym sobą. Rzuciwszy się po powrocie ze spowiedzi do sprzątania swego pokoju Ewa doznaje w pewnym momencie wrażenia, że ten jej pokój „to jest cela świętej Teresy”. I wtedy przyszło nieoczekiwanie

na myśl to słowo: włosiennica [...] Ach, spróbować! Zacząć! [...] Do czego też dojść można, ujarzmiwszy włosiennicą ciało... Źródlecko świętej pokory... Wówczas to — boska radość! — miała przez chwileczkę w powiekach widzenie niejake postaci. Twarz biała, oczy zagaste, kwef śnieżysty... Podszepnęła sobie samej wśród tumultu myśli, wśród rozruchu uczuć: święta Tereso, pójde za tobą... Tyżeś to, ty? Święta Katarzyno, co koło swojej męki i miecz katowski, symbole swego męczeństwa niesiesz — tyżeś to, ty? Pójde za tobą... Niepokalaną duszę Nieśmiertelnemu Oblubieńcowi zachowam... Wdzięję włosiennicę i będę się biczowała co dzień wieczorem.

Znikło widzenie.⁴⁰

Ten ciąg wyznań i przyrzeczeń, składanych jak gdyby samej sobie w najgłębszej tajemnicy własnego wnętrza, przechodzi z kolei w szeroko rozbudowany obraz chmur i obłoków wiosennych, żeglujących po niezmiernym oceanie błękitu. Przedstawienia tego rodzaju stanowią jedną z najbardziej charakterystycznych dla Żeromskiego i będących jego oryginalnym wynalazkiem form literackich swoistej ekwiwalentyzacji obrazowej zawiłych, skomplikowanych, trudnych do zwerbalizowania pojęciowych stanów świadomości. Owe obłoki, nieskalanie czyste i białe, zanurzone w błękitnych przestworach nieba, stają się obrazem trwającego w Ewie stanu

³⁹ *Przedwiośnie*, s. 139 - 140.

⁴⁰ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 28.

świętości i nadziemskiego szczęścia; „zabrział śpiew jednogłosny duszy przestoczzonej w anioła [...] — Jakże szczęśliwy jest człowiek, który zwyciężył grzech i wytrącił go z serca! [...] O to się stała, Panie, aniołem Twoim i w obłok odziana leżę w niebiesiach”⁴¹.

Taki pejzaż, niby symbol, zwierciadło duszy, może wyrażać szczęście, ale również i klęskę, i najgłębszą niedolę serca, jak w przypadku nieszczęsnej Isoliny, uwikłanej w piekielne koło udręczeń z łaski jej bezlitosnego kochanka. „Zdarzenia, wśród których chodziła, były jak brzeg wąski i znikomy. Czasami w pustyni tego morza przemykał się żagiel łodzi, jak złudzenie pociechy przenikało czasem jej wielką niedolę. Kiedy niekiedy stała nad nim cicha pogoda, jak staje nad sercem złowieszcza i zdradziecka cisza, za którą kryje się straszliwa klęska burzy rozpasanej”⁴².

Ekwiwalentyzacje tego rodzaju okazują się wyjątkowo funkcjonalne w tych szczególnie wypadkach, gdy chodzi o wyrażenie owych niejasnych stanów podświadomych, bezwiednych czuć, namiętnych uniesień i poruszeń sfery wyobrazeniowej i emocjonalnej, których niepodobna przedstawić w formie zracjonalizowanego, pojęciowego opisu psychologicznego. Gwarantują one atrakcyjną dla czytelników swoistą plastyczność życia psychicznego bohaterów Żeromskiego, jego wyobrażeniową konkretność. Pod warunkiem, rzecz jasna, że autor nie powtarza sam siebie, nie wpada w natrętne manieryzmy, unika formuł dość skutecznie w potocznej produkcji literackiej wyeksploatowanych, a to zdarza się niekiedy również i jemu. Zbyt często postaci Żeromskiego „spadają z tarpejskiej skały”, w chwilach napięć szczególnych całą ich istotę „ogarnia pożar”, posłyszane wiadomości czy nieoczekiwane uświadomiona prawda rzeczy działają „jak uderzenie siekierą w głowę” albo „jak kłonicie pijanych chłopów”. Na szczęście są to sporadyczne ześlizgnięcia się pióra w nielicznych chwilach osłabienia czujności.

Jednym z najbardziej oryginalnych wynalazków sztuki charakterologicznej Żeromskiego, który zawdzięczał zapewne swoim krótkim studiom medycyny weterynaryjnej, jest ujawnianie wnętrza poprzez opis reakcji somatycznych, jakby bezwiedny behawioryzm, którego Żeromski znać oczywiście nie mógł. Przedstawiając mianowicie różne sytuacje psychiczne, zwłaszcza stany szczególnego wzruszenia, lęku, zmieszania czy podniecenia, Żeromski daje nie tyle ich psychologiczną analizę, ile raczej odtwarza ich korelaty fizjologiczne. Swe doznania psychiczne bohaterowie jego utworów ujawniają bardzo często poprzez różnego typu objawy somatyczno-nerwowe i ustrojowe. Spoglądającego na panią Zofię Wawelskiego „rozkoszny spazm ścisnął [...] w okolicach diafragmy i słodko obezwładniał”⁴³.

⁴¹ Ibid., s. 30 - 31.

⁴² *Charitas*, s. 111 - 112.

⁴³ *Oko za oko*, s. 128.

Gwałtowne zakłócenia i zaburzenia krwioobiegu to najczęściej stosowany u Żeromskiego środek zastępczy i syntetyczny równoważnik opisu psychologicznego. Gdy pana Dominika Cedzynę natarczywe pukanie ze snu wyrwało, „wszystka krew spłynęła [mu] nagle do serca”⁴⁴. Jego szalone wzruszenie z powodu niespodziewanego powrotu syna niebywale sugestywnie oddane zostało przez bezładne gesty, bezsensowne czynności, przez chwilowe zakłócenie zdolności mowy: „bełkocząc pojedyncze sylaby wyrazów urwanych i półkniętych razem ze łzami” wydarł pan Cedzyna synowi „walizkę, rozpiął palto, wystawił z szafy na stół wszystkie butelki z octem, z naftą, z terpentyną i gorzałką, szukał kieliszka w stosie rzemieni i żelastwa”⁴⁵. Marcinek Borowicz, którego niesłychanie zawstydzająca imponująca mu biegłość Michcika w dukaniu z książki po rosyjsku, czerwieni się i spuszcza oczy, a w momentach ciężkich utrapień szkolnych „zimno wstrząsało jego ciałem i bojaźń niewymowna ssala jego krew jak zmora”⁴⁶. Ale i radość może się ujawniać w „mrozącym dreszczu”, kiedy na przykład Andrzej Radek wprost nie wierząc własnemu szczęściu znajduje opiekę i przytułek w domu dopiero co poznanych państwa Płoniewiczów. Stan oszołomienia tym cudownym obrotem rzeczy oddany został przez znamienne ustrojowe reakcje, zamęt w głowie, zanik możliwości widzenia. „Po grzbiecie Radka prześliznął się mrozący dreszcz [...] stał przy drzwiach, oszołomiony wszystkim tak dalece, że prawie nie widział osób, znajdujących się w mieszkaniu [...] Twarze obecnych widział jak gdyby zasłonięte mgłą czy nikłymi smugami dymu”⁴⁷.

Gwałtowne przejście „z mrocznej toni gnuśnego bezwładu” po katastrofalnym wyroku szkolnej zwierzchności w nową sytuację ocalonego i przywróconego niemal cudem do praw i życia ukazuje Żeromski znakomicie poprzez charakterystyczne reakcje somatyczno-nerwowe: twarz Jędrka „była po dawnemu blada, oczy tak samo zgasłe, tylko teraz brwi, nozdrza i wargi spazmatycznie drgały”⁴⁸.

W pierwszych dniach swego pobytu w Cisach doktor Judym zwiedzał tę miejscowość i dnia któregoś zaszedłszy do tamtejszego kościoła zastał tam swoje trzy znajome panny z Paryża. Na samym brzegu kolatorskiej ławki siedziała panna Natalia. „Doktor poznał ją bardziej przez słodkie zemdlenie zmysłów, przez jakiś chłód wewnętrzny ściekający po twarzy i piersiach niż siłą wzroku”⁴⁹. Jest to zdanie genialne. W tym jednym zdaniu z jakąś olśniewającą prawdą psychologiczną została oddana ta ujawniająca się w chwilowym zakłóceniu normalnych funkcji ustrojowych reakcja psy-

⁴⁴ S. Żeromski, *Doktor Piotr*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 31.

⁴⁵ *Ibid.*, s. 32.

⁴⁶ *Syzyfowe prace*, s. 83.

⁴⁷ *Ibid.*, s. 166.

⁴⁸ *Ibid.*, s. 179.

⁴⁹ *Ludzie bezdomni*, s. 133.

chiczna, jaką odpowiada mężczyzna na nieoczekiwany widok kobiety, która już niegdyś, już przy pierwszym spotkaniu, wywarła na nim przejmujące i nie dające się usunąć z pamięci wrażenie.

Doznania Ewy patrzącej z daleka, w tłumie, na Łukasza, przybywającego na krótko do Warszawy, już po swoim odejściu, a właściwie ucieczce od niej: „Od głowy, jakby z ran, otwartych lancetem żył, ścieka zimna krew aż do stóp. Do palców nieruchomych nóg płynie, co przywarły do ziemi jak ciężary tysiąc pudowe”⁵⁰. Doskonale oddane tu zostało to subiektywne odczucie zdrętwienia, unieruchomienia, spętania, niemożności zrobienia ani kroku, gdy cała istota patrzącej wyrwa się w tamtą stronę Łukasza.

Silnym i gwałtownym reakcją psychiczną bohaterów Żeromskiego towarzyszy więc często bladość twarzy, szum w uszach, drętwienie i drżenie rąk, napełniające instynktownym, fizjologicznym odruchem strachu jakby powolne gaśnięcie pracy serca. Ta metoda wyzyskiwania dla celów charakterologii literackiej trafnie zaobserwowanych reakcji somatycznych, jak każdy zabieg formalny wymagała jednak czujnej kontroli. Nie zawsze jest ona w dziele Żeromskiego wystarczająca, zbyt często pozwala sobie pisarz na ograne stereotypy wyobrazeniowe w postaci przysłowiowego „jeżenia się włosów na głowie” jako reakcji na strach, czy też „zgrzytania zębami” jako objawu wściekłości. Te wyjałowione zupełnie z możliwości prowokowania pożądaných przez autora reakcji czytelniczych zbanalizowane formuły stylistyczne nic nie wnoszą w sensie poznawczym, a przywodzą na myśl niedobre wzory trzeciorzędnej literatury wagonowej.

Jedną z najbardziej natomiast efektywnych pisarsko form ujawniania wnętrza ludzkiego są najrozmaitszego rodzaju wypowiedzenia, starcia słowne, rozmowy, monologi wewnętrzne. Żeromski włada tą formą nieraz (bo przecie nie zawsze) znakomicie, osadza dialog w doskonale zarysowanym kontekście sytuacyjnym i socjologicznym, indywidualizuje i obiektywizuje język replik uczestników dialogu w zależności od ich wieku, wykształcenia i poziomu kultury, nadaje tym wypowiedziom niezwykłą naturalność, tak iż sprawiają one nieraz wrażenie jakby dialogów podsłuchanych. Kiedy na szkółkę pana Wiechowskiego w Owczarach spadła jak grom wiadomość o przyjeździe naczelnika-wizytatora, trwoga i zaćmienie powszechne ogarnęły nie tylko nieszczęsnego nauczyciela, ale całe jego domostwo, nie wyłączając i domowego popychadła i garkotłuka, owej brudnej i niezbyt rozgarniętej Małgoški. Głupawe to dziewczysko, od rana półprzytomne, po kilkugodzinnym przepatrywaniu horyzontu wpada nagle ze dworu powtarzając raz po raz „w okropnej trwodze!”, — „Jedzie naczelnik! Jedzie naczelnik! W skórzanej budzie jedzie! Oj, będzie tu teraz dopiero, będzie, mój Jezus kochany, drogi, oj będzie tu, będzie!”⁵¹. Bezlądne

⁵⁰ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 154.

⁵¹ *Syzyfowe prace*, s. 32.

powtarzanie w kółko identycznych słów i okrzyków doskonale charakteryzuje ograniczoność i naiwność tej dziewczyniny, która rzecz jasna nie wie, co właściwie naprawdę będzie, ale którą sam fakt pojawienia się niebawem istoty tak „nadludzkiej” jak sam pan naczelnik, zdolny jest wprowadzić w stan półprzytomnej trwogi i ekscytacji.

Doskonałym przykładem zastosowania dialogu w funkcji charakterystycznej może też być z tejże powieści wyjęta krótka rozmowa starego profesora łaciny Leima z pierwszoklasistą Marcinkiem. Leim jest ultralojalistą, chodzi w dni świąteczne w urzędowym mundurze i w „pierogu”, nosi miedziak „za zdławienie polskiego buntu”, ostro karze wykroczenia przeciw zakazowi posługiwania się językiem polskim w murach gimnazjum. Gdy dnia któregoś dyżurny Makowicz wypisał na tablicy nazwisko Borowicza, a obok niego zaskarżenie: „ciągle głośno mówi po polsku”, i okazuje się następnie, że owa głośna sprzeczka w zakazanym języku wynikała ze sporu o jakieś tam okładki, pan Leim wymierza oczywiście małoletniemu winowajcy przewidzianą w wykroczeniach tego rodzaju karę przymusowej „odsiadki” w kozie po lekcjach, ale dodaje jednocześnie: „— Nigdy nie bij się z Makowiczem [...] nie zbliżaj się do niego, nie proś go nigdy o jakieś tam jego parszywe okładki!... Usłyszawszy wyraz parszywe, niezwykle w ustach pana Leima, Marcinek spojrział i wtedy doznał dziwnego wrażenia. Profesor patrzył na niego ostrym, zagadkowym wzrokiem. Wydało się Marcinkowi, że to spojrzenie wstydi się jego małej osoby i że zarazem bezlitośnie się z niej natrzęsa...”⁵².

Ten krótki dialog jest znakomitym świadectwem umiejętności posługiwania się wypowiedzeniem w celach charakterystyki personalnej. Autor odtwarza wiernie w formie *oratio recta* nie tylko tekst werbalny obustronnych replik, ale jednocześnie cały towarzyszący im kontekst pozasłowny, sytuacyjny, w jakim się rozmowa odbywa, intonację wypowiedzi i dziwne spojrzenie profesora. Zdumiewające w jego ustach słówko „parszywe” i osobliwe zarazem zachowanie rzucają znamienne światło na istotną postawę tego lojalnego supersłużbisty, który pakuje co prawda nieszczęsnego winowajcę do kozy zgodnie z zaleceniem zwierzchności, ale w istocie czyni to jak gdyby wbrew sobie, z utajonym wewnętrznym wstrętem, wstydem i zażenowaniem. Te „parszywe okładki” w ustach pana Leima to zakamuflowane potępienie nadgorliwości donosicielskiej Makowicza, a jednocześnie jakby gest i wyraz buntu przeciw narzuconej mu roli, buntu rzecz jasna mizernego, nędznego, tchórzliwego, bo na inny w atmosferze ogólnego zaszczucia i zastraszenia belfer ten się zdobyć nie umie, ale świadczącego zarazem, że pan Leim jest w istocie wbrew pozorom przecież kimś innym niż zdecydowany renegat i sprzedawczyk Majewski.

Interesującym przykładem funkcyjności charakterologicznej dialogu może być też rozmowa, jaką prowadzi Łukasz Niepołomski i Ewa tuż

⁵² Ibid., s. 107.

przed tym ostatecznym zdarzeniem, które miało tak fatalnie zaważyć na jej dalszych losach. Cel tej rozmowy jest ze strony partnera oczywisty. W głębi sumienia wszystko już zostało przesądzone i rozstrzygnięte. Chodzi już tylko o to, aby przełamać ostatnie szanse obronne, ostatnie skrupuły w tej dziewczynie. Niepołomski rozwija całą swoją „miażdżącą” dialektykę i sofistykę, sięga do antropologii, którą studiował, i przykładów literatury. Wszystkie te *exempla* i argumenty mają przekonać partnerkę, że wstyd i określone rygory, prawa i nawyki obyczajowe są wartością względną i zmienną w czasie i przestrzeni, prawdziwa, jedyna obyczajność polega na posłuszeństwie instynktowi i że ona, Ewa, choć o tym nie wie, jest już w istocie ową Psyche, duszą zupełnie wyzwoloną. Repliki partnerki w przeciwieństwie do „erudycyjnych” popisów Niepołomskiego są naturalne, takie, jakich mógłby się czytelnik spodziewać w ustach prostolinijnej, inteligentnej, ale nie pretendującej do roli równorzędnego dyskutanta dziewczyny, są proste i w swej zdroworozsądkowej oczywistości jakby demaskujące całą sofistykę „filozoficznych” wywodów Niepołomskiego, aczkolwiek ostatecznie Ewa tym wywodom ulegnie. Dialog ten pełni tutaj wyraźnie funkcję kompozycyjną jako jedna z przesłanek zdarzeń, które mają nastąpić, ale jednocześnie jest istotnym elementem charakterystyki personalnej Niepołomskiego, odsłania pewną skazę moralną w tym człowieku, który wiedząc, kim jest ta dziewczyna, w jakim stanie poznał ją kiedyś i z jakiego ją wywiódł, nie waha się wyzyskać całej swej przewagi, jaką ma nad nią, aby osiągnąć cel bez względu na konsekwencje, które ona przede wszystkim poniesie.

W dążeniu do jak najpełniejszego zarysowania osobowości duchowej swych postaci sięga też Żeromski do takich sprawdzonych już, konwencjonalnych środków wyrazu, jak listy wymieniane przez partnerów opowiadania, zwierzenia osobiste, notowane w prowadzonych dla siebie w zatajeniu dzienniczkach, mniej lub bardziej dokładne obrazy wnętrza stanowiących dla portretowanych postaci naturalną przestrzeń życiową. Korespondencja między Ewą i Łukaszem daje więc wgląd w genezę i rozwój ich miłości, dzienniczek Joasi, przynosząc fakty z jej guwernerskiej biografii, staje się zarazem świadectwem jej wewnętrznego niepokoju, dojmującego poczucia samotności, odsłania intelektualne możliwości i dyspozycje diarystki. Zestawy lektur i refleksje nad nimi, reakcje na oglądane dzieła sztuki dorzucają niekiedy bardzo istotne elementy do portretu postaci. Pani Zofia Świerkowska lubiła czytywać Mickiewicza, bo „to taki sobie dobry, pocziwy, prosty, a taki mądry człowiek” i tak ładnie „opisuje miejscowości”⁵³, ale o towianizmie nic nie słyszała i sam ten wyraz wywołuje w niej zdumienie. Tych kilka napomknięć na temat horyzontów i intelektualnych zatrudnień bohaterki doskonale osadza jej portret w kontekście socjologicznym, w określonej sytuacji życiowej, która warunkuje i determinuje

⁵³ *Oko za oko*, s. 127.

poziom kultury i charakter postaci. Joasia Podborska prezentuje się w świetle swych lektur jako typ idealnego odbiorcy literackiego: czyta wiele, a dobór autorów świadczy o orientacji w nazwiskach, które warto wybierać. Są wśród nich pisarze antyczni i literatura współczesna, polska i obca: Sieroszewski, Tetmajer, Przybyszewski, Witkiewicz, Zola, Maupassant, Hauptmann, Ibsen i Tolstoj. Refleksje, jakie notuje na marginesie owych lektur, świadczą o poważnym do nich stosunku, literatura jest dla niej źródłem wiedzy o świecie i wzorców postępowania, poprzez literaturę ocenia życie. Natomiast dla pani Lenty Żwirskiej z *Nawracania Judasza*, prowincjonalnej snobinety, chaotyczne lektury, w których Strindberg, Dostojewski i Poe sąsiadują z sensacjami z dziedziny astrologii i okultyzmu, są sposobem ratowania się przed zabójczą nudą owej Posuchy, w której wiednie, oraz formą dystansu do miejscowego towarzystwa.

Jak umiejętnie umiał Żeromski wyzyskiwać sytuacje przez samego siebie tworzone dla charakteryzacji kilku nieraz jednocześnie postaci powieściowych, tego przykładem może być scena w Luwrze z *Ludzi bezdomnych*, w której trzy młode podróżniczki z Polski przyglądają się słynnej Wenus z Milo. Każda z nich spogląda na to dzieło inaczej i inaczej je widzi. W różnicach odbioru zarysowują się znamienne cechy charakterologiczne, które zostaną rozwinięte w dalszym toku powieści. Roztrzepanej, podlotkowej Wandy w ogóle owa figura nie zajmuje i nie bardzo rozumie, po co się ją zmusza do oglądania tych kamiennych nagości, gdy na ulicach Paryża jest tak cudownie i bosko. Panna Natalia „patrzyła na marmurowe bóstwo od niechcienia, a jednak z takim wyrazem, jakby go się uczyła na pamięć, jakby je spod oka wzrokiem chłoneła. Kiedy niekiedy wąskie i płaskie jej nozdrza rozszerzały się lekko od szybkiego westchnienia”⁵⁴. Natomiast panna Podborska jak przystało pilnej i obowiązkowej nauczycielce i guwernantce najpierw dokładnie odczytała wszystko, co o posągu napisano w bedekerze, a następnie przystąpiła do szczegółowego studiowania obiektu ze wszystkich stron, jakby chciała „wszystkie cechy dłuta Skopasa [...] spamiętać i ułożyć w głowie systematycznie jak czystą bieliznę w kufrze podróżnym”⁵⁵. Trzy różne reakcje i trzy wglądy w trzy odmienne charaktery dziewczęce.

Sprawnym i skutecznym narzędziem charakterystyki personalnej bywa też niekiedy dokładny, szczegółowy opis środowiska. Wnętrze saloniku profesora Majewskiego zdaje się z początku razić przesadną pedanterią deskrypcji, której nic na pozór tłumaczyć i usprawiedliwiać nie może. W istocie jednak między tym mieszczańskim wykwintem a sprawkami tego pana zachodzi najwyraźniej zależność; ta „wytworność” zdaje się go każdym z owych cacek i bibelotów, jakie nagromadził, oskarżać, jest najoczywistszą zapłatą za moralną niktzemność.

⁵⁴ *Ludzie bezdomni*, s. 10.

⁵⁵ *Ibid.*

Zeromski zdobywa się niekiedy na formy literackiego wyrazu wyjątkowo oryginalne, a zarazem bezbłędnie trafne, gdy na przykład wśród szeregu sposobów, służących wydobyciu obrazu panny *Anny Stogowskiej*, używa również cytatu. Strofa wiersza *Mieczysława Romanowskiego*, wpiśnana ręką „*Biruty*” do sztambucha koleżanki, z przejmującą siłą ujawnia przedwczesną i tragiczną dojrzałość tej dziewczynki i ciężący na jej życiu kompleks psychiczny.

Oczywiście najpełniej odsłaniają charakter, postawę i wewnętrzne zasoby powieściowych postaci ich działania, akty woli, reakcje na wyzwanie, rzucane przez świat i życie. Sytuacje, zdarzenia bywają nie tylko elementami aktywnymi powieściowej narracji, posuwającymi naprzód intrygę, ale pełnią też jednocześnie funkcję charakteryzacyjną, ponieważ najwyraźniej ujawniają rzeczywistą postawę wobec moralnych i społecznych wymagań życia. Formowanie wizerunku człowieka poprzez *ad hoc* aranżowane sytuacje i ciągi zdarzeń ma tę jeszcze wyższość artystyczną nad innymi formami postaciowania, że jest zabiegiem literackim najbardziej ze wszystkich obiektywnym. Narrator rezygnuje tu zupełnie z formułowania jakichkolwiek apriorycznych i arbitralnych opinii wartościujących, które zawsze mogą budzić nieufność i podejrzliwość, lecz relacjonuje wyłącznie fakty, które jednoznacznie określają osobowość postaci.

Nic lepiej nie ujawnia niespokojnej, buntowniczej, anarchicznej i zuchwałej natury *Rafała Olbromskiego* jak awanturnicze jego wyczyny od wybryków szkolnych poczynawszy, a na perypetiach romansowych z kolejnymi kochankami skończywszy. Doktor *Paweł Obarecki* i panna *Stanisława* z *Siłaczki* odsłaniają całą odmienność swoich postaw poprzez czyny i osiągnięcia własne tych lat kilkunastu życia w pełni świadomego, w których za każdy dzień bierze człowiek całkowitą odpowiedzialność. On cofa się ustawicznie, oddaje pozycję za pozycją, zapiera się swojej pięknej, dumnej młodości, aby wreszcie skapitulować i wspólnie z czeredą optymatów obrzydłowskich maszerować solidarnie „w tonie gnojówki”. Ona trwa na posterunku do końca i jej ostatnia nawet myśl, zanotowana w liście do przyjaciółki, świadczy o bohaterkiej konsekwencji życia, które urządza sobie i organizuje ta dziewczyna według wskazań idei i na miarę zadań przez nią natchnionych.

Zeromski stawia często swych bohaterów wobec sytuacji drastycznie skrajnych, alternatywnych, w których musi się nieodwołalnie wybierać z wszystkimi następstwami wyboru. Jak owa niepozorna, zabiedzona, znękana matka z *Ananke*, która podejmując rozpaczliwą decyzję urasta do miary bohaterstwa, jak *Judym*, który się wyrzeka *Joasi*, jak *Tatiana* czy też pani *Marta Poziemska*, które wybierając śmierć określają swój stosunek do życia, swoją wobec niego bezradność i swoją rozpacz. Ale nie tylko pojedyncze zdarzenia służą owemu sondowaniu stanów psychicznych, bardzo często owa procedura ujawniania tajemnic ludzkiego wnętrza rozkłada się na całość życiorysu postaci, na całe ciągi zdarzeń, tak iż dopiero przeczyta-

nie owej historii do ostatniej strony przynosi pełne wykończenie obrazu. Charakterystyka personalna przybiera tu formę biografii, osobowość ludzka odbija się jak w zwierciadle w swoich własnych czynach, każde postanowienie, każdy akt woli, ale także bierność, bezczynność, przyzwolenie na decyzje i na wyroki, zapadające jak gdyby poza własną wolą, za którymi kryje się tajemna moc przeznaczenia czy też zmowa świata i ludzi, dorzucają kolejno jakieś nowe rysy i barwy do portretu postaci. Tak właśnie dopełniają się w procesie swoistej kumulacji faktów i zachowań osobowości Ewy, Nienaskiego, Xeni Granowskiej i Baryki, zwłaszcza w pierwszym okresie jego bakińskiej, anarchicznej młodości.

Pośród bogactwa form, jakimi dysponuje warsztat pisarski Żeromskiego, nasuwa się jeszcze uwadze metoda przedstawiania postaci poprzez sądy, doznania i widzenie literackich partnerów. Niekiedy ta metoda staje się jedyną możliwą, jak w „Siłaczce”, której stan eliminuje niejako z naturalnych powodów inne sposoby prezentacji. Panna Stanisława istnieje więc literacko tylko dzięki wspomnieniom, słowom, zachowaniom postaci, które znały ją kiedyś lub stanowiły jej najbliższe otoczenie w ostatnim epizodzie jej życia, a więc dzięki myślom Obareckiego, stojącego bezradnie nad jej nędznym wezłowiem i odgrzebującego w pamięci po tylu jeszcze latach wciąż upajający obraz tej dziewczyny, dzięki niezdarным słowom owej wiejskiej, starej kobiety, którą ta bohaterska istota przygarnęła i wspomogła w smutnej starości, i dzięki krótkiej rozmowie z owym chłopcem-posłańcem, w którego oczach dojrzał Obarecki „chłopską, głupią, zdziczałą rozpacz”⁵⁶.

Owe projekcje postaci poprzez cudze widzenie wyrażają się też niekiedy w krótkich, esencjonalnych sądach, w których zawarta jest jakby najistotniejsza prawda o człowieku. Tak Judym po ucieczce panny Natalii z Karbowskiim powie o niej, że to „była natura samodzielna, śmiała, bezwzględna”⁵⁷, a ksiądz Wolski z *Urody życia* nawiązując do przedziwnej przygody, jaka się przydarzyła Rozluckiemu za sprawą panny Małgorzaty Ościeniówny, zamknie ocenę tej dziewczyny w jednym zdaniu wartościującym: „Ta panna była warta, żeś ją obronił, żeś się o nią rąbał i poniósł rany”⁵⁸. Ponieważ opinie te wypowiedane są przez osoby w jakiś sposób związane z określonymi postaciami, wiarygodne i odpowiedzialne, w momentach ważnych, przeto nie funkcjonują one na zasadzie etykietek czy też sądu apriorycznego, lecz jako budzące zaufanie, obiektywne odbicia wizerunku duchowego postaci w zwierciadle innych, czujących i wartościujących świadomości. Niekiedy obraz danej osoby załamuje się jak gdyby w kilku różnych widzeniach, jak w przypadku Xeni Granowskiej, która wielokrotnie jest przedmiotem rozmyślań trzech na różny sposób zainteresowa-

⁵⁶ *Siłaczka*, s. 106.

⁵⁷ *Ludzie bezdomni*, s. 246.

⁵⁸ *Uroda życia*, s. 229.

nych nią mężczyzn: ojca, Nienaskiego i Śnicy. Każdy z nich reprezentuje inny charakter, inną postawę wobec życia, innego typu związku łączą ich z tą panną i inaczej ją widzą. Ostateczny obraz dziewczyny staje się wypadkową tych projekcji, komplikuje się, nabiera rysów jakby sprzecznych i na pozór się wykluczających, w istocie jednak staje się bogatszy i nawet w swych niekonsekwencjach bliższy prawdzie natury ludzkiej.

Wydawałoby się, że przy tym bogactwie środków, jakie aktywizował Żeromski w pracy nad kreacją swoich postaci, jego charakterologia literacka będzie w każdym wypadku jedną z największych rewelacji psychologicznych w powieści polskiej. Tymczasem nigdy tak się nie stało i to zdumiewające zjawisko podkreślano już od pierwszych prób jakiejś syntetyzującej waloryzacji tego pisarstwa. Nasuwało się odczucie, iż Żeromski to liryk, co zapragnął być epickim obiektywistą, lecz zabrakło mu najistotniejszej w tym wypadku przesłanki, owej tajemniczej zdolności wczuwania się i jak gdyby wchodzenia w cudzą skórę psychiczną. To, co jest zagadkowym, ciemnym wnętrzem, wymagającym cierpliwie dociekliwego rozpoznania, usiłował rozświetlać efektownymi obrazami, w „jakimś skrócie wizjonerskim, który eksplodował pod piórem” i wywierał nawet silne wrażenie, ale jak każda eksplozja kończył się efektem przemijającym⁵⁹.

Zagadkowe przebiegi i procesy, prace myśli, kręte drogi i bezdroża uczuć i namiętności ludzkich, uciążliwe przedzieranie się do prawdy i do świata wartości — wszystko to jak gdyby przekraczało skalę jego możliwości pisarskich, wydawał się być genialnym spostrzegaczem i odtwórcą momentów, zwłaszcza tych, w których dochodziły do głosu spazmatyczne napięcia, groza lub patos, albo owej „tajemnicy» toku marzenia”, które wysnuwało się i rozwijało poza jakąkolwiek kontrolą myśli⁶⁰. Nie logika konieczności wewnętrznych rządzi psychiką bohaterów pisarza, lecz żywiołowość; „świat Żeromskiego — pisał o nim Brzozowski — jest światem nie ciągłości czynnej, lecz biernej żywiołowości. Czyny powstają w niej i w nią wpadają”⁶¹. Toteż wydaje się niekiedy, że nie ma żadnych związków między różnymi epokami dziejów postaci, między Ewą z momentu jej spowiedzi i jej wzniosłych uniesień i z epoki jej smutnego upadku, nie czuje się tu i nie widzi żadnej głębszej motywacji psychologicznej, żadnego przekonującego przygotowania tego zdumiewającego przeistoczenia.

Osobowość ludzka ulega niepojętemu rozszczepieniu na dwa różne istnienia, nie przystające do siebie i kłócące się z sobą. To prawda, że autor rozsiewa różne napomknienia po tekście, które można by uznać za motywację społeczną czy egzystencjalną w jakimś sensie filozoficznym: warunki domowe, bezwzględna surowość i nieprzejednanie matki, złośliwość i zawiść siostry, ohydną atmosferę biura, w którym Ewa pracuje, kłopoty

⁵⁹ Zob. J. E. Skiński, *Na przelaj*, Warszawa 1935, s. 106 - 107.

⁶⁰ S. Kołaczkowski, *Stefan Żeromski*, „Przegląd Współczesny” 1926, nr 45.

⁶¹ S. Brzozowski, *Legenda Młodej Polski*, Lwów 1910, s. 468.

rozwodowe Łukasza, znowę społeczną przeciw dziewczynie, która ma dziecko, rozpina w końcu nad tą całą „historią grzechu” swoją filozofię organicznego sprzęgnięcia w duszy ludzkiej anioła i szatana, ale wszystko to są tylko napomknienia, aluzje, symbole, a nie penetracje sięgające w samo „jądro ciemności”, w najgłębsze mroki egzystencji, a poza tym tak „porozstawiane po kątach”, według określenia Irzykowskiego, i tak w końcu przesłonięte kalejdoskopową zmiennością melodramatycznych sensacji, które mnoży bez umiaru rozkiszana wyobraźnia pisarza, że aluzje tego rodzaju zatracają po drodze całkowicie siłę przebiccia się do świadomości odbiorców. Trzeba bowiem postawić się w sytuacji przeciętnego konsumenta literackiego, a nie krytyka czy badacza, którzy operując ostrym skalpelem analitycznym dysponują możliwością wypruwania najdrobniejszych nawet włókienek treści i odtwarzania sobie owej subtelnej tkanki motywacyjnej. Przeciętny czytelnik odbiera dzieło jako całość, w syntetycznym ogarnięciu jego zawartości treściowej, toteż wszelkie zachwianie równowagi w rozkładzie elementów, tworzących budulec całej struktury fabularnej, mylne rozstawienie akcentów semantycznych musi prowadzić do istotnych zakłóceń w planie odbioru.

Zeromski miał szczególną namiętność do ponurych i niesamowitych dewiacji psychiki ludzkiej, ale nie znajdował jak gdyby w swym repertuarze środków pisarskich zdolnych udźwignąć tę niełatwą i skomplikowaną problematykę psychologiczną. Udawały mu się niekiedy w tym zakresie tylko charaktery drugoplanowe, jak Pochroń i Płaza-Spławski, bo tu nie potrzeba było się zagłębiać w zawiłe niuanse duszy ludzkiej, epizodyczność tych postaci uprawniała do ich ujęcia w najogólniejszym, jednorazowym i scalającym ogarnięciu w jakiejś syntetyzującej formule. Ale „wielkie zbrodniarki” Zeromskiego, Ewa i Tatiana, w niczym właściwie nie rozświetlają tajemniczych mroków wewnętrznego inferna egzystencji.

Psychologizm Zeromskiego zawodzi nawet w dziedzinie, która mogłaby uchodzić za najpewniejszą domenę jego pisarskiej wyobraźni, w dziedzinie erotyki literackiej. Jest to oczywiście erotyzm urzekający swoją siłą, frenezją, niezwykłym napięciem i na jego usługi oddanym namiętym wyrazem stylistycznym, ale są to eksplozje, wybuchy, szalone erupcje pożądania, zewnętrzna, zmysłowo postrzegalna fenomenologia miłości. Jako problemat psychologiczny z całą jego skomplikowaną dialektyką wewnętrzną, wynikającą z emulacji odmiennych światów odczuwania i przeżywania, miłość tak pojęta w pisarstwie Zeromskiego nie istnieje właściwie. Jest tylko nieujarzmiony żywioł, rozrywający wszystkie zapory i wędzidła. Pani Ołowska odda się Olbromskiemu w noc przeprawy przez Wisłę, ale jak dojrzewała w niej ta namiętność utajona, wytrwała, nieugaszona, w określonym momencie przełamująca wszelkie obwarowania towarzysko-społeczne i moralne, nic zupełnie nie wiemy. Helena de With zdecyduje się opuścić męża i podążyć za swym młodym kochankiem, ale jak doszło właściwie do powzięcia tej decyzji, o tym w powieści głucho. Jeden uśmiech

i spojrzenie Łukasza unicestwia w Ewie całą jej świętość i żarliwość. Tatiana pierwsza wyznaczy Rozluckiemu spotkanie bez jakiegokolwiek śladu wewnętrznego przygotowania tego faktu. Nieokiełzana, drapieżna namiętność spadnie na przygodnych kochanków, Cezarego i Laurę bez żadnych uprzedzających zapowiedzi, bez żadnych psychologicznych preliminariów. Wystarczą sprzyjające okoliczności, by ludzie niemal obcy padli sobie w ramiona.

Na nikłych stosunkowo wynikach w zakresie psychoznawstwa literackiego zaważyły też subiektywizm tego pisarstwa i podporządkowanie go określonym ambicjom programowym. Postaci traktowane według nomenklatury Adamczewskiego jako media, przekazujące głębokie, utajone, podglebne skłonności czy stany duszy autora albo też pełniące funkcje sobowtórów, literackich nośników idei i programów, artykułowanych kiedy indziej już wprost, bezpośrednio, językiem publicystyki, zatracaly swoją wewnętrzną autonomię, „samoswoje” istnienie, zaczynały przeżywać, myśleć, mówić, zachowywać się ponad miarę swoich duchowych możliwości albo podejmować decyzje nie uwierzytelnione żadną dostatecznie przekonującą racją psychiczną, pod presją funkcji dydaktycznej, jaką narzucała im wszechmocna wola pisarza. Następowalo więc to, co Irzykowski obrazowo nazywał rurą podłączoną do rezerwuarów duchowych autora, dzięki której natury prymitywne i grube, jak ów zabijaka Rafuś Olbromski, przemieniały się w najsubtelniejszych kochanków, w najwrażliwszych odbiorców sztuki, w czule media, poprzez które płynęły najdelikatniejsze wibracje piękności świata. Albo też postaci jak gdyby przełamane w swym rysunku psychicznym, niezrozumiałe i irytujące w swoich nieuzasadnionych decyzjach, wynikających nie z jakichś wewnętrznych konieczności, przemyśleń czy przesłanek moralnych, lecz jakby pod naciskiem narzuconej im przez autora roli.

Nie człowiek interesuje Żeromskiego, lecz idea, to ona dominuje nad prawdą i prawdopodobieństwem psychologicznym. Tak powstawały owe kontrowersyjne, ambiwalentne w swym rysunku, intelektualnie i moralnie zniewalające, lecz uczuciowo budzące instynktowny odruch sprzeciwu postaci doktrynerów, fanatyków idei, wprost nieludzkich w swych bezkompromisowych i bezwzględnych postanowieniach, o dziwnej oschłości serca, jak doktor Piotr czy odrzucający Joasię Judym. Swoisty dydaktyzm tych postaci, funkcje impresywne, jakie im wyznaczył autor, domagały się w jego odczuciu takich właśnie, ostrych środków oddziaływania, choć łatwo byłoby sobie wyobrazić rozwiązania mniej ekstremalne i drastyczne, nie tak niszczące dla w zasadzie ujmującego swoją szlachetnością moralną rysunku owych postaci.

Z problematyką charakterologiczną wiąże się najściślej sprawa funkcji i jakości obrazów, przede wszystkim natury, świata przyrody, nieskończonych i wciąż zmiennych przestrzeni ziemi, nieba i wód, które stanowią w świecie Żeromskiego niemal równorzędnych partnerów postaci ludzkich,

organicznie związanych z sytuacją człowieka. Jako malarz krajobrazów wydaje się niekiedy Żeromski wprost nieomylny w wynajdywaniu środków ich prezentacji artystycznej, oddających bezbłędnie istotę rzeczy. Czasem wystarcza mu do tego jedno tylko zdanie, jak np. w uchwyceniu tego momentu w *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, kiedy w pustym dotychczas polu widzenia pojawia się zwiad kozacki. „Za zasłoną mgły dał się nagle postrzec jakiś ruch jednostajny, równoległy do ledwie widocznego horyzontu”⁶². Zastosowanie w zdaniu konstrukcji frazeologicznej poczerpniętej jak gdyby z profesjonalnego słownika geofizyki naukowej, doskonale oddaje to nieoczekiwane, a dla obserwującej postaci niepokojące ożywienie martwej dotąd przestrzeni, a następnie nieokreśloność i kierunkową chwiejność tego ruchu, który w niezmiernym oddaleniu zaledwie majaczy i wywija się zwolna z horyzontalnej głębi.

Jako malarz natury bywa często Żeromski beznamietnym obiektywistą, odtwarzającym rzeczywistość widzialną zgodnie z normą i prawami widzenia, z pełnym i wszechstronnym użyciem swej malarskiej palety:

Mróz jest duży. W zimnym powietrzu lecą drobniutkie pyłki śniegu mieszają się z iskrami, jakie zdziera z lodówki wiatr straszliwy, dmący nieznośnie, monotownie, z cichym, ledwo dosłyszalnym, namiętym drżeniem, co usypia i przeraża. Na nieobjętych okiem obszarach mkną po wierzchu skorupy śnieżnej niby dymy białe, leniwe, przejrzyste, sypkie jak piasek — mkną aż do umęczenia wzroku i przepadają w dali roztopiając się w ogromie niebieskim.⁶³

I gdzie indziej:

Dzień był wietrzny i mroźny. Mimo [...] że szczyty wzgórz kurzyły się nieustannie od przelatującej zadymki, na rozległych dolinach między lasami, zmarznięte pustkowiecia leżały w spokoju i prawie w ciszy. Szedł tylko tamtędy zimny przeciąg, wiejąc sypkim śnieg niby lotną plewę. Gdzieniegdzie wałęsały się nad zaspami smugi najdrobniejszego pyłu jak dymek przyduszonego paleniska.⁶⁴

Dwa te obrazy zimowego pejzażu, wyjęte z różnych utworów, ujawniają możliwości malarskie Żeromskiego. W pierwszym doskonale zestrojone najrozmaitszych komponentów przedstawieniowych — optycznych (biel przechodząca w dalekim planie w odcień niebieskawy), akustycznych (wiatr dmący monotownie z cichym, ledwo dosłyszalnym, namiętym drżeniem), kinetycznych (pyłki śniegu lecą, mkną, przepadają), termicznych (w zimnym powietrzu drobniutkie pyłki śniegu mieszają się z iskrami mrozu) — daje w rezultacie obraz, który się nie tylko „widzi”, ale i jednocześnie „słyszy” i fizjologicznie „odczuwa”.

W drugim obrazie kolorystyczna monotonia obserwowanej przestrzeni powoduje, że jakości barwne, zredukowane do bieli, zostały tu całkowicie pominięte jako domyślne, pozostawione czynności dookreślającej odbiorcy.

⁶² *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, s. 54.

⁶³ S. Żeromski, *Pod pierzyną*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 192.

⁶⁴ *Szyfowe prace*, s. 5.

Wydobyto natomiast to, co się w owej mroźnej, wietrznej przestrzeni nieustannie odbywa i narzuca uwadze obserwatora: kurzącą się zadymkę na szczytach, zimne przeciągi, pędzące pustymi dolinami, sypkie, porywiste, to znów chybotliwe, niepewne, chaotycznie się wałęsające pyły i dymy śnieżne.

Obrazy Żeromskiego nigdy nie są statyczne, zawsze w nich się coś dzieje, odbywa, dokonuje. W drugim z przytoczonych przykładów ruch jest głównym elementem organizującym całość. Ta dynamika widzenia zwiększa się i zwielokrotnia w zależności od tego, czy punkt obserwacyjny zlokalizowany jest niezmiennie, czy też sam jest w ruchu:

nagle wierzchołki lip stojących przed dworem schyliły się za brzeg lasu obwieszonych kiściami śniegu... Najbliższa góra poczęła wykręcać się, zmieniać, jakby krzywić i dziwacznie garbić. Wpadały teraz przed jego oczy smugi zarośli, jakich jeszcze nigdy nie widział [...] wynurzały się [...] obszary puste [...] las z nagłą podbiegał ku drodze i odkrywał przed zdumionymi oczyma chłopca posepne swoje głębie [...] Ostatni szmat tzw. odpadków leśnych wykręcił się w inną stronę i zdawało się, że ucieka za oczy, na przełaj, polami.⁶⁵

Jest to krajobraz widziany z pomykającego szybko pojazdu. Przesuwanie się punktu obserwacyjnego staje się przyczyną wiadomego złudzenia, którego odkrycie stało się ongiś podstawową Kopernikańskiego przewrotu w widzeniu świata i kosmosu. Ruch ślizgających się sań zdaje się ożywiać nieruchomy dotychczas i pogrążony w sobie przestwór, góry, lasy, zarośla zaczynają się wykręcać, uciekać, to znów szybko podbiegać i gwałtownie wynurzać. Żeromski opisuje tak, jakby tłumaczył i przekładał na słowa zdjęcia i obrazy kamery, filmującej w ruchu górski, zimowy krajobraz.

Ten typ obrazowania, wychwytyjącego jak obiektyw umykającą przestrzeń i wydobywającego bezbłędnie osobliwości momentu, w jakim to podpatrywanie świata się dzieje, zdaje się być własnością szczególną sztuki pisarskiej Żeromskiego. Oto szalona jazda Cezarego i Laury z Leńca do Nawłoci. Jest noc, pełna tajemniczych mroków i niepewnych konturów rzeczy:

Konie gnały szeroką, piaszczystą drogą alei. Światła latarni rzucały nagłe strzały popłochu między wielkie pnie lip i topoli. Karetą na wybojach kołysała się to tam, to sam, jak łagodna kolebka. Czarne jej pudło i lustrzane okna zasłonięte firankami rzucały tajemnicze lśnienia i przecinały noc jesienną, która szybko zeszała na mokre łąki i zwiędłe pola.⁶⁶

Jeśli uwzględnić, że obraz literacki, by efektywnie działać, nie musi być dokładny i wyposażony w szczegóły, lecz ma jedynie dać podnetę, dać sygnał wyobraźni odbiorczej, to w przytoczonym opisie mamy w istocie wszystko, co potrzebne do ukonstytuowania pełnowymiarowego widzenia

⁶⁵ Ibid., s. 6.

⁶⁶ *Przedwiośnie*, s. 172.

rzeczy: elementy kinetyczne, ruchowe (bieg koni, ruchy pojazdu), elementy optyczne, wizualne (błyski światła, lśniące refleksy lustrzanych okien karety, szeregi umykających pośpiesznie drzew), elementy termiczno-węchowe (zwiędły, wilgotny zapach jesiennej nocy). W rezultacie otrzymujemy obraz o bezbłędnej precyzji, wyposażony w walory estetyczne o najwyższej jakości.

W te obiektywne pejzaże, godne malarza realisty, wkrada się jednakże niekiedy element ową przedmiotową rzeczowość odmieniający:

Tuż za ogrodem rozciągał się duży staw, zarosły grzybieniem, tatarakiem, wysokimi sitami i rokitną. Do stawu wpływała rzeka jak długi wąż, licznymi zakrętami wijąca się przez łąki. Ze wzgórz otaczających płynęły do niej potoki, a obok każdego z nich kwitły rozkoszne dolinki, pełne bujnych brzoź, malin, tarniny, jeżyn, traw sięgających do pasa i kwiatów najcudniejszych na ziemi. W pewnych miejscach strumień ginał zupełnie w głębi krzewów i słychać było tylko cichy szmer jego, podobny do wesołego śmiechu istoty żywej i pełnej szczęścia.⁶⁷

Ta nowość, która odmienia tu charakter konstrukcji obrazowej, to ów wyłamujący się z zasady obiektywnego realizmu opisowego wyraz zachwytu, jakim nasycony jest ten pejzaż. To już nie beznamiętny obserwator, lecz ktoś najgłębiej w urodzie tego miejsca zakochany widzi owe „rozkoszne dolinki”, pełne „kwiatów najcudniejszych na ziemi”, słyszy w szmerze strumienia śmiech „istoty żywej i pełnej szczęścia”. Obraz nasycy się liryzmem, uczłowiecza nieomal, letnia, dysząca czarem przyroda zdaje się odślaniać i ujawniać swoją czującą duszę.

Tak pojętej naturze powierza się rolę współczującego partnera. Niezwykle sugestywny malarsko pejzaż staje się jakby jeszcze jedną osobą dramatu, która czynnie uczestniczy w powikłanych sprawach i losach ludzkich, działa jak olbrzymia, nieskończona, kosmiczna przestrzeń rezonansowa, która odpowiada na dziejące się zdarzenia potężnym wtórem, wzmagającym napięcie do ostatnich granic. Już wstępny, inicjujący opowiadanie obraz pól jesiennych w *Rozdzióbią nas kruki, wrony...*, zatopionych w szarudze, schłostanych deszczem, rozrzuconych szeroko pod niską powałą burych, podartych i rozczochranych obłoków, stanowi nastrojową introdukcję, poddającą jak gdyby już u początku opowieści jej dominantę uczuciową. Ten motyw krajobrazowy, z którego zdaje się emanować rozpaczliwy, przygnębiający smutek opuszczenia, powraca następnie kilkakrotnie w wariantach wyobrażeniowo zmodyfikowanych, ale utrzymanych niezmiennie w tej samej tonacji minorowej. Nad zwłokami Winrycha, nad stygnącym ścierwem końskim krążą ponure ptaki-trupojady, szaleje opętańczy wicher, pędzą wysokie chmury o kształtach niesamowitych. Fiolety wczesnego, jesiennego zmroku rozpinają nad tym niemym pustkowiem upiorne blaski. Blaski te konają szybko, nadciąga za nimi „noc, rozpacz i śmierć”. Płyń z tego obrazu świata, w chwili osobliwej ukazanego, ja-

⁶⁷ *Syzyfowe prace*, s. 121.

kieś przejmujące uczucie lęku, beznadziei, wzmacniające jak gdyby ponury sens i sugestię tytułu: „rozdziobią nas kruki, wrony...”, rozwłoką po polach, po bezdrożach — oto nasz los i przeznaczenie.

Jednym z podstawowych wyznaczników faktury literackiej obrazów przyrody, wśród różnorodnych technik ujęcia tego motywu, jakimi posługiwał się Żeromski, szczególnie bliska jego zmysłowej i artystycznej wrażliwości była metoda impresjonistyczna. Jest to indywidualne, osobiste widzenie i odczucie obserwatora, kierowane jego wolnym uznaniem, *libre arbitre, élan personel*. Jest to ogląd świata jakby przez cieniutką zasłonę zamazującą kształty, rozszczepiającą barwy na tysiączne walory. Świat tak widziany stawał się podobny do rzeczywistego w tym samym stopniu, w jakim sen jest podobny do jawy.

W dole, tuż za płotem ogrodu, widać było skroś gałęzi uśpiony staw. Z wód jego białoniebieskich, jak stal zsiniała od ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale nim odeszły, stały nad nią, jak gdyby w mgłach utopione. Zdało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taka właśnie jest nieskończoność. Ale światłość zdala nadchodząca pokropiła hyzopem cienie i na jej wszechwładny znak woda samotna została w dole, a mgły porzuciły jej łono. Zwijały swe cudne, powłóczyste szaty, rozszerzały przezroczyście skrzydła i mdlejąc, wijąc się z żalu ginęły w błękicie. Tam gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych, siostry ich błękitne śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne, jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku. Dalekie mielizny piasku na płytkim wybrzeżu wody były różowe jak policzki zbudzonego dzieciątka. Za stawem, na płaskim wzgórk, stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniącą zasiewem jarego żyta, które już w niwę żyjącą własnym żywotem zmieniać się poczęło.

Piotr objął Rafała wpół lewą ręką. I Rafał nieśmiało ogarnął brata również ramieniem. Zamilkli. Nieruchomo przetrwali owo świtanie patrząc się w cudne wody, w niewysłowioną barwę niebios, która zwolna płonąc zaczynała, w żywe jej odbicie na nieruchomych odmetach. Było tak cicho, że wzajem słyszeli jak życie w każdym z nich płynie...⁶⁸

Impresjonizm tego obrazu polega najpierw jakby na rozpyleniu kolorystyki, rozbiciu barw lokalnych na subtelne odcienie, w swych przejściach jednych w drugie jakby niezdecydowane, a niekiedy niezgodne z rzeczywistością barwą przedmiotów. Wody są białoniebieskie, jak stal zsiniałe, liście również jasnoniebieskie, dalekie mielizny piasku powlekają się delikatnym blaskiem różowym, zagonik jarego zboża lśni swoją wiosenną, szmaragdową zielonością, błękit jaśniejącego nieba rozplomienia się z wolna od porannej zorzy. Te delikatne kolory stonowane dodatkowo i przygaszone dymami mgieł „cudnobarwnych”, rozpraszają się w światłości budzącego się dnia. Nic nie jest tu statyczne, znieruchomiałe, bo impresjonizm jest techniką notowania ulotnych i momentalnych stanów rzeczy, które trwają przez chwilę i natychmiast giną, przechodząc w inną formę skupienia. Prze-

⁶⁸ *Popioły*, t. 1, s. 139.

strzeń żyje więc, odbywa się w niej ustawiczny ruch, mgły dymią się, zwijają, mdleją, odrywają się od płaszczyzn wodnych, roztopiają w błękie. Tylko w głębiach olszowych, nie tkniętych świtem, trwa jeszcze w znieruchomieniu „głuchonocny sen”. Dodatkowym efektem jest zdwojenie obrazu przez ukazanie go w lustrzanym odbiciu znieruchomiałych uśpionych przestrzeni wodnych. Dla tego impresjonistycznego obrazu stwarza wreszcie Żeromski artystyczną motywację przez wprowadzenie zapatrzonych w ten wyłaniający się z mroków nocy pejzaż przedranny dwóch obserwatorów. Obiektywny wygląd rzeczy staje się subiektywnym przeżyciem, w obraz świata wnęca się ton podmiotowego wzruszenia, to zmysłowe poczucie przepływu własnego życia i to pełne uniesienia złudzenie, że ta chwila, do niczego w swej jedynej piękności nie podobna, jest przecuciem wieczności.

Niektórym obrazom natury nadawał Żeromski świadomie przy całej ich malarskiej i emocjonalnej ekspresywności dodatkowe znaczenie symboliczne. Tak na przykład jest w *Zmierzchu*, co zostało znamienne uwydatnione w samym tytule. Malarsko obraz jest jak zwykle świetny, ale najistotniejsza wydaje się owa naddawka semantyczna. Oto „chwila zmierzchu, kiedy wszystkie kształty widoczne zdają się rozsypywać w proch i nicość, kiedy rozlewa się nad powierzchnią gruntu szara próżnia, zagląda w oczy i uciska serce jakąś nieznaną zgryzotą”⁶⁹. Obraz świata staje się najwyraźniej aktywnym współczynnikiem sugestii ideowej opowiadania. Między stanem natury a światem ludzkiej niedoli zachodzi wewnętrzny związek, i to wieloraki, tak jak wieloraką jest mowa każdego symbolu. Jest tu zarazem i przeciwstawienie, i jakieś podobieństwo bolesne. Nachyla się szybko wieczór, nadciąga noc. Wszystko, co żyje, układa się do spoczynku, kryje się w swoich domostwach przed grozą mroku. I na całym obszarze świata tylko tych dwoje w znojnej i ciężkiej pracy nie zaznaje wytchnienia. Charakterystyczne jest również zakończenie utworu. Żeromski zestawia dwa pozornie niczym z sobą nie związane obrazy — dwojga nędzarzy, miotających się w nerwowym wysiłku i obraz ciemnej pustki nieba, przez którą przedziera się z największym trudem nikle światełko samotnej gwiazdy. Dwa te obrazy łączy wyczuwalna wyraźnie więź jednakowego nastroju, jest w nich coś jednako boleśnie smutnego. Tam, w górze, w „głębinie niebios” drży ubogie światełko wieczornej gwiazdy, płonie zda się ostatkiem sił, wydane na pastwę nieobjętych mroków wszechświata. A na dole, na ziemi, pośród podobnego pustkowi a nieprzeniknionych ciemności, owa para biedaków, szamocących się w katorżnej pracy w walce o prawo do nędzarskiego istnienia.

Ta świadomość, że przedmioty i zjawiska natury są jak znaki tajemne, niezrozumiałe hieroglify, jest udziałem nie tylko czytelników Żeromskiego, ale i postaci jego utworów. Jest w *Dziejach grzechu* taki moment, gdy

⁶⁹ *Zmierzch*, s. 57.

w gasnących barwach zachodu Ewa i Łukasz idą poprzez pejzaż zimowy, jakimiś polnymi ugorami i pustkami leśnymi. Świat dokoła jest cały jeszcze w lśnieniach, w niewiarygodnych różach i błękitach, trwających tylko przez chwilę. „Widziała [...] cienie, powstałe niespodziewanie i nie wiadomo jak niksujące, istne sny. Zanim sama zdążyła wśnić się w owe bytowania zadętych świerków, w żywoty fiołkowe cieniów i rumianych świateł na szczytach zasp, już pochłaniała je nicość. A to życie chwilowe cieniów między narodzinami na puchu nieskalanym i między głuchą śmiercią — wyrażało dla Ewy jakąś nową prawdę, którą w tej chwili miała poznać. Był dokoła niej żyjący, złożony symbol, co się rozwijał, odsłaniał i ukazywał czytelne litery”⁷⁰. Krajobraz poprzez zmienność swych tajemniczych znaków zdaje się zapowiadać to, co się wkrótce stanie, odchyłać z wolna nieprzeniknioną zasłonę przeznaczenia.

Ale przestrzenie Żeromskiego to nie tylko natura, również twory geniuszu i rąk ludzkich, wielkie miasta i metropolie świata, dzieła architektury, wnętrza stanowiące siedliska i najbliższe środowisko istnienia jego postaci powieściowych. W obrazach tego rodzaju, których horyzont rozprzestrzenia się na rozległe obszary, oglądane z oddalenia, z jakiegoś wyniosłego punktu widzenia, ich wyraz artystyczny czy też forma przekazu zależne są od stopnia wiedzy i swoistej zażyłości z przedmiotem oraz od osobistego, emocjonalnego stosunku do opisywanego obiektu. Jeśli jest to przedmiot osobiście kiedyś przeżyty i trwale zapisany na wrażliwej tkance pamięci, nabiera znamion wizji o niezwyklej sugestywności wyobrażeniowej. Tak towarzysztwo dam przy asyście Judyma ogląda Paryż z wyniosłości wzgórze w Saint-Cloud.

U nóg ich leżała, ciągnąc się w głąb kraju i gubiąc w rudych mgłach pustynia kamienna: — Paryż. Barwa jej była czerwonawa, ryza, tu i ówdzie rozdarta przez dziwaczny znak ciemny, przez Łuk Triumfalny, wieże kościoła Notre-Dame albo wieżę Eiffla. Z krańców niedościgłych dla oka mgły zabarwiały się błękitnawymi smugami. Stamtąd płynęły dymy fabryczne snując się z kominów podobnych w dali do grubych biczysk. Te baty pędzą rozrost pustyni. Odgłos jej życia tam nie dochodził. Wydawało się, że skołała i zastygła w swej kamiennej, chropawej formie. Jakieś dziwne wzruszenie ogarnęło przybyłych, wzruszenie takie, jakiego doświadcza się tylko na widok wielkich zjawisk przyrody [...]”⁷¹

Świetność artystyczna tego obrazu polega na jego urzekającym impresjonizmie i mocnym nacechowaniu uczuciowym. Tak istotnie wyglądają wszystkie miasta oglądane z dalekiego dystansu i z punktu na tyle wyniosłego, że pozwala ogarnąć całą panoramę widoku aż po najdalszą, rozplywającą się w nicość horyzontalną głębię. Miasto przedstawia się patrzącym jako czerwonaworudawa plama, przechodząca w najdalszej perspektywie w szarobłękitne dymy i rozerwana tu i ówdzie „dziwacznyymi” znakami osobliwych konstrukcji. Odległość eliminuje jakiegokolwiek

⁷⁰ *Dzieje grzechu*, t. 1, s. 197.

⁷¹ *Ludzie bezdomni*, s. 29 - 30.

elementy akustyczne i kinetyczne, tak iż w swym znieruchomieniu i martwej ciszy ta kamienna pustynia, jakby w swej martwocie zastygła, przypomina wielkie, organiczne twory przyrody. Ogrom i niesamowitość tego widoku wywołuje w patrzących to szczególne wzruszenie, jakie ogarnia człowieka w obliczu zjawisk przerastających go swoją potęgą i uświadamiających mu jego małość, kruchość i znikomość.

Podobnie obrazy wewnątrz nasycone są zazwyczaj podmiotowym odczuciem rzeczy. Tak poprzez aktualne wzruszenia i zmienne stany świadomości Judyma oglądamy komnaty pałacowe, stanowiące użytkowany przez niego w Cisach apartament. Opis zaczyna się od rzeczowej informacji. „Zostały tu [...] jeszcze niektóre ślady zeszlowieczonej okazałości. Ściany zastawione były makatami w ramach, drzwi i okna ujęte w boazerie pełne wdzięku. Dokoła bieżyły stare, proste, złożone gzymsy, które tu i ówdzie rozkwitały w filigran królewskiego stylu. W kątach pokoju i między oknami błyszcząły stare konsole, złożone z kilku tafel lustrzanych”. W tę obiektywną informację wnęca się jednak w pewnym miejscu jakiś ton podmiotowy. „Nad pięknym kominkiem uśmiechał się w głębi starych ram portret młodej kobiety z odsłoniętymi ramionami”. Następuje szczegółowy opis portretu, w którym zamknięty był jakiś powab marzycielski i „szatański czar”. Judym nazywał go „swoim” portretem, „piękne bóstwo, wystawione na tym płótnie, było dlań jakby siłą, która pociąga w przeszłość”, każe snuć mu rojenia o cudownych istotach, które kiedyś w tych salach dawno przed nim trwały, ale zarazem w portrecie tym i w całej aurze tego miejsca zamieszkały jak gdyby wszystkie jego najtajniejsze marzenia o Joasi. „Teraz, gdy światło lampy upadło na portret”, na te „sprzęty wygodne — Judym zadrżał. Rozumiał, że nie ma siły, aby to wszystko opuścić. Każdy mebel zdawał się wychodzić z mroku i coś wspominać. Każdy z nich był jak najwierniejszy przyjaciel, który w siebie przyjął jakiś szczegół, jakąś cząsteczkę sekretu” jego miłości⁷².

Jest to najbardziej własna, indywidualna metoda opisów Żeromskiego. Są one organicznie związane z czującą świadomością obserwatora, opalizują tym podwójnym aspektem swego istnienia, jako przedmioty obiektywne i jako byty, stanowiące wewnętrzną własność patrzącego, jego osobistą przestrzeń duchową. Podobnie przedstawione zostały wewnątrz i elewacja bazyliki św. Marka w Wenecji, podziwiane w kontemplacji przez księcia Gintuila, czy nawet wbrew po trosze prawdopodobieństwu psychologicznemu amfilady salonów pałacu grudzieńskiego w doznaniach snującego się przez te baśniowe wnętrza zdumionego i przejętego Rafała.

Przeciwieństwem ujęć tego rodzaju są zorientowane na „fotograficzność” i dokumentarność „obrazu” nie tyle artystyczne, ile ściśle, fachowe, inżynierskie plany, kartograficzne zdjęcia otwartego terenu, wydobyte jak gdyby z biur katastralnych lub z archiwów sztabowych czy też inwentar-

⁷² Ibid., s. 289 - 290.

skie opisy dzieł architektury. Proweniencja wytworów tego rodzaju wydaje się być czysto intelektualna i erudycyjna, są to informacje pozbawione oparcia we własnym, osobniczym przeżyciu, wydobyte z rąk trzecich lub przekazów źródłowych. Wzgląd na czytelnika, którego należało zorientować w pogmatwanym przebiegu przestrzennym zdarzeń w czasie bitwy o Saragossę, kazał pisarzowi skreślić jak gdyby plan sytuacyjny teatru zmagają wojennych. Ale Żeromski nigdy w Hiszpanii nie był, nigdy nie widział tego miasta, tak jak mógł oczyma Judyma oglądać Paryż, odwołując się do wspomnień własnych. W rezultacie opis ów stał się jakby odwzorowaniem kartograficznego schematu. W ciągu kilku poprzednich zwiadów Krzysztof Cedro obejrzał był ową starożytną Caesaraugustę ze wszystkich stron.

Rysowały się przed oczyma niezliczone wieże: wyniosły szczyt katedry Del Seo; olbrzymie kadłuby klasztorów — franciszkańskiego w środku miasta, za bramą zwaną Quemada, na prawym brzegu Huerby — świętego Józefa, na południu — czworokąt zamku inkwizycji Castel Aliaferia, na zachodzie — kapucynów przed bramą Carmen; okrągłe kopuły i strzeliste wieże Nuestra Señora del Pilar nad samym brzegiem rzeki.

Widzieli dobrze most łączący przedmieście Arcabal z głównymi przecznicami grodu, które sięgały aż do placu Engracia i bramy tegoż imienia na południu; szerokie zagłębienie między czarnymi gmachami w kształcie litery C — to jest Calle de Cosso, którego grube, środkowe brzuśce pod Franciszkanami i szpitalem obłąkanych stanowiło wydłużony plac, dolne wyjście kieruje się za gmachem uniwersytetu ku Puerta del Sol, a górne przechodzi w plac targowy i za klasztorem S. Juan de las Panales dosięga wąską uliczką rzeki Ebro.⁷³

Plastyczna wyrazistość zastąpiona tu została dokładnością wiedzy. Żeromski stosuje tę metodę w każdym przypadku, gdy ścisła informacja wydawała mu się konieczna dla zrozumienia sytuacji. Tak przedstawiony został rozkład pozycji wyjściowych bitwy pod Raszynem i walk o Sandomierz, opis kopalni „Sykstus” w *Ludziach bezdomnych* i plan fortu „Orzeł Czarny” w *Urodzie życia*. Wszystkie one przypominają owe osławione opisy naturalistów, składające się z wyliczenia przedmiotów oraz właściwości przedmiotów w tym rejestracyjno-schematycznym porządku, w jakim zapewne zapisałby je jakiś topograf czy kartograf, konserwator zabytków czy też poborca podatkowy, dokonujący zajęcia nieruchomości niewypłacalnego dłużnika. Zamiast wyznaczników o walorach malarskich używa się określeń cyfrowych, geograficznych i topograficznych. Metodę tę przenosi Żeromski na przedmioty architektury artystycznej i przemysłowej. Opisy fabryk i kopalni, resztek starych budowli w przykładową już w wymienionym zakresie wieżą ariańską z *Nawracania Judasza*, rezygnują zupełnie z ekspresji artystycznej na rzecz inwentaryzacyjnej szczegółowości i wiarygodności.

Przestrzeń odgrywa zatem w dziele pisarskim Żeromskiego liczne i różnorakie funkcje. Jest teatrem zdarzeń, jak w każdym wytworze epickiego

⁷³ *Popioły*, t. 3, s. 46 - 47.

Rozdział V

BUDOWA I KOMPOZYCJA

Pojawienie się Żeromskiego w piśmiennictwie polskim stało się ewenementem od pierwszej chwili. Siła i niezwykłość tej nie znanej dotąd światu literackiemu indywidualności pisarskiej były tak oczywiste i bezsporne, że zgoda panowała w tej kwestii niemal powszechna. Ta jednomyślność w uznaniu dla świetności zjawiska nie przeszkodziła przecież wysuwaniu już wówczas wobec sztuki tego pisarza pewnych zastrzeżeń. Wśród spraw kontrowersyjnych szczególniejszą uwagę przyciągnęły od początku zagadnienia kompozycyjne, wysuwając się na pierwszy plan jako problem, którego niepodobna było wyminąć, który wciąż niepokoił i domagał się wytłumaczenia. Ten świetny pisarz, niezrównany stylista, wielki i wspaniały talent liryczny zdawał się jakby absolutnie nie rozumieć i nie uznawać zasad i konieczności kompozycji literackiej¹. Krytyka podzieliła się zresztą od początku na dwa obozy. Dla jednych Żeromski komponował swe utwory ewidentnie źle, dla innych tylko odmiennie, swoiście, indywidualnie, jakby dla własnych potrzeb i celów stwarzał nowy, odrębny typ i gatunek formy wewnętrznej. Spór ten, rozgorzały już w okresie prymicji literackich Żeromskiego, przetrwał do dzisiaj. Jest to jeden z tych jałowych niestety sporów, w które wikła się niekiedy nauka, gdy nie uświadomi sobie we właściwym momencie, że przyczyną i źródłem tej nie kończącej się dyskusji jest najpospolitsze nieporozumienie, wynikające z uporczywego plątania z sobą i mieszania dwu pojęć bynajmniej nie identycznych i synonimicznych — budowy i kompozycji. Mówiąc o kompozycji myślano w istocie o budowie, pisząc o budowie posługiwano się terminologią, stosowaną przy opisie form kompozycyjnych. Czym jest zatem budowa i czym kompozycja w morfologii utworu literackiego, jeśli nie są to pojęcia semantycznie tożsame i równoznaczne?

Budowa jest to pewien dający się wysledzić w utworze wzór czy model

¹ Sprawę tę przedstawiłem obszerniej w rozprawie *Problematyka form kompozycyjnych w sztuce pisarskiej Żeromskiego*, „Pamiętnik Literacki” 1965, z. 1, przedr. [w:] *Portrety i szkice literackie*, Warszawa 1976, s. 70 - 89.

czysto formalnego uporządkowania materiału fabularnego, pewien schemat i zasada podziału substancji treściowej dzieła na odrębne segmenty. Podział tego rodzaju dyktowany jest ontologiczną naturą dzieł literackich jako klasy przedmiotów, które swą znaczeniową istotą mogą ujawniać wyłącznie w przebiegu temporalnym, czyli kolejnego realizowania się w czasie poszczególnych części utworu. Ta swoistość bytowa wytworów sztuki literackiej, które nie będąc przedmiotami materialnymi nie mogą być tym samym dostępne w momentalnym, całościowym oglądzie, wymaga od pisarza starannego uporządkowania materii treściowej dzieła i podania jej czytelnikowi w owym przemyślanym precyzyjnie następstwie.

W ciągu wielowiekowego rozwoju literatury wykształciły się pewne schematy i modele konstrukcyjne, powielane w nieskończonej ilości dzieł, pewne typy budowy, jak na przykład klasyczny podział trójdzielny (wstęp, rzecz właściwa i zakończenie; introdukcja, rozwinięcie i finał), budowa ramowa, szufladkowa, konstrukcja ciągła, prezentująca materiał w formie swoistego *continuum* przedstawieniowego, wiążącego poszczególne segmenty narracji na zasadzie bezpośredniego wynikania lub konstrukcja luźna, prezentująca zawartość treściową utworu w formie zamkniętych fragmentów i epizodów, tworzących całości znaczeniowe nie wynikające bezpośrednio z sąsiadujących, lecz wiążące się pośrednio przez podporządkowanie każdej z nich generalnej koncepcji i intencji opowiadania. Tak rozumiana budowa nie ma nic wspólnego z pojęciem kompozycji, która jest wykładnikiem wewnętrznych, organicznych stosunków funkcyjnych, zachodzących między poszczególnymi składnikami utworu. Mówiąc najkrócej, istota kompozycji sprowadza się do trzech postulatów: selekcji i umiaru (proporcji, hierarchii), to jest wprowadzania w obręb zestroju przedstawieniowego tylko takich treści, które są konieczne ze względu na założony cel i do przyznawania poszczególnym elementom składowym utworu tylko takiej pozycji, jaka im się należy ze względu na ich semantyczną wartość w planie całości; do postulatu motywacji kompozycyjnej, czyli wiązania występujących w utworze mikrocząstek treściowych na zasadzie przyczynowo-skutkowej wynikliwości i konsekwencji przedmiotowej, zapewniającej dziełu wewnętrzną logikę i artystyczną prawdę; wreszcie do postulatu swoistej celowości układu to jest takiego ukształtowania napięć semantycznych, które by gwarantowało atrakcyjność estetyczną i skuteczność impresywną dzieła poprzez zdolność intelektualnego i emocjonalnego angażowania odbiorcy².

Oba pojęcia, budowa i kompozycja, dotyczą więc zupełnie innych poziomów wewnętrznego zorganizowania zawartości treściowej dzieła literackiego. Budowa organizuje ją na poziomie zewnętrznym, kompozycja sięga

² Zob. E. Kucharski, *Kompozycja literacka. Jej istota i badanie*, [w:] *Księga pamiątkowa ku czci St. Dobrzyckiego*, Poznań 1928 i odb.; S. Skwarczyńska, *Wstęp do nauki o literaturze*, Warszawa 1954, t. 1, s. 393 i n.

w głąb, w najtajniejsze funkcje ustroju. Między budową a formami kompozycyjnymi nie ma więc bezpośredniego związku zależności. Tak rozumiana kompozycja jest kategorią formalną jednoznaczną i niejako obowiązującą niezależnie od zmieniającego się czasu, mody, poetyk, programów i kierunków, tak jak niezmiennie są reguły myślenia i elementarne normy języka. Przesądzą niejako ten szczególny, normatywny charakter form kompozycyjnych racjonalizm dzieła literackiego, jego intelektualna geneza, czas jako ontologiczna forma jego istnienia oraz jego finalne zorientowanie. Dzieło sztuki literackiej jest ze swej istoty tworem sensownym. Wszystko, co w nim wyrażone, dochodzi do głosu przez „świat myśli”³. Można by nawet powiedzieć, że im większy jest udział świadomości w pracy pisarza, tym doskonalszy efekt⁴. Decydujące znaczenie dla nietykalności tej immanentnej normy kompozycyjnej ma również czas. Czas narzuca postulat powściągliwości i ograniczenia, selekcji i hierarchii, rozwijania poszczególnych składników wedle ich funkcyjnej ważności. Kompozycja jest wypadkową ścierania się dwu przeciwstawnych dążeń: twórczego pędu do wyładowania energii i nakazu powściągliwości, podyktowanego strukturalno-czasową naturą dzieła⁵. Wreszcie finalne zorientowanie utworu literackiego narzuca konieczność liczenia się z psychologicznymi prawami odbiorcy czytelniczego. Postulowaną wydolność impresywną w stosunku do odbiorcy gwarantuje kompozycja wysuwająca na czoło elementy o szczególnym dla wyrażenia intencji znaczeniu, formująca je w związki i zależności o przejrzystym i zrozumiałym dla odbiorcy układzie i zapewniająca dziełu, poprzez dozowane umiejętnie napięcia, dynamiczną zdolność wyrazu⁶. Tak pojęta kompozycja jest fundamentalną normą wszelkiej artystycznej konstrukcji. Jakikolwiek podważenie jednego z tych trzech aspektów układu kompozycyjnego daje natychmiast o sobie znać w postaci swoistego zakłócenia i zamętu w percepcji dzieła, w utrudnieniach odbioru, w poczuciu ciemności, niejasności, nieprawdopodobieństwa, nudy, przedwczesnego znużenia, zachwiania wewnętrznej równowagi ustroju, a w ostatecznej konsekwencji umniejszenia jego estetycznej wartości.

Już w pierwszych obszerniejszych utworach fabularnych Żeromskiego uderzyła krytyków i czytelników ich fragmentaryczna budowa. Konstrukcję szczelną i spójną, wiążącą poszczególne segmenty i rozdziały na zasadzie ściślejszej, dokładnej przyległości i wzajemnego wynikania, autor niemal z reguły zastępował konstrukcją epizodyczną, przedstawiającą sceny, sytuacje, zdarzenia istniejące jak gdyby obok siebie, nie powiązane bezpośrednio, lecz oddzielone wielokrotnie interwałami o rozległym rozpięciu tem-

³ Zob. S. Skwarczyńska, op. cit., s. 41.

⁴ Zob. E. Kucharski, *Czynniki logiczne sztuki literackiej*, „Przegląd Filozoficzny” 1936, s. 463.

⁵ E. Kucharski, *Kompozycja literacka*, jw., s. 8 i n.

⁶ Zob. S. Skwarczyńska, op. cit., s. 42, 394-395; J. Trzynadłowski, *Z zagadnień teorii motywacji*, „Prace Polonistyczne” S. XIV, 1960, s. 196.

poralnym, tworzącymi całości tematyczne zamknięte i skomponowane wewnętrznie jakby mikronowe. Przypominało to niekiedy jakby luźną formę zapisów diarycznych, którą Żeromski przecież w swej młodości uprawiał i która stanowiła dla niego jakby szkołę i laboratorium pisarskie, albo powieść w odcinkach, romans felietonowy, stosujący na długo przed wynalazkiem kina jakby technikę filmowego montażu jako szczególnie skuteczną ze względu na charakter przekazu i odbioru. Powieść dawkowana w mikroskopijnych cząsteczkach musiała tak organizować swą materię treściową, aby każdy fragment stanowił jak gdyby autonomiczną całość, zdolną zaintrygować czytelnika i podtrzymać jego uwagę aż do następnego odcinka⁷.

Fragmentaryczność narracji dyktowana była jednak przeważnie przyczynami bardziej organicznymi, była efektem immanentnej konieczności, tkwiącej w samym pomysle i koncepcji opowiadania. Okazało się to bardzo wyraźnie już w pierwszej powieści Żeromskiego. Budowa *Szyzyfowych prac* jest istotnie luźna, fragmentaryczna. Powieść składa się z osiemnastu rozdziałów, z których każdy stanowi całość zamkniętą. Niektóre z nich tak są skomponowane, że osiągają nieomal gatunkową wyrazistość struktur quasi-nowelistycznych czy dramatycznych, które wyjęte z powieści mogłyby egzystować samoistnie jako odrębne całości, tłumaczące się same przez się i nie potrzebujące odwoływać się do powieściowego kontekstu. Budowę tego rodzaju przesądziła koncepcja opowiadania. Powieść, aczkolwiek ma swego prowadzącego bohatera, nie jest przecież tylko jego prywatną historią, lecz opowiadaniem o środowisku, którego perypetie i dzieje rozkładają się na wiele osób i są ilustrowane wydarzeniami z indywidualnych biografii wielu różnych partnerów. Przy koncepcji tego rodzaju, dążącej do ukazania określonej rzeczywistości w najrozmaitszych jej aspektach, budowa fragmentaryczna, dająca większą swobodę kierowania obiektywu autorskiej kamery zgodnie z potrzebami narracji w inną wciąż stronę, wydawała się najbardziej celowa i funkcjonalna, zapewniała większą szerokość i przestrzenność widzenia. Podobnie wybór środowiska, żyjącego rygorystycznie określonym i ustalonym porządkiem zajęć i czynności, pewną monotonią powtórzeń, sugerował taką właśnie formę narracji. Opisywanie dni, tygodni, miesięcy klerykowskich w ciągłym ich następstwie byłoby po prostu niemożliwością. Autor wybrał więc formę jedynie w tym wypadku celową, eksponującą w owym domyślnym ciągu identycznych sytuacji, które składają się na życie szkoły, tylko fakty i zdarzenia szczególne, charakterystyczne, oddające niejako rysy dla opisywanej rzeczywistości jakościowo znamienne i powszechne, czy też ważne i istotne w ewolucji czołowych bohaterów powieści.

⁷ Na tę osobliwość konstrukcyjną powieści Żeromskiego zwróciła uwagę moja uczennica Bożena Parulska w swojej pracy magisterskiej pt. *Elementy romansu popularnego w prozie powieściowej Stefana Żeromskiego* (Toruń 1979).

Fragmentaryczność struktury powieściowej podkreślają interwały czasowe, przegradzające poszczególne rozdziały opowiadania, przy czym w pierwszej części utworu owe „puste miejsca” w biografii bohaterów są na ogół krótkie, kilkumiesięczne, w części zaś drugiej wydłużają się do okresów przeważnie rocznych, co stwarza złudzenie jakby przyspieszonego biegu temporalnego, a co za tym idzie coraz wyraźniej widocznego wzrostu i dojrzewania bohaterów powieści. Ma to też znaczenie dla ogólnego wrażenia w planie odbioru. Część pierwsza do rozdziału ósmego włącznie jest wyraźnie bardziej statyczna, czas biegnie tu wolniej, autor opisuje dokładnie stopniowe wchodzenie i wdrażanie się Marcinka w tryb nowego szkolnego życia, w nowe środowisko i otoczenie, relacjonuje szczegółowo jego realia, mechanizmy, stosunki. Od rozdziału dziewiątego począwszy opowiadanie staje się bardziej dynamiczne, autor zaspokoił już postulaty czytelnika w zakresie informacji rzeczowej i środowiskowej i mógł się już skoncentrować na losach i doświadczeniach bohaterów, tym bardziej że porzuciwszy swe naiwne dzieciństwo stają się oni w swej skomplikowanej sytuacji moralnej i ideowej z każdym rozdziałem literacko coraz ciekawsi.

Epizodyczność jako zasadę organizacji materiału powieściowego zeterminował tu więc temat. Podobnie jest w *Popiołach*, których fragmentaryczna budowa wydawała się jedynie możliwą ze względu na panoramiczną rozległość przedstawionego w nich momentu historycznego. Rozpiętość czasowa tego eposu, rozgrywającego się na przestrzeni bez mała dwudziestu lat, ale lat wyjątkowych, wypełnionych materią dziejów tak gęstą, że starczyłoby jej kiedy indziej na cały wiek, wielość wątków prywatnych i historycznych, olbrzymie terytorialnie teatrum zdarzeń, sięgające od nadwiślańskich łęgów i karpackiego podgórze po Adriatyk, Pireneje, spalone słońcem pustkowia płaskowyżu iberyjskiego i tropikalne dżungle San Domingo, wszystko to było nie do przedstawienia w porządku ciągłym, tylko technika ruchomych, zmieniających się obrazów, przenoszących czytelnika jak w filmowym kalejdoskopie w nowe wciąż środowiska i przestrzenie, narzucała się jako struktura formalna jedynie właściwa i celowa.

Ale nie zawsze przyjęty schemat konstrukcyjny był tak doskonale sprzężony z założoną koncepcją świata przedstawionego. Niekiedy sprawia raczej wrażenie formy jakby mechanicznie przyjętej i obnażającej wbrew intencjom pisarza swoistą jego bezradność wobec tematu. Po wewnętrznie szczelnej i spójnej pierwszej części *Urody życia* tom drugi prezentuje się jako szereg epizodów związanych w całość introligatorską raczej niż wynikającą z jakiejś nadrzędnej koncepcji opowiadania. Wyczerpawszy materię tomu pierwszego, który jako historia romansu Piotra i Tatiany tworzy w istocie powieść samą dla siebie i dalsze losy Rozłuckiego autor mógłby zostawić domyślności czytelników, tak jak zrobił to w przypadku Judyma, pisarz ciągnie jednak dalej biografię bohatera nie bardzo jakby wiedząc, co ma z nim począć. O ile w pierwszej jego powieści i w *Popiołach* każdy

fragment i epizod wydawały się konieczne jako nieodzowne ogniwa w ogólnym, całościowym obrazie świata, tu rozczłonkowanie materii fabularnej sprawia wrażenie przypadkowego zestawienia sytuacji i zdarzeń, które równie dobrze mogłyby nie istnieć w ogóle lub być zastąpione każdym innym pomysłem, równie przypadkowym, jak one. Chcąc dociągnąć opowiadanie do rozmiarów tomu konwencjonalnej objętości autor wypełnia brak kreatorskiej wyobraźni powieściową transpozycją procesu Stanisława Brzozowskiego, historią badacza sachalińskich Ajnów Bronisława Piłsudskiego, każe protagonistę opowiadania składać niestosowne wizyty lub zajmować się awiacją w celach raczej niejasnych.

Jeszcze silniej ów niedowład konstrukcyjny ujawnił się w osławionych *Dziejach grzechu*, zwłaszcza w drugim tomie powieści. Tempo akcji jest tu zawrotne, przyspieszenie zmieniających się scen i sytuacji przypomina technikę romansu sensacyjnego i brukowego nieomal. Rozbicie akcji na coraz krótsze epizody, ukazujące bohaterkę w coraz to innej fazie jej awanturniczego życia, znakomicie to gwałtowne przyspieszenie pisarsko sugeruje. I rzecz nie budziłaby zastrzeżeń, gdyby Żeromski chciał napisać kryminalną „chryję”. Tymczasem szło tu przeciw w intencji od początku o coś całkowicie innego, zgodnie z zobowiązującym tytułem dzieła. „Dzieje grzechu” — semantyka tej inskrypcji tytułowej kazałaby oczekiwać jakiegoś studium człowieka, jakiejś głębokiej, wnikliwej analizy psychologicznej wewnętrznego upadku, powolnego rozkładu, patologicznego rozrastania się w duszy, pierwotnie czystej, tkanki nowotworowej grzechu, prowadzącego ostatecznie do moralnego unicestwienia bohaterki. Ale analityczna psychologia nie leżała w typie uzdolnień i w temperamentcie pisarskim Żeromskiego.

Autor sięgnął więc po metodę przypominającą jak gdyby procedurę opisu behawiorystycznego. Jest to psychologia bez introspekcji, obywatelką się bez pojęcia świadomości. Psychikę ludzką w jej wewnętrznych procesach pojmuje się tu z założenia jako przedmiot obserwacji w istocie nieosiągalny i niedostępny, postrzegalne są tylko zachowania, czynności, funkcje i reakcje zewnętrzne. Przy redukcji tego rodzaju budowa fragmentaryczna stawała się jak gdyby namiastką i paliatywem analizy psychologicznej. Każdy z coraz szybciej następujących po sobie epizodów w biografii bohaterki oznaczał jak gdyby dalszy i niższy stopień jej wewnętrznego upadku, kolejną fazę jej gwałtownego zsuwania się po równi pochyłej ku ostatecznej katastrofie. Zastosowanie schematu budowy epizodycznej wynikało tu nie tyle z konieczności narzuconej przez temat, bo można by sobie wyobrazić jego inne zupełnie rozwinięcie, ile stawało się swoistego rodzaju wyminięciem trudności, pozwalającym wybrnąć z zadania, które przerażało w istocie możliwości pisarza. Że nie wyszło to powieści na dobre, to oczywiste.

Wbrew potocznemu mniemaniu, wynikającemu z jednostronnej optyki, dostrzegającej w twórczości Żeromskiego przede wszystkim to, co ją zda-

wało się odróżniać od dziewiętnastowiecznego modelu prozy fabularnej, budowa fragmentaryczna nie była wcale formą w jego pisarstwie dominującą. W wielu jego utworach przeważa zdecydowanie typ budowy ciągłej, organizującej zawartość treściową opowiadania w swoistego rodzaju *continuum* przedstawieniowe. Jest to uporządkowanie materiału narracyjnego w naturalnym następstwie chronologicznym, z zachowaniem ciągłości czasu wewnętrznego i wzajemnego powiązania wprowadzanych kolejno w pole widzenia cząstek treściowych. Taką budowę mają z naturalnych powodów wszystkie powieści oparte na konstrukcyjnym schemacie biografii, jak *Nawracanie Judasza* czy część pierwsza *Przedwiośnia*, ale nie tylko. Wszędzie tam, gdzie Żeromski dysponował bliskim sobie tematem, w którym czuł się swobodnie i który mógł rozwinąć w malowidło życia z całym bogactwem sensualistycznych i emocjonalnych jego walorów, tempo narracji ulegało wyraźnemu zwolnieniu, przechodząc w rozbudowany szeroko i wyraźnie wysmakowany we wszystkich jego epickich wymiarach i konkretach obraz rzeczywistości. Taka jest historia romansu Salomei i Odrowąża z *Wiernej rzeki*, Tatiany i Rozłuckiego z *Urody życia*, Xeni i Nienaskiego w *Zamieci*, taka wypełniona awanturami miłosnymi Cezarego „Nawłóć” z *Przedwiośnia*.

Utwory Żeromskiego powielają też bardzo często klasyczny model budowy trójdzielnej, wyodrębniającej wyraźnie część ekspozycyjną, właściwą i finalną. Owa część wstępna wprowadza zazwyczaj bohatera przygody, zaznajamia z jego przeszłością i z jego sytuacją aktualną, społeczną i ideową, przygotowując jednocześnie grunt pod rzecz właściwą. Ów zrąb zasadniczy, czyli część centralna i najszerzej rozbudowana, wypełniony jest zdarzeniem, stanowiącym główny temat opowiadania. Zakończenie, wyodrębnione zazwyczaj pauzą narracyjną, przybiera dość często jakby charakter epilogu, przynoszącego rozwiązanie i wyjaśnienie wątków oraz akcentującego dobitnie intencję ideową utworu. Schemat ten stosuje Żeromski zarówno w opowiadaniach objętości stosunkowo niewielkiej, jak też w strukturach rozleglejszych, gatunkowo zbliżonych do rozmiarów „małej powieści”, czy też szkicu powieściowego, wreszcie w wielkich strukturach fabularnych.

Niezależnie od fragmentaryczności jako generalnej zasady konstrukcyjnej *Syzyfowe prace* na przykład ujawniają wyraźne ślady klasycznego podziału na trzy podstawowe elementy budowy. Rozdziały pierwszy i drugi, wstępny etap edukacji Marcinka, to jakby introdukcja w problematykę powieści. Rozdział osiemnasty, pożegnanie Borowicza z dzieciństwem i z gimnazjalną młodością, to wyraźne zamknięcie, zakończenie. W tych ramach mieści się zrąb zasadniczy opowiadania o moralnych i narodowych perypetiach klerykowskiej młodzieży. Ta część centralna przedzielona jest z kolei w połowie cezurą ważnych zmian personalnych w środowisku gimnazjalnym, otwierających nowy etap w historii szkoły. Żeromski okazał się więc już w tej pierwszej swojej powieści tęgim majstrem w literackim rze-

miosłe dając opowiadaniu budowę jasną, klarowną, porządkującą materiał fabularny w naturalnej sekwencji chronologicznej i stwarzającej w rezultacie wrażenie ujmującej prostoty.

W innych powieściach poszczególne segmenty owego konwencjonalnego podziału trójdzielnego ulegają niekiedy jakby rozbudowaniu tworząc niezależnie od podporządkowania ich idei naczelnej względnie samoistne całości, przypominające jakby akty czy też stadia dramatu⁸. Tak zbudowane jest *Przedwiośnie*, w którym każda z trzech części stanowi odrębną, zamkniętą fazę w biografii Cezarego Baryki, mającą swą własną, niezależną od generalnego pomysłu, dramaturgię wewnętrznych napięć i zakończeń.

O ile mimo zdarzających się niekiedy zwichnięć i konstrukcyjnych niezręczności był Żeromski na ogół raczej sprawnym budowniczym swoich utworów, o tyle problemy kompozycji wydawały się zadaniem niewspółmiernie trudniejszym do rozwiązania. Kompozycja jest jednym z najistotniejszych aspektów i wartości każdego dzieła literackiego, można by nawet powiedzieć, że od niej wszystko zależy, niepowodzenie czy też sukces utworu rozstrzyga się głównie w planie kompozycji, w należytym rozwiązaniu jej postulatów. To nie jest już kwestia tylko dyspozycji, zewnętrznego ładu, porządku, lecz uświadomienia sobie różnorodnych wewnętrznych związków funkcjonalnych, zachodzących między poszczególnymi jednostkami składowymi opowiadania i między nimi a całością. Jest tak, jak w bezbłędnej kompozycji malarskiej, w której elementy najistotniejsze dla wyrażenia sensu i walorów obrazu są bądź wysunięte na pierwszy plan, bądź usytuowane w centralnym punkcie płaszczyzny obrazu, bądź wreszcie wydobyte niejako z tła i szczególnie zaakcentowane przez odpowiednie oświetlenie. Żeromski nowelista i powieściopisarz miewał często kłopoty z tym zespołem problemów; zdolność selekcji, zmysł organizowania przekonywających związków motywacyjnych nieraz zawodziły, jego zdolność snucia interesującej anegdoty wyczerpywała się przedwcześnie.

Oczywiście zdarzały mu się układy kompozycyjne bezbłędne, zwłaszcza w formach małych, których opanowanie było niewątpliwie łatwiejsze. Wpływ dodatkowy mogła tu mieć również sytuacja pisarza zdobywającego sobie z trudem miejsce dla siebie, którego naturalny autokrytycyzm i niepewność co do istotnej wartości owych prymicji literackich działały hamująco na instynktowną skłonność do nie liczących się z nakazami artystycznego rygoru wybujałości i licencji pisarskich. Hamulce te przestawały jak gdyby funkcjonować w sytuacji pisarza uznanego, który mógł już sobie pozwolić na „własny styl”. Potrafił więc być Żeromski, zwłaszcza w początkowym okresie swojej twórczości niekiedy bardzo staranny w wyważaniu wewnętrznych proporcji i stosunków w swych kompozycjach fabularnych.

⁸ Zwrócił na to uwagę K. Irzykowski w art. *Burzliwa rzeka rzeczy*, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 1. Zob. też I. Drozdowicz-Jurgielewiczowa, *Technika powieści Żeromskiego*, Warszawa 1929, s. 34 - 35.

Kompozycja *Siłaczki* jest w istocie bezbłędna. Wszystkie elementy treściowe silnie skoncentrowane wokół jednego wydarzenia, z dość szeroką perspektywą w prehistorię przygody i węższą w przyszłość, nadają opowiadaniu postulowaną przez wymogi gatunku zwartość i oszczędność faktury. W rozłożeniu elementów składowych widać dobrze i mądrze przemyślaną współmierność. Zgodnie z pierwszoplanową pozycją Obareckiego (bo panna Stanisława jest tu wyraźnie postacią tytułową jedynie), jego historii, przeżyciom i przeobrażeniom wewnętrznym poświęcono najwięcej miejsca. Postać „Siłaczki” jest potraktowana nie tak wszechstronnie, bo nie leżało to w intencjach pisarza i nie było konieczne dla osiągnięcia efektu; siła przeciwstawienia między nią a jej literackim partnerem gra i tak pełni swej ideologicznej wymowy. Postaci pozostałe trwają w polu widzenia i rozwinięte są o tyle, o ile to potrzebne dla uwydatnienia problemu i dla oświetlenia charakterów i postaw osób planu pierwszego. Podobnie przyroda i obrazy środowiska prowincjonalnego ukazane zostały w granicach i wymiarach określonych przez konieczność i logikę wewnętrzną pomysłu jako realny i aktywny współczynnik ewolucji ideowej doktora Pawła i jako element motywujący przebieg wydarzeń.

Doskonałym wyważeniem wewnętrznych proporcji i stosunków ilościowych oznacza się również pierwsza powieść Żeromskiego. Czas, w jakim pojawiają się i znikają poszczególne jednostki tematyczne, odmierzany jest w *Szyfowych pracach* z dokładnością chronometryczną, ujawniając niezwykle wycucie wagi i znaczenia każdego momentu i szczegółu. To większa lub mniejsza „ważność” decyduje o ilości miejsca i czasu, jakie autor wyznacza każdej postaci i zdarzeniu w ogólnym mikrokosmosie rzeczywistości powieściowej. Zasadę naczelną, organizującą konsekwentnie strukturę świata przedstawionego, zdaje się stanowić maksymalna ekonomia wyrazu. Jest to jedyna powieść Żeromskiego, w której nie odczuwa się nigdy rozrzutności, nadmiaru i profuzji pisarskiej. Mechanizmy selekcji spełniły swoją funkcję niemal bezbłędnie, tak iż brak tu prawie zupełnie elementów treści wyłamujących się z zestroju i nie tłumaczących niczym swej obecności.

Nie zawsze jednak dopisywało Żeromskiemu owo poczucie miary, będące wyrazem świadomości, że pozycja i wartość każdego z elementów, składających się na całość dzieła, są z samej swojej istoty relatywne, a zatem nie mogą być wszystkie traktowane jako bezwzględnie równoważne. Jeśli uznamy więc, że osnowę tematyczną *Doktora Piotra* stanowi dramat uczuciowo-moralny ojca i syna, to nadmierną rozbudowę pewnych wątków ubocznych i motywów epizodycznych, jak historia Bijakowskiego, scena z Polichnowiczem czy też liryczne intermezzo z zegarem, przyjdzie nam uznać za dość istotne naruszenie zasady kompozycyjnego umiaru. Dzieje inżyniera-dorobkiewicza nie są co prawda obojętne dla sprawy głównej, stanowiąc dla niej tło społeczne oraz ogniwo motywacyjne w szeregu przesłanek uzasadniających działalność Dominika Cedzyny i dramatyczną de-

cyję doktora Piotra, ale jako tylko przesłanka sylogizmu zostały potraktowane nazbyt szeroko, zagarnęły zbyt wiele miejsca jak na utwór intencjonalnie nowelistyczny, rozbiły dramatyczną zwartość opowiadania i przesłoniły miejscami wątek zasadniczy, urastając nieomal do drugiego wątku równoważnego.

Spustoszenia kompozycyjne, wynikające z braku dostatecznej kontroli nad nazbyt niekiedy ekspansywną energią wyobraźni pisarskiej, ujawniały się w rozmiarach jeszcze bardziej drastycznych w większych strukturach powieściowych. Te bywały niemal z reguły aż do końca rozchwiane. Kompozycja *Przedwiośnia* jest pod tym względem całkowicie fatalna. Jeśli miała być to powieść o „przedwiośniu niepodległości”, o dramatycznych, społecznych i moralnych dylematach tego trudnego czasu tragicznych napięć wewnętrznych i zagrożeń i o wędrownym bohatera do jego wymarzonej Itaki czy „Jeruzalem świata”, to stanowczo zbyt długo kazał Żeromski przebywać Cezaremu Baryce w czarownym ustroniu nawłockiej Arkadii, będącej jakby powtórką Soplicowa czy też repliką odwiecznego mitu wędrowni do wymarzonego celu, od którego odwodzi na chwilę bohatera zły czar jakiejś nimfy Kalipso. Wyraźne dysproporcje znajdują widomy wyraz już w samym rozłożeniu ilościowym materiału fabularnego, zwłaszcza między drugą a trzecią częścią powieści, której w planie ideowym powierzono przecież rolę najistotniejszą.

„Nawłoc” obejmuje sto czterdzieści stron druku, „Wiatr od wschodu” sześćdziesiąt. Dysproporcje wyjaskrawia dodatkowo różnica poziomów literackiego przetworzenia tematów, co z kolei rzutuje na wymowę ideową powieści. Problematyka polityczna kulminuje niewątpliwie w części ostatniej, bo tu zaczyna się dopiero na dobre ów dramat ideowy szamotania się w potrzasku sprzecznych uczuć i myśli. Ten pasjonujący temat potraktował jednak Żeromski dziwnie skrótowo, pośpiesznie, publicystycznie. Zamiast żywych ludzi i ich perypetii duchowych przedstawił racje i motywy w formie rezonerskiej wymiany argumentów. Natomiast przygodom miłosnym bohatera użyczył wszystkich barw i uroków swej pisarskiej palety. Być może, iż Nawłoc, ta oaza sytości i bezmyślnego używania, miała być w założeniu autora takim samym ostrzeżeniem, jak epizod warszawski, że tak żyć nie wolno, gdy w Polsce tyle jest obszarów nędzy i krzywdy, a tuż obok, za jej wschodnią granicą, dokonuje się eksperyment społeczny o nieobliczalnych następstwach. Tymczasem osobliwość ujęcia stanęła jakby w poprzek autorskim zamiarom.

Dotknąwszy tematu, który go zawsze pasjonował, Żeromski jak gdyby uległ jego uwodzicielskiej sile. Przywołał w pamięci dawne szulmierskie, oleśnickie, łysowskie czasy. Wspomnienie przesłoniło błękitem oddalenia wszystkie smutki i udręki trudnej i chwiejnej sytuacji ubogiego nauczyciela domowego. Pozostała tylko pamięć młodości, tamto niebo, szum wiatru, przychylni ludzie, którym zawdzięczało się niejedno dobro, jakieś cienie uroczne. I oto temat, znany aż do gruntu, na wylot, obrazy kipiące ży-

ciem, zachowane we krwi, w nerwach, w mózgu, pod powieką, czekające tylko, by ująć je i zamknąć w potrzasku słowa, zaczęły się rozwijać i rozrastać nie tyle według pierwotnego zamysłu, ile według własnej konieczności wewnętrznej. Nawłoc-ostrzeżenie przemieniała się pod piórem artysty w obraz życia, którego niewątpliwym urokiem niepodobna zaprzeczyć, w nowe Soplicowo, skazane być może na zagładę, ale jakże urocze i pociągające w barwach swego zachodu.

Spostrzegłszy to zwichnięcie intencji, a nie zamierzając zmieniać już tego, co napisał, bo to było przecież literacko bezbłędne, autor usiłował jak gdyby trochę rzecz „wyprostować” i niejako „poprawić” za pomocą „półśrodków”. Te „półśrodki” to pojawiające się w różnych momentach opowiadania nieprzyjemne refleksje i reminiscencje Cezarego z epoki jego przeżyć i doświadczeń rewolucyjnych, to egzystujący gdzieś na peryferiach Nawłoci jakiś Chłodek, tamtejsi chłopci, ich gnijące domostwa, blade dzieci, brudne, obdarte baby. Ale są to jakieś marginesy rzeczywistości, prawie „gołym okiem” niedostrzegalne. Rygory i prawa sztuki są nieprzejednane. Z wycieczki za przewodem pisarza do nawłockiej Arkadii czytelnik wynosi niechybnie jedno tylko wspomnienie: godnej pozazdroszczenia zmysłowej urody życia i niebywałych awantur bohatera.

Już w początkach twórczości Żeromskiego ujawniła się też inna skłonność, której wpływ na ukształtowanie kompozycyjne wielu jego utworów okazywał się niejednokrotnie ujemny: zbyt natrętne eskloatowanie motywów pejzażowych ponad konieczność. Autor wciela się w pejzaż — zauważył to już Adamczewski — staje się drzewem, morzem, obłokiem, ale nikt nie czuwa wówczas nad akcją, „nikt nie odmierza czasu trwania” tego spektaklu. „Inercja, rozmach, siła żywiołu wchodzą w swe ślepe prawa”⁹. Ta ustawiczna kontemplacja nieba, obłoków i widoków natury w warunkach dosyć często najmniej do zachwyceń tego typu sposobnych czy wręcz nieprawdopodobnych, narusza elementarną zasadę istotności, która eliminuje z zestroju wszelkie treści niefunkcjonalne, nie legitymujące się absolutną koniecznością, choćby same w sobie przedstawiały najwyższą nawet artystyczną wartość.

Pasja erudycyjna czy też bierna bezradność wobec źródeł, niechęć czy niemoc ich pisarskiego przełożenia na język sztuki, swoisty, jakby z praktyki naturalistów przejęty pedantyczny scjentyzm¹⁰, dopełniały tego dzieła spustoszeń w gospodarstwie literackim pisarza. Dochodziły one do głosu najczęściej wówczas, gdy przedmiotem uwagi autora stawał się świat przeszłości dziejowej, ewokowany w jego utworach historycznych. Imponująca erudycja źródłowa, zapisana w samym dziele w stanie surowym, nie poddana obróbce i rozsądnej selekcji, rozrastała się jak wyrodniewająca tkanka

⁹ S. Adamczewski, *Sztuka pisarska Żeromskiego*, Kraków 1949, s. 394. Zob. też K. Irzykowski, *Czyn i słowo*, Kraków 1980, s. 551.

¹⁰ Pisałem o tym obszerniej w książce *Żeromski i naturalizm*, Toruń 1956.

naruszając wewnętrzne proporcje w rozkładzie elementów znaczących. W opowieści *O żołnierzu tułacz* ponad miarę i konieczność rozbudowany opis przejścia kolumny wojsk francuskich przez alpejskie przełęcze przytłacza masą swojej informacyjnej zawartości zwięzłą, lakoniczną „nowelę” o dramacie chłopów-żołnierzy i o panu Opadzkim. Opis ten w żadnym stopniu nie służy ekspozycji czy uwydatnieniu zasadniczej koncepcji opowiadania, a utwór niewątpliwie by zyskał, a niczego nie stracił ze swej ideowej puenty, gdyby autor się zdobył na odważne cięcia.

To, co w opowiadaniu tym było zaledwie zapowiedzią, rozrosło się w pustoszącą manierę w *Popiołach* i w erudycyjnych dłużyznach *Wiatru od morza*. Kronikarskie relacje o kampaniach wojennych w Polsce i w Hiszpanii, rejestry nazwisk oficerów i zestawienia nazw geograficznych, znaczących szlaki tych żołnierskich pochodów, sprawozdawczo-informacyjne szeregi faktów i zdarzeń z dziejów Bałtyku i Pomorza, rozrastały się w szeroko rozlane, jałowe i martwe literacko mielizny, które czytelnik przemierza z niechęcią i z uczuciem znudzenia. Równie rujnująca kompozycyjnie funkcja przypadła w udziale publicystyce Żeromskiego, wypełniającej setki stron jego utworów i niszczącej poetycką urodę jego iluzorycznych światów powieściowych. Są to owe wykłady na temat Bodzantowych utopii, „potępieńcze swary” rodaków na paryskim bruku, którym przygląda się i przysłuchuje ze zgrozą i rozpaczą Nienaski, nużące dyskusje z koncepcjami Sorela i ideowymi poglądami przyjaciela młodości Jana Wacława Machajskiego, tym bardziej dla kompozycji destrukcyjne, że tkwiące w całości dzieła bez ewidentnych uzasadnień. Nic bowiem Majdan Bodzanty nie zmienił w losach bohaterki ani dyskusje z anarchicznym nihilizmem „mścicieli” nie wpłynęły na charakter i kierunek poczynań bohatera powieści.

Sprawa tak zwanej prawdy artystycznej dzieła literackiego, polegającej na prawdopodobieństwie zdarzeń i sytuacji przedstawionych, tak iż nie budzą one w odbiorcy intelektualnego sprzeciwu i owego natrętnego pytania „dlaczego?”, na które nie ma w utworze odpowiedzi, to kwestia przede wszystkim należytego zorganizowania związków motywacyjnych w szereg przedstawień o tak silnym sprzężeniu przyczyn i skutków, by w owym ciągu ząbających się o siebie ogniów nie było żadnych pęknięć i żadnego momentu, który nie wytrzymałby próby logicznego sprawdzianu. Motywacja kompozycyjna jako formatorka organicznego związku znaczeń, podlegająca tym samym prawom i tym samym niebezpieczeństwom, co myśl ludzka w dochodzeniu prawd rozumowych, wydaje się być aspektem każdego dzieła literackiego z samej swojej istoty stałym i niezmiennym, nie podlegającym żadnym dowolnym eksperymentom¹¹.

Żeromski miał świadomość tego immanentnego prawa wszelkiej twór-

¹¹ Zob. E. Kucharski, *Czynniki logiczne* oraz wyżej cyt. rozprawę A. Hutnikiewiczą o *Problematyce form kompozycyjnych...*

czej czynności i potrafił się zdobywać na rozwiązania w tym zakresie bezbłędne, zwłaszcza w przypadkach, gdy trzymał się w swym pomyśle mocno gruntu dobrze sobie znanego. W tym właśnie kryje się tajemnica zdumiewającej dojrzałości wewnętrznego ukształtowania jego pierwszej powieści. Zarówno ewolucja postaw ideowych młodzieży, jak i rozwój wewnętrzny głównych bohaterów opowiadania pokazane zostały z precyzyjnym wyeksponowaniem wszystkich decydujących faktów i realiów rzeczywistości, które taki a nie inny przebieg wydarzeń warunkują. Wzmagająca się presja rusyfikacyjna administracji zaborczej, całkowita uległość i bierność społeczeństwa polskiego, odcięcie zupełne od źródeł rzetelnej, uczciwej informacji zepchnęły młodzież klerykowską w stan niemal totalnej dezorientacji ideowej i zagubienia. Jednocześnie zaś jest to młodzież w swych najwartościowszych jednostkach myśląca, czująca i spragniona żarliwie autentycznej prawdy, żadna działania i wyrwania się poza ciasny horyzont prowincjonalnego marazmu. W takiej sytuacji wystarczy jeden moment, jakieś jedno pchnięcie, aby wyzwolić tę spętana energię i obrócić w stronę właściwą. Takim zdarzeniem przełomowym staje się zjawienie w murach gimnazjum przybysza z szerszego świata, który nada kierunek owym nurtującym podświadomie pragnieniom.

Podobnie ma się sprawa z ciągiem zdarzeń psychicznych, które składają się na obraz wewnętrznego dojrzewania bohatera powieści. Nie ma tu ani jednego faktu psychicznego, który by nie był poprzednio przygotowany. Jeśli Marcin Borowicz decyduje się na interwencję w sprawie Radka, którego nie zna właściwie, to fakt ten, tak na pierwsze wrażenie zaskakujący i niezrozumiały, w istocie przygotowany jest i uzasadniony niezwykle starannie szeregiem znamiennych obserwacji, które poczynił narrator już w poprzednich rozdziałach opowiadania. Borowicz przy wszystkich fatalnych skrętach ideowych jest w istocie naturą prostolinijną, prawą, wrażliwą i zdolną do przeżywania świata w formach bardziej subtelnych niż to zdarza się na ogół dorastającym chłopcom jemu rówieśnym. Ten cudowny, bo przecież zupełnie nieświadomy, spontaniczny i instynktowny odruch obdarowania matki świeżym naręczem kwitnących bzów, formy przeżywania stanów i wzruszeń religijnych, wrażliwość na cierpienie innych, ujawniona choćby w owym drgnieniu współczucia na widok łez zrozpaczonego kolegi — to są wszystko przesłanki motywujące zachowanie się dziwnego szóstoklasisty wobec tragedii nie znanego mu w istocie chłopca.

Nie będąc psychologią *par excellence* Żeromski nie dawał takich przenikliwych i precyzyjnych „przekrojów duszy”, jakie zdumiewają tak często w europejskiej powieści nowoczesnej. Toteż analiza ewolucji ideowej bohatera znakomitej skądinąd *Mogily* nie wypadła może aż tak przekonująco, jakby to sobie wymagający czytelnicy życzyli. Linie wewnętrznego rozwoju Maurycego Zycha płaczą się i gmatwają, momenty zwrotne i decydujące są zaledwie sygnalizowane i nie poparte właściwie wnikliwymi

analizami, rezygnacje ze stanowisk dotychczasowych odbywają się jak gdyby cichaczem i autor nie usiłuje nam pokazać, jak się to dzieje¹². Z temperamentu zmysłowca, z najgłębszych dyspozycji artystycznych liryk raczej niż obiektywista prozator, analizę psychologiczną, która wymaga stosunku beznamyślnie racjonalnego i poznawczego, zastępował Żeromski w całej swej twórczości liryczną spowiedzią i wyznaniem, retoryczną eksklamacją, obrazem lub sytuacją symboliczną. Tak też w *Mogile* ów proces dochodzenia do nowej, odkrytej prawdy nie został ukazany we wszystkich swych utajonych zawężeniach, w krętych i zawilych meandrach; przedstawione zostały tylko owe momenty zwrotne, wydarzenia o szczególnie silnym napięciu ideowym i emocjonalnym, które stanowią jakby kolejne, nawarstwiający się przesłanki wewnętrznego procesu uświadomienia. Wystarczy to jednak w zupełności, aby nadać owej historii wewnętrznej Zycha pozór faktu wiarygodnego. Wymowa zdarzeń jest dostatecznie silna i w swym wyrazie jednoznaczna, byśmy mogli je uznać za ogniwa motywacyjne wystarczające. Zresztą autor wcale nie ułatwia sobie zadania. Ewolucja bohatera dokonuje się wolno, poprzez liczne opory i zahamowania, odwroty i sprzeczności i wydaje się, że w tym jest prawda, w tym wewnętrznym rozdarciu i skomplikowaniu postaci. Ostatnia i decydująca scena rozpoznania i odnalezienia ojczyzny, pełna szczególnego napięcia uczuć, któremu towarzyszy jednocześnie wyjątkowo wyraźne widzenie rzeczy, budzi silne wrażenie i najzupełniej przekonuje swoim ideowym i psychologicznym prawdopodobieństwem.

Rzecz znamienna, Żeromski zdaje się być najlepszy w tym zakresie, najbardziej suwerenny myślowo nad wykreowaną przez siebie rzeczywistością powieściową w swoich literackich początkach. Nie wychodził wówczas poza obszar doświadczeń, osobiście doznanych; to dawało gwarancję prawdy, wynikała stąd pewna odczuwana dodatnio współmierność fikcji z czytelniczym odczuciem prawdopodobieństwa. Wyjście poza ów świat własny, najlepiej znany, w dalszej fazie twórczości, rozszerzyło oczywiście tematyczne obszary tego pisarstwa, ale ujawniło zarazem pewne rujnujące jego skłonności: niekontrolowaną rozmysłem żywiołowość i wynikającą z dominujących nad racjonalnymi składnikami osobowości czynników emocjonalnych, wzruszeniowych melodramatyczność wyobraźni pisarskiej. Nie tyle świadomie, ile z wewnętrznego impulsu, instynktownie Żeromski uciekać się będzie coraz częściej w prowadzeniu swych fabuł powieściowych do ujęć i chwytów jakby przejętych z literatury najwyraźniej popularnej, obliczonej na emocje, na łatwe, ale silne i gwałtowne wzruszenia, na sensacyjne niespodzianki, skręty i komplikacje w przebiegu rozwijających się burzliwie zdarzeń. Zauważono to już dawno, że „nie ma ani jednej po-

¹² Zwrócił na to uwagę H. Markiewicz w rozprawie *Opowiadania Żeromskiego*, [w:] *Prus i Żeromski*, wyd. 2, Warszawa 1964, s. 146 - 147.

wieści Żeromskiego, gdzie od początku do końca mielibyśmy pewność, że akcja logicznie i konsekwentnie idzie w jednym kierunku, że nie mogłoby nic stać się inaczej, niż się stało”¹³.

Dzieje Ewy Pobratyńskiej to splot zdarzeń i nie przewidzianych obrotów rzeczy najzupełniej irracjonalnych. Autor każe jej wciąż zmieniać miejsce pobytu, gdy w istocie jak Solwejga powinna czekać cierpliwie na swojego Peer Gynta. Osoby zdążające ku sobie ustawicznie się w tych rozjazdach rozmiągają z fatalnymi dla siebie następstwami. Decydujące dla losów bohaterki postanowienia nie wynikają z żadnej nieodwołalnej konieczności, lecz z chimerycznych kaprysów albo po prostu z nie poczuwającej się zupełnie do obowiązku tłumaczenia się z czegokolwiek wobec czytelników arbitralnej samowoli pisarza. Tropami nękaną obsesją zmiany miejsca bohaterki podążają Pochroń i Płaza-Spławski, dwaj demoniczni prześladowcy, zjawiający się w dowolnym momencie, nie wiadomo na zasadzie jakich znaków orientacyjnych. Nad losami ludzkimi zdaje się wszechwładnie panować ślepy traf, tajemniczy przypadek, niepojęty w swym pełnym nieumotywowaniu zbieg okoliczności. To on, kaprys losu, fatalizm zdarzeń czy przeznaczeń zdaje się być głównym impresariem i manipulatorem wszelkiego dziania się i stawania w świecie powieści Żeromskiego. Nieoczekiwana zupełnie śmierć Heleny de With i samobójstwo Tatiany przychodzą w samą porę, bo mężczy bohaterowie Żeromskiego przeznaczeni są do innych celów. Na rozdrożach ich życia, jakby w „punktach zerowych”, pojawia się „szczęśliwy traf”, który przełamuje inercję zamierającej energii fabularnej i popycha martwiejące opowiadanie. Rafał spotykający Krzysztofa w przydrożnej karczmie to jakby cudowne ocalenie w sytuacji „na dnie”. Opowiadanie Ojrzyńskiego wyrwa obu młodzieńców z obozwładniającej gnuśności bezczynnego życia w Stokłosach i popycha ku nowym czynom i przygodom. Śmierć Ogrodyńca w najwłaściwszym momencie, po uprzednim załatwieniu wszystkich formalności spadkowych na rzecz Ryszarda, pozwoli podjąć reformatorowi dzieło spełnień jego wzniosłej chimery.

Krytyczny i wymagający czytelnik nie może oprzeć się wrażeniu, że tu „los” jest już nazbyt i przesadnie usłużny, i wobec bohaterów opowiadania, i wobec samego autora. Zabrnawszy w sytuację, z którą nie wiadomo, co począć, autor ratuje się przypadkiem, katastrofą, gwałtownym zgonem. Te tragiczne zdarzenia stają się w istocie swoistym „wyzwoleniem” i dla postaci powieściowych, i dla pisarza, rozwiązują im po prostu ręce. „Uwolnwszy się” od swoich kochanek bohaterowie mogą już postępować bez przeszkód drogą powołania, a pisarz podjąć opowiadanie jakby na nowo, od początku. To wszystko nazbyt jest łatwe i przypomina konwencje literatury popularnej, sensacyjnej, brukowej, w której nie chodzi o psychologiczne prawdopodobieństwo ani logikę zdarzeń, lecz pobudzanie wy-

¹³ I. Drozdowicz-Jurgielewiczowa, op. cit., s. 35.

obraźni, ekscytację zmysłową, ustawiczne podniecanie sfery emocjonalnej czytelników ciągłą presją niespodzianek. Odpowiadało to zapewne melodramatycznej osobowości Żeromskiego i upraszczało wysoce procedurę pisania, ale czy zdawał sobie sprawę z gatunkowej jakości tych ułatwień, spychających jego pisarstwo w stronę marginesów literatury — tego niepodobna rozstrzygnąć.

Są jednakże sygnały zdające się wskazywać na poszukiwanie jakichś pogłębionych przesłanek motywacyjnych dla tych niebywałych nieraz awantur. Są nimi owe doświadczenia wewnętrzne, refleksje narratora i autorefleksje bohaterów na temat demonizmu natury ludzkiej, mrocznych impulsów pożądania, ciemnych namiętności i pasji, w których kryją się najgłębsze motywacje zachowań. A obok tylekroć przywoływane przez pisarza „mściwe nieszczęście”, tajemnicza, niedocieczona moc, „co z cienia tajnych praw na złe człowieczeństwa rządzi”, bóstwo, które bywa zawsze zazdrosne, równowaga dobra i zła, tak iż każde szczęście okupione być musi nieodwołalnym cierpieniem, niepojęta i przerażająca logika przeznaczenia, tak przemożna, iż wydaje się nieraz bohaterom Żeromskiego, „że ktoś bezdennie a podstępnie mądry zważył wszystko na niewidzialnej a subtelnej szali — wszystko, nie zapominając o niczym”¹⁴. Rzecz jednak w tym, że są to momentalne, krótkie zapisy stanów świadomości, jakby iluminacje wewnętrzne, które pojawiają się na chwilę, aby natychmiast zgasnąć. Momenta ich trwania nie jest więc zdolna wytworzyć z dostateczną siłą sugestii oddziałującego poczucia obecności owego osaczającego nas ze wszystkich stron wymiaru w głąb, w którym mają kryć się jakoby najistotniejsze przesłanki losu, i zrównoważyć owej sensacyjnej materii zdarzeń, których agresywna zmysłowość, działająca silnie na wyobraźnię i emocje, narzuca się w czytelniczym odbiorze jako jedyna rzeczywistość realna. Rzeczywistość budząca wątpliwości swoją nazbyt dowolną nieobliczalnością sił, stanowiących o jej istnieniu i wiecznym ruchu.

Żeromski posługuje się w swym pisarstwie wszystkimi możliwymi formami motywacji kompozycyjnej, od najprostszych aż po artystycznie wyrafinowane. Prostota formy nie oznacza przy tym jakiegś niewydolności pisarskiej czy nieoszlifowanej literacko surowości wyrazu, jest zabiegiem świadomym i w pełni funkcjonalnym ze względu na charakter i koncepcję opowiadania. Bezpretensjonalnej prostocie jego pierwszej powieści odpowiada najprostszy rodzaj przyczynowego wiązania ogniów nurtu fabularnego — motywacja chronologiczna, organizująca fakty psychiczne i zdarzenia zewnętrzne w porządku konsekwentnym, zgodnym z naturalnym następstwem czasu. Narrator opowiada jakby podążając za biegnącym życiem i notując zmieniające się układy rzeczy. Wyrazem dążenia do „naturalności” opowiadania jest też zdecydowana preferencja motywacji eksplikowanej, tłumaczącej związku przyczynowo-skutkowe na zasadzie

¹⁴ *Uroda życia*, s. 192.

oczywistości i bezpośredniego wskazania. Przesłanki faktów psychicznych i dziejących się zdarzeń są wyraźnie nazwane, narrator unika sytuacji niejasnych, nic nie jest pozostawione w stanie znaczeniowego niedookreślenia i wątpliwości. Nadaje to utworowi charakter kompozycji niezwykle czytelnej, starannie przemyślanej, której wewnętrzna konsekwencja gwarantuje całości to ogólne wrażenie uderzającej prawdy ludzi i zdarzeń, jakie autor w swym opowiadaniu przedstawił.

Do bardziej wyszukanych form organizowania związków przyczynowo-skutkowych należą natomiast inwersje czasowe oraz formy motywacyjne obliczone na domysł. Na zasadzie inwersji, ustawicznej przemienności planów czasowych, skomponowana jest *Silaczka*. Naturalne następstwo zdarzeń ulega odwróceniu, skutki wyprzedzają przyczyny, „teraźniejszość” cofa się jak gdyby w „minione”, w retrospekcyjnych nawrotach, w prehistorię zdarzenia. W *Urodzie życia* zagadkowe stany przerażeń, które nawiedzają Tatianę, znajdują wytłumaczenie dopiero w końcowej niemal fazie tragicznego romansu. Wyjątkowo atrakcyjnym pisarsko rodzajem motywacji kompozycyjnej jest implikacja, gdy przyczyny i związki faktów nie są wprost i wyraźnie nazwane i odsłonięte, lecz zaledwie sugerowane przez sytuacyjny układ zdarzeń fabularnych, jakby *implicite* w tym układzie zawarte. Po mistrzowsku posłużył się Żeromski tą formą w *Pavoncellu* dla nadania całej historii pewnego posmaku dwuznaczności, który staje się z kolei źródłem swoistej pikanterii pomysłu. Ciągi przyczynowo-skutkowe zorganizowane są w tym opowiadaniu na zasadzie jednocześnie inwersji i implikacji. Przyczyny świadomie odsłaniane są z opóźnieniem i puszczone na domysł, tak iż owa dziwna historia osnuta jest do końca jak gdyby aurą niedopowiedzenia i intrygującej tajemniczości.

Najbardziej interesująco przedstawia się w kompozycji utworów Żeromskiego sprawa ich ukształtowania dynamicznego. Dynamika jest tą wartością kompozycyjną, która zapewnia dziełu zdolność impresywną, silnego już od pierwszej chwili pobudzenia wyobraźni, związania uwagi czytelnika i utrzymywania jej w ciągłym stanie aktywności aż do finału. Wartość tę uzyskuje się zwykle w utworze fabularnym przez przeciwdziałanie automatyzmowi wyobraźni odbiorczej, która raz pobudzona i niejako zorientowana wykazuje odruchową skłonność do bezwładnego poruszania się w określonym kierunku najprostszą drogą. Ponieważ nic tak rujnująco nie działa na szkodę dzieła, jak usłużne spełnianie pożądań i oczekiwań czytelników, przeto pisarz, przeciwdziałając owemu niebezpieczeństwu przedwczesnego zaspokojenia ciekawości, a w konsekwencji przedwczesnego wyczerpania się energii impresywnej utworu, stara się oczekiwaniom owym zaprzeczać, mnożyć przeszkody, niespodzianki, wikłać i plątać wątki, stwarzać sytuacje nie dające się przewidzieć. Powstają w wyniku zabiegów pisarskich tego rodzaju silne napięcia, wywołujące w odbiorcach naturalny stan uczuciowego zaaferowania i niepokoju: co będzie dalej?

Zastosowanie takich lub innych sposobów dynamizacji zależne jest od

materii fabularnej utworu, nie każdy temat stwarza możliwości aktywizacji wszystkich potencjalnych w tym zakresie środków wyrazu. Przykładem takiego właśnie naturalnego ograniczenia możliwości pisarskich może być pierwsza powieść Żeromskiego. Można by właściwie powiedzieć, że jest to powieść bez akcji, jeśli przez akcję rozumieć będziemy silnie wyeksponowany ciąg zdarzeń zmierzający do określonego celu i napotykający po drodze gwałtowne przeciwdziałanie. W *Szyfowych pracach* akcji tak rozumianej oczywiście nie ma, jest życie przedstawione w swoim nurcie powolnym i leniwym i raczej bierne poddawanie się biegowi rzeczy, istniejącym okolicznościom. Nawet w swym wątku ideowym powieść nie ukazuje jakichś ostrych i gwałtownych konfrontacji postaw i dążeń. Marcinek bez większego oporu staje się marionetką w ręku inspektora, potem ukazany jest w skrócie, w jednej scenie jakby moment przełomu, a w ostatniej fazie opowiadania dokonany przez ów przełom jakościowo różny i odmienny stan rzeczy.

Nie ma więc w tej powieści owego dziania się, ruchu, frapujących wydarzeń i ścierania się antytetycznych dążeń, co przyjmuje się zazwyczaj za synonim fabularnej atrakcyjności; po prostu temat utworu nie stwarzał możliwości zastosowania form dynamizacji tego rodzaju. Tragizm i dramatyczność rzeczywistości świata przedstawionego wyrażają się bowiem w *Szyfowych pracach* w stale obecnym odczuciu przytłaczającego ciężaru, zamknięcia i zamurowania jak gdyby w ciasnym, głuchym więzieniu, z którego nie ma ucieczki. Ideowe fermenty, bunty, protesty mogą się tu formować tylko tajemnie, toczyć podziemnymi nurtami życia. Uniemożliwiało to rzecz jasna zorganizowanie materii fabularnej utworu według wzorów konwencjonalnej beletrystyki powieściowej.

Niemniej problem dynamizacji jako zadanie do rozwiązania przecież pozostał. Nie mogąc przedstawić tematu w formie frapującej intrygi autor zastosował sposoby inne, zastępcze, ale artystycznie skuteczne, funkcjonalne. Rzeczywistość powieściowa *Szyfowych prac* przypomina jak gdyby swoją kompozycją mechanizm fotoplastikonu, w którym ustawiczna wymiennność i różnorodność przesuwających się obrazów przeciwdziałała skutecznie niebezpieczeństwu nudy. Każdy rozdział przynosi jakąś zmianę przestrzeni, prezentuje nowe postaci, stwarza nowe między nimi stosunki, ujawnia zmiany zachodzące w świadomości bohaterów. Przy całej statyce owego życia klerykowskiego, które jakby wyrokiem losu skazane jest na martwość bierności, sprawia to wrażenie mimo wszystko ruchu, jakby dziania się czegoś. Wyobraźnia czytelnika, pobudzana ustawicznie zmiennością treści, chroniona jest skutecznie przed niebezpieczeństwem osłabienia aktywności odbiorczej.

Zadowalającą dynamikę zapewnia również powieści kształtowanie kompozycji wielu rozdziałów na wzór noweli czy scenki dramatycznej, przy czym autor posługuje się na przemian przygotowaniem prostym lub przygotowaniem odwrotnym. Przykładem pierwszego może być incydent

ucznia Waleckiego, zwanego Figą, z wulgarnym rusyfikatorem i paszkwi-
lantem Kostriułewem. Przygotowanie proste polega na sugerowaniu czegoś,
o czym nic na razie nie wiemy, w jakiej formie i przebiegu owo coś się
ujawni, lecz czego możemy się spodziewać i co istotnie nastąpi. Stwarza to
swoiste napięcie oczekiwania. Rozdział zaczyna się od prezentacji owego
Figi, chłopca zdolnego, inteligentnego, lecz zarazem śmiałego i hardego,
a przy tym wychowanego przez matkę w duchu fanatycznego katolicyzmu.
Toteż gdy w klasie pojawia się ów Kostriułew, znany ze swych szczegól-
nych upodobań w drobiazgowym rozbieraniu „faktów skandalicznych”
z historii Polski, zwłaszcza zaś Kościoła polskiego, sytuacja nabrzmiewa
momentalnie przecuciem, że coś się stanie. Istotnie wybuch awantura,
w którą wciągnięta zostaje mimowolnie cała społeczność klasy, posądzona
o zbiorowy spisek i bunt. Natychmiastowe śledztwo, wdrożone przez in-
spektora, stwarza sytuację napięcia, którą rozładowuje sprytnie i dyplo-
matyczne oświadczenie Borowicza. Egzekucja Figi i powrót nieszczęsnego
„buntownika” do klasy to jak gdyby zamknięcie i rozwiązanie opowia-
dania.

Przykładem przygotowania odwrotnego może być piętnasty rozdział
powieści, decydujący dla dalszych losów klerykowskiej młodzieży. Forma
kompozycyjna przygotowania odwrotnego polega na sugerowaniu czegoś,
co się nie spełni. Dla czytelnika staje się więc zaskoczeniem, elementem
szczególnego napięcia, jak każdy fakt sprzeczny z oczekiwaniem. Rozdział
zaczyna się od prezentacji Bernarda Zygiera, młodzieńca intrygującego
klerykowską społeczność gimnazjalną swoją zagadkową przeszłością, aktu-
alną osobliwą pozycją i wyróżniającą go wiedzą, ale jakby niezbyt dla
autochtonów sympatycznego ze względu na rzekomo ironiczną jego i „ary-
stokratyczną” wyniosłość. Lekcja języka polskiego, prowadzona przez bo-
jaźliwego Sztettera, zapowiada się jako jeszcze jedna godzina potwornej
nudy; uczniowie „wzięli się do odrabiania lekcji, do jawnego czytania
rzeczy postronnych albo wprost układali się jako tako do drzemki”¹⁵. Przy-
gotowani przez narratora na jeszcze jedną relację o ogłupiającym działaniu
rosyjskiej szkoły stajemy się wbrew sugestiom wstępnej części rozdziału
świadkami najpiękniejszej i kluczowej ideowo sceny opowiadania.

Dodatkowym środkiem dynamizacji toku narracyjnego są znamienne
zakończenia, jakimi zamyka autor w tej powieści niemal każdy rozdział.
Nacechowane z reguły silnym ładunkiem emocjonalnego wzruszenia, często
bardzo liryczne, odsłaniające na moment najintymniejsze drgnienia dusz
młodzieńczych, sygnalizują często jakiś nowy stan rzeczy, jakąś przemianę,
nowy etap w wewnętrznych dziejach jednostek lub zbiorowości, a więc
pełnią istotną funkcję kompozycyjną jako znaki, punktujące jak gdyby
kolejne stadia z wolna się rozwijającej fabuły opowiadania.

¹⁵ *Szyzyfowe prace*, s. 205.

Często spotykanym sposobem dynamizacji bywa też kontrast. Żeromski jest poetą kontrastów i dysonansów. Z kontrastowo zestawionych postaci, obrazów, sytuacji wywiązują się olbrzymie nieraz napięcia, jak choćby w owym młodzieńczym *Zapomnieniu*, w którym początek opowiadania, nastrajający na ton pogodnej opowieści myśliwskiej, i jego treść właściwa, owa bezgraniczna niedola ludzi i zwierząt, „ich piekielna, niezgruntowana, okrutna, nieświadoma boleść”, działają przede wszystkim siłą przeciwnieństw. Kontrast jako czynnik działający na zasadzie barw skrajnych albo światła i cieni, wyostrzający wszystkie blaski, różnice i niuanse kolorystyczne obrazu, może obejmować postaci, przestrzenie, poglądy, uczucia i idee.

W *Przedwiośni* dynamika kompozycji powieściowej oparta jest w rozległym zakresie na zestawieniu idei, sytuacji i osób w kontrastujące opozycje: Polska „szklanych domów” i Polska zgniłych ruder i przerażających dzielnic biedoty; Nawłóć i Chłodek, Gajowiec i Lulek, Baryka i Barwicki, dwaj pretendenci do łask miłosnych pani Laury, Laura, Karolina i Wanda, każda w innym typie kobiecym. W *Popiołach* Cedro i Olbromski, dwie kontrastujące osobowości w planie zarówno somatycznym, jak i psychicznym; wątpliwość fizyczna, delikatność i duchowa subtelność Krzysztofa są stałą odwrotnością tężyzny cielesnej, witalizmu i surowej brutalności Rafała. W *Dziejach grzechu* taką opozycję dwu kontrastujących i wykluczających się wartości stanowią Szczerbic i Pochroń, egzaltowany esteta o nienaganych manierach, dla którego Ewa jest przedmiotem idealnych uniesień, graniczących z uwielbieniem, i brutalny bandyta o skłonnościach sadystycznych, widzący w Ewie wyłącznie obiekt pożądania. Kontrasty tego rodzaju, wytwarzając silną polaryzację napięć o przeciwnych wartościach, stają się istotnym i ważnym elementem dynamizacji.

Swoistą odmianą tego gatunku opozycji jest tak zwany efekt obcości, konwencja fabularna stanowiąca element stały w literaturze popularnej, ale aktywna również na gruncie literatury wysoko artystycznej w swej rzecz jasna wersji uszlachetnionej. Efekt obcości osiągnąć jest przez opozycję: „swoje” i „obce”, „swoje” to codzienność, powszedniość, to co bliskie, znane, oswojone niejako — „obce” to świat istniejący poza ową oswojoną i wiadomą rzeczywistością, to co dalekie, swoiście egzotyczne, nieznanne, a przez to tajemnicze, niepokojące i podniecająco ciekawe. Żeromski posługuje się tym efektem¹⁶ ustawiając najczęściej swoich romansowych partnerów w pozycji społecznej kontrastowo nierównej: Rafał Olbromski i jego wysoko utytułowane kochanki, hrabia Szczerbic i Ewa, kasjerka z kawiarni; hrabia Bodzanta, ekscentryczny, wielkopański filantrop, i znowu Ewa, w swoim dalszym wcieleniu prowincjonalnej kurtyzany, obciążonej dodatkowo ciężarem podwójnego zabójstwa; uboga szlachcianka Salomea i dzie-

¹⁶ B. Parulska, op. cit.

dzic książęcego imienia Odrowążów; madame Szczebieniew z najwyższych kręgów arystokracji rosyjskiej i Ernesto Fosca z podrzędnego kinematografu rzymskiego.

Efekt obcości osiągnięty też być może przez translokację zdarzeń w niezwykle, fascynujące otoczenie. Scenerię miłości Rafała i Heleny stanowią góry, doliny, lasy i łąki, pełne różnobarwnych kwiatów, szum spienionych potoków, błękit nieba, huk wichrów halnych, przechodzących daleko szczytami gór i lasów i w kontraście do tej romantycznej baśni przygoda z panią Ołowską tuż przed ryzykiem niebezpiecznej przeprawy, to ekscytujące zestawienie owej godziny upojenia z groźnym niewiadomym, które czai się w mrokach tajemniczej, milczącej nocy zimowej, stojącej za oknami tego „domu szczęścia”.

Stałym środkiem uatrakcyjniania motywów i wątków romansowych bywa też emocjonujące odbiorców przenoszenie wydarzeń w nieznaną, egzotyczne przestrzenie. Cudowna, liryczna sekwencja jak sen krótkiego zachwycenia się Krzysztofa Cedry zjawiskową doncellą przewija się nie tylko w niezwyklej scenerii obcego miasta, ale i w wyjątkowych okolicznościach pełnego okrucieństwa i grozy szturmu Saragossy. Stacjami kolejnych upadków i katastrof Ewy stają się Nicea, Monte Carlo, Korsyka, Lozanna, Paryż; zaułkami Paryża błądzą Rozłucki i Tatiana i po bulwarach tej samej metropolii ściga swoją „Vivianę” zropaczony Nienaski. Tłem miłości rzymskich kochanków z *Pavoncella* są ogrody i pustkowia Kampanii Rzymskiej, noce italskie, arcydzieła rzymskich muzeów i dyskretny muzyczny wtór Beethovenowskiej *Appassionaty*.

Jan Baudouin de Courtenay protestował ongiś w broszurce publicystycznej *Krzewiciele zdżiczenia* przeciw przerostowi „scen krwiożerczych i lubieżnych w twórczości literackiej, a w *Popiołach* Żeromskiego w szczególności”, Karol Irzykowski nazwał go „genialnym sadystą” i „wirtuozem okrucieństwa”. Jakie pobudki mogły pchnąć wyobraźnię pisarza w stronę owych dewiacji, może być jedynie sprawą domysłów. Wrodzone wyczulenie na wszelkie przejawy bytu, w których ujawnia się jego demoniczność i groza, sugestie naturalistów, u których manifestacje bestialstwa i zbrodniczych popędów nie należały bynajmniej do tematów wyjątkowych, lecz wręcz przeciwnie? ¹⁷ Zapewne jedno i drugie. Ale zapuszczając się w owe mroczne zaułki fenomenologii życia Żeromski mógł też traktować owe „sceny krwiożercze”, które wywołały tak gwałtowny sprzeciw znakomitego uczonego, jako wypróbowane środki ekscytacji czytelnika. Literatura od wieków żywi się okrucieństwem i sadyzmem, i to nie tylko na poziomie brukowym i wulgarnym. Kompozycyjny zaś walor scen i sytuacji tego rodzaju jest oczywisty; bez względu na etyczne i estetyczne zastrzeżenia mogą być one niezawodnym i skutecznym sposobem dynamizacji toku narracyjnego. Żeromski chętnie i niejednokrotnie sięga po motywy tego gatunku, które

¹⁷ Zob. A. Hutnikiewicz, *Żeromski i naturalizm*, jw., s. 94 i n.

niezależnie od intencji i świadomości autora przesuwają jego twórczość w stronę literatury sensacyjnej. Są to wszystkie owe zbrodnie i gesty okrucieństwa, instynktowne i z premedytacją, pościgi prześladowców, kończące się dopadnięciem ofiary i bestialskim gwałtem, ponure perwersje erotyzmu, w które obfitują nie tylko osławione pod tym względem dzieje upadku Ewy Pobratyńskiej, ale i inne dzieła Żeromskiego. Całą rozległą dziedzinę zjawisk tego typu otwierają historyczne kompozycje pisarza, zwłaszcza w scenach batalistycznych, komponowanych jak gdyby w opozycji do Sienkiewiczowskich i Kossakowskich mitów. Niezależnie od ideowych obciążeń semantycznych jako ogniwa w rozwoju ciągów fabularnych pełnią one, i to bardzo skutecznie, funkcję dynamizacyjną.

Rzecz znamienna, przyrost środków tego rodzaju, w swej rudymen tarnej istocie raczej niewybrednych, zbliżających niebezpiecznie pisarstwo Żeromskiego do granic literatury kryminalno-brukowej, wzmagają się i intensyfikują wyraźnie w późniejszej, a więc zdawałoby się najdojrzałszej fazie jego pisarskiej działalności. Żeromski młody ujawnia w tym zakresie o wiele większą ostrożność i powściągliwość, trzyma swą wyobraźnię w granicach realistycznego prawdopodobieństwa i mimetyzmu, normą, zakreślającą nieprzekraczalne szranki potencjalnym wybujałościom pisarskiej pomysłowości, staje się tu norma życia, powszedniość, zwyczajność, w których ekscytujące niespodzianki i chwile grozy nie zdarzają się nigdy. Dopiero później przychodzi to rozszalenie się i puszczenie samopas wyobraźni: napady zbójckie, zabójstwa i sceny mordu, ucieczki i więzienia, zamachy samobójcze bez skutku i uwieńczone „powodzeniem”, niepokojące przecucia, sekretne niedopowiedzenia, znaki ostrzegawcze i wstrząsające finały — całe instrumentarium i rekwizytornia wypróbowanych chwytów wytrącania czytelników z ospałego bezwładu i napinania nerwów aż do granic wytrzymałości.

Autor nie szczędzi adresatom swego pisarstwa widoków, przed którymi wstrzymują się najbardziej śmiałe, wyrafinowane horrory. Śmierć samobójczą Heleny poprzedza opis zbiorowego gwałtu, któremu przygląda się na domiar rzeczy związany, bezsilny Rafał. Straszliwy poród Ewy kończy się niesamowitą sceną utopienia noworodka w kloace, zabójstwo Szczerbica wśród perwersyjnych ekscesów seksualnych ucieczką w nieznaną i bez celu i nocną orgią z przygodnymi partnerami. Tragiczny finał Nienaskiego, rozpaczliwe wysiłki wyrwania się z pułapki i z objęć śmierci wykrwawiającej się i ginącej bez ratunku ofiary, opisane zostały z przerażającym weryzmem. Bliska o krok od samobójczej śmierci, jakby odrzucona od niej jakimś podświadomym instynktem, Ewa trafia nocą do przygodnej knajpy, by stać się aniołem opiekuńczym dla niedoszłego jak ona samobójcy Jaśniacha. Tatiana zabija siebie strzałem w brzuch uśmiercając zarazem dziecko, które nosi w swym łonie. Na domiar rzeczy dzieje się to w owej altanie, od której już przy pierwszym spotkaniu odepchnęło Rozluckiego niepojęte przecucie. Autor rozstawia w rozmaitych punktach narracji znamienne

znaki ostrzegawcze, zapowiadające jak gdyby przyszły tragizm wydarzeń. W erotycznym czworokacie nawłockim zacieśnia się coraz mocniej krąg niepokojących podejrzeń, nie przynosząc jednak przed czasem ostatecznego rozstrzygnięcia i trzymając czytelników w stanie nieświadomości aż do chwili tragicznego zdarzenia; toteż działa ono jak przysłowiowy grom z jasnego nieba. Przebiegi wątków romansowych układają się wyraźnie wedle stereotypów literatury popularnej. Im więcej przeszkód staje na drodze do połączenia się kochanków, tym większa radość i szczęście z ich przewyciężenia, a dla odbiorcy intensyfikacja doświadczanych emocji. Schemat miłości Xeni i Ryszarda przedstawia się jako krzywa wzlotów i upadków, biorąca początek w pewnym punkcie wysokim miłosnego olśnienia. Moment oczarowania trwa jednakże krótko, następują intrygi, nieporozumienia, rozłąka, którym kres kładą bezpośrednio wyjaśnienia kochanków. Ale perypetie bohaterów nie kończą się bynajmniej, ponieważ nieporozumienia lubią powracać, i to ze zdwojoną energią, sprowadzając na partnerów romansu nowe „piekła”, „otchłanie”, „dna” rozpacz i udręk¹⁸.

Dla dynamizacji dzieł literackich znaczenie wyjątkowo doniosłe mają zakończenia. Nadaje im tę wyjątkowość ich finalna pozycja, jest to ostatnie słowo zamykające świat, z którym czytelnik obcował, w którym istniał niejako przeżywając wszystkie jego dramatyczne z reguły perypetie. Zeromski ma doskonałe i nieomyłne wycucie szczególnej pozycji i znaczenia tego elementu w kompozycji dzieła. Komponuje je zazwyczaj w ten sposób, jakby przedstawiony przebieg wydarzeń miał stanowić podstawę sceny finalnej. Jest ona niemal z reguły najsilniejszym, najmocniej działającym ideowo i emocjonalnie zwieńczeniem całej konstrukcji. Autor porzuca czytelnika w uczuciowym i moralnym rozdarciu i niepokoju wobec możliwości rozwiązań alternatywnych lub jeszcze gorszej niepewności i nieokreślonych domniemań.

Ostatnia scena *Promienia* jest zapowiedzią walki między Raduskim a Olśnionym, lecz kto zwycięży? *Szyzyfowe prace* kończą się uściskiem dłoni dwóch protagonistów opowiadania w najtragiczniejszym momencie, gdy potęga obcego najazdu uświadamia się nam wyjątkowo dramatycznie w losach Biruty i w pierwszej klęsce życiowej Borowicza. Zmagania o ocalenie tych dusz młodych i o zwycięstwo ostateczne idei trwać będą dalej, lecz jaki będzie ich wynik? Czy zerwanie z Joasią stanie się istotnie pomocne w realizacji powołania? *Dzieje grzechu* kończą się śmiercią bohaterki w objęciach Niepołomskiego. Spełnia się w tym momencie coś niezwykle pięknego, poprzez wszystkie klęski, upadki i zbrukania duszy ludzkiej doniesione zostało do tego kresu w stanie nietkniętym czyste, wierne, nie-

¹⁸ B. Parulska, op. cit., s. 41. Zob. też artykuł tejże autorki: *Schematy literatury popularnej w prozie narracyjnej Stefana Zeromskiego*, [w:] „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Filologia Polska XXIV. Nauki Humanistyczno-Społeczne” 1985, z. 149, s. 113 - 130.

zniszczalne uczucie, lecz jakąż ceną straszliwą opłacony został ten końcowy triumf piękna i dobra? Z niektórych zakończeń Żeromskiego emanować się zdaje jakieś świadome, nielitościwe okrucieństwo. „Głucha”, „ślepa”, „nieopisana” rozpacz Salomei po odjeździe księcia zostawia czytelnika w bolesnym i bezradnym stanie rozdarcia: co stanie się teraz z tą dziewczyną, której wszystko zostało odebrane? *Walka z szatanem* kończy się rozwiązaniem wszystkich wątków trylogii, ideowych i psychologicznych. Umierają co prawda Ryszard, Xenia i pan Granowski, ale spadek po Ogrodyńcu i dzieło spadkobiercy wydają się zabezpieczone. Zakończenie tego rodzaju, w jakimś sensie optymistyczne, nie leżało jednakże w charakterze osobowości emocjonalnej Żeromskiego. Dopisuje więc rozdzierającą i okrutną scenę finalną. Jest czas wojny. Doraźny trybunał, sklecony naprędce, wydaje wyrok śmierci. Pan Granowski zawisnął na szubienicy. Małeńka, pięcioletnia Zosia-sierotka, którą, starszy pan zaopiekował się w ostatnich tygodniach swego życia, w naiwnej, dziecięcej nieświadomości położenia usiłuje najpierw rozmawiać z wiszącym „dziadkiem”, gdy nagle, wewnętrznie zjeżona instynktownym wyczuciem i odruchem małego zwierzątka, pchnięta niezrozumiałym dla niej przerażeniem biegnie przez puste, bezbrzeżne, jesienne pola w obłądnym lęku. Nic się w istocie nie skończyło, triumf szatana zdaje się być wieczny.

Stosunek Żeromskiego do spraw kompozycji i jego wydolność pisarska w tym zakresie są więc jakby ambiwalentne. Żeromski jest najmocniejszy i najbardziej sprawny autorsko wobec tych aspektów ukształtowania kompozycyjnego, o których decydowała przede wszystkim sfera emocjonalna jego twórczej osobowości. Potrafił zaciekawiać, tworzyć napięcia, trzymać odbiorcę aż do końca w stanie uczuciowego zaangażowania. Jest to pisarz, który umie robić ze współczującym czytelnikiem wszystko, co zechce, panuje nad nim suwerennie. Najślabszy jest natomiast tam, gdzie do głosu dochodzi czy powinno dojść *ratio*, gdzie walor ostateczny pisarskiego sukcesu zależy od kontrolującej czynności intelektu, który waży, dokonuje wyborów, organizuje wedle nieugiętych dyrektyw logicznego myślenia, tropi i likwiduje w załączku wszystkie w tym zakresie potknięcia, miejsca wątpliwe i niepewne.

Rozdział VI

FORMY PODAWCZE

Świat przedstawiony realizuje się i ujawnia poprzez trzy podstawowe formy podawcze: narrację, opis i wypowiedzenie. Wypowiedzenie, w postaci dialogu lub monologu, dominuje w dramacie i w poezji lirycznej, narracja i opis w epice poetyckiej i prozatorskiej. Żeromski był przede wszystkim prozaotorem, nowelistą i powieściopisarzem, uprawiał zatem gatunki implikujące istnienie pośrednika między odbiorcą a fikcyjną rzeczywistością świata przedstawionego. Jest to założenie konstytutywne wszelkiej wypowiedzi epickiej; pośredniość jako cecha wyróżniająca od prezencyjności i bezpośredniości dramatu. „Pośredniość zakłada pośrednika, narrator jest więc dla epiki strukturalną koniecznością. Stanowi niejako aprioryczną kategorię kantowską, w której ramach musi pozostawać każda narracja”¹. Stopnie jego ujawniania się i obecności mogą być różne, ale pozostaje on zawsze „integralną częścią poetyckiego świata”². Nasuwa się zatem kolejne zagadnienie do rozpatrzenia: kim jest narrator Żeromskiego i jak się w tym dziele opowiada?

Wspomniano tu już poprzednio, że młodzieńcze *Dzienniki*, prowadzone wytrwale na przestrzeni dziewięciu bez mała lat, stanowiły dla Żeromskiego jakby szkołę pisarstwa, na nich się wprawiał przede wszystkim w przyszłym zawodzie. Z dzienników też, jak przypuszczać wolno, przejął on i na grunt samoistnej twórczości pisarskiej *sensu stricto* przetransponował pewną, sobie tylko właściwą formę narracji, która w jego wczesnych opowiadaniach wyraźnie i zdecydowanie przeważa, choć występuje w rozmaitych, uszczegółowionych modyfikacjach. Formę tę stanowi relacja w pierwszej osobie, włożona w usta postaci ani z wyglądu, ani z imienia i nazwiska nie określonej, która jednak należy do owego świata przedstawionego, pilnie go obserwuje, przeżywa, ocenia i wyniki swoich obserwacji i odczuć

¹ M. Jasińska-Wojtkowska, *Narrator w powieści*, [w:] *Problemy teorii literatury*, Wrocław 1967, s. 270.

² M. Żmigrodzka, *Problem narratora w teorii powieści XIX i XX wieku*, „Pamiętnik Literacki” 1963, z. 2, s. 431.

do wiadomości podaje. Można nawet na podstawie pewnych sygnałów, tu i ówdzie w różnych miejscach opowiadania rozproszonych, a także po szczególnych znamionach stylu owej narracji wywnioskować coś niecoś o przynależności środowiskowej owej osoby i o przypuszczalnej profesji, a jednocześnie wytworzyć sobie ponadto dość konkretne i zindywidualizowane wyobrażenie psychicznego profilu i charakteru owego stale obecnego na każdym miejscu obserwatora i opowiadacza. Jest to ktoś jeszcze bardzo młody i związany ze środowiskiem studenterii. Osobliwości języka, typ porównań i skojarzeń zdają się też suponować ponadto, że ów narrator musiał mieć chyba kiedyś coś wspólnego z fizjologią i medycyną. Ten ktoś jest zarazem wyposażony w bardzo czujnie i silnie reagującą uczuciową wrażliwość. Kocha piękno natury i piękno sztuki. Nie potrafi być obojętny wobec cierpienia i nie bardzo jest właściwie przystosowany wewnątrz do bezwzględnych praw życia.

Niemą świadek tragedii, jaka rozegrała się w ubogim domostwie owego pana Ignacego z *Ananke*, którego opuściły żona i dzieci, ponieważ zaparł się sam siebie i zdradził, nie jest zdolny wygnać z pamięci widma „tej znędziałej kobiety idącej w świat bezmierny...”³. Nie potrafi zapomnieć ani o nieszczęściu Obali, ani o tragedii wron-matek, którym zabijają pisklęta. Jego mózg i jego nerwy będą rozsnuwać na tysiączne włókienka każdy fakt, mówiący mu o okrucieństwie życia. Z kultury i wykształcenia należy zapewne do tej sfery, którą się zalicza do rzędu uprzywilejowanych, jej świat pojęć i jej sposób myślenia jest zapewne również i jego światem, ale dzieli go zarazem od niej wyraźny i zdecydowany dystans krytyczny. Najbardziej jednak charakterystycznym przymiotem owej osoby jest dość osobliwy styl i ton wypowiedzania się o otaczającej ją rzeczywistości. Jest to specyficzna tonacja ironiczno-drwiąca, ów szczególny gatunek śmiechu, który najdoskonalej prosperuje na studenckich czwartakach i na uczniowskich stancjach, drwiący na pozór ze wszystkiego, a w istocie będący osobliwą, znamioną formą ukrywania i maskowania wzruszeń, wstydliwym osłanianiem naturalnych odruchów wrażliwości jakby w obawie, że mogą być wykpione, wyśmiane. A więc pozowanie na męskość, szorstkość i nieledwie cynizm, gdy się ma naturę kobieco miękką i gotową zawsze współbrzmieć najgłębiej z czyjś cierpieniem i rozpaczą. Śmiech ten dotyczy nie tylko osób i wydarzeń postronnych, ale jako autoironia zwraca się zarazem przeciw owej osobie, która taką maskę i postawę wybrała.

Współczesna Żeromskiemu proza realistyczna nie znalazła na ogół tego typu narracji. Jej humor był pogodny i wybaczący, ironia chłodna i dotkliwa. Żeromski, wychowany i literacko wykształcony na przykładzie twórczości wielkich realistów i naturalistów, z wzorów ich pisarstwa również korzystał. Ale ów grymas drwiący, pod którym odczuwało się bolesny skurcz serca i subtelną wrażliwość nerwów, był jego niepodzielnie własnym

³ S. Żeromski, *Ananke*, [w:] *Opowiadania. Utwory powieściowe*, s. 53.

wynalazkiem. Wynalazkiem pisarskim w istocie znakomitym. W narrację pozornie obiektywną wprowadzał ton podmiotowy, który zmylić czytelnika rzecz jasna nie mógł. Był swoistym tłumikiem, nałożonym na uczucie sympatii, i czuło się wyraźnie, że narrator pokpiwając solidaryzuje się w istocie najgłębiej z przedmiotem szydlerczego grymasu. W takim trybie przewrotnie aprobatywnym opowiedziane na przykład zostały w *Szyzyfowych pracach* dzieje „Kawki”-Paluszkiewicza i jego edukacyjnych zabiegów wokół Jędrka Radka. Narracja w każdym z takich przypadków wypromieniowuje jakby z siebie jakieś ciepło szczególne, przybliża ów świat osób, które pisarz powołał swoim słowem do bytu, wiąże z nimi odbiorców tajemnymi a mocnymi węzłami solidarności.

Obok tego typu narracji, w którym osoba narratora, w zasadzie anonimowego, jest jednakowoż w pewnym sensie określona przez jej przynależność do łatwo się dającej wyznaczyć sfery środowiskowej świata przedstawionego i przez właściwy jej sposób opowiadania, występuje też niekiedy narracja również w pierwszej osobie, w której jednak opowiadający określony jest wyraźnie z imienia, nazwiska i profesji. *Mogła* ma podtytuł „listy i notatki”. Są to istotnie listy, jakie odbywający jednoroczną służbę wojskową Maurycy Zych pisuje do swego przyjaciela w Warszawie. Gdy po aresztowaniu adresata korespondencja się urwała, autor listów zaczyna prowadzić coś w rodzaju *journal intime*, w którym w formie luźnych i swobodnych notatek zapisuje ważniejsze fakty swego żołnierskiego żywota, ciekawsze obserwacje, refleksje, wreszcie najbardziej intymne wydarzenia własnego życia wewnętrznego, jakby wyniki niesłychanie czujnego samobadania. Forma listów i notatek intymnych, pisanych dla własnego użytku i z wewnętrznej potrzeby, posiada swe ograniczenia, ale jednocześnie otwiera pewne szczególne możliwości. Jej ograniczenia polegają na tym, że dość istotnie zwięża ona pole widzenia. Atrybut wszechwiedzy, będący przywilejem narratora anonimowego, snującego opowieść w trzeciej osobie i z pozycji jakby absolutnie nadrzędnej i dominującej nad światem, który jest przedmiotem opowiadania, nie może przysługiwać narratorowi, który będąc jedną z wyraźnie określonych środowiskowo osób świata przedstawionego, może widzieć i wiedzieć tyle tylko, ile w danych warunkach widzieć i wiedzieć może.

Z drugiej jednakże strony zbiór notatek i listów nie stanowi zasadniczo żadnej zamierzonej i wyważonej dokładnie kompozycji pisarskiej, a więc i autor posługujący się ową luźną formą wyznań i komunikatów epistolarnych korzysta z przywileju nieograniczonej niemal swobody. Jest ona nawet wręcz nieodzowna i niejako przez gatunek narracji założona jako element iluzji autentystycznej. Jako forma otwarta zmieścić w sobie może właściwie wszystko. Nadawca listu, a w jeszcze wyższym stopniu prowadzący dziennik, może się zatrzymać na każdym fakcie i na każdym szczególe, jaki choć na chwilę zdolny jest go zająć, bo nie musi się kępować żadnym względem na kogoś. Pisarzowi, który pragnął się spowiadać i wy-

razać sam siebie, forma tego rodzaju otwierała możliwości wręcz wyjątkowe. W „listach i notatkach” Maurycego Zycha wszystkie te udogodnienia, jakie im dawało założenie formalne, w pełni zostały wyzyskane. Utwór przynosi obraz świata o niezwykle bogatej zawartości poznawczej, bo Zych pisze niemal o wszystkim. Jest rzeczowy, konkretny, spostrzegawczy, jednakowo uczulony na najrozmaitsze aspekty rzeczywistości, rejestrujący dokładnie najróżniejsze drobiazgi toczącego się wokoło życia, ale zarazem jest liryczny, subiektywny i osobisty, przy czym ten subiektywizm wyraża się w nastrojach diametralnie różnych — od ironii, drwiny aż po tragizm, patos i wzniosłość. Ma się czasem wrażenie, jakby owa *Mogiła* była dalszym ciągiem *Dzienników*, tyle że na wyższym jakby poziomie zorganizowania literackiego.

Mogiła jest swoistym wyjątkiem w dorobku pisarskim Żeromskiego dzięki totalnemu zastosowaniu owej epistolarnej i diarycznej formy podawczej jako jedynej zasady konstrukcyjnej opowiadania. Autor nie powtórzył już nigdy owej formy w tak rozległym zakresie, ale sięgał po nią niekiedy na ograniczonej przestrzeni jako jeden z trybów procedury narracyjnej, organizującej ewokację świata przedstawionego. Tak właśnie w *Ludziach bezdomnych* na przestrzeni jednej szóstej tekstu powieści wprowadzono ów dzienniczek Joasi, osiągając tym zabiegiem odmianę i wzbogacenie perspektywy narracyjnej. Postać istniejąca dotychczas jakby w cieniu protagonisty Judyma przez dopuszczenie jej do głosu w tak rozległej skali mogła nie tylko odsonić się od strony dla jej partnera niedostępnej, ale wnieść zarazem do obrazu świata powieściowego nowe i wzbogacające go treści. Wprowadzenie języka tej postaci przybliżyło jednocześnie opowiadanie jakby do modelu powieści polifonicznej⁴. Swoistą wstawkę epistolarną w obiektywistycznym toku narracji *Dziejów grzechu* stanowi wymiana listów między Łukaszem a Ewą, umożliwiającą głębsze, a zarazem zobiektywizowane wniknięcie w wewnętrzne stany uczuciowe korespondujących ze sobą osób.

Wymiana ról narracyjnych z wyraźną jednocześnie tendencją do auktorialności opowiadania ujawnia się też dość często poprzez samą stylistykę wypowiedzenia. W trzecioosobową, obiektywistyczną formę wdzierają się nagle jakby jakiś głos obcy, którego nie można utożsamić ani z głosem narratora wszechwiedzącego, ani z głosem którejkolwiek postaci. Jest to ktoś „z zewnątrz” czy też ktoś stojący jak gdyby „ponad” rzeczywistością przedstawioną. Tak jest w *Silaczu*, gdzie obok narratora obiektywnego istnieje jakby w formie szcątkowej narrator drugi, a właściwie już nie tyle narrator, bo nie on prezentuje zdarzenia, ile komentator owych wydarzeń. Jego obecność obok narratora pierwszego ujawnia się bądź w strukturach wtrąconych tego typu jak: „Doktor Paweł w epoce jego życia, o któ-

⁴ Zob. interesujące uwagi na ten temat w studium M. Głowińskiego *Powieść młodopolska*, Wrocław 1969, s. 135 i n.

rej mówię”, „wszystko to, rozumie się, nie prowadziło”, „szczerze mówiąc — trudno nawet wymagać”, bądź w obszerniejszych wstawkach, przybierających charakter jakby swoistych komentarzy, interpretujących przedstawione zdarzenia czy stany rzeczy z pozycji kogoś, kto istnieje jak gdyby nad narratorem, zajmuje nadrzędne w stosunku do niego stanowisko. Można by je nazwać „stanowiskiem na zewnątrz”, stanowiskiem autorskim. Jest to wyraźny ślad organicznych, choć utajonych, związków wczesnej zwłaszcza beletrystyki Żeromskiego z formą literacką dzienników. W miarę oddalania się od daty debiutu forma ta będzie coraz bardziej zanikać, choć nigdy nie zaniknie zupełnie. I tak na przykład w *Syzyfowych pracach* obok anonimowego narratora obiektywnego pojawia się niekiedy jeszcze ktoś inny, ktoś, kto w środowisku, o którym snuje się opowieść, niegdyś najwyraźniej przebywał, znał je doskonale, świetnie się orientował w jego towarzyskich sekretach, i obecnie, z dystansu czasu, jaki go oddziela od tamtych spraw, może sobie pozwolić na nieszkodliwe już dla nikogo niedyskrecje. To ujawnianie siebie wyraża się w najrozmaitszy sposób. A więc w zwrotach szczególnych, w stronę czytelnika adresowanych, w których narrator dekonspiruje się przez zastosowanie do siebie formy pierwszej osoby liczby mnogiej czasownika i zaimka osobowego: „Dziś, gdy z pana Sztettera nie ma w gimnazjum klerykowskim ani dymu, ani popiołu, możemy na tym miejscu, nie szkodząc mu, wspomnieć o drugiej jego tajemnicy”⁵.

Dekonspiracja autora odbywa się też niekiedy za sprawą pewnych szczególnych struktur składniowych, przeważnie wykrzyknikowych, wskazujących jakby wyraźnie na auktorialność wypowiedzi, gdyż opowiadający pragnąc ujawnić sugestywnie swój emocjonalny i osobisty stosunek do przedmiotu czyni to poprzez gest rzekomej bezradności pisarskiej: „Były wówczas księżycowe noce... Ale po cóż silić się na opis nocy tych w tamtym kraju! Jakież język zdoła je wysłowić...”⁶.

Ta forma jakby „nadrzędnej świadomości”, organizującej świat przedstawiony, powracać będzie w twórczości Żeromskiego raz po raz aż do końca działalności pisarskiej. Pojawia się więc na przykład już w pierwszych zdaniach *Nawracania Judasza*:

Osobistość, której dnie i uczynki mają być w tym piśmie uwydatnione, a życiorys przytoczony, nosi imię Ryszard, nazwisko — Nienaski. Rodzina tych mianowicie Nienaskich (bo są, jakoby, i inni) pochodzi z Litwy, a rodowód swój wyprowadza, jak to zwykle w tamtych stronach bywa, z jakowychś gedyminowskich kniaziów [...] Gdy Ryś Nienaski z jednego krańca Warszawy na wyszlizganych podszwach niby na nartach gnał w drugi koniec [...] jakże to czarownie uśmiechały się doń kwitnące czereśnie, gdy je w przelocie mijał, przechylone na parkany Powiśla! Ubogie i czcze pisarskie słowo nie jest w stanie wyrazić tego uśmiechu.⁷

⁵ *Syzyfowe prace*, s. 110.

⁶ *Ibid.*, s. 126.

⁷ *Nawracanie Judasza*, s. 5, 11.

Auktorialność narracji skraca tu dystans między „nadawcą a odbiorcą”, ujawnia czującą osobowość konkretnego, realnego, osobowego sprawcy opowiadania i użycza czytelnikowi coś z owego ciepła sympatii, jaką ma opowiadający dla osób i rzeczy tego świata, który sam wykreował. Kiedy indziej, jak w tym osławionym przypisku z *Przedwiośnia*, jaskrawa, ostentacyjna dekonspiracja autora staje się wyrazem pasji, zniecierpliwienia i nie dającego się już ukryć sprzeciwu wobec pruderyjnych jakoby konwenansów literatury.

Z innych form dekonspiracji autora, jakie się u Żeromskiego spotyka, należałoby wymienić zabieg formalny, który można by nazwać „przesunięciem perspektywy”. Opowiadanie rozwijające się dotychczas na poziomie bądź to postaci powieściowej, bądź narratora przynależnego w pewnym sensie do świata rzeczywistości przedstawionej, przesuwają się niepostrzeżenie na płaszczyznę świadomości i wiedzy przerastającej poziom i zakres ich orientacji. Problematyka przedmiotowa *Syzyfowych prac* skłaniała niekiedy Żeromskiego do wychodzenia jak gdyby poza krąg świata przedstawionego i uwydatniania istoty rzeczy poprzez znamienne zestawienia porównujące. Na pewnej przestrzeni tekstu urywało się jak gdyby epickie opowiadanie przechodząc w informację najwyraźniej autorską, odwołującą się do zasobów doświadczeń i wiedzy pisarza. Charakteryzując programy nauczania, obowiązujące w owoczesnej szkole rosyjskiej, dla uwydatnienia ich wadliwości i dydaktycznego absurdu, porównuje je autor w krótkiej wstawce informacyjnej z sytuacją w zakładach wychowawczych Szwajcarii. Na skutek błędnych założeń programowych nauczania w klerykowski gimnazjum Władzio Płoniewicz, podopieczny Radka, nic zgłębić nie umiał z elementarnej geografii, gdy tymczasem — informuje autor-narrator — „ośmioletnie dziecko szwajcarskie z największą łatwością przyswaja sobie wiadomości geograficzne, mówią mu one bowiem najprzód o placu szkolnym, o wiosce czy miasteczku rodzinnym, o wsi sąsiedniej, o drogach dalszych, rzeczce i łące, o wzgórzach bliskich, wreszcie o kantonie i kraju”⁸. Informacja tego rodzaju rozrastała się niekiedy do rozmiarów rozwiniętej relacji czy rzeczowego sprawozdania, wypełniającego nieraz wiele stron powieści. Taką właśnie rozbudowaną szeroko informacją jest na przykład cały niemal rozdział trzynasty tej powieści, w którym autor nie tyle w trybie epickim, ile raczej sprawozdawczo-rzeczowym i niejako wylizującym „nagie fakty” przedstawia wewnętrzne przedziały ideowe w środowisku młodzieży, jej typowe zajęcia, pasje, namiętności, lektury i ich skutki, niemal z reguły fatalne dla stanu uświadomienia narodowego. Forma podawcza rozwiniętej informacji, przynoszącej wiele elementów dla zrozumienia problematyki utworu wręcz nieodzownych, pomnaża bez wątpienia wydatnie wartość poznawczą opowiadania.

Ingerencja świadomości pisarskiej ujawnia się też niekiedy wtargnię-

⁸ *Syzyfowe prace*, s. 169.

ciem w tok narracji z pozycji bohatera prowadzącego treści przerastających możliwości poznawcze opowiadacza. Przykładem może tu być opisany przez Pigoń *casus* z Cedrą, oglądającym po raz pierwszy w życiu w czasie przemarszu do Hiszpanii bezmierny horyzont Oceanu Atlantyckiego. Opis z perspektywy postaci powieściowej przechodzi w pewnym miejscu w erudycyjny popis wiedzy przyrodniczej, której Krzysztofowi przypisać rzecz jasna niepodobna, „punkt widzenia [...] ze skały nadmorskiej zostaje [...] wyniesiony ponad przestrzeń, osadzony w sferze wszechwidzenia i wszechwiedzenia [...] Cedro musi oddać głos Żeromskiemu”⁹.

Nie te jednak formy podawcze, opisane tu na wybranych przykładach, stanowią główną perspektywę narracyjną prozy pisarskiej Żeromskiego. Przy wszystkich swych odchyleniach od klasycznego modelu dziewiętnastowiecznej beletrystyki powieściowej, wynikających z indywidualnych dyspozycji i znamion osobowości twórczej autora, dzieło Żeromskiego mieści się w zasadzie całe w rygorach owego klasycznego kanonu. Kanon ten zakładał jako formę dominującą trzecioosobową narrację obiektywną z pozycji anonimowego opowiadacza, obdarzonego na mocy milczącej umowy między autorem komunikatu a jego potencjalnymi odbiorcami przywilejem wszechwiedzy. Problem wiarygodności tej wszechwiedzy, podnoszony we współczesnej literaturze i historiografii literackiej, wydaje się w istocie pozorny i wydumany przez niektórych autorów, o konceptualistycznych skłonnościach i przez ich usłużnych adwokatów. Cała literatura jest umowną konwencją o fikcyjnym z samej swojej istoty charakterze i przyjąwszy świadomie i dobrowolnie warunki, jakie decydują w ogóle o istnieniu literatury, byłibyśmy śmiesznie naiwni, gdybyśmy pytali, skąd narrator to wie? Narracja obiektywistyczna, korzystająca z przywileju wszechwiedzy, nadanego jej przez umowę między czytelnikiem a twórcą, przedstawia więc dokładnie nie tylko zamkniętą w granicach dzieła rzeczywistość zdarzeń i ludzi w ich wyglądzie fizykalno-zmysłowym, ale również w niedosięglych dla bezpośredniej obserwacji procesach i przebiegach psychicznych. Jest to rzecz jasna narracja literacka, operująca swobodnie szeroką skalą środków pisarskiego wyrazu, przynosząca obrazy rzeczy i ludzi tak bogato niekiedy jakościowo uposażone, że rysują się one w wyobraźni czytelników jako twory niemal realne i zmysłowo dostępne.

Życie Cezarego Baryki upływało podczas bombardowania Baku w warunkach oplakanych. Po upadku pierwiastkowej rewolucji wypędzony został z izby, którą mu na mieszkanie przeznaczono. Dom, w którym niegdyś mieszkali rodzice, runął właśnie pod pociskami tureckimi. Jednak w piwnicy, która niegdyś zawierała skarb rodzicielski, Cezary znalazł kryjówkę dla siebie i kilku współtowarzyszów. Przeżywał czasy głodu. Chadzał półnagi, brudny, obrośnięty kłakami, nie wiedząc dnia ani godziny, kiedy go niewiadomy pocisk porazi. Od świtu do nocy tudzież w nocy czyhał

⁹ Zob. S. Pigoń, *Rzeźba wyrazu u Żeromskiego*, [w:] *Z ogniw życia i literatury*, Wrocław 1961, s. 371.

na sposobność zdobycia jakiego takiego pożywienia, sposobem niewiele mającym wspólnego z prawem normalnego kupna albo uspołecznioną wymianą jakichkolwiek walorów.¹⁰

Komunikat powieściowy o stanie spraw Cezarego w pewnej fazie jego żywota przekazany tu został w formie obiektywnej relacji narratora, który niby milczący i niewidzialny świadek towarzyszy losom i perypetiom bohatera, składając nam dokładne, bezstronne sprawozdanie z zaobserwowanych przez siebie zdarzeń. Jest to podstawowa struktura narracyjna sztuki pisarskiej Żeromskiego. Można by ją przyrównać do czujnego oka kamery, która obraca się na wszystkie strony, obiega jakby cały horyzont życia, wnika w jego różne, najtajniejsze przestrzenie i sekrety, wychwytyjąc wszystkie znaki, sygnały i symptomy rzeczywistości.

Ta podstawowa perspektywa narracyjna podlega jednak w różnych partiach i fragmentach utworów znamienym, interesującym i wzbogacającym widzenie świata modyfikacjom. Modyfikacje te polegają przeważnie na przesunięciu samej funkcji opowiadania z pozycji owego wszechwiedzącego narratora bądź na pozycję bohatera prowadzącego — co się zdarza najczęściej — bądź na pozycję któregoś z powieściowych postaci.

Miała znowu siedemnaście lat i tę radość w sercu, której już nie ma na ziemi. Wiedząc o tym doskonale, że to jest gruby i śmieszny nonsens, była znowu sobą, dawną, młodą dziewczyną. Kochała znowu Szymona Gajowca, sekretnie, skrycie, na śmierć — jak wtedy. Była znowu na śmierć kochana przez tego wysmukłego, pięknego młodzieńca — jak wtedy. Przeżywała swój niemy romans. Czeka znowu na jego wyznanie — długo, tęsknie. Ale on nie powiedział jej nigdy ani słowa. Ani jednego westchnienia, ani jednego półsłóweczka. Tylko w tych ciemnych, głębokich oczach jego płonie miłość. Och, nie romans, nie miłość, nie radosny konflikt, lecz posepna miłość. Jakże mógł ośmielić się na wyznanie miłosne jej, pannie z „domu” siedleckiego, on, biedny kancelista z „Pałaty”, a nadto pochodzący z chłopów podlaskich czy tam z jakiejś drobnej zagonowej szlachty? Toteż milczał, aż się domilczał! Przyjechał Seweryn i wydano ją bez gadania.¹¹

Na pozór jest to ten sam typ obiektywnej narracji w trzeciej osobie co poprzedni, ale tylko na pozór, bo w istocie płaszczyzna relacji uległa tu niepostrzeżenie subtelnemu przesunięciu. Nasycenie narracji wyrażeniami o silnym ładunku emocjonalnym, strukturami pytajnymi i wykrzyknikowymi, stosowanie powtórzeń, przejście bez żadnego sygnału z formy *imperfectum* w unaoczniające, sytuacyjne, dramatyczne *praesens* — wszystko to świadczy wyraźnie, że nie mamy tu do czynienia z obiektywną relacją kogoś z zewnątrz, lecz jak gdyby z widzeniem poprzez pryzmat świadomości osoby w relacjonowanych zdarzeniach najgłębiej i najosobiściej zaangażowanej. Procedurę tego rodzaju stosuje Żeromski na rozległych obszarach swego powieściopisarstwa udzielając raz po raz głosu swoim

¹⁰ *Przedwiośnie*, s. 44 - 45.

¹¹ *Ibid.*, s. 22.

Judymom, Olbromskim, Cedrom, Rozłuckim i Nienaskim i ukazując świat poprzez ich czujące widzenie.

Wiąże się z tym bardzo szeroki udział w kreowaniu rzeczywistości powieściowej mowy pozornie zależnej, która umożliwia niejako w sposób naturalny przesuwanie narracji z pozycji narratora obiektywnego na pozycję narratora personalnego.

Za czarnymi oknami rozległy się jakby strzały. To starzy parobcy witali młodego pana, co z wojska wrócił, strzelając mu dawnym obyczajem z batów na wiwat. Jaśnie Hircio niezbyt pewnymi rękoma uzgarniał w dolnych pieczarach kredensu naręcze butelek, tak bez wyboru i tak szczodrze, aż mu niektóre zgorszony Maciejunio musiał delikatnie wydzierać — bo jakże! — sam szczerozłoty tokaj jeszcze nieboszczyka jaśnie pana — fernalom! Hipolit wytrząsnął z pugilaresu wszystkie walory, jakie tam miał, i sapiąc, obładowany wyszedł na ganek.¹²

Obiektywny tok relacji przechodzi bezpośrednio, bez żadnego uprzedniego sygnału gramatycznego w subiektywną refleksję „zgorszzonego Maciejunia”, zmienia się więc momentalnie niejako punkt widzenia, tę samą rzecz w dwojakim oglądamy aspekcie, ten sam fakt poddawany jest odmiennej ocenie. Dzięki stosowaniu modyfikacji strukturalno-językowych tego właśnie rodzaju, częstej wymienności punktów widzenia, powstaje obraz rzeczywistości jakby wielowymiarowy; świat odbity w widzeniu różnych postaci, przefiltrowany jak gdyby przez czującą świadomość różnych ustrojów psychicznych odsłania pełniej swe bogactwo, swoją różnorodność i wieloznaczność, ponieważ te same fakty mogą mieć zupełnie inne znaczenie dla różnych osób. Inaczej osądza wydarzenia bakińskie zbuntowany Cezary, inaczej matka i ojciec. Zgoła odmienne widzenie spraw odradzającej się Polski reprezentują Gajowiec i Baryka. Inaczej przeżywa flirt z panną Karoliną płochy i lekkomyślny Czarus, inaczej traktuje tę miłośćkę nieszczęśliwa Karusia, inny i zgoła przerażający w swych następstwach sens nada tej przygodzie nieobliczalna w swych niesamowitych reakcjach trusiowata Wanda Okszyńska. Świat jest zawily, skomplikowany, wieloznaczny i dlatego w każdym, najdrobniejszym nawet i najniewinniejszym zdarzeniu mogą się zawierać załączki dramatu i tragicznych konfliktów.

Mowa pozornie zależna prowadzi nas do drugiej obok narracji podstawowej formy podawczej, do dialogu. Żeromski potrafił władać nią, jeśli rzecz jasna nie poniósł go nazbyt daleko temperament, rozpęd i rozmach pióra, bezbłędnie i po mistrzowsku. Spełnia ona przede wszystkim w stopniu nieomal doskonałym podstawowy postulat każdej prozy realistycznej — uzgodnienie charakteru językowego wypowiedzi ze stylistyką autentycznej, potocznej konwersacji. Indywidualizując wypowiedź językowo, Żeromski potrafi mocno osadzić każdy dialog w aktualnej, konkretnej sytuacji partnerów, która nadaje ton, barwę, reguluje tempo, rytm, strukturę

¹² Ibid., s. 116.

i kadencję zdań. Dialog nie rozwija się według apriorycznych założeń i sylogizmów, lecz przerzuca się z kwestii na kwestię, zbacza z głównego toru pod działaniem nieoczekiwanych skojarzeń, zmienia nastrój i ton, ilekroć dotyka jakichś szczególnie czułych i uwrażliwionych węzłów psychicznych. Doskonały realizm wyraża się wreszcie w umiejętnym dostosowaniu językowo-gramatycznej formy wypowiedzenia do jego treści i tonacji. W sytuacji potocznej, zwykłej wymiany zdań pojawiają się struktury „normalne”, zbudowane w myśl przyjętych norm językowych pospolitej konwersacji. W sytuacji szczególnego napięcia pasja i namiętność rozsadzają okrągłe i skończone okresy, a w ich miejsce pojawiają się konstrukcje zastępcze: równoważniki zdaniowe, układy eliptyczne, wykrzyknikowe, pojedyncze wyrazy. To doskonale zestrojone charakteru i struktury wypowiedzenia z sytuacją pozajęzykową świadczy o absolutnym panowaniu pisarza nad własnym warsztatem literackim.

Historia Marcinka Borowicza zaczyna się od ekspedycji chłopca do owej szkółki w Owczarach, w której państwo Borowiczowie spodziewają się zapewnić synowi zapas wiedzy wystarczający do zakwalifikowania chłopca w poczet gimnazjalistów klerykowskich. Dojeżdżając do celu mały bohater powieści z niepokojem i pełen najgorszych przeczuc zwraca się do matki:

— Co to jest, mamusiu? — zapytał z oczyma łez pełnymi.

Pani Borowiczowa uśmiechnęła się z przymusem i na pozór spokojnie odrzekła:

— To nic, kochanku... To Owczary.

— To już w tych Owczarach... szkoła?

— Tak, kochanku... Ale to nic. Przecież ty jesteś tęgi, rozumny, mądry chłopiec. Przecie ty kochasz swoją mamusię. Trzeba się uczyć, malutki, uczyć...

— Ale on tylko udaje... — rzekł ojciec udając również, że się zanosi od śmiechu. — Alboż to daleko do Wielkiejnocy? Złeci jak z bicia strzelili! Ani się obejrzyysz, aż tu zajeżdża wózek przed szkołę. Po kogoś przyjechał? — pytają Jędrka. — A po naszego panicza, po studenta — on powie. A w domu co mazurków, co babek, co placków z migdałami... powiadam ci... zatrzęsienie.¹³

Ten fragmencik konwersacyjny to prawdziwe arcydziełko realizmu powieściowego. Sytuacja psychiczno-uczuciowa partnerów dialogu uchwycona bezbłędnie. Nie tylko bohater główny opowiadania przerażony jest perspektywą czekającego go spotkania z czymś nieznanym, co go wprawia w popłoch, zamęt i w najwyższy niepokój, ale również rodzice. Wszyscy troje przeżywają nad wyraz ciężko zbliżające się nieuchronnie rozstanie. Autor doskonale uświadamia ową sytuację szczególną przez dokładne zapisanie pozasłownych elementów rozmowy. Aby podtrzymać ducha i odwagę w chłopcu i w sobie rodzice wyraźnie nadrabiają minami; pani Borowiczowa uśmiecha się „z przymusem”, pan Borowicz wręcz „udaje” niefrasobliwą wesołość. Oboje usiłują niejako pomniejszyć i zlekceważyć całe zdarzenie. Przeczuwając reakcję chłopca matka odwołuje się do jego ambicji, dzielności i — do uczucia względem siebie, ojciec usiłuje odciągnąć

¹³ *Szyzyfowe prace*, s. 7-8.

uwagę od sytuacji aktualnej przez przywoływanie uszczęśliwiających obrazów nieodległego już jakoby powrotu do rodzinnych Gawronek. Ten króciutki dialog wierniej i z większą prawdą oddaje istotę chwili i stan duchowy bohaterów zdarzenia niż jakakolwiek możliwa forma opisu.

Żeromski prezentuje się więc w dialogach jako realista *par excellence*, którego w najmniejszym szczególe nie zawodzi zmysł rzeczywistości. Każde wypowiedzenie nacechowane jest piętnem indywidualnym wypowiadającej się osoby, uwzględnia jej wiek, sytuację socjalną, poziom kultury osobistej, temperament, osobowość, stan psychiczny partnerów. Najmniejsza scenka miewa niekiedy u Żeromskiego owo znamię autentyczności, jakby podpatrzonego i podsłuchanego zdarzenia, jak w owym majstersztyku realizmu socjologicznego i psychologicznego, w pierwszej rozmowie owczarskiego prymusa Piotra Michcika z głęboko zażenowanym swą absolutną ignorancją w rzeczach rosyjskich Marcinkiem. Dumny prymus, podniecony swą wyższością nad płonącym z zawstydzienia przybyszem, traktuje go z lekka wzgardliwie i protekcyjnalnie, upajając się naiwnie swoją mądrością:

— Gramatyka, ta to trudna... uuch! Sprawiedliwie! *Imia szuszczestwitielnoje, imia priłagatielnoje, miestoimienije...* Cóż, nie rozumiesz, choćbym ci i powiedział...

Nagle podniósł głowę i patrząc na belki rzekł, nie wiedzieć do kogo, głośno, z uczuciem, a nawet jakby w uniesieniu:

— *Podleżaszczėje jest' tot przedmiot, a ktorom goworitsia w przedłożenii.*¹⁴

Świetnym przykładem uwarunkowania rozmowy poziomem inteligencji i kultury wypowiadającej się osoby może być relacja pani nauczycielowej Wiechowskiej ze spotkania Jaczmieniewa z owczarskimi chłopkami. Niecierpliwość męża, który wciąż jeszcze nic nie rozumie i rad by się dowiedzieć wreszcie, jaka była przyczyna tak niespodziewanej i nagłej zmiany w stanowisku zwierzchnika, poskramia pani Marcjanna dość prostacko i radykalnie:

— No, stul gębę, to ci rozpowiem po kolei, jak i co było. Powiedziała tak... Ażem ścierpła, jak zaczęła mleć tym pyskiem! Powiedziała tak: Dopraszam się łaski, wielmożny naczelniku, nie chcemy tego nauczyciela, co tu siedzi u nas we wsi. — On jej na to: Nie chcecie tego nauczyciela, a to dlaczego? — ona wtedy: Nie chcemy tego pana Wiechowskiego, bo źle uczy...¹⁵

Celność tej monologicznej relacji polega oczywiście nie tylko na doskonałym przystosowaniu formy językowej wypowiedzenia do poziomu kulturalnego wypowiadającej się osoby (wulgarność wysłowienia), ale również samej struktury syntaktycznej. Odpowiada ona mentalności osób mało inteligentnych, które niezdolne do abstrahowania od konkretnej sytuacji i przekazania czyjejś wypowiedzi własnymi słowami w formie mowy zależnej, przytaczają ową wypowiedź w jej dosłownym, realnym brzmieniu: „powiedziała tak”, a „on jej na to”.

¹⁴ Ibid., s. 19.

¹⁵ Ibid., s. 39.

Przykładem doskonałego osadzenia dialogu w psycho-socjalnej sytuacji partnerów może być króciutka wymiana zdań między „jaśnie paniczem” Hipolitem Wielosławskim a nawłockim „majordomusem” Maciejuniem. Hipolit wybiera się z Cezarym na przejażdżkę konną, ale mimochodem i od niechcienia, odruchowo jak gdyby rzuca w stronę kręcącego się starego sługi:

- A gdzie to panna Karolina? Jeszcze śpi? [...]
- Właśnie... jaśnie panienka jakoś nam dzisiaj niezdrowa.
- Leży?
- Uchowaj Boże! Nie obłożnie, ale nam jakoś niezdrowa.
- Rozumiem. A niechże wam będzie niezdrowa! No, Cezary — do koni! Idziesz ze mną?¹⁶

Świetne zindywidualizowanie tego dialogu polega na skontrastowaniu zdawkowo lekceważących odezwań Hipolita, który cały już zajęty planowaną wyprawą nie przywiązuje najmniejszej wagi do najświeższych, domowych informacji o chimerycznych kaprysach młodych panien, z czolobitnością Maciejunia i swoistą mentalnością odwiecznego weterana w służbie nawłockiego dominium Wielosławskich, który w swym wiernym przywiązaniu i absolutnym oddaniu skłonny jest każdą, choćby nawet przelotną niedyspozycję kogokolwiek z „jaśnie państwa” poczytywać za powszechną nieomal klęskę całej społeczności domowej. Różnica postaw i sytuacji społecznej wyraża się też w oryginalnej strukturze syntaktycznej: w krótkich, energicznych odezwaniami Hipolita i w owych „uchowaj Boże”, i owego „nam” Maciejunia: „jakoś nam dzisiaj niezdrowa”.

Po różnych „lekkomyślnościach” panny Xenii, które o tyle mąk i cierpień przyprawiły Ryszarda, zakochani spotykają się wreszcie. Dialog rozpoczyna się od zarysowania sytuacji i aktualnego stanu uczuć obojga. Dalszy przebieg rozmowy z doskonałym przedstawieniem jej pozasłownego kontekstu celnie wydobywa nie tylko stopień i napięcie miłosnego zauroczenia zakochanych, ale i różnice charakterów i temperamentów. Nienaski jest straszliwie poważny, zasadniczy i serio, Xenia wręcz przeciwnie, poddając się temu uczuciu, które zniewala ją swą siłą, nie może przecież oprzeć się tkwiącemu w niej diabełkowi wesołości, który niczego uszanować nie umie i chwytając natychmiast wszystkie bezwiedne śmieszności chwili, każda solenność tonu wywołuje w niej odruchy przekory i niestosownej w odczuciu partnera niepowagi.

Szczerze obojga stało się zupełnie. Radość zaćmiła rozum i zniweczyła wolę. Coś jej opowiadał urywanymi słowami o swych tęsknotach, o strasznych dniach, o przeklętych nocach w Paryżu, o wieczorach nad Sekwaną. Wszystko było jakieś literackie, pospolite, głupie, niemal śmieszne. Piekielna treść stała się czymś małym i znanym. Jednakże ona słuchała tych zwierzeń chciwie, łowiła szczegóły, zaglądała mu w oczy. Jej każde spojrzenie było dokonaniem. Na skutek ognia tych oczu coraz bardziej traciła panowanie nad sobą. Stawała się coraz łagodniejsza, cichsza, słabsza, wy-

¹⁶ *Przedwiośnie*, s. 129.

łęczniona i pełna wstydu. Dożył boskiej chwili, gdy jej ręce łagodnie i dobrotliwie osunęły się na jego ramiona, osaczyły szyję... Usta w zapomnieniu, z jękiem rozkoszy przywarły do jego ust.

— Xenia! — szeptał ze śmiechem radości, odsuwając ją od siebie.

Podniosła głowę ciężką i uśmiechnięte jej usta o coś niezrozumiałego pytały. Zasłoniła oczy dłonią i patrzyła na niego płonieniem oczu poprzez palce [...]

— Dlaczego? — zapytał — postępujesz tak lekkomyślnie?

— No, to już nie będę!

— A kiedy jesteś tak strasznie lekkomyślna!

— Będę już teraz ciężko myślała.

— To nie są żarty!

— Wiem, że to jest inkwizycja.

Ręce jej były pełne rozkoszy. Palce pelzały po jego rękę. Oczy jej płonęły od ognia, który wszystko w popiół przemieniał.

— Już mię pan znowu przestał lubić? — spytała, pochylając się ku niemu, ze smutkiem szczerym w tonie głosu, z kurczowym zaciśnięciem rąk. Wstał ze swego miejsca i odsunął się aż pod okno. Tam stał długo, patrząc na nią z daleka.

— Cóż znowu oznacza ta nielaska? Może przez to właśnie okno zamierza pan wyjechać do Ameryki?

— Nie ja będę tym, który panią popchnie w odmęt nieszczęścia! — zawołał z daleka.

— To dopiero pedant.

— Xenia!

— Ech! Obmierzły kaznodzieja. Co za styl!

— Moja miłość większa jest niż może być moja rozkosz, niż samo szczęście. Jedyna, najdroższa!

— To jest święta prawda, jak teraz widzę, którą mi tutaj wykladał jeden obwieś, że najlepsi, „porządni”, to są i najgorsi [...]¹⁷

Żeromski nie zawsze potrafił jednak utrzymać się w ramach owego poczucia realizmu, zapominał nieraz jak gdyby o kondycji wewnętrznej swoich postaci i towarzyszących ich rozmowom kontekstach sytuacyjnych. Partnerzy dialogu przyjmowali wówczas na siebie jakby jego myśli prywatne, zatracali swą zindywidualizowaną osobowość stając się mediami, poprzez które wyrażały się intelektualne pretensje autora lub buntujący się przeciw umiarowi stylistycznemu odruchowy, niekontrolowany impuls do „pięknego pisania”. Powstawały w takich momentach owe partie narracji, które Irzykowski nazywał „sfalszowaniem monologu wewnętrznego”, dialogi pełne niedobrych, afektowanych poetyzmów w raczej kiepskiej manierze oraz popisów taniej, banalnej erudycji, kolokwialnych dziwolągów i niezręczności. Takim fragmentem do gruntu sfalszowanym i rozmiijającym się z elementarnym poczuciem realizmu i naturalności jest pierwsza dłuższa rozmowa Ewy z Niepołomskim. „Rozmowa zasadnicza”, jakby ją określił Witkacy, w której Bóg, dusza, wiara i niewiara, dobro i zło stają się przedmiotem pierwszej, na pół jeszcze świadomej gry o zawładnięcie świadomością partnerki. Autor nie uwzględnia tu jednak zupełnie sytuacji towarzyszącej i oczywistych różnic w intelektualnym uposażeniu owych

¹⁷ *Zamięć*, s. 124 - 126.

dwojga, z których ona jest młodziutką dziewczyną o wykształceniu nie przekraczającym zapewne poziomu jakiejś pensji prywatnej dla ówczesnych dziewcząt, on wytrawnym dialektykiem, erudytą-antropologiem o pretensjach do naukowości. Nazwiska, aluzje, odwołania, obcojęzyczne cytaty, których autor nie szczędzi temu popisowi werbalistycznej pretensjonalności, mogły przyprowadzić każdą młodą dziewczynę w sytuacji Ewy o zawrót głowy albo o śmiertelne zdumienie, lecz nie zwracający uwagi na ewidentną nienaturalność tej szermierki słownej bezlitosny autor każe bohaterce dotrzymywać z determinacją placu piekielnie mądrym sofizmatom Niepołomskiego.

Wśród form podawczych, jakimi operuje Żeromski, zupełnie odrębną kategorię stanowią osławione i wielokroć krytykowane, ale i podziwiane przez niektórych jako rzekome dowody i świadectwo nowatorstwa literackiego dyskursy ideowe tego pisarza. Rozpisane na głosy i pozorujące formę rozmowy są w istocie wstawkami publicystycznymi, w których przekazuje się treści, poglądy i opinie inspirujące i animujące w danym momencie autora. W *Nawracaniu Judasza* będzie to „żeromska” wersja sorelizmu i jakieś odległe echa „machajszczyzny”, w *Przedwiośniu* dyskusje Cezarego z Lulkiem i Gajowcem i jego spór gwałtowny na komunistycznym zebraniu. Struktura wypowiedzi tego rodzaju polegała najczęściej, jak na przykład w trylogii, na powierzeniu kwestii głównej jednemu głosowi jakby prowadzącemu, wobec którego głosy partnerów spełniają jedynie funkcję werbalnych przerywników, rozbijających tekst wypowiedzenia na segmenty imitujące kształt dialogu. W *Przedwiośniu* role dyskutantów wyrównują się jak gdyby, a ich opozycyjne stanowiska nabierają rysów i znamion racji równorzędnych. Jednocześnie namiętność tonu, jaką nasycone zostały zwłaszcza repliki Cezarego, nadała owym dyskusjom pozór autentycznego, pełnego pasji sporu ideowego, w przeciwieństwie do rozwlekłych paryskich nudziarstw Nienaskiego, których naga, surowa publicystyczność nie została przesłonięta najlżejszym nawet przetworzeniem, przybliżającym owe dywagacje do kształtu żywej, quasi-rzeczywistej rozmowy.

Warsztat pisarski Żeromskiego odznacza się więc w świetle przywiezionych przykładów dużą swobodą aktywizowania najróżniejszych form wyrażenia literackiego w zależności od potrzeby w danym momencie. Wielość i różnorodność owych form, częsta i szybka ich wymiennność dawała efekt literacko ciekawy i skuteczny, przeciwdziałając umiejętnie tej monotonii wyrażenia, jaką sprowadziłoby nieuchronnie posługiwanie się wyłączne i konsekwentne formą ściśle obiektywnej, bezosobistej narracji.

Rozdział VII

JĘZYK I STYL

Już pierwsze opowiadania Żeromskiego zwróciły uwagę krytyki ówczesnej wyjątkową urodą stylu i języka tej prozy. Znamienną cechą realizmu, znajdującą potwierdzenie w praktyce literackiej wielkich prozaików europejskich XIX wieku, wydawała się tendencja do niwelowania granicy między konwencją stylistyczną, jaka w beletrystyce tamtego czasu obowiązywała, a potocznym językiem codzienności. Ambicją pisarza realisty czy naturalisty było przedstawić rzeczywistość bez upiększeń i bez retuszu. Służyć temu miał język, maksymalnie wyzbyty z cech literackości. Gwarancją ostatecznego w tym zakresie efektu miało być słownictwo pospolite, zwyczajne, składnia utrzymana w rygorach gramatycznej poprawności. Język tak absolutnie pozbawiony pretensji, podporządkowany wyłącznie sprawie ścisłego wyrażania i nazywania, stawał się nieomal niedostrzegalny, przeźroczysty i jakby programowo wyjałowiony z aktywnych estetycznie wartości, sprowadzony bez reszty do swej funkcji instrumentalnej. Oczywiście zdarzały się odstępstwa od tej reguły; do rozmiarów legendy urastały katusze i mozoły Flauberta, jednego z idoli Żeromskiego, ślęczącego całe dni nad jedną kartką papieru w poszukiwaniu jakiejś przeczuwanej, a nie dającej się odnaleźć kadencji zdania. Ale nawet owa *écriture artistique* była finezyjnie ukryta, utajona w na pozór naturalnej, zwyczajnej potoczności i trzeba było wyjątkowej wrażliwości i subtelności słuchu, aby ją dostrzec.

Na tle tej dość szeroko rozpowszechnionej konwencji stylistycznej język Żeromskiego zwracał od początku uwagę swą właśnie nie ukrytą, lecz narzucającą się siłą i osobliwością wyrazu jako coś niezwykłego, co przełamywało ustalone jakoby raz na zawsze wzorce literatury. Uderzał wyjątkowym bogactwem słownictwa, fenomenalną zdolnością znajdywania wyrazów jakby nieodwołalnie jedynych i w danym miejscu koniecznych. Była to zapewne sprawa przede wszystkim wrodzonego instynktu i intuicji językowej, organicznej niejako wrażliwości na brzmieniowe i znaczeniowe subtelności języka, ale ta dyspozycja wszczepiona jak gdyby przez naturę, wspierana była ustawicznie pogłębianą wiedzą językoznawczą.

Niesłychaną swą pamięć językową Żeromski całe życie zbogacał wertowaniem słowników, studiowaniem gwar, rozczytywaniem się w pracach językoznawczych. Końcowe rozdziały *Snobizmu i postępu*, przygodne artykuły w czasopismach „Język Polski” i „Poradnik Językowy” — wymownie świadczą i o tych studiach i o niezwykłym u beletrysty typie stosunku do języka: jest w tym pietyzm i zbożność naukowca-zbierracza. A zarazem jakaś miłośnicza pasja; ze *Słownikiem* Lindego, jak powiadają, nie rozstawał się nigdy, nawet w podróży. I w tym i w innych słownikach polskich rozczytywać się umiał godzinami jak w najciekawszej powieści. W swoich eskursach i polemikach, dotyczących języka, cytuje wszelkie istniejące słowniki polskie (także i wileński). A z własnej ogromnej pamięci wprowadza do swych utworów i takie wyrazy, których daremnie po słownikach szukać, nie ma ich w żadnym: są to zapewne wyrazy gwarowe z Kielecczyny, zapadłe niegdyś w pamięć dziecka i chłopięcia, lub z innych stron (jak z Podlasia), zasłyszane w młodzieńczej, guwernerskiej tułaczce po kraju.¹

Stanisław Pigoń na przykładzie dwu niewielkich fragmentów prozy, wziętych z *Popiołów* i *Przedwiośnia*², pokazał ogrom pracy pisarza nad językiem, jej stopniowe i kolejne fazy od zebrania zapasu leksykalnego, zapisania nasuwających mu się zwrotów, określeń, pomysłów frazeologicznych poprzez erudycyjne penetracje dziedzin z przedmiotem związanych, wielokrotne przeróbki, skreślenia, wersje tekstu aż po kształt i formę stylową ostateczną.

Język Żeromskiego jest więc zasadniczo typowym językiem prozy realistycznej, to znaczy językiem podporządkowanym swej funkcji podstawowej: wiernego, ścisłego odtwarzania i nazywania rzeczy. Jego swoista doskonałość polega na idealnej przyległości nazwy i określonego nazwą przedmiotu. Słowo dobrane starannie, jakby wyważone i we wszystkich swoich semantycznych odcieniach ustawione bezbłędnie i zestrojone harmonijnie z kontekstem. Jego narzucająca się odrębność i „żeromskość” ujawnia się w o wiele wyższym i silniejszym niż u innych „współzawodników” Żeromskiego wyczuciu potencjalnych możliwości ekspresyjnych języka i świadomym ich jak gdyby aktywizowaniu, odzyskiwaniu i wydobywaniu poprzez staranny wybór i poprzez dar szczególny odświeżania słów i struktur zbanalizowanych, wytartych.

Z konwencjonalizmem języka, a zwłaszcza literatury, która z naturalnego przeznaczenia staje się z upływem czasu składem i rupieciarnią wyświechtanych klisz stylistycznych i frazesów, prowadził Żeromski walkę nieustanną, jak mało kto potrafiąc „słowom wracać ich wygłos pierwszy”³. Sposoby owej regeneracji materiału językowego wydają się niekiedy na pozór niezwykle proste, rzecz w tym jednak, że nikt na nie przed Żeromskim nie wpadł. Jest to bardzo często zwykła wymiana jednego wyrażenia dość pospolitego i niejako automatycznie podsuwającego się pod pióro na

¹ S. Adamczewski, *Sztuka pisarska Żeromskiego*, Kraków 1949, s. 232.

² Zob. S. Pigoń, *Rzeźba wyrazu u Żeromskiego*, [w:] *Z ogniw życia i literatury*, Wrocław 1961, s. 353-395.

³ S. Adamczewski, op. cit., s. 224.

wyraz inny, semantycznie zbliżony, równie w istocie pospolity, ale w niebanalnym złożeniu nadający nieoczekiwanie całej strukturze charakter jakby wynalazku stylistycznego, opalizującego jakimś niezwykle znaczeniowym odcieniem. A więc dość pospolite „u progu śmierci” zastąpione zostanie „u drzwi śmierci”, ręce rozkochanego Szczerbica „przyczołgały się do rąk Ewy” zamiast przysunęły, zbliżyły, „brwi się zwozją”, nie marszczą, „kładli się w glinę” zamiast w grób czy w ziemię, kopiec Kościuszki w łańcuchu wzgórz „jak wzniosłe widmo wiecznie warujący”. We wszystkich tych przypadkach zwykle zastąpienie wyrazów daje w efekcie albo wyrazistsze widzenie rzeczy, albo podkreśla grozę sytuacji, daje jakby potężniejszy wymiar zjawisku lub zabarwia je jakimś bardziej intensywnym odcieniem emocjonalnym.

Stanisław Adamczewski, który dał jak dotychczas najgłębszą i najsubtelniejszą mikroanalizę stylistyki Żeromskiego, przytacza jeden z drobnych na pozór, lecz znaczących przykładów jego maestrii pisarskiej, który warto tu przepisać, tak jest wymowny i tak świetnie ilustruje istotę pracy Żeromskiego nad słowem. Przykład wzięty jest z ostatniego tomu trylogii i dotyczy starego Berta, gazeciarza florenckiego, który gdy modlił się żarliwie w najcięższych chwilach zniekania i umęczenia życiem, „wszystek zamieniał się w westchnienie, w jęk modlitewny i jako proch leżał u stopy Boga”.

Przez prostą zmianę — zauważa Adamczewski — zwykłej liczby mnogiej na pojedynczą odmlodził [Żeromski] zwrot pospolity, więcej — uczynił obraz ogromniejszym i plastyczniejszym: widzimy oczyma Berta ginącą gdzieś w mroku postać gigantyczną Przedwiecznego, postać tak olbrzymią, że rozmodlony robak ludzki leży cały u jednej tylko stopy bóstwa. Po takich właśnie «drobnostkach» pozna się w Żeromskim mistrza. A nawet — dodaje Adamczewski — jeśli tę niezwykłą formę spowodowała tu wyłącznie potrzeba rytmiczna zdania, tym więcej zdumiewa zasięg otrzymanego wyniku.⁴

Do częstych zabiegów słowotwórczych i odświeżających należą wyjątkowo znamienne dla stylistyki Żeromskiego słowne złożenia, zrosty, zestawienia jednorodnych wyrazów — przymiotnikowe: „głuchonocny” i „ciemnonocny”, noc „głuchosenna”, liście „sypko-” albo „suchoszelestne”, morze „zmiennobarwiste”, „gradonośne” chmury, i rzadsze, rzeczownikowe: „wielkogóry” i „wielkodrzewa”, „cudogłos” skrzypiec, „sennowładztwo” uśpionych przestrzeni wodnych. Wiele tych złożzeń, które w większych skupieniach, zwłaszcza w prozie rapsodycznej, nabierały znamion maniery, można by uznać za zdobycze stylistyczne udane, bo istotnie oddające jakąś cechę znamiennej danego zjawiska czy przedmiotu, ale zdarzały się też „wynalazki” wątpliwe, które Adamczewski słusznie określa jako „zlepociętkie i dziwaczne, przypominające twory językowe klasycystów-schyłkowców przedlistopadowego okresu”⁵: pieśń „wojnopamiętna”, szept „bia-

⁴ Ibid., s. 228.

⁵ Ibid., s. 219.

łowargi", „prędkosyty", a nawet okropne „jednomomentowy". I wreszcie owe zestawienia jednorodnych wyrazów, połączonych „kreską-łącznikiem" „znak-zwiastun", „gwar-chargot", „wieść-sprawa", „Świst-Poświst", „wstręt-przeczcucie", „słowa-tchnienia" i „słowa-pogłaskania".

Do szczególnych stylistycznych upodobań Żeromskiego należały wszelakiego typu zdrobnienia i zgrubienia. Jest w *Przedwiośniu* taki znamieny pod tym względem fragment, który warto przytoczyć, gdyż szczególnie wyraźnie ukazuje celowość i odsłania mechanizm tego typu słowotwórczych i stylistycznych zabiegów.

Obiady, kolacje, śniadania i podwieczorki trwały niemal przez cały dzień. Wstawano dosyć późno. Ale ledwie spożyto śniadanie i dano folgę dyskusji, która się wyłoniła z przygodnego tematu, już Maciejunio wchodzi cichcem ze swymi sprawami i stół, dopiero co sprzątnięty, zaściela czystym obrusem. Znaczyło to, że społeczność nawłocka zmierza ku obiadowi. [...] Obiad. — Czarna kawa z odrobinką pomarańczową tego wyspiarskiego Curaçao, papierosy... — Sprzątaj. — Towarzystwo zaczyna rozdzielać się, zmniejszać i zdążyć w kierunku poobiednich drzemek, aliści Maciejunio chrząka i poleca chłopcu nakryć stół. Kawa uńcia biała, herbata — słowem *five o'clock tea* z tymi chlebkami, żytnim i pszennym, z owym masełkiem nieopisanym a świeżym, z tymi ciasteczkami suchymi, których sława szeroko rozeszła się była poza granice państwa nawłockiego, a stanowiła niewątpliwą *spécialité de la maison*. Po kawce jakaś przejażdżka [...] albo trochę muzyki w salonie [...] I oto Maciejunio znów się krząta i pobrzękuje. Ma się ku kolacji. Maciejunio mruga i szepce ciekawym, wtajemnicza najcichszym szepciem księdza Anastazego: — baraninka — albo kureczątka-rożen. Po kolacji jakaś partia szachów z księdzem Anastazym, jakaś partyjka winta [...] godzina jedenasta, pół do dwunastej... Smutno byłoby iść spać bez jakiegoś wzmocnienia, bez leciutkiego, przedsennego posiłku. Maciejunio drepzcząc pośpiesznie przynosi domowe serki owcze, obce, ostre, zielone — jabłka nieopisanej dobroci, jesienne delikcje — jakieś tam malusieńkie kieliszeczki z czymś tam ciemnowiśniowym... Słowem, krótki i skromny „podkurek" przed śródnocnym pianiem koguta.⁶

Traktując towarzystwo nawłockie z lekkim przymrużeniem oka i z żartobliwym uśmieszkiem, ucieka się Żeromski do środków językowej ekspresji, służących zaakcentowaniu owej postawy drwiącego nieco, aczkolwiek niezbyt surowego i bezwzględniego ironisty. Aby oddać wiernie ów swoisty nastrój i tryb żywota, jakie w tej Nawłoci obowiązują, ucieka się do zdrobnień i spieszceń. Stają się one nie tylko elementem swoistego humoru, ale i demaskacji zarazem, odsłaniając jakby bezwiednie, pod maską pobłażliwego uśmiechu rozbajającą płyciutkość tego życia, oddanego tak wyłącznie nieomal rozkoszom gastronomicznej konsumpcji.

Ale owe spieszczenia i zdrobnienia nie zawsze służą uśmiewi pobłażliwej wyrozumiałości, niekiedy stają się wyrazem pogardy, wzgardliwego dystansu, obnażania postaw i zachowań wątpliwych. „Miłe ojczyście kretynię" — takim właśnie „spieszzeniem" określi Ewa ze „złośliwą sympatią czy z czułą jakąś pogardą" lichą figurę podstarzałego eleganta i wy-

⁶ *Przedwiośnie*, s. 159 - 160.

drwigrosza; natomiast redaktor gazety, „podstarzale, ślepnące, lysiejące” i „na poły bezzębe” indywiduum o pretensjach do romansowiczowskich przygód, prowadzi konwersację z piękną interesantką „wśród zgniłych uśmiezą t, pełnych obietnic, sięgających jak można najdalej”. Przełęcki z *Przepióreczki* w swej diatrybie przeciw owemu *amoroso*, kryjącemu się jakoby we wszystkich najbardziej nawet czystych i bezinteresownych poczynaniach społecznych kobiet, użyje podobnego potępiającego zdrobnienia: „wszędzie na dnie [...] przynajmniej chętki, zachcianki, marzenia”. Jerzy Paszek w swej „paraleli stylistycznej” *Popiołów, Paluby i Próchna* przytacza cały rejestr zdrobnień na *-ina* i na *-isko*: „człowieczyna”, „człeczyna”, „psina”, „dziewczynina”, „dziadowina”, „spodniczyna”, „czapczyna”, „wioszczyna” i „matczyko”, „psisko”, „nożyska”, wyczuwając w nich sugestię emotywną, wyraz współczucia i litości dla przedstawionego świata ludzi i zwierząt⁷. Adamczewski zwracał uwagę na „rozwielenienie się”, w pewnych okresach przechodzące w manierę, w stylistyce Żeromskiego form zgrubiałych na *-isko*, w rodzaju: „wiatrowiska”, „koliska”, „żarowiska”, „otchliska”, „ściekowiska”; niekiedy dzwacznych jak „narodzisko” (od naród), „stoliczysko” (od stołu), świadczących nie zawsze o smaku, lecz raczej o niedostatecznie kontrolowanej skłonności do językowych manieryzmów.

Zgodnie z zasadą realistycznej obiektywizacji język Żeromskiego jest instrumentem wyrazu i przekazu o bogatych, różnorodnych zasobach, zakresach, rejestrach, wysokościach i tonach. Gdy wymaga tego przedmiot, wchłania najróżniejsze idiomy języków środowiskowych. W *Szyfowych pracach* na przykład szkoła, i to szkoła rosyjska, wieś jako bezpośrednie zaplecze i sąsiedztwo gubernialnej mieściny, narzuciły konieczność wzbogacenia języka podstawowego o struktury szczególne, nieodzowne dla pogłębienia realizmu środowiskowego powieści. A więc żargon uczniowski, występujący nie tylko w partiach dialogowych, ale w wyższym jeszcze stopniu nasycający narrację. Opowiadający identyfikuje się jak gdyby w tych fragmentach powieści, w których mowa o szkole, z opisywanym środowiskiem i zaczyna patrzeć na nie jego oczyma, określać i nazywać jego językiem. Ta wymiennosc stylu staje się skutecznym i dodatkowym czynnikiem wzmacniającym realizm opowiadania, przybliżającym ów świat niemal na odległość bezpośredniego dotknięcia. A więc każdy osobnik, przynależny do tej ekskluzywnej społeczności gimnazjalnej, nosi obowiązkowo przypisaną mu nazwę albo przezwisko: „wstępniacy” i „pierwszacy”, „Figa”, „Pytia”, „Pieprzoad”, „Balfegor”, „Spinoza” — i przedstawiciele niezbyt wielkim darzonego szacunkiem ciała pedagogicznego: „Klej”, „Kałmuk”, „Kłapouch”, „Perispomenon”, „Grajcarek”. „Wstępniacy” i „pierwszacy” to idealny dla starszyny szkolnej, dla gimnazjalnych „frantów”

⁷ Zob. J. Paszek, „Popioły” a „Paluba” i „Próchno”. *Paralela stylistyczna*, [w:] Stefan Żeromski. *W pięćdziesiąt rocznicę śmierci*, Warszawa 1977, s. 235-236.

z klas wyższych obiekt nabierania i naciągania. Tym to właśnie nieświadomym i naiwnym „frajerom” puszcza się w nos „finfy”, wysyła po „Verstand” do miejscowego pigularza. Oni też najczęściej za niepowodzenia w nauce zbierają „pały” i „wały”, a za przestępstwa przeciw szkolnej subordynacji poddawani są operacji szczególnej „rznienia na pokładankę”, przez spodnie albo „na gólkę”. Nudna jest śmiertelnie ta obca szkoła, to „łupanie” na pamięć całych stronic *Iliady*, toteż niejedna z owych młodocianych ofiar systemu marzy o tym, aby ją „wylano” lub „wytryniono” z obmierzłej „budy”. Nie każdy ma ten upór i zawziętość Radka, który „dyma”, „rypie” piechotą z Pajęczyna Dolnego do Klerykowa, w wiedzy widzi swą przyszłość, trzyma się zajadle obranej drogi, wspomagając się „korepą” na „kondzie” u Płoniewiczów.

Ta dążność do obiektywizacji języka ujawnia się szczególnie wyraźnie w tych opowiadaniach, w których narratorem jest postać przynależna do świata przedstawionego. Wtedy język narracji całą swą strukturą dostosowuje się do pozycji socjalnej i do formacji umysłowej opowiadacza. Ponieważ *Mogiła* pisana jest w formie listów i notatek niedawnego studenta, przeto sposób narracji odpowiada językowym nawykom i osobliwościom tej właśnie sfery i „profesji” społecznej. Dzieje się to przede wszystkim za sprawą studencko-uczniowskiego żargonu, operującego specyficznym słownictwem, składnią i frazeologią. Zych ma swój własny, wspólny zresztą całemu środowisku, w którym się niedawno obracał, język i styl. Na młodych osobników podobnego jak on pokroju ma zawsze jedno określenie: „facet”, „facetka”, wszelkiego rodzaju mizerię czynowniczą nazywa pogardliwie „knotami”; w szerokim zakresie używa wyrażen żargonowo-uczniowskich: „kuć”, „zakuwać”, „furt” dowodzić, „wylać”, „korepy”, „wydychać” z siebie uczniowskiego „pietra”. Jako młodzieniec wyedukowany bądź co bądź i umiejący ową edukację zaprezentować, a zarazem nie pozbawiony zmysłu i poczucia humoru, ochoczo używa barbaryzmów, ale ustawiając je świadomie w kontekstach zupełnie nieoczekiwanych równie niezwykle uzyskuje efekty. A więc o panach oficerach powie dowcipnie, że są „podchmieleni *usque ad finem*”, musztrę odbywaną pod surowym okiem feldfebla nazwie ironicznie „*tête à tête* z diadką”. Wspominając o swoich filantropijnych poczynaniach w formie przekazywania z własnego żołdu 1 rubla i 40 kopiejek na mięso dla kolegów pułkowych, nie omieszka dodać, że „kucharz nabywa za te pieniądze dziewięć funtów mięsa i (*si fabula vera*) wrzuca je do wspólnego kotła”. „Takim kawalkiem «gawędziny» można zdobyć przyjaźń ludzką... *mirabile dictum!*”

Tego rodzaju inkrustacje stylistyczne, jak najbardziej zgodne z poetyką realizmu, staną się powszechnie stosowanym zabiegiem weryfikacji środowiskowej. Obraz społeczności gimnazjalnej w pierwszej powieści Żeromskiego nie miałby tej sugestywnej wyrazistości, gdyby swojej narracji nie nasycił autor znamienne słownictwem i frazeologią obcą. Jest to przecież szkoła rosyjska, w której mówić po polsku zasadniczo nie wolno. Jest to

gimnazjum typu klasycznego, w którym greka i łacina odgrywają rolę przedmiotów pierwszoplanowych. Mowa osobników, których poddaje się w tej szkole operacjom i zabiegom kształcącym, nasycona jest z natury rzeczy idiomami obcymi, które stają się potocznym i powszechnym instrumentem komunikacji. Znamienne jest przy tym, że wszystkie te obcojęzyczne wtręty, odnoszące się do życia szkoły, stanowią jednocześnie jakby swoisty żargon, który ukonkretnia obraz przedmiotu. Są to więc przede wszystkim rusycyzmy, zwłaszcza w początkowych partiach powieści, gdzie ów obcy język tak przeraża i tak zawstydzia bohatera utworu wobec imponującej w tym przedmiocie biegłości owczarskiego prymusa, albo w śmiesznych zniekształceniach pedla Pazura: „Wospreszcza się gadać po polski!”

Obok rusycyzmów dość pokaźna ilość wyrazów wziętych z łaciny, w przeciwieństwie jednak do tamtych występujących przeważnie w partiach narracyjnych, bo opowiadacz, przynależny w zasadzie do owego świata gimnazjalnego, myśli wyobrażeniami i pojęciami społeczności szkolnej. Wszelkie więc wypracowanie pisemne to dla niego „pensum” lub „extemporale”, uprzykrzonego prześladowcę pajączyńskiego gubernera nazwie z łacińska „pauprem”, nędzną klitkę, w której umieszczono Andrzeja Radka, trochę przesadnie „locum”, przytoczy całe zdanie: *luscinia cantat noctu*, by ukazać zmagania się zapamiętałe piątoklasisty Jędrka z umysłowym bezwładem tępego Władzia. Niekiedy z racji wieloletniego obcowania z klasykami piśmiennictwa Grecji i Rzymu, na mocy jakiegoś skojarzenia przypomni mu się cała cytata z Liwiusza, doskonale nadająca się do określenia aktualnej rzeczywistości klerykowskiej. Horst-filozof, sublokator apartamentów państwa Pobratyńskich, w szermierce słownej z podstarzałą ongiś pięknoscią, trudniącą się obecnie lichwą, „ciocią” Barnawską, eksponuje całą swoją warszawsko-prowincjonalną „światowość” w pretensjonalnym żargonie, nastroszonym profuzją obcojęzycznych nalotów.

W *Przedwiośni* idiomy obce służą wzmocnieniu iluzji autentyzmu i prawdy środowiskowej. Stąd w „rosyjskich” partiach powieści pojawiają się nie tylko wyrazy, ale całe zwroty rosyjskie: *Da czto wy, barynia, w samom dziele k moim briukam pristali* lub *Ty nie szumi. Bolsze pomalcziwaj*. Charakterystyce kolokwialnych właściwości środowiska ziemiańskiego, posługującego się z nawyku, a zapewne i trochę ze snobizmu, wyrażeniami i zwrotami obcymi, służą liczne barbaryzmy, najczęściej galicyzmy: *maitre d'hotel*, *porte-malheur*, *spécialité de la maison*, *tiens*, *dessous*, *belle-mère*, *à bas la calotte*, zgalicyzowana forma imienia *Caroline*, ale także anglicyzmy i latynizmy: *last not least*, *full pace*, *five o'clock tea*, *shimmy*, *primum edere*, *deinde philosophari*, *eo ipso* i *cui bono?* Niekiedy zastosowanie określenia obcojęzycznego daje efekt komiczno-ironiczny, jak np. w zakończeniu pierwszej części *Przedwiośnia*, gdy prezentując obskurną, pograniczną mięścinę, powie o niej narrator, że Cezary „chcąc całe to *oppidum* objąć jednym spojrzeniem, wyszedł za ostatnie domostwo”.

■ Tak jak żargon uczniowsko-studencki i wszelkiego rodzaju barbaryzmy

służą charakterystyce środowiskowej, podobnie wyrażenia gwarowe spełniają funkcję elementów indywidualizujących język osobniczy. Występują więc dosyć gęsto w dialogach służby domowej państwa Borowiczów, w konwersacjach Jędrka Radka z Paluszkiewiczem w epoce zatrudnień pastuszka około pańskich gąsiat i dworskiej maciory z prosiętami. W opowieści zbójnika Mocarnego z *Popiołów*, napisanej przy współudziale Stanisława Witkiewicza, dochodzą do głosu elementy dialektu podhalańskiego, wyraźną stylizację gwarową wykazują rozdziały „Mary” i „Na wojence dalekiej”. W utworach, w których występują postaci przynależne do różnych kategorii społecznych, język narracji i dialogów jest z reguły środowiskowo zróżnicowany. W opowiadaniu *Pod pierzyną* obie skontrastowane z sobą strony, „jaśnie panowie” i chłopci, mówią własnymi językami. Barbaryzmy wszelkiego rodzaju: *n'est-ce-pas?*, *encore une fois*, *Chabou*, *dzentelmeni* i *haweloki*, *heu! me miserum* — są oczywiście środkiem charakterystyki socjalnej owego „wyższego świata”, którego tradycyjnym już i konwencjonalnym wyróżnikiem są tego właśnie gatunku inkrustacje językowe. Natomiast wyrażenia gwarowe: „Skikoj, panie, ino leciuszko”, „Trzymać się ta równo, nie gibotać!”, naniesiony do gwary wielkomiejski, proletariacki *argot*: „mendykować” czy „fertyk”, na koniec wulgaryzmy: „ścierwa”, „psubraty” — określają społeczne środowisko chłopów.

Gwara nie służy zresztą tylko do językowej obiektywizacji osobniczej czy środowiskowej, lecz również ekspresji artystycznej. Pisarz sięga po nią celowo i stosuje wybiórczo zgodnie z potrzebą i z zadaniem, jakie owym inkrustacjom gwarowym wyznacza. Przywołuje je najczęściej tam, „gdzie dosadniej i dokładniej malują one daną kwestię niż wyraz literacki”. Decyduje więc o wyborze „szczególne zabarwienie znaczeniowe, nadające zdaniom soczystość i jędrność”, jak w tym wyrażeniu z *Popiołów*, iż „zdało się, że kurna zagroda stanęła na wiatrowisku, gdzie się zbiegają z czterech stron świata zamiecie, *chery*, *zawiewy* i *chachaice*”⁸. Ekspresja, siła i celność wyrazu wydają się więc stałym dążeniem Żeromskiego. Dążenie to znajdowało dodatkową i naturalną motywację i sprzyjające podłoże w perseweracyjnym typie wyobraźni pisarskiej autora. Perseweracja to organiczna skłonność do nie tylko wielokrotnego podejmowania identycznych motywów, ale i do sięgania po te same leksykalne, frazeologiczne i syntaktyczne klisze.

Jedną z najbardziej osobliwych i własnych stylistycznych skłonności Żeromskiego była w szerokim stosowana zakresie eksploatacja słownictwa z zakresu fizjologii i medycyny lub stwarzanie struktur na ów żargon profesjonalny stylizowanych. Rozmaite, jak się zdaje, przyczyny miały w tym udział: klimat intelektualny epoki pozytywizmu, która fizjologię i w ogóle przyrodnicze myślenie uczyniła jedną z podstaw swojej wizji świata;

⁸ I. Drozdowicz-Jurgielewiczowa, *Technika powieści Żeromskiego*, Warszawa 1929, s. 101.

wpływ naturalizmu; reminiscencje własnych studiów weterynaryjnych i osobiste doświadczenia z długich lat nękających go kłopotów ze zdrowiem oraz gruntujące się na tych indywidualnych doznaniach przeświadczenie o szczególnej trafności takiego właśnie nazywania i wyrażania rzeczy. Tak więc mówiąc o fatalnym wpływie prowincji na samopoczucie i postawę jej mieszkańców powie narrator, że na skutek dżdżów, „braku środków komunikacji i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych” taki nieszczęsny obywatel Klwowa, Kurozwęk czy Obrzydłówka podlega nieuchronnie „przeistaczaniu się w twór mięsożerno-roślinozerny”; o nudzie małomiejskiej, że się ją wchłania bezwiednie, „jak bezwiednie zając połyka jajka tasiemca rozproszone na trawie przez psy” i że „od chwili zagnieżdżenia się w organizmie bąbłowca — «najzupełniej mi jest wszystko jedno» — zaczyna się proces umierania”. I to właśnie przydarzyło się Obareckiemu. „Doktor Paweł w epocę jego życia, o której mówię, zjedzony już był przez Obrzydłówek wraz z mózgiem, sercem i energią — zarówno potencjonalną, jak i kinetyczną”.

Wpatrując się godzinami w pusty krajobraz doktor Paweł zbierał zeń „smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego”. Te stany apatii i prostracji przeciągały się i przechodziły coraz bardziej w stadium endemii. Owa „endemia metafizyki” wskazywała jednakże doktorowi, „że w jego egzystencji roślinnej, najedzonej, niejako nasyconej filozofią mocnego, zdrowego rozsądku, kryje się jakaś rana nieuleczalna, niewidoczna, a dolegająca nad wyraz, niby ranka nad próchniejącą kością”.

To porównanie moralnego niepokoju, nieustającego wyrzutu lub nieustępliwej tęsknoty do „ropiejącej wiecznie ranki” lub igły, zagłębiającej się w tę ranę, należy do najczęściej persewerujących struktur stylistycznych w twórczości pisarza. Zmieniają się jedynie poszczególne elementy obrazu, sama istota porównania zachowuje swą wewnętrzną tożsamość. Igłę zastępują więc ciernie, szpada, ostrze włóczni lub noża, żądło, drzazga, nagi miecz, skir boleści, grot włóczni. Pochylonemu w rozpacz nad łóżem Stasi Obareckiemu „złe przecucie jak koniuszek igły wrzytało [...] się w serce”. Pan Dominik Cedzyna roztrząsając swoje cierpienie doświadcza nieodpartej pokusy, aby „zapaść sondę w głąb rany, do cna ją wymacać, przekonać się naocznie i nieomylnie, że jest niewyleczalną”. W mózgu nauczyciela Wiechowskiego, półprzytomnego z przerażenia wynikami inspekcji, „biegały jeszcze niektóre myśli jak strzykania bólu”. Andrzeja Radka, zgnębnego katastrofą, jaka go nagle spotkała, wciągał do „mrocznej toni gnuśny bezwład niby drzymanie, niby gorączka”. Nawet martwe przedmioty zdają się podlegać schorzeniom istot żyjących, jak owo łóżko żelazne na stacji u „Przepiórzycy”, z prętami „tak okropnie zgiętymi [...] jakby je pozwił jakiś straszliwy reumatyzm”. Zdrętwienie, przerażenie wewnętrzne, ale

także uniesienia radosne oddawane są bardzo często poprzez somatyczne, ustrojowe doznanie dreszczu. „Mróz śmiertelny obejmował jego ciało i wstrzymywał krew w żyłach”; „zimno wstrząsało jego ciałem”; „Po grzbiecie [...] prześliznął się mrozący dreszcz”.

Uderza w tych perseweracjach niezwykła trafność i ścisłość semantyczna wyrazu. Asymilacja owych profesjonalnych określeń okazała się twórcza i pisarsko skuteczna, pozwalając w każdym wypadku znaleźć dla określonego przedmiotu idealnie nieomal przylegający równoważnik obrazowy lub pojęciowy. Trwały, niezmienny bezruch umysłowy prowincji istotnie przypomina nie dającą się pokonać „endemię”. Człowiek pożerany od wnętrza przez gnieżdżący się w nim agresywny bakcyl nudy i obojętności na wszystko rzeczywiście przeistacza się niepostrzeżenie w „twór mięsożerno-roślinozerny”. Jeśli zaś dodać, że cała ta oryginalna frazeologia nie tylko nazywa i określa, ale jednocześnie wyraża stosunek narratora do określonego przedmiotu, przyjdzie uznać tę innowację stylistyczną za wysoce skuteczną i estetycznie wartościowy zabieg pisarski.

Do znamienitych perseweracji stylistycznych Żeromskiego należy też często pojawiająca się w jego utworach metafora animalistyczna⁹. Bohaterka *Ananke* przypominała „żrebkę w pierwszym roku wprzężoną do pługa”, a jej mąż, uświadamiając sobie katastrofę, jaką swym wyborem spowodował, spogląda „wzrokiem zabitym, jak patrzy lis zaszczuty, z odstrzelonymi nogami, gdy go dopędzają ogary”, wbija głowę w poduszkę i targa ją „jak pies zębami”. Jego płacz jest „dziki, okrutny, jakiś zwierzęcy”. Gajowy Lalewicz z *Zapomnienia*, wytropiwszy nieszczęsnego złodzieja pańskich desek, Obalę, doznaje jakby „zatkania” z emocji, „wyszedł na polanę, między pniaki jak lis, uśmiechnął się, nie przysiągłbym nawet, czy się nie oblizwał — i kiwnął na nas palcem”. Pani Zofia Świerkowska „kochała Wawelskiego jak wierne zwierzę”; ludzie są podobni do psów, wilków, szczurów, kondorów, szympansów; „buzia naczelnika, plugawy ryj z czyhającymi ślepiami” z *Dziejów grzechu*. Spoglądając na malutkie dzieciątko pani Śnicowej pan Granowski przypomina sobie nagle umarłą Xenię. „Od bólu zjeżyła się szczecina na grzbiecie wewnętrznego zwierzęcia i zakłaniała w jego paszczy żądza zemsty”.

Odmienne miejsce w tej procedurze stylistycznej zajmują porównania i metafory zaczerpnięte z dziedziny ornitologii. Powtarza się więc wielokrotnie motyw „jastrzębich żrenic” jako *sui generis* synonim okrucieństwa instynktów. Wypuszczony z kaźni Rafał Olbromski podobny jest do jastrzębia szukającego oczyma, co by rozszarpać. Śnica podnosił na Isolinę „przeźroczyście, jastrzębie żrenice”, a ona w momen-

⁹ Pisałem szerzej na ten temat w książce *Żeromski i naturalizm*, Toruń 1956, s. 65 - 80.

tach jego pozornej niełaski i wyrachowanej obojętności marzy z rozpaczą, „żeby na nią spojrział łaskawymi oczyma, przeźroczytymi źrenicami dzikiego, wolnego ptaka”. Obok „jastrzębich” oczy „sowie” lub oczy „sępie”: „baronowa świdrowała obydwu sowimi oczyma”, Śnica „wpatrzył się w pana Granowskiego sępiimi oczyma i wnet te spojrzenia jak sępie szpony zapuścił w jego duszę”. Zamiast oczu pojawiają się niekiedy „serce” i „szpony”. Na widok zwłok Wyganowskiego w Krzysztofie Cedrze „serce załomotało jak jastrzęb zgłodzony i straszliwy”, w Cezarym po ostatecznym zerwaniu z Laurą „zakłęsała się dzikość uczucia, jakby serce rozjuszonego jastrzębia zbudziło się w jego piersi, jakby szpony zemściwego jastrzębia u rąk mu wyrosły”.

„Owady”, „płazy”, „gady”, „robaki” pełnią swoistą funkcję w tej zoologii literackiej, niewątpliwie uczuciowo pejoratywną. Doktor Tomasz Judym obserwując tłum ludzki przewalający się o zmroku ulicami Warszawy, doznaje nagle uczucia wstrętu. „Te czarne masy głów i tułowiów, sunące prędko niby mrówki, zbudziły w nim uczucie fizycznej odrazy. Zdawało mu się, że spogląda na sunące ławy robactwa”. Służący redakcyjny, budzący w Ewie „wstręt-przecucie jak widok glisty czy rozdeptanego ślimaka”; „ludzkie ropuchy” — to synonim posuchowskiej, prowincjonalnej kołtunerii. Tłumy żołnierzy, oglądane przez pana Granowskiego z wysokości piętra hotelowego, „podobne były do rojowiska owadów”.

Metafora animalistyczna nie jest oczywiście formułą ideowo i estetycznie neutralną, jest artystycznym wyrazem przeświadczenia o najgłębszej, wewnętrznej identyczności wszystkich istnień żyjących w wielkim teatrze i kosmosie przyrody. W swych pożądaniami i popędach wszystkie one podlegają tym samym prawom. Animalistyczne porównanie ujmuje w lapidarnym skrócie zwierzęcą praistotę i prainstynkt w osobie ludzkiej. W Lalewiczu jest rzeczywiście coś ze zwierzęcia, nawykłego do tropienia upatrzonej zdobyczy i zaskakiwania zniemacka. Przenośnia i porównanie analizowanego rodzaju nabierają znamion symbolu, stając się poetyckim uogólnieniem określonej wizji i definicji bytu. Portret i los Obali jest wyraźną analogią do obrazu i losu jego szkapiny, podobnie jak jednoznaczny wymowę ma zestawienie jego uczuć z nieprzytomną rozpaczą ptaków, którym mordują potomstwo. Cierpienie zdaje się stanowić istotę życia.

Zjawisko perseweracji obejmuje słownictwo, frazeologię, rozciąga się na składnię, organizuje rytm swoisty prozy Żeromskiego. Wychodząc z założenia, że literatura powinna wzruszać i świadomie budować napięcia uczuć, Żeromski poszukuje określeń o szczególnie silnym ładunku emocji, a zarazem jak gdyby nie ufając ich dostatecznej ekspresywności mnoży je w dodatku, łączy w całe szeregi. Napisze więc, że „zimne fale leśnego chłodu” były nasycone (1) „nie dającym się opisać, (2) wilgotnym, (3) gęstym (4) duszącym, a (5) tak zdrowym zapachem lasu”; śpiew słowika to „staccato

(1) ekstatycznej, (2) gwałtownej, (3) namiętnej, (4) nerwowej, (5) upajającej, (6) miłosnej pieśni”; matka-wrona, której wiejscy chłopcy mordują dzieci, „kracze (1) zachryplym, (2) wysilonym, (3) przebrzydłym głosem rozpaczny”. Przywołując zaś owo miłosierne prawo natury, które pozwoli zapomnieć wronom i Obali o ich cierpieniach, zakończy pisarz to opowiadanie dwoma znamionymi zdaniem, które potwierdzają dobitnie ową szczególną skłonność stylistyczną: „Czym by się ugasiła ich (1) piekielna, (2) niezgruntowana, (3) okrutna, (4) nieświadoma boleść [...], gdyby nie to (1) boskie, nie to (2) wspaniałe, (3) dobrotliwe, (4) najlepsze z praw przyrody — (5) mądre prawo zapomnienia”. „Sołowijówka stała się mitem rodzinnym, klechdą, podawaną w coraz to innej postaci o czymś (1) dalekim, (2) sławnym, (3) dostojnym, (4) przeogromnym”. „To obce miasto stało się dla niej jeszcze bardziej (1) obce, (2) cudze, (3) niepojęte, (4) groźne, (5) złowieszcze”. Aż pięciu określeń użył autor, aby oddać lęk człowieka przed nienawistnym mu miejscem. Ta tendencja do gromadzenia epitetów dotyczy nie tylko określeń przymiotnikowych, ale obejmuje również niekiedy rzeczowniki i czasowniki. Wpatrującemu się w krajobraz za oknem Obareckiego wydawało się nieraz, „że słońce oświeśla to pustkowicie po to jedynie, aby okazać jego (1) bezpłodność, (2) nagość i (3) posępność”. Opisując zapasy nocy i dnia powie Żeromski, że się przesuwały „wszystkie fazy (1) napaści, (2) osłabienia, (3) pogromu... Każda (1) ma miarę czasu, (2) ma trwanie, (3) żyje, (4) wysila się, (5) walczy, (6) umiera”.

Wiąże się z tym charakterystyczna dla stylistyki Żeromskiego tendencja do wzmacniania określenia przymiotnikowego dodatkowym wyrazem przysłówkowym. W okresach periodycznych ataków nudy mózgu Obareckiego „opleciony niby miękkim przedziwem pajęczyny, wypracowywał myśli czasami niesłychanie pospolite [...] stanowczo do niczego niepodobne”. Dysertacje z gospodynią bywały „raz przyzwoitsze [...] kiedy indziej zaś ohydnie nieprzyzwoite”. Nad łóżem umierającej „Siłaczki” objęło Obareckiego dawne uczucie, „porywające jak niegdyś i zabójczo słodkie”. Funkcja wzmocnień tego rodzaju bywa rzecz jasna rozmaita. Niekiedy staje się formułą niezwykle trafnie oddającą istotę rzeczy, kiedy na przykład w *Zapomnieniu* mówiąc o zachowaniu się gajowego Lalewicza na widok nadchodzących panów powie o nim narrator, iż „zerwał się strasznie szybko”, to wzmocnienie owego „szybko” określeniem dopełniającym „strasznie” okazuje się formułą niezwykle semantycznie szczęśliwą i precyzyjną, ponieważ podkreśla dobitnie ową służalczą skwapliwość, jaką się odznacza gajowy i doskonale motywuje jego późniejsze zachowanie się wobec Obali. Kiedy indziej kryje się za taką strukturą ironiczno-drwiący uśmiech narratora, zaznaczającego tym sposobem swoją postawę i ocenę. „Wiekuiście wylękiły” — powie więc o nieszczęsnym panu Sztetterze, a o zdziwczalym panu Karolu Przepiórkowskim, że był „wiekuiście niekontent”.

Ale najczęściej formy tego rodzaju są po prostu wyrazem właściwej Żeromskiemu skłonności do hiperbolicznej przesady, do jak gdyby wygrywania melodii na najwyższym rejestrze. Pojawiają się w takich momentach owe przyrodzone niejako właściwości jego języka, stanowiące istotę „żeromszczyzny”; inwersje, układy paralelne członów zdaniowych, poetyzmy, pleonazmy, wyrażenia przesadne, superlatywne. Uczucie będzie zatem z reguły „zabójczo słodkie”, marzenie „skryte, radosne, iście złodziejskie”, uśmiech „pełen śmiertelnej boleści” albo „niebiański, uśmiech zaprawdę wniebowzięcia”; ręka młodej dziewczyny to zawsze „harmonijnie i doskonale stworzony arcytwór piękności, który zdawało się, dla zaokrągłeń i zagłębień w okolicy łokcia i zwiężeń swego kształtu ku dłoni, nie może nigdy zginąć i winien trwać na wieki”. Zdarzają się wyraźnie widoczne i oczywiste poślizgnięcia pióra, jak owe „wargi niezrównanych ust”, które „odsłoniły grozę i groźbę prześlicznych białych zębów” lub „wilcze kły i tygrysie pazury zazdrości”, co „ćwiartowały jej upodobanie”. Niepodobna się nie uśmiechnąć, gdy się to czyta, tak wyraźnie tu widać, że pisarz znakomity kontroluje się słabo i zanadto folguje swej literackiej elokwencji.

Jesteśmy tu już w całej pełni w owym, wedle trafnej formuły Adamczewskiego, „królestwie superlatywu i manieri”. Jest to oczywiście Żeromski jak najbardziej prawdziwy, autentyczny, przeżywający świat w intensywnym napięciu i raz po raz wpadający w stany ekstazy zachwyceń, gwałtownych wstrząśnień, obezwładniających przerażeń, uwrażliwiony szczególnie na zjawiska życia, które odczuwane być mogą jako „wzniosłe” i „poetyczne”. Jego język i styl są jakby nieuniknioną koniecznością jako jedyny dający się pomyśleć ekwiwalent tak odczuwającej i przeżywającej osobowości. Gdy się wejdzie w ten świat, nie odczuwa się zupełnie rzekomego nadmiaru i profuzji, są jak najbardziej naturalne i nie do zastąpienia czymś innym. Są to słowa jedyne i nieodwołalne.

Cezary i Karolina

stanęli na najwyższym miejscu grobli i przypatrywali się stawowi. Był piękny w swej barwie, rozległości, ciszy. Urok zapomnienia, odosobnienia, bytu poza światem, samotności poza wszystkim, uśmiechał się do przybyszów z tej wdzięcznej na wejrzenie, samoswojej wody. W nieruchomej tafli jej odbijały się wysokie olchy oceniające młyn — i dwie ruchome postaci — Karoliny i Cezarego. W zakręcie rzeczonym, szerokim ramieniem uchodzącym między żółte sitowia, dwie dzikie kaczki-krzyżówki beztrwożnie przepływały. Cezary został wprost uderzony przez wrażenie, że już to miejsce zna, już je widział niegdyś — że już tu był. Co więcej — dziwnie niesamowity żal ścisnął mu serce na widok sennowladztwa tej wody — jakby za tym miejscem tęsknił latami. — Jakimże sposobem to być może? — zadawał sobie pytanie. — Był to niegdyś we śnie, już tak dawno przespanym, że zginął do cna w pamięci? I oto wtedy przepłynęło przez jego serce dziwaczne, a przejmujące boleścią słowo: „sekuła”.

— Ach — westchnął w głębi — prawda... Przypominam sobie... Toż za takim oto stawem, za własną jakąś „sekułą” moja matka przeplakała swoje życie.

Z podwójną zachłannością objął oczyma tę tutejszą „sekułę” i nie mógł nasycić się jej widokiem. Patrzył na chmurki wielobarwne — czerwone zwiastujące wiatr — i fioletowe niosące nowe deszcze jesieni, jak przepływały nad czystą taflą. Zabarwiała się wtedy aż do samego dna, stawała się głęboka, przepaścista, niedosięgniona, pełna tajemnic i otchlistego życia, tam w głębi.¹⁰

Fragment ten jest nie tylko arcydziełem opisu, ale też miarą absolutnej władzy nad słowem. Autor uruchomił tu niejako wszystkie będące w jego posiadaniu potencje stylistyczne nie przekraczające jednak ani razu granic umiaru. Nagromadzenia, odczuwane być może kiedy indziej jako manieryzmy indywidualne stylu, tu wydają się całkowicie na miejscu. „Urok zapomnienia, odosobnienia, bytu poza światem, samotności poza wszystkim” — skupienie więc określeń synonimicznych i treściowo zbliżonych oddaje doskonale wyjątkowość tego miejsca, pogrążonego w sennej ciszy i samotności, tak jak ciąg epitetów w zakończeniu obrazu sugeruje znakomicie tajemniczość tej wody, pod znieruchomiłą powierzchnią śniącej jakies niedosięgnięte swoje i zagadkowe życie. Pomnażają świetnie to ogólne, a narzucające się, wrażenie jakiegoś bytu zaświatowego idealnie tu dobrane neologizmy: woda „samoswoja”, „sennowładztwo” tej wody, woda „otchlista”. Doskonale zestrojone z sytuacją czasową elementy kolorystyczne: żółte sitowia, czerwień i fiolet chmur, chłodne barwy jesieni odbite w lustrze wody i wreszcie to złudzenie psychiczne, jakiego doświadcza Cezary i które obraz realny rzeczy zasnuwa jakby mgłą dalekiego marzenia czy przypomnienia — wszystko to nadaje tej chwili jakąś szczególną sugestywność artystyczną. Nie tylko wyobrażamy sobie to piękne i dziwne miejsce, ale je nieomal widzimy i odczuwamy jego prawie niezemski urok.

Ale ten znakomity stylistą, wyczarowujący z języka jego najbardziej niezwykle, poetyckie efekty, potrafił być zarazem prawdziwym mistrzem i wirtuozem komizmu słownego. I skala środków w tym zakresie okazuje się zdumiewająco bogata. A więc epitety, porównania, neologizmy, których dowcip polega na kojarzeniu wyrazów powszechnie znanych, a nawet po prostu pospolitych w nowe zupełnie związki, które wyzwalają jak gdyby utajone w owych słowach, niezwykle, ekspresyjne walory. O nosach niezbyt fortunnych podróżników, zdążających na imieniny pani Heleny, bóstwa powiatowego, powie więc narrator, że się „nikczemnie czerwienią”, o wózku pogrążającym się w lodową topliel, że „chwije się na prawo, na lewo i z wolna, melancholijnie tonie”. Opisując fatalny, a pożałowania godny stan i wygląd niedoszłych toplielców użyje takich zestawień jak „dewastacja wąsów”, „ruina fryzur”. Komizm słowny polega więc często na emocjonalnej i znaczeniowej niewspółmierności zestawianych i porównywanych przedmiotów oraz na zastosowaniu do jakiejś sytuacji zwyczajnej i pospolitej wyrażań i pojęć przynależnych do całkowicie innorodnych i ekskluzywnych kategorii leksykalnych, innych

¹⁰ *Przedwiośnie*, s. 152.

języków. Jest to zabieg praktykowany przez Żeromskiego od pierwszych jego poczyniń literackich aż po ostatnie utwory. O dukaniu Michcika powie więc narrator, że chłopak „z dystynkcją ujął Paulsona trzema palicami i dał koncert czytania”, a o doraźnych i dolegliwych fizycznie pouczeniach dworskich karbowych i ratajów z racji przewinień i uchybień małego Radka, że „ugruntowały” w duszy pastuszka „pierwsze podwaliny pryncypiów społecznych”. Gdy młodzi eks-wojacy pod przewodem księdza Anastazego nazbyt przedłużali poranną sjęstę od-sypiając nocne czuwania przy biesiadnym stole,

panna Karolina ważyła się na rzeczy ostateczne. Zbierała w ogrodzie kamienie, glazy narzutowe, baranie łby i kopulaste czuby z epoki oligocenu, miocenu i pliocenu, znosiła te formacje w pobliże siedliska znacznie późniejszego, a przecie bardziej od tamtych doszczętnie wygasłego arianizmu i waliła tymi pradawnymi trzeciorzędami w zamknięte na klucz dźwirza. Każde uderzenie wielofuntowego minerału olbrzymim echem rozbijało się o ściany i sufit wielkiej i wysokiej sieni. Uspionym rycerzom zdawało się, że to właśnie zaczęto silne przygotowanie artyleryjskie uskutecznione ogniem bębniącym jakiejś całej działobitni i że wnet nastąpi czołowe uderzenie nieprzyjaciela.¹¹

Komizm tego fragmentu polega nie tylko na określonej sytuacji, zawierającej w sobie elementy śmieszności, lecz, i to w wyższym jeszcze stopniu, na zastosowaniu do czynności tak żartobliwej i tak mało poważnej oraz do przedmiotów tak pospolitych, jak owe pociski panny Karoliny, pojęć i terminów z zakresu geologii i petrografii tudzież taktyki i działań wojennych. Niewspółmierność zdarzenia i ujęcia słownego dało tu efekt komiczny jedyny w swoim rodzaju.

Oryginalne epitety i porównania, dowcipne eufemizmy i peryfrazy zajmują osobne miejsce w składni i frazeologii tego języka.

Trafiwszy bokiem literką wasąga w ostatni kolek płotu [kolaska] nie mogła już wykonać swego szybkiego biegu, straciła równowagę i runęła. Koła jej kręciły się spazmatycznie, podczas gdy podróżni wytrąceni zostali ze swych miejsc jak z procy. Hipolit, mocno trzymający swe lejce, legł w najbliższej mokrej bruździe. Cezary, nie mający żadnego oparcia, wypadł daleko, zorał głową ze trzy lepkie i sownie umierzwione zagony i dopiero w czwartym jego modny kapelusz spotkał nieprzebytą zaporę. Nadto woźnica Jędrus w locie ze swego wysokiego miejsca na niską ziemię huknął go zębami w tylną część czaszki. Na szczęście konie stanęły i bestialsko obojętne na los swych owsodawców poczęły szczypać poprzez wędzidla smaczne przydrożne szczawie.¹²

Oryginalne epitety: „spazmatycznie” — o kolasce, jakby była to istota czująca i podległa emocyjnym wzruszeniom, o koniach — „bestialsko obojętne na los swych owsodawców”, ów neologizm „owsodawcy” — świetnie zwielokrotnieją komizm zdarzenia.

¹¹ Ibid., s. 161.

¹² Ibid., s. 108.

Lubi też Żeromski za pomocą stosowanych w języku formantów słowotwórczych stwarzać od słów już istniejących jakby wyrazy nowe, które dzięki swej strukturze brzmieniowej, tudzież zastosowaniu w odpowiednim kontekście sytuacyjnym nabierają szczególnej energii znaczeniowej oraz zdolności rozśmieszania. Tak więc dżentelmeni, którym się udało na brzeg wydostać, „dziwne [...] podskakiwania robią na jednej nodze, na dwu, szczególne przykucnienia”. „Na rozpaczliwe beknięcia dżentelmentów [...] wysuwają się z chałup chłopci”.

Ten humor językowy, zasadniczo przychylny osobom, których dotyczy, nabiera jednak niekiedy barw ironicznych, a nieraz nawet zjadliwych. Ironicznych w określeniu na przykład beznadziejnych zmagania nauczyciela-korepetytora z tępotą ucznia: „Władzio nie rozumiał nic zgoła. Radek przesiadywał nad nim okropne godziny jak diabeł nad dobrą duszą [...] Siedząc przy stole zawalonym książkami i kajetami, korepetytor i uczeń oddawali się z bawczej czynności mordowania rozumu”.

Niekiedy za leciutkim cieniem ironii kryje się w istocie współczucie i solidarność, gdy na przykład o „Kawce” powie narrator, że „zapadał coraz głębiej i coraz szybciej na suchotki”. Natomiast stylistyczna prezentacja skwaśniałych w staropanieństwie panien Przepiórkowskich czy starych ciotek z *Przedwiośnia* jest wyraźnie zjadliwa, wywodząca się najoczywiściej z sarkastyczno-satyrycznych inklinacji pisarza.

Obiedwie ciotki jeszcze tańczyły. Obiedwie miały na swych szkieletach, zwiotczonych mięśniach i obwisłych skupieniach tłuszczu modne suknie. Ich zwiędłe szyjska i ohydne piersi były nakryte już niemodnymi w tych czasach biustami tudzież quasi-szyjami z pewnej sztucznej masy, naśladowującej wydatnie młodość i gładkość cielesną. Za pomocą aksamitek, przykrywających miejsca spojenia sztucznych szyj z prawdziwymi i za pomocą mnóstwa, istnej profuzji pudru zasypującego fabrykaty piersi, w sztucznym świetle wieczorowym ciotczyska liczyły jeszcze na omamienie ludzkości.¹⁸

Zjadliwe metonimie i peryfrazy, bezwzględne epitety, deteriotywa, pomysłowe określenia na oznaczenie kosmetycznych zabiegów, zmierzających do ukrycia spustoszeń nieubłaganej chronometrii, dają w efekcie komiczno-bezlitosny obraz przedmiotu.

Język Żeromskiego jest więc instrumentem niezwykle sprawnym. Wiadac w nim absolutną swobodę w aktywizowaniu potencjalnych wartości i możliwości lingwistycznych uzdolnień autora. Jest narzędziem podatnym i elastycznym, niezawodnym i precyzyjnym, zarówno w przedstawianiu świata i życia w ich powadze i prawdzie, a nawet wzniosłości i tragizmie, jak też w ujawnianiu komicznych i groteskowych aspektów rzeczywistości. Ten język bogaty, nastawiony na świadomie nieustanną intensyfikację wy-

¹⁸ Ibid., s. 185.

razu, ma też swoją własną, oryginalną składnię. Fraza intonacyjna Żeromskiego jest rozrzutna, rozwinięta, wieloczłonowa; zdania krótkie, proste lub bezorzecznikowe pojawiają się rzadko i w wyniku tej wyjątkowości grają jak kontrast, stosowane w momentach o szczególnym napięciu uczuciowym i zabarwieniu nastrojowym¹⁴. Gwałtowny napór momentalnych wzruszeń w tańcu Rafała i księżniczki lub popłoch, lęk, trwoga Ewy Pobratyńskiej, wypatrującej Łukasza, gdy pociąg wreszcie zajechał. „Głęboki ukłon. Brak wzroku i tchu [...] Uśmiech. Oczy zemdlale w zaśnieniu” — to Rafał i pani Ołowska. I Ewa, gdy nadeszła chwila tak boleśnie oczekiwana i upragniona: „Wtem łoskot ziemi. Ściany głucho oddają ciosy. Pociąg. Drzwi rozwarto”. Zjawiskiem jednak najistotniejszym i najsilniej zwracającym uwagę jest rytm swoisty prozy Żeromskiego¹⁵.

Jest to proza nie tylko w utworach rapsodycznych, lecz również w powieściowych i nowelistycznych, utrzymanych w konwencji obiektywistycznej, poddana wewnętrznemu, działającemu w niej tajemnie impulsowi melodycznemu. Jest w niej stałe pulsowanie zmiennego, ale odczuwalnego wyraźnie taktu. Liczne powtórzenia, inwersje, stopniowania, układy równoległe wyrazów i całych zdań, gromadzenie określeń w charakterystycznym, ulubionym szczególnie układzie trójkowym, nadają prozie Żeromskiego wyróżniające ją na tle powszedniej praktyki pisarskiej piętno muzyczne. A więc powtórzenia i przestawienia porządku słów: „nadcignęło lenistwo nieopisane, lenistwo zabójcze” (powtórzenie połączone z inwersją szyku); paralelizmy syntaktyczne o niezwyklej symetrii: „w oczekiwaniu na coś, co się stać musi, na kogoś, kto musi nadejść; „Daleko na miedzach stoją pozbawione liści samotne gruszki polne, miotają się ich gałęzie, deszcz je siecze” (paralelizm składniowy oraz inwersja zestawione z konstrukcją prostą i tworzące razem układ zwany chiazmem).

Wreszcie owe struktury równoległe o trójkowym schemacie, proste: „jestem (1) bardzo, (2) wybitnie, (3) beczelnie brzydki”; „zakochałem się (1) raz na zawsze, (2) bezmyślnie, (3) ślepo”; „człowiek źle przez optymatów w mieście gubernialnym widziany — (1) mizantropieje, (2) dziczeje, (3) rozpija się”; i złożone, skomplikowane, spiętrzone jakby w kilku kondygnacjach nad sobą: (I) „Wróciłem po odbyciu kuracji do Przywiślańskiego Kraju, (II) przeżyłem przy biurku wiele lat, (III) zgorzkniałem bardziej jeszcze i dziś chory jestem (1) na spokojną pogardę, (2) na plugawą obojętność, (3) na (a) zimny, (b) najedzony, (c) zdrowy rozsądek”. Funkcja artystyczna struktur tego rodzaju jest oczywiście dwójaka. Służą niewątpliwie rytmizacji języka, a jednocześnie owe zestawienia oboczne wyrazów i układów synonimicznych lub semantycznie i emocjonalnie zbliżonych wzmac-

¹⁴ Zob. I. Drozdowicz-Jurgielewiczowa, op. cit., s. 106.

¹⁵ Najwnikliwiej przedstawił to zagadnienie W. Borowy w studium *Rytmika prozy Żeromskiego*, [w:] *O Żeromskim. Rozprawy i szkice*, Warszawa 1960, s. 179–223.

nią walor wypowiedzenia i wyraźniej określają stanowisko pisarza. Źródłem tego szczególnego zjawiska, które jest jedną z najsilniej się narzucających właściwości sztuki pisarskiej Żeromskiego, należałoby szukać nie tyle w jakichś inklinacjach epoki, ile raczej w wewnętrznym, instynktownym poczuciu rytmu, we wrodzonej wrażliwości na brzmieniowe walory wypowiedzenia i w emocjonalizmie osobowości duchowej autora. Literatura miała oddziaływać wszystkimi dostępnymi wartościami, jakie tylko pisarzowi uda się stworzyć. Nawet pojedyncze zdanie poprzez układ klauzul i akcentów miało podtrzymywać napięcie, zwracać uwagę¹⁶. Na przyrodzoną, instynktowną genezę tego stale obecnego impulsu rytmicznego zdaje się wskazywać jego aktywność nie tylko w poetyckiej prozie z czasów kontaktu Żeromskiego z Miriamowską „Chimerą”, ale także w najwcześniejszych jego opowiadaniach. Oczywiście w *Walgierzu*, w *Arymanie* i w *Dumie* rytm ów staje się programowo założonym i świadomie realizowanym zabiegiem wedle wskazań retoryki klasycznej.

Każdy zabieg i chwyt pisarski jest wartością względną. Sam w sobie, oderwany, bywa znaczeniowo neutralny, zaczyna grać wszystkimi potencjalnymi walorami dopiero w szerszym układzie, w powiązaniu z całością. Jeśli sprawdza się na tle innych elementów struktury, staje się dodatkowym czynnikiem artystycznej ekspresji. Jeśli się nie sprawdza, jeśli w kontekście towarzyszących mu form nie potrafi uzasadnić swej artystycznej konieczności, odczuwany być musi jako zabieg pisarski nie tylko zbędny, lecz wręcz zamącający jasność i klarowność rysunku, obnażający jego słabość czy też bezradność i niewydolność autora. Żeromskiemu zdarzało się coś takiego niejednokrotnie, że emfaticzna retoryka stawała się stylistycznym wybiegiem, usiłującym nadaremnie przesłonić kompozycyjne czy charakterologiczne słabości dzieła. Ale bywało też i tak, że świadomie organizowana rytmika wypowiedzenia stawała się „jakby sercem wybijającym takt i skrzydłem unoszącym w świat czystego liryzmu”¹⁷.

¹⁶ Zob. M. Dłuska, *Między prozą a wierszem*, „Pamiętnik Literacki” 1963, z. 2, s. 467.

¹⁷ W. Borowy o *Dumie o hetmanie*, [w:] *O Żeromskim. Rozprawy i szkice*, jw., s. 225.

Rozdział VIII

TONACJA

Wśród artystycznych wartości dzieła literackiego — pisał przed laty Eugeniusz Kucharski — jest jeszcze jedna, najwyższa i najważniejsza, która zawarta jest nie w tej lub owej właściwości utworu, lecz w jego ostatecznym, syntetycznym wyrazie. „Cała ta formacja psychiczna, która się tworzy w naszej duszy” pod wrażeniem kontaktu i obcowania z dziełem, „a na którą składają się równie dobrze wrażenia i uczucia, jak myśli i akty woli, przepojone barwą wspólnego wzruszenia i nastrojone na ton jeden i dotychczas nie znany, jest jakby pozasferyczną melodią dzieła i najtajniejszą mową twórcy. Ten wyraz ostateczny, przez formę dzieła wydany, ale zrzucający z siebie wszystkie jej postrzegalne kształty i wybiegający poza nią”, proponował badacz określać nazwą przejętą z języka wyznawczych objawień towianizmu: tonem albo tonacją¹. Tonacja świata dzieł Żeromskiego byłaby więc tym ogólnym odczuciem, jakie wynosimy z obcowania z rzeczywistością przedstawioną, przez jego wolę i zdolności twórcze wykreowaną, tym przemożnym wrażeniem i nastrojem, temu tylko dziełu przynależną i przyrodzoną i nie do podrobienia przez kogokolwiek innego barwą wewnętrzną, tajemniczą melodią, której głos słyszalny jest we wszystkich warstwach tego dzieła.

Gdy wejdzie się najgłębiej w świat Żeromskiego i obcuje z nim bliżej na dłuższej przestrzeni czasu, pojawia się nieuchronnie to swoiste odczucie, które tak doskonale opisał Max Scheler jako istotny współczynnik tragiczności²: „ciężkie, chłodne tchnienie”, idące jak gdyby z rzeczy samych, „mroczna poświata”, która je otacza, świat powleczonej „mrocznym poblaskiem smutku” i jakby w swej wewnętrznej istocie fatalistycznie przeznaczony, aby rodzić w nieskończoność ów smutek³. Już lokacja zdarzeń w miejscach o niepokojących imionach sugeruje określone odczucie świata:

¹ E. Kucharski, *O metodę estetycznego rozbioru dzieł literackich*, [w:] *Teoria badań literackich w Polsce*, Kraków 1960, t. 1, s. 378-380.

² Zob. M. Scheler, *O zjawisku tragiczności*, Lwów 1933.

³ *Ibid.*, s. 7.

Obrzydłówek, Łzawiec, Niemrawe, Wieprzowody, Posucha. Inkwizytorskie tropienie wszelkich uchybień, niedostatków, błędów w przyrodzie i w wytworach cywilizacji. Wyobraźnia pisarza wysiła się na ekscesy niezwykle, pragnie wzbudzić somatyczne sensacje wstępu, awersji, obrzydzenia. Kubę Ulewicza, gdy stanął po powrocie z bezcelowej włóczęgi u drzwi swego pokoju, „uderzyło [...] z niezwykłą siłą poczucie brudu i [...] okropnej nędzy”. „Wąskie podwórko, bruk z potwornych głazów [...] Wieczny smród [...] nigdy nie wywozonych odchodów [...] Ewa przelotnie, w biegu wchłaniała w duszę oczyma kolor ścian żółto-czarny, porżnięty zaciekami, porypany od bryzgów brudu”.

Obrazy robotniczych przedmieść, dzielnic nędzarzy, niezależnie od tego, czy będzie to Warszawa czy Paryż, utrzymane są niezmiennie w identycznej tonacji: wąskie, wyboiste rynsztoki, stojące wieczyście martwe, zrudziałe rozlewiska, brudne, szerniałe, odarte z tynku domostwa, mroczne pieczary, zimne, wilgotne nory, zionące zgniłym zaduchem, „feter cmentarny”, ziemia wokół zdeptana na klepisko, żadnej zieleni, gdzieniegdzie tylko więdnie jakaś rachityczna roślinka, swą niespodzianą obecnością w tym wrogim wszelkiemu życiu środowisku podkreślająca tym dobitniej smutną jałowość krajobrazu. Wszystko zatopione w jakimś szarym, brudnym, przygnębiającym blasku albo w jaskrawej spiekocie słońca, wydobywającej z dramatyczną ekspresją uderzającą szpetotę otoczenia. I podobni są ludzie, bytujący w tych odległych, przeraźliwych dzielnicach, do których rzadko zbłądzi mieszkaniec światów szczęśliwszych. Cały wysiłek pisarza zdaje się zmierzać w kierunku narzucenia wyobraźni nieodpartego poczucia degradacji i degeneracji jednostek i tłumów ludzkich. Chorobliwość wyglądu, wyniszczenie fizyczne sugerują jak gdyby restytucję pewnych znamion zwierzęcych, które w procesie ewolucji wydawały się ulegać czy też powinny być ulec nieuniknionej niwelacji i bezpowrotnemu zatarciu. Ale zbyt często się wydaje, że to tylko złudzenie. Ogromowi bólu i cierpień, nie dającej się zgłębić niedoli ludzkiej towarzyszy jak cień nieodłączny groźne, niedosiężne, przyczajone w człowieku okrucieństwo, dzikie instynkty i popędy, do czasu na uwięzi trzymane, aby się w sposobnym momencie zerwać z łańcucha i rozszaleć w bestialstwie wojny lub tajemnej, skrytej, sekretnej zbrodni. Biologiczny atom, odprysk bezmiernego świata przyrody, wszczepiony całym swym krwionośnym obiegiem w jej potężne drzewo, wszelkie ludzkie istnienie wydawało się być nikłym fragmentem wszechwładnej i wszechmocnej natury, całkowicie bezbronny wobec jej przemożnych, tajemniczych i groźnych praw. Z poziomu realistycznej obserwacji myśl przenosiła się na najwyższy *gradus* abstrakcyjnych uogólnień, zło nabierało znamion kosmicznej, metafizycznej potęgi, niezniszczalnej i wiecznej, świat przemieniał się w arenę wiekuistych bojów Ormuzda z Arymanem, w których stroną zwycięską wydawała się być w ostatecznym rachunku moc triumfująca szatana.

Oczywiście, nie jest to wyłączone i jedyne widzenie świata, jakie się narzuca pod wrażeniem obcowania z dziełem pisarza. Jest niewyczerpana w swych pięknościach rzeczywistość zjawiskowa natury, tak namiętnie, z ekstatycznym zachwytem tyle razy opisywana, ale i ona jakże często objawia nieoczekiwanie drążący ją tajemnie smutek stając się symbolem, znakiem, przejmującym wyrazem cierpień, udręk, rozpacz i zagubienia się człowieka wśród nierozwiązalnych sprzeczności życia. Nie tylko od ludzkich nieszczęść, ale i od przyrody płynie ów nie dający się odegnąć nastrój, powlekając barwą popiołu całość obrazu. Judym błakający się po alejach parku Łazienkowskiego czuł ów smutek przenikający „duszę na wskroś, jak noc przenika wodę”. Smutek ów „zostawał z człowiekiem sam na sam niby ulotny a niewątpliwy cień jego postaci. W którąkolwiek stronę, do jakiej rzeczy wzrok było obrócić, wił się po ziemi niedocieczony a wszędzie obecny”. Tego dominującego nastroju nie są zdolne pokonać ani przelotne uśmiechy miłości, ani czar natury. W świecie, który się odzuwa jako bezmiar cierpienia, nie ma miejsca na trwałe szczęście, na jakiegokolwiek szczęście.

Prawda, że są w tym świecie istoty piękne i wspaniałe, ale jakże samotne. Ta przeraźliwa, niemal złowroga samotność istot, które wydają się być usprawiedliwieniem rodzaju ludzkiego. Ostatni z niezłomnych Winrych, dowożący broń do partii powstańczej, gdy rozwiały się już wszystkie nadzieje; umierająca samotnie w chłopskiej chacie „Siłaczka”; panna Jagoda z *Mogily*, co „mężnie jak Dawid samotna szła «w imię Pańskie» naprzeciwko wroga”; Ewa nie spotka na swej drodze nikogo, kto by bez ukrytej interesowności zechciał jej pomóc. „Wszystko jest bezwzględnie złe [...] wszystko jest bez wartości [...] Nie ma na ziemi nic «pięknego», nic «szlachetnego». Wstrętna i cuchnąca od brudu jest ludzkość. Nie ma żadnych wzniosłych «dążeń», nie ma nawet pustki, bo jest na miejscu pustki zło bezgraniczne i chaos”.

Wyobraźnia broniła się przed tym rozpaczliwym wyobrażeniem bezsensu i bezcelowości czegokolwiek na ziemi tworząc czarodziejskie obrazy miłostnego uniesienia, przykłady nieugiętej wierności, nie pokonanej aż do końca, bezinteresownych i bezgranicznych poświęceń, ale jednocześnie dezawuowała je i przekreślała natychmiast spychając w otchłań zatracenia. Nad zwłokami ostatniego powstańca wlatują, spadają, krążą „wron całe gromady. Zorza szybko” gaśnie. „Zza świata” idzie „noc, rozpacz i śmierć”. Starzec i dziecko giną w drodze „do swego Boga”. Młody człowiek z *Ananke* nigdy nie zapomni tragicznego obrazu nieszczęśliwej kobiety „idącej w świat bezmierny”. Panna Stanisława umiera. Daleki świst odchodzącego pociągu i „głębokie ślady stóp syna” wyciśnięte w śniegu, staną się dla Dominika Cedzyny bolesnymi znakami jego starczej, okrutnej i bezlitosnej samotności. Dobywający się z tajemnych przepaści życia płacz rozdartej sosny jest ostatnim słowem dziejów Judyma. Fantastyczny twór kaprysu

Bodzanty rozsypuje się w gruzy po jego śmierci. Czy zostanie cokolwiek z natchnionych pomysłów Nienaskiego po bezmyślnym, absurdalnym szeregu straszliwych unicastwów? Ernesto Fosca na próżno będzie błagać o „łaskę odmiennej wieści”. „Świat pełen jest zdrady, podstępów i sprzedajności sumienia”. „Wszędzie na ziemi historia mordów i rzezi stanowi to, co nazywamy historią ludzkości”. Dzieje świata zdają się być urągliwym odrzuceniem wielkiego nakazu „Nie zabijaj!”

Świadomość zła wydaje się niekiedy tak przemożna i przytłaczająca, że zamienia się w otwartą, jawną negację życia. Nicość, nieistnienie stają się upragnione jak kojąca łaska uspokojenia. To *taedium vitae*, jakie ogarnia Raduskiego powracającego z nocnej wędrówki po okęgach ławieckiej nędzy: „Odejść dokądś, uciec, nie wiedzieć nic [...] spocząć w nicości na wieki”. Identycznej pokusy doświadcza Joasia: „Do niczego nie mam ochoty [...] pragnęłabym jednej tylko rzeczy: nie być [...] Zeszła na mnie żądza śmierci. Tylko ją jedną czułam i ona była ostatnim tętmem mojego serca”. Dla pana Granowskiego śmierć zdaje się naturalna i upragniona „jak smak wody lub pożądanie snu [...] Przypatrzył się już dostatecznie smętnemu gatunkowi ludzkiemu na wyżynie i na nizinie [...] Dostyc widoku! [...] Miał aż nadto dosyc. Nic ciekawego nie przewidywał już na przyszłość. Przeszłość zatruta była przez nieznośny wyrzut sumienia. Spać! Zapragnął śmierci”.

Zeromski jest niewątpliwie jednym z największych, a może jedynym, integralnym i konsekwentnym pesymistą w literaturze polskiej. Pesymizm decydował o nieobecności humoru, wykluczają się one w sposób oczywisty i naturalny, wynikając z przeciwstawnych przesłanek negacji i afirmacji. Jest tylko jedna dziedzina w wielopostaciowym obrazie świata, która przywołuje niekiedy ów łagodny uśmiech zabarwiony smugą ciepłego uczucia i tęsknoty: kraj lat dziecińczych, minionej bezpowrotnie młodości. Poza tą strefą wyłączoną jest już tylko miejsce na śmiech, który bywa przewrotnym korelatem mrocznej, posępnej wizji świata: na czarny humor, groteskę, na karykaturę, sarkazm, szyderstwo, ironię, drwinę. Jest to śmiech, na którego dnie czai się smutek, jak w owej scenie bluźnierczych wybryków rozwydrzonego żołdactwa, które obserwuje Cedro w splugawionym i sprofanowanym kościele hiszpańskim („pogarda buchnęła [...] jak womity”) czy w drastycznych ekscesach przypadkowego zbiorowiska okazów gatunku *homo sapiens*, jakie ogląda pan Granowski w lochach debrzańskich w czasie ofensywy rosyjskiej. Jest to śmiech wywołujący neodparty odruch sprzeciwu, wywlekający na wierzch ohydę życia. Karykaturalne obrazy prowincjonalnej wegetacji, przeświecone błyskami zjadliwego sarkazmu i szyderstwa, całe galerie figur z literackiego *panopticum* pisarza, to nie tyle wytwory humorystycznego na świat spojrzenia, ile żywiołowej awersji, która wyjaskrawia rysunek, aby tym ostrzej piętnować przedmiot swego gniewu. Śmiech ten spełnia tu rolę swoistego odczynnika chemicznego,

który wydobywa na jaw nikczemność świata. A bywa też niekiedy, że śmiech ów nabiera tonów nieprzyjemnych, gdy staje się wyraźnie zgryźliwy i napastliwy, oschły, kostyczny i szczególnie bezwzględny, jak w tej równie zjadliwej, co ów osławiony przypisek z *Przedwiośnia*, skrótowej relacji o poczynaniach Winterki, ongiś, za dni odległych Ewy Pobratyńskiej, na kieleckim bruku.

Ton drwiący to szczególna właściwość sztuki pisarskiej Żeromskiego, w którym podawane są zjawiska, ludzie i rzeczy otoczone w istocie ideową solidarnością i uczuciem sympatii. Drwina i dowcip stają się metodą opanowywania liryzmu i wylewów niepowstrzymanego wzruszenia, ale czuje się wyraźnie pod tym drwiącym grymasem istnienie skrywanego cierpienia, dojmującego smutku, wysnuwającego się bez końca z mrocznych głębin życia.

Wreszcie ironia, ten przewrotny i podstępny gatunek śmiechu, który nie działa bezpośrednio, lecz okreźnie jak gdyby, w formie aluzyjnej sugestii, suponowanego domysłu odsłania istotną wartość przedstawienia. Ironiczny uśmiech stwarzał dystans między przedmiotem obserwacji a oceniającym podmiotem. Pozwalał niejako wznieść się ponad ów śmieszny i smutny świat i spojrzeć nań z góry, jakby z wyżyn własnej, przejmującej, tragicznej wiedzy.

Wielość kategorii, w jakich ujawnia się śmiech Żeromskiego, posiada przecież jedną, wspólną dla nich właściwość: jest to śmiech, który prawie nigdy nie rozwesela, a często skłania do posępnych refleksji. Nie narusza on właściwie nigdy w stopniu istotnym założonej jedności atmosfery i tonu, lecz ją potęguje, pogłębia. Jest w swej rzeczywistej naturze jeszcze jednym eksponentem pesymistycznej wizji świata, jest pesymizmem *à rebours*. Bywa zresztą najczęściej tak organicznie wtopiony w tkanę utworu, że staje się jakby koniecznym i naturalnym elementem polifonicznej instrumentacji świata przedstawionego.

Przy zasadniczo jednolitym mrocznym nastroju tonacja dzieł Żeromskiego odznacza się bowiem jednocześnie ustawiczną ambiwalencją i zmiennym pulsowaniem współwystępujących obok siebie, w tym samym miejscu i momencie, skrajnych odcieni. Jest to sztuka rozpięta na przeciwieństwach, urzekające dzieło, zbudowane na nieustającej grze kontrastów i dysonansów — drwiny i patetyczności, liryzmu i naturalistycznych, przejmujących zgrzytów. Świat Żeromskiego nie jest światem spokojnym, osadzonym mocno i trwale na niewzruszonych fundamentach — jest rozdarty, dramatyczny, pełen bolesnego napięcia. Ale w tej to bodaj nierównowadze, w tej bogatej instrumentacji i polifonii zdaje się kryć główna i najistotniejsza przyczyna ciągle żywej młodości i nie słabnącego uroku książek tego pisarza. Z mroków tragicznych życia wyłaniają się raz po raz jasne widoki, przesuwają się wśród zabójczej szarzyzny najpiękniejsze ludzkie istnienia równoważąc jak gdyby choćby na krótką chwilę tamtą, przygnębiającą mroczność kolorytu.

Smutek i tragizm Żeromskiego są paradoksalnie twórcze, krzepiące. Jego męskie i kobiece postaci, idealne wytwory jego smutnych i rozpaczliwych marzeń, eksponenci wszystkich najwspanialszych idei tego pisarza, ponoszą klęskę lub wychodzą z dramatów, w jakie los je uwikłał, ciężko i śmiertelnie zranieni. A jednak wbrew wszystkim zagrożeniom przykład ich heroicznego zmagania każe marzyć o przeżyciu choćby jednej godziny własnego życia ich urzekającym istnieniem, nastrojonym na ton najwyższy. Jest to niezmiennie, uporczywie odzywające się w tym dziele namiętne wezwanie, czasem „cichy, niedosłyszalnie cichy, nie przekraczający ścian serca krzyk — *excelsior!*” — wyżej, wciąż wyżej!

| | | |
|----------------------------|---|---|
| Cywiński Bogdan 320 - 331 | Flaubert Gustave 11, 109, 244, 356, 438 | |
| Czechowski Dionizy 13, 181 | Furet August 83 | |
| Czechowski Kazimierz 140 | Franciszek Józef I 119 | |
| Czajkowski Piotr 245 | Adamowicz Katarzyna 323 | |
| Bobrowski Michał 175 | Adamowicz Edward 89, 90, 123, 128, 225, 226 - 227, 228, 241, 242, 243, 244, 245, 246, 247, 248, 249, 250, 251, 252, 253, 254, 255, 256, 257, 258, 259, 260, 261, 262, 263, 264, 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 293, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301, 302, 303, 304, 305, 306, 307, 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314, 315, 316, 317, 318, 319, 320, 321, 322, 323, 324, 325, 326, 327, 328, 329, 330, 331, 332, 333, 334, 335, 336, 337, 338, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 359, 360, 361, 362, 363, 364, 365, 366, 367, 368, 369, 370, 371, 372, 373, 374, 375, 376, 377, 378, 379, 380, 381, 382, 383, 384, 385, 386, 387, 388, 389, 390, 391, 392, 393, 394, 395, 396, 397, 398, 399, 400, 401, 402, 403, 404, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 411, 412, 413, 414, 415, 416, 417, 418, 419, 420, 421, 422, 423, 424, 425, 426, 427, 428, 429, 430, 431, 432, 433, 434, 435, 436, 437, 438, 439, 440, 441, 442, 443, 444, 445, 446, 447, 448, 449, 450, 451, 452, 453, 454, 455, 456, 457, 458, 459, 460, 461, 462, 463, 464, 465, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 477, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503, 504, 505, 506, 507, 508, 509, 510, 511, 512, 513, 514, 515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 837, 838, 839, 840, 841, 842, 843, 844, 845, 846, 847, 848, 849, 850, 851, 852, 853, 854, 855, 856, 857, 858, 859, 860, 861, 862, 863, 864, 865, 866, 867, 868, 869, 870, 871, 872, 873, 874, 875, 876, 877, 878, 879, 880, 881, 882, 883, 884, 885, 886, 887, 888, 889, 890, 891, 892, 893, 894, 895, 896, 897, 898, 899, 900, 901, 902, 903, 904, 905, 906, 907, 908, 909, 910, 911, 912, 913, 914, 915, 916, 917, 918, 919, 920, 921, 922, 923, 924, 925, 926, 927, 928, 929, 930, 931, 932, 933, 934, 935, 936, 937, 938, 939, 940, 941, 942, 943, 944, 945, 946, 947, 948, 949, 950, 951, 952, 953, 954, 955, 956, 957, 958, 959, 960, 961, 962, 963, 964, 965, 966, 967, 968, 969, 970, 971, 972, 973, 974, 975, 976, 977, 978, 979, 980, 981, 982, 983, 984, 985, 986, 987, 988, 989, 990, 991, 992, 993, 994, 995, 996, 997, 998, 999, 1000 | Abrahamowicz Stanisław 302, 303, 304, 305, 306, 307, 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314, 315, 316, 317, 318, 319, 320, 321, 322, 323, 324, 325, 326, 327, 328, 329, 330, 331, 332, 333, 334, 335, 336, 337, 338, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 359, 360, 361, 362, 363, 364, 365, 366, 367, 368, 369, 370, 371, 372, 373, 374, 375, 376, 377, 378, 379, 380, 381, 382, 383, 384, 385, 386, 387, 388, 389, 390, 391, 392, 393, 394, 395, 396, 397, 398, 399, 400, 401, 402, 403, 404, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 411, 412, 413, 414, 415, 416, 417, 418, 419, 420, 421, 422, 423, 424, 425, 426, 427, 428, 429, 430, 431, 432, 433, 434, 435, 436, 437, 438, 439, 440, 441, 442, 443, 444, 445, 446, 447, 448, 449, 450, 451, 452, 453, 454, 455, 456, 457, 458, 459, 460, 461, 462, 463, 464, 465, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 477, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503, 504, 505, 506, 507, 508, 509, 510, 511, 512, 513, 514, 515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 837, 838, 839, 840, 841, 842, 843, 844, 845, 846, 847, 848, 849, 850, 851, 852, 853, 854, 855, 856, 857, 858, 859, 860, 861, 862, 863, 864, 865, 866, 867, 868, 869, 870, 871, 872, 873, 874, 875, 876, 877, 878, 879, 880, 881, 882, 883, 884, 885, 886, 887, 888, 889, 890, 891, 892, 893, 894, 895, 896, 897, 898, 899, 900, 901, 902, 903, 904, 905, 906, 907, 908, 909, 910, 911, 912, 913, 914, 915, 916, 917, 918, 919, 920, 921, 922, 923, 924, 925, 926, 927, 928, 929, 930, 931, 932, 933, 934, 935, 936, 937, 938, 939, 940, 941, 942, 943, 944, 945, 946, 947, 948, 949, 950, 951, 952, 953, 954, 955, 956, 957, 958, 959, 960, 961, 962, 963, 964, 965, 966, 967, 968, 969, 970, 971, 972, 973, 974, 975, 976, 977, 978, 979, 980, 981, 982, 983, 984, 985, 986, 987, 988, 989, 990, 991, 992, 993, 994, 995, 996, 997, 998, 999, 1000 |

INDEKS NAZWISK

- Abramowicz Zofia 323
 Abramowski Edward 69, 82, 86, 125, 138,
 225, 226 - 232, 239, 241, 247, 249, 350
 Adamczewski Stanisław 302, 398, 427 - 428
 Abrecht Andrzej 76
 Abrechtowa z Saskich Maria 76
 Andriejew Leonid 92 - 93
 Apuchtin Aleksandr 15, 20, 28, 173
 Arcybaszew Michaił 159
 Askenazy Szymon 80, 84, 121 - 122, 195 -
 - 196
 Asnyk Adam 46
 Asquith Herbert Henry 104
 Aster Ernst von 325

 Bakaj Michaił 99 - 101
 Baley Stefan 333 - 335
 Balicki Zygmunt 69
 Balzac Honoré de 109, 344
 Bartmann Bernhard 325
 Baudelaire Charles 302
 Baudouin de Courtenay Jan 80, 408
 Beardsley Aubrey 108
 Bebel August 236
 Beethoven Ludwig van 292 - 294
 Bem Antoni Gustaw 23, 25 - 26, 29, 31,
 33 - 34
 Berent Waclaw 82
 Bertholet Alfred 324
 Biegański Wiktor 141
 Bielyj Andriej 185
 Bieńkiewicz Waclaw 41
 Biernacki Mieczysław 90
 Bleuler Eugen 335
 Bleszyński Kazimierz 110
 Blok Aleksandr 185
 Błoński Jan 306 - 307

 Bobrzyński Michał 175
 Bohusz Marian zob. Potocki Józef Karol
 Boleski Andrzej 171
 Borkowska Ludwika Dunin 36
 Borowski Antoni ks. 313 - 314
 Borowski Karol 141
 Borowy Waclaw 10, 125, 154, 162, 334, 349,
 442 - 443
 Bougaud, biskup 313
 Bourget Paul 346
 Böök Friedrik 150 - 151
 Brandes Georg 29, 182, 346
 Branicy 68
 Breiter Emil 141, 146 - 147, 154
 Briand Aristide 104
 Broniewski Władysław 159
 Brun-Bronowicz Julian 159
 Bruner Ludwik zob. Sten Jan
 Brzozowski Stanisław 80, 99 - 100, 137, 304,
 376, 393
 Buckle Henry Thomas 188
 Bujak Franciszek 132
 Bukowski Henryk 66, 68, 72

 Camus Albert 188 - 189
 Cantù Cesare 29
 Cassirer Ernst 325
 Ch. 106
 Chajn Leon 125
 Chałubiński Tytus 83
 Chełchowski Kazimierz 59
 Chmielewska z Medunieckich I v. Radzi-
 wiłłowiczowa Oktawia 60
 Chmielewski Konrad, ojciec 58, 60, 66
 Chmielewski Konrad, syn 60
 Chmielewski Zygmunt 60, 125
 Chmieliński Zygmunt 13

- Chmielowski Adam 299 - 301
 Chmielowski Piotr 25
 Chodźko Leonard 72
 Chopin Fryderyk 45
 Chramiec Andrzej 76
 Chrzanowski Bernard 130
 Chrzanowski Ignacy 150
 Chudek Józef 170
 Cieślakowscy Teresa i Sławomir 306
 Colleoni Bartolomeo 98
 Conrad Joseph 344
 Coppée François 43
 Cywiński Bogdan 320 - 321
 Czachowski Dionizy 13, 191
 Czachowski Kazimierz 149
 Czajkowski Piotr 293 - 295
 Czaplicki Stanisław 42
 Czarnocka Henryka 60
 Czarnocki Konrad 149, 151 - 152
 Czengiery Onufry 191
 Czerwiński Teodor 25, 31, 163 - 164

 Daniłowski Gustaw 82, 85, 90, 118
 Daszyński Ignacy 69
 Dąbrowska Maria 77, 112 - 113, 126, 148
 Dąbrowski Jan Henryk 196
 Dąbrowski Kazimierz 337, 339 - 340, 342
 Debay Auguste 29
 Dembowski Bronisław 65
 Deutscher Izaak 162
 Dewitz Feliks 41
 Dębicki Zdzisław 98
 Dickens Charles 344
 Dłuska Maria 443
 Dłużewski Julian Nowak 28
 Dmowski Roman 69
 Dobrowolski Aleksander 19
 Dostojewski Fiodor 32, 182, 184 - 185, 326 -
 - 327, 344 - 345
 Drabik Wincenty 141
 Draper John William 29
 Drogoszewski Aureli 79
 Drozdowicz-Jurgielewiczowa Irena 395,
 402, 433, 442
 Dubrowski Piotr 20
 Dumas Alexandre, syn 42
 Duninówna Helena 106
 Dybciak Krzysztof 307
 Dygasiński Adolf 22, 60, 248, 344
 Dzieduszycki Wojciech 16
 Dzierżyński Feliks 137, 206

 Eichhorst Hermann 67
 Eile Stanisław 7, 71, 99
 Ekblom R. 150
 Engałyczew, książę 122

 Falkenstein Karol 29
 Fałttowa Natalia 51, 57
 Feldman Wilhelm 16, 80, 96 - 97, 99, 110,
 112 - 113, 127
 Filipkiewicz Stefan 85
 Firlej-Bieleńska Karolina 190
 Fitz-Williams Wentworth Charles 29
 Flach Józef 96
 Flaubert Gustave 32, 109, 344, 350, 426
 Forel August 69
 Franciszek Józef I 118
 Fredro Aleksander 42

 Gałęzowski Józef 68, 71 - 72
 Garibaldi Giuseppe 68
 Garszyn Wsiewołod 182
 Geisler Aleksandr 24
 Glass Grzegorz 111
 Gluck Christoph Willibald 293, 295
 Głowiński Michał 347, 415
 Godlewski Mściśław 22
 Gomulicka 170
 Gomulicki Juliusz Wiktor 169
 Gomulicki Wiktor 56, 169
 Goncourt Edmond i Jules 346
 Goremykin Iwan 121
 Gorki Maksym 92
 Gorki Maria 93
 Górski Artur 104
 Górski Konrad 157, 302
 Górski Michał 57 - 59, 63
 Grabski Stanisław 69, 166
 Gregorowicz Jan Kanty 33
 Grodzicki August 351
 Grottger Artur 170, 191
 Grudziński Antoni 66
 Gruszecka-Nitschowa Aniela 336
 Gruszecki 20
 Gwalter, lekarz 67

 Haller Józef 137
 Hauke Bosak Józef 13
 Heine Heinrich 51
 Henelowa Józefa 140
 Hercen Aleksandr 68, 187
 Heryng Zygmunt 82
 Hiller Herman 22
 Horzyca Wilam 342

- Höfding Harald 309
Hugo Victor 29
Hulewicz Jan 47, 232 - 233
Hurko Josif 15 - 16, 173
Hus Jan 29, 34
Hutnikiewicz Artur 13, 21, 89, 135, 144,
172, 225, 345, 348, 388, 398 - 399, 408, 435
Howajski Dmitrij 21
Irzykowski Karol 131, 156 - 157, 377, 395,
408, 424
Iwaszkiewicz Jarosław 131, 166
Izmajłow Aleksandr 41
Jabłonowski Władysław 75, 112 - 113
Jabłońska Krystyna 165
James William 309, 311 - 318
Janaszek-Ivaničkova Halina 244
Janiszewski Tomasz 76
Jaracz Stefan 141, 147, 153
Jasinowski Bogumił 235
Jasińska-Wojtkowska Maria 412
Jasiński Zdzisław 143
Jaurès Jean 104
Jensen Alfred 149 - 150
Jesienin Siergiej 185
Jeske-Choński Teodor 97, 112
Jeziorański Antoni 191
Jeż Teodor Tomasz 29, 46, 69, 343
Józefowicz Michał 48
Józefowicz Stanisław 48
Jusserand 137
Kaden-Bandrowski Juliusz 118, 131, 209
Kallenbach Józef 68
Kamieński Henryk 232
Karbowski Antoni 19
Karlgrén Anton 150
Karłowicz Jan 60, 66
Karłowicz Mieczysław 84
Karpow Michaił 35
Kasprowicz Jan 119, 134
Kasztelowicz Stanisław 7
Katerla z Jackowskich Agnieszka 9
Katerla Józef 9
Katkow Michaił 173, 182, 184
Kawyn Stefan 226
Kądziała Jerzy 8 - 9, 19, 25, 35, 40, 63 - 65,
67, 72, 170
Key Ellen 92
Kieniewicz Stefan 13
Kisielewska Józefa 113
Kisielewski Zygmunt 142, 147
Kleczyńska z Zawadzkich Aniela 107, 144
Kleczyński Jan 107
Kleiner Juliusz 191
Kłyszewski Władysław 105
Kołaczkowski Stefan 376
Komornicka Maria 80 - 81
Kon Feliks 137, 206
Kon Hieronim 104
Konopnicka Maria 29, 46, 248
Korniłowiczowie 114
Korolenko Władymir 182
Korzon Tadeusz 74, 195
Kossuth Lajos 68
Kostecki Faustyn 23
Kościszko Tadeusz 48
Kotarbiński Józef 32, 110 - 111, 153
Kowalska Aniela 189
Kozicki Władysław 134, 149, 233
Kozłowski Medard 114, 119
Kraszewski Józef Ignacy 32 - 33, 45
Kretschmer Ernst 227, 334, 338
Krzczkowski Konstanty 228, 232
Krzemiński Stanisław 227, 241
Krzywicki Ludwik 47, 82
Krzywobłocka Joanna 60
Krzyżanowski Julian 104
Kucharski Eugeniusz 389 - 390, 399, 444
Kunczewiczowa Maria 126
La Fayette Marie Joseph de 68
Lagerlöf Selma 150
Lange Antoni 32, 104
Lange Oskar 231
Langiewicz Marian 13, 191
Lasocki Wacław 58
Latawiec Czesław 327
Lechoń Jan 131, 134 - 136, 154, 166, 336
Lehmann Edvard 324
Lelewel Joachim 29
Leonardo da Vinci 298
Leopardi Giacomo 60
Lermontow Michaił 33
Leszczyński Bolesław 42
Lewakowski Karol 68
Ligocki Edward 158
Lilienfeld-Krzemski Karol 115
Limanowski Bolesław 32, 69, 225
Limanowski Mieczysław 85, 140, 147
Lisowski Zbigniew 172
Lloyd George Dawid 104
Lorentowicz Jan 99, 113, 148 - 149, 152
Lubowiecka Aniela 14, 113
Lubowski Edward 42

- Lukrecjusz 148
 Luxemburg Róża 69, 137
 Lagowski Florian 22, 67
 Lopalewski Tadeusz 129
 Machajski Jan Waclaw 27 - 28, 63
 Macztiet Grigorij 182
 Makuszyński Kornel 142
 Malanowicz-Niedzielska Maria 153
 Malinowski Władysław Pobóg 46
 Małkowski Andrzej 114
 Marchlewski Julian 69, 137, 206
 Margueritte Victor 158
 Margrafski 16
 Markiewicz Henryk 225, 401
 Marks Karol 86
 Matlakowski Władysław 65
 Mauszewski Ignacy 97, 126, 162
 Maupassant Guy de 32, 346
 Mendrys Tadeusz 158
 Michałowski Zygmunt 149
 Miciński Tadeusz 85, 108, 326 - 327
 Mickiewicz Adam 26, 29, 46, 68, 95, 110,
 138, 232 - 233
 Mickiewicz Władysław 68, 105
 Mieczkowski, ksiądz 137
 Migasiński Emil Lucjan 103
 Mikołaj I 184
 Miłaszewski Stanisław 149
 Mirecka Jadwiga Czaki 42
 Mochnacki Maurycy 261
 Montalembert Charles René Forbes de 68
 Mortkiewicz Jakub 126, 130, 143, 154
 Mortkowicz-Olczakowa Hanna 107 - 108,
 130, 165
 Morzycka Faustyna 95
 Mroziński Józef 351
 Murawiew Michaił 173
 Murger Henri 44
 Naake-Nakęski Waclaw 157 - 158
 Nalepiński Tadeusz 102
 Nałkowski Waclaw 47
 Napoleon I 48, 78, 198 - 200, 293
 Napoleon III 121
 Naruszewicz Adam 170
 Narutowicz Gabriel 155
 Nehring Władysław 68
 Niemojewski Andrzej 47, 82
 Niesiolowski Tymon 85
 Nietzsche Friedrich 92
 Nitsch Kazimierz 150
 Noiret Zofia 43
 Nowicki Fortunat 58, 76
 Noyszewski Stanisław Piołun 8, 13, 65, 345
 Nuttin Joseph 333, 335
 Ochorowicz Julian 37
 Odyniec Antoni Edward 107
 Offenberg Jan 45
 Ohnet Georges 42
 Olchowiczowa 164
 Orkan Władysław 85, 118
 Ortwin Ostap 75, 115
 Orzeszkowa Eliza 79, 80, 96, 248, 347
 Österling Anders 150
 Osterwa Juliusz 139 - 140, 147, 153
 Osterwina z Malinowskich Wanda 139 -
 - 140
 Ostrowski Adam 19
 Ostrowski Wojciech 19
 Owidiusz 313
 Ożarowska, hrabina 44
 Pachoński Jan 351
 Paderewski Ignacy Jan 59, 105
 Pajewski Janusz 118
 Palińska Helena Marcello 42 - 43
 Parandowski Jan 146
 Parulska Bożena 391, 407, 410
 Paszek Jerzy 430
 Patkowski Aleksander 152
 Pawlikowski Mieczysław 169
 Pazdur J. 45
 Pieniążek, profesor 114
 Pieńkowski Stanisław 142
 Pietrzykowski Lucjan 41
 Picasso Pablo 108
 Pietuchow 83
 Pigoń Stanisław 418, 427
 Pilat Roman 68
 Piltz, lekarz 134
 Piltz Erazm 15
 Piłsudski Bronisław 69, 393
 Piłsudski Józef 69, 82 - 83, 87, 94, 101,
 117 - 119, 123 - 124, 136, 193, 205 - 207
 Piwiński Leon 148
 Plater Władysław Broel 67 - 68
 Platon 325
 Plenkiewicz Roman 22
 Pławicki Otton 41, 44
 Plotto 83
 Pokrowski Michaił 181 - 182
 Połubiński Jan 14, 113
 Popławski Jan Ludwik 47 - 48

- Posner Stanisław 76, 82, 104 - 105
 Potocki Antoni 63, 71, 96 - 97, 110
 Potocki Józef Karol 227, 241
 Praksyteles 298
 Praussowie 114
 Pronaszko Andrzej 140
 Prus Bolesław 22, 29, 32, 59 - 60, 62 - 64,
 67, 71, 248, 343, 347
 Przesmycki (Miriam) Zenon 79, 81, 143
 Przewoński Edward 32
 Przybyszewski Stanisław 97, 283
 Przysiecki Feliks 122
 Ptaszycki Stanisław 90
 Pusłowski Franciszek Ksawery 161
 Puszkin Aleksandr 160
 Rabski Władysław 140, 142, 153
 Radziszewska z Zeitheimów Helena 37 -
 - 39, 43, 49
 Radziszewski Leon 37, 39, 49
 Radziwiłł Ferdynand 16
 Radziwiłłowicz Ignacy 60
 Radziwiłłowicz Rafał 60, 65, 72 - 73, 77,
 125
 Radziwiłłowicz Stanisław 60
 Rafael 298
 Rapacki Wincenty 42 - 43
 Renan Ernest 31
 Reymont Władysław Stanisław 96, 104,
 149, 151, 248
 Ribera Jusepe de 299
 Rienzi Nicolao di 29, 34
 Rittner Tadeusz 80
 Rochés Ferdinand 108
 Rodkiewicz Henryk 61
 Rodkiewiczówna Henryka 61, 67, 82, 90 -
 - 91
 Rops Félicien 108
 Rostworowski Karol Hubert 157 - 158
 Rubczyński Witold 162
 Ruszczyc Ferdynand 136
 Rutowski Tadeusz 106
 Rużycki de Rosenwert Włodzimierz 68,
 71 - 72, 76, 106
 Rybarski Feliks 24
 Rychłowski Edward 41
 Rymkiewicz Jarosław Marek 261
 Rzążewska Aniela 51, 57, 59, 169
 Rzążewski Adam 57
 Sabała (Krzęptowski Jan) 65
 Sabatier Auguste 317
 Sacewicz Kazimierz 76
 Sardou Victorien 42, 141
 Sarnecki Zygmunt 42
 Sarto Andrea del 299
 Saska z Żeromskich Józefata 14, 113
 Saska z Żeromskich Ludwika 36
 Saska z Żeromskich Matylda 22
 Saski Gustaw 14
 Saski Józefat 49, 162
 Savonarola Girolamo 29, 34
 Sawczyk Walenty 4
 Scheler Max 444
 Schiller Friedrich 42 - 43
 Schiller Leon 131
 Schmidt Ignacy 7
 Schmidtowie 49
 Schopenhauer Arthur 60, 327
 Schwartz, madame 67
 Siedlecki Adam Grzymała- 112 - 113, 127,
 136
 Siemaszkowa Wanda 140
 Siemiradzki Henryk 59
 Siemiradzki Tomasz 23 - 24
 Sienicki Stanisław 73
 Sienkiewicz Henryk 32, 60, 103 - 105, 343 -
 - 344, 347
 Sieroszewski Wacław 82, 90, 103 - 104, 118
 Sikorski Władysław 118
 Skałkowski Adam 195
 Skierska Helena 36
 Skierski Henryk 36
 Skiwski Jan Emil 233, 252, 376
 Skwarczyńska Stefania 389 - 390
 Sławek Walery 94 - 95
 Słodkowski Władysław 20
 Słonimski Antoni 131
 Słowacki Juliusz 26 - 27, 29, 42, 110
 Sobieski Wacław 150
 Sokolnicki Michał, generał 84
 Sokolnicki Michał 83 - 85, 90 - 91, 94, 100 -
 - 101, 195
 Sokołowski August 105
 Sokrates 307, 325
 Solski Ludwik 153
 Sołowiow Władymir 182
 Sołtyk Kajetan 23
 Soplica zob. Czaplicki Stanisław
 Sorel Georges 126, 138, 233, 249, 350
 Spasowicz Włodzimierz 15
 Sperański Nikolaaj 23
 Srokowski Konstanty 121
 Stanisławski Konstanty 140

- Stefanowski Antoni 162
 Stempowski Stanisław 82
 Sten Jan 77
 Stender-Petersen Adolf 151
 Stendhal (Beyle Henri) 109, 344
 Stolarczyk Józef 65
 Strachocki Janusz 141
 Strauss Dawid Friedrich 31
 Strok Sławomira 354
 Stroński Stanisław 105
 Strożecki Jan 26 - 27, 57
 Strug Andrzej 104, 118
 Strzałkowa Maria 351
 Sułkowski Józef 78
 Sygietyński Antoni 32
 Szaniawski Jerzy 140
 Szekspir William 64, 344
 Szpotański Stanisław 105, 232
 Szymanowski Karol 84, 111
- Sciegienny Piotr 22
 Sliwicki Józef 153
 Świętochowski Aleksander 25, 40, 139
- Taine Hippolyte 29, 346
 Tatarkiewicz Jan 42
 Tatarkiewicz Władysław 325
 Tokarz Waclaw 80, 195
 Tołstoj Lew 32, 64, 327, 344 - 345
 Tomasz z Akwinu, święty 287
 Tomaszewski Michał 7
 Trepka Adolf 7
 Trepkowa Tekla Nekanda- 7
 Trzynadłowski Jan 390
 Tuchaczewski Michał 136 - 137, 206
 Tuczyński Jan 327
 Turgieniew Iwan 29, 32, 182, 344 - 346
 Tycjan 298
- Ujejski Józef 169, 209
 Uspieński Gleb 182
- Waliszewski Kazimierz 32
 Wapiński Roman 46
 Wasilewski Zygmunt 21, 47, 66, 71, 124,
 147, 334
 Wester Ellen 149 - 151
 Wędkiewicz Stanisław 149
 Węgierski Kajetan 29
 Wielopolska Maria Jehanne- 161, 190
 Wielopolski Zygmunt 15
 Wierzbowski Teodor 20, 22
- Wierzyński Kazimierz 131, 166
 Wisnowska Maria 42 - 43
 Witkiewicz Jan 84, 90, 128
 Witkiewicz Stanisław 32, 60, 64 - 65, 89
 Witkiewicz Stanisław Ignacy 85
 Wojciechowski Stanisław 69, 82, 152, 166
 Wójcik Grzegorz 95
 Wolska Maryla 92
 Worcell Stanisław 240 - 241
 Woronkow Siewierian 23
 Wroczyński Kazimierz 112
 Wrotnowski Maksymilian 107
 Wyka Kazimierz 195, 198
 Wyrzykowski Stanisław 102
 Wysłouch Bolesław 64
 Wysocki Alfred 149, 151
 Wypiański Stanisław 87, 99, 110
- Zaborowska Łucja 50 - 51
 Zaborowski Jan 50
 Zahorska Anna 302
 Zajęcki Jan 7
 Zamoyski Maurycy 73 - 74
 Zamoyski Władysław 241, 243
 Zapolska Gabriela 141
 Zawadzka z Wrotnowskich Maria
 Zawadzka Natalia 107
 Zawadzki Antoni 107
 Zawistowski Władysław 139, 148, 157
 Zieliński Józef 104
 Zieliński Leon 162
 Zlasnowski Karol 36
 Zola Emile 32, 346
- Żeleński Boy Tadeusz 76 - 77, 140 - 141,
 154
 Żeromska Aleksandra 34 - 35
 Żeromska z Zawadzkich Anna 107 - 109,
 113 - 116, 118 - 119, 129, 144, 165 - 166
 Żeromska z Zeitheimów Antonina 34 - 35,
 37
 Żeromska Bolesława 35
 Żeromska z Katerłów Józefa 7, 9 - 10, 19,
 26, 30, 34
 Żeromska z Kłodnickich Klara 8
 Żeromska Monika 115 - 116, 119, 129, 164 -
 - 165
 Żeromska z Radziwiłłowiczów I v. Rod-
 kiewiczowa Oktawia 9, 11, 60 - 67, 71 -
 - 76, 78 - 79, 83, 85, 90, 102 - 103, 106,
 110, 112, 114 - 116, 165, 170, 334, 336

INDEKS UTWORÓW

- „Ach, gdybym kiedy dożył tej pociechy”
56, 112
- Ananke 62, 172, 414
- Aryman mści się 81 - 82, 283, 286
- Biała rękawiczka 141 - 142
- Charitas 242, 260, 268, 273, 276, 282, 287 -
- 288, 312, 315 - 316, 318, 359, 363, 368,
411
- Cienie 261 - 262, 327
- „Cokolwiek się zdarzy, niech uderza we
mnie” 62, 316
- Doktor Piotr 70, 221 - 223, 369, 396 - 397
- Do swego Boga 64, 172
- Drożynna i Zamoyszczyzna 243
- Duma o hetmanie 96, 98 - 99, 187, 301
- Dzieje grzechu 11, 43, 96 - 98, 241 - 242,
259, 262 - 263, 265, 271, 273, 275, 278 -
- 279, 282 - 283, 287, 292, 295, 297 - 298,
304, 307, 311, 313 - 315, 327, 329 - 330,
357 - 360, 362, 364, 367, 370, 384, 393,
402, 407 - 410, 415, 424 - 425
- Dzienniki 34, 37, 39, 55 - 56
- Echa krakowskie 56
- Echa leśne 172
- Elegia 56, 112
- Elegie 207 - 208, 299, 322
- Grzech 139, 267
- Inter arma 134
- Lili 356
- Literatura a życie polskie 132, 227
- Ludzie bezdomni 11, 76 - 77, 214, 219, 240,
245, 254 - 257, 259 - 260, 272, 274, 303,
307 - 308, 311, 313, 323, 329, 355, 357,
360, 363, 369, 373, 375, 384, 410, 415
- Męka 215 - 216
- Międzymorze 147 - 149
- Mogiła 70, 172 - 173, 186 - 188, 257, 268, 303,
319, 321, 400 - 401, 413 - 414, 431
- Na broń 87
- Nagi bruk 90, 94
- Na probostwie w Wyszkwowie 136 - 137,
206, 239
- Nawracanie Judasza 184, 223 - 224, 236 -
- 237, 240, 265, 285, 290, 294, 297 - 298,
300, 304, 307 - 308, 315, 317, 322, 394,
416, 425
- Niedobitek 56, 172
- Nokturn 90 - 91, 94
- Nowa Warszawa 322
- O Adamie Zeromskim wspomnienie 127 -
- 128
- Oko za oko 64, 254, 266 - 267, 301 - 302, 368,
372
- Opowiadania 70 - 71
- O przyszłość Raperswilu 106
- Organizacja inteligencji zawodowej 138,
244, 246, 248
- [Ostatnie notaty] 162 - 163
- O żołnierzu tułaczku 70, 79, 211 - 212, 217,
399
- Pavoncello 273, 276, 280, 291, 357 - 358, 404,
408
- Piosnka rolnika 33

- Pisma literackie i krytyczne 343 - 344
Pocałunek 169 - 172
Początek świata pracy 138, 204, 215, 238 -
- 239, 241, 247 - 250
Pod pierzyną 379, 433, 439, 441
Podróż do Włoch 91 - 92
Poganin 64, 172, 183
Pokusa 62, 303
Pomyłki 147 - 148, 305, 308, 312
Ponad śnieg bielszym się stanę 139 - 141
Papiolę 12, 43, 77 - 81, 83, 151, 196 - 200,
217 - 218, 235 - 236, 240, 254 - 255, 257,
260, 271, 273 - 274, 276 - 279, 290 - 291,
296, 308, 314, 316, 318, 382, 386, 392, 399,
402, 407 - 409, 418, 433
Po Sedanie 62
Powieść o Walgierzu Udałym 81 - 82
Pragnienie (z Lermontowa) 33
Promień 12, 219, 287, 359, 410
Przedwiośnie 11 - 13, 154 - 162, 205, 207, 215,
219 - 220, 227, 234 - 235, 246, 258, 284,
310, 322, 328 - 329, 361, 365, 367, 380,
394 - 395, 397 - 398, 407, 410, 418 - 420,
423, 425, 429, 432, 438 - 441
Psie prawo 56
Puszcza jodłowa 163
Rozdzióbią nas kruki, wrony... 70, 172,
191 - 195, 379
Róża 100 - 101, 139, 183, 202 - 203, 233, 235,
246, 264, 270, 330
Sen o spadzie 89 - 91, 94
Sędzia — „obrusitiel” 181 - 182
Siłaczka 45, 62 - 63, 257, 272, 328, 375, 396,
404, 415 - 416, 434
Słowo o bandosie 95, 241
Snobizm i postęp 184 - 185, 239, 427
Spod Stopnicy 56
Sulkowski 99, 102, 110 - 111, 139, 218, 240,
286
Syzyfowe prace 10, 12, 36 - 37, 74 - 75, 173 -
- 181, 186, 188 - 189, 214, 254 - 256, 258,
264, 312, 316, 354, 365 - 366, 369 - 371,
379 - 381, 391 - 392, 394 - 396, 400, 403 -
- 406, 410, 413, 416 - 417, 421 - 422, 430 -
- 433
Tabu 307, 328
Turoń 147, 201 - 202
Uciekła mi przepióreczka 152 - 154
Uroda życia 12, 102, 111 - 112, 176, 183 -
- 184, 189 - 190, 219, 265, 280 - 281, 284 -
- 286, 293, 303 - 304, 310, 318, 329, 357 -
- 358, 375, 392 - 394, 402 - 404, 408 - 409
Utwory powieściowe 75
Walka z szatanem 125 - 127, 203 - 204
Wiatr od morza 145 - 146, 151, 208 - 209,
260 - 261, 317, 319, 328, 399
Wierna rzeka 12, 14, 113, 150, 186 - 187,
191 - 192, 194, 264 - 265, 271, 273, 275,
286, 308, 394, 407 - 408, 411
W odpowiedzi Arcybaszewowi i innym
159 - 160
W sidłach niedoli 70
W sprawie Machajskiego 27 - 28
Wszystko i nic 201
Zamieć 224 - 225, 281 - 282, 285, 295, 394,
409 - 410, 423 - 424
Zapiski z podróży 298 - 299
Zapomnienie 62, 112 - 113, 258, 407, 414
Złe przecucie 62, 328
Zmierzch 112 - 113, 383
Źródło 245

SPIS TREŚCI

| | |
|-------------------------|---|
| Słowo wstępne | 5 |
|-------------------------|---|

Część I. Życie i twórczość

| | |
|--|-----|
| Rozdział I. Dom, dzieciństwo, lata nauki | 7 |
| Rozdział II. Wielkie nadzieje i stracone złudzenia | 40 |
| Rozdział III. Nałęczów — Raperswil | 57 |
| Rozdział IV. Wielkość, sława | 73 |
| Rozdział V. W wirach rewolucji | 88 |
| Rozdział VI. „Wieczne zmartwienie” i „uroda życia” | 103 |
| Rozdział VII. Inter arma | 117 |
| Rozdział VIII. W brzasku niepodległości | 132 |
| Rozdział IX. Ostatnie słowa | 147 |

Część II. Tematy

| | |
|--|-----|
| Rozdział I. Ojczyzna to „najpierwszy obowiązek” Polaków | 169 |
| Rozdział II. „Zle ... jest tylko jedno: krzywda bliźniego” | 211 |
| Rozdział III. Natura | 253 |
| Rozdział IV. Imiona miłości | 264 |
| Rozdział V. Królestwo sztuki | 289 |
| Rozdział VI. Dziedzina sacrum | 302 |
| Rozdział VII. Daimonion | 323 |

Część III. Artyzm i technika

| | |
|---|-----|
| Rozdział I. Osobowość pisarska | 333 |
| Rozdział II. Rodowód literacki | 343 |
| Rozdział III. Tworzywo | 349 |
| Rozdział IV. Struktura postaci i obrazów przestrzeni świata przedstawionego | 353 |
| Rozdział V. Budowa i kompozycja | 388 |
| Rozdział VI. Formy podawcze | 412 |
| Rozdział VII. Język i styl | 426 |
| Rozdział VIII. Tonacja | 444 |
| Indeks nazwisk | 450 |
| Indeks utworów | 457 |

Pisma literackie i krytyczne 342 - 344
 Poradnik 168 - 173
 Pociąg światła pracy 120, 204, 210, 230 -
 - 239, 241, 247 - 250
 Pod parzą 379, 433, 438, 441
 Podróż do Włoch 51 - 93
 Paganin 64, 172, 183
 Piekarski 62, 303
 Pomyłki 147 - 149, 205, 208, 312
 Ponad śnieg białym się stanie 137 - 141
 Popioły 12, 43, 77 - 81, 83, 101, 198 - 200,
 217 - 218, 225 - 236, 246, 252 - 253, 255 - 256, 258 - 259, 261 - 262, 264 - 265, 267 - 270, 290 - 292, 294 - 295, 297 - 298, 300 - 301, 303 - 304, 306 - 307, 309 - 310, 312 - 313, 315 - 316, 318 - 319, 321 - 322, 324 - 325, 327 - 328, 330 - 331, 333 - 334, 336 - 337, 339 - 340, 342 - 343, 345 - 346, 348 - 349, 351 - 352, 354 - 355, 357 - 358, 360 - 361, 363 - 364, 366 - 367, 369 - 370, 372 - 373, 375 - 376, 378 - 379, 381 - 382, 384 - 385, 387 - 388, 390 - 391, 393 - 394, 396 - 397, 399 - 400, 402 - 403, 405 - 406, 408 - 409, 411 - 412, 414 - 415, 417 - 418, 420 - 421, 423 - 424, 426 - 427, 429 - 430, 432 - 433, 435 - 436, 438 - 439, 441 - 442, 444 - 445, 447 - 448, 450 - 451, 453 - 454, 456 - 457, 459 - 460, 462 - 463, 465 - 466, 468 - 469, 471 - 472, 474 - 475, 477 - 478, 480 - 481, 483 - 484, 486 - 487, 489 - 490, 492 - 493, 495 - 496, 498 - 499, 501 - 502, 504 - 505, 507 - 508, 510 - 511, 513 - 514, 516 - 517, 519 - 520, 522 - 523, 525 - 526, 528 - 529, 531 - 532, 534 - 535, 537 - 538, 540 - 541, 543 - 544, 546 - 547, 549 - 550, 552 - 553, 555 - 556, 558 - 559, 561 - 562, 564 - 565, 567 - 568, 570 - 571, 573 - 574, 576 - 577, 579 - 580, 582 - 583, 585 - 586, 588 - 589, 591 - 592, 594 - 595, 597 - 598, 600 - 601, 603 - 604, 606 - 607, 609 - 610, 612 - 613, 615 - 616, 618 - 619, 621 - 622, 624 - 625, 627 - 628, 630 - 631, 633 - 634, 636 - 637, 639 - 640, 642 - 643, 645 - 646, 648 - 649, 651 - 652, 654 - 655, 657 - 658, 660 - 661, 663 - 664, 666 - 667, 669 - 670, 672 - 673, 675 - 676, 678 - 679, 681 - 682, 684 - 685, 687 - 688, 690 - 691, 693 - 694, 696 - 697, 699 - 700, 702 - 703, 705 - 706, 708 - 709, 711 - 712, 714 - 715, 717 - 718, 720 - 721, 723 - 724, 726 - 727, 729 - 730, 732 - 733, 735 - 736, 738 - 739, 741 - 742, 744 - 745, 747 - 748, 750 - 751, 753 - 754, 756 - 757, 759 - 760, 762 - 763, 765 - 766, 768 - 769, 771 - 772, 774 - 775, 777 - 778, 780 - 781, 783 - 784, 786 - 787, 789 - 790, 792 - 793, 795 - 796, 798 - 799, 801 - 802, 804 - 805, 807 - 808, 810 - 811, 813 - 814, 816 - 817, 819 - 820, 822 - 823, 825 - 826, 828 - 829, 831 - 832, 834 - 835, 837 - 838, 840 - 841, 843 - 844, 846 - 847, 849 - 850, 852 - 853, 855 - 856, 858 - 859, 861 - 862, 864 - 865, 867 - 868, 870 - 871, 873 - 874, 876 - 877, 879 - 880, 882 - 883, 885 - 886, 888 - 889, 891 - 892, 894 - 895, 897 - 898, 900 - 901, 903 - 904, 906 - 907, 909 - 910, 912 - 913, 915 - 916, 918 - 919, 921 - 922, 924 - 925, 927 - 928, 930 - 931, 933 - 934, 936 - 937, 939 - 940, 942 - 943, 945 - 946, 948 - 949, 951 - 952, 954 - 955, 957 - 958, 960 - 961, 963 - 964, 966 - 967, 969 - 970, 972 - 973, 975 - 976, 978 - 979, 981 - 982, 984 - 985, 987 - 988, 990 - 991, 993 - 994, 996 - 997, 999 - 1000

SPIS TREŚCI

Biblioteka Główna UMK



300000742759

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Wydanie I. Nakład 14 720 + 280 egzemplarzy.

Arkuszy wydawniczych 34,5. Arkuszy drukarskich 28,75 + 2 ark. wkł.

Papier na tekst druk. sat. kl. III, 80 g, 70×100 cm.

Papier na wkładki kredowany kl. III, 90 g, 70×100 cm.

Oddano do składania we wrześniu 1986 r.

Podpisano do druku w czerwcu 1987 r.

Druk ukończono w sierpniu 1987 r.

Zamówienie nr 71428/86. B-8/161. Cena zł 780,—

POZNAŃSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE IM. M. KASPRZAKA



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
540 EAST 57TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
1968

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

W

3056

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

W

3056

